

ZDANIE

"Trzech na jednego"
Z JÓZEFEM TEJCHMĄ

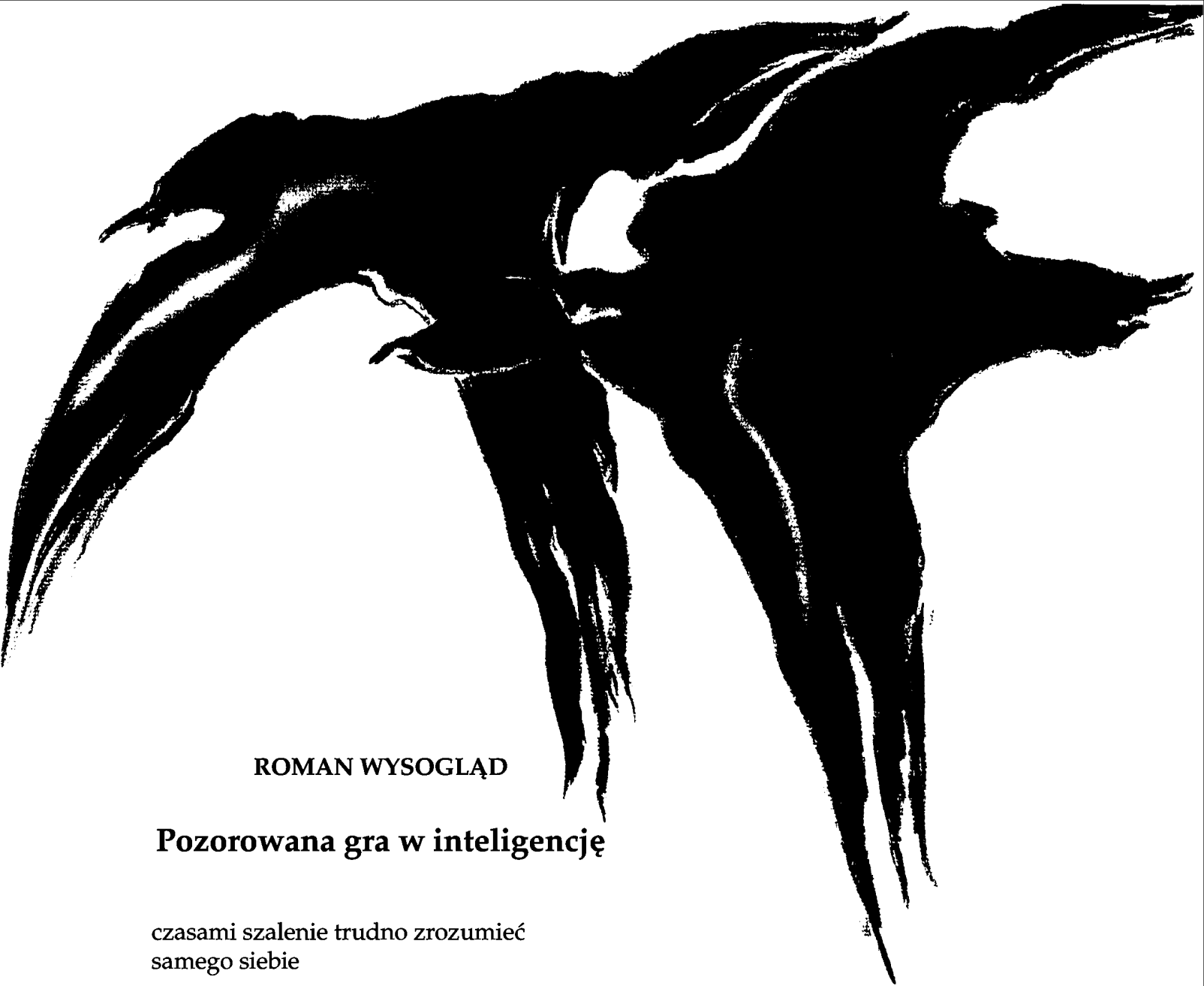
Andrzej Walicki, IDEE I LUDZIE | Ludwig Wittgenstein, ETYKA

Waldemar Czajkowski, SOCJALIZM W XXI WIEKU | Stanisław Burkot, "DWADZIEŚCIA LAT MINĘŁO..."

KOWADŁO DLA JERZEGO TRELI

1-2 (144-145) 2010





ROMAN WYSOGLĄD

Pozorowana gra w inteligencję

czasami szalenie trudno zrozumieć
samego siebie

na przykład kiedy piszę ten
niby wiersz
spoglądam przez okno
dotykam nadziei
a przy okazji
nie wierzę w przeznaczenie

budzi się wtedy we mnie mały chłopczyk
który pyta czy wszystko już
pozamiatane?

niby znam odpowiedź ale po co
denerwować samego siebie

Na okładce: **Janusz Trzebiatowski**, *Pejzaż chmur*
str. II i III: **Janusz Trzebiatowski**, *Ptaki*

ZDANIE

PISMO STOWARZYSZENIA >>KUŹNICA<<

1–2 (144–145) 2010

OD REDAKTORA

III RP, mimo usilnych pr—bnej skompromitowania i zastąpienia kolejnym numerem, doczekała się jubileuszu. W dwudziestą rocznicę wprowadzenia planu Balcerowicza oraz początków ustrojowej transformacji podkreślano na ogół wymierne korzyści, jakie Polska i my, jej obywatele, odnieśliśmy w wyniku tych historycznych reform. Rzadko natomiast przypominano, że nie wszyscy i w różnym stopniu odczuli błogosławione skutki transformacji. Do dziś toczy się spór o to, czy dla obranej na przełomie 1989/1990 roku drogi była alternatywa. Że ów spór nie wygasa, świadczą pomieszczone w tym numerze „Zdania” teksty profesorów: Andrzeja Karpińskiego i Jerzego Hausnera.

Coraz częściej przedmiotem krytycznej uwagi stają się media, co na naszych łamach znajduje odzwierciedlenie, zresztą nie po raz pierwszy. Okazuje się, że czwarta władza podlega podobnym wynaturzeniom, jak te, które sama tak zawzięcie piętnuje.

W kręgu zainteresowania autorów tego numeru znalazły się także takie problemy, jak kryzys demograficzny i jego społeczne skutki, żywotność idei socjalizmu w XXI wieku, konflikt na Bliskim Wschodzie, dorobek literatury ostatniego dwudziestolecia, pisarze na usługach tajnych służb czy kłopoty z uzyskaną wolnością.

Dla koneser—w *Etyka* L. Wittgensteina, dla Jerzego Treli Kowadło od „Kuźnicy”, dla czytelników rozsmakowanych w tekstach Andrzeja Walickiego fragment jego autobiografii. Pan Profesor, nasz stały autor, obchodzi 80. Urodziny i z tej okazji składamy mu najlepsze życzenia zdrowia oraz twórczej aktywności.

Bohaterem „Trzech na jednego” jest Józef Tejchma – minister kultury w PRL-u, który o tym, co myślą i mówią twórcy dowiadywał się – dzięki zdobytemu zaufaniu – od nich samych, a nie od służb specjalnych.

EDWARD CHUDZIŃSKI

JÓZEF TEJCHMA NIE POTRZEBOWAŁEM SŁUŻB SPECJALNYCH... („Trzech na jednego”)	3
Waldemar Czajkowski PROBLEM SOCJALIZMU XXI WIEKU	14
Andrzej Karpiński LEWICOWA KONCEPCJA MODERNIZACJI POLSKI	23
Jerzy Hausner JAK ZROBIĆ PRYZWOITE PAŃSTWO?	35
Henryk Domański KRYZYS DEMOGRAFICZY A STOSUNKI SPOŁECZNE	40
Andrzej Walicki IDEE I LUDZIE. PRÓBA AUTOBIOGRAFII	43
Janusz Tazbir GORZKI SMAK WOLNOŚCI	49
Irena Paczyńska JÓZEF CYRANKIEWICZ W OBOZOWYM RUCHU OPORU W AUSCHWITZ	52
Jan Woleński WOKÓŁ KONFLIKTU NA BLISKIM WŚCHODZIE	63
Stanisław Jędrzejewski PORTUGALIA: DALEKO OD KRAJU SOSNY	68
Zbigniew Bauer JOURNAMORFOZA PO POLSKU	71
Tomasz Goban-Klas NIE TAKI SKANDAL STRASZNY JAK GO MEDIA MALUJĄ	83

Ludwig Wittgenstein ETYKA	88
Władysław Markiewicz O RALFIE DAHRENDORFIE (1929–2009)	92
Andrzej Kurz KOWADŁO DLA TRELI	97
TRELA O SOBIE. GŁÓTNER O TRELI.	98
Stanisław Burkot „DWADZIEŚCIA LAT MINĘŁO”	101
Jan Pieszczachowicz OJCZYŹNY JULIANA KAWALCA	107
Marian Stępień DOTYKAĆ TEGO BRUDU?	110
Krzysztof Miklaszewski „UMARŁA KLASA” W AMERYCE.	116
Ewa Konczal MOJ ŚWIAT PRZEDSIĘBIORCÓW SPOŁECZNYCH	120
Krzysztof Komornicki WOKÓŁ SONDAŻU (TAK TKAM SOBIE I SNUJĘ...)	124
Jerzy Piekarczyk KŁOPOT Z KAPUSTĄ	126
Sceptyk JAK ZOHYDZIĆ GENERAŁA?	127



Fot. Grzegorz Kozakiewicz

trzech na jednego

JEDEN:

JÓZEF TEJCHMA

TRZECH:

EDWARD CHUDZIŃSKI

STEFAN CIEPŁY

FILIP RATKOWSKI

NIE POTRZEBOWAŁEM SŁUŻB SPECJALNYCH ŻEBY WIEDZIEĆ, CO TWÓRCY MÓWIĄ I MYŚLĄ

EDWARD CHUDZIŃSKI: Przyłgnął do pana „wiciowy” rodowód, tożsamy z pańską genealogią społeczną. Jak pan dorastał do swej późniejszej roli, jak odczytywał przedwojenne tradycje ruchu ludowego i jak udawało się panu łączyć je z realiami epoki powojennej?

JÓZEF TEJCHMA: Przede wszystkim muszę powiedzieć o czymś, co trzeba by nazwać swoistą magią ruchu „wiciowego”. Ta magia była zauważalna

od samego początku istnienia organizacji, czyli od lat trzydziestych, a szczególnie uwidoczniła się później, gdy rozpoczął działalność Uniwersytet Ludowy w Gaci Przeworskiej, którego twórcą był Ignacy Solarz. Stąd przemożny wpływ „Wici” na młodzież wiejską, wpływ łatwy do odbudowania po wojnie. Całe powojenne życie wsi było przeniknięte „wiciową” tradycją pewnie dlatego, że do lat dojrzałych doszło wówczas pokolenie ukształtowane przez tę organizację i jej właś-

nie magiczną, wspólnotową, atmosferę. Ja nie potrzebowałem gdzieś daleko szukać dla siebie wzorców czy tradycji, bo z tą tradycją byłem związany organicznie w mojej rodzinnej wsi, Markowej. Byłem już przed wojną członkiem tak zwanej „nowizny wiciowej”, czyli grup młodzieży przygotowywanej do poważniejszej działalności w organizacji.

Markowa to była dziwna wieś – wiele zjawisk związanych z ruchem ludowym tam właśnie pojawiło się po raz pierwszy w Polsce. Zwykle wymienia się, zupełnie nowość w polskich warunkach, czyli Spółdzielnię Zdrowia, która wypęłniała lukę w działalności dziś rozumianej jako obowiązek państwa. Innym ważnym przedsięwzięciem był teatr amatorski, ale o znaczącym, powiedziałbym nawet – na wybitnym poziomie. Powstał bardzo wcześnie, bo już w początkach XX wieku i wywarł ogromnie silny wpływ na całe otoczenie. I wokół tych dwóch zjawisk – Spółdzielni Zdrowia i teatru toczyło się życie wsi.

Jeżeli sprawa zdrowia jakoś nie znaczyła dla mnie wówczas wiele, to teatr rzeczywiście wywarł ogromny wpływ. Było to zetknięcie z kulturą zwaną wysoką, ale też świetna szkoła działania zespołowego, co okazało się szczególnie istotne w okresie okupacji hitlerowskiej, kiedy w Markowej działały intensywnie Bataliony Chłopskie i gdy tak pięknie rozwijało się tajne nauczanie.

FILIP RATKOWSKI: Markowa to duża wieś?

TEJCHMA: O tak. Jedna z większych w Polsce, licząca wówczas około 5 tysięcy mieszkańców i ciągnąca się na przestrzeni ośmiu kilometrów. Społecznie była bardzo różnicowana, a pod względem struktury własności ogromnie rozdrobniona. Gospodarstwo największe liczyło wprawdzie około 15 morgów, czyli jakieś 7,5 ha, ale większość rolników wegetowała na skrawkach ziemi. Moja rodzina miała na przykład gospodarstwo półmorgowe, toteż ojciec musiał emigrować za chlebem do Francji i tylko to pozwalało nam przetrwać.

STEFAN CIEPŁY: A czy istniała w okolicy wielka własność ziemska? Był tam dwór?

TEJCHMA: Nad całym regionem dominował wówczas zamek w Łańcucie. Łańcuckie dobra Potockich były nie tylko symbolem, ale najwyczajniej w świecie źródłem zarobku dla wielu mieszkańców okolicy.

RATKOWSKI: I na taką sytuację społeczną wsi nakłada się głęboki spór polityczny między ruchem ludowym a władzami II Rzeczypospolitej, czego wymownym przykładem były potężne, rozstrzeliwane przez policję, strajki chłopskie i Witos, niewątpliwie pierwszoplanowa postać w świadomości wsi i całej warstwy chłopskiej była bardzo dotkliwa, jak również świadomość przepaści pomiędzy z pozoru równymi obywatelami tej samej Rzeczypospolitej.

TEJCHMA: W momencie wybuchu wojny miałem zaledwie 12 lat, więc te wszystkie wydarzenia, o których mówimy, nie wywarły na mnie, jak dziś oceniam, wielkiego wpływu. Trudno więc mówić o jakiejś mojej jednoznacznej „świadomości politycznej”, ale świadomość upośledzenia wsi i całej warstwy chłopskiej była bardzo dotkliwa, jak również świadomość przepaści pomiędzy z pozoru równymi obywatelami tej samej Rzeczypospolitej.

Tu trzeba dodać, że widzieliśmy nie tylko różnice w bogactwie, ale też w stylu życia. Właściciel Łańcucia miał opinię człowieka, który nie inwestuje, nie dba o majątek, o jego stan i o zatrudnionych pracowników, za to wydaje ogromne pieniądze na zagraniczne wojaże i afrykańskie safari!

RATKOWSKI: A II Rzeczpospolita obiecywała chłopom reformę rolną. Były kolejne ustawy...

TEJCHMA: Niemal wszystkie partie polityczne wypisywały reformę rolną na sztandarach, powstawały odpowiednie ustawy, których jakości nie udawało się zrealizować w praktyce. W dodatku w moich stronach nie było wiele ziemi, którą można by dzielić między chłopów. Nawet po wojnie moja rodzina z reformy rolnej nie skorzystała, bo u nas nie było ziemi do podziału, a majątki Potockiego leżały daleko od naszych stron. Hasło reformy rolnej było więc dla nas raczej sprawą ideową, polityczną, a nie praktyczną.

CIEPŁY: A jak odbieraliście manifest PKWN?

TEJCHMA: Dla nas, jak teraz pamiętam, to przede wszystkim zapowiedź zmian demokratycznych, przełamania klasowych barier i obietnica nieskrępowanego dostępu do oświaty. Zresztą nie musiałem tego manifestu czytać. I bez względu na to, gdzie i kto go pisał – w Chełmie Lubelskim czy w Moskwie, była to obietnica bardzo ważnych zmian. A praktyczną realizacją tego manifestu był dla mnie fakt, że mogłem znaleźć się w liceum w Łańcucie. Miałem świadomość, że przed wojną nie byłoby to możliwe. Byliśmy zbyt biedni. I właśnie to co działo się w oświacie, szkolnictwie, bardzo szerokie otwarcie drzwi do szkół różnego szczebla było dla mnie najważniejszym znakiem przemian w pierwszych latach po wojnie.

CHUDZIŃSKI: A jak te przedwojenne, ideowe wartości „Wici”, udawało się wpisać w realia nowego ustroju? Związek Młodzieży Wiejskiej „Wici” był nierozzerwalnie zespolony z całością ruchu ludowego, a w nim zaczynają się dziać rzeczy niepokojące. Ruch się dzieli, pojawiają się nie tylko różne orientacje, ale i głębokie, wewnętrzne antagonizmy, a niektórzy działacze dokonują niekiedy zaskakujących wyborów ideowych, jak choćby Józef Niećko. Jak pan to wówczas postrzegał?

TEJCHMA: W moim środowisku dominowały wyniesione z domu postawy przedwojenne i poglądy agrarystyczne. Do głowy nam wówczas nie przychodziło, że ruch ludowy może w jakimś momencie stracić swoją autonomię, że dominującą pozycję na scenie politycznej zajmie PPR, która owszem, istniała gdzieś w Łańcucie, ale była zjawiskiem marginesowym. Te przemiany zachodziły stopniowo, dlatego nasze myślenie, to znaczy uczniów czy maturzystów z łańcuckiego liceum, siłą rzeczy ukierunkowywane było przez przedwojenne tradycje i przedwojenne programy. Dla mnie ważną lekturą była książka Stanisława Miłkowskiego *Agraryzm*, którą podsunął nam w liceum prof. Jan Marszał, już przed wojną związany z ruchem ludowym. To wtedy były dla nas ważne rzeczy: czytać, dociekać, dyskutować.... I ta wydana przed wojną książeczka stała się na jakiś czas swego rodzaju „biblią” młodych działaczy ruchu ludowego.

Inna rzecz, że te agrarystyczne wpływy nie były w moim przypadku pierwszym impulsem ideowym, z którym zdarzyło mi się zetknąć. Wcześniej już pewien



Fot. Grzegorz Kozakiewicz

nauczyciel, zresztą postać ciekawa i bardzo życzliwa, podsunął mi encyklikę Leona XIII *Rerum Novarum* niejako podsumowującą stosunek Kościoła katolickiego do przemian społecznych i kwestii robotniczej na przełomie XIX i XX wieku. Dla mnie były to jednak sprawy dość odległe i dlatego Miłkowski wywarł na mnie znacznie większy wpływ, wręcz oczarował swoją ideologią. To była rzecz dla takiego jak ja młodego człowieka wręcz fascynująca...

CHUDZIŃSKI: Ale czas biegnie, kończy pan szkołę średnią, zdaje maturę i staje się etatowym pracownikiem Zarządu Głównego Związku Młodzieży Polskiej w Warszawie. To nie jest typowa droga dla młodego „wiciarza” Nawet jeśli pod dyktando, czy choćby „zgodnie z nakazem chwili”, wszystkie organizacje młodzieżowe się łączą, to dla maturzysty z Łańcuta, wywodzącego się z jeszcze mniejszej Markowej nagły awans do Warszawy wydaje się zaskakujący. I jak pan zdołał pogodzić swój agraryzm z marksizmem jako aktywista ZMP?

TEJCHMA: Marksizm był dla mnie wówczas rzeczą jeszcze bardzo odległą. W życiu wiele spraw ma charakter przypadkowy, nie wszystko poddaje się logice i nie wszystko da się wyjaśnić. W moim przypadku najważniejszą rolę odegrał działacz ruchu ludowego i „wiciowego” Józef Ozga-Michalski. Poeta, pisarz, człowiek niezwykle interesujący...

CHUDZIŃSKI: Wspomina go pan w swoich dziennikach.

TEJCHMA: Było w Rzeszowie jakieś spotkanie „wiciowe”, przyjechał Ozga-Michalski, wówczas już zdecydowany zwolennik połączenia ruchu młodzieżowego. Zabierałem tam głos i widać mówiłem sensownie, skoro coś we mnie dostrzegł i spowodował, że ściągnięto mnie do Warszawy, i zatrudniono w centrali ZMP. Było to dla mnie ważne nie dlatego, żebym chciał robić karierę, czy tym bardziej karierę polityczną, ale wówczas była to dla mnie szansa na pod-

jęcie studiów. Żeby studiować, musiałem mieć jakieś warunki. I te warunki dawała mi możliwość łączenia studiów z pracą. To było zresztą wówczas zjawisko powszechne. Z natury rzeczy podjąłem więc studia w Akademii Nauk Politycznych, która zresztą była później wielokrotnie reformowana i w końcu chyba miała nazwę Szkoły Służby Zagranicznej.

Nie powiem, żal mi było moich „Wici” włączonych do ZMP, ale miałem też wrażenie, że rodzi się coś nowego, interesującego, a przecież na wsi działały te same koła, ci sami ludzie, stały przed nimi, jak się wydawało, takie same jak dawniej problemy. Było też poczucie, że nowa organizacja daje młodzieży znacznie większą siłę działania.

CHUDZIŃSKI: Gdzieś znalazłem informacje, że tak naprawdę to po maturze chciał pan się wybrać na polonistykę?

TEJCHMA: Liceum w Łańcutie miało tradycje szkoły o dużych osiągnięciach w humanistyce. Jego absolwentem był historyk literatury, profesor UJ Tomasz Weiss, z Łańcuta, z mojej klasy wyszedł wrocławski uczyony Czesław Hernas i sądziłem, że i moja droga prowadzi w tę stronę. Kiedy później, po latach dostałem od niego gruby tom historii literatury polskiej pt. *Barok*, to poczułem bardzo wyraźne uktucie zazdrości. Ogromnie żałowałem, że nie poszedłem tą drogą. Maturzyści mojego lub poprzedniego rocznika wybierali różne drogi: Józef Czyrek stał się znanym dyplomata, Edward Szpytma był jednym z czołowych menadżerów życia gospodarczego Krakowa, Tadeusz Korzon został profesorem Akademii Medycznej w Gdańsku.

CHUDZIŃSKI: Jak ta nowa rzeczywistość stawiała się pańską biografią? Jak wyglądała ta droga od „Wici” do PZPR?

TEJCHMA: W Zarządzie Głównym ZMP natknąłem się na kilku „wiciarzy” starszego pokolenia i oni wywierali na mnie spory wpływ. Swoją daleką od ortodoksji stalinowskiej postawą ułatwiali mi wejście

w tę nową rzeczywistość. Innej rzeczywistości zresztą nie było, a i w tej działały się rzeczy fascynujące i optymistyczne. Nie było to wszystko proste, także z innego punktu widzenia. Oto na przykład, gdy po namowach zdecydowałem się na wstąpienie do PZPR, zaczęły się drobiazgowo analizy mojego życiorysu, mojej drogi do Warszawy. Znalazłem po latach w swojej teczce personalnej pismo do komitetu partyjnego w Łańcucie z prośbą o informacje o moim ojcu. To wiązało się z faktem, że ojciec wiele lat spędził we Francji, co samo w sobie było wówczas mocno podejrzane.

RATKOWSKI: Był górnikiem?

TEJCHMA: Nie, pracował na jakieś farmie, jako najemny pracownik rolny bodaj przez 10 lat. Od 1936 do 1946 r., kiedy wrócił do kraju. Drugim powodem nieufności były „wiciowe” korzenie, dlatego to moje wstępowanie do PZPR trwało nienormalnie długo i znalazło swój finał dopiero w Nowej Hucie, dzięki Józefowi Nagórzańskiemu, działaczowi partyjnemu zupełnie innego typu i formatu niż ci, z którym stykałem się na co dzień w Warszawie. To był człowiek niezwykle uczciwy, pochodzenia robotniczego z komunistycznymi tradycjami, solidny i prostolinijny. Myślę, że to on ostatecznie ukształtował mój stosunek do świata i życiową filozofię, pokazał, że jest wprawdzie jedna partia, ale w tej partii są różni ludzie. Właśnie dzięki temu nie stałem się nigdy niewolnikiem doktryny monolitycznej – że wszyscy tak samo myślą, że kierują nimi identyczne cele, że mają działać tak samo...

RATKOWSKI: A jak pan trafił do Nowej Huty?

TEJCHMA: Do Nowej Huty skierował mnie ówczesny przewodniczący ZG ZMP Władysław Matwin. To też był człowiek innego pokroju niż działacze aparatu. Nie bardzo wierzył w urzędowy entuzjazm prasy i oficjalnej sprawozdawczości, że oto „młodzież, równym radosnym krokiem maszeruje budować socjalizm pod sztandarami Lenina-Stalina”. Porozszytał nas w teren – do szkół, fabryk, bo chciał mieć rzeczywisty obraz tego, co się dzieje. Powiadał: „badajcie duszę młodzieży”, a wtedy już samo słowo „dusza” było mocno podejrzane...

Pojechałem do jakiejś szkoły „badać duszę”, a potem złożyłem sprawozdanie na zebraniu. Matwin uznał widać, że najlepiej w tę duszę wniknął Tejchma, więc wysyłał mnie tam, gdzie pojawiły się ogromne trudności. A wiadomo, że na budowie Nowej Huty były rzesze młodych ludzi i rzeczywiście wielkie kłopoty natury, powiedzmy, wychowawczej. Ogromny wysiłek ludzi, poczucie że powstaje coś rzeczywiście wielkiego i nowego, ale przy tym przestępczość, alkohol...

RATKOWSKI: To wszystko, co potem opisał Ważyk w *Poemacie dla dorosłych*?

TEJCHMA: I nie było ważne, że studiuję, mam narzeczoną w Warszawie. Przerwałem studia i pojechałem.

RATKOWSKI: Wtedy w Nowej Hucie były ogromne rzesze młodzieży wiejskiej z podkrakowskich, ale i podrzeszowskich wsi. Do dziś w Nowej Hucie można się nasłuchać rzeszowskiego folkloru... Kto mógł ich lepiej zrozumieć niż Tejchma?

TEJCHMA: Spotkałem tam nie tylko młodych ludzi ze wsi rzeszowskiej, ale nawet trzech braci z mojej Markowej!

CHUDZIŃSKI: Przychodzi jednak rok 1956 i Tejchma reaktywuje Związek Młodzieży Wiejskiej!

CIEPŁY: Jest jednak coś, czego nie mogę się doszukać w pańskich oficjalnych biografiiach. Czy brał pan udział w demontażu poprzedniego systemu? W rozwiązywaniu ZMP? Bo przecież to ZMP było najgoręcej atakowane przez ludzi odnowy i uważane było za ostoję stalinizmu!

TEJCHMA: Do dziś mam na półce referat Chruszczowa na XX Zjeździe KPZR *O kulcie jednostki* i to Chruszczow niejako wyręczył mnie w demontowaniu systemu stalinowskiego.

CHUDZIŃSKI: Przez ten referat niektórzy, jak ojciec Agnieszki Holland, wyskakiwali przez okno.

RATKOWSKI: Albo ktoś im pomagał wyskoczyć.

TEJCHMA: Holland był podejrzany, że przekazał tekst referatu za granicę. I stąd dramatyczne wydarzenia. Ten referat był dla mnie i w ogóle dla nas wstrząsem. Chruszczow zburzył mit założycielski systemu.

CIEPŁY: Jaki miał pan stosunek do „Po prostu” i tego odnowicielskiego środowiska?

TEJCHMA: Nie miałem z nim bliskich kontaktów, bo to było środowisko studenckie, a ja obracałem się w innych kręgach. Pismo czytałem i uważałem je za bardzo bliskie mi ideowo... Oczywiście nie wtedy, kiedy było nudnym organem ZG ZMP, ale potem, gdy cały kraj przeżywał wstrząs po referacie Chruszczowa i po tym, jak w „Sztandarze Młodych” ukazał się tytuł: *Jezus Maria – wszystko nieaktualne!* Wszystkie broszurki, marksizmy, notatniki agitatora, szkolenia partyjne okazały się „nieaktualne” i każdy z nas szukał jakiegoś nowego sposobu myślenia...

CHUDZIŃSKI: Nowego fundamentu ideowego?

TEJCHMA: O właśnie, fundamentu na przyszłość, bo trudno żyć bez czegoś konstruktywnego. Brałem oczywiście udział w rozwiązywaniu ZMP i od razu znalazłem się wśród tych, którzy chcieli nowych związków młodzieży. Powstanie Związku Młodzieży Wiejskiej stanowiło wotum nieufności wobec doktryny o jedności ruchu młodzieżowego i oczywiście nawiązywało do przedwojennej tradycji. Tu już działałem rzeczywiście na własny rachunek. Nie byłem kierowany ręką Ozgi-Michalskiego czy Matwina.

CHUDZIŃSKI: Ale ktoś przecież pańskim poczynaniom patronował, a w każdym razie dawał przyzwolenie. Coś mi się wydaje, że mógł pan liczyć na poparcie towarzysza Wiesława?

TEJCHMA: Gomułka na początku miał ogromne kłopoty w związku w wydarzeniami na Węgrzech i trudną sytuację wewnątrz partii, więc mniej go te sprawy zajmowały. Budowie nowych związków młodzieży pomagał, a na pewno nie przeszkadzał Jerzy Morawski, wówczas tzw. młody sekretarz KC i jakoś znaleźliśmy tyle poparcia, by złamać opór terenowych ogniw partyjnych przeciw tworzeniu nowego związku. Sprzyjała nam zresztą sytuacja, bo w wielu województwach po prostu odrodziły się organizacje „Wici”.

CHUDZIŃSKI: Wiele organizacji wiciowych po prostu, po „przymusowej przerwie”, podjęło swoją działalność?

TEJCHMA: Ta tendencja do pełnego czy daleko idącego reaktywowania związku znalazła swój wyraz w projekcie powołania tygodnika pod nazwą „Wici”. Pod

taką nazwą wychodziło pismo przed wojną i dopiero po wydrukowaniu pierwszego „naszego” numeru w niektórych kręgach Komitetu Centralnego PZPR obudziła się czujność, że dzieje się coś niedobrego! Że reakcyjne elementy ruchu ludowego chcą opanować ZMW. Słowem pierwszy numer został przemielony, a my szukaliśmy gwałtownie nowej nazwy. Znalaziono tytuł „Zarzewie” i dopiero później okazało się, że w przeszłości wychodziło ludowe pismo także pod takim właśnie tytułem. Cały okres mojej pracy w ZMW jest dla mnie niezwykle ważny i do dziś jest powodem do dumy!

RATKOWSKI: Jak kształtowały się relacje ZMW z ZSL?

TEJCHMA: PZPR obawiała się wyłącznych wpływów ZSL w tej organizacji, a ZSL uważał, że obecność członków PZPR w ZMW podtrzymuje dominację partii. Ta rywalizacja miała wpływ na wybory przewodniczącego organizacji. Zgłoszono moją kandydaturę i Wiktora Prandoty ze starszego pokolenia „wiciarzy”. W demokratycznym głosowaniu wygrałem jednym głosem. Prandota głosował na mnie, ja na Prandotę, ale w to ostatnie nikt potem nie chciał wierzyć! Niestety! Bałem się, że nie jestem dobrą wizytówką dla nowego związku ze swoją ZMP-owską przynależnością, ale okazało się, że moi zwolennicy nazbierali wiele argumentów, które za mną przemawiały. Po wojnie byłem w „Wiciach” cztery lata, byłem przewodniczącym Zarządu Szkolnego, przewodniczącym Wojewódzkiego Komitetu Młodzieży Studiującej i to były plusy historyczne. Byłem w ZMP? Byłem, ale przecież w nowej organizacji też znalazło się takich wielu działaczy, którzy we mnie odnaleźli swojego człowieka, a że pochodziłem ze wsi znanej z ruchu ludowego, to i ZSL znalazł we mnie człowieka życzliwego ludowcom i zawsze miałem z nimi bliskie kontakty. Byłem w PZPR i ta partia też musiała mi udzielić poparcia...

CIEPŁY: A co pan uważa za swoje największe osiągnięcie z tego okresu przewodniczenia ZMW?

TEJCHMA: Panowie, nie uwierzycie, jeśli powiem, że wtedy w ZMW zaistniało coś, co dziś można nazwać „rewolucją malw”. Dziewczęta Związku Młodzieży Wiejskiej rzuciły hasło „poznajemy się po malwach”. Chodziło o to, żeby każdy, kto będzie we wsi przechodził drogą, mógł po malwach poznać dom czy zagrodę, w której jest ktoś z ZMW. To nie tylko zabawny znak natury towarzyskiej, ale także pewna metafora. Oto nastały czasy, kiedy problemem nie było już znalezienie pracy dla młodzieży, czy żeby ułatwić jej drogę do szkoły, ale szło o to, by znaleźć nowy wymiar cywilizacyjno-estetyczny życia wsi. To było coś nowego, kolorowego, pięknego, może niezbyt spektakularnego.

Rzeczą dla mnie najważniejszą było wprowadzenie organizacji we wszystkie struktury życia wiejskiego. ZMW związało się bardzo blisko z odradzającą się po 1956 roku spółdzielczością wiejską, z kółkami rolniczymi, stało się sojusznikiem całego postępu cywilizacyjno-kulturalnego wsi. W tym sensie po latach organizacja młodzieżowa znów zakorzeniła się prawdziwie i głęboko w swoim macierzystym środowisku. Potem różnie się to układało, ale istota pozostała właściwie niezmienna i była sukcesem tamtego, mojego, czasu.

Wspomniano tu rolę Gomułki, padła sugestia, że sprzyjał ZMW. W pewnym sensie tak, bo gdy porównywał działalność ZMS-u i ZMW, to miał więcej do

nas sympatii, ponieważ w ZMW było mniej polityki, a więcej konkretnych działań codziennych na rzecz środowiska. A Gomułka był człowiekiem praktycznym, choć niekiedy ideologiem aż zatwardziałym i cenił to, co można nazwać „pracą u podstaw”. Dlatego poparł nasze odrębne istnienie, które zostało przerwane w zdecydowanie mniej sprzyjających okolicznościach w latach 70.

CHUDZIŃSKI: To chyba Babiuch był pomysłodawcą tych późniejszych ponownych „zjednoczeń”.

TEJCHMA: A zaczęło się na Zlocie grunwaldzkim. Odbływały się różne śmieszne „chrzty”, jeżeli jakaś organizacja nie nazywała się „socjalistyczna”. Pamiętam, jak na posiedzeniu Biura Politycznego, gdy harcerstwo broniło się przed przyjęciem nazwy Socjalistyczny Związek Harcerstwa Polskiego, jeden z członków stwierdził z autentycznym żalem, że „harcerstwo jeszcze do tego nie dojrzało, by być socjalistycznym związkiem”. ZMW też nie dojrzał, choć ostatecznie się zjednoczył z pozostałymi... Ktoś dowcipny zauważył, że PZPR też nie ma w nazwie „socjalistyczna”!

RATKOWSKI: Niechęć Gomułki do „politykowania” w ZMS mogła wynikać i stąd, że to mogło prowadzić na „ideologiczne manowce”, jak pokazał przykład Kuronia i Modzelewskiego.

CIEPŁY: Po okresie przewodniczenia ZMW trafił pan do Wydziału Rolnego KC.

TEJCHMA: Przez sześć lat byłem przewodniczącym ZMW, zajmowałem się cały czas problemami wsi, a więc niektórym mogłem się wydawać ekspertem od rolnictwa. Tymczasem nie miałem ani wykształcenia rolniczego, ani specjalnego zacięcia do spraw fachowych – agronomicznych czy agrotechnicznych. Broniełem się dość słabo i specjalnie nie eksponowałem faktu, że moje nastawienie do życia jest raczej humanistyczne niż techniczne. Doświadczenie wyniesione z ZMW było dla nich wystarczającą rekomendacją, by powołać mnie na stanowisko kierownika Wydziału Rolnego.

CIEPŁY: A kto był pana szefem?

TEJCHMA: Sekretarzem rolnym był Edward Ochab...

RATKOWSKI: ...który chyba jeszcze mniej się znał na rolnictwie!

TEJCHMA: Niewiele się znał, ale wypowiadał się chętnie, jak to w owym czasie było w modzie w KC. Nie byłem z tego zadowolony i czułem się tam wręcz źle. Ustalano tam, kiedy zaczynać żniwa, a kiedy omłoty...

RATKOWSKI: No i wieczny problem sznurka do snopowiązałek. A właśnie! To był autentyczny problem, czy wywoływany propagandowo po to, by go bohatercko rozwiązywać i „rzucić sznurek na rynek”?

TEJCHMA: To był problem autentyczny, bo wówczas przecież wszystkiego brakowało, także karpia na święta, stąd dziś nazywa się ten okres w dziejach „gospodarką niedoboru”. Brakowało więc także sznurka generalnie dlatego, że po 1956 roku nastąpił szybki rozwój mechanizacji wsi, były więc maszyny, ale nie zharmonizowano innych czynników.

CHUDZIŃSKI: Przyznaje pan w swoich wspomnieniach, że głównym patronem pańskiego awansu był Władysław Gomułka.



Fot. Grzegorz Kozakiewicz

TEJCHMA: Prócz Gomułki mam sporo do zawdzięczenia Zenonowi Kliszce, dziś tak źle ocenianemu, bo to on skierował na mnie uwagę I sekretarza. Gomułka cenił moją działalność w ZMW i niewiele wiedział o mnie więcej, natomiast chyba właśnie dzięki Kliszce zaczął myśleć o mnie jako o człowieku przyszłościowym, nawet w kontekście o własnej sukcesji...

CHUDZIŃSKI: Czy kiedyś zdradził się przed panem z takich swoich zamysłów?

TEJCHMA: Gomułka nie, ale Kliszko pośrednio, w wąskich grupach aktywu dawał do zrozumienia, że „Wiesław” we mnie i w Kociołku pokłada wielkie nadzieje...

CHUDZIŃSKI: A tymczasem to panu przyszło spełnić wobec Gomułki trudną choćby z powodów osobistych rolę Brutusa!

TEJCHMA: Dla mnie wydarzenia w Gdańsku, strzelanie do robotników były powodem determinacji, by tę sytuację natychmiast przerwać, a do tego konieczna była zmiana na najwyższym szczeblu. I z tej przyczyny znalazłem się w gabinecie Gomułki, by mu o tym powiedzieć. To była rola dramatyczna, bo i Gomułka bardzo wysoko mnie cenił i ja go ceniłem za rolę, jaką odegrał w 1956 roku. Ale jednak uznałem, idąc tropem antycznych skojarzeń, że *amicus Plato sed magis amica veritas!*

RATKOWSKI: Obciąża pan Gomułkę całą odpowiedzialnością za Grudzień 1970?

TEJCHMA: Nie wiem czy całą odpowiedzialność ponosi jednostka, skoro na przykład jakieś zaślepienie uniemożliwiło nam w Biurze Politycznym zrozumieć, że nie należy robić podwyżek cen żywności w okresie przedświątecznym. Ale odpowiedzialność

pierwotna obciąża Gomułkę. W 1984 roku opublikowałem w „Polityce” artykuł pod tytułem *Wielkość i dramat Władysława Gomułki*.

CIEPŁY: A co z wydarzeniami 1968 roku?

TEJCHMA: Oceniałem je jako dramatyczne i haniebne. Nie podobało mi się szczególnie przemówienie Gomułki na kongresie związków zawodowych poświęcone walce z syjonizmem, a później ocena wydarzeń marcowych ze słynną rozprawą z *Dziadami* Dejmka. I wtedy, jak sądzę, pogłębiła się erozja autorytetu Gomułki. To ułatwiło mi rozmowę z nim w grudniu 1970 roku. I wtedy, i dziś wielu nie chce uwierzyć, że w gabinecie Gomułki znalazłem się sam, bez niczyjej namowy i że nie stała za mną żadna grupa. Już Gomułka zadał mi pytanie, w czyim imieniu przemawiam? Powiedziałem, że mówię w swoim imieniu, tylko swoim. Tak jak i on, gdy uznał za słuszne przeciwstawić się w 1948 roku stalinizacji kraju.

RATKOWSKI: Ale wówczas we władzach PZPR ukształtowała się grupa antygomułkowska, która dała o sobie znać już w 1968 roku.

TEJCHMA: Była, oczywiście. Myślano o Gierku jako o następcy Gomułki, który się starzał, był chory i miał coraz mniej sił. Zastanawiano się, co dalej.

RATKOWSKI: Najtragiczniejszym momentem Grudnia 70 było strzelanie do ludzi, którzy na wezwanie Kociołka szli rankiem do pracy w stoczni. Czy w świetle tego, co mówi pan o Kociołku jako ewentualnym następcy Gomułki, nie podejrzewał pan, że mogła to być celowa prowokacja wymierzona właśnie przeciw Kociołkowi? Do dziś obciąża się go odpowiedzialnością za tę tragedię.

TEJCHMA: Nie, nigdy do głowy mi nie przyszło, by mogła istnieć aż taka intryga. A że obciąża się

Kociołka winą? Cóż, jego nieszczęście polega na tym, że znalazł się w takich okolicznościach i w takim miejscu. Pojechał do Gdańska, aby osiągnąć porozumienie, a znalazł się w ognisku tragedii. W żaden makiaweliczny spisek nie wierzę.

CIEPŁY: Czy wśród członków najwyższych władz partyjnych istniało w końcu lat 60. poczucie, że ludzie mają już dość tej siermiężnej rzeczywistości?

TEJCHMA: Pod koniec cyklu gomułkowskiego wyraźnie odczuwaliśmy narastające kłopoty ekonomiczne, widoczny był gołym okiem zastój technologiczny, brakowało materialnych środków dla poprawy warunków życia, a nacisk społeczny był w tej sprawie ogromny. A najbardziej krytycznym człowiekiem wobec tej sytuacji był sam Gomułka. Było takie posiedzenie Biura Politycznego, które rozpatrywało plan gospodarczy na rok 1971 i kolejne lata. Gomułka przemawiał na tym posiedzeniu chyba osiem godzin i było to przemówienie druzgocące, przedstawiające w sposób straszny sytuację gospodarczą, ale odstaniające przy tym całkowitą naszą bezradność. I to jest prawdziwa tragedia dla polityka, jeśli widzi beznadziejność sytuacji, a nie znajduje środków zaradczych. Taka była właśnie sytuacja Gomułki w owym czasie.

RATKOWSKI: Prof. Chwalba w swojej historii powojennego Krakowa bardzo wyraźnie sytuuje pana w gronie entuzjastów Gomułki i jego ludzi. Píše na przykład, że osłaniał pan swoim autorytetem ówczesnego krakowskiego I sekretarza Czesława Domagałę i że dziękował mu pan specjalnie, gdy był odwoływany.

TEJCHMA: To bzdury. Nigdy nie byłem entuzjastą Domagały, to postać z zupełnie innego niż mój świata. Natomiast dziękowałem mu, gdy przyjechałem go odwoływać z funkcji i instalować na jego miejsce Józefa Klasę, bo wówczas istniała jeszcze pewna kultura polityczna, dziś zjawisko chyba nieznane i dla wielu niezrozumiałe. Pod rządami Klasy możliwe stało się powstanie w Krakowie pewnego rodzaju oficjalnej, intelektualnej opozycji wewnętrznej. Mam na myśli „Kuźnicę” z przewodniczącym Tadeuszem Hołujem na czele. „Kuźnica” stała się ośrodkiem lewicowej myśli ideowej w duchu najlepszych tradycji ruchu socjalistycznego.

CHUDZIŃSKI: Ale oto nastaje dekada Gierka i trafia pan wreszcie „do kultury”. Istniało wówczas w aparacie partyjnym przekonanie, że to kwestia drugorzędna, że działacz partyjny oddelegowany do kultury znalazł się na marginesie. A tymczasem dla pana miało to się okazać dobrodziejstwem i do dziś jest pan w środowisku ludzi kultury dobrze wspominany. Był pan ministrem kultury i członkiem najwyższego partyjnego gremium – Biura Politycznego. To jedyny taki przykład w dziejach PRL.

TEJCHMA: Trzeba jednak powiedzieć, że po nastaniu „ery gierkowskiej” moje główne obowiązki nie były związane z tymi sprawami, bo ministrem kultury zostałem dopiero w 1974 roku. Początkowo pełniłem rolę drugiego człowieka w państwie. Byłem przewodniczącym klubu poselskiego PZPR w Sejmie, co w chwilach przełomu nie zawsze jest proste. Zajmowałem się sprawami zagranicznymi, które mnie spe-

cialnie nie interesowały, do czego tu po raz pierwszy przynaję się publicznie. Zajmowałem się nauką, która wówczas już zyskiwała na znaczeniu. I dopiero jak zaczęły się zmieniać układy w KC, zacząłem szukać dla siebie miejsca poza tym gmachem, poza – jak się wyraził kiedyś Iwaszkiewicz – „namiotem na rogu Norwega Świata i Alei Jerozolimskich, gdzie tylko toczą się intrygi „a brak konkretnej pracy”. Ta moja gotowość do zmiany sfery zainteresowań wkrótce przestała być tajemnicą i skorzystano z niej przy okazji.

CHUDZIŃSKI: Podobno sam puścił pan „w miasto” plotkę, że „Tejchma jest zainteresowany przejściem do ministerstwa kultury”.

TEJCHMA: To później. Najpierw szukano i znaleziono dla mnie miejsce w Radzie Ministrów w charakterze wicepremiera. I o dziwo dano mi znowu rolnictwo. W KC zajmowałem się też m.in. stosunkami państwo-Kościół, więc napisałem gdzieś wtedy, że w związku z tą zmianą zdejmę z półki Biblię, a postawię na widocznym miejscu podręcznik chowu zwierząt gospodarskich. Wkrótce jednak okazało się, że ówczesny minister kultury Wroński powinien odejść...

CHUDZIŃSKI: Bo była ponoć prawdziwa wojna między kierownikiem Wydziału Kultury a tym ministrem, który w środowiskach artystycznych miał wyjątkowo złą opinię.

TEJCHMA: W podtekstach była też jakaś inna rzecz, zgoła gorsząca. Wańkiewicz coś tam o tym napisał... Wtedy premier uznał, że na miejsce Wrońskiego mógłby pójść Rakowski, ale ta kandydatura została bardzo zdecydowanie odrzucona w KC. Rakowski miał opinię rewizjonisty, a rewizjonista ministrem takiego „ideologicznego” resortu być nie mógł! Premier szukał jakiegoś rozwiązania i zaproponował mnie to stanowisko. Był to oczywiście zbieg okoliczności, ale po części przeze mnie wybrany. Miałem świadomość, że nie jest to żadna szansa dalszej kariery, a raczej jej zwieńczenie...

CHUDZIŃSKI: Już wtedy planował pan zakończenie kariery politycznej?

TEJCHMA: Byłem wprawdzie niestary, ale bardzo zmęczony.

RATKOWSKI: Ale kultura to sprawa nietatwa. Dotychczas, gdy mówimy o pańskiej biografii, to pojawiło się tylko jedno nazwisko z tej sfery – Ozga-Michalski. Czy czuł się pan jakoś przygotowany do tej nowej roli?

TEJCHMA: Niekiedy ludzie stawiają mi takie pytania. Jeszcze niedawno, na spotkaniu, które prowadził Siemion, też takie pytanie padło. I odpowiadam wówczas, że byłem aktorem w teatrze w mojej wsi, i jak zasmakowałem życia artystycznego, to już nigdy z kulturą się nie rozstawałem. W liceum byłem na przykład przewodniczącym Koła Miłośników Kultury Ludowej. Niektórzy są skłonni ją lekceważyć, ale związki kultury ludowej z narodową są oczywiste i głębokie. A koło to była rzecz poważna, bo opiekował się nim profesor Bronisław Nadolski, który później wykładał na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu, jednym z aktywistów był Czesław Hernas, o którym już tu mówiłem. W ZMW kultura była jednym z kluczowych problemów, jakimi żyła ta organizacja. Agrotechnika owszem, była ważna, wodociągi także, ale kultura była ważna niesłychanie. I tej polityce kul-

turalnej związku patronował Jarosław Iwaszkiewicz, a moja z nim znajomość datowała się z tamtej, związkowej epoki. Mieliśmy Nagrodę im. Stanisława Pięta-ka, promowaliśmy młodą literaturę, mieliśmy swoje powiązania z miesięcznikiem „Twórczość”...

CIEPŁY: Trzy czwarte piszących młodych ludzi w Krakowie debiutowało na łamach krakowskiego „Głosu Młodzieży Wiejskiej”.

TEJCHMA: Moja funkcja nie była więc przypadkowa, choć gdy w trakcie jakiejś narady któryś z aktorów zapytał mnie o kwalifikacje, odpowiedziałem zdawkowo, że myślę działać jak lekarz – „przede wszystkim nie szkodzić”. Pierwsza moja deklaracja jako ministra kultury składała się z dwóch zdań: „Więcej pieniędzy” i „Więcej wolności”. To nie było mało jak na program w owym czasie.

CHUDZIŃSKI: Podobną deklarację składał jeden z pańskich poprzedników na funkcji ministra kultury, Lucjan Motyka: „Nie szkodzić!”

TEJCHMA: Motyka był świetnym ministrem, pamiętanym także w resorcie i chętnie do jego tradycji nawiązywałem. A jeśli ludzie dobrze wspominają moją rolę jako ministra, to muszę podkreślić, że ukształtowała się wówczas cała grupa osób, które oderwały się od doktrynalnych wyobrażeń o polityce kulturalnej i torowały drogę liberalizacji w kulturze. To był choćby Rakowski jako redaktor naczelny „Polityki”, który tworzył fundament nowego, odmiennego rozumienia obowiązków kultury narodowej. Był też Kraśko, człowiek pełen zrozumienia dla „wolnościowej” polityki w dziedzinie kultury. Był Ryszard Frelek, który jako sekretarz KC do spraw zagranicznych umiał przerzucać mosty dla kultury polskiej z zagranicą. To także miało wpływ na sytuację środowisk twórczych w kraju.

CHUDZIŃSKI: Miał zresztą Frelek własne ciągotki artystyczne jako scenarzysta telewizyjnych widowisk dokumentalnych.

TEJCHMA: Byli też wybitni wydawcy jak Stanisław Bębenek, prezes Czytelnika, którego patronem był Jarosław Iwaszkiewicz, był Andrzej Wasilewski, dyrektor Państwowego Instytutu Wydawniczego, był u was w Krakowie Andrzej Kurz, twórca potęgi Wydawnictwa Literackiego. To byli ludzie wielkiego formatu intelektualnego i oni torowali drogę polityce kulturalnej wraz z całym zespołem ludzi, jaki się ukształtował. Niedawno w „Newsweeku” Krzysztof Penderecki napisał, że twórcy wywalczyli sobie w Polsce Ludowej status, zupełnie inny niż w pozostałych krajach „socjalistycznych”. Dzięki temu powstała wybitna, najwyższego lotu kultura: teatr, plakat, film, muzyka i że była to zasługa ludzi światłych w Komitecie Centralnym, jakimi byli, tu cytuję: „Kraśko i Tejchma”. Nikt mu tego pisać nie kazał. Kiedyś zresztą powtarzali to wszyscy, dziś tylko niektórzy... Zadowolony byłem, że wspominał Kraśkę, bo nie lubię, jak się eksponuje zasługi jednej osoby zapominając o innych.

CHUDZIŃSKI: Jak pan to zrobił, że potrafił zbudować bardzo bliskie osobiste kontakty w największymi postaciami naszej kultury i to często trzymającymi się z dala od lewicy. Miał pan z nimi kontakty na płaszczyźnie prywatnej, co się dygnitarzom tamtego czasu nie zdarzało. Pisze pan w swoim dzienniku: byłem na śnia-

daniu z Wańkowiczem, pojechałem do Stawiska do Iwaszkiewiczów, a pańskie bliskie kontakty z Lutosławskim przeszły już do legendy. Znaleźli w panu partnera, mieli zaufanie i dlatego prowadzili zupełnie nieskrępowane rozmowy?

TEJCHMA: Bez oporów mówili mi o sytuacji kultury, o potrzebach środowisk twórczych, o kretynizmach, z którymi trzeba było walczyć. Nie potrzebo- wałem żadnych służb specjalnych żeby wiedzieć, co mówią i co myślą twórcy, bo oni sami mi to mówili! Owe służby twórcami zajmowały się ochoczo, ale po- trafiły tylko budzić w nich wściekłość na władzę. Więc zamiast być jej pomocne, produkowały socjalizmowi wrogów. Prześladowali ludzi jakimiś małostkowymi utrudnieniami, produkowali masowo donosy... Dosta- wałem taką makulaturę niekiedy na biurko, ale to mi do niczego nie było potrzebne, bo miałem informacje od samych zainteresowanych.

RATKOWSKI: A były donosy także na Tej- chmę?

TEJCHMA: Naturalnie. Całkiem niedawno w do- kumencie IPN-u przytoczonym w „Krakowie” znalaz- łem wypowiedź jakiegoś agenta, który pisze wręcz, że ministra trzeba możliwie najprędzej zmienić, bo ten „imbecyl liberalny” nie sprzyja normowaniu sytu- acji w stanie wojennym. Moje kontakty ze środowi- skami twórczymi były więc nacechowane otwartością i zgodą na mówienie i wysłuchiwanie rzeczy trud- nych. Usiłowałem zawsze uczyć rządzących oddzie- lanania osoby twórcy od jego mniej lub bardziej ryzy- kownych wypowiedzi politycznych.

CHUDZIŃSKI: Nie tylko w PRL-u nie umiano, albo nie chciano oddzielać biografii twórcy od jego dzieła. Ta przypadłość w pewnych zacie- trzewionych środowiskach pokutuje do dzisiaj.

CIEPŁY: W wywiadzie udzielonym Torańskiej zawarł pan taką oto ryzykowną tezę, że „pańska odrębność decydowała o pana sile”.

TEJCHMA: To jeszcze zależy od kontekstu. Być może wiązała się ona z notatką Rakowskiego, który oceniając sytuację w Biurze Politycznym wspominał, że ściera się tam grupa Gierka z grupą Szlachcica, że jest grupa Babiucha i że jest Tejchma, który sta- nowi jednoosobową frakcję. Coś w tym było...

CHUDZIŃSKI: Skoro jesteśmy przy tych pań- skich kontaktach z wielkościami świata kultury, to warto zauważyć, że mimo swojej pozycji w Biurze Politycznym nie był pan w stanie wytłu- maczyć niektórym towarzyszom, że wypowiedź Słonimskiego czy Dygata na zebraniu literatów może się władzy nie podobać, ale to jeszcze nie powód, ażeby karać ich zapisem cenzuralnym, a tym bardziej usuwać ich nazwiska z bibliografii. A takie rzeczy się zdarzały!

TEJCHMA: Oczywiście moja pozycja członek Biura Politycznego dawała pewne możliwości, ale też zwracała uwagę innych jego członków. Rodziły się uwagi, że Tejchma buduje pozycję dla siebie, a sympatia w środowiskach twórczych była powo- dem wielu zarzutów.

Zazdrość to też uczucie ludzkie, tym bardziej że wiele rzeczy mi się udało. Zainicjowałem na przy- kład doroczne spotkania całego Biura Politycznego z czołowymi twórcami w pałacu Na Wodzie w Ła-

zienkach. Przychodził Gierek, przychodził Jaroszewicz, byli obecni wielcy ze świata polityki i wielcy ze świata kultury. Twórcy chętnie korzystali z okazji, by Gierkowi i premierowi powiedzieć to i owo. Gdybym nie był członkiem Biura Politycznego, nie miałbym okazji do budowania tego rodzaju kontaktów, które – jak sądzę – przynajmniej do pewnego momentu oddziaływały na kierownictwo partii i rządu. To też jakoś się nawarstwiło na formułowane wobec mnie zarzuty, które w skrócie można zdefiniować tak: „Tejchma – liberał, myśli tylko o twórcach”. Tak, myślałem o twórcach, bo od tego byłem ministrem kultury.

Na przykład przychodzi moment, kiedy Miłosz dostaje Nagrodę Nobla! Powstał problem – kto wyśle depezę gratulacyjną. Niby drobiazg, ale żenujący. Podobnie było, gdy kardynał Wojtyła został wybrany na papieża. Dołączyłem się do opinii, że trzeba uczynić to z powagą, skoro do Dejnys wysłała się gratulacje, że został wicemistrzem świata, to tym bardziej należy wysłać telegram, gdy Polak zostaje papieżem! W przypadku Miłosza chodziło o to, jak sprowadzić go do Polski. Ja pewne kontakty miałem. Brat Miłosza pracował przecież w ZAiKS-ie, Karol Małcużyński, prezes tej organizacji znał się z Miłoszem bardzo dobrze i mogliśmy podjąć z nim rozmowy. Nie chodziło przecież o ładne fotografie z Noblistą czy o światowe telewizje. Spotkanie w pałacu Na Wodzie, zorganizowane przeze mnie dzięki zbudowanym wcześniej kontaktom, było w istocie symbolicznym połączeniem trzech nurtów literatury polskiej – oficjalnego, emigracyjnego i drugiego obiegu. Na to spotkanie zaprosiłem przedstawicieli wszystkich tych nurtów i przyszli! To budowało pewien polityczny klimat i stanowiło zachętę do budowania porozumienia. Jeśli nawet wiedziano, że w KC ścierają się różne frakcje, to jednak pokazywałem inną twarz tej władzy.

Z tego samego powodu w drugim dniu stanu wojennego pojechałem do Lutostawskiego, żeby dać świadectwo, że nie zapominam o nim i o środowisku twórczym w tych trudnych chwilach.

RATKOWSKI: I że te wytoczone na ulicę czołgi nie zamierzają zagłuszać polskiej muzyki!

TEJCHMA: No tak! O to chodziło.

CHUDZIŃSKI: A czy nie ma pan poczucia, że minister kultury w PRL musiał zajmować się drobiazgami, którymi zajmować się nie powinien? Bo zamiast wyznaczać ambitne cele polityki kulturalnej, interweniował w sprawie zepsutego ogrzewania w domu jakiejś zasłużonej śpiewaczki operowej.

TEJCHMA: Jest faktem, że ludzie nawet z wielkimi nazwiskami szli ze swymi drobnymi, codziennymi sprawami od razu do ministra. Ale takie kontakty mają jednak sens i wartość pod warunkiem, że nie są nazbyt częste i że minister nie wyręcza własnych urzędników. Jeśli zajmowałem się wieloma takimi sprawami osobiście, robiłem to celowo. Chodziło o podkreślenie roli kultury narodowej i wpojenie administracji, że twórców trzeba szanować!

Wielu urzędnikom wydawało się, że rządzą kulturą! Że twórcy są dla nich, a nie oni dla twórców. Musiałem więc prowadzić taką swego rodzaju działalność dydaktyczną...

CIEPŁY: Ale w owym czasie miał pan też inny problem – próbował oponować przeciw wprowadzonym wówczas do konstytucji zapisom, które wzbudzały żywe protesty w wielu środowiskach, także twórczych. I nie na wiele się zdało...

TEJCHMA: Żywo mi przypominało dodawanie przymiotników „socjalistyczny” do nazw organizacji młodzieżowych i odczuwałem wobec tego podobną bezradność. To i owo udało mi się wypolerować czy osłabić, dziś już tych subtelności nie pamiętam. Rola PZPR miała być nie „kierownicza” a „przewodnia” czy odwrotnie, stosunek do ZSRR też miał być jakiś tam.... Dziś może to śmieszyć, ale wtedy była to zupełnie niepotrzebna awantura, wręcz prowokacja wobec społeczeństwa. Pojawiły się listy protestacyjne, ale jakoś nikt nie pamięta, co było w istocie przyczyną tych awantur wokół zmiany konstytucji...

CHUDZIŃSKI: Urząd prezydenta dla Gierka!

TEJCHMA: Ano właśnie. Gierek miał już wszystko przemyślane. On obejmie urząd prezydenta, Tejchma będzie wiceprezydentem, a potem ktoś mu uprzytomnił, że w ten sposób sam pozbawia się realnej władzy! No tak, ale skoro już rozpętano sprawę zmiany konstytucji, to trzeba było znaleźć jakiś ważny powód i rzeczywiście wprowadzić zmiany. Wybrano najgorszy z możliwych wariantów – teoretycznie niewprowadzający żadnych realnych zmian, ale bardzo dotkliwy społecznie. Wiadomo jak Polacy w swojej masie odbierali wszystko, co dotyczyło stosunków polsko-radzieckich...

RATKOWSKI: Właśnie... Czy w czasach, gdy był pan ministrem kultury zgłaszali się do pana z uwagami czy żalami urzędnicy z wiadomej ambasady?

TEJCHMA: Do mnie? Nigdy. Wiedzieli, że do mnie nie należy się zwracać. Owszem były pretensje kierowane do moich współpracowników, a że coś tam w kinie nie tak, a to w teatrze. Do wystaw mniej było uwag, bo moda na realizm socjalistyczny dawno minęła... Raczej chodzili z tym do KC. Owszem, każda bardziej ryzykowna sztuka teatralna wywoływała prośby o wizytę w KC odpowiedniego dyrektora departamentu. Radośnie wspominam fakt, że odznakę „Zasłużonego dla kultury” wręczył mi pod koniec epoki PRL-u ówczesny minister, prof. Aleksander Krawczuk.

RATKOWSKI: A skoro już dotykamy stosunków polsko-radzieckich... W Wielkiej Encyklopedii Powszechnej, tej 13 tomowej, nie ma hasła „Katyń”. To nie mógł być przypadek. Czy pan może pamiętać, kto podjął taką decyzję? Bo że musiały być podjęte, to dla mnie nie ulega wątpliwości. Był to wyraz braku zgody na zakłamywanie historii. Bo wymowa faktu, że w encyklopedii wydanej w PRL nie przypisano winy za ten mord Niemcom, jest absolutnie jednoznaczna!

CHUDZIŃSKI: Zadał pan to pytanie w swoim czasie Gomułce....

TEJCHMA: Zapytałem go wręcz, a on odpowiedział, że „jedni i drudzy byli do tego zdolni”. Sprawę znałem z okupacyjnej, gadzinowej prasy, która na ten temat się rozpisywała, a dwie osoby z mojej wsi zginęły w Katyniu, w tym lekarz naszej Spółdzielni Zdrowia, doktor Ciekot. Kto ostatecznie taką decy-

zję podjął – nie wiem, ale wymowa tego faktu, jak i stosunek Gomułki do sprawy były moim zdaniem jednoznaczne.

CIEPŁY: Patrząc na pełnioną przez pana funkcję ministra kultury, współczuję, bo mam wrażenie, że był pan człowiekiem o rozdwojonej jaźni. Bądź co bądź był pan częścią tej władzy!

TEJCHMA: Szkoda, że tylko w tej jednej sprawie mi pan współczuje. Piszę o tym, że moja sytuacja nie była łatwa i nie zdziwię się, że będą tacy co powiedzą, że jestem schizofrenikiem! No bo rzeczywiście – funkcjonuję w tym systemie, legitymizuję wszystko, co się dzieje, a z drugiej strony wszyscy wiedzą, że mam krytyczne stanowisko do wielu spraw. To moje stanowisko zapisywałem w dziennikach, wówczas jeszcze poufnych, chowanych w szafie pancерnej, choć nie tak głęboko jak robił to Rakowski, który swoje dzienniki zakopywał w kankach na mleko w lesie. Jednak nie było wówczas możliwości publikowania takich opinii. Na swoje usprawiedliwienie mogę tylko powiedzieć, że nie ma polityka, który jakoś nie byłby rozdwojony. Nie sądzę, żeby i dzisiaj znalazł się polityk, który bez żadnych zastrzeżeń do końca i bezwzględnie wierzyłby w to, co mówi oficjalnie!

CIEPŁY: Także ogromna rzesza członków PZPR przeżywała takie dylematy – legitymizują, choć nie akceptują.

TEJCHMA: Pamiętam, jak jeszcze w Nowej Hucie prowadziłem zebranie wyborcze PZPR, wstał ktoś z delegatów i zażądał wyjaśnienia sprawy Katynia. Sala zamarta, ja sam znalazłem się w głębokim szoku, bo była to sprawa, o której wszyscy wiedzieli, ale nie mówiło się o niej publicznie. Wstał na to Pryma, wówczas pierwszy sekretarz i wygłosił długie przemówienie o... przyjaźni polsko-radzieckiej. To też kolejny przykład dojrzewania do prawdy!

CHUDZIŃSKI: A jakby pan wytłumaczył ten swoisty fenomen PRL-u: oto ludzie reprezentujący najwyższe szczeble władzy podejrzewają samych siebie o schizofrenię polityczną, gospodarka jest chronicznie niewydolna, a polityka kulturalna biegnie przedziwnymi meandrami, dzieją się sprawy paskudne, jak choćby w Marcu 68, giną w Poznaniu i na Wybrzeżu ludzie, a równocześnie powstają doniosłe dzieła, tworzą artyści, po których zostaje wielki dorobek mający szeroki oddźwięk społeczny. Powstały wtedy znakomite przedstawienia teatralne, filmy zdobywające uznanie w świecie, utwory muzyczne wykonywane w najbardziej prestiżowych salach koncertowych, dzieła plastyczne eksponowane na światowych wystawach. Także literatura ma się czym pochwalić. Z tym dorobkiem nie mogą sobie dziś poradzić ci, którzy chcą PRL wymazać z mapy, którzy twierdzą, że wówczas nie było Polski, tylko sowiecka okupacja i czarna dziura!

TEJCHMA: To pytanie i ja sam sobie często zadaję, a niektóre odpowiedzi znalazły się w moim wystąpieniu na pewnym spotkaniu międzynarodowym w Londynie. To wystąpienie zresztą „Zdanie” wydrukowało jakieś dwa lata temu. Pytano mnie na przykład, jak to się działo, że ukazywały się teksty kompletnie niezgodne z oficjalną linią i niedopuszczalne z punktu widzenia doktryny... Najpełniejszą odpowiedź

na to pytanie daje Andrzej Walicki w swoich ocenach PRL-u. Formuluje on tezę, z którą nie wszyscy chcą się zgodzić, że mianowicie totalitaryzm trwał w Polsce do roku 1956, a nawet krócej. Wtedy zniszczony został fundament totalitaryzmu, choć pewne zewnętrzne jego objawy z pozoru istniały. Jednak myślenie obywateli zostało wyzwolone i było myśleniem ludzi wolnych.

Na to nakładały się różne sytuacje, w których do władzy dochodzili ludzie sprzyjający wolnej twórczości albo tacy, co próbowali ją hamować. Przyszł czas, o którym mówi Penderecki, że grupa ludzi z kręgu władzy uległa atmosferze wolnościowej i przestała uważać, że system, któremu formalnie służy, jest słuszny. To tworzyło warunki dla twórczego rozmachu. Była wprawdzie cenzura, ale twórcy umieli się przed nią bronić, a poza tym istniały różne enklawy. W jednych wydawnictwach cenzura była większa, w innych mniejsza, w jednych liberalna, w innych bardziej ostra. PAX wydawał wiele pozycji, których nie wydałaby Książka i Wiedza, itd. Niekiedy ingerencja zależała od wielkości sali. Nawet bliskie wam doświadczenie z „Życiem Literackim” jest niejednoznaczne. Przez wielu pisarzy Machejek był postrzegany jako partyjny satrapa, w gmachu KC miał opinię człowieka, który ciągle ulega „tym swoim pisarzom”. Zamieszczał wiele tekstów, na które nie mogło sobie pozwolić wielu innych redaktorów.

CHUDZIŃSKI: Taką przestrzeń wolności umiał sobie wywalczyć Iwaszkiewicz. Z niektórymi tekstami chodził prosto do sekretarza KC i ukazywały się one poza cenzurą.

TEJCHMA: Iwaszkiewicz spełniał też pożyteczną rolę wobec środowiska pisarzy, bo do niego jako do prezesa ZLP chodzili autorzy ze skargami na cenzurę. Niektóre rzeczy przemilczał, o inne walczył, a to co przynosił do KC, było nie do zakwestionowania dla tamtejszych urzędników.

RATKOWSKI: Z czego zatem wynikała tak wysoka pozycja kultury w PRL? I rola ludzi kultury. Trzydziestu pisarzy coś podpisało i obradowało nad tym Biuro Polityczne?

CHUDZIŃSKI: A w czasie zjazdu pisarzy w Katowicach uruchomiono specjalną linię łączności bezpośrednio z sekretariatem KC. Przecież w normalnym państwie nie może być tak, żeby najwyższy szczebel władzy interesował się tym, kto i co opowiada na zebraniu pisarzy. Może ta władza sama sobie taki los zgotowała ustanawiając tak wysoką rangę kultury w dokumentach programowych?

TEJCHMA: Może rzeczywiście. Jako minister kultury niechętnie patrzyłem na wyprawy partyjnych działaczy do teatru czy kina, bo miewałem wówczas co dzień telefony takie, jakie miał prezes telewizji po każdym teatrze telewizyjnym. Najczęściej niestety dzwonił Jaroszewicz, którego lubiłem, ale który, choć nauczyciel czyli człowiek światły, miał bardzo wąskie spojrzenie na sprawy kultury. Na szczęście twórcy kultury w PRL posiadali umiejętność aluzyjnego opisywania rzeczywistości. Dziś dopiero widać, że takie aluzyjne mówienie często dawało głębsze wejście w istotę rzeczy niż mówienie wprost. I taka jest chyba rola literatury, która staje się sejsmografem i mówi, co się dzieje pod powierzchnią.

CIEPŁY: A jak układała się panu współpraca z resortowymi sekretarzami? Szydłakiem, Nawrockim czy Łukasiewiczem?

TEJCHMA: Jeśli współpraca nie może układać się dobrze, to często alternatywą jest brak jakiegokolwiek współpracy i działanie osobno. Taki model dominował w moim przypadku, jak długo byłem w Biurze Politycznym. I dlatego doszli do wniosku, że z tym „imbecylem” nie można współpracować. A co działo się dalej, nie bardzo wiem. Najpierw pojechałem na placówkę do Szwajcarii, potem wróciłem na krótko, choć nie wiem po co, bo wyraźnie nie byłem już potrzebny. Ostatecznie z funkcji ministra kultury zrezygnowałem w 1982 roku, mniej więcej w tydzień po tym, jak powiedziano również prof. Kubiakowi „dziękujemy”. Tyle że to ja powiedziałem Jaruzelskiemu „dziękuję”. Nie mogłem protestować przeciw stanowi wojennemu, bo nie miałem pewności, czy jest słuszny czy nie. A nie byłem tego pewny, bo wszystko prowadziło do rzeczywistego rozpadu państwa, przynajmniej takiego, jakie ja znałem i w konsekwencji wiadomego w istocie rzeczy zachowania się ZSRR. To zachowanie się było nieobliczalne.

W procesie toczącym się wobec twórców stanu wojennego nie jest eksponowane wystąpienie Kania, ale to co on mówił o swoich nieszczęsnych spotkaniach z Breżniewem, o rozmowach, o naciskach, jakim był poddawany w Moskwie jest dla mnie dzisiaj nie do przyjęcia. To przecież było ciągłe, straszne upokarzanie przywódcy odrębnego kraju. Kania miał na szczęście w sobie tę chłopską siłę i nawet gdy mówił „tak”, to „tak” nie robił. Nie aresztował Wałęsę, choć wracano w Moskwie do tego uporczywie. Nie protestowałem przeciw stanowi wojennemu, ale rzeczywiście nie chciałem „realizować polityki stanu wojennego w środowiskach twórczych”. Bo co to była za polityka – rozpędzenie związków twórczych? Nie miałbym do tego siły, woli i moralnego przekonania. Ze związkami tymi miałem przez długie lata poukładane dobre stosunki. Wprawdzie z tamtej strony lojalności nie widziałem, bo bojkot grania w tatrze czy filmie był w istocie karaniem widzów. Żądali tolerancji, a sami nie byli tolerancyjni wobec Haliny Czerny-Stefańskiej czy innych artystów, którzy nie bojkotowali... W efekcie, tak czy inaczej złożyłem jednozdaniową dymisję na ręce Jaruzelskiego. I pojechałem do Grecji.

CIEPŁY: A jak pan przyjął rozwiązanie PZPR?

TEJCHMA: Im więcej czasu mija od tamtej pory, ty bardziej uważam ten krok za słuszny. Gdyby PZPR się utrzymała, to wszystkie siły by się przeciw niej sprzysięgły.

RATKOWSKI: W żadnym z krajów taka partia nie została zachowana.

CHUDZIŃSKI: Czy próbował pan dokonać bilansu swojej życia?

TEJCHMA: Nie uważam swojego czasu za stracony – w różnych zasadniczych elementach swojej biografii. Czas najlepiej wykorzystany to dla mnie okres tuż po wojnie, okres kształcenia się. To jest oczywiste, dlatego nowy system przyjąłem jako wyzwolenie, a nie – jak to chce wielu dzisiaj – jako „nowe zniewolenie”. A potem wszystkie elementy „moich korzyści biograficznych” oceniam pozytywnie i uważam swoje życie za spełnione, choć wiem, że istniała dla mnie

alternatywa w postaci drogi naukowej jako polonisty lub historyka. Po mnie, jak sędzę, pozostało coś dobrego i w ZMW, i w kulturze, co wielu ludzi potwierdza. Gdy miałem jubileusz, mój brat Antoni przysłał mi list gratulacyjny z aforyzmem – dwuwierszem mojej matki, która napisała: „nie naprawiaj świata, lepiej popatrz w niebo, jak skowronek lata”.

CHUDZIŃSKI: Gdy patrzy pan na swoją biografie, czy nie odnajduje w niej podobieństw do losów bohaterów opisanych przez pisarzy nurtu chłopskiego – Kawalca czy Myśliwskiego?

TEJCHMA: To rzeczywiście niekiedy smutne biografie ludzi wykorzenionych i tego losu dla mnie bała się moja matka. Mam jedno przeżycie, które we mnie tkwi jak cierni. Oto miałem we wczesnej młodości nauczyciela, wielbiela Sikorskiego, tego kt—ryprzyniósł mi encyklikę *Rerum Novarum* do przeczytania i który miał na mnie wielki wpływ. Kiedy znalazłem się w Warszawie, jeszcze jakiś czas wymienialiśmy listy, ale w jakimś momencie napisałem do niego, że zrywam kontakty, bo daleko rozeszły się nasze drogi, że nie warto utrzymywać tej korespondencji. Wolałbym, żeby ten list gdzieś zaginął. To jest wyrzut sumienia, który prześladowuje mnie do dziś. Zrobiłem to z głupoty i fanatyzmu, ale to mnie nie usprawiedliwia.

CHUDZIŃSKI: A jak pan patrzy na obecną scenę polityczną? Na to co, rozgrywa się przed pańskimi oczami?

TEJCHMA: To skandaliczna degeneracja idei „Solidarności”, którą głosili także artyści. Prądy, jakie dotarły do nas z zagranicy, w tym szczególnie skrajny liberalizm, powodują kompletne rozmycie odpowiedzialności. Politycy nie wiedzą, komu mają służyć, a ich działania obracają się w kręgu tak zwanych elit rozgrywających swoją walkę o władzę. Nie cieszy mnie to, bo należałem do osób, które nie płakały za PRL-em. Zaważyło się wraz z tym przełomem wiele rzeczy złych, pojawiło się wiele dobrych, ale sam czuję się zawiedziony. Spotykam wielu kolegów, którzy twierdzą, że skoro dziś jest tak źle, to w ich przekonaniu PRL nie był taki zły. Nie, to nie jest prawda. To, że teraz jest źle, nie może potwierdzać słuszności tamtego systemu. Dramat polityczny, jednostkowy i społeczny, który był udziałem tamtego okresu, wymaga naprawy. I to naprawianie życia ciągle trwa.

Także nie byłem zachwycony niektórymi wystąpieniami na ostatnim Kongresie Kultury, w tym szczególnie Balcerowicza czy Hausnera. U Balcerowicza amok liberalizmu trwa, a Hausner wiele sprostżeń miał słusznych, ale nie zauważa, że kultura poddana całkowicie wolnej grze rynkowej będzie się zachowywać jak pieniądź poddany prawu Kopernika-Greshama – gdy pojawia dobry, zaraz pojawi się zły, który ten dobry wypiera.

CHUDZIŃSKI: Dziękujemy panu za rozmowę.

**ROZMAWIALI:
EDWARD CHUDZIŃSKI
STEFAN CIEPŁY
FILIP RATKOWSKI**

Kraków, dnia 5 lutego 2010 roku

WALDEMAR CZAJKOWSKI

PROBLEM SOCJALIZMU XXI WIEKU

**Profesorowi Mariuszowi Gulczyńskiemu
- z szacunkiem, sympatią i nostalgią...**

1. Uwagi wstępne

1.1. W niniejszym esejie stawiam sobie kilka celów. Przede wszystkim, zamierzam uzasadnić tezę zasugerowaną w jego tytule: socjalizm XXI wieku **jest problemem**. Pokazać też pragnę, że jest on problemem **złożonym**, a więc – w istocie – całym **kompleksem problemów** wielorako ze sobą powiązanych. Jednym z celów tekstów jest więc analiza struktury tego kompleksu, a w pierwszym rzędzie – jego zawartości.

Nie zamierzam ograniczyć się do samych problemów. Będę próbował przedstawić także ich **rozwiązania** – choćby tylko szkicowe i hipotetyczne. Szkicowość i hipotetyczność jest tu nieuchronna. Przede wszystkim z uwagi naturę podejmowanych zagadnień: większość z nich (jeżeli nie wszystkie) wymaga głębokich i wszechstronnych badań zarówno teoretycznych, jak i empirycznych. Ramy artykułu nakładają tu dodatkowe ograniczenia. Mam wszakże nadzieję, że i w tej postaci – dyskusja tych ważnych (w moim, przynajmniej, przekonaniu) może być pożyteczna.

1.2. Socjalizm XXI wieku jest problemem. Jest problemem **teoretycznym** i jest – problemem **praktycznym**.

Zacznijmy od problemów teoretycznych. – Jak może jeszcze pamiętamy, przed dwudziestu laty,

w roku Okrągłego Stołu w Polsce i upadku muru berlińskiego, Francis Fukuyama obwieścił był koniec Historii. Teza ta była przedmiotem wielu krytyk, czy zgoda kpin. Często zresztą nierzetelnych, bo odnoszących się do owej słynnej frazy, ale rozumianej „po swojemu”, bez uwzględniania sensu, przypisanego jej przez amerykańskiego politologa. Na wszelki więc wypadek przytoczmy kluczową tezę Fukuyamy: „Jesteśmy, być może, świadkami... końca historii jako takiej, to jest – **końcowego punktu ideologicznej ewolucji ludzkości** [podkreślenie moje – W.Cz.] i uniwersalizacji zachodniej liberalnej demokracji jako ostatecznej formy rządu.” [Fukuyama, 8] Trzeźwo dodaje, iż „zwycięstwo liberalizmu nastąpiło głównie w sferze idei czy świadomości, a w realnym, materialnym świecie jest nadal niepełne”. [tamże] I dalej dopiero: „Istnieją jednak mocne podstawy, by wierzyć, że ideał ten z *biegiem czasu* zawładnie światem materialnym”. Z różnych (zasługujących chyba na analizę socjologii wiedzy) powodów Fukuyama stał się obiektem wielu krytyk. W istocie rzeczy wyraził (w nader co prawda dobitnej formie) stanowisko zasługujące raczej na miano obiegowego, niżli kontrowersyjnego. Dla przykładu zacytujmy opinię amerykańskiego ekonomisty (o raczej lewicowej orientacji): „Wszyscy dziewiętnastowieczni konkurenci ka-

pitalizmu – faszyzm, socjalizm i komunizm – zniknęli”. [Thurow, 9] Przymiemy też, że zaczął Fukuyama wyrazić pogląd ten w żargonie Hegla filozofii dziejów, w bardziej swobodnej (nieco frywolnej nawet) formie „był w obiegu” już wcześniej: „TINA [*there is no alternative*] ma jakieś 30 lat. Od złotych czasów Margaret Thatcher i Ronalda Reagana oferuje światu prostą receptę na dobrobyt i szczęście. Trzeba uwolnić ludzką inicjatywę, zlikwidować państwo opiekuńcze, otworzyć granice dla handlu, sprywatyzować gospodarkę, zde regulować rynki, obniżyć podatki, a w razie powstawania napięć – odwołać się do polityki siły. Dla większości czołowych polityków prawdy, które oferuje TINA, są dziś w zasadzie bezsporne. W Polsce są jednak dużo bardziej bezsporne i oczywiste niż w Ameryce, zachodniej Europie i większości rozwiniętych państw świata”. [Żakowski, 8]

Sytuacja przedstawia się dziś nieco odmiennie niż przed dwudziestu laty: Na przełomie stuleci narodził się ruch anty (alter) globalistyczny, w którego ideologiach wyraźnie obecne są wątki antykapitalistyczne; na światowy kryzys gospodarczy 2008/2009 niektórzy zareagowali diagnozą „końca systemu”. Za wcześniej jednak by wyrokować, czy mamy tu do czynienia ze względnie przynajmniej trwałym odwróceniem trendu (którego wyrazicielami byli m.in. Thatcher i Fukuyama), czy też pewną jedynie jego fluktuacją.

Załóżmy (roboczo, hipotetycznie), że rację miał Fukuyama. Wtedy i tak będziemy mieli tylko do czynienia z konstatacją pewnego empirycznego faktu. Wtedy i tak pozostaje jeszcze – niezwykłe moim zdaniem istotny problem – zagadnienie teoretycznej interpretacji tego faktu. Oczywiście, istotność tego problemu zależy od przyjętej perspektywy filozoficznej (epistemologicznej, metodologicznej). Jeżeli przyjąć pozytywistyczne rozumienie nauki – problem po prostu znika. Jeżeli jednak epistemologię tę odrzucić, uznać, że celem nauki jest (także) wyjaśnianie i rozumienie świata, to problem pozostaje i domaga się jakiegoś rozwiązania. Pozostaje nawet wtedy, gdy przyjmiemy ontologiczną perspektywę mocnego determinizmu. A jeśli (w zgodzie i z dość powszechnymi intuicjami dotyczącymi ontologicznej natury rzeczywistości społecznej, i z ontologicznymi założeniami współczesnej fizyki) uznamy, że bardziej wiarygodna jest jakaś słabsza wersja determinizmu, to problem okaże się jeszcze bardziej intrygujący.

Czy alternatywy dla kapitalizmu są (założmy...) martwe, bo „ze swej istoty” nie były zdolne do przetrwania, a tym bardziej – rozwoju? A może są martwe, gdyż „zbyt wcześnie” podjęto próby ich urzeczywistnienia (idea rozwijana swego czasu przez A. Schaffa)? A jeśli „zbyt wcześnie”, to w jakim sensie? Czy głównie ze względu na istniejący poziom technologii (przedmiotowych sił wytwórczych); a może ze względu na zbyt niski poziom wiedzy, kompetencji (podmiotowych sił wytwórczych)? A może rzecz jest w metodach? Może przeobrażenia społeczno-ekonomiczne (kulturowe, itd.) przebiegały „zbyt szybko”? A może główną przyczyną jest ich „lokalność”? Czy dokładniej – jedna z konsekwencji „lokalności”: splecenie się (w praktyce podporządkowanie) przeobrażeń społecznych z geopolityką (ZSRP; w tym kierunku zmierzają niektóre analizy I. Wallersteina i jego szkoły)? A może trzymano się (z jakich powodów?) jednej czy dwóch

alternatyw? Jeśli nawet jest prawdą, że **znane** alternatywy dla kapitalizmu są martwe, to czy wynika stąd, iż inne nie istnieją, nie są możliwe?

A może rację ma Z. Bauman? Może faktycznie jest tak, że „dzisiejszy kryzys socjalizmu jest równie wtórny, jak jego byłe triumfy. Nie ponosi też socjalizm za ów kryzys wyłącznej winy. Jest to kryzys socjalizmu jako zniekształconej i – jak się okazało – wadliwej formy nowoczesności. Ale jest to kryzys nowoczesności jako takiej. Socjalistyczna kontrkultura przeżyła niejako formację, w opozycji do której się zrodziła. Ironia historii sprawiła, że socjalizm tkwił przez czas jakiś na szanach opuszczonych już przez pierwotną założę”. [Bauman, 306] – Mnogość pytań, różnorodność hipotez dowodzi, iż socjalizm (zarówno „realny” jak i „idealny”) stanowi wielkie wyzwanie dla teorii społecznej. Mimo pewnych (skądinąd ważnych i ciekawych) częściowych prób jego podjęcia, w swej złożoności i historycznym zróżnicowaniu, wyzwanie jest ciągle aktualne.

1.3. Przejdźmy teraz do problemów praktycznych związanych z socjalizmem XXI wieku. Dwa z nich (bliższe ze sobą związane) są w moim przekonaniu kluczowe.

Pierwszy z nich to problem demokracji. Przyjmuję tu (pomijając – z konieczności – i bardziej systematyczną analizę treści samego pojęcia, i uzasadnienie decyzji o posługiwaniu się nim właśnie), coś, co można byłoby nazwać „mocnym rozumieniem” pojęcia „demokracja” (demokracją-w-mocnym-sensie). Jak łatwo się domyśleć, tak interpretowaną demokrację odróżniam od demokracji w „słabym rozumieniu”. „Słabe” pojęcie demokracji dotyczy, mówiąc skrótowo, jej podstawowej instytucjonalnej infrastruktury (wolne wybory, system wielopartyjny, itd.). Tym (lub jakimś zbliżonym) pojęciem posługujemy się na ogół oceniając, które państwa zasługują, które zaś nie na miano demokratycznych.

W tym miejscu niezbędny jest, dla uniknięcia ewentualnych nieporozumień, pewien komentarz. Po pierwsze, zwroty: „słabe” (*resp.* „mocne”) rozumienie pojęcia demokracji używam tu w sposób, w jaki posługują się nim nauki ścisłe (przykładowo: pojęcie kwadratu jest „mocniejsze” od pojęcia prostokąta, gdyż po prostu figura geometryczna spełniać musi więcej warunków, by być kwadratem, niż by być prostokątem; inaczej rzecz ujmując: z „bycia kwadratem” wynika „bycie prostokątem”, ale nie – na odwrót). A mówiąc swobodniej demokracja-w-słabym-sensie jest bez wątpienia niezbywalnym fundamentem demokracji-w-mocnym-sensie. Ktokolwiek zatem pragnie tej drugiej, nie może w najmniejszym nawet stopniu lekceważyć tej drugiej. Ponadto (to druga część komentarza), wartość „słabo” rozumianej demokracji jest nie tylko instrumentalna względem jej „mocnego” wariantu. Posiada ona także wartości samoistne, jako np. instytucjonalna forma wolności politycznej jednostek.

Pojęcie demokracji „w mocnym sensie” wiąże się z takimi pojęciami jak uczestnictwo, dialog/debata, dobro wspólne, wspólnota. Można by było powiedzieć (nie siląc się bynajmniej na definicję, pragnąc jedynie scharakteryzować pokrótce intuicje, którym pojęcie to ma dać zwięzły wyraz), iż w „mocno rozumianej” demokracji chodzi o świadome – w toku otwartej, nieskrę-

powanej debaty – tworzenie (ram prawnych/instytucjonalnych) ładu społecznego przez jego uczestników, przez członków obywatelskiej wspólnoty. Istotnym fragmentem tej debaty jest (re)definiowanie pojęcia „dobra wspólnego” – nadawanie mu określonego „tu-i-teraz” kształtu.

Twierdzę, że istotnym (by nie rzec – fundamentalnym) warunkiem tak rozumianej demokracji jest istnienie (w powszechnej społecznej świadomości, nie tylko „na papierze”, w książkach czy w innych, bardziej nowoczesnych nośnikach informacji) – **utopii**. Dodajmy i podkreślmy mocno: nie jednej („jedynie słusznej”) utopii, ale całej ich puli (aluzja do „puli genowej” jest tu nieprzypadkowa). Dodajmy też, że używając słowa „utopia” mam na myśli jego możliwie szerokie rozumienie jako obrazu (opisu, wizji, projektu) pewnego **możliwego świata społecznego**. Nieco inaczej ujmując tę tezę: warunkiem demokracji jest istnienie alternatywnych projektów ładu społecznego. Teza ta wymagałaby licznych uzupełnień i konkretyzacji. Trzeba byłoby np. rozważyć kwestię pożądanego (optymalnego?) stopnia różnicowania puli utopii, jej liczebności, a także (być może) „warunków brzegowych”, których alternatywne projekty ładu społecznego przekraczać nie powinny (np. zgodność z prawami człowieka – co najmniej „pierwszej generacji”). To rzecz jasna zagadnienia do podjęcia w innym miejscu i czasie; tu mogły zostać jeno zasygnalizowane.

Można byłoby powiedzieć, że z punktu widzenia demokracji szczególnie istotne jest rozwijanie utopii prezentujących wizje świata społecznego istotnie odmiennego od aktualnego. W dzisiejszych warunkach istotne jest więc rozwijanie **utopii socjalistycznych**. Podkreślmy jednak, że gdyby (na co się na razie nie zanoszą, ale kto wie?) „wiatr Historii” począł wiać w inną stronę i pojawiła się TINA w „socjalistycznym wydaniu”, to istotnym stałoby się rozwijanie utopii, powiedzmy, liberalnych czy kapitalistycznych. (Myślę, że nie od rzeczy będzie tu przytoczenie komentarza do jednej z bardziej znanych utopii kapitalistycznych, autorstwa Ayn Rand. Zdaniem R. Legutki, jej „utopia... staje się obroną indywidualności przed kolektywizmem. Jakkolwiek jest to idea... godna obrony, pamiętać wypada, że słowa »kolektywizm« i »indywidualność« mają u Ayn Rand szczególne znaczenie. Kolektywizmem nazywa ona wszystko, co nie jest randyzmem, np. chrześcijaństwo, pragmatyzm, socjalizm, *etc.* a indywidualność określa w kategoriach rygorystycznej rozumności. Jej dramatyczne ostrzeżenie moralne staje się... obroną własnej teorii, co powoduje, że teoria traci wymiar moralistyczny. Jest już tylko tym czym była na początku: ideałem doskonałego systemu, wyrażającym gniew i nienawiść wobec niedoskonałych ludzi”. [Legutko, 154]

Przejdźmy do drugiego z praktycznych aspektów problemu socjalizmu XXI wieku. Także i tu będzie chodziło o znaczenie i potrzebę socjalistycznych utopii. O ile poprzednio argumentacja na ich rzecz wychodziła od pewnej (normatywnej) wizji demokracji, o tyle teraz będzie miała charakter istotnie odmienny.

Za punkt wyjścia posłuży mi pewna teza sformułowana przez S. Lema w jego klasycznym dziele *Summa technologiae*. Uzasadniając potrzebę istnienia „rezerwowego nadmiaru wiedzy teoretycznej” Lem po-

wiada tak: „Dla cywilizacji rosnącej w przyspieszeniu zachodzi... taka oto komplementarność: im pewniejsze są prognozy przyszłości, tym mniejsza może być rezerwa wiedzy nie użytkowanej doraźnie. I na odwrót: im trudniej rozpoznawalna przyszłość, tym staranniej należy dbać o maksymalizowanie wiedzy nadmiarowej”. [Lem, 21]

Teza Lema dotyczy bezpośrednio wiedzy teoretycznej, opisującej i wyjaśniającej świat (zarówno przyrodniczy, jak i społeczny; jego budowę, mechanizmy funkcjonowania itp.). Uważam jednak, że tezę tę można uogólnić tak, aby dotyczyła nie tylko wiedzy o tym co (faktycznie) jest, ale także o tym, co jest możliwe. W szczególności by dotyczyła wiedzy o możliwych typach ładu społecznego (a więc – wg przyjętej tu konwencji językowej – utopii).

Przyjmijmy pewną (nawiązującą zresztą do niektórych idei S. Lema) interpretację współczesnych procesów (cywilizacyjnych, politycznych itd.), które łącznie (w ich całokształcie i interakcjach) można byłoby nazwać globalizacją. Wg tej interpretacji **globalizacja** to dokonujący się na naszych oczach proces powstawania jednolitej **eko-techno-socjosfery** (jednolitego ekotechno-socjosystemu). System ten, o bardzo dużym stopniu złożoności, charakteryzuje się – jak wszystkie systemy złożone – skomplikowaną i trudno przewidywalną dynamiką. Jest także podatny na „katastrofy” (w teoretycznym sensie tego słowa: na głębokie i rozległe zmiany swej dynamiki będące skutkiem stosunkowo niewielkich lokalnych zaburzeń). „Katastrof” nie sposób uniknąć; można jednak łagodzić ich skutki; wymaga to jednak reorganizacji systemu. Dysponowanie zasobem (pulą) alternatywnych projektów reorganizacji systemu światowego może/powinno być uznane za jeden z warunków bezpieczeństwa społeczeństwa światowego.

2. Doświadczenia wieku XX

2.1. Socjalizm jako składnik doświadczeń XX (i XIX) wieku jest niezwykle obszernym i dalekim od wyczerpania tematem. Tym niemniej kilka tez można, moim zdaniem sformułować. Tworzą one, jak mi się zdaje, pewną całość. I najpierw o tej całości słów kilka.

Najwyrazistszym, a więc – w pewnym przynajmniej sensie – najlepiej nadającym się do analizy jest socjalizm marksistowski (wyrazistość tego określenia jest względna, bynajmniej nieabsolutna).

Analizując go jako ideologię (teorię, filozofię...) można byłoby, moim zdaniem, powiedzieć, że był on przede wszystkim produktem (rzecz jasna: nie bezpośrednio, ale jednak) rewolucji francuskiej 1789 roku. Był však osobistym dziełem autorów *Manifestu komunistycznego*, którzy byli nią zafascynowani. Rola, którą wizja rewolucji (tej przeszłej – francuskiej i tej przyszłej – proletariackiej) odgrywa w ich koncepcjach jest dobrze znana, a mimo to nie w pełni doceniana. Uważam bowiem, że idea rewolucji odgrywa istotną rolę nie tylko w – nazwijmy to tak – doktrynie politycznej twórców marksizmu, ale także w ich szeroko rozumianej teorii społecznej (materializmie historycznym): w koncepcji struktury społecznej (eksponowaniu roli klas antagonistycznej i marginalizowaniu innych źródeł społecznych różnicowań, np. narodowych), w koncepcji „skokowego” przechodzenia od jednej formacji społecznej

do drugiej, w koncepcji państwa jako składnika nadbudowy, w pomijaniu roli „czynników niesterowalnych” (takich jak środowisko naturalne, biologia, emocje itp. itd.). I nie tylko w niej. Myślę, że idea rewolucji odegrała pewną rolę w dokonanym głównie przez Engelsa swoistym „poszerzeniu” marksizmu, polegającym na „zanurzeniu” materializmu historycznego (a więc pewnej historiozofii) w czymś, co nazwano później materializmem dialektycznym (a więc w pewnej kosmogonii).

Jedną z konsekwencji owej fascynacji rewolucją jest skłonność/tendencja do **dychotomizowania** obrazów i rzeczywistości (współczesnego i minionego), i możliwego świata społecznego. (Skądinąd niechęć do „dzielenia włosa na czworo” ma głębokie antropologiczne źródła oraz długą tradycję; przypomnijmy choćby słowa Ewangelisty: „Niech wasza mowa będzie: Tak, tak; nie, nie. A co nadto jest, od Złego pochodzi.” [Mt:5,37] Dlatego też dla niektórych ludzi swoisty – jak to nazwać?, powiedzmy – „urok” posiadają okresy wojny czy choćby wielkiego konfliktu społecznego, w których dobrze wiadomo, kto „swój” a kto – „wróg”.) Dla pełniejszego uchwycenia złożoności zasygnalizowanego tu problemu zauważmy, iż myślenie rewolucyjne nie jest jedyną drogą do dychotomii. Zdaniem zmarłego niedawno liberalnego myśliciela, konserwatysta „Hayek, jak Marks, zna wszystkie odpowiedzi. (...) Hayek jest zwolennikiem zasady »wszystko albo nic«” [Dahrendorf, 31].

Istnieje też drugi analitycznie odróżnialny, choć z poprzednim w pewien sposób sprzężony aspekt problemu: **niechęć do „wielowymiarowości”** (wieloparametryczności) obrazów społecznej rzeczywistości. – W tym miejscu chciałbym nawiązać m.in. do analiz L. Althussera, do jego przeciwstawienia dwóch modeli „całości” (społecznej): „heglowskiego” i „marksowskiego” (dają tu cudzysłów, gdyż nie chcę wchodzić tu w egzegetyczne dyskusje). [Althusser, Balibar, 270]. Według pierwszego z tych modeli, który można bytoby, idąc tropem Althussera, nazwać także modelem „ekspresyjnym”, całość społeczna posiada „wewnętrzna istotę” wspólną dla wszystkich swoich składników, która się jeno rozmaicie „przejawia” na płaszczyźnie gospodarczej, politycznej, religijnej itp. Przyjmując tę perspektywę trzeba byłoby np. uznać, że istnieje „istota kapitalizmu” (feudalizmu, socjalizmu itd.), która „przejawia się” w postaci kapitalistycznych stosunków ekonomicznych, kapitalistycznego państwa, kapitalistycznej moralności itd. Nietrudno dostrzec, że taki model całości społecznej bardzo dobrze nadaje się do **teoretycznej racjonalizacji** (aluzja do psychoanalizy jest zamierzona) rewolucyjnego projektu.

Model „marksowski” (jak widać cudzysłów jest tu nader istotny) znacznie gorzej nadaje się do tego celu; całość społeczna „składa się” tu z wielu różnych struktur posiadających swą własną „logikę”, temporalność itd. Ewentualny projekt (radykałnej) transformacji tak rozumianej całości musiałby być znacznie bardziej skomplikowany niż projekt biorący za punkt wyjścia model „heglowski” (skądinąd on właśnie, a nie model „marksowski” dominował w historii marksizmu, czy w historii myśli politycznej ruchów, które do marksizmu nawiązywały). Pewnym argumentem na rzecz wagi rozważanych tu zagadnień może być następująca wypowiedź Dahrendorfa: „Jeśli kapitalizm jest syste-

mem, to należy z nim walczyć tak samo zdecydowanie jak z komunizmem. **Wszystkie systemy** oznaczają **zniewolenie** [podkr. –W.Cz.], łącznie z »naturalnym« systemem całkowitego »porządku rynkowego«, w którym nikt nic innego nie robi, tylko pilnuje reguł gry, odkrytych przez tajemniczą sektę doradców ekonomicznych”. [Dahrendorf, 37].

2.2. W ciągu ostatnich dwóch dekad wielu polityków, liczne środki masowego przekazu (i uczeni) upowszechniali taki mniej więcej schemat interpretacyjny: lewica = socjalizm, socjalizm = komunizm, komunizm = totalitaryzm, totalitaryzm = terror (ludobójstwo itd.). Oczywiście, poszczególne wersje (zarazem konkretyzacje) tego schematu różnią się od siebie stopniem schematyzmu: niektóre z nich są mniej, inne bardziej „z gruba ciosane”. Jasną jest rzeczą, że dla ludzi lewicy (podpisany do nich się zalicza) schemat ten budzić musi głęboki sprzeciw; na „wrzucanie do jednego worka” powiedzmy Waryńskiego i Radkiewicza nie sposób chyba zareagować inaczej jak oburzeniem. Pojawia się tu jednak intelektualne i moralne niebezpieczeństwo „przesunięcia linii obrony zbyt daleko”, podejmowania prób obrony tego, co ani może, ani powinno być bronione. Uważam, że nie można dziś, po blisko stu latach od rewolucji październikowej, po trzydziestu od obalenia Czerwonych Khmerów nie dostrzegać ogromu (czy choćby pomniejszać go) tragedii, cierpień, zbrodni, które spłotyły się z historią socjalizmu. Nie można mówić o socjalizmie XXI wieku bez przemyślenia tego o czym pisał w *Archipelagu Gulag* Solżenicyn, bez analizy faktów zgromadzonych w *Czarnej księdze komunizmu*. Interpretacja tych faktów może być przedmiotem dyskusji czy polemik; można się spierać o ich wymowę (stopień podobieństwa do innych historycznych tragedii, wyjątkowość na takim czy innym tle), genezę itp., ale samych faktów kwestionować nie sposób. (Podobnie, zauważmy, rzecz ma się z Holocaustem.)

Jak wiadomo, pojęcie rewolucji stało się (skądinąd ciekawy fakt socjolingwistyczny) w naszych czasach niezwykle rozpowszechnione. Oprócz rewolucji społecznych czy narodowo-wyzwoleńczych mamy też rewolucje naukowe i artystyczne, przemysłowe i agrarne, rewolucję seksualną i co tam jeszcze. Kiedy jednak mówimy o fascynacji twórców marksizmu rewolucją (francuską), to musimy pamiętać, że przemoc (dodajmy, by odciąć się tu od skądinąd interesujących gier intelektualnych, w ramach których można mówić/pisać a to o „przemocy strukturalnej”, a to „symbolicznej”..., że chodzi tu o przemoc fizyczną: zabijanie, ranienie, więzienie ludzi) jest owej rewolucji składnikiem fundamentalnym.

Warto (a chyba nawet trzeba) odnotować, że fascynacja przemocą charakterystyczna była nie tylko dla ruchów społeczno-rewolucyjnych. Wszak to A. Mickiewicz wypowiada (*Reduta Ordoña*) owe znamienne słowa: „**Bo dzieło zniszczenia w dobrej sprawie jest święte** [podr. moje – W. Cz.] jak dzieło tworzenia; Bóg wyrzekł słowo s t a ñ s i ę, Bóg i z g i ñ wyrzecz”. A Kordian Słowackiego? No cóż, mówiąc współczesnym językiem – jest... terrorystą.

Problem fascynacji przemocą zastępowałby na odrębną dyskusję. Niezależnie od tego, jakie byłyby jej efekty, nie mogą one – moim zdaniem – zmienić generalnej (zarazem, w tym wypadku, prostej i zdecy-

dowanej) oceny: spośród bodaj wszystkich idei, wizji i emocji, które pojawiły się w historii fascynacja ta była najbardziej fatalna w swych skutkach. (Ze fascynacja przemocą nie była jej źródłem jedynym, ani nawet najpewniej głównym, tego uzasadniać, wg mnie, nie trzeba. Nie ulega – dla mnie – wątpliwości, że doświadczenia I wojny światowej odegrały w kształtowaniu się sposobu myślenia mas bolszewickich rolę znacznie istotniejszą niż wcześniejsza, sprzed wojny, „kultura rewolucjonistów”.) Wniosek jest prosty. Gdybym miał go ująć zwięźle i obrazowo zarazem, powiedziałbym, iż nie Lenin, lecz jego (niemal) rówieśnik Mahatma **Gandhi** powinien być dla lewicy głównym nauczycielem strategii politycznego działania.

2.3. Fascynacja rewolucją (więc i przemocą) spletała się z (być może mniej wyraźną, bardziej ambiwalentną, ale jednak dostrzegalną) fascynacją państwem. Zbieżność ta nie jest bynajmniej przypadkowa. Przypomnijmy, że nie tylko Engels, ale także uznawany powszechnie za klasyka socjologii Max Weber wiązał ściśle kategorie przemocy i państwa; zdaniem tego ostatniego, istotę państwa stanowi „stosunek panowania ludzi nad ludźmi oparty na legalnej... przemocy”.

Pojawiały się niekiedy głosy wskazujące na nie-tożsamość kategorii upaństwowienia i uspołecznienia. „Ograniczanie procesów **uspołeczniania** naszej ekonomiki do **formalnego upaństwowienia** własności środków produkcji było bezspornie podstawą wypaczeń istoty socjalistycznych przeobrażeń w naszym kraju, zaś fakt połowicznego przewyżczania tej dewiacji po latach 1956 i 1970 źródłem powtarzalności kryzysów społecznych i konfliktów politycznych”. [Gulczyński, 87]

Głosy tego rodzaju były jednak stosunkowo rzadkie nawet w Polsce, a przede wszystkim w nader znikomym stopniu oddziaływały na społeczną rzeczywistość. (Jako charakterystyczną ciekawostkę niech mi będzie wolno wspomnieć wypowiedź jednego z polskich marksistów, w której głosił wyższość sowchozów jako własności państwowej, nad kolchozami, a więc własnością „tylko” spółdzielczą.)

Fascynacja państwem była ściśle spleciona z pewną właściwością gospodarki socjalistycznej, właściwością, której poświęcony będzie podrozdział następny.

2.4. Jak wiemy, gospodarkę socjalistyczną charakteryzowano często jako „planową”. Czy taką była w rzeczywistości, czy tylko w „teorii”, to osobne pytanie; moim zdaniem, takie (powszechne w realsocjalistycznej gospodarce) zjawiska jak „przekraczanie planów” czy „przetarg planistyczny” dowodzą, że jej „planowość” była i to nie okazjonalnie, lecz strukturalnie raczej ograniczona. Ale to, że – założmy – gospodarki krajów RWPG były (może na szczęście?) w niezbyt wielkim stopniu planowe nie oznacza, iż ta głoszona publicznie, a także, co ważniejsze, zinstytucjonalizowana „planowość” była jakimś nic nie znaczącym pozorem. Bez istnienia planu nie byłoby możliwe istnienie tak istotnego (ekonomicznie, politycznie, a i w pewnym przynajmniej okresie kulturowo – przodownicy pracy) fenomenu jak ruch „przekraczania planów”.

Idea planu (rozwoju gospodarki narodowej) ma poza swym aspektem ekonomicznym również i takie aspekty, które skłaniają do podjęcia zagadnień, które

z pozoru mało mają wspólnego z mechanizmami regulacji gospodarki (rynek jest oczywiście jednym z nich).

Te parę słów zmniejszy, mam nadzieję, zaskoczenie czytelnika, który napotka teraz cytaty z... Hobbesa. Ów siedemnastowieczny filozof we wprowadzeniu do *Lewiatana* powiada tak: „Sztuka ludzka naśladowa naturę... i w tym, że może skonstruować sztuczne zwierzę. Widząc bowiem, że życie nie jest niczym innym niż ruchem członków..., czyż nie możemy powiedzieć, że wszelkie automaty (maszyny, poruszają się z pomocą sprężyn i kół, jak zegar) mają sztuczne życie? (...) Sztuka jednak idzie jeszcze dalej... tworzy tego wielkiego Lewiatana, zwanego państwem..., który nie jest niczym innym niż sztucznym człowiekiem, choć większych wymiarów i większej siły niż człowiek naturalny, którego obronie i opiece ma służyć”. [Hobbes, 5] *Lewiatan* ukazał się trzydzieści kilka lat przed publikacją *Principiów* Newtona, które dostarczyły fundamentu ważnemu prądowi filozoficznemu, jakim był mechanicyzm. Występował on w wielu formach, także quasi-religijnej, w postaci deizmu: koncepcji Boga jako Wielkiego Zegarmistrza, stwórcy świata działającego regularnie, jak dobrze skonstruowany i nakręcony zegar.

Koncepcje intelektualne zaczęły znajdować swoje uzupełnienie, a i zastosowanie, w maszynach, których coraz więcej i coraz sprawniejszych zaczęło się być konstruowanych i produkowanych od drugiej połowy XVIII wieku. Szczególne jednak znaczenie miał wynalazek, nazwijmy to tak, megamaszyny (maszyny „drugiego rzędu”) czyli po prostu fabryki.

Mechanicyzm wykraczał daleko poza fizykę i technologię. Jego skutki można dostrzec i w przemianach światopoglądowych (deizm, metafora świata jako zegara i Boga jako zegarmistrza), i w reformach wojskowych Fryderyka II, i w koncepcji biurokracji Webera, a nawet w wizjach społeczno-urbanistycznych Le Corbusiera.

To tylko wybrane przykłady procesów i zjawisk charakterystycznych dla nowożytności. Myślę, że choć warto byłoby obraz ten uczynić znacznie bardziej kompletnym i systematycznym, to i w tej nader szkieletowej postaci potwierdza następującą opinię Zygmunta Bauma: „Młodszy a w gorącej wodzie kąpany brat socjalizmu, **komunizm** (...) był... na wskroś nowoczesny w swym... przekonaniu, że dobre może być tylko **społeczeństwo troskliwie przemyślane** i zaplanowane, **racjonalnie kierowane** [podkr. – W.Cz.] i uprzemysłowane” [Bauman, 307]. Nader znamienne (i chyba zaskakująco) kończy się broszura *O podstawach leninizmu* (1924): istotą „leninizmu w pracy partyjnej i państwowej” jest wg. J. Stalina „połączenie rosyjskiego rozmachu rewolucyjnego z amerykańskim zmysłem praktycznym”. (Warto, jak sądzę, odnotować, iż w niedawno wydanej książce [Hughes] znanej mi, niestety, tylko z internetowego omówienia amerykański historyk wskazuje na znaczenie, jakie miał fordyzm/taylorizm w rozwoju radzieckich pięcioletnich planów gospodarczych.)

3. Wyzwania wieku XXI

3.1. W kolejnym punkcie chciałbym zarysować próbę odpowiedzi na pytanie: jakie jest (może być) **znaczenie** (gruntownie, wszechstronnie, krytycznie prze-

myślanej) **tradycji socjalistycznej** dla tych spośród nas, którzy chcieliby świadomie i odpowiedzialnie podjąć wyzwania, które niesie ze sobą obecne stulecie.

Nie jest, jak sądzę, przypadkiem, że wśród ruchów uznawanych/uznających się za lewicowe, a zwłaszcza wśród tych, które przyjmując perspektywę światową określane są/określają się mianem anty(alter)globalistycznych znajdują swoje miejsce liczne, choć nie wszystkie odłamy wielkiej i nader zróżnicowanej rodziny ruchów „zielonych” (ekologicznych). Dwa są, jak myślę, główne po temu powody, a bardziej jeszcze racje merytoryczne.

Po pierwsze: Jakkolwiek byśmy definiowali kapitalizm, jedna rzecz zdaje się nie ulegać wątpliwości: kapitalizm jest ładem społecznym, którego kluczowym (konstytutywnym) elementem jest własność prywatna. Przyjmuje ona najróżnorodniejsze formy, w szczególności, co skądinąd nader istotne, indywidualno-prywatne i kolektywno-prywatne. Jedną jej cechą ma charakter fundamentalny. Bez niej mówienie o własności prywatnej nie ma sensu. Chodzi mi tu o jej, by tak rzec, „ekskluzywność” – ktoś musi być z własności (czy choćby współwłasności) czegoś wyłączony, by ktoś mógł być tego czegoś prywatnym współwłaścicielem. (Nawiasem mówiąc, w fakcie tym kryje się może dodatkowe w stosunku do sformułowanego przez autor—*wdeologii niemieckiej* uzasadnienie przekonania, iż własność społeczna musi mieć charakter światowy; własność społeczna, ale ograniczona do jednego narodu, okazuje się być z perspektywy społeczeństwa światowego formą własności kolektywno-prywatnej.)

Jeśli ograniczymy się do własności obiektów materialnych: ziemi, lasów, fabryk, środków transportu, dróg, domów itd., itp. (mimo rozwoju gospodarki opartej o wiedzę i niewątpliwie rosnące znaczenie zasobów niematerialnych: informacji, umiejętności itp., obiekty tego rodzaju odgrywają i odgrywać będą istotną rolę w całym procesie reprodukcji społecznej; odpowiednio własność tych obiektów zachowa istotne znaczenie w całokształcie stosunków społecznych), to będziemy mieli prawo powiedzieć, że własność prywatna niejako „kawałkuje”, czy też „fragmentaryzuje” świat materialny, w którym żyjemy i którego część stanowimy.

Z uwagi na obie wskazane tu cechy, własność prywatna (a tym samym kapitalizm) nie wydaje się być formą własności adekwatną dla społeczeństwa dysponującego już dziś tak wielkimi możliwościami oddziaływania na środowisko (jedną rzecz wymaga tu podkreślenia – zdolność powodowania głębokich zmian w otoczeniu nie łączy się w żaden bezpośredni sposób ze zdolnością do adekwatnego przewidywania konsekwencji tych zmian; można byłoby rzec, że dramat na tym właśnie polega, iż bardzo dużo możemy, ale znacznie mniej wiemy, co właściwie możemy). Dlaczego? – odpowiedź zależy od tego, jak interpretujemy to, czym jest środowisko. Jeśli widzimy środowisko po prostu jako zbiór różnych obiektów, to nie mamy w tym miejscu powodu, by kwestionować własność prywatną. Jeśli jednak będziemy postrzegać środowisko w perspektywie koncepcji rozwijanej np. przez Jamesa Lovelocka czy Lynn Margulis (koncepcja Gaii, Ziemi jako organizmu), to odpowiedź nasunie się, jak przypuszczam, sama: jeden obiekt – jeden właściciel. Pomijając pewne (nie tyle utopijne w potocznym sensie co

dystopijne) wizje, tym jednym właścicielem może być jedynie cała ludzkość rozumiana nie tylko jako ogół żyjących w pewnym momencie (odcinku) czasu ludzi, ale jako obejmująca także pewną (bliżej nieokreśloną – tu oczywiście pojawiają się poważne problemy teoretyczne i praktyczne) liczbę przyszłych pokoleń. – Tyle, nader skrótowo, o kapitalizmie jako szczególnej formie własności prywatnej.

3.2. Zmieńmy tylko częściowo perspektywę – od społeczeństwa globalnego przejdźmy do sfery codziennych kontaktów międzyludzkich, „twarzą-w-twarz”; od postaw wobec Natury do postaw wobec Drugiego Człowieka. Mimo niewątpliwie ich odmienności istnieje element wspólny. Jest nim – jak nietrudno się domyśleć – globalizacja. Tu co prawda rozumiana inaczej niż w punkcie 3.1., ale niesprzecznie z interpretacją poprzednią, raczej już komplementarnie do niej.

Globalizację w przyjętym tu sensie można by scharakteryzować jako proces „zmniejszania się” świata (planety), polegającego rzecz jasna nie na zmianie czysto fizycznych parametrów globu, lecz na zmianie parametrów społeczno-fizycznych. A ta jest możliwa, jeśli przyjąć (co w moim przekonaniu jest mało kontrowersyjne), iż tym, co decyduje o społecznie znaczącej odległości przestrzennej miejsc i terytoriów nie są (bezpośrednio) kilometry, lecz czas i pieniądze; mówiąc w skrócie – czy z miasta A do miasta B możemy przemieścić się szybko i tanio, czy też podróż zajmie nam dużo czasu i będzie dużo kosztować. (Problem „odległości społeczno-przestrzennej” jest dużo bardziej skomplikowany, ale tu wystarczy musi/powinna charakterystyka podstawowych intuicji teoretycznych.) „Zmniejszanie się” planety jest jednym z najistotniejszych czynników wpływających na dynamikę ruchu (rzeczywistego, fizycznego ruchu – przemieszczania się z miejsca na miejsce) ludzi i rzeczy: coraz więcej ich się przemieszcza coraz częściej, coraz szybciej. Ta zwiększona mobilność ma rozmaite konsekwencje. Tu skupić się pragnę tylko na jednej, ale z pewnego punktu widzenia nader istotnej.

Chodzi mi o to, że wraz ze zwiększającą się mobilnością ludzi wzrasta częstotliwość, z jaką spotykamy się z obcymi. I to „bardziej obcymi” niż mający ten sam kolor skóry, mówiący tym samym językiem, mniej więcej podobnie ubrani „nieznajomi” we własnym wielkim mieście. Doświadczenie historyczne uczy, że „obcość” jest glebą, na której dobrze się rozwija wrogość. Sama w sobie będąca, z przyjętego tu (chyba dość powszechnego) punktu widzenia, wartością negatywną (antywartością). Ale wrogość jest z kolei istotnym czynnikiem sprzyjającym przemocy. Przemoc zaś podważa wartości najbardziej elementarne i powszechne zarazem: brak zagrożenia życia i zdrowia, brak cierpienia.

Świat bez przemocy to wyzwanie XXI wieku. Alternatywą jest „świat orwellowski”, wszechogarniającej kontroli i segregacji (przypomnijmy reakcję rządów i społeczeństw na zamachy 11 września 2001). A świat bez przemocy, to świat, w którym drugi człowiek jest dla każdego prawdziwym bliźnim.

Świat współczesny, w którym hasłem naczelnym jest konkurencja (rywalizacja, współzawodnictwo), wartością zadowolenie (raczej „płytkie” niż „głębokie”, raczej „natychmiastowe” niż osiągnięte stopniowo)

jednostki, a dominującym typem stosunków między-ludzkich stosunki przelotne i powierzchowne – świat taki nie jest światem, w którym jeśli nawet nie „miłość bliźniego” (to może nazbyt ambitne oczekiwanie), to, powiedzmy, „szacunek dla bliźniego” mógłby być społeczną normą.

4. Możliwości XXI wieku

4.1. W historii marksizmu dadzą się wyróżnić dwie główne linie interpretacji materializmu historycznego (Marksowskiej teorii Historii). Jedną z nich (nazwijmy ją „klasową”) nawiązuje do *Manifestu* i eksponuje rolę walki klasowej, a w konsekwencji stosunków między klasami i szerzej – stosunków produkcji, własności itp.). Druga (nazwijmy ją „technologiczną”) przyjmuje za punkt wyjścia koncepcję przedstawioną w *Przyczynku do krytyki ekonomii politycznej*. Tu podstawową rolę odgrywają siły wytwórcze, a więc technika, ale także warunki geograficzne, wiedza przyrodnicza itp.

To druga interpretacja, której przejrzyści wykład dał O. Lange w I tomie swej *Ekonomii politycznej* stała się „ortodoksyjną” (w ZSRR, krajach „realnego socjalizmu” itd.) Drugą była rozwijana raczej w kręgu tzw. zachodniego marksizmu („młody” Lukacs, Althusser...). Tak rzecz się przedstawia w dość powierzchownym (co nie znaczy pozbawionym podstaw) oglądzie. Przy dokładniejszej analizie obraz ulega, moim przynajmniej zdaniem, komplikacji. Otóż nawet tam i wtedy, gdy druga („technologiczna”) interpretacja dominowała w podręcznikach (encyklopediach itd.), to w dyskursach politycznych (socjologicznych, historycznych) mniej lub bardziej żywiołowo wysuwała się na plan pierwszy interpretacja „klasowa”.

I nie było to przypadkowe. Wspominałem już, iż „rdzeniem” marksizmu jest, moim zdaniem, koncepcja rewolucji. Ideologia tego typu w naturalny całkiem sposób będzie preferować historiozofie/teorie społeczne, które za fundamentalne dla przebiegu procesów społecznych/historycznych uznają czynniki społeczne, a nie przyrodnicze. Jest i okoliczność bardziej specjalna, która powodowała faktyczne „usuwanie w cień” problemu rozwoju sił wytwórczych. W interpretacji „technologicznej” materializmu historycznego uzasadnionym czy zgoła narzucającym się pytaniem jest pytanie o materialne (technologiczne przede wszystkim) przesłanki **umożliwiające** (niekoniecznie: „wytwarzające”, „określające”) określonego typu stosunki społeczne. Pewnym (zaakcentujmy: tylko pewnym, jednym z wielu, choć, z drugiej strony, historycznie najbardziej istotnym) wariantem tego pytania było (jest – w pewnym bowiem sensie pozostaje z nami do dziś) pytanie o możliwość „budowy socjalizmu” w kraju słabo uprzemysłowionym, z dominacją rolnictwa i klasy chłopskiej. Powody, dla których unikano tego typu pytań są aż nazbyt oczywiste i nie wymagają przypomnienia.

Kwestii tych nie podnoszę tu wyłącznie z powodów ogólnoteoretycznych, choć i one są ważne. Są one nade wszystko istotne w kontekście pytania o perspektywę socjalizmu w XXI wieku. Kwestie te są też niezwykle złożone; nie sposób przeprowadzić tu choćby pobieżnej dyskusji o nich. Ograniczyć się przeto będę musiał do deklaracji teoretycznych, pozostawiając uzasadnienie na inną okazję.

Pragnę, po pierwsze, zadeklarować swą sympatię dla „technologicznej” interpretacji materializmu historycznego. Uważam za słuszne (z filozoficznego punktu widzenia) traktowanie historii ludzkości jako swego rodzaju „dalszego ciągu” ewolucji biologicznej (rację miał więc raczej Kautsky, a nie jego skądinąd często wybitni „humanistyczni” krytycy). Będąc kontynuacją ewolucji biologicznej, historia ludzkości jest grą o (biologiczne) przetrwanie gatunku. (Wyniki tej gry zależą w znacznym stopniu od narzędzi, za których pomocą grę tę toczymy.) Dopiero w tych ramach ludzie mogą toczyć ze sobą najrozmaitsze gry.

Po drugie, podkreślić pragnę, że z powyższych uwag nie wynika ścisły, jednoznaczny determinizm technologiczny. Nie jest tak, by rozwój sił wytwórczych „pociągał” za sobą w nieuchronny i jednoznaczny sposób przemiany stosunków społecznych, kultury itd. Nie jest tym bardziej tak, by siły wytwórcze określały „odpowiadający” im typ własności, etyki itd.

Po trzecie, sam rozwój sił wytwórczych jest wielorako, zarówno co do tempa jak i kierunków, uwarunkowany przez stosunki społeczne, kulturę itd.

Po czwarte (i w tym kontekście najważniejsze), siły wytwórcze determinują swego rodzaju „warunki brzegowe” dla rozwoju społecznego; inaczej mówiąc wyznaczają swego rodzaju „granice” dla puli możliwych stosunków społecznych, możliwych ideologii itd. Pewnego rodzaju stosunki społeczne są przy danym „poziomie” sił wytwórczych niemożliwe, przy innym zaś możliwe. Jeśli są niemożliwe, to jak z Napoleonem i armatami nie ma dalszych pytań. Jeśli zaś są możliwe, to pojawiają się pytania o warunki, a także o celowość, konsekwencje itd. ewentualnego przekształcenia owej możliwości w rzeczywistość.

Powyższe uwagi miały dostarczyć „teoretycznego tła” dla pewnych (hipo)tez dotyczących współczesności. Hipotezy te można ująć w dwa punkty:

1. Na bazie istniejących w XX wieku sił wytwórczych nie mogły rozwinąć się socjalistyczne stosunki społeczne,

2. aktualne trendy rozwojowe pozwalają przypuszczać, że w najbliższych dziesięcioleciach (powiedzmy umownie: w XXI wieku) siły wytwórcze osiągną poziom, który uczyni możliwym upowszechnienie się socjalistycznych stosunków społecznych.

Dyskusję pierwszej z tych hipotez pozostawić muszę na inną okazję. Druga będzie przedmiotem rozważań w następnym podrozdziale.

4.2. Twierdzę, że dwa powiązane zresztą ze sobą ściśle „narzędzia”: komputer i internet to najważniejsze składniki sił wytwórczych, na których podstawie rozwijają się będą mogły socjalistyczne stosunki społeczne. Najważniejsze nie znaczy: jedyne ważne. Wiele innych zasługiwałoby także na dyskusję w tym miejscu. O niektórych z nich wspomnę, inne będą musiały pominąć.

Wiele jest powodów, dla których komputer i internet uznałem za najistotniejsze. Jednym z nich jest rola komputerów w rozwoju nauki i techniki. Zastosowania komputerów obejmują w różnym stopniu wszystkie dziedziny nauki – od fizyki i chemii po socjologię i historię. Zastosowanie komputerów dynamicznie rozwija nauki niekoniecznie na poziomie teorii podstawowych, ale z całą pewnością na poziomie ich bardziej szczegółowych konkretyzacji, a więc na tym poziomie, na

którym nie wystarcza – mówiąc językiem matematyki – znajomość równań, lecz potrzebna jest umiejętność ich dokładnego rozwiązywania nawet przy dużej ilości zmiennych. Jeżeli więc trudno przewidzieć, czy XXI wiek przyniesie ze sobą rewolucje naukowe o tej skali i znaczeniu co rewolucje XX wieku (w szczególności kwantowa i relatywistyczna), to możemy być praktycznie pewni, że korzystając z już posiadanych teorii podstawowych otrzymamy znacznie precyzyjniejsze i kompletne modele różnych obszarów rzeczywistości. A właśnie modele tego rodzaju mają bezpośrednie zastosowania w technice.

Komputery odgrywają już dziś dużą rolę w projektowaniu obiektów technicznych. Można się spodziewać, że w nieodległej przyszłości będą całkowicie niezbędnym i podstawowym narzędziem projektowania. Projektowanie będzie prawdopodobnie w coraz większym stopniu polegało na systematycznym (za pomocą komputera) przeszukiwaniu „przestrzeni rozwiązań” zadanego problemu technicznego. Mimo zastosowania komputerów, ludzie będą najprawdopodobniej w dalszym ciągu odgrywać istotną rolę w projektowaniu (w szczególności w fazach definiowania problemów i ustalania kryteriów oceny rozwiązań). Ale i tu komputery – tym razem jako narzędzia międzyludzkiej komunikacji – będą odgrywać coraz większą rolę. Na bazie internetu już dziś powstają zespoły sieciowe składające się z osób zainteresowanych rozwiązaniem pewnego problemu. (Jak twierdzi amerykański badacz tej problematyki „Rzesze ludzi poświęcają miliony godzin **zbiorowej pracy** na wspólne opracowywanie tysięcy różnych kreacji – **bez żadnej wymiany pieniędzy** [podkr. – W.Cz.]” [Kelly, 49]. Przy okazji pojawia się tu inny ciekawy wątek – pracy bez wynagrodzenia.)

Sumując: w dużej mierze dzięki komputerom wiek XXI będzie kolejnym wiekiem szybkiego rozwoju techniki; prawdopodobnie znacznie szybszego niż ten oszałamiający przecież, który dokonał się w wieku minionym.

Komputery i internet odegrają więc pośrednio rewolucjonizującą rolę w zakresie tego, co jest produkowane, z czego i jak. Możliwych zmian nie sposób tu choćby wyliczyć. Jedną z nich, znajdującą się już w fazie realizowanych projektów jest nanotechnologia. Mówiąc najogólniej – technologia operowania pojedynczymi atomami i budowania z nich złożonych struktur. Konsekwencje rozwoju nanotechnologii wykraczają daleko poza obszar samej techniki.

Sieci komputerowe odegrają prawdopodobnie decydującą rolę w zarysowującym się już dziś, ale znacznie bardziej w przyszłości radykalnym odejściu, przynajmniej w dziedzinie produktów dla konsumpcji indywidualnej (odzież, sprzęt gospodarstwa domowego, sprzęt sportowo-turystyczny, może i samochody osobowe) od produkcji masowej do już nawet nie – krótkoseryjnej, lecz „na zamówienie”.

Komputery, a także roboty, które bez komputerów nie są możliwe, odegrają fundamentalną rolę w automatyzacji/robotyzacji produkcji materialnej. Dziś jest ona możliwa w znacznie większym stopniu niż kilka dekad temu, kiedy o automatyzacji było głośno. (Dziś jest jakby ciszej. Dlaczego – to odrębne pytanie, które można tu jedynie zasygnalizować.) Jestem przekonany, że jeszcze w naszym stuleciu osiągniemy

praktycznie pełną automatyzację/robotyzację produkcji materialnej. (Prognozę tę uzupełnimy opinią następującą: „Tam, gdzie istnieje potrzeba podniesienia wydajności pracowników, należy zastanowić się nad tym, czy danej pracy nie mogłaby wykonać maszyna. Jeśli bowiem ma ona charakter na tyle rutynowy, by można było mierzyć jej wydajność, być może podoba jej robot. Moim zdaniem **wiele prac**, o których ochronę walczą dziś związki zawodowe, w przyszłości zostanie uznane za **nieludzkie** i w związku z tym za **nielegalne**”. [Kelly, 147-148]) Wygląda na to, że pojawia się na nowo (choć w innym, mniej „filozoficznym” języku) stara idea przewyciężenia „alienacji pracy”. A że pojawia się (najprawdopodobniej) bez wpływu czy to bezpośredniego, czy choćby pośredniego *Rękopisów filozoficzno-ekonomicznych* – tym lepiej, tym wiarygodniej. (Wskazmy jeszcze na nowe i ciekawe zjawisko, które może mieć istotny wpływ na procesy dezalienacyjne: „W gospodarce sieciowej produkowanie i konsumowanie zlewają się w jedno: posumowanie”. [Kelly, 112])

Przejdźmy do komputerów. Przyjmijmy (w zgodzie z wnioskami, które – jak się wydaje – wynikają z oczywistego skądinąd faktu skończonej wielkości naszego globu, zawartej w nim materii i energii; abstrahując przy tym od nader na razie hipotetycznych, choć też i niewykluczonych możliwości eksploatacji Księżyca czy planet Układu Słonecznego), że przynajmniej w dającej się przewidzieć przyszłości ludzkość nie będzie dysponowała „praktycznie nieograniczonymi” zasobami materialnymi niezbędnymi do zaspokajania indywidualnych i zbiorowych potrzeb. Czy zakładana tu ograniczoność zasobów nie wyklucza „powszechnego dobrobytu” dla (powiedzmy) 10 miliardów ludzi? Nie można (prawdopodobnie w ogóle, tym bardziej w tym miejscu) odpowiedzieć w zadowalający sposób na to pytanie, jednak wskazać można wiele argumentów uprawniających do pozytywnej odpowiedzi i tym samym zachęcających do poszukiwań dalszych.

Zacznijmy od sygnalizowanej już idei gospodarki, w której każde dobro materialne przeznaczone do indywidualnej konsumpcji wytwarzane jest „na zamówienie”. Gospodarka tego rodzaju czyni zbytecznym cały tak dziś rozbudowany i kosztowny przemysł reklamowy, bowiem reklama związana jest z produkcją masową; nie ma sensu reklamować produktów jednostkowych.

Z kolei sama eliminacja reklamy może mieć skutek „oszczędnościowy” polegający na ograniczeniu tej części popytu na dobra materialne, która wynika nie z bezpośrednich potrzeb (żywnościowych, odzieżowych, transportowych itd.), lecz jest efektem celowo wytwarzanych pragnień, by być *trendy*, by posiadać „lepsze” (modniejsze, „bardziej markowe”) dobra niż inni. (Skądinąd ten istotny mógłby być współkształtowany przez inne procesy, np. upowszechnianie się kultury egalitaryzmu i kultury ekologicznej.)

Innym ważnym efektem powszechności systemu produkcji „na zamówienie” byłoby istotne obniżenie kosztów logistycznych: kosztów magazynowania i transportu produktów. Jeśli mówimy tu o magazynowaniu produktów, to chodzi nie tylko o handel hurtowy, ale także detaliczny. Jeśli natomiast weźmiemy pod uwagę transport produktów, to jego ograniczenie może być też skutkiem innych zmian technologicznych. Mam

tu na uwadze przede wszystkim konsekwencje rozwoju nanotechnologii. Jeżeli faktycznie (jak twierdzą niektórzy eksperci) nauczymy się budować przedmioty wprost z atom—włóco najmniej istotnemu ograniczeniu ulegnie specjalizacja zakładów wytwórczych. Jeżeli zaś w danym zakładzie będzie można (rozważmy hipotetycznie przykład najbardziej krańcowy) wytwarzać dowolne przedmioty, to odpowiednio zaprojektowana sieć tego typu zakładów będzie gwarantować, iż produkt nie będzie musiał być przewożony na odległość większą niż, powiedzmy, 50 kilometrów. Dobra konsumpcyjnie przestaną być przewożone z jednego krańca na drugi.

Podkreśliśmy też, że rozważany tu system produkcji w naturalny sposób eliminuje zjawisko, które było zmorą gospodarki realsocjalistycznej i które, może w mniejsze skali znane jest też gospodarkom kapitalistycznym: zjawisko „produkcji nietrafionej” – likwidacja tego źródła marnotrawstwa byłaby istotnym źródłem poszukiwanych przez nas oszczędności w procesie globalnej reprodukcji społecznej. W gospodarce tego typu, dodajmy, strukturalnie wykluczone jest też (przy dopuszczalnym – jak sądzę, założeniu ciągłości zaopatrzenia w materię i energię) zjawisko niedoborów.

5. Uwagi końcowe

Problem socjalizmu jest problemem trudnym, a można byłoby powiedzieć, że w pewnym (głównie moralnym) sensie – ryzykownym. I właśnie tej kwestii chciałbym poświęcić te uwagi końcowe.

Trudno, uważam, nie zgodzić się z ostrzeżeniem, którym swą *Historię kapitalizmu zamykają* jej autorzy: „Istnieje niebezpieczeństwo, że próbując **udoskonalić** własne społeczeństwo, możemy prowadzić politykę, kt—ra **ograniczy** zdolność **przyszłych pokoleń** do osiągnięcia jeszcze wyższych standardów dobrobytu materialnego, w społecznych i politycznych ramach **bardziej ludzkich** [wszystkie podkr. – W.Cz.] i miłsiernych niż nasze własne”. [Rosenberg, Birdzell; 478] Ale ma też, jak sądzę, rację Z. Bauman, gdy stwierdza: „Inżynieria społeczna okazała się kosztowną ambicją, i to tym bardziej kosztowną, im bardziej ambitną. **Nie znaczy to** jednak, by za **wyrzeczenie się inżynierii społecznej nie trzeba było płacić** [podkr. – W.Cz.]. Pozór zysku z wyrzeczenia wynika z redystrybucji kosztów. A i z tego, że kalkulują koszty nie ci, co je ponoszą”. [Bauman, 312-313] Zwróćmy uwagę na ciąg dalszy powyższego wywodu: „**zakaz inżynierii społecznej jest** już sam przez się **rodzajem inżynierii społecznej** [podkr. – WCz.], z chwilą gdy wie się, jak wiemy dziś, do jakich następstw doprowadzi żywiołowe działanie mechanizmów rynkowych”. [tamże, 313]

Pewną drogę wyjścia z zarysowującego się tu dylematu oferuje Popper przeciwstawiając sobie dwa typy inżynierii społecznej: „The Platonic approach... can be described as that of *Utopian engineering*, as opposed to another kind of social engineering which I consider as the only rational one, and which may be described by the name of *piecemeal engineering*”. [Popper, 157] Jedną z kluczowych różnic polega na tym, iż “blueprints for piecemeal engineering are comparatively simple.” [tamże, 159] Kłopot w tym, że nie wiadomo, jak bardzo „prosta” miałyby być inżynieria społeczna, by zasługiwać na miano „cząstkowej”. Jeśli

bowiem abstrahować od krytyczno-perswazyjnych celów, dla których Popper konstruował tę dychotomię, to trzeba będzie stwierdzić, że wyznacza ona raczej pewną skalę („kontinuum”) niż rzeczywistą dwudzielną klasyfikację. Ale jeśli rzeczywiście mamy do czynienia ze skalą, to nie unikniemy kłopotów, które niemal wszystkie skale pociągają za sobą. Ryzyko (intelektualne, moralne, polityczne) może być zmniejszane, ale nie zredukowane do zera. (Przy okazji tej krótkiej dyskusji, odnotujmy przynajmniej, że prekursorską w stosunku do Popperowskiej była koncepcja E. Bernsteina. Nie wchodząc w szczegóły i niuanse, nie ulega wątpliwości, że z dzisiejszej perspektywy raczej miał Bernstein, a nie Lenin.)

Inaczej mówiąc, jest ryzyko związane z zaniechaniem (nadmierną ostrożnością, a może po prostu oportunizmem?) i jest ryzyko związane z działaniem (nadmierną wiarą w możliwości, a może po prostu głupotą?). Ale ryzyko to można, a więc trzeba ograniczać zwiększając stopień, w jakim rozumiemy to, co sami – indywidualnie i zbiorowo – robimy. Także tworząc (globalną) Historię.

Jeśli zgodzić się, że przynajmniej część przedstawionych tym eseju rozważań może być zaakceptowana, to uznać można poważne **podjęcie problemu socjalizmu za moralny obowiązek uczonych**. Tą deklaracją niech mi wolno będzie zakończyć **tekst dedykowany Uczonemu, który przez dziesięciolecia swej badawczej aktywności podejmował problem ten wszechstronnie, oryginalnie i z (nie tylko intelektualną) pasją**.

WALDEMAR CZAJKOWSKI

LITERATURA:

1. Louis Althusser, Etienne Balibar, *Czytanie „Kapitału”*, PIW, Warszawa 1975.
2. Zygmunt Bauman, *Wieloznaczność nowoczesna. Nowoczesna wieloznaczność*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1995.
3. Ralf Dahrendorf, *Rozważania nad rewolucją w Europie*, Niezależna Oficyna Wydawnicza, Warszawa 1991.
4. Francis Fukuyama, *Koniec historii?*, w: *Czy koniec historii?*, Konfrontacje 13, Wyd. Pomost, Warszawa 1991.
5. Mariusz Gulczyński, *Siedem głównych kwestii spornych*, KiW, Warszawa 1982.
6. Tomasz Hobbes, *Lewiatan, czyli materia, forma i władza państwa kościelnego i świeckiego*, PWN, Warszawa 1954.
7. Thomas P. Hughes, *American Genesis: A Century of Invention and Technological Enthusiasm 1870-1970*. 2nd ed., The University of Chicago Press, Chicago 2004.
8. Kevin Kelly, *Nowe reguły dla nowej gospodarki. Dziesięć przełomowych strategii dla świata połączonego siecią*, WIG-Press, Warszawa 2001.
9. Ryszard Legutko, *Spory o kapitalizm*, Wydawnictwo Znak, Kraków 1992.
10. Stanisław Lem, *Summa technologiae*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1974.
11. K.R. Popper, *The Open Society and Its Enemies*, vol. I *The Spell of Plato*, Routledge & Kegan Paul, London 1984.
12. Nathan Rosenberg, L.E. Birdzell, Jr., *Historia kapitalizmu*, Wydawnictwo Znak, Kraków 1994.
13. Lester C. Thurow, *Przyszłość kapitalizmu. Jak dzisiejsze siły ekonomiczne kształtują świat jutra*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1999.
14. Jacek Zakowski, *anty.TINA. Rozmowy o lepszym świecie, myśleniu i życiu*, Wydawnictwo Sic!, Warszawa 2005.

ANDRZEJ KARPIŃSKI

LEWICOWA KONCEPCJA MODERNIZACJI POLSKI

Szanse i możliwości

Celem niniejszego opracowania jest próba odpowiedzi na pytanie, jakie wymogi powinna spełniać koncepcja modernizacji Polski, aby mogła być uznana za lewicową. Wymaga to zidentyfikowania różnic pomiędzy lewicową a prawicową opcją tego procesu. To bowiem pozwala określić docelową wizję społeczeństwa i kraju, jaka byłaby następstwem tej lewicowej opcji.

Opracowanie ogranicza się głównie do problemów ekonomicznych oraz niektórych tylko społecznych, które mają istotne konsekwencje ekonomiczne.

I. Drogi i manowce myśli lewicowej w Polsce w okresie transformacji

Po 1989 r. lewica w Polsce dała sobie narzucić wrogą jej ideologię w gospodarce – neoliberalizm ekonomiczny. Był on podstawą polityki gospodarczej wszystkich rządów od 1989 r., nawet tych, które deklarowały

się jako lewicowe. Lewica płaci dziś za to wysoką cenę. Jest nią utrata znacznej części poparcia politycznego, które jeszcze u progu minionego 20-lecia deklarowało 20-25 procent wyborców.

Dlatego warunkiem, aby lewica stała się rzeczywiście lewicą, a nie tylko parawanem skrywającym obce dla niej idee, jest uwolnienie się od spowodowanych tym obciążeń lewicowego myślenia. Sprzyja temu obecny moment – kryzys w gospodarce światowej i wyczerpywanie się efektów przedstawienia gospodarki na tory neoliberalne także w naszym kraju oraz wzrost świadomości społecznej ujemnych skutków neoliberalizmu w Polsce wciąż opóźnionej w rozwoju ekonomicznym i cywilizacyjnym.

Kierunek współczesnej ekonomii, dominujący od 1980 r. w głównym nurcie współczesnej ekonomii na świecie (*mainstream economics*), zakłada, że jeżeli ry-

nek nie jest odgórnie ograniczany, najlepiej rozwiązuje wszystkie podstawowe problemy gospodarcze. Stąd:

- niepotrzebna jest jakkolwiek interwencja państwa w gospodarce, co oznacza preferencje dla procesów spontanicznych, a sprzeciw wobec wszelkich pr—bsterowania rozwojem,
- za celowe uważa się rozszerzenie komercjalizacji, czyli dążenie do zysku jako celu i motywacji wszelkiego działania nie tylko na cały obszar gospodarki, ale również na życie społeczne,
- uznaje się własność prywatną za jej najwyższą formę i dąży do pełnej prywatyzacji gospodarki.

Realizacja zasad neoliberalizmu po 1980 r. w wielu krajach nie przyniosła jednoznacznie pozytywnych wyników. Obok korzystnych zmian wywołała także zjawiska i procesy niepokojące, a nawet grożące kryzysem. Dalsza kontynuacja tej polityki stwarza konkretne zagrożenia dla świata. Owe zagrożenia pogłębiają się. Postępuje:

- zakłócenie równowagi ekologicznej świata, nasilają się ekstremalne zjawiska pogodowe, które mogą doprowadzić do zahamowania rozwoju gospodarczego w og—le,
- załamanie międzynarodowych rynków finansowych i kryzys sektora finansowego, który już doprowadził do kryzysu gospodarczego i może stwarzać zagrożenie dla przetrwania systemu rynkowego,
- narastanie kryzysu społecznego pod wpływem zrywania i osłabiania więzi społecznych, co stwarza realną groźbę dla społeczeństwa i rodzi masowe zjawiska patologii (przestępczość zorganizowana, terroryzm, narkomania, przestępczość nieletnich itp.). Może to podważyć szanse stworzenia społeczeństwa obywatelskiego, a od tego uzależniony jest dalszy rozwój systemu demokratycznego.

Doktrynę neoliberalną przyjęto za podstawę przeobrażeń w Polsce na przełomie lat 80. i 90. Wzorowano się przy tym na skrajnym amerykańskim modelu neoliberalizmu, zalecanym przez doradców zagranicznych. Za podstawę przyjęto tzw. „consensus waszyngtoński” z 1987 r., oparty na skrajnej ortodoksji. Nie podjęto nawet elementarnych prób dostosowania jej do specyfiki i polskich warunków, a zwłaszcza uwzględnienia faktu, że rozwiązania dostosowane do potrzeb krajów rozwiniętych nie zawsze pasują do kraju opóźnionego w rozwoju. Doktrynę realizowano u nas w najbardziej radykalnej postaci, tzw. terapii szokowej niestosowanej w żadnym z krajów Europy Zachodniej. W rezultacie w naszym kraju podjęto realizację eksperymentu na nienotowaną dotąd skalę.

Realizacja tej doktryny nie dała jednoznacznie pozytywnych wyników i dotychczas nie spełniła oczekiwań, mimo dokonanego przełomu cywilizacyjnego. W szczególności:

- minione 20-lecie nie przyniosło bardziej odczuwalnej zmiany niekorzystnych cech naszych powiązań z rynkiem światowym, które ciągle jeszcze mają częściowo półkolonialny charakter,
- nie osiągnięto zmniejszenia skali bezrobocia, które się nawet utrzymało mimo masowej emigracji zarobkowej,
- udział ludności żyjącej w ubóstwie wzrósł w stosunku do poprzedniego systemu, pauperyzacji uległo wiele grup ludności.

Odsetek ludzi żyjących na poziomie niższym od minimum socjalnego jest dziś niemal 4-krotnie wyższy niż przed 1989 r. (59% wobec 14,8% w 1989 r.). Cena za osiągnięty postęp cywilizacyjny okazała się więc wyjątkowo wysoka. Powstały nowe problemy i wystąpiły niepokojące procesy z punktu widzenia potrzeb przyszłości. Kontynuacja dotychczasowej linii mogłaby więc pogłębić dotychczasowe zagrożenia. Dlatego modyfikacja tej drogi jest konieczna i nieuchronna, i leży w najgłębszym interesie całego społeczeństwa, a odkładanie tego mogłoby doprowadzić do kolejnego kryzysu. Nie jest prawdą, że nie ma dziś alternatywy. Zupełnie anachroniczne stało się więc sławne hasło pani M. Thatcher: *There is no alternative*, czyli słynna TINA. Kraje skandynawskie, Chiny i wiele innych krajów weszło na inną drogę.

Podstawą naszej gospodarki pozostanie system rynkowy. Z bardzo różnych modeli tego systemu najbardziej do potrzeb Polski dostosowana jest społeczna gospodarka rynkowa, a nie model coraz bardziej anachroniczny model wczesnokapitalistyczny.

Istotą społecznej gospodarki rynkowej obiecanej w naszej Konstytucji, ale nie realizowanej w praktyce jest połączenie dynamicznego rozwoju gospodarczego ze stałą poprawą kondycji społecznej całego narodu. Temu lepiej odpowiadają idee ordoliberalizmu, z których narodziła się nowoczesna społeczna gospodarka rynkowa oraz myśl neokeynesowska w ekonomii (niesłusznie zwana czasem postkeynesowską). Realizowana powinna być więc nowoczesna społeczna gospodarka rynkowa w połączeniu ze wspomaganiami państwa w tych dziedzinach, gdzie rynek zawodzi. Najbliższy temu modelowi jest system dominujący w krajach skandynawskich, najbliższy naszym ideałom lewicowym i optymalnie łączący efektywność gospodarki z potrzebami społecznymi. Ten wzorzec lepiej odpowiada też potrzebom budowy cywilizacji informacyjnej, niż technokratyczny model zastosowany w USA i w Polsce. Ta wielka przemiana obejmuje bowiem całe społeczeństwa i wszystkie przejawy życia.

Istotą i głównym kierunkiem działania lewicy musi być głęboka modernizacja kraju. Spontaniczne procesy zmian w tej dziedzinie zawiodły bowiem i nie spełniły oczekiwań związanych z naszą transformacją, a w niektórych dziedzinach przyniosły regres, nazwany w naszej literaturze „uwstecznieniem struktury”. Sformułowanie nowoczesnej lewicowej modernizacji Polski i wynikających z niej kierunków zmian ustrojowych i gospodarczych wymaga krytycznej, ale obiektywnej, analizy i oceny minionego 20-lecia.

II. Pozytywne i negatywne dziedzictwo okresu transformacji 1989-2009

Okres po zakończeniu II wojny światowej przyniósł w Polsce jak dotychczas dwie wielkie przemiany cywilizacyjne. Pierwszą było uprzemysłowienie Polski w latach 1960-1980. Stanowiło ono i stanowi historyczne osiągnięcie tego okresu. Drugą było przystąpienie Polski do Unii Europejskiej. Jest to historyczne osiągnięcie 20-lecia 1989-2009. W obu przełomach cywilizacyjnych istotną rolę odegrała polska lewica. Dzięki uprzemysłowieniu Polski powstało nowoczesne społeczeństwo przemysłowe. Lewica rozwiązała więc problem, którego nie zdołała zrealizować żadna poprzednia

formacja ustrojowa ani rządy różnych orientacji. Nie mogą tego przestąpić nawet popełnione błędy¹. Tej oceny nie są w stanie podważyć nieudolne próby pomniejszenia znaczenia tego faktu twierdzeniami o rzekomym „miecie uprzemysłowienia”, który miał prowadzić do reżimów totalitarnych. Poglądy te są niepoważne, wręcz śmieszne, dopóki ich autorzy² nie udowodnią, że „cywilizacja przemysłowa” była mitem i nie odpowiada na pytanie, dlaczego w krajach najwyżej rozwiniętych sektor przemysłowy wciąż odgrywa decydującą rolę w światowej konfrontacji ekonomicznej.

Przystąpienie do Unii Europejskiej wymagało wprowadzenia Polski z wielkiego deficytu budżetowego pozostawionego przez rządy prawicowe. W tej sytuacji lewica podjęła dramatyczne przedsięwzięcia. Program naprawczy objął również redukcję wydatków społecznych. Musiała za to zapłacić wysoką cenę polityczną – utraciła znaczną część poparcia społecznego.

Niewątpliwym sukcesem minionego 20-lecia jest przemiana ustrojowa i powrót Polski do zasad cywilizacji zachodnioeuropejskiej. Największy postęp z tego punktu widzenia osiągnięto zwłaszcza w tych dziedzinach, które przynosiły maksymalne zyski dla sektora prywatnego, zwłaszcza koncernów zagranicznych, w tym motoryzacyjnych, farmaceutycznych i wielkim korporacjom handlowym oraz zagranicznym agencjom turystycznym. Charakter przełomu cywilizacyjnego miały zmiany w dostępie do internetu, rozwój telekomunikacji i teleinformatyki, motoryzacji indywidualnej, turystyka zagraniczna oraz handel wielkoobszarowy.

Jednak te zmiany nie przyniosły kompleksowej modernizacji całej struktury gospodarczej kraju. Dziedzictwo 20-lecia to nie tylko sukcesy, ale także niepowodzenia w rozwiązywaniu wielu problemów o podstawowym znaczeniu dla przyszłości naszego kraju³:

1. nie udało się zdynamizować rozwoju gospodarki na miarę naszych potrzeb i aspiracji, a tempo rozwoju w 20-leciu (średniorocznie 3-4%) nie może nas zadowalać,

2. nie osiągnięto bardziej odczuwalnego postępu w zwiększeniu roli nowoczesnych ogniw struktury przemysłowej, nastąpił wręcz regres przemysłów wysokiej techniki i ich wyraźny niedorozwój,

3. nie udało się przezwyciężyć, a nawet złagodzić wspomnianych wyżej niekorzystnych cech powiązań naszej gospodarki z rynkiem światowym i unijnym,

4. nie osiągnięto europejskich standardów edukacyjnych,

5. zjawisko „wykluczenia społecznego” (*social exclusion*) przybrało wyjątkowo dużą skalę,

6. nie zdołano radykalnie zmniejszyć skali bezrobocia, a gospodarka utraciła ponad 4 mln miejsc pracy,

7. nie osiągnięto dostatecznego postępu w budowie gospodarki opartej na wiedzy, pod tym względem nie nadążamy za krajami Unii,

8. dramatyczna jest sytuacja mieszkaniowa, zwłaszcza ludzi młodych,

9. nadmiernemu osłabieniu uległy funkcje prorozwajowe i strategiczne współczesnego państwa polskiego.

Narosły więc nowe już opóźnienia. Na świecie ostatnie 20 lat przyniosło ogromny rozwój przemysłów wysokiej techniki, co oznaczało zasadnicze rozszerzenie sektora nowoczesności. Polska pozostała poza tym procesem lub za nim nie nadążała. Odpowiedzialnością za te opóźnienia nie można już obciążać PRL-u. Największy niepokój musi budzić zwłaszcza fakt, że Polska w tym 20-leciu stała się areną najgłębszej deindustrializacji w powojennej Europie (z wyjątkiem byłej NRD). Rezultatem tego była utrata 2,4 mln miejsc pracy w przemyśle, co pod względem skali nie miało precedensu w innych krajach UE. Dopiero po wejściu Polski do UE w roku 2004 osiągnięto wyraźnie lepsze wyniki niż w poprzednim 15-leciu (1990-2003). Jednak całe 20-lecie nie przyniosło bardziej odczuwalnego zmniejszenia różnic w poziomie PKB na jednego mieszkańca wobec średniej w Unii.

Na stan gospodarki w końcu 20-lecia istotny wpływ wywierał również kryzys światowy. Jego objawy wystąpiły na przełomie 2008 r. i 2009 r. na skalę nienotowaną od 1929 r. Przyczyną tego kryzysu była nadmierna liberalizacja rynków finansowych i systemu bankowego oraz stworzenie niekontrolowanych tzw. nowych „instrumentów finansowych pochodnych”. Doprowadziło to do ogromnej skali „pustego” pieniądza oraz zobowiązań finansowych bez pokrycia w realnych zasobach. Mimo pewnej poprawy koniunktury na przełomie 2009 i 2010 nadal daleka jest jeszcze szansa na wyeliminowanie możliwości nawrotu kryzysu. Ujemne skutki obecnej fazy kryzysu mogą być jeszcze odczuwane co najmniej przez 3 do 5 lat.

Kryzys w gospodarce światowej stwarza pewne szanse dla Polski. Korzysta ona bowiem z pewnych czynników napędzających rozwój, niedostępnych w tej skali innym krajom Unii, jak przekazy środków zarobianych przez emigrację zarobkową czy też istotne zasilenie finansowe z funduszy pomocowych Unii. Zwolnienie tempa rozwoju wyżej od nas rozwiniętych krajów Unii powoduje, że proces zmniejszania dystansu dzielącego nas od tych krajów może ulec przyspieszeniu, jeżeli zdołamy wykorzystać to należyście.

Lewica może i powinna wnieść do tego swój wkład. Wymaga to jednak świadomego i aktywnego wykorzystania wszystkich zalet lewicowej koncepcji rozwoju kraju. W tym celu musi mieć świadomość różnic dzielących ją od prawicowego podejścia do gospodarki i stosunku do przyszłości.

III. Na co lewica zgodzić się nie może?

Dokonanie takiego przełomu wymaga zwłaszcza odrzucenia przez lewicę tych poglądów, które w 20-leciu wyrządziły największą nieobliczalną często szkód społecznych. Z czym więc lewica zgodzić się nie może?

Lewica powinna przyjąć najważniejsze zasady, które powinny być przestrzegane przy wszelkich wyborach strategicznych:

1) Uznając istotną rolę wyborów indywidualnych jako następstwo przyjęcia modelu gospodarki rynkowej trzeba określić obszar, gdzie interes ogólnospołeczny i dobro wspólne muszą mieć nadrzędne znaczenie. Dlatego lewica musi aktywnie przeciwstawić się poglą-

¹ Próbę obiektywnej oceny systemu gospodarczego PRL przedstawiłem w odrębnym opracowaniu na łamach kwartalnika „OLYMPUS” nr 2 z 2009 r., s. 116.

² Patrz np. J. Jankowiak, „Gazeta Wyborcza”, Magazyn Gazety z 26-27 czerwca 1998 r., s. 16.

³ Poglębioną i udokumentowaną analizę tych niepowodzeń przedstawia moja praca przygotowana do druku pod tytułem *Gospodarka w 20-leciu 1989-2009 – sukces czy porażka?*, maszynopis 2010.

dowi, że gospodarka jest tylko sumą wyborów indywidualnych, a nie zbiorowych. Uzależnienie bowiem realizacji celów narodowych od indywidualnego wyboru konsumenta na rynku przekreśliłoby w ogóle szansę na jakąkolwiek skuteczność każdej polityki gospodarczej. Minimum uzgodnienia celów nadrzędnych jest więc tu absolutnie niezbędne.

2) Uznając dominację sektora prywatnego, konieczne jest równocześnie przyjęcie zasady równości wszystkich form własności. Dlatego lewica musi aktywnie przeciwstawić się wszelkim formom dyskryminacji własności państwowej i spółdzielczej, jeżeli spełniają one wymogi efektywności ekonomicznej. Nie odbiega to od praktyki krajów wysokorozwiniętych, gdzie egzystują i prosperują również firmy państwowe.

3) Uznając dominującą rolę gospodarki rynkowej oraz wyborów indywidualnych konsumentów na rynku jako wyraz wolności gospodarczej, konieczne jest równocześnie odbudowanie funkcji strategicznych państwa, czyli długookresowych, w których rynek zawodzi lub jest wręcz bezradny, więc nie może on zastąpić państwa. Kieruje się bowiem głównie zyskiem, czyli kryteriami krótkookresowymi. Oznaczać to musi odrzucenie przez lewicę poglądu, że najlepszą polityką jest brak polityki, który spowodował tak wiele szkód w życiu gospodarczym i społecznym.

4) Uznając prywatyzację za jedną z dróg rozwoju sektora prywatnego, konieczne jest przekształcenie tego procesu w narzędzie realizacji celów polityki gospodarczej i rozwoju sił wytwórczych społeczeństwa, a nie zasad doktrynalnych. Oznaczać to musi aktywną walkę z patologicznymi formami prywatyzacji prowadzącymi do niszczenia sił wytwórczych, wyprzedaży majątku za bezcen, rozrywania związków produkcyjnych (*asset-stripping*) wykorzystywania jej nie dla rozwoju produkcji, a dla niszczenia miejscowych, rodzimych konkurentów oraz nagminnego niewywiązywania się z fiskalnych obowiązków wobec państwa zwłaszcza przez firmy zagraniczne.

5) Uznając kluczową rolę samorządów terytorialnych w rozwoju kraju i przestrzegania zasady subsydiarności, konieczne jest konstytucyjne określenie obszaru obejmującego te problemy ogólnokrajowe i ponadregionalne, gdzie państwo powinno odgrywać rolę nadrzędną. Jest to bowiem warunek zachowania unitarnego charakteru państwa. Dlatego lewica musi przeciwstawić się aktywnie poglądom, że Polska jest sumą województw lub samorządów wojewódzkich oraz konstytucyjnym zapisom, że „organy samorządu mają pierwszeństwo przed organami centralnymi państwa”. Oznaczałoby to bowiem przekreślenie szansy na jakąkolwiek strategię rozwoju kraju, a w rezultacie spowodowałoby niekonkurencyjność regionów polskich w konfrontacji z odpowiednimi znacznie bogatszymi regionami innych krajów unijnych. Najbogatsze zaś i nawet najbardziej dynamiczne regiony nie są w stanie same rozwiązywać problemów ponadwojewódzkich i ogólnokrajowych (nauka, ochrona środowiska i klimatu, eksploatacja kosmosu, gospodarka morską, infrastruktura techniczna i informacyjna itp.). Ich zaś znaczenie w nowoczesnym rozwoju gospodarczym w zasadniczy sposób rośnie.

6) Uznając zasadę otwartości gospodarki na konkurencję zagraniczną, konieczne jest usuwanie wszel-

kich przypadków dyskryminacji podmiotów krajowych oraz uprzywilejowanie importu, co jest warunkiem do sprowadzenia wyjątkowo wysokiego poziomu penetracji importowej na naszym rynku wewnętrznym (54%) charakterystycznego dla krajów quasi-półkolonialnych do normalnych rozmiarów, charakterystycznych dla krajów rozwiniętych. Wymaga to eliminacji praktyk dyskryminowania producentów krajowych (np. uprzywilejowanego traktowania importu wyrobów finalnych, a nie surowców).

7) Uznając dominującą rolę sektora prywatnego w modelu gospodarki rynkowej, konieczne jest przyjęcie zasady, że sektor publiczny jest trwałym elementem gospodarki i państwa o kluczowym znaczeniu dla wprowadzenia Polski w erę cywilizacji informacyjnej. Konieczna jest modernizacja i racjonalizacja tego sektora, a nie postępująca likwidacja. Modernizacja stworzyć bowiem może szansę na jego wykorzystanie jako czynnika przewagi komparatywnej, czyli uzyskania korzyści w stosunku do krajów o gorszym zaspokajaniu potrzeb zbiorowych społeczeństwa. Niezbędne jest zatem wykorzystanie pozytywnych z tego punktu widzenia doświadczeń krajów skandynawskich. Lewica musi się więc aktywnie przeciwstawić tendencjom do likwidacji sektora publicznego i świadomego wprowadzania go w stan chronicznego niedofinansowania w celu przyspieszenia przejmowania jego funkcji na zasadach komercyjnych przez sektor prywatny, przed czym przestrzegał J. K. Galbraith.

8) Uznając za celowe otwarcie dostępu podmiotów prywatnych również w obszarach, które są obecnie domeną działania sektora publicznego, konieczne jest zachowanie dominującej roli tego sektora w edukacji, nauce, ochronie zdrowia i liczącej się jego roli w środkach masowego przekazu. We wszystkich tych obszarach działalność sektora prywatnego powinna być realizowana głównie przez tworzenie nowych podmiotów i konkurowanie z podmiotami publicznymi, a nie tylko przez przejmowanie majątku sektora. Dlatego lewica musi przeciwstawić się tendencji do żywiołowej i niekontrolowanej prywatyzacji sektora publicznego w tych obszarach i przekształcania jego podmiotów w spółki handlowe z wszystkimi ujemnymi tego konsekwencjami, działać zaś na rzecz nadania im roli podmiotów pożytku publicznego, co może rozwiązać wiele problemów.

9) Uznając komercjalizację za ważną drogę podnoszenia efektywności ekonomicznej, konieczne jest wzmocnienie społecznych kryteriów determinujących rolę jednostki w społeczeństwie i wprowadzenie elementów merytokracji, czyli uwzględniania zasług dla kraju i społeczeństwa, nie tylko pozycji dochodów finansowych jako kryterium oceny ludzi. Wymaga to przeciwdziałania nadmiernej komercjalizacji życia społecznego. Dlatego lewica musi zwalczać tendencje do urynkwienia wszystkich obszarów życia.

10) Doceniając kluczową rolę uwolnienia inicjatyw ludzkich i procesów spontanicznych w dokonywanych wyborach nie można nie dostrzegać, że występują również przypadki, gdy aspiracje indywidualne i procesy spontaniczne są sprzeczne i wchodzą w wyraźny konflikt z racjonalnością ogólnospołeczną. Takie sprzeczności wystąpiły z dużym nasileniem w minionym 20-leciu i nie spotkały się z reakcją państwa. Konflikty na tym tle

towarzyszą rozwojowi motoryzacji indywidualnej, próbom przejmowania przestrzeni publicznej, dążeniu do uzyskiwania nieuzasadnionych korzyści finansowych, operacjom niezgodnym z interesem społeczeństwa i jałowym (*hollow-operations*), czy też ujemnym skutkiem społecznym nadmiernego rozwoju reklamy i hazardu. Jednostka ma prawo również do wyborów nieracjonalnych z punktu widzenia społeczeństwa jako całości, jednak społeczeństwo i państwo nie może zachęcać i wspierać takich decyzji. Dlatego lewica musi aktywnie przeciwstawiać się rezygnacji z jakiegokolwiek oddziaływania na takie wybory i niewykorzystywania w tym celu nawet dostępnych instrumentów ekonomicznych w imię zachowania doktryny dobrego wizerunku publicznego (tzw. piaru – PR). Oddziaływanie takie powinno następować jednak nie w drodze czynności administracyjnych i zakazów, ale obciążenia wyższym kosztem finansowym podejmowania społecznie nieracjonalnych wyborów.

11) Uznając za nieuchronne procesy globalizacji, lewica powinna wypowiadać się za bardziej aktywną rolę państwa w przedsięwzięciach dostosowawczych do owych procesów w celu ochrony naszych interesów narodowych, chronić zwłaszcza przed utratą miejsc pracy i innymi formami przedwczesnej deindustrializacji oraz relokacji, czyli przenoszenia miejsc pracy poza granice kraju.

12) Uznając priorytet naszych stosunków z UE, konieczne jest równocześnie maksymalne wykorzystanie szans rozwoju gospodarczego, np. rozwoju stosunków gospodarczych ze Wschodem, a zwłaszcza z Rosją i Chinami, które stanowią najbardziej perspektywiczne rynki świata. Oznaczać to musi odrzucenie przez lewicę praktyk pogarszania i zadrażniania stosunków politycznych z tymi krajami po to jedynie, aby wyrazić emocje mające źródła w przeszłości. Dotyczy to zwłaszcza stosunków gospodarczych z Rosją, naszym najbliższym partnerem, gdzie konieczna jest odbudowa jej normalnej pozycji w handlu, gdzie notujemy największe ujemne salda handlowe w obrotach. Jest to warunkiem

zasadniczego zwiększenia udziału wymiany z krajami spoza Unii, który obecnie należy do najniższych we Wspólnocie (21%).

13) Uznając kluczową rolę wolności gospodarczej w funkcjonowaniu nowoczesnej gospodarki rynkowej, konieczne jest wydatne wzmocnienie siły i skuteczności zwalczania różnych form unikania obowiązków podatkowych na szkodę państwa. Lewica powinna inicjować i wspierać wprowadzenie minimalnych obowiązków podatkowych dla biznesu na wzór stosowanych np. w USA (AMT – *Alternative Minimum Tax*).

14) Umacniając i wspierając rozwój gospodarki rynkowej, lewica nie może się jednak zgodzić z poglądem, że rynek ma zawsze rację. Jest to bowiem rażąco sprzeczne ze stanowiskiem nauki (*market failures*). Nie do przyjęcia dla lewicy jest pogląd, aby zmierzać do modelu: gospodarka liberalna (czytaj neoliberalna) – podział socjalny. To uniemożliwiłoby bowiem dokonanie świadomej i sterowanej modernizacji kraju, zwłaszcza niezbędnych zmian w strukturze gospodarczej. Wzmocnienie siły państwa w procesach długookresowych powinno być jednak realizowane nie przez wzrost kontroli nad obywatelami, ale przez wspomaganie procesów rynkowych tam, gdzie może to wyzwolić efekt synergiczny oraz zapewnić korygowanie jego błędów.

Konsekwentne przestrzeganie tych zasad jest warunkiem zachowania przez lewicę tożsamości światopoglądowej i zrozumienia przez szerokie kręgi jej zwolenników czego ona chce i do czego dąży.

IV. Wybór opcji neokeynesowskiej jako podstawa polityki gospodarczej lewicy

Wypowiadając się na rzecz modyfikacji i zmian neoliberalnej orientacji w polityce gospodarczej lewica musi wskazać w sposób przekonujący jaka jest tego alternatywa. Potencjalną alternatywą jest neokeynesowska ekonomia oraz nowoczesne strategiczne podejście do kształtowania przyszłości. Zasadnicze różnice pomiędzy opcją neoliberalną a neokeynesowską z tego punktu widzenia ilustruje następujące zestawienie:

I. p.	EKONOMIA NEOLIBERALNA	EKONOMIA NEOKEYNESOWSKA
1	Twarde finansowanie budżetowe i unikanie deficytu budżetowego	Elastyczne podejście do deficytu budżetowego i wykorzystywanie go jako narzędzia pobudzenia popytu i łagodzenia wahań cyklicznych dopóki nie zagraża to równowadze ekonomicznej kraju
2	Kontrola podaży pieniądza, walka z inflacją najważniejszym priorytetem	Pobudzenie rozwoju, a nie walka z inflacją najważniejszym priorytetem
3	Liberalizacja handlu zagranicznego, walka z protekcjonizmem	Otwarcie rynku dla importu, ale dążenie do kontroli jego roli na własnym rynku wewnętrznym
4	Unikanie nadmiernego opodatkowania	Elastyczne podejście do opodatkowania i zasada progresywnego opodatkowania
5	Główny nacisk na podatki pośrednie typu VAT	Główny nacisk na podatki bezpośrednie, dochodowe typu PIT
6	Unikanie subsydiów, niechęć do zachęt podatkowych	Szerokie wykorzystanie zachęt podatkowych jako narzędzia pobudzenia i sterowania rozwojem

7	Wrogi stosunek do związków zawodowych	Współpraca ze związkami zawodowymi
8	Wyeliminowanie wszelkiej kontroli cen	Elastyczne podejście do kontroli cen dla ochrony konsumenta
9	Unikanie interwencji rynkowej, aby nie naruszać zasad wolnej konkurencji	Nieunikanie interwencji rynkowej -elastyczne podejście do wolnej konkurencji
10	Prywatyzacja aż do całkowitej eliminacji przedsiębiorstw państwowych	Zachowanie kontroli państwa w strategicznych ogniwach gospodarki, jak w obronności, infrastrukturze transportowej i informacyjnej i wybranych obiektach o kluczowym znaczeniu
11	Unikanie mieszania działalności publicznej i prywatnej	Popieranie partnerstwa prywatno-publicznego i współpracy pomiędzy sektorem prywatnym i publicznym oraz popieranie konsorcjów celowych łączących różne kapitały
12	Wolny obrót kapitału – przeciwko wszelkim restrykcjom w obrocie kapitałowym	Dopuszczenie restrykcji w obrocie kapitałowym dla ograniczenia spekulacji i nadmiernego ryzyka
13	Przeciwko selektywnym praktykom kredytowym	Za preferencjami kredytowymi dla preferowanych dziedzin
14	Przeciwko preferowaniu wybranych działań, czyli priorytetem sektorowym; a za polityką horyzontalną, a więc zasada <i>equal footing</i> , czyli równorzędnego traktowania wszystkich podmiotów	Za aktywną polityką strukturalną oraz stosowaniem priorytetów sektorowych dla dziedzin o kluczowym znaczeniu dla przyszłości i dynamizacji gospodarki
15.	Wrogi stosunek do sektora publicznego i państwa opiekuńczego	Obrona sektora publicznego i wykorzystanie jego rozwoju jako czynnik przewagi komparatywnej

W warunkach dwóch całkowicie przeciwstawnych sobie pod wieloma względami koncepcji polityk gospodarczych, występujących we współczesnym świecie, orientacja lewicowa powinna zdecydowanie i jednoznacznie przyjąć orientację neokeynesowską za podstawę swej polityki gospodarczej. Uznawanie skrajnych poglądów neoliberalnych jest sprzeczne z poglądami lewicowymi, a próby ich łączenia mogą świadczyć, że nie rozumie się istoty albo jednej, albo drugiej z tych orientacji.

Oczywiście opcja neokeynesowska nie może być realizowana w sposób dogmatyczny. Trzeba więc szukać możliwości znalezienia kompromisu pomiędzy tymi orientacjami, zwłaszcza przy rozwiązywaniu konkretnych, praktycznych problemów. Należy również stosować poszczególne zasady w sposób elastyczny, dostosowując je do specyfiki czasu i miejsca.

Jest jednak granica, której przekraczać nie można. Grozi to bowiem utratą wyrazistości politycznej i ideowej, a w następstwie zrozumienia i poparcia przez wyborców. Przedstawiony w poprzednim rozdziale wykaz poglądów, z którymi lewica zgodzić się nie może, wyznaczać może tę granicę.

Przyjęcie orientacji neokeynesowskiej musiałoby oznaczać, że polityka gospodarcza lewicy powinna dążyć do:

- uznania rozwoju i modernizacji kraju za ważniejszy priorytet niż walka z inflacją,
- traktowania zmian strukturalnych na rzecz nowoczesności jako ważniejsze od samego tempa wzrostu ilościowego,

- elastycznego podejścia do deficytu budżetowego, jeżeli służy on finansowaniu celów rozwojowych, a nie w wydatkach bieżących (zasada G. Browna),
- racjonalizacji i modernizacji sektora publicznego, a nie jego likwidacji, oraz eliminowania jego niedorozwoju i niedofinansowania,
- selektywnego zróżnicowania stosowanych instrumentów i uprzywilejowania dziedzin dynamizujących gospodarkę i poprawiających racjonalność ogólnospołeczną, czego warunkiem jest określenie polityki strukturalnej państwa i stosowanie priorytetów sektorowych,
- wspierania rozwoju popytu wewnętrznego (*fostering of domestic demand policy*), a tym samym wspierania tych kierunków konsumpcji, które mogą być zaspokojone produkcją lub usługami krajowymi,
- radykalnego zmniejszania rozpiętości dochodowych przez wprowadzenie wielopozomowego progresywnego opodatkowania,
- ochrony kapitału rodzimego i producentów krajowych w ramach dopuszczonych przez legislację europejską,
- prywatyzacji tylko wtedy, gdy nie narusza ważnych potrzeb społecznych i dotyczy jednostek nierentownych, obciążających budżet,
- aktywnego podejścia do penetracji importowej w tych przypadkach, gdy zagraża to interesom producentów krajowych lub potrzebom społecznym,
- dostosowania metod gospodarowania do potrzeb ochrony środowiska i klimatu oraz zbudowania systemu ochrony gospodarki i ludności przed skutkami

ekonomicznymi ekstremalnych zjawisk i zakłóceń pogodowych.

Rozwiązanie tych problemów wymaga podejścia długookresowego i szerokiej perspektywy wykraczającej poza operatywne i doraźne obowiązki rządu. Wymaga to wypracowania i konsekwentnej realizacji narodowej strategii rozwoju. Dlatego lewica musi być rzecznikiem świadomego i skutecznego sterowania procesami rozwoju w sposób, który leży w interesie całego społeczeństwa, w imię „wspólnego dobra”, jakim jest spokój społeczny.

Lewica powinna więc zająć wyraźne stanowisko na rzecz reorientacji stosunku do państwa i jego organów, ale nie w kierunku rozszerzania jego pola działania, lecz koncentracji na problemach długookresowych o strategicznym znaczeniu dla przyszłości, kosztem ograniczenia integracji państwa w bieżącą działalność gospodarki i biznesu.

V. Obrona przez lewicę prorozwojowych funkcji państwa

W koncepcji nekeynesowskiej w rozwoju gospodarki istotną rolę odgrywają prorozwojowe i strategiczne funkcje państwa. Nie podważa to wiodącej roli biznesu, ale ją powinno wspomagać i uzupełniać.

W tym świetle jednym z najbardziej niepokojących elementów dziedzictwa minionego 20-lecia jest słabość naszego państwa i utrata przez nie zdolności do zaprogramowania i realizacji zmian w gospodarce o kluczowym znaczeniu dla przyszłości. Słuszna droga ograniczenia nadmiernej w poprzednim systemie ingerencji państwa przerodziła się jednak w tendencję do ubezwłasnowolnienia również funkcjach prorozwojowej i strategicznej państwa, które spełnia aktywnie w większości krajów rozwiniętych, a zwłaszcza w krajach wychodzących ze opóźnienia ekonomicznego i cywilizacyjnego, więc o pozycji zbliżonej do Polski. W krajach, które odniosły spektakularne sukcesy w gospodarce w minionym 20-leciu państwo odegrało aktywną rolę (Irlandia, Finlandia, Dania, kraje skandynawskie, Izrael, Chiny i inne kraje Azji Południowo-wschodniej). Dotyczyło to nawet w jakimś stopniu krajów o najbardziej neoliberalnej orientacji, np. USA, gdzie pozycja rządu w gospodarce jest wbrew głoszonej retoryce bardzo silna, co m.in. ujawnia ostatni kryzys. Tymczasem nasze państwo okazało się niezdolne do skutecznego sterowania procesami o strategicznym znaczeniu dla przyszłości. Następuje „dryfowanie bez świadomości celu”. Aparat państwowy jest niewydolny, niesprawny, niezdolny do wykreowania strategii narodowej i jej konsekwentnej realizacji, rozrywany przez sprzeczne interesy różnych partii i grup społecznych.

Jedną z głównych najgłębszych tego przyczyn jest zerwanie „ciągłości” pracy kolejnych rządów. Nie ma kontynuacji niezbędnych kierunków działania, następuje eliminacja części kadr o najwyższych kwalifikacjach i doświadczeniu. Konieczne odmłodzenie kadr dokonuje się często kosztem nadmiernego osłabienia roli doświadczenia. Każdy kolejny rząd zaczyna wszystko od początku negując osiągnięcia poprzedników. Towarzyszy temu nadmierne upolitycznienie pracy administracji państwowej i jej nadmierny wzrost ilościowy, rosną koszty jej utrzymania. Dalszy rozwój tej sytuacji może doprowadzić do „wypłukania” istotnych treści

funkcji państwa, aż – jak pisze jeden z czytelników „Trybuny” – państwo stanie się tylko wydmuszką: „Bez wojska, służby zdrowia, przemysłu, służb specjalnych, własnych banków, z kulejącym szkolnictwem i prawem, staliśmy się wydmuszką państwa”. Takie państwo służyłoby jedynie do zapewnienia intratnych miejsc pracy, ale nie byłoby w stanie wywrzeć jakiegokolwiek wpływu na realne procesy gospodarcze. Dostrzegają to nawet przedstawiciele innych orientacji. Szczególnie wymownym tego przykładem może być następujące stwierdzenie na łamach brytyjskiego „The Economist”: „Środkowa i Wschodnia Europa desperacko potrzebuje silnego rządu, aby dogonić starsze demokracje”⁴.

Uznając kluczową rolę skutecznego i sprawnego państwa w przechodzeniu do cywilizacji informacyjnej lewica powinna konsekwentnie działać na rzecz:

- zapewnienia najwyższej jakości kadr dla administracji państwowej drogą odbudowy państwowej służby cywilnej. Wśród kryterium doboru tej kadry powinny istotną rolę odgrywać również czynniki moralne i gotowość do poświęcenia się służbie dla społeczeństwa,
- likwidacji dublowania się struktur, a więc ich spłaszczenia, a w tym m.in. eliminacji dublowania się struktur państwowych i samorządowych, spowodowanych przez reformę administracji terenowej z 1999 r., a także wzajemnego nakładania się zakresu działalności kancelarii Premiera i Prezydenta z układem resortowym, bo to jest zbędne i szkodliwe,
- zasadniczego ograniczenia roli aparatu politycznego w administracji,
- likwidacji szczebli zbędnych, wydłużających drogę decyzyjną, np. powiatów czy senatu,
- zmniejszenia liczebności przedstawicielstw parlamentarnych do rozmiarów uzasadnionych niskim jeszcze poziomem PKB w naszym kraju.

Lewica musi więc aktywnie przeciwstawiać się tworzeniu niejasnych i dublujących się struktur administracyjnych tylko po to, aby tworzyć miejsca pracy dla przedstawicieli ekipy, która wygrała wybory.

Uznając kluczową rolę demokracji bezpośredniej, konieczne jest rozszerzenie sfery poddawanej społecznej kontroli przy wykorzystaniu nowoczesnych technik informatycznych sprzyjających wprowadzeniu takiej demokracji, rozszerzaniu współpracy z organizacjami pozarządowymi oraz dialogu społecznego, ze szczególnym uwzględnieniem współpracy pomiędzy administracją, biznesem i nauką. Musi nastąpić odrzucenie tych poglądów i praktyk, które utrudniają przekształcanie państwa w państwo sieciowe.

VI. Lewica w awangardzie procesów integracyjnych z Unią Europejską

Uznając za nadrzędny cel modernizację kraju lewica musi się znaleźć w awangardzie procesów integracji z Unią. Jest to bowiem wielka szansa dokonania możliwie szybkiej modernizacji. Dlatego musimy współtworzyć i konsekwentnie realizować politykę wspólnoty, gdyż ma to dla nas znaczenie podstawowe. Przy pełnym poparciu społecznym dla samej idei, niektóre problemy w procesach integracyjnych wciąż jeszcze budzą istotne kontrowersje. Lewica musi więc zająć wyraźne stanowisko w tych sprawach. Dotyczy to zwłaszcza czterech problemów.

⁴ „The Economist”, 23 czerwca 2007 r., s. 31.

Pierwszy to odpowiedź na pytanie, czy wobec istnienia wspólnego polityki unijnej potrzebna nam jest jeszcze nasza własna narodowa strategia rozwoju. Polityka wspólnoty z założenia koncentruje się na rozwiązywaniu problemów występujących we wszystkich lub w większości krajów członkowskich. W legislacji UE określa się je jako problemy symetryczne. Jest to zgodne z zasadą subsydiarności, czyli wchodzenia wspólnoty tylko tam, gdzie problemy nie mogą być rozwiązane na niższym szczeblu, czyli przez same państwa.

Występuje jednak wiele problemów specyficznych dla naszego kraju, które mają typowy charakter „asymetrycznych”. Nie występują one bowiem w innych krajach, gdyż nie odgrywają większej roli w ich strukturze (np. przestawienie gospodarki na niewęglowe nośniki energii), bądź zostały już rozwiązane (rekonstrukcja rolnictwa i górnictwa). Dlatego lewica musi przygotować taką strategię narodową uzupełniającą unijną, która musi być z nią zgodna, ale powinna szerzej uwzględniać nasze specyficzne problemy i warunki rozwojowe. Tylko w ramach takiej własnej strategii istnieje możliwość podejmowania i realizacji bardziej śmiałych i oryginalnych koncepcji rozwojowych, a nawet ryzykownych rozwiązań. Trudno byłoby bowiem uzyskać ich akceptację w Unii. Owa strategia, ukierunkowana na rozwiązywanie naszych problemów asymetrycznych, musi mieć charakter długookresowy i sięgać co najmniej 2035, a wstępnie nawet 2050 roku.

Drugi problem to jak pogodzić interesy wspólnoty z naszymi interesami narodowymi, gdy w przypadku konkretnych rozwiązań występuje pomiędzy nimi kolizja. W kręgach neoliberalistów uzasadnione nawet dążenia do obrony interesów własnych utożsamia się często z nacjonalizmem ekonomicznym i zaciekle zwalcza zwłaszcza wtedy, gdy istotną rolę w tej obronie odgrywa państwo. Określa się to nawet terminem *state led economic nationalism*⁵, bądź też kwestionuje się pojęcie „interesu narodowego”. W myśl doktryny pani M. Thatcher np. społeczeństwo jako takie nie istnieje, tylko jest sumą jednostek o sprzecznych interesach.

Dlatego lewica polska stojąc na stanowisku respektowania naszych wspólnych interesów—lnychunijnych interesów—wmusi twardo i aktywnie bronić równocześnie naszych interesów narodowych. W krajach opóźnionych w rozwoju interes narodowy występuje ze znacznie większą siłą niż w bogatych i wysoko rozwiniętych. Doświadczenie uczy, że kraje członkowskie, które umiały skutecznie bronić swoich interesów, osiągnęły najbardziej spektakularne wyniki i poprawę swojej sytuacji w ramach wspólnoty (Irlandia, Finlandia, Dania). Obrona naszych interesów narodowych powinna być realizowana przede wszystkim przez negocjacje i dodatkowe specyficzne porozumienia, a nie blokowanie czy hamowanie procesów integracyjnych.

Trzeci problem to przystąpienie Polski do strefy euro i odpowiedź na pytanie czy jest to konieczne i uzasadnione. Wprowadzenie wspólnej waluty daje bezspornie wiele istotnych korzyści. Zapewnia wspólną obronę w przypadku zagrożenia równowagi finansowej poszczególnego kraju, a równocześnie stwarza konkretne ułatwienia dla biznesu oraz ułatwia rachunek ekonomiczny i czyni go przejrzystym. Trzeba sobie jednak zdawać sprawę, że decyzja ta ma nie tylko

same strony pozytywne i nie dotyczy wyłącznie procesów finansowych. Wymaga także pewnych wyrzeczeń stanowiących nieuchronne koszty tej zmiany. Zmniejsza np. możliwości ochrony koniunktury zmianami kursu własnej waluty.

Musimy się też liczyć z tym, że w strefie euro mamy do czynienia z najniższą dynamiką rozwoju. J. Steindl określił tempo wzrostu PKB w tej strefie jako „karłowate”, co dla krajów bogatych może mieć zalety, a na pewno ułatwia utrzymanie równowagi dynamicznej w procesie rozwoju. Dla zlikwidowania naszych opóźnień potrzebne jest jednak co najmniej trzykrotnie wyższe tempo rozwoju niż w krajach bogatych. Dlatego tak ważne są radykalne zmiany strukturalne na rzecz dziedzin o najszybszym tempie wzrostu popytu na wyroby i usługi. Tylko one są w stanie zdynamizować gospodarkę i zapewnić stopniowe zmniejszanie dystansu do krajów bogatych.

Lewica powinna wypowiadać się za decyzją o wprowadzeniu euro, co mieć będzie historyczne wręcz znaczenie. Ale równocześnie wymagać jak najlepszego przygotowania się również do niesprzyjających konsekwencji tej decyzji dla wzrostu gospodarczego, zwłaszcza w przypadku procesów realnych w gospodarce. Trzy kierunki działań mają z tego punktu widzenia znaczenie zasadnicze:

a) kurs przeliczeniowy ze złotówki na euro w chwili wejścia, który powinien sprzyjać konkurencyjności naszego eksportu,

b) konieczne jest przygotowanie programu przyspieszenia zmian strukturalnych, które mogą skutecznie przeciwdziałać osłabieniu tempa rozwoju (rezygnacja z neoliberalnych kanonów w tej dziedzinie),

c) podjęcie programu podniesienia płac i świadczeń najniższych w przypadku odczuwalnego wzrostu kosztów utrzymania, czego niektórym krajom nie udało się uniknąć.

Czwarty problem to odpowiedź na pytanie, jaką orientację powinna reprezentować lewica polska na forum Unii. Jak wiadomo, w organach UE i jej parlamentach występują dwie wyraźne orientacje, reprezentowane przez socjaldemokratów i konserwatystów. Polska lewica powinna wspierać nurt socjaldemokratyczny, a w jego zaś ramach dążyć do ewolucyjnej zmiany obecnie dominującej orientacji neoliberalnej, występującej silnie nawet w konstytucji według traktatu lizbońskiego, na rzecz rozwiązań lepiej dostosowanych do potrzeb przyszłości i naszej pozycji w wymianie międzynarodowej. Bez radykalnych zmian w tej dziedzinie Unia nie byłaby zdolna sprostać konfrontacji z USA, Japonią i Chinami.

Wydaje się, że lewica powinna też poprzeć inicjatywę wysuniętą jeszcze przez L. Jospina, postulującą utworzenie wspólnego sztabu zarządzania ekonomicznego w Unii z równorzędną pozycją w stosunku do Europejskiego Banku Centralnego, aby zrównoważyć jego wpływ i ukierunkować na rozwój ekonomiczny, a nie tylko na procesy finansowania i równowagi.

W tym świetle kluczowego znaczenia nabiera zidentyfikowanie głównych naszych celów narodowych, które powinny być realizowane zarówno przez wspólną politykę unijną jak i naszą własną strategię narodową. Cele te powinny stanowić istotne kryterium oceny wszystkich programów rozwojowych na przyszłość.

VII. Nasze narodowe cele w gospodarce

Przewyciężenie opóźnienia zależy od zasadniczego przyspieszenia zmian strukturalnych, niezbędnych dla modernizacji kraju i jego struktury gospodarczej. We współczesnym zaś świecie modernizacja kraju wymaga skorzystania z cywilizacji informacyjnej. Rozwój tradycyjnych dziedzin gospodarki przestał już być bowiem symbolem nowoczesności kraju. Dlatego za nasz najważniejszy i nadrzędny cel należy uznać wprowadzenie Polski w erę cywilizacji informacyjnej, a dzieli nas od niej znaczny dystans. To historyczne zadanie naszego pokolenia.

Przez cele narodowe rozumiemy w tym przypadku takie zadania o podstawowym znaczeniu dla przyszłości naszego narodu, które dla ich realizacji wymagają:

- zaangażowania środków i zasobów całej gospodarki gromadzonych w skali państwa i całego kraju,
- koordynacji i programowania w narodowej skali. Cele te mają więc charakter narodowy dlatego, że nie mogą być osiągnięte tylko przez poszczególne sektory biznesu czy regiony.

Realizacja tego celu nadrzędnego wymaga uzyskania jakościowego przełomu co najmniej w pięciu dziedzinach. Zadania z tym związane stanowią kolejne cele narodowe niższego już szczebla, chociaż mają decydujące znaczenie dla realizacji celu nadrzędnego.

1. Zbudowanie w Polsce bazy technologii informacyjnych, stanowiącej kluczowy sektor GOW.

Kluczowym sektorem współczesnej gospodarki staje się sektor technologii informacyjnych (ICT, czyli *Information Communication Technologies*). Jego rola w gospodarce przyszłości wzrośnie w sposób zasadniczy, gdyż ten sektor:

- wyznaczać będzie dominujący sposób produkcji w gospodarce opartej na wiedzy (GOW),
- technologie stanowiąc będą nową epokę w rozwoju cywilizacji ludzkości,
- ów sektor będzie określał międzynarodową konkurencyjność gospodarek poszczególnych krajów.

Najpilniejszym zadaniem w tej dziedzinie jest obok rozbudowy przemysłu informatycznego (*hardware*) upowszechnienie dostępu do szerokopasmowego internetu, co wymaga budowy stacji przekaźnikowych i objęcia nim obszaru całego kraju. Wykorzystanie pełnych efektów tego przedsięwzięcia zależeć będzie od odpowiedniego upowszechnienia umiejętności korzystania z nowoczesnych technologii informacyjnych.

2. Przyspieszenie zmian strukturalnych w gospodarce na rzecz przemysłów wysokiej techniki.

Najbardziej nowoczesnym ogniwem współczesnych struktur gospodarczych są przemysły wysokiej techniki. Bez uzyskania przełomu w tej dziedzinie nie byłoby możliwe zdynamizowanie gospodarki, ale także przejście od obecnie dominującego imitacyjnego charakteru naszej gospodarki do oparcia jej na procesach innowacyjnych. To zaś warunkuje osiągnięcie konkurencyjności innowacyjnością, nie tylko ceną, co stanowi najbardziej korzystną formę dla gospodarki.

Bez rozwoju najbardziej dynamicznych przemysłów musielibyśmy nieuchronnie napotkać bariery, aż do groźby wyhamowania tempa rozwoju. W Polsce niebezpieczeństwo tego rodzaju jest szczególnie duże. Z najnowszych badań wynika, że na 25 przemysłów najbardziej rozwiniętych w Polsce w stosunku do swych

odpowiedników w Unii, aż 17 uznanych jest w literaturze za schyłkowe (*declining*) i zagrożonych upadkiem (*falling*)⁶. Najpilniejszym zadaniem jest zatem zwiększenie udziału przemysłów wysokiej techniki z 4 proc. całości zatrudnienia w przemyśle w roku 2006 do 12-14 proc. w roku 2030 oraz likwidacja największych opóźnień.

Kluczowe znaczenie ma uzyskanie poprawy naszej pozycji w rozwoju przemysłów upowszechniających najbardziej nowoczesne technologie (*spill over*), a punkt startu Polski jest tu najbardziej wyrównany. Wymaga to specjalnego programu rozwoju przemysłów nanotechnologicznych, a zwłaszcza nanoelektroniki, która w świetle prognoz będzie odgrywać kluczową rolę w rozwoju technologicznym i stanowić priorytet badań i wdrożeń w Unii. Dotyczy to również biotechnologii i biomedycyny.

3. Dokonanie drugiej rewolucji edukacyjnej i przyspieszenie rozwoju nauki.

Celem zmian w edukacji musi być dostosowanie zasobu kwalifikacji społeczeństwa oraz kapitału społecznego do potrzeb cywilizacji informacyjnej i GOW. Jeśli celem pierwszej rewolucji w latach 50. była likwidacja analfabetyzmu, to celem obecnej, drugiej rewolucji musi być likwidacja analfabetyzmu cyfrowego (*digital illiteracy*), czyli nieumiejętności korzystania z nowoczesnych technologii informacyjnych.

Najpilniejszymi zadaniami w tej dziedzinie są:

- zwiększenie kształcenia specjalistów nauk przyrodniczych i politechnicznych, które odgrywają kluczową rolę w rozwoju GOW i procesach innowacyjnych,
- objęcie najpóźniej do 2020 roku opieką przedszkolną całej populacji dzieci w wieku przedszkolnym, przy obniżeniu wieku obowiązku szkolnego do 6 lat,
- radykalna poprawa poziomu kształcenia na wsi i w małych miastach, skąd za 20 lat pochodzić będzie ponad 60-70% młodzieży podejmującej pracę.

Z kolei najpilniejszym zadaniem w rozwoju nauki jest zwiększenie udziału wydatków na finansowanie nauki do 2,5-3,0 proc. PKB najpóźniej do 2020 roku, dostosowanie programów badawczych do potrzeb gospodarki i społeczeństwa tak, aby w szerszym stopniu generowały innowacje w nauce i działalności objętej ochroną patentową oraz odbudowa zdolności do realizacji zespołowych projektów badawczych.

4. Ograniczenie zasięgu „wykluczenia społecznego” i radykalne zmniejszenie obszaru nędzy.

Nie można zbudować społeczeństwa informacyjnego bez ograniczenia zasięgu „wykluczenia społecznego”. To zaś wymaga radykalnego ograniczenia obszaru ubóstwa oraz likwidacji masowego zjawiska nędzy. Walka z nędzą staje się warunkiem budowy społeczeństwa informacyjnego. Istotne znaczenie ma równocześnie uzyskanie przełomu w poprawie dramatycznej sytuacji mieszkaniowej, zwłaszcza ludzi młodych, czyli uruchomienie masowego ruchu budowlanego i maksymalne wykorzystanie go do pobudzenia koniunktury, a w jego ramach uruchomienie programu budownictwa mieszkań dostosowanych do sytuacji dochodowej ludzi o średnich i niższych dochodach. Rozwój budownictwa mieszkaniowego powinien być najwyższym priorytetem w przemianach struktury konsumpcji, nawet kosztem dotychczasowego priorytetu dla motoryzacji indywidualnej i turystyki zagranicznej.

⁶ Patrz „Dialog”, nr 3-4 z 2009 r., s. 3.

5. Jakościowe zmniejszenie zagrożeń dla środowiska i klimatu.

Kryzys ekologiczny wymaga radykalnego zmniejszenia obciążenia środowiska skutkami działalności człowieka (*foot print*). Może to wymagać radykalnego dostosowania metod gospodarowania do wymogów ochrony środowiska, przyrody i klimatu. Konieczne jest także zwiększenie odporności społeczeństwa na ekstremalne zjawiska pogodowe, które w świetle prognoz będą narastać.

Najpilniejsze zadania w tej dziedzinie:

1. Zmniejszenie emisji dwutlenku węgla o 20 proc. do roku 2020 co wymaga przestawienia całej gospodarki Polski ze spalania węgla na niewęglowe nośniki energetyczne.

2. Stworzenie od podstaw i rozbudowa przemysłu ekologicznego, który będzie stanowił jeden z najbardziej rozwojowych przemysłów w XXI wieku.

3. Stworzenie funduszu interwencyjnego, który winien gromadzić środki w skali całego kraju, dla pokrywania skutków ekonomicznych i strat spowodowanych przez katastrofy ekologiczne i ekstremalne zjawiska pogodowe, gdy ich skala przekracza znaczenie i rozmiary lokalne.

Przyjęcie tych celów narodowych oznacza konieczność przyznania najwyższego priorytetu rozwojowego sześciu obszarom gospodarki: 1. sektorowi ICT, 2. nauce, 3. przemysłom wysokiej techniki, 4. edukacji, 5. sektorowi ekologicznemu, 6. budownictwu mieszkaniowemu.

Oznacza to preferencje dla finansowania tych sektorów i silną koncentrację nakładów, a zwłaszcza nowych inwestycji w tych dziedzinach. Ich udział w całości inwestycji powinien sięgać 60-65 proc. Priorytetowe znaczenie pięciu pierwszych wynika z kluczowego ich znaczenia dla osiągnięcia cywilizacji informacyjnej. W szóstym: budownictwie mieszkaniowym decyduje wyjątkowo wysoki tzw. mnożnik Keynesa, czyli efekt jego rozwoju dla dynamizacji całej gospodarki i rozwiązania problemów polityki socjalnej (zwłaszcza demograficznych i edukacyjnych) z jednej strony, a z drugiej wyjątkowo wysokie oparcie jego rozwoju o surowce i pracę krajową.

Przedstawione tu zmiany w gospodarce i technice będą miały istotne konsekwencje dla przeobrażeń struktury społeczeństwa. Najważniejszą zmianą będzie wzrost roli i znaczenia kategorii zatrudnionych, których J. Machlup określił jako „pracowników wiedzy” (*knowledge workers*), a spopularyzował P.F. Drucker. Pracowników tych wyróżnia wysoki poziom wykształcenia, specjalizacji, samodzielność i kreatywność. Ich udział w UE ocenia się obecnie na 25 proc. ogółu zatrudnionych, a w USA na 35 proc. Do 2050 r. może osiągnąć 65 proc. całości zatrudnienia. W naszym kraju nastąpi również zasadnicza zmiana – do roku 2030 udział ten może przekroczyć 30 proc. całości zatrudnionych. Lewica musi więc zająć aktywne stanowisko wobec tej najbardziej dynamicznej kategorii pracowników przyszłości.

VIII. Dlaczego lewicowa koncepcja modernizacji zapewnić może największy postęp nowoczesności.

Decydują następujące przyczyny:

1) Formulowane przez lewicę cele i zadania orientują się na przyszłość, a nie na przeszłość w większym stopniu, niż w opcjach alternatywnych. Wizja lewicowa wynika z rozpoznania przyszłości w perspektywie co najmniej 20-30 lat. Orientacja prawicowo-konserwatywna jest niechętna studiom nad przyszłością organizowanym pod egidą państwa, pozostawiając ją spontanicznym procesom rynkowym.

2) Lewica jest w stanie stworzyć bardziej sprzyjające warunki dla dostosowania metod gospodarowania do wymogów ochrony środowiska i klimatu niż koncepcje prawicowe i konserwatywne, są one bowiem bardziej związane z tradycyjnym podejściem do zysku, konkurencyjności, priorytetów dla interesów akcjonariuszy, roli giełdy i reklamy, sztucznego pobudzania konsumpcji, które w obliczu zagrożeń ekologicznych mogą wymagać największych zmian. Przejścia od dominacji interesu akcjonariuszy (*shareholders*) do interesów zbiorowych beneficjentów (*stakeholders*) niewątpliwie łatwiej dokonać z pozycji lewicowej niż prawicowej i konserwatywnej.

3) Koncepcja lewicowa ułatwia tworzenie nowego, niezbędnego ładu światowego, który wyłaniać się będzie na naszych oczach. Wymaga to nowych międzynarodowych regulacji, które z natury rzeczy ograniczać będą nieskrępowaną działalność indywidualną, stanowiącą kanon podejścia prawicowego i konserwatywnego. Konieczne będą różne szersze niż dotychczas formy współdziałania i solidarności pomiędzy krajami, regionami, środowiskami i ruchami społecznymi, które zastąpią takie patologiczne formy jak wyścig szczurów i niczym nieskrępowana konkurencja.

4) Opcje lewicowe bardziej sprzyjają rozwojowi sektora publicznego, który odgrywa kluczową rolę w tworzeniu przesłanek przejścia do bardziej innowacyjnych społeczeństw przez rozwój kapitału społecznego, programy edukacyjne i naukowe, które są domeną tego sektora. Opcje prawicowe i konserwatywne z reguły są co najmniej niechętne w przypadku rozwoju tego sektora. Nieuchronne przejście do dominacji wskaźników humanistycznego rozwoju człowieka (*Human Development Index – HDI*) zamiast tradycyjnych mierników (PKB) będzie łatwiejsze i może być bardziej skuteczne niż w opcjach alternatywnych.

5) Opcja lewicowa lepiej odpowiada potrzebom rozwoju społeczeństwa sieciowego, kiedy jednostka jest ogniwem w sieci, niż opcja konserwatywna i prawicowa, które traktują społeczeństwo jako sumę izolowanych jednostek realizujących wąski interes ekonomiczny, co generuje konflikty, a nie współpracę.

6) Orientacja lewicowa stwarza lepsze warunki dla dialogu i negocjacji społecznych, równocześnie zwiększa szanse uczestnictwa w tej debacie przedstawicieli bezpośrednich wytwórców reprezentujących tylko własną pracę, a więc organizacji pracowniczych, związków zawodowych oraz innych organizacji społecznych. Orientacje prawicowa i konserwatywna są raczej niechętne włączaniu szerszej reprezentacji pracowniczej do debat gospodarczych upatrując w tym przeszkodę dla biznesu.

Jeżeli więc orientacja lewicowa będzie należyście spełniać wspomniane wyżej kryteria, potencjalnie może lepiej sprzyjać nowoczesności, a tym samym lepiej odpowiadać potrzebom ludzi młodych niż orienta-

cja prawicowa i konserwatywna. Nie działa tu jednak automatyzm. To będzie zależać, czy decyzje podejmowane przez lewicę będą oceniane i weryfikowane jako spełniające te kryteria.

IX. Obszary o największej szansie na uzyskanie konsensusu narodowego

Przedmiotem konsensusu społecznego powinien być cały obszar koncepcji i strategii rozwoju na przyszłość, a przynajmniej jego główne kierunki i problemy wymagające rozwiązania. Nie można jednak liczyć na to, a przynajmniej jest mało prawdopodobne, aby można było to osiągnąć już w najbliższym czasie ze względu na wyjątkowo duże rozbieżności w poglądach różnych środowisk politycznych i społecznych. Dlatego trzeba przyjąć kierunek na cząstkowe uzgodnienia w tych obszarach, gdzie wydaje się to możliwe. Trzeba więc podjąć próbę zidentyfikowania tych obszarów, gdzie szanse na uzyskanie konsensusu byłyby największe. Analiza wydaje się wskazywać, że szanse takie są największe w czterech obszarach:

1) Koncepcji budowy społeczeństwa informacyjnego, co warunkuje nasze wejście w erę cywilizacji informacyjnej. Przemawiają za tym następujące argumenty:

- przewaga wśród decydentów i warstw opiniotwórczych użytkowników nowych technologii,
- duża liczebność użytkowników i hobbystów tych technologii.

W dążeniu do realizacji tej wizji rozwoju kraju można liczyć więc na poparcie młodzieży, nauki i środowisk akademickich, sił zbrojnych, a nawet części partii konserwatywnych.

2) Obszarem takiego konsensusu mogłaby być edukacja. Przemawia za tym:

- liczebność zawodów nauczycielskich obejmujących łącznie z rodzinami co najmniej 10 proc. populacji kraju, co sprawia, że lobby edukacyjne jest w Polsce znaczące, można je oceniać na 1-1,5 mln osób,
- zrozumienie w rodzinach polskich znaczenia edukacji w indywidualnych karierach,
- odczuwane upośledzenie pod tym względem ludności wsi i małych miast. Można tu liczyć na wsparcie tego przez naukę, wspomniane lobby edukacyjne, znaczną część ludności wsi i małych miast, a w tym zwłaszcza partii reprezentujących interesy ludności zamieszkałej na tych terenach.

3) Kolejnym obszarem przyjaznym dla porozumienia wydaje się ochrona środowiska naturalnego. Przemawiają za tym następujące argumenty:

- rosnąca w społeczeństwie świadomość zagrożenia ekstremalnymi zjawiskami pogodowymi,
- wzrastające odczucie malejących walorów środowiskowych wielu terenów na skutek nadmiernej eksploatacji,
- rosnące szanse na uzyskanie środków na ten cel z funduszy pomocowych Unii, co stwarza perspektywę wzrostu zarobków grup związanych z tym sektorem.

W tym przypadku można liczyć na poparcie ruchów ekologicznych, nauki, praktycznie większości partii politycznych (z wyjątkiem neoliberalistów), hobbystów ochrony środowiska i przyrody, organizacji turystycznych oraz organizacji reprezentujących interesy ludności rolniczej.

4) Wydaje się, że istnieją szanse na uzyskanie konsensusu w przypadku problematyki demograficznej. Przemawiają za tym:

- wyjątkowo duża liczebność ludzi w wieku emerytalnym, którzy byłiby beneficjentami takiego kierunku działania,
- zainteresowanie rodzin poprawą warunków społecznych,
- rosnąca świadomość zarządów miast zagrożonych depopulacją. Ten kierunek mógłby więc liczyć na szerokie poparcie społeczne, zwłaszcza organizacji kobiecych.

Bardziej skomplikowana jest sytuacja, jeżeli chodzi o:

- nowoczesne technologie, gdzie, poza informacyjnymi, występuje wielkie rozproszenie potencjalnych beneficjentów i trudność ich rozpoznania,
- problemy ekonomiczne, gdzie występują największe rozbieżności pomiędzy zwolennikami poszczególnych orientacji.

Jednak dążenie do uzyskania jak najszerzego konsensusu jest absolutnie niezbędne. Również cząstkowe rozwiązania mogą być cenne. Uzyskanie takiego uzgodnienia jest bowiem elementarnym warunkiem zachowania ciągłości realizacji przyjętych strategii w co najmniej 10-15-letnim okresie (determinacja strategiczna), w warunkach zmian orientacji politycznej kolejnych ekip rządowych. Kluczową rolę z tego punktu widzenia ma jednak współpraca trzech podstawowych sił społecznych: państwa, nauki i biznesu, co określane jest w literaturze jako tzw. złoty trójkąt. Ogromną rolę ma tu do spełnienia polski biznes, a zwłaszcza jego najbardziej patriotyczna i świadoma część, tak jak to nastąpiło w Irlandii, Finlandii, Danii itp.

X. Generalne wnioski i propozycje

Z tego wywodu można wyprowadzić następujące, najbardziej ogólne, wnioski o charakterze strategicznym:

1. Nadrzędnym celem lewicy na najbliższe 25 lat musi być wprowadzenia Polski w erę cywilizacji informacyjnej. To bowiem stwarza szansę likwidacji opóźnienia Polski w rozwoju ekonomicznym i cywilizacyjnym trwającym 200-250 lat. Ten cel nadrzędny może być realizowany w wyjątkowo trudnych warunkach, m.in. z powodu możliwości nawrotu kryzysu globalnego. Potrzeby i doświadczenia minionego 20-lecia, kiedy procesy spontaniczne zawiodły, wskazują, że **osiągnięcie tego celu wymaga wykorzystania w szerszym niż dotychczas zakresie elementów sterowania procesem rozwojowym**, co dotyczy zarówno państwa, samorządów, organizacji pozarządowych jak i biznesu. Takie działania nie powinny jednak zastępować procesów spontanicznych, ale należy dążyć do ich „modelowania” w taki sposób, aby je wspomagać lub korygować w zależności od potrzeb, co nie ma nic wspólnego z kontrolą nad gospodarką.

2. Sterowanie procesem rozwojowym ma uzasadnienie przede wszystkim wtedy, gdy wyraża cele wynikające z racjonalności ogólnospołecznej w skali kraju i społeczeństwa jako całości. Dotychczas, pod wpływem orientacji skrajnie neoliberalnej ten aspekt nie był w dostatecznym stopniu uwzględ-

niany, a ujemne tego skutki są ignorowane. Dlatego lewica musi zawsze i aktywnie działać na rzecz obrony stanowiska reprezentującego rację ogólnospołecznej racjonalności w przypadku jej konfliktu z aspiracjami indywidualnymi, naruszającymi interes wspólny, nawet wtedy, gdy jest to niepopularne. Trzeba aktywnie przeciwstawiać się postawom opartym na prymitywnym rozumieniu rzeczywistości, wierze w zjawiska nadprzyrodzone, zabobony i przesady. Jest to szczególnie ważne właśnie dzisiaj, gdy w środkach masowego przekazu występuje silna fala nawrotu do postaw nieracjonalnych. **Lewica musi więc orientować się na jak najszerszą współpracę z nauką i środowiskami ją reprezentującymi.**

3. Wielka przemiana cywilizacyjna, w obliczu której stoimy, wzmacnia w zasadniczy sposób rolę nauki, edukacji i prospołecznych postaw w osiągnięciu nadrzędnego celu. W ich rozwoju i kształtowaniu kluczową rolę odgrywa sektor publiczny, zatem jego znaczenie będzie rosło w zasadniczy sposób w społeczeństwie przyszłości. Lewica musi aktywnie działać na rzecz modernizacji, racjonalizacji i dofinansowania tego sektora. Dlatego powinna dążyć do realizacji skandynawskiego modelu współczesnego kapitalizmu i odejścia od dominującego dotąd modelu anglosaskiego przynajmniej do czasu wykształcenia się bardziej sprawiedliwego modelu rozwoju ludzkości.

4. Lewica zawsze i wszędzie musi reprezentować interesy żyjących z własnej pracy oraz warstw ludności znajdujących się z różnych przyczyn w trudnej sytuacji materialnej. Od tej postawy nie może być odwrotu. Jednak możliwości realizacji tej funkcji i misji lewicy w przyszłym społeczeństwie zależą od możliwości uzyskania zasadniczego zwiększenia jej obecnego poparcia społecznego, wyrażanego w wyborach.

5. Warunkiem radykalnego zwiększenia poparcia jest otwarcie się lewicy na nowe grupy społeczne, których rola wzrośnie w społeczeństwie przyszłości pod wpływem zmian w strukturze społecznej. Największą zmianą będzie jakościowy wzrost roli i awans „pracowników wiedzy” w nowoczesnym procesie rozwoju i na przyszłym rynku pracy. Z prognoz wynika, że w ciągu najbliższych 20-25 lat ich liczba może przekroczyć pięć milionów osób, staną się więc oni głównym i dominującym elementem przyszłego rynku pracy. Zabiegając o poparcie lewica powinna więc orientować się **na pozyskanie sympatii tej najbardziej opiniotwórczej, dynamicznej i innowacyjnej grupy społecznej.** Stwarza to historyczną szansę dla lewicy.

6. Lewica ma szanse uzyskania poparcia „pracowników wiedzy”, jeżeli zdoła przekonać jej przedstawicieli, że może najlepiej:

- dokonać modernizacji kraju,
- reprezentować wymogi racjonalności ogólnospołecznej,
- bronić naszych interesów w Unii, a poczucie własnej wartości opierać nie na chwalebnej przeszłości, ale zdolności do równorzędnej konfrontacji z przedstawicielami tej grupy w innych krajach,
- przeprowadzić kraj przez trudny okres dostosowania tradycyjnych metod gospodarowania do nowych

wymogów wywołanych kryzysem ekologicznym współczesnego świata.

Wymagać to będzie jednak zmian w programach partii lewicowych i w tradycyjnej argumentacji politycznej, którą dotychczas posługiwała w debacie społecznej. Nie trafia do tej grupy społecznej, np. hasło obrony interesów warstw najgorzej uposażonych, gdyż należą oni do warstw najlepiej zarabiających. Jednakże właśnie ta grupa jest szczególnie wyczulona na te wyżej wymienione argumenty, chce bowiem żyć w kraju nowoczesnym, rządzącym się wymogami racjonalności, w społeczeństwie ludzi otwartych na konfrontację z innymi narodami w wyścigu do przyszłości, a nie na rozpamiętywaniu przeszłości, rozumiejącej równocześnie znaczenie ochrony środowiska, przyrody i klimatu w interesie przyszłych pokoleń.

Szczególnie silnie te cechy reprezentują ludzie młodzi. Może to stwarzać wysoką dla nich atrakcyjność koncepcji, jeżeli lewicy uda się utożsamić swój wizerunek z największą siłą dążącą do przyszłości i stać się jej symbolem.

7. Otwierając się na nowe grupy społeczne lewica nie może ani na chwilę tracić z oczu interesów ludzi żyjących z pracy i odczuwających największe troski o byt przez siebie niezawinione. Nie można więc już nigdy dopuścić do powtórzenia się sytuacji z lat 2001-2005, gdy za rządów lewicy doszło do utożsamienia w świadomości społecznej jej obrazu jako siły najbardziej antysocjalnej.

Oto przykłady skrajnie antysocjalnych decyzji podjętych przez lewicę w tym okresie: odejście od corocznej waloryzacji emerytur, skrócenie urlopu macierzyńskiego i likwidacja funduszu alimentacyjnego, dopuszczenie eksmisji na bruk, wprowadzenie w praktyce podatku liniowego dla osób samozatrudnionych. Skala tych decyzji nie była uzasadniona nawet w świetle załamania finansów publicznych pozostawionego przez rządy prawicy w Polsce, zwłaszcza jeżeli uwzględnić równoczesne obniżenie i to radykalne podatków dla biznesu. Przyczyną było zagubienie się przywódców ówczesnej lewicy i przyjęcie orientacji skrajnie neoliberalnej. To właśnie spowodowało nienotowaną w przeszłości porażkę polskiej lewicy, a nie posądzenia o afery czy ataki środków masowego przekazu lub inne przyczyny polityczne. Lewica musi z tego wyciągnąć wnioski, jeżeli w ogóle nie chce zniknąć z areny politycznej.

8. W obliczu narastającego kryzysu ekologicznego współczesnego świata lewica musi być główną siłą działającą na rzecz zmiany tradycyjnych metod gospodarowania w kierunku przejścia ludzkości do modelu trwałego rozwoju (*sustainable development*). To taki model rozwoju, który kojarzy potrzeby ekonomiczne, społeczne i ekologiczne. Musi to oznaczać odrzucenie modelu rozwoju, w którym cele ekonomiczne są realizowane kosztem interesów społecznych i środowiskowych wciąż jeszcze dominującym we współczesnym świecie. Tylko taki nowy model rozwoju jest w stanie doprowadzić do zgodności naszych celów z potrzebami przyszłych pokoleń.

ANDRZEJ KARPIŃSKI
25.02.2010 r.

JERZY HAUSNER

JAK ZROBIĆ PRYZYWOITE PAŃSTWO?

Jest mi bardzo przyjemnie, że promocja tej książki* odbywa się w „Kuźnicy” – to naturalne dla mnie miejsce. Chciałbym też powiedzieć, że sprawcą tej książki, choć moje nazwisko figuruje na okładce, jest Andrzej Kurz. I to w dwojakim sensie. Z jego inicjatywy zostałem przewodniczącym „Kuźnicy” po śmierci Andrzeja Urbańczyka. Wówczas w ogóle nie liczyłem się ani z taką możliwością, ani że będę kandydował do parlamentu. Sposób, w jaki mnie o to proszono, był dla mnie ogromnie zaszczytny i dlatego się zgodziłem przy bardzo silnych, wewnętrznych oporach.

Moja rola przewodniczącego stowarzyszenia była ograniczona, bo przecież byłem bardzo obciążony różnymi zadaniami, nie bywałem na co dzień w „Kuźnicy”. Ale uważałem, że mogę jej pomóc w dwojaki sposób. Po pierwsze, pokazując „Kuźnicę” na zewnątrz i stwarzając możliwość jej zaistnienia w przestrzeni publicznej. Po drugie swoimi wystąpieniami merytorycznymi o charakterze społeczno-politycznym, które były tekstami programowymi przedstawianymi właśnie w „Kuźnicy”, a potem żyły własnym życiem. Część z tych tekstów przygotowałem specjalnie z myślą o naszych spotkaniach i są one zawarte w tej książce. Nie nosiłem się jednak z myślą o jej wydaniu.

* Zapis wystąpienia autora w „Kuźnicy” z okazji promocji jego książki zatytułowanej *Z „Kuźnicy”, z rządu i spoza...* (Universitas 2009).

Kiedy zakończyła się moja działalność rządowa, założyłem, że zanim kiedykolwiek wrócę do działalności publicznej, to napiszę dwie książki. I je napisałem. W jednej z nich, która została wydana w 2007 roku, zdałem akademickie sprawozdanie z mojej pracy rządowej i jest to książka o polityce gospodarczej lat 2001-2005. Nie miała ona zbyt szerokiego odbioru, ale nie zajmując się zupełnie ludźmi i kuchnią polityczną przedstawiłem w niej politykę gospodarczą tego okresu – jakie były pomysły, jaka realizacja i jakie konsekwencje. Książka ta została uznana za szalenie pesymistyczną, ponieważ pokazuje w istocie rzeczy pętlę rozwoju, czyli powracanie do tych samych problemów i pozostawanie w praktyce w tym samym miejscu. Napisałem też drugą książkę dla mnie ważną, mianowicie pierwszy podręcznik akademicki do zarządzania publicznego, a tego tak naprawdę uczę i to mogłem obserwować z praktycznej strony.

Andrzej Kurz powiedział, że przewodniczący „Kuźnicy” powinien się wylegitymować jakąś pracą w kuźniczańskiej bibliotece. Zaczęła się rozmowa, w wyniku której książka uzyskała taki a nie inny kształt. Nic nowego na jej użytek nie napisałem, są to rzeczy notowane na gorąco, z wszystkimi tego konsekwencjami. Dzisiaj o wielu sprawach mogę myśleć inaczej, ale wówczas tak to widziałem i prezentowałem. Nie ma tam faktów nieprawdziwych czy przeinaczeń. O ludziach pisałem

z perspektywy mocowania się ze sprawami, a nie żeby kogoś zwalczać. W warstwie personalnej starałem się pokazywać mechanizmy i procesy, a nie atakować konkretne osoby.

Przypomniała mi się pewna sytuacja. Kiedyś czekając na samolot na Okęciu, w poczekalni VIP-ów spotkałem Henry'ego Kissingera, a ktoś z organizatorów jego wizyty w Polsce przedstawił mnie tak: „To jest pan Jerzy Hausner, wicepremier, zajmuje się sprawami gospodarczymi i jest osobą bardzo niepopularną”. Kissinger uśmiechnął się i powiedział: „Jeśli pan jest w swoim kraju niepopularny, to widać robi pan bardzo ważne rzeczy”. Przytaczam tę opinię, bo bez względu na to, czy robiłem dobrze czy źle, zajmowałem się naprawdę ważnymi sprawami. Nie przywiązywałem żadnej wagi do tego, aby zdobyć popularność. Zależało mi, aby to co robię było mądre, racjonalne i trafione z punktu widzenia potrzeb kraju. A na temat konsekwencji tych działań można dyskutować.

Od pewnego czasu z moim kolegą z rządu Marka Belki, byłym ministrem finansów Mirkiem Gronickim publikujemy teksty w różnych tytułach, celowo zresztą je zmieniając („Rzeczpospolita”, „Gazeta Wyborcza”, „Polityka”, „Dziennik Gazeta Prawna”), w których oceniamy sytuację Polski w dobie kryzysu. To, co teraz powiem, będzie w części powtórzeniem zawartych tam tez, ale zostanie uzupełnione o najnowszą prognozę gospodarczą.

Po roku trwania kryzysu oglądanego z polskiej perspektywy zadajemy sobie wszyscy pytanie, dlaczego przechodzimy go łagodniej niż inni. Dlaczego nam idzie lepiej? Udzielenie na to odpowiedzi ma głęboki sens.

Moje wyjaśnienie składa się z trzech punktów. Otóż nasze względne powodzenie polega na tym, że mamy niski, ale dodatni wzrost gospodarczy, podczas gdy wszyscy wokół mają wyniki ujemne. Jest to, moim zdaniem, efekt „renty zacofania”. Nasza gospodarka jest jedną z większych, ale jej poziom otwarcia (chodzi o wymianę zagraniczną) jest znacznie niższy niż u naszych sąsiadów – Słowaków, Węgrów, Czechów, co oznacza, że udział importu i eksportu w tworzeniu PKB jest tam znacznie wyższy. Polska ma więc znacznie mniej zaawansowaną gospodarkę w sensie jej otwarcia na wymianę handlową. I jeśli jednym z ważnych czynników kryzysu światowego jest spadek wymiany międzynarodowej i handlu głównych krajów, my odczuwamy to słabiej, bo dla wytworzenia polskiego PKB wymiana ma mniejsze znaczenie.

Drugim elementem renty zacofania jest to, że poziom kapitalizacji gospodarki, poziom jej „monetyzacji”, rozwoju systemu finansowego, jest w Polsce niższy, co sprawiło, że drugi z najistotniejszych kanałów, którymi przenosiły się impulsy kryzysu do poszczególnych krajów, w polskiej gospodarce oddziaływał słabiej. I nie miało znaczenia, że w Polsce jest wiele banków zagranicznych, ważne jest to, że u nas nie stosowano różnych instrumentów finansowych, które pogrążyły gospodarkę amerykańską. W Polsce też mamy „toksyczne papiery”, ale skala ich udziału w gospodarce finansowej była o wiele mniejsza.

I trzeci element – polska gospodarka ciągle ma strukturę pochodzącą z poprzedniej fazy rozwoju, bo np. opieramy ją o własny węgiel. Innymi słowy, jeste-

śmy dużą gospodarką o strukturze zdywersyfikowanej, mogliśmy więc zrównoważyć niepowodzenie gałęzi bardziej nowoczesnych względnym powodzeniem bardziej tradycyjnych. Kraje, które znacznie więcej kapitału niż my importowały, które stały się „wielką montownią”, poniosły większe konsekwencje, bo właśnie załamały się przemysły tego rodzaju. I renta zacofania w tej konkretnej sytuacji nam pomogła.

Jeszcze jeden czynnik – szczęśliwy splot okoliczności. Sekwencja zmian była dla nas nadzwyczaj korzystna. Po długim okresie umacniania się złotego polski pieniądź gwałtownie osłabł pod koniec 2008 i na początku 2009 roku. Osłabienie złotego spowodowało, że eksport polski spadł tylko o 10 proc. a więc znacznie mniej niż w innych krajach, a równocześnie znacznie więcej spadł import. Gdyby złoty był mocniejszy, skutek kryzysu dla naszej gospodarki byłby znacznie poważniejszy. Tego nie da się rozumowo wytłumaczyć, to jest splot okoliczności, który być może mógłby lepiej wyjaśnić psycholog zajmujący się biznesem niż ekonomista.

Tu wypada kilka zdań poświęcić polityce gospodarczej – zarówno jej dobrym, jak i złym elementom. Obecny rząd o wielu rzeczach mówił, ale ich nie robił. Więcej było deklaratywnej polityki niż rzeczywistych posunięć. I znów można dyskutować, czy to dobrze czy źle. Głównie pomagało nam to, że rząd PiS-u zdecydował się na obniżenie obciążeń podatkowych, co ja uważałem i nadal zresztą uważam za błąd w tamtej fazie cyklu koniunkturalnego. PiS zrobił ten ruch w sytuacji wysokiej koniunktury, a rząd PO go podtrzymał. Chodzi przede wszystkim o obniżenie składki rentowej płaconej przez pracownika i pracodawcę oraz obniżenie stawek procentowych podatków od dochodów osobistych. Zeszliśmy od stawek 40, 30, 19 do 32 i 18. Te dwie operacje kosztują polski budżet co najmniej 20 mld zł., jednak nieobecność tych pieniędzy w budżecie oznacza, że zostały gdzieś w obiegu i przyczyniły się do wzrostu konsumpcji. I ten wzrost konsumpcji, który niczym „dopalacz”, środek dopingujący, zastąpił eksport i w znacznej mierze złagodził skutki kryzysu procesu wytwórczego. Te zjawiska pomogły polskiej gospodarce. Ale, niestety teraz będą szkodzić.

Natomiast za korzystne także w dalszej perspektywie trzeba uznać porządne regulacje naszego systemu bankowego. NBP pilnował regulacji prawnych i w Polsce żaden bank nie upadł, a nasz nadzór bankowy umiał zapanować nad trudną sytuacją. O wielu posunięciach NBP można i trzeba krytycznie mówić, ale w tym przypadku postawa jego i Komisji Nadzoru Bankowego spowodowały, że w tej dziedzinie nie mieliśmy poważniejszych zagrożeń.

Czynników, które zadecydowały o naszym względnym powodzeniu jest więcej i w żadnym wypadku nie można tego sukcesu przypisywać polityce gospodarczej rządu. Zdecydowały o tym rozmaite działania w różnych okresach, które wytworzyły nam przejściowo korzystną sytuację. Jestem bowiem przekonany, że po 2010 roku Polska już nie będzie przodowała, podczas gdy inne kraje znajdują się na poziomie równym albo wyższym od nas. Będziemy obserwowali w Polsce relatywnie długi okres odbudowywania tendencji wzrostowych. Większość polskich ekonomistów uważa, że dla Polski naturalne tempo wzrostu, które wynika z na-

szego potencjału i jest niezbędne, byśmy mogli radzić sobie w otaczającym świecie, to jest 5 proc. PKB. Taki poziom osiągniemy w 2013 roku, czyli odbudowanie wysokiego tempa wzrostu potrwa kilka lat.

Są konsekwencje tego procesu, bo to co najgorsze nie dzieje się w procesie wytwarzania. Pamiętajmy, że stopa bezrobocia jest ponownie dwucyfrowa i w najbliższych latach będzie rosła. Może nie tak dramatycznie jak na przełomie poprzedniej i obecnej dekady, a więc nie dojdzie do 20 proc., ale w 2011 roku wyniesie powyżej 14 proc. A to oznacza, że konsumpcja krajowa nie będzie czynnikiem pro wzrostowym. Jeśli chcemy więc odzyskać wysoki wzrost, mamy tylko dwie drogi. Jedną z nich jest silny wzrost eksportu. I to może się zdarzyć, jeśli będzie rosła w Polsce wydajność pracy, bo siła polskiej gospodarki przez cały okres transformacji polegała na tym, że wydajność pracy i, ogólnie rzecz biorąc, produktywność u nas rosły szybciej niż u naszych konkurentów. Jednak w ostatnich latach tak wysokiej konkurencyjności polskie przedsiębiorstwa już nie miały, bo płace zaczęły rosnać szybciej niż wydajność pracy. Jeśli uda nam się wrócić do zasady, że płace rosną wolniej niż wydajność, to będziemy odbudowywali naszą konkurencyjność.

Niepokojące rzeczy dzieją się jednak w finansach publicznych. Rok 2009 to poziom deficytu rządu 5,6 proc. PKB. My przewidujemy, że w roku następnym będzie to już blisko 7 proc., a wskaźnik długu publicznego w stosunku do PKB przekroczy w 2010 roku poziom 55 proc. zaś w 2013 osiągnie 61,9 proc. Dyskusja o tym, czy Polska jest za bardzo zadłużona, musi uwzględniać różne konteksty. Groźna jest dynamika wzrostu tego zadłużenia! W tym roku będzie ono w porównaniu do ubiegłego większe o około 100 mld zł! Przypominam, że kiedy ja odpowiadałem za gospodarkę, zadłużenie wynosiło około 400 mld zł. Dziś zbliżamy się do 800, a nastąpiło to po latach wysokiej koniunktury. Na tym polega niebezpieczeństwo tej sytuacji. A to z kolei oznacza, że stoi przed nami problem nie koniunkturalny, lecz strukturalny! I będzie on rzutował w średnim okresie na naszą zdolność do utrzymania wysokiego tempa wzrostu gospodarczego.

Moje myślenie o gospodarce jest inne niż Leszka Balcerowicza. On próbował gospodarkę zrównoważyć, osiągać to poprzez cięcie wydatków, ja próbowałem kłaść nacisk na konkurencyjność, produktywność i przedsiębiorczość, i tą drogą utrzymywać wysoki wzrost, aby skutecznie podejmować naprawę finansów publicznych. Niekoniecznie trzeba obniżać wydatki, należy tylko powstrzymać ich szybki wzrost. Żadna z moich propozycji nie polegała na odbieraniu czegoś, co ludzie otrzymali zgodnie z prawem. Gdy mowa np. o rentach, zawsze podkreślałem, że weryfikacja nie polega na zabieraniu świadczeń tym, którzy je dostali zgodnie z przepisami. Tworząc bezpieczny system finansów publicznych tworzymy najlepsze warunki do rozwoju gospodarczego i mamy szansę na godne finansowanie zdrowia, kultury i nauki.

Jestem zwolennikiem wejścia Polski do strefy euro i przypominam, że nie jest to kwestia wyboru tylko zobowiązanie, jakie przyjęliśmy w traktacie akcesyjnym; mamy tylko możliwość wyboru daty. Ale niestety zmar-

nowaliśmy szansę, jaką stworzyły rządy SLD. Podjęte wówczas kroki, gdyby były kontynuowane przez naszych następców, mogły Polskę doprowadzić do strefy euro w 2009 roku. Tak się nie stało. Czy to dobrze, czy źle? Z obecnej perspektywy wygląda na to, że stało się dobrze, bo euro byłoby jeszcze jednym kanałem transmisji kryzysu. Jednak nie ulega wątpliwości, że rządy PiS-u, a w szczególności polityka Zyty Gilowskiej nasze szanse zniszczyła. W 2005 roku spełnialiśmy wszelkie warunki, teraz, po kryzysie będziemy musieli poprawić znacząco niektóre parametry i warunki akcesji. Gdyby się jednak trzymał obecnych wymogów, datami optymistycznymi byłyby lata 2014 lub 2015.

Wypowiedź premiera Tuska o wejściu Polski do strefy euro w 2011 roku przez żadnego ekonomistę nie została potraktowana poważnie. Dziś nie spełniamy żadnych kryteriów i co gorsza, gdybyśmy teraz usztynili kurs, byłby to najgorszy moment. Jesteśmy więc w sytuacji, w której wszystko musimy zaczynać od nowa, a cała ścieżka musi się zaczynać od pytania: co zrobimy z obecnym stanem finansów publicznych?

W każdym większym przedsięwzięciu, a wejście do strefy euro takim przedsięwzięciem jest, trzeba widzieć jego konsekwencje dla polityki gospodarczej w dłuższym okresie czasu. Był to ważny punkt orientacyjny dla rządu Millera. Wszystko co trzeba było zrobić, zostało zrobione na czas. Regułą jest: jedni projektują, inni doprowadzają rzecz do końca, a trzeci korzystają. Co dziś jest takim punktem orientacyjnym dla polskiej gospodarki, kamieniem milowym? Nic takiego nie ma. Czy takim punktem może być euro? Może być! To wedle mnie bardzo rozsądne pod warunkiem, że wejście do euro nie traktujemy jako problem techniczny, lecz ekonomiczno-strukturalny. Patrzymy nie tylko na wskaźniki, ale na konkurencyjność i produktywność polskiej gospodarki. Niezbędna jest też świadomość, że jak jeden rząd coś zaczyna, to drugi winien rzecz kontynuować, a trzeci dopełnić. Tego w Polsce zupełnie nie ma. Pomyśmy, ile razy zmieniano w Polsce koncepcję budowy autostrad? Mógłbym coś o tym powiedzieć. To jest sumaryczne niepowodzenie polskiej klasy rządzącej, całej polskiej polityki, a nie radzimy sobie dlatego, że zaczynamy od niszczenia tego, co robili poprzednicy, bo my wiemy lepiej!

Są tacy, którzy uważają, że odpowiadają za upadek rządu lewicowego. Pytam jednak, co mają na myśli? Rzecz dzieje się w połowie 2003 roku. To moment, kiedy Kwaśniewski wystąpił z inicjatywą odejścia Millera. Jesteśmy po referendum i Miller występuje o wotum zaufania, które ostatecznie parlament przegłosowuje. Jestem wówczas wicepremierem zaledwie parę tygodni. To, przepraszam, jaki jest mój związek ze sprawą? Ktoś powie, że za całokształt. Jeśli za całokształt, to już nie ja sam! Trzeba by do tego dodać wszystkich łącznie z Millerem i przypominam, że nie ja byłem ministrem finansów – nie chciałem nim być po odejściu Belki.

Wtedy dochodzi do rozmowy z Markiem Borowskim, jedną z kluczowych postaci w tym kryzysie. Usiłuję mnie przekonać, że bym nie poparł Millera w tym sporze. Odpowiedziałem – zgoda, Miller powinien odejść, ale nie może być tak, że on odejdzie, a potem wy będziecie się zastanawiali, kto po nim przejmie

schedę. To byłoby zabójcze dla naszej gospodarki, za co odpowiadam. Powiedziałem mu, żeby się spotkali w siódemkę, czy ilu ich tam tych głównych postaci było, z Kwaśniewskim, i wyłonili wyrazistego lidera. Potem idźcie do Millera, zaproponujcie mu honorowe i godne odejście.

Wtedy Borowski powiedział mi tak: Przyjmujesz błędne założenie, bo uważasz, że chodzi o to, żebyśmy dalej rządili, czyli żeby był następny premier! A chodzi o to, żebyśmy oddali władzę, bo teraz, jak będą wybory po odejściu Millera, to będziemy mieli 20 proc., ale zwycięzcy będą musieli naprawiać finanse publiczne, a my wkrótce wrócimy do rządu. Spytałem wtedy Borowskiego – a gdzie tu jest Polska? I od tego momentu przestałem się przejmować, jak kierownictwo SLD radzi sobie ze swoimi problemami.

Złego słowa o Leszku Millerze nie powiem, bo jako przełożony dotrzymał słowa i przy nim zrobiłem więcej niż przy moim przyjacielu Marku Belce. Ale nie ja tę sytuację stworzyłem. Kryzys, który powstał w SLD, spadek jego znaczenia i spadek poparcia zaczął się znacznie wcześniej. Ja zostałem poproszony o ratowanie gospodarki i finansów publicznych. Zatem pytam – czy lepiej byłoby dla SLD, gdyby koncepcja Borowskiego wygrała? Może dla SLD tak, chociaż nie wiem czy taki rachunek miałby sens. Ale uważam, że tak nie wolno!

Rodzi się pytanie czy SLD poniosło konsekwencje za to, co zrobiło, czy za to, czego nie zrobiło? Jeśli twierdzimy, że myśmy uratowali gospodarkę, to trudno powiedzieć, że Hausner jest winien. Moim zdaniem porażka SLD polega na tym, że nie opanowano wielu zachowań, do jakich nie wolno było dopuszczać i tolerowano je... Nie chodzi mi o taką czy inną aferę, ale o 600 osób na urodzinach prezydenta, o wyjazd połowy rządu na prywatnego sylwestra i całą masę rzeczy, o których ludzie wiedzieli, o których mówili i przed którymi ludzie sympatyzujący z lewicą ostrzegali! Nie zrozumiano zdania, że nam „wolno mniej”! To nie znaczyło, że nam wolno mniej w polityce, to oznaczało, że nam nie wolno dopuścić do sytuacji, w której może przylgnąć opinia o braku uczciwości i przyzwoitości! Nie umiano odpowiednio zareagować na groźne symptomy. Nie rozprawiano się z takimi zjawiskami, przejmując inicjatywę. To co się nazywa „afery Rywina”, było jednym pasmem błędów w tej kwestii. Porównajcie to z obecnym zachowaniem Tuska.

Jak się popatrzy na polskie rządy to widać, że łatwo niektóre ugrupowania zdobywają władzę, ale nie potrafią skutecznie rządzić. Najgorzej wypadają nie te, które próbowały rządzić, ale te, które pozorują rządzenie, bo pozbawiają się na przyszłość mandatu do rządzenia. Czym innym przecież jest 50 mandatów w sejmie, a czym innym mandat do rządzenia. Problem SLD dziś polega na tym, że jest to formacja, która ma swój elektorat i będzie miała swoją reprezentację. Ale pytam, czy dziś społeczeństwo polskie traktuje SLD jako partnera do rządzenia i czy lokuje w nim nadzieje na rządzenie? A jeśli PO będzie dalej tak działała jak działała, to za to zapłaci. Dziś ludzie ją popierają, bo brak realnej alternatywy, ale ten mandat zaufania bardzo szybko się wyczerpie.

Uważam, że polska polityka z wyborów na wybory marnieje. I nie chodzi tylko o brak zaufania do konkretnych polityków. Tu chodzi o generalne przekonanie, że polityka nie daje napędu, że coraz wyraźniej marnujemy nasz potencjał rozwojowy. Konieczne jest utrzymanie przestrzeni publicznej, która nie byłaby kolonizowana przez partie polityczne.

Wystarczy popatrzeć na media publiczne – radio i telewizję. Przecież dla nikogo nie jest tajemnicą, że to ogromnie ważna część przestrzeni wspólnych znaczeń i wspólnego komunikowania się, tymczasem telewizja publiczna równa się telewizja partyjna. Jeśli nie przywrócimy telewizji publicznej, to jakaś niezbędna część polskiej kultury i niezbędna część przestrzeni publicznej oraz dialogu obywatelskiego zniknie. Zresztą coraz mniej jest instytucji, które nie są podporządkowane krótkookresowej racjonalności polityki partyjnej. Różne siły polityczne próbują podporządkować sobie Trybunał Konstytucyjny, a także Radę Polityki Pieniężnej.

Należę do osób, które bardzo energicznie przeciwstawiały się koncepcji zmian społecznych zaproponowanych przez Balcerowicza. Moje teksty z początku lat 90. dotyczyły nie tylko przemian gospodarczych, ale także tego, jak powstają w Polsce instytucje, jak będą się rozwijały inne elementy uzupełniające rynek. Nigdy z tej swojej krytyki nie zrezygnowałem. Ale widząc, jak się cały proces potem rozwinął, musiałem sobie zadać pytanie, czy istniała w Polsce realna siła polityczna, która mogła to zrobić inaczej. Czym innym jest, jak czyni to mój przyjaciel Tadeusz Kowalik, powiedzieć sobie – ja bym chciał, żeby to było lepiej, inaczej, a czym innym jest to zrobić. To dwie różne rzeczy.

Balcerowicz jako osoba publiczna w wielu krytycznych momentach podejmował decyzje, które nie były łatwe. Jego kostyczna osobowość powodowała, że traktowano go jak skrajnego doktrynera albo dogmatyka, ale to jego wewnętrzne przekonanie w kluczowych momentach powodowało, że potrafił publicznie bronić swoich posunięć. Gdy obciąża się go odpowiedzialnością za losy mieszkańców PGR-ów, to warto przypomnieć, że nie Balcerowicz je likwidował. Faktem jest jednak, że nie uważał za potrzebne tworzenie programu prorozwojowego dla polskiej wsi. Trzeba też pamiętać, że to Tadeusza Syryjczyk mówił, iż najlepsza polityka gospodarcza, to brak takiej polityki. Ja z tym polemizowałem. I jestem współautorem, a przynajmniej inicjatorem istotnych koncepcji dotyczących rozwoju lokalnego w Polsce.

Opracowaliśmy w latach 1994-1996 dwa projekty: „Koncepcja polityki regionalnej” i „Koncepcja polityki strukturalnej”. W okresie rządu SLD zainicjowałem ustawę o instytucjach pożytku publicznego i wolontariacie, która jest konstytucją organizacji pozarządowych w Polsce. Mało kto dostrzega ten wymiar mojej działalności, ale ta ustawa została uchwalona po sześciu latach moich zabiegów. Nie przypisuję sobie tu wyłącznego autorstwa, to było wspólne myślenie o Polsce obywatelskiej. Jeśli teraz zajmuję się kwestiami finansowania kultury to nie dlatego, że uważam, że ktoś mi zlecił jakąś robotę, tylko dlatego, że uważam, iż nam brakuje myślenia o rozwoju kultury. Dlatego przedstawiłem pewne propozycje rozwiązań. Przypominam też moje

zaangażowanie od lat w problematykę ekonomii społecznej, prowadzenia działalności gospodarczej dla celu społecznego. Dlatego wspólnie z prof. Hubertem Izdebskim opracowałem ustawę o przedsiębiorczości społecznej.

Nie jestem dziś antyBalcerowiczem dlatego, że nie wiem, co w jego sytuacji robiłbym podobnie, a co inaczej. Jak mogłem, uzupełniałem to, co on zrobił. I wiem, że Balcerowicz nie mówi o tym co ja zrobiłem, że to były bezsensowne działania. Każdy z nas ma pewną ograniczoną zdolności do usystematyzowania świata. Nie ma ludzi, którzy wszystkim są w stanie ogarnąć. A po drugie, każdy ma ograniczoną zdolność działania w swoim miejscu i czasie.

Balcerowicz pchnął gospodarkę w kierunku rynku i za to należy mu się pomnik. Mówi się, że jego polityka spowodowała spadek majątku czy dochodu narodowego o 30 proc. Pytanie: spadek czego? Czegoś co istniało, czy czegoś co nie istniało? Balcerowicz robił wszystko najlepiej jak potrafił i jak można było wówczas zrobić. Przypomnę tutaj, że ta pierwsza lewica z Kwaśniewskim, Cimoszewiczem i Oleksym hurtem za tym głosowała! Natomiast rzecz polega na tym, czego Balcerowicz nie zrobił, na tym, co Kuroń przeżywał jako osobisty dramat do końca życia mówiąc, że dał się uwieść. Kiedy rozpoczynałem swoją drogę jako minister pracy i polityki społecznej Jacek Kuroń przyszedł do nas i powiedział: „Słuchajcie, to jest najlepszy minister pracy, on wie o wiele więcej o tych problemach niż ja wiedziałem. Chciałbym wtedy wiedzieć tyle, ile on wie”. Za to Balcerowicza możemy winić tylko częściowo. Można go krytykować, ale nie wolno piętnować!

Uważam, że bez rynku nie moglibyśmy osiągnąć tego co osiągnęliśmy! Uważam też, że rynek nie jest wystarczającym mechanizmem sterującym gospodarką, a obecny kryzys to potwierdza, ale bez rynku byśmy sobie w ogóle nie poradzili. Więc najpierw trzeba było mieć rynek, później go instytucjonalnie obudowywać, czego zresztą Balcerowicz do końca nie lekceważył. Ale tu jest przedmiot sporu. I jeszcze przypomnę, że kandydaturę Balcerowicza na prezesa NBP zgłosił Aleksander Kwaśniewski. I to było mądre.

Z grupą kolegów (Mira Marody, Jerzy W. Kern, Andrzej Wojtyła, Marek Zirk-Sadowski), oprócz przypomnienia „miękkiego państwa” autorstwa Gunnara Myrdala, wprowadziliśmy także pojęcie „zinstytucjonalizowanej nieodpowiedzialności”. Ta kategoria, odnoszona do społecznego wymiaru nieodpowiedzialności, ale też administracyjnego, biurokratycznego i politycznego, moim zdaniem doskonale opisuje świat, w którym uczestniczymy. Powiem tak – Polacy nie uciekają od wolności i pod tym względem nie przypominają społeczeństw państw totalitarnych. Polacy chronią wolność, ale własną. Robią wszystko, co dotyczy wymiaru indywidualnego, żeby tę wolność poszerzać. Natomiast gdy idzie o odpowiedzialność za coś więcej niż za siebie, wszystko ulega degradacji, bo mamy do czynienia nie tylko z procesem nieprzyjmowania odpowiedzialności, ale też przrzucania odpowiedzialności na innych. Historia z Chlebowskim to piękny przykład. Nie chodzi tu bowiem o to, czy ktoś chciał dawać łapówkę, nie widać zresztą kryminalnej części tej afery. Istota sprawy polega na tym, że ten człowiek nie zachowywał się jak

przedstawiciel państwa. To, że rozmawiał z biznesmenami nie jest niczym zdrożnym. Pytanie brzmi: z jakich pozycji rozmawiał? Jeśli się wykonuje jakiś mandat, to powinno się spełniać określoną rolę społeczną i brać za nią odpowiedzialność.

Przy okazji strajków w służbie zdrowia zobaczyliśmy to, co występuje w całej sferze publicznej: prywatyzacja zysków – upublicznianie strat. To dotyczy różnych grup społecznych, ale i polityków. Sfera mikrokosmosu rozwija się w Polsce dynamicznie, sfera makro słabnie i degeneruje się. Jeśli tego nie przezwyciężymy, będziemy musieli przegrać. Rynek do tego nie wystarczy, musimy go obudować różnymi instytucjami, różnymi innymi formami, które powinny być do siebie dopasowane. I dopiero tak złożony system, który ma jeszcze do tego zdolność do dostosowywania się do nowych sytuacji, będzie mógł odpowiedzieć na najważniejsze problemy. Niezbędna jest przy tym aktywność niepartijnej części sfery publicznej, bo to jest sfera korygowania błędów, które dziś w najlepszym wypadku koryguje co cztery lata zmiana polityczna.

Weźmy sprawy górnictwa. Jedna szkoła głosi – urynkować, druga, którą my uprawiamy, ma ten skutek, że górnictwo jest ciągle pod ochroną państwa. Efekt jest taki, że bez przerwy wyciągane są miliardy złotych, których potem brakuje na zdrowie i oświatę. Proponowałem zachować to, co efektywne, a nieefektywne przekształcić w coś innego. Oznacza to utrzymanie miejsc pracy, ale poprzez przejście od jednego rodzaju gospodarki przemysłowej do innego, co wymaga silnych, racjonalnych i aktywnych władz samorządowych. Tę alternatywę dla Śląska budowałem trzy lata i nie przeszkadzało mi, że żony górników przychodziły pod mój dom. Potem zaczęła następna ekipa...

Wiem też, o co w SLD były do mnie pretensje. Jeden z czołowych działaczy partii przyniósł mi całą listę nazwisk ludzi, którzy powinni być dyrektorami w kopalniach. A ja powiedziałem, że żadna z tych os—b,p—kijestem ministrem, nie zostanie mianowana, ale jeśli obecni dyrektorzy będą źle zarządzali, to ich zmienię. Bo ci ludzie nie są od tego, żeby załatwiali czyjeś sprawy, ale od tego, żeby tam efektywnie pracowano. Popatrzmy, co od lat dzieje się w KGHM. A co działo się ze stoczniami? Rodzi się tylko pytanie, co powinno powstać na ich miejscu, bo nie może być tak, że ludzie tracą pracę, a po przedsiębiorstwach zostaje pustka, bądź co najwyżej teren developerski.

Pierwsze SLD rządziło całkiem przyzwoicie, potem było zwycięstwo wyborcze AWS i jej totalna porażka! To, że Buzek dzisiaj jest tak wyniesiony, nie ma nic wspólnego z jakością tamtego rządu. Drugi okres rządów SLD, który nas tak boli, a ja brałem w tym udział, to wielki sukces wyborczy i częściowa niezdolność do rządzenia oraz zupełnie fałszywe o nim wyobrażenie. PiS wygrał, bo ludzie rzeczywiście sądzą, że cały problem jest w państwie i jego strukturach, ale nie zgodzili się przecież na takie państwo, jakie PiS próbował stworzyć.

Jak zrobić przyzwoite państwo – to powinno być przedmiotem zainteresowania lewicy, a nie to, ile i komu dać.

HENRYK DOMAŃSKI

KRYZYS DEMOGRAFICZNY A STOSUNKI SPOŁECZNE

Łatwiej jest przewidywać ekonomiczne konsekwencje starzenia się społeczeństwa polskiego niż skutki tego procesu dla struktury społecznej i postaw. Dla gospodarki luka demograficzna oznacza deficyt siły roboczej, a dla przyszłych rządów – konieczność znalezienia środków na finansowanie emerytur i opieki zdrowotnej. Byłby z tym mniejszy problem, gdyby Pol-

ska miała realną perspektywę dorównania gospodarkom rozwiniętych krajów zachodnich. W sytuacji, gdy w ciągu najbliższych kilkudziesięciu lat raczej tak nie będzie, stoimy przed perspektywą redystrybucji dochodów na rzecz ludzi starych. Kwestia redystrybucji sygnalizuje możliwość wyłonienia się kolejnego „konfliktu pokoleń” tym razem o wymiarze makrosystemowym,

a nie tylko na poziomie indywidualnych strategii i rodzin. Jest to jeden z kilku możliwych scenariuszy wydarzeń, jednak w świetle systematycznych analiz realistycznie rysuje się perspektywa braku wyraźniejszych punktów zapalnych między różnymi generacjami. Raczej jest tak, że procesy starzenia przyspieszą kilka innych zmian, które i tak muszą nadejść.

Niski prestiż

Punktem wyjścia musi być ocena obecnego stosunku Polaków do problemu starości. Odpowiedzi na pytanie, jak społeczeństwo postrzega ludzi starych i jakie przypisuje im miejsce dostarczają najnowsze ustalenia Europejskiego Sondażu Społecznego z 2008 r. Analiza tych danych potwierdza intuicyjne przekonanie, że po przekroczeniu bariery starości każdy powinien się liczyć z obniżeniem pozycji w hierarchii subiektywnie definiowanego statusu. Przede wszystkim – w jakim wieku ludzie są zaliczani do „starych”? Mogłoby się wydawać, że definicja „starości” zależy od tego, czy jest się starym, w średnim wieku, czy młodym – częściowo tak, ale różnice między kategoriami są stosunkowo nieduże. Odpowiadając na pytanie „w jakim wieku, Pana (i) zdaniem, ludzie zaczynają być uważani za osoby starsze?”, reprezentanci wszystkich kategorii wiekowych wskazywali na 58-62 lata. Dla osób najmłodszych (do 25 roku życia) granica ta sytuuje się średnio na poziomie 58, dla 40-50-latków na poziomie 62, a dla kategorii powyżej 65 lat starość zaczyna się od 60 roku.

Można by liczyć na to, że upodobnienie się Polski do zamożnych demokracji zachodnich spowoduje podniesienie postrzeganej bariery starości, jednak tak nie jest. Na zbliżonym poziomie sytuują ją Austriacy, Belgowie i Szwedzi. W 21 krajach, w których przeprowadzono badanie średni początek starości oscyluje w granicach 58-63 lata, a występujące między nimi różnice nie układają się w żadne prawidłowości, które można by przypisać np. poziomowi zamożności czy systemowi politycznemu. Oczywiście wiele się może przez kilkadziesiąt lat zmienić, niemniej prawdopodobnie brzmia hipoteza, że obiektywnego i nieuchronnego procesu zwiększenia się liczebności ludzi starych nie złagodzi przedefiniowanie tych zjawisk.

Co niesie przyszłość? Być może wszyscy są tego świadomi, ale warto to przekonanie potwierdzić, że cecha starości nie cieszy się wysoką estymą społeczną. Respondentom zadawano pytanie, jaką pozycję na skali od 0 do 10 zajmują osoby w wieku 20-30 lat, 40-50 i od 70 lat w górę. Pozycja ludzi starych okazuje się być zdecydowanie najniższa. W ocenie statystycznego Polaka kategoria ta sytuuje się na poziomie 3,65, najwyżej oceniany jest status społeczny środkowej kategorii (6,58), a dla najmłodszej ocena ta kształtuje się na poziomie 5,70. Ponieważ hierarchie prestiżu nie ulegają szybkim zmianom w czasie, nie należy oczekiwać szybkiej zmiany na lepsze.

I w tym przypadku, można by wiązać pewne nadzieje z dorównaniem zachodnim standardom. Według danych ESS dla 2008 r. mieszkańcy krajów zachodnich lokowali ludzi starych na wyższych pozycjach, niż było to w Polsce, co w szczególności dotyczy Holandii (5,91) oraz Szwajcarii i Belgii (5,61). Nie zmienia to faktu, że i tam najwyższa pozycja przypisywana jest ludziom

w środkowych przedziałach wiekowych (średnia dla tych krajów wynosi 7,2), trochę niżej premiowana jest młodość, natomiast najniżej sytuowani są ludzie najstarsi. Można by więc przewidywać, że w miarę zmniejszania się dystansu między społeczeństwami zachodnimi a Polską ocena pozycji społecznej ludzi starych może ulec zwiększeniu, chociaż i tak nie przeskoczą oni pozycji ludzi w średnim wieku i młodych.

Pewne jest jedno – prawidłowości te nie potwierdzają występowania zjawiska określanego mianem „infantyilizacji” społeczeństw rynkowych. Zdaniem Benjamina Barbera (książka *Skonsumowani*), najbardziej bezpośrednim przejawem tego procesu jest zaszczepianie przez przemysł marketingowy kultu młodzieńczości, zabawy i rozbudzanie wśród ludzi w wieku dojrzałym nawyków właściwych nastolatkom na przykład w dziedzinie rozrywki. Konserwatywni analitycy społeczeństw zachodnich wskazują, że negatywną konsekwencją infantyilizacji jest przejmowanie tych wartości i stylu przez ludzi dorosłych, co powoduje odwrót od obywatelskiej odpowiedzialności i zanik więzi społecznych. Argumentuje się, że kompulsywne dążenie do młodzieńczego wyglądu jest czynnikiem pogłębiającej się schizofrenii – rozpadu „ego” na impulsywne i niedojrzałe „ja”, które staje się wrogiem publicznego „my”.

Też o infantyilizacji można traktować jako odzwierciedlenie rozpoznanej, chociaż trudno powiedzieć w jakim zakresie nieodwracalnej tendencji zmian w dziedzinie kultury. Natomiast parafrazując (trochę jednostronne) opinie zwolenników tego poglądu należałoby stwierdzić, że nic nie wskazuje, aby zachwianie poczucia tożsamości i *ego* odwróciło dominującą w społecznej świadomości hierarchię ważności spraw, z którymi się stykamy na co dzień. Przypisywanie najwyższego statusu 40-50-lątkom sugeruje, że na pierwszy plan wysuwane są problemy wieku średniego. Ma to wymiar uniwersalnej prawidłowości, warto bowiem pokreślić, że ten sam rezultat występuje we wszystkich krajach i we wszystkich grupach wieku, a więc także ludzie najmłodszy nie oceniają siebie wyżej. Nie można oczywiście wykluczyć jednostkowych przypadków, gdy dominacja młodzieńczości w pracy i życiu rodzinnym prowadzi do braku dyscypliny i patologicznego narcyzmu.

Powszechna zgoda w ocenie znaczenia różnych grup wieku nie zapowiada konfliktu pokoleń. Występowanie w najstarszej grupie wiekowej najniższej samooceny statusu sugeruje brak wyrowanych aspiracji, których niezaspokojenie mogłoby prowadzić do napięć. Równie mało prawdopodobne jest to, że polem minowym będzie ocena ekonomicznej przydatności ludzi starych. Nie może być zaskoczeniem, że – w opinii statystycznego Polaka – oceniani są oni najniżej. O ile średnia ocena wkładu do gospodarki ludzi powyżej 70. lat kształtowała się w świadomości społecznej na poziomie 3,58, to kategorii najmłodszej wyniosła ona 6,09. Podobnie rysowało się to w innych krajach europejskich, ale słabiej. W przekroju 22 analizowanych społeczeństw, wkład ludzi starych do gospodarki oceniany był średnio na 4,16, a najmłodszej kategorii na 5,12.

Większa rozbieżność w zakresie oceny ekonomicznego wkładu tych kategorii dla Polski mogłaby

świadczą o przywiązywaniu większej wagi do ekonomicznych konsekwencji starzenia się społeczeństwa i wynikających z tego obciążeń. Z drugiej strony, ta powszechna opinia nie zderza się z opiniami ludzi starych. Dla stabilności każdego systemu politycznego optymalnym układem jest sytuacja, w której kategorii świadome własnej „gorszości” przekonane są o nieuchronności tego układu i konieczności pogodzenia się z losem. W istocie rzeczy przedstawiciele najstarszych grup nie wyróżniają się przesadną samooceną własnej przydatności – kształtowała się ona poniżej średniej dla Polski, na poziomie 3,4, przy czym najkorzystniejszą wizją ich przydatności – na poziomie 3,8 – charakteryzowały się osoby najmłodsze.

Klasa średnia i biedni imigranci

Za wizją pozornego bezruchu kryje się perspektywa długofalowych zmian w ramach struktury społecznej. Kryzys demograficzny może się częściowo przyczynić do konsolidowania się polskiej klasy średniej, a ujmując ściślej – charakterystycznych dla tej „klasy” orientacji życiowych. Ekonomia emerytalna jest prosta: w czasie kariery zawodowej trzeba odłożyć wystarczająco dużo środków, by sfinansować nimi konsumpcję na emeryturze. Kluczem do tego są stosowne zabezpieczenia instytucjonalne, których się oczekuje od państwa, ale – z drugiej strony – uświadomienie sobie, że wysokość świadczeń zależy od własnej zapobiegliwości, której elementem jest odkładanie zaspokojenia bieżących przyjemności na rzecz długookresowych korzyści. Zamożne społeczeństwa zachodnie ustanowiły w tym celu instytucję funduszy emerytalnych i *mortgage*, czyli pożyczki hipotecznej na zakup domu. W krajach takich, jak Stany Zjednoczone i Anglia pozwoliło to zrealizować ideał własnego „domku z ogródkiem”, który stanowił echo potrzeby posiadania własności. Rozpowszechnienie się mentalności posiadacza jest chyba najważniejszym czynnikiem formowania się społeczeństwa klasy średniej. Oczywiście, żeby coś mieć, trzeba odpowiednio zarabiać, ale bogaceni musi towarzyszyć samodyscyplina w wydatkach. W przypadku starości związane jest to ze zrozumiałym dążeniem do rekompensaty za lata wyrzeczeń i pracy, i koniecznością utrzymania przyzwoitego poziomu, co powinno znaleźć odzwierciedlenie w indywidualistycznych strategiach polegania na sobie.

Jeżeli perspektywa dostosowywania się Polski do społeczeństwa klasy średniej jest w sumie korzystna, trudniej przewidzieć konsekwencje imigracji zarobkowej, która prawdopodobnie wzrosnie w odpowiedzi na tendencje zwiększającego się deficytu siły roboczej. Prawdopodobną jest, że w krajach Europy Zachodniej największe zapotrzebowanie na pracę dotyczy głównie osób o niskich kwalifikacjach z krajów biedniejszych. Ubocznym skutkiem napływu mniejszości etnicznych stało się poczucie zagrożenia tożsamości narodowej i utraty kulturalnego dorobku w krajach takich jak Dania, Holandia, Francja czy Wielka Brytania. Społeczeństwa będące modelowym wzorem tolerancji i liberalizmu dla krajów takich jak Polska stały się miejscem zamieszkania na tle rasowym i odżywają w nich uprzedzenia etniczne.

Czy spowoduje to jakiś zasadniczy kryzys tożsamościowy i w Polsce? Obecny stosunek Polaków do

tego problemu jest raczej pozytywny i nie zapowiada wrogości, czego świadectwem może być wysoki odsetek respondentów stwierdzających, że – ich zdaniem – „państwo powinno zezwalać na przyjazd i zamieszkanie w Polsce ludzi z biedniejszych krajów spoza Europy”. W świetle danych Europejskiego Sondażu Społecznego społeczeństwo polskie lokowało się z odsetkiem 23,9 na wysokim, trzecim miejscu na 22 kraje ustępując tylko Szwecji (33,9) i – z trudnych do zrozumienia powodów – Bułgarii (26,1). Natomiast wyprzedzaliśmy m.in. Francję, Wielką Brytanię i Holandię, w których przyzwolenie to kształtowało się poniżej 10%.

Zaskakująco dobrze wypada również ocena gospodarczych korzyści z napływu imigrantów dla Polski. Średnia ocena dla Polski – respondenci posługiwali się skalą od 0 do 10 – kształtuje się na poziomie 5,50, co sytuuje nas na 4 pozycji w europejskim rankingu – ustępujemy tylko Norwegii, Finlandii i Szwecji. Wynikałoby z tego, że w chwili obecnej Polacy nie widzą ekonomicznego zagrożenia ze strony imigrantów, które jest najczęściej występującym czynnikiem uprzedzeń. Brakuje również oznak zagrożenia utratą tożsamości kulturowej. Wnioskując z postaw jest nawet odwrotnie – aż 34% Polaków jest zdania, że „to, iż ludzie z innych krajów przyjeżdżają, aby żyć w Polsce nie szkodzi życiu kulturalnemu”. Ustępujemy tylko Finlandii (51,4%) i Szwecji (45,7%).

Wiele wskazuje, że Polacy oswoili się z obecnością mniejszości etnicznych. Jeżeli zaś chodzi o konsekwencje zwiększenia się imigracji dla struktury społecznej, to nie powinien on jej zmodyfikować i zmienić. Długo jeszcze nie będziemy tak atrakcyjnym miejscem stałego pobytu jak Wielka Brytania czy Dania, aby uruchomiło to falę masowego napływu. Więcej przemawia za tym, że Polska pozostanie krajem tranzytowych przemieszczeń z Południa i Wschodu na Zachód, co nie naruszy naszej jednolitości pod względem składu narodowościowego, nie zagrozi interesom i utracie wartości. Wzrost imigracji może się co najwyżej przyczynić do pewnego wzrostu nierówności – na ogół bowiem imigranci zasilają klasy niższe, a najbiedniejsi – kategorię określaną w krajach anglosaskich mianem *underclass*, czyli ludzi ubogich i wykluczonych (z uczestniczenia w życiu publicznym, kulturze itd.). Również i u nas dyskryminacja narodowo-etniczna ludności napływowej może być czynnikiem reprodukcji ubóstwa w wymiarze międzypokoleniowym.

Poważniejsze wydają się być konsekwencje dla naszych stosunków z sąsiednimi krajami. Utrzymywanie się – w całościowym bilansie migracji – wysokiego napływu Ukraińców, Białorusinów i reprezentantów krajów biedniejszych będzie sprzyjało utrwalaniu lokalnej supremacji Polski nad społeczeństwami tych krajów. Prawdopodobną jest, że migracje tego rodzaju jeszcze bardziej uwydatnią podziały na „centrum” i „peryferie” w wymiarze międzynarodowym, czego modelowym przykładem są Stany Zjednoczone i Meksyk. W stosunku Polaków do mniejszości z byłych republik radzieckich przejawy sympatii łączą się z okazywaniem im poczucia wyższości i osiedlanie się ich w Polsce będzie to nastawienie utwierdzać.

HENRYK DOMAŃSKI

ANDRZEJ WALICKI

IDEE I LUDZIE.

PRÓBA AUTOBIOGRAFII (fragment)

O definitywnym zamknięciu okresu stalinizmu świadczyła w moim przypadku inicjatywa Marka Fritzhandy, który zachęcał mnie do zapoznania się z „charakterystyką ideologiczną” wystawioną mi trzy lata wcześniej przez podstawową organizację PZPR na rusycystyce w celu zażądania zadośćuczynienia za zawarte w niej insynuacje. Nie skorzystałem z tej propozycji i to nie tylko dlatego, że moja główna prześladowczyni, Mirosława Nowak, przeprosiła mnie za swą ówczesną działalność, tłumacząc ją ideologicznym zaszaczeniem, od którego się już uwolniła. Decydujące było to, że okres stalinizacji był w moich oczach wytworem głębokich procesów historycznych, a nie dziełem złej woli osób nazywanych komunistami. Uważałem zaś, że rozliczenia z historią powinny polegać przede wszystkim na próbach jej zrozumienia, a nie na personalnych rozrachunkach z poszczególnymi ludźmi, prowadzonych w dodatku z myślą o odwecie. Ponadto nie chciałem oczywiście – tak jak i dziś nie chcę – historycznych rozliczeń rozłamujących społeczeństwo i hamujących proces zablizniania ran, niezbędny, jeżeli chcemy być narodem.

Lata „odwilży”

W momencie październikowego przełomu miałem już pewien dorobek naukowy. Do najważniejszych moich prac okresu „przedpaździernikowego” zaliczam dwa bardzo obszerne wstępy do utworów Gogola w wydaniu Biblioteki Narodowej (*Rewizor*, 1953 i *Martwe dusze*, 1956; wstęp do drugiej z tych pozycji był właściwie całościową monografią o objętości ponad 140 stron), kilka prac o poglądach estetycznych i krytyczno-literackich Bielińskiego i Czernyszewskiego (będących ubocznym produktem mojej pracy magisterskiej, obronionej na UW w roku 1953), rozprawy o estetyce rosyjskich „rewolucyjnych demokratów” i o poglądach Lwa Tołstoja na sztukę (opublikowane na łamach czasopisma Państwowego Instytutu Sztuki), wstęp do dwutomowej edycji pism Bielińskiego w Bibliotece Klasyków Filozofii, wspomnianą wyżej pracę porów-

nawczą o poglądach Bielińskiego i Dembowskiego na proces narodotwórczy oraz dwa studia o Bielińskim w „Myśli Filozoficznej” – o poglądach etycznych Bielińskiego (1954, nr 2) oraz artykuł *Wissarion Bieliński i zagadnienia romantyzmu* (1956, nr 3), będący próbą gruntownej rewizji radzieckich poglądów na Bielińskiego jako teoretyka realizmu, bezkompromisowo wrogiego romantyzmowi. Pierwsze z tych studiów zwróciło uwagę Czesława Miłosza, o czym poinformował mnie w liście z 4 listopada 1960 r.¹

W roku 1956 napisałem również panoramiczne ujęcie sporów wokół historyzmu heglowskiego w myśli rosyjskiej lat 1837-1850, zatytułowane *Osobowość a historia*. Było rzeczą aż nadto oczywistą, że poruszałem w nim problemy niezmiernie aktualne w okresie zmagania marksistowskich „rewizjonistów” polskich ze stalinowską wykładnią marksizmu, domagającą się od jednostek pokornej akceptacji „obiektywnych praw procesu dziejowego”. Dowodem zrozumienia, że moje studia nad myślą rosyjską dotyczą spraw bardzo bliskich inteligencji polskiej w okresie postalinowskiej „odwilży” był fakt, że nowy redaktor centralnego pisma filozoficznego, wychodzącego teraz pod tytułem „Studia Filozoficzne”, natychmiast napisał do mnie list zapraszający do współpracy. Redaktorem tym był Leszek Kołakowski, a w dwóch pierwszych numerach jego pisma opublikowana została moja rozprawa *Osobowość a historia*, podzielona ze względu na objętość na dwie części.

Pierwszym ważnym wydarzeniem po przełomie październikowym – w listopadzie 1956 roku – był dla mnie miesięczny wyjazd do Moskwy. Był on dla mnie ogromnym przeżyciem, spotkałem bowiem tam ludzi wspaniałych, doskonale rozumiejących aspiracje polskie oraz tragedię powstania warszawskiego, wstydzących się za swój kraj z powodu interwencji na Węgrzech. W Moskwie była to rodzina przydzielonej mi „przewodniczki”, polonistki Wiwiany Witt: ona sama, jej ojciec,

¹ Patrz A. Walicki, *Zniewolony umysł po latach*, Czytelnik, Warszawa 1993, s. 401-403.

stary profesor-biolog, pamiętający Leona Petrażyckiego i Tadeusza Zielińskiego w rosyjskim okresie ich działalności, brat Wiwiany, Sergiusz, niemający najmniejszych złudzeń co do systemu, rozmowy przeciągające się do rana w ciasnym, ale uroczym inteligentnym mieszkaniu na ul. Puszkina. W Leningradzie z kolei spotkanie w Ermitażu Siemiona Łandy, mickiewiczologa, wspańiałego miłośnika polskości, który podszedł do mnie rozpoznawszy we mnie Polaka i tego samego dnia stał się moim przyjacielem. Rozmowy, które prowadziłem z nim na ulicy, a także w wynajmowanym przez niego kącie pokoju, były niezwykle, jak z Dostojewskiego. Spotkania te i wiele innych umocniły we mnie sympatię do Rosjan oraz głębokie przekonanie, że odczuwalny powiew wolności, choćby taki jak w Polsce, przyniesie Rosji odrodzenie moralne i kulturalny rozkwit.

W następnym roku – 1957 – skoncentrowałem się na pracy nad ideą wolności u Dostojewskiego – również traktując ją jako eksplorację problemów o centralnym znaczeniu dla naszej współczesności. W połowie roku ukończyłem i przedstawiłem (Wiktorowi Jakubowskiemu, Samuelowi Fiszmanowi i Ninie Assorodobraj) pracę kandydacką (dziś nazwalibyśmy ją doktorską) pt. *Naród, historia i osobowość w literaturze i myśli rosyjskiej lat trzydziestych-sześćdziesiątych XIX wieku*. Składały się na nią cztery rozprawy połączone teoretycznym wprowadzeniem: 1. *Bieliński a Dembowski jako ideologowie procesu narodotwórczego*; 2. *Wisarion Bieliński i zagadnienia romantyzmu*; 3. *Osobowość a historia. Spory wokół historyzmu heglowskiego w myśli rosyjskiej połowy XIX wieku*; oraz 4. *Dostojewski a idea wolności*. Recenzje okazały się bardzo pochlebne, obrona mogła więc odbyć się już na samym początku 1958 r. Rada Wydziału Filozoficznego UW w dniu 25 lutego nadała mi stopień kandydata nauk filologicznych, co zatwierdzone zostało w dniu 26 czerwca 1958 r. przez Centralną Komisję Kwalifikacyjną.

Przebieg obrony był bardzo uroczysty. Sala im. Brudzińskiego na UW wypełniona była po brzegi. Przyszło sporo osób z Wydziału Filozoficznego, m.in. Tadeusz Kroński, który wygłosił na moją cześć prawdziwy pean. Przemawiał również Jan Kott, który nazwał moją pracę początkiem samodzielnej polskiej rusycystyki (taką samą opinię głosił i rozpowszechniał Stefan Żółkiewski). Po obronie kilkanaście osób spotkało się u nas na Jelonkach. Rusycyści mieli okazję zetknąć się z Baczką, Krońskim i środowiskiem IKKN, a „dawna profesura” reprezentowana była m.in. przez mego ojca.

Jako świeżo upieczony „kandydat nauk” nie mogłem narzekać na trudności z zatrudnieniem. Wprost przeciwnie! Otrzymałem (oprócz pozostania w Zakładzie Słowianoznawstwa PAN, do którego przeniesiono pracownię z IPR) aż cztery oferty pracy: od Władysława Tatarkiewicza, który powrócił na UW jako profesor estetyki, od Tadeusza Krońskiego, od Niny Assorodobraj, która kierowała katedrą historii myśli społecznej na Wydziale Socjologii UW, oraz od Bronisława Baczki jako kierownika Zakładu Historii Nowożytnej Filozofii w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN. Oferty Tatarkiewicza, mimo że wsparta była kuszącą propozycją napisania porównawczej historii pojęcia „romantyzmu” w różnych krajach Europy, nie mogłem przyjąć ze względu na niedostateczne jednak zainteresowanie estetyką. Kroński nie wchodził w grę, choćby ze względu na osobę Ta-

tarkiewicza. Wybrałem więc pracę w IFIS PAN oraz pól etatu w katedrze Niny Assorodobraj (z którą związany był, jako asystent, Jerzy Szacki). W Zakładzie Baczki pracowałem razem z Leszkiem Kołakowskim, co dało mi możliwość uczestniczenia w narodzinach tzw. „warszawskiej szkoły historii idei”. Do moich przyjaciół zakładowych zaliczałem Leszka Szczuckiego i Zbigniewa Ogonowskiego, znakomitych znawców polskiej Reformacji; nieco później dołączyła do tego grona Barbara Skarga. Jednocześnie utrzymywałem żywy kontakt z opozycyjnym Klubem Krzywego Koła, przyjaźniąc się z jego prezesem Janem Józefem Lipskim oraz z Witoldem Jedlickim, przyszłym autorem monografii Klubu (*Klub Krzywego Koła*, Warszawa 1989, w której jestem kilkakrotnie wspomniany) oraz głośnej publikacji o rozgrywkach w PZPR pt. „*Chamy*” i „*Żydy*” (1962). Nie mogłem też uskarżać się na sytuację materialną: Ossolineum zamawiało u mnie kolejne wstępy do serii Biblioteka Narodowa, PWN wciąż namawiało mnie na kolejne edycje myślicieli rosyjskich w Bibliotece Klasyków Filozofii. To samo czynił później Mieczysław Orlański jako redaktor wydawanej przez Książkę i Wiedzę Biblioteki Myśli Socjalistycznej. Wszystkie te prace autorsko-wydawnicze zapewniały mi nieregularne, ale godziwe zarobki. A już w końcu 1959 r. Państwowy Instytut Wydawniczy, działający w osobie przyjaznego mi Wacława Zawadzkiego, wydał mą pierwszą książkę opartą częściowo na mojej pracy kandydackiej. Nosiła ona tytuł *Osobowość a historia. Studia z dziejów literatury i myśli rosyjskiej*.

Dla uzupełnienia obrazu dodam, że do współpracy namówił mnie również Stanisław Ossowski, na którym duże wrażenie wywarło moje wystąpienie w Krzywym Kole na temat intelektualnej genezy rewolucji rosyjskiej. Nie mógł zapewnić mi etatu, ale zaoferował prace zleczone, co zaowocowało kilkudziesięciostronicowym tekstem pt. *Od narodnictwa do leninizmu*, przedyskutowanym w roku 1958 przez pracownię Ossowskiego w PAN. O możliwości publikacji tej pracy nie mogło być mowy, ponieważ bardzo krytycznie oceniałem w niej Lenina oraz traktowałem jego idee jako swoiście rosyjską deformację klasycznego marksizmu. Nie ukrywałem jednak, że tak właśnie myślę. Cieszyło mnie, że pracownicy zespołu Ossowskiego rozpowszechniali ten maszynopis i sam to czyniłem. Po przeszło dwudziestu latach Adam Michnik przekazał mi kopię tego tekstu, mówiąc, że był on czytany przez wiele osób z jego kręgu².

Jak stąd wynika, okres popaździernikowy od razu zaoferował mi niespodziewaną wręcz wielość samorealizacyjnych możliwości, zasadniczą poprawę sytuacji materialnej i doskonałe usytuowanie w ówczesnych środowiskach intelektualnych. Dlatego też w odpowiedzi na zadane mi 50 lat później pytanie „Co zawdzięczam Polskiemu Październikowi?” musiałem stwierdzić, że zawdzięczam mu prawie wszystko³.

Zdaję sobie sprawę, że nie było tak w przypadku młodych partyjnych rewizjonistów. Nie byli oni beneficjentami październikowego przełomu, nie zwiększyli bowiem swego wpływu na politykę partii, co miało być

² Patrz A. Walicki, *Idea wolności u myślicieli rosyjskich. Studia z lat 1955-1959*, Wyd. UJ, Kraków 2000, s. 302-303 (*Postowie*), s. 236-273 (przedruk omawianego tekstu).

³ A. Walicki, *Co zawdzięczam polskiemu Październikowi?*, „Zdanie” 2007, nr 1-2, s. 31-39.

wstępem do demokratyzacji systemu. Przygotowali ten przełom, ale zaraz potem uznani zostali przez nowy establishment partyjny za największe zagrożenie i zepchnięci na pozycje defensywne. Zamknięcie „Po Prostu” (2 października 1957 r.), czyli głównego organu młodych „naprawiaczy systemu”, uznane zostało w środowiskach rewizjonistycznych za symboliczny koniec „październikowych złudzeń”. Po kilkudziesięciu latach rozczarowanie to radykalizowało się, przybierając postać karykaturalnej tezy, że „Październik 56 skończył się od razu w październiku”⁴.

Twierdzenie to, najzupełniej błędne, wynikało z pomylenia **demokratyzacji politycznej** (która miałyby przynieść wzrost znaczenia rewizjonistów) z **liberalizacją** systemu korzystną dla całej ludności, ale (w ówczesnych warunkach) nie dla politycznie ambitnych rewizjonistów – warunkiem w miarę bezpiecznej liberalizacji był bowiem parasol ochronny w formie władzy wciąż jeszcze autorytarnej, ale już nie totalitarnej, a więc rezygnującej z wszechogarniającej ideologicznej kontroli życia jednostek i znacznych obszarów działalności publicznej. Partyjni rewizjoniści – co przyznał *ex post* Krzysztof Pomian w księdze pamiątkowej dla Jacka Kuronia⁵ – nie dostrzegli, że brak zgody rządzącej partii na **podzielenie się** władzą, czyli na demokratyzację, nie wykluczała zmiany systemowej polegającej na **ograniczeniu zakresu władzy**, czyli na liberalizacji właśnie. Nie była to zmiana mało istotna, likwidowała bowiem zło najgorsze czyli totalitarną ideokrację, usiłującą pozbawić ludzi wolności najbardziej elementarnej, czyli prawa do bycia samymi sobą. Dla partyjnych rewizjonistów była to zmiana trudno zauważalna, w okresie stalinizmu identyfikowali się bowiem z rewolucyjnym „marksizmem-leninizmem”, a więc nie odczuwali ideologicznego nacisku; okres popaździernikowy natomiast, zamiast zwiększenia ich wolności partycypacyjnej, czyli udziału w procesie decyzyjnym i publicznego wpływu, przyniósł im same rozczarowania.

Mało tego, Leszek Kołakowski opowiadał się w imieniu rewizjonistów za odbudową w PZPR „więzi ideologicznej” dowodząc, że bez niej partia istnieć może tylko na zasadzie bezpartyjnego bloku współpracy z rządem lub na zasadzie przywileju. Z punktu widzenia zaangażowanych członków partii było w tym wiele racji, ale społeczeństwo polskie, jako całość, wołało odideologizowany, samoograniczający się autorytaryzm od jakiegokolwiek władzy ideologicznej⁶.

Trudno nie zauważyć, że w optyce rewizjonistów było sporo kolektywnego egocentryzmu: liczyło się bowiem głównie to, że „nam” zamknięto usta, a nie to, co uzyskało społeczeństwo, zwłaszcza zaś jego bezpartyjna większość z Kościołem włącznie. Nie przyjęto do wiadomości, że większość ta uznała przemianę październikową za zasadniczą, jakościową i trwałą. Hanna Świada-Ziemba, autorka znakomitej pracy o polskim stalinizmie, uzasadniała tę ocenę pisząc:

„Lata popaździernikowe w znaczeniu socjologicznym właśnie stanowiły zgoła odmienną jakość. Zmienił się charakter życia codziennego ludzi. Ustąpił przerażający mrok, spętanie zagrożeniem, ideologiczne kajdany nałożone jednostce. W życiu zakwitły kolory. Człowiek mógł zanurzyć się w swej bezpiecznej prywatności”⁷.

Uzupełniłbym tę konstatację podkreśleniem, że w roku 1956 odzyskaliśmy nie tylko podmiotowość w życiu prywatnym (co już wystarczyłoby, aby mówić o detotalitaryzacji), ale również spory zakres wolności w życiu umysłowym i kulturze. Wystarczyło rozluźnić ideologiczną kontrolę, aby automatycznie znikł realizm socjalistyczny (wciąż dławiący rozwój literatury i sztuki w sąsiednich krajach), aby pojawiła się niezależna publicystyka, aby nastąpił wspaniały rozwój kinematografii, rozkwit poezji, triumfalny powrót i świetny rozwój socjologii, pluralizm w filozofii, łącznie z rywalizacją szkół w obrębie filozofii marksistowskiej⁸. Szeroko zakrojona praca organiczna w historiografii, demontująca cegiełka po cegiełce fundamenty stalinowskiej indoktrynacji historycznej, itd., itp. Wszystko to łącznie dawało mi nie tylko poczucie osobistej wolności, lecz również szerokie pole działalności. W pierwszych latach po przełomie październikowym pole to nie zawężało się, ale faktycznie rozszerzało, czyniąc PRL najbardziej liberalnym krajem „bloku wschodniego”.

Dla uniknięcia możliwych nieporozumień pragnę podkreślić, że nie widzę w tym rezultacie świadomości podejmowanych działań partyjnej władzy. Był to raczej **niezamierzony** rezultat odstępstwa od stalinowskiej zasady totalnej kontroli nad kulturą. Jak wspomina Jerzy Putrament, już wiosną 1956 r. Biuro Polityczne przyjęło pogląd, że w kulturze uznać należy „płaszczyzną tolerancji”, czyli sfery, którą partia nie musi kierować metodami „preferencji” lub „ingerencji”⁹. Nie zdawano sobie sprawy, że dzięki prężności kulturalnej społeczeństwa okaże się to zasadniczym odstępstwem od systemu totalitarnego sterowania kulturą i życiem umysłowym.

Dzięki znajomości sytuacji w ZSRR mogłem docenić skalę tego ustępstwa. Polska stała się w moich oczach uprzywilejowaną częścią „oboza socjalistycznego”, co nakładało na polską inteligencję szczególną odpowiedzialność i szczególne obowiązki.

Dygresja o sensie przełomu październikowego

Na diagnozie tej wspierał się mój program badawczy, będący próbą optymalnego wykorzystania nowo zdobytej wolności. Uznałem przełom październikowy za trwałą zmianę systemową – za faktyczne wycofanie się z projektu narzucania Polsce komunizmu metodami totalitarnymi, za rezygnację z legitymizowania systemu komunistycznym ideałem, za gotowość zatrzymania „budownictwa komunizmu” na etapie tego, co już osiągnięto i co należy reformować pragmatycznie, a więc w praktyce w kierunku przeciwnym obowiązującej do niedawna wizji przyszłości. Stwarzało to możliwości efektywnej pracy na obszarach uwolnionych lub

⁴ A. Bikont i J. Szczęsna, *Lawina i kamienie. Pisarze wobec komunizmu*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2006, s. 310.

⁵ Patrz K. Pomian, *O Październiku*, [w:] *Książka dla Jacka. W sześćdziesiątą rocznicę urodzin Jacka Kuronia*, Fundacja Nowej, Warszawa 1995, s. 168.

⁶ Pogląd Kołakowskiego o potrzebie odbudowy partii „na zasadzie więzi ideologicznej” omawiany jest w dziele R. Herczyński *Spętana nauka. Opozycja intelektualna w Polsce 1945-1970*, Semper, Warszawa 2008, s. 287. (Poglądy autora tej książki na PRL po roku 1956 zasadniczo różnią się od moich).

⁷ H. Świada-Ziemba, *Stalinizm i społeczeństwo polskie*, [w:] *Stalinizm*, pod red. J. Kurczewskiego, UW IPSiR, Warszawa 1989, s. 86-87.

⁸ Patrz M. J. Siemek, *Filozofia i społeczeństwo w powojennej Polsce*, [w:] tenże, *Wolność, rozum, intersubiektywność*, Terminus, Warszawa 2002, s. 310. Patrz także całościowa ocena filozofii marksistowskiej w Polsce w mojej rozprawie *Marksistowska filozofia w PRL w świetle osobistych wspomnień*.

⁹ Patrz J. Putrament, *Pół wieku. Pośliżgi*, KiW, Warszawa 1987, s. 156-157

stopniowo uwalnianych od ideologicznej kontroli, zobowiązywało więc do walki o poszerzenie tych obszarów i zagospodarowywanie ich zgodnie z autentycznymi potrzebami i aspiracjami społeczeństwa.

Zdaję sobie sprawę, że poglądy takie są dziś uporczywie zwalczane przez publicystów „obozu post-solidarnościowego”, z intencją wspierania własnego autorytetu jednolicie zaczernionym obrazem PRL. Twierdzenie Anny Bikont i Joanny Szczęsnej, że „Październik 1956 skończył się od razu w październiku” jest tylko skrajnym wyrazem opinii obiegowej w środowisku byłych kombatantów „Solidarności”. Priorytet w sformułowaniu tej tezy należy, jak się zdaje, do Kotakowskiego, który napisał na ten temat co następuje:

Tak zwany „październik polski”, czyli objęcie władzy przez Gomułkę i jego ekipę, nie był bynajmniej początkiem społecznej czy kulturalnej odnowy albo „liberalizacji”, ale przeciwnie, początkiem jej końca¹⁰.

W świetle świetnego rozwoju kultury i nauki polskiej w pierwszej dekadzie po Październiku, w tym również wspaniałego rozwoju myśli samego Kotakowskiego, są to w mojej ocenie słowa bulwersujące niesprawiedliwe, jaskrawo kontrastujące z moim własnym przeżyciem tego okresu i wciąż żywą pamięcią o nim.

Przyczyną tej skrajnej jednostronności autora *Głównych nurtów marksizmu* była „niecierpliwość w sprawach narodowych”, przed którą przestrzegał Polaków Norwid. Polegała ona na nadziei, że partia zdemokratyzuje się od wewnątrz, dopuszczając do procesów decyzyjnych swe skrzydło „rewizjonistyczne”, to zaś było ewidentnie niebezpieczną utopią, niemogącą liczyć na tolerancję ZSRR i innych naszych sąsiadów. Realną „mądrością etapu” (wyrażenie Stanisława Stompy) była liberalizacja bez politycznej demokratyzacji, tego jedynie oczekiwało od partii społeczeństwo polskie – w odróżnieniu od ambitnych „rewizjonistów” partyjnych, nie mniej wyobcowanych społecznie niż partyjni „dogmatycy”. Ja osobiście, jako młody człowiek nienależący do PZPR i powiązany ze środowiskami AK-owskimi, nie myślałem nawet o politycznej demokratyzacji partii, a więc nie przeżyłem rozczarowania, które stało się udziałem Kotakowskiego. Oczekiwałem od partii tego jedynie, aby ograniczyła **zakres** swej władzy i aby, nie przestając być partią autorytarną (bo tylko taka partia mogła spełniać rolę klosza ochraniającego odrębności polskie), zrezygnowała z aspiracji totalitarnych i z prymatu ideologii nad celami ogólnonarodowymi. Sądzę, że na tym właśnie polegał niepisany kontrakt między władzą a społeczeństwem polskim zawarty w roku 1956. Mimo klęski poniesionej przez wewnątrzpartyjnych rewizjonistów, Gomułka w gruncie rzeczy dotrzymał tej umowy: Polska po roku 1956 była przecież krajem **wychodzącym** już z ortodoksyjnego komunizmu, zupełnie innym niż w czasach stalinowskich.

Potwierdzenie i ciekawe rozwinięcie tych myśli zawiera książka zaprzyjaźnionego ze mną politologa oksfordzkiego, Zbigniewa Pełczyńskiego, pt. *Polska droga od komunizmu. Refleksje nad historią i polityką 1956-2006*¹¹. Zgodnie z narzucanym dziś schematem ideologicznym należało się spodziewać, że autor rozpocznie

drogę odrotu od komunizmu od narodzin „Solidarności” oraz od ukształtowania się w PRL wielonurtowego ruchu opozycji zewnątrzsystemowej. W rzeczywistości jednak Pełczyński dowodzi, że proces dekomunizacji Polski rozpoczął się w roku 1956! Zacytujmy:

„Twierdzę, że »polska droga do komunizmu« **stała się, od roku 1956, drogą od komunizmu na długo przed narodzinami „Solidarności”, i że wydarzenia lat 1980-1981 rozwijały się w tak dramatycznym tempie właśnie ze względu na ten tak długi okres przygotowawczy**”¹².

Cytat ten pochodzi z wykładu Pełczyńskiego pt. *Poland: The Road from Communism*, wygłoszonego w Oksfordzie w roku 1982. Uzasadniając ten pogląd, uczony oksfordzki nie zawahał się przed sformułowaniem tezy, że „wkład Gomułki w rozwój komunizmu, jeśli oceniać go obiektywnie, był ogromny” (s. 157). Rozwinął ją w punktach, które uważam za właściwe powtórzyć jego własnymi słowami, aczkolwiek z wprowadzeniem maksymalnych skrótów. A więc:

Po pierwsze, system komunistyczny utracił piętno sowieckiego pochodzenia i sowieckiej dominacji [...]. Po drugie, Gomułka uczynił system akceptowalnym, utrzymując przymus na minimalnym poziomie [...]. Po trzecie, Gomułka zniósł wiele dokuczliwych środków kontroli osobistej, zwłaszcza kontaktów z Zachodem [...]. Po czwarte, zaprzestano urabiania kultury wedle kanonów socrealizmu czy innych oficjalnych dogmatów. Uniwersytety i instytucje badawcze zyskały pewną samorządność, marksizm-leninizm był teraz traktowany jako jedno z wielu możliwych stanowisk, co prawda nadal popierane przez partię rządzącą silnie subsydiowane [...].

Stowarzyszenia zawodowe i kulturalne cieszyły się szeroką autonomią [...], jedno czy dwa spośród nich, jak na przykład Związek Literatów Polskich, zupełnie wyzbyły się charakteru ideologicznego.

Wreszcie, również w ramach PZPR Gomułka wprowadził znaczny zakres wolności. Marksizm-leninizm pozostał oficjalną doktryną, nie wolno go było kwestionować publicznie, ale władze partyjne nie wnikały zbyt głęboko w stan umysłu członków partii – liczyło się tylko zewnętrzne zachowanie. Agnostycyzm ideologiczny był powszechny, nawet praktyki religijne były tolerowane. Partia stała się raczej szeroko otwartym kościołem politycznym niż fanatyczną sektą – jej celem nie było wybawienie dusz z okowów przesądów religijnych, lecz skuteczne zarządzanie państwem i rozwojem gospodarczym. Nie wynikało to z wewnętrznej przemiany duchowej – partia naprawdę nie miała w tej sprawie wyboru. Po roku 1956 mogła znaleźć kandydatów, tylko nie kładąc nacisku na ideologiczną ortodoksję. Inaczej niż partia stalinowska, która próbowała dostosować do siebie kraj, partia dostosowywała się teraz do kraju¹³.

Nie zadowalało to oczywiście osób, które – jak ówczesni rewizjoniści – pragnęły realizować się w sferze publicznej i to nie intelektualnie tylko, lecz politycznie. Dlatego też dzisiejszym elitom politycznym trudno jest pojąć, dlaczego system popaździernikowy, również skuteczny w zagradzaniu im drogi do uczestnictwa we władzy jak system stalinowski, miałby uchodzić za zasadniczo różny od swego poprzednika. Wydaje się

¹⁰ L. Kotakowski, *Główne nurty marksizmu*, wyd. 2, Warszawa 2009, t. 3, s. 453. (Wyd. 1: t. 1-2, Instytut Literacki, Paryż 1976-1978).

¹¹ Z. Pełczyński, *Polska droga od komunizmu. Refleksje nad historią i polityką 1956-2006*, Scholar, Warszawa 2007.

¹² Tamże, s. 152.

¹³ Tamże, s. 157-158.

jednak, że opinię większości społeczeństwa pamiętającego tamte czasy trafniej wyraża artykuł opublikowany w roku 1994 na łamach paryskiej „Kultury”. Wydarzenia 1956 roku, czytamy w nim, wyprowadziły społeczeństwo polskie „z okresu pełnego zniewolenia do systemu, w którym już dało się żyć z odrobiną godności. Różnica między Polską początku lat pięćdziesiątych, a Polską po roku 1956 jest znacznie większa niż między Polską przed i po 1989 roku”¹⁴.

Mówiąc najogólniej, cezura roku 1956 oznaczała w Polsce przejście od stalinowskiego (nie w pełni ukształtowanego wprawdzie) totalitaryzmu do posttotalitarnego „realnego socjalizmu”. W 50-lecie przełomu październikowego autorytatywnie potwierdził tę diagnozę jeden z twórców „modelu totalitarnego”, Zbigniew Brzeziński, stwierdzając jednoznacznie: „Polska przestała być państwem totalitarnym w październiku 1956 roku”¹⁵.

O tym, że nie może być uzasadnień dla takiego rozciągania i rozmywania pojęcia „totalitaryzm”, aby objąć nim cały okres PRL przekonuje również definicja totalitaryzmu w cytowanym dziele Kołakowskiego:

„Dławienie swobód obywatelskich w imię utrzymania i umocnienia istniejącej władzy nie jest jeszcze systemem totalitarnym, jeśli nie towarzyszy mu inna zasada: iż wszelka działalność ludzi we wszystkich dziedzinach aktywności – ekonomicznej czy kulturalnej – musi być podporządkowana wyłącznie celom państwa, że nie tylko zakazane są i tępią bezwzględnie akcje skierowane przeciwko istniejącej władzy, ale także, że nie ma w ogóle żadnych dziedzin życia politycznie „neutralnych” i że każdy poszczególny obywatel ma prawo do takiej działalności, która jest zarazem przewidziana przez cele państwowe, że każda jednostka jest **własnością** państwa i tak jest przez państwo traktowana”¹⁶.

Nie trzeba chyba dowodzić, że popaździernikowa PRL nie może uchodzić za egzemplifikację tak pojętego totalitaryzmu. Ale warto podkreślić, że system, który wyłonił się w wyniku przełomu październikowego, był autorytaryzmem o charakterze **posttotalitarnym**, a więc ukształtowanym w zasadniczym zrębie przez przemiany okresu stalinowskiego. Rezultaty tych przemian utrzymywały się przy życiu nie tylko mocą inercji, lecz również dlatego, że ich demontaż hamowany był przez konserwatywne grupy partyjnego aparatu. Dlatego też detotalitaryzacja systemu musiała być kontynuowana, aczkolwiek nie musiała przybierać formy walki bezpośrednio politycznej. W warunkach polskich szczególnie znaczenia nabrała walka o kulturę. Olbrzymią naiwnością jest popularny dziś pogląd, że zawsze najważniejsza jest wolność polityczna i że proces przemian ustrojowych zawsze zaczynać należy od „politycznego dachu”. Stalinowski totalitaryzm był integralną całością, w której panowanie nad kulturą i gospodarką było równie ważne, a nawet ważniejsze niż monopol na sprawowanie władzy ściśle politycznej. Niezastąpioną legitymizacją tego systemu była ideologia „marksizmu-leninizmu”, czyli zespół bardzo konkretnych dyrektyw do sprawowania kontroli nad całokształtem życia umysłowego. Przeciwwstawienie się tej ideologii, oczyszczają-

nie kultury z jej niszczącego wpływu, było więc działalnością *par excellence* opozycyjną. Działalność taka nie wymagała politycznego nagłaśniania i stwarzania wokół siebie atmosfery sensacji. Przeciwnie: najbardziej efektywne było działanie „ciche”, konstruktywne przez stwarzanie trudnych do usunięcia faktów dokonanych.

Tak właśnie starałem się postępować. Stawiałem przed sobą zadania cząstkowe tylko, ograniczone do pracy naukowej, ale mimo to mocno powiązane ze świadomą opozycyjnością wobec słabnącej, ale wciąż jeszcze groźnej ideologii sowietyzmu. Przeciwwstawiałem się jej w dziedzinach, które uważane były do niedawna za główne filary tzw. „frontu ideologicznego” – w filozofii i historii myśli politycznej, w interpretacji polskiego dziedzictwa narodowego i wreszcie, *last not least*, w badaniach nad myślą rosyjską, uważanych przez ideologów żdanowizmu za sprawę o kluczowym znaczeniu dla komunistycznego imperium. Wyolbrzymiałem na pewno znaczenie mojej pracy, ale tylko dzięki temu zdolny byłbym skoncentrować się na niej bez reszty.

Dygresja o „nowym ewolucjonizmie”

W kręgach byłych działaczy opozycji antykomunistycznej rozpowszechniona jest myśl, że Marzec 1968 oznaczał definitywny kres „rewizjonistycznych złudzeń” oraz nadziei na wewnętrzną ewolucję systemu pod przewodnictwem zreformowanej partii. Jest to prawdziwe tylko częściowo, marksistowski rewizjonizm i nadzieja na przemiany wewnątrzsystemowe nie są bowiem tym samym. Rewizjonizm, uzależniający pożądaną ewolucję systemu od ideologicznej odnowy partii, poniósł istotnie klęskę: okazało się bowiem, że szeregowi członkowie partii nie życzą sobie socjalistycznej ideologizacji, podatni są raczej na antysemityzm niż rewizjonistyczny marksizm i, co gorsza, dopatrują się związków między programem rewizjonistycznym a żydowskim pochodzeniem wielu jego głosicieli. Czymś zupełnie innym była jednakże stawka na odideologiczny pragmatyzm, siłą rzeczy uniezależniający partię od jej komunistycznej ideologii, a tym samym mogący czynić ją bardziej podatną na wpływ niekomunistycznego społeczeństwa. „Wydarzenia marcowe” nie podkopały tych nadziei, lecz raczej, paradoksalnie, sprzyjały im: zadały bowiem potężny cios komunistycznej legitymizacji systemu, ale nie zdołały zastąpić jej akceptowalną dla społeczeństwa ideologią „narodową”. „Moczaryzm” bardzo szybko poniósł przecież porażkę i zastąpiony został zupełnie niemal odideologizowanym, elastycznym pragmatyzmem gierkowskim, uzależnionym w dodatku (co też nie było bez znaczenia) od życzliwości i materialnej pomocy Zachodu.

Było zupełnie zrozumiałe, że wzmacniało to pozycję zwolenników pragmatycznej ugody zgrupowanych wokół „Tygodnika Powszechnego” – takich jak Stefan Kisielewski, Stanisław Stomma i Henryk Krzeczkowski. Młodzi konserwatyści z kręgu Marcina Króla i Wojciecha Karpińskiego byli w istocie mocno związani z tą właśnie grupą, w czym wcale nie przeszkadzało im ideologiczny antykomunizm i brak zainteresowania rewizją marksizmu. Wzorem racjonalnej, umiejętnej obrony tożsamości narodowej i narodowych interesów byli dla nich galicyjscy stańcy, całkowicie lojalni przecież wobec monarchii Habsburskiej. A przeniesienie wzoru

¹⁴ J. Huczowski, *Historia i skutki pewnej politycznej doktryny*, „Kultura” 1994, nr 4, s. 17-18.

¹⁵ Patrz Z. Brzeziński, M. Komat, *Pięćdziesiąt lat później*, „Przegląd Polityczny” 2006, nr 79/80, s. 141.

¹⁶ L. Kołakowski, *Główne nurty marksizmu*, wyd. 2, t. 2, s. 524.

stańczyków w czasy współczesne oznaczało przecież nie „permanentną opozycję” wobec władzy (czemu tak bardzo przeciwny był Stefan Kisielewski), lecz umiarkowaną wersję politycznego realizmu łączącego nadzieje z ewolucją wewnątrzsystemową.

Jeśli tak, to nie jest prawdą, że całe „pokolenie 1968” stawiało na tzw. „nowy ewolucjonizm”, czyli na wywieranie stałego oddolnego nacisku na władzę przy jednoczesnym „odmawianiu jej jakiegokolwiek prawomocności”¹⁷. Młodzi konserwatyści zapewne nie dysponowali w tej kwestii wyraźną samowiedzą, ale w praktyce wybierali jednak drogę swych „neopozytywistycznych” nauczycieli, czyli drogę umiejętnie sterowanej, nienagłaśnianej i elitarniej pracy w dziedzinie kultury. Program „nowego ewolucjonizmu”, czyli drogę „nieustających nacisków społeczeństwa na władzę” bez odzwajmiania ustępstw dawkowaniem legitymizacji, a więc wbrew zasadom kompromisu, proklamował natomiast Adam Michnik¹⁸. Uczynił to jednak dopiero w końcu 1976 r., a więc nie w wyniku oburzenia na czystki pomarcowe, lecz w następstwie załamania się nadziei społecznych wiązanych z polityką Gierka.

Priorytet w sformułowaniu zasad „nowego ewolucjonizmu” należy, jak sądzę, do Leszka Kołakowskiego. W ważnym artykule pt. *Sprawa polska* („Kultura” 1973, nr 4) stwierdził on, że społeczeństwu polskiemu grozi „korozja duchowa”, trąd desperacji, zubożenia, zgody. Wyzwolenie od opresji ideologicznej ukazywało się w tej perspektywie jako rzecz mało istotna, sowietyzacja bowiem możliwa jest również tam, gdzie nikt w ideologię sowiezizmu nie wierzy i nie bierze jej serio. Naprawdę ważna jest tylko zewnętrzna kontrola „mowy publicznej”, oznacza ona bowiem uśmiercenie narodu przez pozbawienie go podmiotowości. Nie liczy się więc wolność w sferze prywatnej („prywatna małażycia”), dwuznaczne są wezwania do porządnej pracy, fachowości i uczciwości: „Hasło porządnej pracy żadnego sensu dla bytu narodowego nie zawiera, bo i porządna praca może służyć nikczemnym celom”¹⁹. Najistotniejsza jest nauka „życia w godności”, czyli nieustanne budzenie podmiotowości społecznej, nawet w warunkach braku programu politycznego, który zdolny byłby „skutecznie i rychło wydzwignąć Polaka ku wolności”²⁰.

Przeczytałem ten artykuł (byłem bowiem pilnym czytelnikiem „Kultury”) z dużym zaniepokojeniem. Wynikało z niego bowiem, że w oczach mego przyjaciela skończył się czas, w którym ważna była walka z ideologicznym kłamstwem przez pisanie książek i nadszedł czas „dawania świadectwa wartościom” przez podpisywanie listów protestacyjnych, choćby nawet było to sprzeczne z dobrze przemyślanymi planami pracy na własnym polu. Diagnoza Kołakowskiego uzasadniała przejście inicjatywy przez zwolenników jawnej opozycji, przyznających sobie prawo wywierania moralnego nacisku na osoby niechzące podporządkować się ich priorytetom.

Ponadto – przede wszystkim – była to, moim zdaniem, diagnoza błędna. Nie zgadzałem się z tezą, że

pragmatyczna dezideologizacja nie ma większego znaczenia, skoro istnieje jeszcze ustrojowa fasada chroniąca na najwyższych szczeblach władzy język urzędowego zakłamania. Przeciwnie: przekonany byłem, że fasada ta dawno przekształciła się już w kruchą skorupę, rozsadaną przez coraz bardziej wolną kulturę i gotową pęknąć pod naciskiem. A więc nie fasada ustrojowa niszczyła kulturę, ale kultura zredukowała ustrój do wydrążonej skorupy, czyli zewnętrznej fasady. A dezideologizacja partii przygotowała kadre kierowniczą do natychmiastowego porzucenia ustroju w stosownej chwili.

Ośmielam się sądzić, że ta właśnie diagnoza potwierdzona została przez późniejszy przebieg wydarzeń.

Wedle opinii Henryka Ślabka, autora cennej monografii *O społecznej historii Polski 1945-1989*, reprezentowałem postawę bliską poglądom Stefana Kisielewskiego²¹. Zbliżało nas pokładanie nadziei nie w partyjnym rewizjonizmie (jak to czynili niegdyś ewolucjoniści z kręgu „Kultury”) i nie w „wymuszaniu” zmian przez nacisk społeczny (zgodnie z zaleceniami Kołakowskiego i Michnika), ale w konstruktywnym zagospodarowywaniu enklaw wolności stwarzanych przez pragmatyczną ewolucję obozu władzy. Obaj odróżnialiśmy komunizm od państwowości PRL-owskiej, co pozwalało nam dążyć do „maksimum osiągnięć w ramach PRL”²². Obaj postrzegaliśmy Polskę Ludową nie jako narzędzie sowietyzacji, lecz jako parasol ochronny, jako pokrywkę dla zachowania polskiej tożsamości. Obaj widzieliśmy w tym cechę pozytywnie odróżniającą PRL od innych państw „realnego socjalizmu”.

W latach siedemdziesiątych nie byłem świadomy zakresu tych zbieżności. Pamiętam jednak rozmowę z Kisielem w domu ZAiKS-u w Sopocie, w czasie której usłyszałem od niego, że istnieje w Polsce możliwość pokojowej zmiany ustrojowej pod warunkiem, że dążono by do tego „po cichu”, bez porzucania słowa „socjalizm”, czyli bez naruszania niepokojącej Kołakowskiego ustrojowej fasady²³. Zgodziłem się z tym, ale dziś dopiero zdaję sobie sprawę, jak zasadniczo różniło nas to od intelektualistów propagujących „nowy ewolucjonizm”.

ANDRZEJ WALICKI

Całość licząca ponad pięćset stron autobiografii Profesora Andrzeja Walickiego zostanie niebawem opublikowana w serii: Fontes Rerum ad Historiam Scientiae Spectantium, jako jej tom XIX (I po wznowieniu), nakładem Instytutu Historii Nauki Polskiej Akademii Nauk w wsparciem Kasy im. Józefa Mianowskiego, przez Wydawnictwo ASPRA – JR.

¹⁷ Patrz B. Toruńczyk, *Opowieść o pokoleniu Marca: przestanie dla Nowej Lewicy*, „Krytyka Polityczna” rok wyd., nr 16/17, s. 294.

¹⁸ Patrz A. Michnik, *Nowy ewolucjonizm*, [w:] tenże, *Szanse polskiej demokracji*, Aneks, Londyn 1984, s. 83.

¹⁹ Patrz przedruk cytowanego artykułu: L. Kołakowski, *Sprawa polska*, „Gazeta Wyborcza” 18-19 lipca 2008, s.

²⁰ Tamże.

²¹ H. Ślabek, *O społecznej historii Polski 1945-1989*, KiW, Warszawa 2009, s. 455. (Patrz także tenże, *Intelektualistów obraz własny 1944-1989*, KiW, Warszawa 1997, s. 162). Zdaniem autora, obraz rewizjonizmu i rewizjonistów w poglądach Kisielewskiego i moich najlepiej wytrzymał próbę czasu (*O społecznej historii Polski 1945-1989*, s. 455).

²² Cytowane słowa pochodzą z postłowie do moich *Spotkań z Mitożsem*. Patrz A. Walicki, *Zniewolony umysł po latach*, s. 252.

²³ Po kilkunastu latach znalazłem bardzo podobne ujęcie myśli Kisielewskiego w relacji jego syna: *Ojciec zawsze mówił, że jedynym wyjściem jest zmiana ustroju bez zmiany nazwy, za cichą zgodą Związku Radzieckiego*. Patrz M. Grochowska, *Jerzy Giedroyc. Do Polski ze snu*, Świat Książki, Warszawa 2009, s. 468.

JANUSZ TAZBIR

GORZKI SMAK WOLNOŚCI

Nastroje zawodu, rozczarowania i zniechęcenia, jakie panują obecnie wśród sporej części Polaków, objęły także przedstawicieli świata kultury. Okazało się, nie po raz pierwszy zresztą w naszych dziejach, że samo odzyskanie niepodległości nie rozwiązuje wszystkich problemów. Nie po raz pierwszy, albowiem podobne nastroje panowały i po r. 1918, kiedy to występujący w pamiętnikach Marii Dąbrowskiej właściciel kina w Kaliszu miał z melancholią powiedzieć, że dawniej wystarczyło rzucić na ekran białego orła, aby sala była pełna. Dziś to już nie wystarcza, skoro tego orła Polacy oglądają na każdym nakazie podatkowym.

Podczas obradującego w roku 1999 we Wrocławiu zjazdu historyków polskich pozwoliłem sobie pół żartem i pół serio wyrazić pogląd, iż – jak wynika z doświadczeń ostatnich dwustu lat – lepiej nam się udają „państwa podziemne” aniżeli „naziemne”. Świadczy o tym rozkwit m.in. tajnej prasy zarówno w r. 1863, jak i w latach 1939-1945 czy wreszcie w okresie stanu wojennego. Już przed rokiem 1989 doszły do niej wydawnictwa książkowe, ukazujące się w coraz większych nakładach, dawniej zablokowane przez cenzurę, jak również nielegalne imprezy artystyczne, w tym nawet przedstawienia teatralne czy wieczory poetyckie.

Nikt rozsądny nie będzie oczywiście bronił urzędu, którego symbolem stała się warszawska ulica Mysia, ale jakże często przy czytaniu niektórych publikacji propagujących profaszystowskie i rasistowskie poglądy, ogarnia nas wręcz pasja. Dlaczegoż to dotychczas nie zbudowano, poprzez sprawnie działające sądownictwo (ach! kiedyż się go doczekamy) systemu, który pozwalałby surowo, choćby tylko pieniądze, karać autorów podobnych publikacji?

Równocześnie należy z uznaniem zwrócić uwagę na fakt, iż jednym z pozytywnych następstw zniesienia cenzury było pojawienie się wielu odkrywczych i nowatorskich tekstów literackich, przedstawień teatralnych czy imprez muzycznych, które nie mogłyby zostać opublikowane lub zaprezentowane odbiorcom w latach Polski Ludowej. Nie wszystkie może z nich wzbudzają powszechny aplauz i ogólną aprobatę, ale w sumie one właśnie decydują o barwności i wielonurtowości współczesnej nam kultury.

Od czasu do czasu ktoś bije na trwogę ostrzegając przed niechybnym unicestwieniem polskość przez falę amerykańskości. Mało kto wszakże zauważy, że o wiele groźniejszym niebezpieczeństwem jest ubożenie naszego języka, połączone z jego schamieniem. Otwie-

rają temu szeroko wrota tak zwane środki masowego przekazu z telewizją na czele: w części publicystycznej srebrny ekran zalewa nas potokiem półinteligentnych wynurzeń. Gdyby zaś Jarosław Iwaszkiewicz wzięty do ręki tak ongiś nobliwą „Twórczość”, dostałby zawału po przeczytaniu słów, jakimi są naszpikowane zamieszczane tam utwory. W niedawno ogłoszonych dziejach kultury, sięgających od prawieków po rok 1989, Maria Bogucka nie szczędzi okresowi Polski Ludowej słów najostrzejszej krytyki. Równocześnie jednak wyraża zdumienie z faktu „tak wspaniałego – mimo wielkich utrudnień – rozkwitu wielu dziedzin życia duchowego. Literatura, sztuka, muzyka, film, nauka zdobywały się na olbrzymie osiągnięcia”.

To prawda, że unikając badań nad dziejami najnowszyimi, które wymagały nieraz nawet i fałszowania źródeł, przenoszono się w odległe stulecia. Część humanistów szukała ucieczki w pracy nad kompendiami, które budziły podziw w innych krajach poddanych dyktaturze Kremla. Po roku 1988 zostały jednak zahamowane prace nad bibliografią literacką, po 1984 ustało wydawanie rocznika literackiego, zagrożony finansowo jest *Słownik polszczyzny XVI stulecia*, jak również *Polski Słownik Biograficzny*. Te dwa ostatnie wydawnictwa nie miały odpowiedników u naszych najbliższych sąsiadów. Komerccjalizacja kultury okazuje się czasami bardziej zabójcza od cenzuralnych ograniczeń, tym bardziej że mecenat prywatny dość niechętnie wspiera sprawy kultury, a państwowy tłumaczy się, iż ma obowiązek wspomaganie finansowego ważniejszych sektorów. Prywatne wydawnictwa skąpią na pensjach dla redaktorów czy honorariach dla wewnętrznych recenzentów. Niech nas nie łudzą coraz grubsze książki na błahe nieraz tematy. To po prostu autor nie miał czasu (czy chęci) ich skracać, a zabrakło redaktorki, która by tego wymagała. Nic mnie już nie dziwi od czasu, kiedy w jednym z kompendiów pod fotografią przedstawiającą grupę księży na procesie biskupa Kaczmarka otoczonych przez milicjantów z bronią, znalazłem objaśnienie, że chodzi tu o... księży patriotów kolaborujących z reżimem.

Któryż ze współczesnych kabaretów osiągnął poziom *Kabaretu starszych panów* (próbowała to robić Olga Lipińska i dlatego zapewne zdjęto jej program ze srebrnego ekranu). W godzinach największej oglądalności jesteśmy wprost zalewani amerykańską tandetą, dobre artystycznie filmy są wyświetlane dopiero gdzieś po godz. 12 w nocy lub znacznie później. Poniedziałkowy teatr został przesunięty na godz. 21. Najchętniej są emitowane „pyskówki”, natomiast na poważniejsze dyskusje czas bywa wymierzany wręcz po aptekarsku. Kolega-historyk opowiadał mi niedawno, iż przyjechała do niego ekipa telewizyjna z pytaniem: „Panie profesorze: Radziwiłłowie byli zdrajcami, czy też nie byli?”. Na jego replikę: „ale w którym wieku, jacy, z jakich powodów?” usłyszał bezradny jęk: „ależ proszę pana, my mamy na całe nagranie zaledwie półtorej minuty, no może dwie”.

Skoro już weszliśmy na bliski mi teren historii, muszę z prerażeniem stwierdzić, iż w pracach popularyzatorskich dotyczących przeszłości góruje pogoń za tanią sensacją, tajemnicami alkwowy, „sekretami historii” czy spiskową teorią dziejów we wszelkich jej odmianach. Tajemnice śmierci Sikorskiego, rzekome otrucie Rydza

Śmigłego, a przede wszystkim rola obcych agentów w zmontowaniu obrad „okrągłego stołu” – oto co wydaje się dziś najbardziej absorbować tygodniki i prasę codzienną. Domniemane nieślubne dziecko Wałęsy wydaje się być ważniejsze od jego dokonań politycznych. Pod tym względem wcześniejsze stulecia były o wiele rozsądniejsze, skoro Henryka IV oceniano pod kątem jego politycznych osiągnięć, nie zaś liczby nieślubnego potomstwa. A na *Dziadach* czy *Panu Tadeuszu* nie kładł się cień dziecka spłodzonego przez autora z niejaką Ksawerą Deybel. A cóż nam pomoże w zrozumieniu sukcesów Towarzystwa Jezusowego informacja, iż św. Ignacy Loyola jeszcze jako oficer baskijski spłodził podobno nieślubną córkę?

Z jednej strony, zwykliśmy utyskiwać na brak rozeznania współczesnej młodzieży w historii Polski, bo zapytana na ulicy przez wścibskich reporterów dlaczego jest świętowany dzień 11 listopada, nie potrafi sensownie na to odpowiedzieć. Gdybyśmy jednak zapytali francuską młodzież tańczącą beztrzesko 14 lipca na ulicach Paryża, dlaczego tak czyni, wielu odpowiedziałoby zapewne, że dla uczczenia zburzenia Bastylli. Ale kto w niej siedział, za jakiego władcy miało to miejsce, a nawet w którym stuleciu, niewielu by potrafiło odpowiedzieć.

Z drugiej strony, gorsząc się brakiem patriotycznych zainteresowań młodzieży nie oburzamy się faktem, iż – podobnie jak w latach Polski Ludowej – historia jest nadal przekształcana w wielką wypożyczalnię kostiumów (w przenośni i dosłownie) na różnego rodzaju obchody. Jak wiadomo historiografia posiadała różnego rodzaju nauki pomocnicze, takie jak sfragistyka, heraldyka (W. Dworzaczek mawiał o niej, iż jest nauką pomocniczą historii i... ludzkiego snobizmu) czy numizmatyka. Obecnie jednak sama historiografia staje się nauką pomocniczą obchodo-i-jubileuszomanii. Kiedy w roku 1996 badacze dziejów Warszawy usiłowali wytłumaczyć jej władzom, że czterysta lat temu nie było żadnego przeniesienia stolicy z Krakowa do Warszawy, a ta ostatnia dopiero w roku 1611 stała się rezydencją królewską, usłyszeli, iż odpowiednie medale zostały wybite i niczego z racji czyichś fanaberii zmieniać się nie będzie.

Wbrew pozorom w propagandzie nie jest tak łatwo o nowe pomysły. Stąd tyle w niej przeważnie nieświadomych plagiatów. Młoda generacja nigdy nie miała w ręku *Krótkiego kursu historii WKP(b)*. A szkoda, bo znalazłaby w nim tezę, iż rewolucję bolszewicką zrobili ludzie pracujący dla obcych wywiadów. Tak więc twierdzenie, jakoby „Solidarność” została stworzona przez rodzime służby bezpieczeństwa sterowane przez KGB, trudno uznać za coś innego aniżeli nieświadomy(?) plagiat. Z kolei teza, iż winniśmy dążyć do moralno-politycznej jedności wszystkich Polaków, stanowi dość wierne powtórzenie apeli gierkowskiej propagandy.

Dość często pisze się o Kościele. Po pierwsze jednak nie wiemy, czy można jeszcze używać liczby pojedynczej zważywszy na tak olbrzymie różnice dzielące tę instytucję, od prostych wiernych po sam Episkopat. Innemu typowi kultury patronuje bowiem „Tygodnik Powszechny”, „Więź” czy „Znak”, zgoła odmiennemu zaś „Nasz Dziennik”, „Głos Niedzielnny” lub „Rycerz Niepokalanej”. Katolicyzm polski nie najlepiej chyba przszedł na odzyskaną po raz drugi w tym samym stuleciu niepodległość. Sprzyja ona bowiem postępowi laicyza-

cji, której już dwukrotnie w naszych dziejach dość skutecznie zagrodzono drogę. Najpierw uczyniły to zabory, kiedy pod pruskim i rosyjskim panowaniem stał się ostożką polskości, następnie lata PRL, gdy ambona była nieraz jedynym miejscem swobodnej wypowiedzi.

Reżimowa cenzura nie dopuściłaby, oczywiście za cenę jakichś ustępstw ze strony Episkopatu, do epatowania czytelników informacjami o pedofilii wśród księży. Kościół czuł się dość bezpieczny pod parasolem patriotycznej solidarności, a siły bezpieczeństwa pilnie strzegły tajemnicy teczek założonych dla tajnych współpracowników czy informatorów. Obecnie szeroka fala tak modnej dziś lustracji dosięgła z jednej strony ludzi kultury, skoro w życiorysach wielu publicystów czy poetów najważniejsze wydają się być ich przelotne nawet kontakty z bezpieką. Z drugiej objęła także duchowieństwo, co nie mogło się podobać wyższej hierarchii kościelnej. Opowiadała się ona zawsze „za grubą kreską”. Gdyby było inaczej, św. Paweł (ongis Szaweł) nie znalazłby się jako współpracownik ówczesnych sił bezpieczeństwa (asystował przy kamieniowaniu św. Szczepana) w gronie apostołów. A przecież to on właśnie zaczął szerzyć chrześcijaństwo również wśród pogan, w przeciwieństwie do św. Piotra, który chciał się ograniczyć wyłącznie do nawracania Żydów.

Notabene chyba nigdy nie doczekamy się chwili, kiedy Kościół od rehabilitacji tej czy innej ofiary inkwizycji przejdzie do stwierdzenia, iż po prostu nikogo i nigdy nie należało posyłać na stos, czy też poddawać torturom za herezję. Jak na razie Watykan nie narzeka na brak powołań kapłańskich, ale powszechnie wiadomo, iż odpływ z seminariów duchownych sięga do 40 proc. A wierni coraz częściej traktują katolicyzm jak obiad *a la carte*, z którego można wybierać dowolne dania. W tak hucznie reklamowane pokolenie Jana Pawła II mało kto już wierzy. Dawno przestaliśmy być grzecznym, pobożnym i praktykującym Jasiem, którego stawiano za wzór zlaicyzowanym mieszkańcom zachodu Europy. Z enuncjacji Telewizji Trwam dowiadujemy się, że podległe mu kółka różańcowe stanowią wysepki w morzu Polaków ulegających masońsko-żydowskiej propagandzie (w przekładzie na język używany w Toruniu brzmi to nieco inaczej „mediów wyrażających atawistyczno-plemienną niechęć do wszystkiego co polskie i katolickie”).

Jak słusznie zauważył Henryk Samsonowicz, obecny system indoktrynacji zbliża się coraz bardziej do wzorca wieków średnich, w których następowała ona głównie przez żywe słowo i obraz. Chorobliwe uzależnienie od telewizji łączy te dwa sposoby: aby ją oglądać i słuchać, nie trzeba przecież znać sztuki czytania i pisania. Obraz zajmuje coraz więcej miejsca także w tekstach drukowanych. Nikt nie obliczył (a szkoda!) jak na przestrzeni ostatnich dwudziestu lat zmniejszyła się w podręcznikach ilość miejsca zajmowanego przez tekst na rzecz ilustracji. W tygodnikach zwłaszcza są to w większości reklamy, które pozwalają je wydawać po jeszcze przystępnych cenach. Wzorująca się wyraźnie na „Spieglu” „Polityka” udziela im coraz więcej miejsca skracając sam tekst. W jej ślady idzie ostatnio, co prawda jeszcze nieśmiało, nawet „Tygodnik Powszechny”.

Jedyny wyjątek stanowi „Gazeta Wyborcza”, której naczelny redaktor ma wyraźną słabość do długich, często nadmiernie, artykułów. Równocześnie istnieje cała

masa „niszowych” czasopism drukowanych w małych nakładach, które praktycznie biorąc nie są przez nikogo czytane. Chwilami ma się wrażenie, iż ich redaktorzy, pozostając ze sobą w cichej zмовie, pozorują prowadzenie wzajemnych dyskusji mających uzasadnić rację istnienia pisma. Towarzyszy temu metoda, którą bym nazwał obgryzaniem kolejnych kości. Niezależnie czy to jest sprawa lustracji, aborcji, zapłodnienia *in vitro*, obrażania Polaków w którymś z francuskich czasopism, na danym temacie skupiają się naraz wszyscy publicyści i to kosztem bardziej istotnych problemów. Po czym przechodzą dość zgodnie do obgryzania następnej „kości”.

To prawda, że w rekordowym niemal tempie wzrosła liczba wyższych uczelni. W czasach PRL tylko 10 procent maturzystów przekraczała progi tych szkół. Obecnie czyni to ponad połowa, wszelako jakość zaczyna tonąć w ilości, tym bardziej iż dawniej na jedno miejsce zgłaszało się po kilku czy nawet kilkunastu kandydatów, obecnie, zwłaszcza prywatne uczelnie muszą zabiegać o nowych studentów. Towarzyszy temu rosnąca pobłażliwość dla plagiatów: w internecie bez większej żenady ogłaszają się potencjalni kandydaci skłonni za wcale niewygórowaną sumę pisać prace magisterskie. *Notabene*, przy tych ostatnich, nawet gdy dotyczą czasów antyku oraz średniowiecza, nie jest już wymagana znajomość łaciny.

Towarzyszy temu odgórny prąd do ułatwiania karier naukowych poprzez likwidację habilitacji czy zamianę tzw. książki profesorskiej na przypadkowy zbiór dowolnych artykułów. Uczelnie skarżą się z kolei na coraz słabsze przygotowanie absolwentów szkół średnich do studiów. Dawniej wypuszczały one inteligentów, dziś i z wyższych uczelni wychodzą półinteligenci.

Ten czarny rejestr nie znaczy wszakże, aby lata transformacji nie mogły odnotować także pewnych osiągnięć kulturalnych. Zaliczyłbym do nich wspomnianą już swobodę wypowiedzi. W chwili obecnej można wreszcie także i o ubiegłym stuleciu napisać wszystko co o nim sądzimy, a więc całą prawdę. Nasuwa się jednak pytanie: co będzie dalej? Jak długo da się czerpać natchnienie ze światowych sukcesów nieżyjącego już Wielkiego Polaka, czy wrzusać świat rozmiarami naszej martyrologii? Jakże wiele publikacji z tego zakresu zalega w księgarniach półki z napisem: „książka prezentowana” lub „tania książka”.

Ongis ludzie wyjeżdżający na emigrację z powodów politycznych lub gospodarczych tłumaczyli, iż wrócą do kraju, gdy tylko poprawią się tam warunki materialne lub zmieni ustrój. Obecnie spora część emigrantów nie kryje się z nadziejami na rychłą asymilację swego potomstwa, bo tylko ona jest w stanie zapewnić karierę polityczną w nowej ojczyźnie. Ale tu nasuwa się zasadnicze pytanie, a pod jakim hasłem ma się ta asymilacja odbywać: awansu kulturowego czy świadomości, iż przybywamy z kraju o bogatej tradycji kulturowej i tysiącletnim dziedzictwie. Czy aktualna kultura polska jest w stanie dopomóc w rozstrzygnięciu tego dylematu? Wydaje się to mało prawdopodobne zważywszy na fakt, iż polskie środowiska intelektualne nie udzielały rodakom przez ubiegłych dwadzieścia lat pomocy w przewyciężaniu transformacyjnego szoku.

IRENA PACZYŃSKA

JÓZEF CYRANKIEWICZ W OBOZOWYM RUCHU OPORU W AUSCHWITZ

Dzisiejszy wieczór poświęcony Józefowi Cyrankiewiczowi nie jest pierwszym spotkaniem w „Kuźnicy”, podczas którego wspominamy tego wybitnego działacza politycznego, więźnia obozów w Auschwitz i Mauthausen, polskiego męża stanu. Poprzednie spotkanie odbyło się 21 kwietnia 1989 r., w cztery miesiące po śmierci Cyrankiewicza w dniu 20 stycznia 1989 r. „Kuźnica” gościła wtedy jego towarzyszy obozowych – Władysława Fejka (nr 5647), Stanisława Kłodzińskiego (nr 20019), Lucjana Motykę (nr 136678), wypowiedzi ich stały się kanwą dyskusji¹. Zachowała się w zbiorach dr. Stanisława Kłodzińskiego juniora, przechowującego pamięć o ojcu i jego zbiory, taśma z nagraniem wystąpienia byłego więźnia Kłodzińskiego na tym spotkaniu.

Józef Cyrankiewicz przybył do KL Auschwitz w dniu 4 września 1942 r., w 34-osobowej grupie mężczyzn przywiezionych ciężarówką z Pelizeigefängnis Montelupich – więzienia Sicherheitpolizei und SD w Krakowie. W transporcie tym było 30 Polaków, Rom, Żyd, Ukrainiec i Rosjanin, oznaczono ich numerami 62931–62964. Józef Cyrankiewicz stał się numerem 62933, a przywieziony w tym samym transporcie literat Tadeusz Hołuj, towarzysz konspiracyjnej pracy Cyrankiewicza w obozie, numerem 62937². Na obozowym pasiaku nosili także czerwone trójkąty, oznaczające więźnia politycznego.

Józef Cyrankiewicz, uczestnik kampanii wrześniowej – dowódca baterii artylerii konnej, dostał się do nie-

woli 15 września w okolicach Tomaszowa Lubelskiego, zbiegł z transportu wiozącego jeńców do Rzeszy, gdy pociąg jadący z Jarosławia znalazł się w rejonie wówczas podkrakowskich Swoszowic. Jan Nowak-Jeziorański, w książce *Kurier z Warszawy* z uznaniem opisuje postawę Cyrankiewicza wykazaną w trakcie marszu kolumny jenieckiej spod Tomaszowa, w transporcie, w zainicjowaniu ucieczki³.

Cyrankiewicz, przed wojną sekretarz Okręgowego Komitetu Robotniczego PPS, włączył się niezwłocznie w działalność konspiracyjną jako sekretarz konspiracyjnego OKR, którego przewodniczącym był Zygmunt Żuławski. Był także przedstawicielem PPS w krakowskim Komitecie Międzypartyjnym, utrzymywał kontakty ze Związkiem Walki Zbrojnej, dokooptowano go do centralnego kierownictwa PPS, działającej pod zmienioną nazwą Centralne Kierownictwo Ruchu Pracujących Polski („Wolność-Równość-Niepodległość”). Wyjeżdżał do Warszawy na spotkania konspiracyjne m.in. z Kazimierzem Pużakiem i Zygmuntem Zarembą, postępując się podrobioną legitymacją inspektora „Spodem”, zatrudnionego w Warszawie⁴. Był przewidziany

³ J. Nowak-Jeziorański, *Kurier z Warszawy*, Londyn 1978, s. 29–31.

⁴ M.in. J. Cyrankiewicz, *W konspiracji krakowskiej i oświęcimskiej*, [w:] *Polska Partia Socjalistyczna w latach wojny i okupacji 1939–1945*, t. 1, Warszawa 1994, s. 168–178; „My tu żyjemy jak w obozie warownym”. *Listy PPS-WRN Warszawa-Londyn 1940–1945*, Warszawa – Londyn 1993, passim. Zygmunt Zaremba w liście z 10 lutego 1940 r. skierowanym do Adama Ciołkosza w Paryżu, napisał m.in., mając na uwadze krakowską organizację i Józefa Cyrankiewicza: „Nieruchomość w Krakowie, która Cię bliżej interesuje nic nie ucierpiała i pozostaje pod umiejętną administracją p. Kaczkowskiego” (s. 3). W wydawnictwie tym opublikowano list Cyrankiewicza do Ciołkosza i Jana Stańczyka z kwietnia 1940 r. (s. 11–13), list z 16 listopada 1940 r. do Ciołkosza (s. 13–14), list Zaremby i Cyrankiewicza do Ciołkosza i Stańczyka z jesieni 1940 r. (s. 18–20).

¹ O. Jędrzejczyk, *Walka Józefa Cyrankiewicza w obozie oświęcimskim*, „Gazeta Krakowska” 1989, nr 96, s. 4.

² *Księga pamięci. Transporty Polaków do KL Auschwitz w Krakowa i innych miejscowości Polski Południowej 1940–1944*, t. 2, red. nauk. F. Piper, I. Strzelecka, Warszawa–Oświęcim 2002, s. 1370.

na zastępcę delegata rządu na kraj⁵. Jan Karski „Witold”, kurier i emisariusz podziemnych władz polskich, we wspomnieniach pisze o zasługach Cyrankiewicza w uwolnieniu go z rąk Gestapo w Nowym Sączu, dokładnie z tamtejszego szpitala⁶, małżeństwo Mariańskich i inni o pomocy udzielanej Żydom⁷.

Cyrankiewicza aresztowano 19 kwietnia 1941 r. podczas urzędzonego tzw. kotła w mieszkaniu szefa sztabu obszaru krakowsko-śląskiego ZWZ ppłk. Jana Cichockiego w oficynie kamienicy przy ul. Sławkowskiej 6⁸. Funkcję Cyrankiewicza w OKR przejął Adam Rysiewicz „Teodor”. Cyrankiewicza osadzono w więzieniu przy ul. Montelupich. W śledztwie nie ujawnił swoich kontaktów i powiązań konspiracyjnych. Przez kilka miesięcy pracował w pralni jako mechanik od kotła i urządzeń w pralni, co ułatwiło mu przekazywanie grypsów, korzystał z kontaktów z miastem więźniarek z oddziału żeńskiego. Był zaangażowany w akcji dożywiania więźniów. Autorzy książki o „Monte” – Wincenty Hein i Czesław Jakubiec pisząc o pobycie Cyrankiewicza w więzieniu wspominają o przygotowywanej nieudanej jego ucieczce wspólnie z lekarzami Józefem Grabieniem i Emanuelem Hałaczem. W końcowej fazie przygotowań wszyscy trzej zostali zakuci w kajdany i zamknięci w ciemnicach. W czasie przesłuchań Hałacz został zastrzelony. Cyrankiewicza wysłano do obozu⁹.

Jeszcze przed przybyciem do KL Auschwitz nowego transportu więźniów z Krakowa, Stanisław Kłodziński otrzymał gryps od Teresy Lasockiej, w którym sygnalizowano, że najbliższym transportem – jak pisze Anna Początek w książce *Stanisław Kłodziński: więzień hitlerowskich obozów koncentracyjnych, działacz społeczny, dokumentalista* – „przybędzie Józef Cyrankiewicz i trzeba będzie udzielić mu możliwie najszerzej pomocy”¹⁰.

Stanisław Kłodziński (nr 20019) przebywał w obozie od 12 sierpnia 1941 r., skierowany przez Sipo i SD z Krakowa z policyjnego więzienia w transporcie 38 więźniów, których oznakowano numerami 20010-20047¹¹. W czasie kampanii wrześniowej jako student po III roku medycyny – ochotnik służył w szpitalu wojskowym w Krakowie, umieszczonym w Bursie ks. Mieczysława Kuznowicza przy ul. Skarbowej, przejętym po wejściu Wehrmachtu do Krakowa przez Polski Czerwo-

ny Krzyż. Po likwidacji szpitala oddał się do dyspozycji PCK Okręgu Krakowskiego, kierował sekcją pomocy więźniom, następnie – po ograniczeniu działalności PCK – związał się z Polskim Komitetem Opiekuńczym i jego Działem Opieki nad Więźniami i Ich Rodzinami, popularnie zwanym „Patronatem”¹². „Patronat” za zgodą niemieckich władz organizował paczki dla uwięzionych, wspomagał ich rodziny, a bez zgody władz pośredniczył w wymianie informacji, gromadził je, przekazywał raporty o sytuacji więźniów władzom Polski podziemnej, pomagał w organizowaniu ucieczek. Jesienią 1940 r. utworzono podsekcję „Grupa Oświęcimska” dla niesienia pomocy więźniom obozu¹³, a Stanisław Kłodziński otrzymał polecenie rozeznania możliwości jej udzielenia, co spowodowało jego wizytę w komendanturze obozu i uzyskanie zgody na wysłanie z okazji Bożego Narodzenia kilogramowych paczek¹⁴. Akcję tę powtórzono. W ramach „Grupy Oświęcimskiej” Stanisław Kłodziński współpracował z Teresą Lasocką, która stała się później odbiorcą i pośrednikiem w prowadzonej konspiracyjnie korespondencji z i do KL Auschwitz, gdy Kłodziński został więźniem Auschwitz¹⁵.

Sytuację w Auschwitz w chwili przybycia tam Cyrankiewicza można dobrze scharakteryzować cytując Kłodzińskiego: „W lagrze srożyła się epidemia tyfusu plamistego. SS likwidowało wszy razem z więźniami chorymi na tyfus. Codziennie dosercowo wstrzykiwano chorym fenol. Większe grupy wysyłano do komór gazowych. [...] Obozem rządził wówczas wyłącznie Oddział Polityczny, a w nim tacy oprawcy, jak Maximilian Grabner, Wilhelm Boger, Gerhard Lachmann. Życie więźnia nie przedstawiało dla nich żadnej wartości”¹⁶.

Rok 1942 to także czas intensywnej rozbudowy obozu w Birkenau, początek budowy komór gazowych, powstawania podobozów dla maksymalnego wykorzystania pracy więźniów, początek kierowania do obozu transportów, które wprost z rampy kolejowej trafiały do gazu, palenia zwłok.

W obozie działała już konspiracja wojskowa i polityczna. Twórcą konspiracji wojskowej był ppor. rez. Witold Pilecki¹⁷, który jako Tomasz Serafiński dał się ująć w obławie urządzonej w Warszawie 19 września 1940 r. i z zadaniem utworzenia tajnej organizacji przybył do KL Auschwitz w nocy z 21 na 22 września w drugim transporcie warszawskim, w grupie 1705 więźniów. Otrzymał numer 4859¹⁸. Od października 1940 r. zaczął powoli tworzyć Związek Organizacji Wojskowej,

⁵ *Armia Krajowa w dokumentach 1939–1945*, t. 1, Wrocław 1990, s. 383; *My tu żyjemy...*, s. 30.

⁶ J. Karski, *Tajne państwo – opowieść o polskim podziemiu*, Warszawa 1999, s. 160. Jan Karski napisał: „W stodole przebywałem trzy dni. Gościł mnie stary, siwowłosy socjalista, dobrze pamiętający Piłsudskiego z lat walki z caratem w 1905 roku. Człowiek ten z dumą zakomunikował mi, że to właśnie PPS zorganizowała moją ucieczkę, a sfinansowanie jej z kasy partyjnej zarządził Cyna”. Książka Jana Karskiego (prawdziwe nazwisko Jan Koziulewski) powstała w 1944 r. i opublikowana została pt. *Story of a Secret State*, co narzucało konieczność posługiwania się zmienionymi nazwiskami. Cyna to Cyrankiewicz, o którym Karski pisze ciepło jeszcze w innych miejscach książki. O uwolnieniu Karskiego zob.: J. Cyrankiewicz, *W konspiracji...*, s. 176–177.

⁷ M. M. Mariańscy, *Wśród przyjaciół i wrogów. Poza gettem w okupowanym Krakowie*, Kraków 1988, passim.

⁸ T. Wroński, *Kronika okupowanego Krakowa*, Kraków 1974, s. 150. W wyniku aresztowań przeprowadzonych wiosną 1941 r. komenda obszaru krakowsko-śląskiego i okręgu krakowskiego ZWZ została rozbita.

⁹ W. Hein, Cz. Jakubiec, *Montelupich*, Kraków 1985, s. 102, 134, 369, 376, 382, 390–391.

¹⁰ A. Początek, *Stanisław Kłodziński więzień hitlerowskich obozów koncentracyjnych, działacz społeczny, dokumentalista*, Katowice 2003, s. 106.

¹¹ *Księga pamięci...*, t. 1, s. 629.

¹² A. Początek, *Stanisław Kłodziński...*, s. 40–46.

¹³ S. Kłodziński, *Krakowski „Patronat” więzienny*, „Przegląd Lekarski – Oświęcim” 1972, nr 1, s. 168–176; S. Kłodziński, „Patronat” w Krakowie podczas okupacji (sesja z 16 stycznia 1984 r.), „Przegląd Lekarski – Oświęcim” 1985, nr 1, s. 160–166. Do pracy tej przydzieleni zostali m.in. Zygmunt Klemensiewicz, Teresa Lasocka, Zygmunt Lasocki, Stanisław Kłodziński, Adam Szebista. Teresa Lasocka w 1946 r. została żoną Karola Estreichera.

¹⁴ A. Początek, *Stanisław Kłodziński...*, s. 59–60.

¹⁵ S. Kłodziński, *Teresa Lasocka-Estreicher*, „Przegląd Lekarski – Oświęcim” 1975, nr 1, s. 204–210.

¹⁶ S. Kłodziński, *Józef Cyrankiewicz w obozie oświęcimskim*, „Przegląd Lekarski – Oświęcim” 1990, nr 1, s. 108.

¹⁷ Witold Pilecki przy udziale mjr. Jana Włodarkiewicza założył w Warszawie Tajną Armię Polską. 11 listopada 1941 r. awansowany został do stopnia porucznika, a 19 lutego 1944 r. do stopnia rotmistrza (ze starszeństwem od 11 listopada 1943 r.).

¹⁸ A. Cyra, *Ochotnik do Auschwitz: Witold Pilecki (1901–1948)*, Oświęcim 2000, s. 60–65.

o którym pisze Józef Garliński¹⁹, a przede wszystkim Adam Cyra w rzetelnej książce o Witoldzie Pileckim.

Inna grupa oficerów zapoczątkowała w lutym 1941 r. tworzenie Związku Walki Zbrojnej (ppłk Kazimierz Rawicz, w obozie jako Jan Hilknier, nr 6319; ppłk Teofil Dziama, nr 13578). Józef Garlicki wymienia jeszcze dalsze osoby związane z tą inicjatywą²⁰.

Wiosną 1941 r. podobne siatki zaczęli budować płk Aleksander Stawarz (nr 11513), ppłk Karol Kumuniecki (nr 8361), rtm. Włodzimierz Koliński (nr 3155)²¹. Były także inne próby podejmowania konspiracyjnej pracy.

W drugiej połowie 1941 r. rozpoczął się proces scalania tych grup. Witold Pilecki podporządkował się starszemu stopniem wojskowym Rawiczowi, co jeszcze nie oznaczało, automatycznego połączenia obu grup. Po wywiezieniu Rawicza do KL Mauthausen (7 lipca 1942 r.) jego funkcje przejął ppłk Juliusz Gilewicz (nr 31033)²². Pilecki – Serafiński pozostawał w dowództwie organizacji aż do ucieczki z obozu 26 na 27 kwietnia 1943 r.²³ W opracowaniach historycznych scalona organizacja występuje pod nazwą Związek Organizacji Wojskowej (Cyra, Garliński) lub ZWZ/AK (Henryk Świeboczek).

Organizacje polityczne tworzone były przez socjalistów i narodowców. Socjaliści rozpoczęli tajną pracę w KL Auschwitz jesienią 1940 r. Zapoczątkował ją Stanisława Dubois, wybitny działacz lewicy socjalistycznej, były poseł na Sejm, przebywający w obozie pod nazwiskiem Stanisław Dębski (nr 3904), przywieziony tym samym transportem co Pilecki²⁴. Dubois pozyskał do organizacji znanych sobie socjalistów z Warszawy z pierwszego (15 sierpień 1940 r.) i drugiego transportu (w drugim transporcie był m.in. Konstanty Jagiełło, nr 4507, działacz przedwojennego Czerwonego Harcerstwa). Po dołączeniu do konspiratorów Norberta Barlickiego, doświadczonego działacza PPS, przywiezionego 7 stycznia 1941 r.²⁵ przyjęto nazwę Bojowa Organizacja PPS. W drugiej połowie 1941 r. dołączył do nich Adam Kuryłowicz (nr 18487), przed wojną wiceprzewodniczący Komisji Centralnej Związków Zawodowych, poseł na Sejm²⁶. O socjalistach w obozie pisze w swoich wspomnieniach Stefan Kobrzyński (w obozie od 31 stycznia 1941 r.)²⁷. Płk Rawicz oceniał, że była to „bardzo zwarta, nadzwyczajnie zdyscyplinowana i wspaniale konspiracyjna się” grupa²⁸.

Do działalności konspiracyjnej w 1941 r. przystąpili narodowcy (m.in. Jan Mosdorf, nr 8230, przywódca przedwojennego Obozu Narodowo-Radykalnego; Bolesław Świdorski, nr 952, redaktor; prof. Roman Rybarski, nr 18599, działacz Stronnictwa Narodowego, prof. Witold Staniszkis)²⁹.

Jesienią 1941 r. socjaliści i narodowcy podporządkowali się Rawiczowi, a w grudniu 1941 r. doszło do politycznego porozumienia poszczególnych grup politycznych i wojskowych. Przewodniczącym utworzonego komitetu został Roman Rybarski, wiceprzewodniczącym – Stanisław Dubois. S PPS do wspólnego ciała politycznego weszli nadto Adam Kuryłowicz i Wacław Szumański (nr 19540)³⁰.

Konspiracyjna praca w obozie prowadzona była w ekstremalnych warunkach, przy ciągłej obserwacji esesmanów, zagrożeniu przez działalność donosicieli, groźbie rozszyfrowania przez Politische Abteilung, czyli obozowe gestapo, zagrożeniu karą bunkra, ciężkim śledztwem, śmiercią. Była to działalność znacznie trudniejsza niż konspiracja prowadzona w innych pozaobozowych warunkach okupacyjnych. Była to praca prowadzona w specyficznych warunkach i formach.

Oparciem dla pracy konspiracyjnej był szpital obozowy (zwłaszcza od 1943 r.)³¹. O znaczeniu szpitala obozowego i prowadzonej w nim tajnej działalności piszą obszernie w opublikowanych w „Przeglądzie Lekarskim – Oświęcim” tekstach m.in. Władysław Fejkiel³², Rudolf Diem³³ i Stanisław Kłodziński³⁴. Komendant KL Auschwitz Rudolf Höss w swoich wspomnieniach nadmieniał, że było „rzeczą prawie niemożliwą utrzymanie w szpitalu konfidentów”³⁵. Dla konspiracji ważny był Arbeitseinsatz – oddział zatrudniania więźniów decydujący o przydziale więźniów do komand pracy, a więc do określonego rodzaju pracy. Rodzaj wykonywanej pracy miał ogromne znaczenie dla możliwości przetrwania, utrzymywania kontaktu ze światem zewnętrznym, prowadzenia działalności konspiracyjnej, organizowania ucieczek.

Do szpitalnego bloku 21 trafili – po odbytej kwarantannie – Józef Cyrankiewicz wraz z Tadeuszem Hołujem. Stało się tak dzięki Adamowi Kuryłowiczowi (po śmierci Dubois obok Konstantego Jagiełły wysunął się

¹⁹ J. Garliński, *Oświęcim walczący*, Londyn 1974.

²⁰ Tamże, s. 51. Teofila Dziame rozstrzelano 11 października 1943 r.

²¹ Tamże, s. 51. Aleksandra Stawarza rozstrzelano 14 czerwca 1942 r., Karola Kumunieckiego i Włodzimierza Kolińskiego – 25 stycznia 1943 r. Zob. też Z. Walter-Janke, *W Armii Krajowej na Śląsku*, Katowice 1986, s. 257–258.

²² J. Garliński, *Oświęcim...*, s. 99.

²³ Witold Pilecki zbiegł z dwoma innymi członkami organizacji – kpt. Janem Redzejem (w obozie jako Jan Retko, nr 5430) i Edwardem Ciesielskim (nr 12969).

²⁴ W listopadzie 1940 r. Dubois jako Stanisław Dębski został wywieziony do Warszawy na Pawiak, w celu wymuszenia dodatkowych zeznań. Po okrutnym śledztwie ponownie znalazł się w KL Auschwitz 29 maja 1941 r.

²⁵ Norbert Barlicki zmarł w obozie 27 września 1941 r.

²⁶ Adam Kuryłowicz przybył do obozu 24 lipca 1941 r. w grupie 350 więźniów, skierowanych z więzienia na Pawiaku w Warszawie. Zob. D. Czech, *Kalendarz wydarzeń w KL Auschwitz*, Oświęcim-Brzezinka 1992, s. 74.

²⁷ S. Kobrzyński, *Socjaliści w niemieckich obozach koncentracyjnych*, [w:] *Polska Partia Socjalistyczna...*, t. 1, s. 516–522.

²⁸ *Auschwitz 1940–1945: węzłowe zagadnienia z dziejów obozu*, t. 4: H. Świeboczek, *Ruch oporu*, Oświęcim 1995, s. 37.

²⁹ J. Garliński, *Oświęcim...*, s. 50–51. Roman Rybarski zmarł w obozie 5 marca 1942 r., Jana Mosdorfa rozstrzelano 11 października 1943 r.

³⁰ J. Garliński, *Oświęcim...*, s. 83; A. Cyra, *Ochotnik do Auschwitz...*, s. 86; H. Świeboczek, *Ruch oporu*, s. 40–42, tamże zob. o zadaniach Komitetu. W gestii Komitetu pozostawała decyzja o wybuchu ewentualnego powstania w obozie. Po śmierci prof. Rybarskiego w dniu 5 marca 1942 r. funkcję przewodniczącego przejął prawdopodobnie Dubois, rozstrzelany 21 sierpnia 1942 r.

³¹ Szpital obejmował bloki: nr 28 (administracja i punkt rozdzielczy, ambulatorium, choroby wewnętrzne, sale operacyjne), nr 21 (oddział chirurgiczny, aseptyczny, ropny), nr 20 (oddział zakaźny), nr 19 (oddział chorych na biegunkę, interna i oddział chirurgii ropnej), nr 9 (rekonwalescenci). Większość lekarzy i personelu szpitalnego była związana z obozowym ruchem oporu, np. lekarze: Rudolf Diem (nr 10022), Marian Dipont (nr 2186), Władysław Fejkiel (nr 5647), Edward Nowak (nr 447), Henryk Suchnicki (nr 19456), Władysław Tondos (nr 18871), Stanisław Kłodziński.

³² W. Fejkiel, *O służbie zdrowia w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu I (obóz główny)*, „Przegląd Lekarski – Oświęcim” 1961, nr 1, s. 44–51. Zob. też W. Fejkiel, *Medycyna za drutami*, [w:] *Pamiętniki lekarzy*, Warszawa 1965.

³³ R. Diem, *Wspomnienia lekarza więźnia z Oświęcimia*, „Przegląd Lekarski – Oświęcim” 1988, nr 1, s. 134–147.

³⁴ Np. S. Kłodziński, *Wkład polskiej służby zdrowia w ratowanie życia więźniów w obozie koncentracyjnym Oświęcim*, „Przegląd Lekarski – Oświęcim” 1961, nr 1, s. 51–57.

³⁵ R. Höss, *Wspomnienia*, Warszawa 1965, s. 346.

on na czoło socjalistów), Stanisławowi Kłodzińskiemu i pomocy dr. Rudolfa Diema. W bloku tym mieściła się szrajbsztuba, czyli kancelaria całego szpitala obozowego pomieszczonego w kilku blokach. Cyrankiewicz i Hołuj objęli funkcję nocnych szrajberów, miało to wielkie znaczenie dla ich dalszej egzystencji. Kolejne miejsca pracy Cyrankiewicza to blok 24 (Arbeitseinsatz), blok 13A, a po wyjściu z bloku 11 – bloku śmierci – przebywał w bloku szpitalnym 20, w którym od stycznia 1942 r. pracował jako sanitariusz Stanisław Kłodziński³⁶.

Stanisław Kłodziński w tekście zamieszczonym w „Przeglądzie Lekarskim – Oświęcim” podaje taką charakterystykę Cyrankiewicza: „Do dziś pamiętam sylwetkę Cyrankiewicza w obozie. Był to człowiek postawny, wysoki, mocny, opanowany, fizycznie sprawny, pogodny, dowcipny, często jednak poważny, ambitny, ostrożny; schludny, dbał o swój wygląd zewnętrzny i starał się być możliwie zawsze w czystym pasiaku. Wyraźnie biła od tego więźnia godność. Czuł się nie tylko więźniem politycznym, lecz także reprezentantem całej grupy więźniów i sekretarzem okręgowego komitetu robotniczego Ziemi Krakowskiej, to znaczy ważnego ognia PPS. Cyrankiewicz zawsze mi się kojarzy z aktywną postawą więźnia w obozie, nie zaniedbującego niczego, co by mogło zakłócić politykę oprawców i co by prowadziło do ocalenia jak największej liczby więźniów w imię ich solidarności, bez względu na narodowość, religię i pochodzenie”³⁷.

Cyrankiewicz i Hołuj dołączyli w obozie do socjalistów, podobnie Kazimierz Hałoń (w obozie od 12 września 1941 r. jako Kazimierz Wrona, nr 20687), jak również niezwiązani wcześniej z żadną organizacją polityczną Ludwik Rajewski (nr 4217), Stanisław Kłodziński, Józef Róg oraz przywieziony z Montelupich w sierpniu 1944 r. Lucjan Motyka (nr 136678), socjalista i przed wojną działacz krakowskiego Związku Zawodowego Transportowców. Innych jeszcze członków tej siatki konspiracyjnej wymienia Henryk Świebocki³⁸.

Socjaliści i wszystkie inne grupy działające w obozie, w tym tworzone przy udziale Cyrankiewicza prowadziły prace, które skupiały się po pierwsze – na walce o biologiczne przetrwanie więźniów (akcje samopomocowe, działalność na terenie szpitala – ratowanie chorych, zamiana numerów zagrożonych więźniów, chronienie przed selekcją, zdobywanie lekarstw, szczepionek i innych rzeczy potrzebnych w szpitalu, troska o zdobycie dla więźniów politycznych, pracowników nauki i kultury odpowiednich zajęć czy funkcji w obozie, inicjowanie akcji wysyłki paczek, wpływanie na obsadzenie stanowisk funkcyjnych); po drugie – na walce o zachowanie godności ludzkiej (podtrzymanie psychologiczne, tworzenie poczucia solidarności, przeciwdziałanie antagonizmom narodowościowym, politycznym, rasowym, co miało znaczenie gdy obóz oświęcimski stał się obozem międzynarodowym, niedopuszczenie do załamania psychicznego i moralnego więźniów, informowanie się o sytuacji panującej w obozie i poza nim); po trzecie – na walce o osłabienie systemu obozowego (akcje likwidacji szpicli obozowych, dokumentowanie zbrodni, rozpracowywanie systemu ochrony

obozu, przekazywanie informacji poza teren obozu, utrzymywanie łączności ze strukturami konspiracji zewnętrznej, organizowanie ucieczek); wreszcie na przygotowywaniu się do walki w razie zagrożenia obozu likwidacją, ogłoszenia powstania.

Cyrankiewicz utrzymywał kontakty ze światem zewnętrznym, oficjalnie – mógł pisać do jednej, wybranej przez siebie osoby – pisał do matki, listy te były cenzurowane, a ich treść ograniczona do podstawowych informacji, zachowało się 14 listów i 6 kartek pocztowych, które przechowuje w rodzinnym archiwum dr Stanisław Kłodziński junior, oraz tajnie – z podziemiem krakowskim. Najpierw korzystał z wypróbowanej drogi przekazywania grypsów poprzez Stanisława Kłodzińskiego posługującego się pseudonimem „Stakło”, do Teresy Lasockiej „Tell”, mającej liczne kontakty z podziemiem krakowskim – z socjalistami, ludowcami, Okręgową Delegaturą Rządu oraz Radą Główną Opiekuńczą³⁹. Użył także własną łączność z podziemiem krakowskim poprzez Kazimierza Hałonia pracującego w komandzie wychodzącym poza teren obozu. Jego brat Edward Hałoń „Boruta” z Brzeszcza kierował od października 1942 r. na polecenie Adama Rysiewicza „Teodora” specjalną grupą PPS mającą na celu stworzenie systemu łączności między obozem a terenową i krakowską organizacją PPS-WRN, funkcjonującą obok dotychczasowego zespołu kierowanego przez Jana Nosola⁴⁰. Po odwołaniu Edwarda Hałonia ze względu na możliwość dekonspiracji kierownictwo grupy przejął w marcu 1944 r. Władysław Pytlak „Birkut”⁴¹.

Edward Hałoń we wspomnieniach szczegółowo pisze o tej łączności, wymienianych grypsach, o roli różnych ludzi z przyobozowej organizacji PPS, roli łączniczek, innych organizacji konspiracyjnych i miejscowej ludności, wreszcie o niesamowitym zaangażowaniu Rysiewicza w tę działalność i w organizowaniu ucieczek z Auschwitz, w tym Cyrankiewicza. Przed planowaną w zimie 1943 r. pierwszą ucieczką Cyrankiewicz otrzymał w styczniu tzw. czerwony punkt na więziennym pasiaku z napisem IL (Im Lager), co oznaczało, że jako niebezpiecznemu politycznie więźniowi nie wolno było mu wychodzić do pracy poza teren właściwego obozu. Natomiast z przygotowanej w Krakowie peruki, ubrania i dokumentów skorzystał wspomniany wyżej Kazimierz Hałoń i 10 lutego zdołał zbiec⁴². Druga próba zorganizowania ucieczki Cyrankiewicza przygotowywana w październiku-listopadzie 1943 r. także się nie powiodła, Cyrankiewicza osadzono w bloku 11⁴³. Podczas organizowania kolejnej próby poległ 24 czerwca 1944 r. Adam Rysiewicz „Teodor”, Józef Kornaś „Korn” i Ryszard Rogulski „Rysiek”⁴⁴.

W lipcu 1943 r. w Krakowie w mieszkaniu Teresy Lasockiej (ul. Jagiellońska 11, I p.) utworzono komitet

³⁶ S. Kłodziński, *T. Lasocka-Estreicher...*, s. 205.

⁴⁰ E. Hałoń, *Akcja oświęcimska PPS*, [w:] *Polska Partia Socjalistyczna...*, t. 1, s. 314–322; E. Hałoń, *W cieniu Auschwitz. Wspomnienia z konspiracji przyobozowej*, Oświęcim 2003, s. 42–51, 67–71. Jan Nosol, przedwojenny działacz i poseł, wraz z żoną i łączniczką Stanisławą Mazur zostali aresztowani w sierpniu 1943 r., osadzeni w KL Auschwitz, gdzie zginęli. Kierownictwo brzeszczańskiej organizacji PPS przejął Piotr Hałoń, ojciec Edwarda i Kazimierza.

⁴¹ E. Hałoń, *W cieniu Auschwitz...*, s. 127.

⁴² E. Hałoń, *W cieniu Auschwitz...*, s. 108–111; T. Sobański, *Ucieczki oświęcimskie*, Warszawa 1980, s. 52–59.

⁴³ E. Hałoń, *W cieniu Auschwitz...*, s. 116–118.

⁴⁴ Tamże, s. 145–154. Po śmierci „Teodora” funkcję sekretarza OKR przejął Stefan Rzeźnik.

³⁶ S. Kłodziński, *Józef Cyrankiewicz...*, s. 107–108; J. Garliński, *Oświęcim...*, s. 179.

³⁷ S. Kłodziński, *Józef Cyrankiewicz...*, s. 108.

³⁸ H. Świebocki, *Ruch oporu*, s. 56–57.



CYRANKIEWICZ JÓZEF
62933



BURGER ERNST
/ 23850



KŁODZIŃSKI STANISŁAW
20019



HOŁUJ TADEUSZ
62937

o nazwie Pomoc Więźniom Obozów Koncentracyjnych w składzie: Teresa Lasocka reprezentująca Delegaturę, Adam Rysiewicz – krakowską PPS-WRN, Edward Hałoń – przyobozową organizację tej partii oraz dr Helena Szlapak, siostra matki Józefa Cyrankiewicza. Wynikało to z konieczności sygnowania „na zewnątrz coraz obszerniejszych, coraz ważniejszych, coraz liczniejszych i lepiej udokumentowanych materiałów o Oświęcimiu i innych obozach koncentracyjnych oraz uzyskiwanie z różnych źródeł złotówek i niemieckich marek na pomoc obozom, oświęcimskiemu w szczególności. Dokumenty i materiały przekazywaliśmy po opracowaniu do różnych instytucji i organów polskiego państwa podziemnego, do podziemnej polskiej prasy konspiracyjnej i do zagranicznych ośrodków, do alianckiego radia i prasy” – pisze Edward Hałoń we wspomnieniach, charakteryzując wartość obozowych grypsów⁴⁵.

Wysyłane z obozu grypsy mają znaczenie dla dokumentowania zbrodni niemieckich. Potwierdzają, że grupy oporu, w których byli Cyrankiewicz i Kłodziński realizowały wszystkie zasygnalizowane kierunki konspiracyjnej działalności. Pobudzały wiele korzystnych dla häftlingów poczynań, np. szmuglowanie leków, szczepionek, trucizn, ułatwianie ucieczek, informowały, co się dzieje w obozie. Cyrankiewicz sygnując grypsy używał kilka pseudonimów: J., Józek, Stary, Ryc, Tor, Rot. Były także grypsy sygnowane łącznie przez Cyrankiewicza i Kłodzińskiego (jako „Stakło”), a także niepodpisane.

Ważnym wydarzeniem w obozowym życiu Cyrankiewicza był jego kontakt z Hermannem Langbeinem (nr 60355), wiedeńskim komunistą, uczestnikiem wojny domowej w Hiszpanii przybyłym do obozu 20 sierpnia 1942 r. w transporcie 17 więźniów politycznych – Niemców i Austriaków z KL Dachau⁴⁶. Józef Garliński (nr 121421), więzień Auschwitz i autor książki o obozowym ruchu oporu pisze, że jako specjalistów od zwalczania tyfusu przydzielono ich do centralnego szpitala jako pielęgniarzy lub szrajberów. Langbein trafił na blok 21 jako nocny szrajber, na ten blok – przypominamy – skierowano także Cyrankiewicza i Hołuj. Langbein po objęciu stanowiska lekarza garnizonowego (Standortartz) przez SS-Oberstufmührera Eduarda Wirthsa, poprzednio pracującego w KL Dachau, został

jego sekretarzem⁴⁷. Stworzyło to dla Langbeina nową sytuację wykorzystywaną dla dobra więźniów. Langbein skupił grupę komunistów, socjalistów i demokratów z Austrii walczących w Brygadach Międzynarodowych w Hiszpanii, w tym Ernsta Burgera (nr 23850, w obozie od 6 grudnia 1941 r.), Ludwiga Vesely (38169) i Rudolfa Friemela (nr 25173)⁴⁸. Z grupą austriacką współdziałało kilku więźniów komunistów francuskich i niemieckich⁴⁹.

Cyrankiewicz – dobrze zdający sobie sprawę ze znaczenia współpracy więźniów różnych narodowości i dążący do niej – przyłączył się do inicjatywy Langbeina zmierzającej do utworzenia międzynarodowej organizacji häftlingów. Zawiązano ją formalnie z początkiem maja 1943 r. pod nazwą Kampfgruppe Auschwitz – Grupa Bojowa Oświęcim w piwnicy bloku nr 4, w którym Burger pełnił funkcję pisarza, kiedy to powoływano jej kierownictwo. Kierownictwo GBO tworzyli wówczas dwaj komuniści austriacy Hermann Langbein „Wiktor” i Ernst Burger „Adam” oraz Józef Cyrankiewicz „Rot” i Tadeusz Hołuj „Robert”. Zadaniem Cyrankiewicza było kierowanie kontaktami i utrzymywanie łączności ze światem za drutami⁵⁰. W tych zadaniach współdziałał z Tadeuszem Hołujem, Stanisławem Kłodzińskim, Józefem Rogiem „Pierozkiem” (nr 6644) pracującym poza drutami i utrzymującym bezpośrednie kontakty z robotnikami cywilnymi⁵¹. Podział zadań w kierownictwie nie był sztywny, a skład nie był stały, wszak działali za drutami, a panami ich życia byli esesmani⁵².

⁴⁷ J. Garliński, *Oświęcim...*, s. 139, 182–183. Wirths przybył do KL Auschwitz 6 listopada 1942 r. Zob. D. Czech, *Kalendarz wydarzeń...*, s. 244.

⁴⁸ H. Świebocci, *Ruch oporu*, s. 59. Henryk Świebocci wymienia jeszcze inne osoby z grupy Langbeina.

⁴⁹ J. Garliński, *Oświęcim...*, s. 187–188, 201.

⁵⁰ Tamże, s. 184–184, 197–200.

⁵¹ Józef Róg wyniósł poza teren obozu oryginał pierwszej części książki zawierającej nazwiska osób osadzonych w bunkrze i odpis drugiej części książki doprowadzonej do 1 lutego 1944 r. Książki przekazano poprzez brzeszczańską grupę PPS do Teresy Lasockiej. Zob. F. Brol, G. Włoch, J. Pilecki, *Książka bunkra w bloku 11 hitlerowskiego obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu*, „Zeszyty Oświęcimskie” 1957, nr 1, s. 5–40; „Przekazanie książki miało na celu ujawnienie i udokumentowanie zbrodni hitlerowskich popełnionych na otoczonej tajemnicą Bloku Śmierci i umożliwienie aktualnego wykorzystania zawartych w niej materiałów dla poinformowania rodzin o losie więźniów, którzy przeżywali i ginęli na tym bloku” – piszą J. Cyrankiewicz, S. Kłodziński, *Oświadczenie*, tamże, s. 42. Franciszek Brol (nr 1159), Gerard Włoch (nr 7677) i Jan Pilecki (nr 808) to kolejni pisarze w tym bloku. Inicjatorem sporządzenia odpisu i wysłania ksiąg był Jan Pilecki. Kłodziński i Cyrankiewicz przekazali przesyłkę Józefowi Rogowi.

⁵² 25 sierpnia 1944 r. odszedł z KL Auschwitz transport 750 więźniów, do którego dołączono w ostatniej chwili Hermanna Langbeina. Zob. D. Czech, *Kalendarz wydarzeń...*, s. 742. Burgera w związku z nieudaną ucieczką w dniu 27 października 1944 r. powieszono 30 grud-

⁴⁵ Tamże, s. 90.

⁴⁶ D. Czech, *Kalendarz wydarzeń...*, s. 234.

W Grupie Bojowej Oświęcim działali więźniowie mający duże możliwości nawiązywania kontaktów, zdobywania informacji, oddziaływania na więźniów, organizowania ich, a także pozyskiwania dla swoich celów niektórych osób spośród niemieckiej załogi obozu.

Szrajbowanie Cyrankiewicza na bloku 21 Oddział Polityczny przerwał 2 listopada 1943 r. – tego dnia osadzony został w bunkrze bloku 11. Na szczęście nastąpiła zmiana komendanta obozu. Nowy komendant KL Auschwitz I Arthur Liebehenschel⁵³ zwolnił 23 listopada 56 więźniów z 86 tam przebywających, wśród nich Cyrankiewicza⁵⁴. Nastąpiło chwilowe zelżenie reżimu obozowego⁵⁵.

O osadzeniu Cyrankiewicza w bloku 11 pisał Stanisław Kłodziński w oficjalnych listach do matki z listopada i grudnia 1943 r. w odpowiednio zakamuflowanej formie⁵⁶. Już 23 XI wysłał gryps z informacją: „Józek cudem wyszedł”, wiadomość potwierdził następnego dnia w grypsie do „Tell”: „Józek wyszedł cudem. Wypuścili cały bunkier, ponad 100 osób. Są to zarządzenia z Berlina, wykonywane b[ardzo] ściśle przez Pol[itische] Abt[eilung] i nowego komendanta lagru [...]. Za ucieczkę względnie jej podejrzenie zostaje zniesiona kara śmierci”⁵⁷.

Więźniów zwolnionych z bunkrów 23 listopada, oznaczonych „czerwonymi punktami” i literami IL, w tym Cyrankiewicza ponownie osadzono 16 grudnia 1943 r. w bloku 11, tym razem nie w bunkrze, ale w celi. Izolowano ich jako szczególnie niebezpiecznych dla SS więźniów politycznych. Niemniej zatwierdzoną już przez centralę obozów koncentracyjnych karę 25 kijów dla Cyrankiewicza Liebehenschel anulował⁵⁸.

W obawie o życie Cyrankiewicza towarzysze obozowi wywołali u niego wysoką temperaturę i postarali się o umieszczenie go 2 stycznia 1944 r. w bloku 20 szpitala obozowego, gdzie upozorowano u tego häftlinga chorobę zakaźną. Interwencje Langbeina u Wirt-hsa spowodowały zatrzymanie Cyrankiewicza w tym bloku, wydanie zarządzenia o pozostawieniu Cyrankie-

wicza na stałe w szpitalu z prawem noszenia pasiaka i poruszania się po obozie⁵⁹. W bloku 20 przebywał aż do ewakuacji w styczniu 1945 r., a przypominam, że pracował w nim już Stanisław Kłodziński. Od stycznia 1943 r. kierownikiem szpitala obozowego był wspomniany już dr Władysław Fejkiel (nr 5647) współpracujący z GBO⁶⁰. Tajna praca polityczna pod przykrywką chorób zakaźnych, których bardzo obawiała się niemiecka załoga obozu, rozwinęła się na dobre. Nasiliło się grypsowanie, a informacje dostarczał Langbein i inni więźniowie zatrudnieni w w biurach Politische Abteilung, komendanturze, szpitalu więźniarskim i izbie chorych dla SS, pracujący jako sprzątacze, pisarze, maszynistki, pomoce biurowe itd.⁶¹.

Zmiana komendanta obozu, wewnętrzne tarcia w SS, rywalizacja o wpływy między nowym komendantem obozu a funkcjonariuszami Politische Abteilung zostały umiejętnie wykorzystane przez kierownictwo Grupy Bojowej Oświęcim. Stało się m.in. możliwe podejmowanie kroków przyczyniających się do pogłębiania różnic w komendanturze, dyskredytowania w oczach komendanta niektórych metod pracy Politische Abteilung, przedstawienie jako niekorzystnej dla obozu prowokacyjnej działalności siatki szpicli, a także funkcyjnych więźniów kryminalnych, będących na usługach oddziału. W poczynaniach tych istotne okazało się odważne zgłoszenie się do raportu u komendanta obozu więźnia Cyrankiewicza, wówczas po raz drugi przebywającego w bloku 11; dwukrotne wezwanie go na rozmowę, przebieg tych rozmów oraz jego pisemny raport, do czego był przygotowywany przez Langbeina mającego swoje kontakty z blokiem 11⁶². Dokładną relację o tych wydarzeniach Cyrankiewicz spisał w grypsie z 22 marca 1944 r. wysłanym do Adama Rysiewicza z poleceniem udostępnienia Teresie Lasockiej. Gryps ten to wielostronicowe sprawozdanie niepozbawione odrobiny humoru i sarkazmu, obejmujące okres od 23 listopada 1943 r. do połowy marca 1944 r., z dołączonym odpisem wspomnianego raportu⁶³.

W drugiej połowie 1943 r. najważniejsze osoby z obozowej organizacji ZOW-AK rozstrzelano bądź wywieziono do innych obozów⁶⁴. Na czoło wysunęli się młodszy oficerowie: ppor. Bernard Świerczyński „Max” (nr 1393), ppor. rez. Henryk Bartosiewicz „Janota” (nr 9406), i kpt. Stanisław Kazuba (nr 1630). W razie rozpoczęcia walki w obozie Świerczyński przewidywany był na dowódcę, Kazuba na dowódcę jednego z batalionów⁶⁵.

nia 1944 r. Tadeusza Hołuję wywieziono 28 października 1944 r. do filii KL Flossenbürg w Litomierzycach na terenie Czech. Do stycznia 1945 r. GBO kierowali: Heinrich Dürmayer (zajmował się sprawami wojskowymi), Ludwig Soswinski (przejął funkcje Hołuję), Bruno Baum (sprawy polityczne) oraz Józef Cyrankiewicz.

⁵³ SS-Obersturmbannführer Arthur Liebehenschel objął funkcję 11 listopada 1943 r.

⁵⁴ Fotokopia karty z księgi bunkra zob. *Księga pamięci...*, t. 2, s. 1376.

⁵⁵ W maju 1944 r. do Auschwitz powrócił SS-Obersturmbannführer Rudolf Höss, mianowany pełnomocnikiem akcji zagłady Żydów węgierskich. Liebehenschel odwołano w związku z zażaleniem, że demontując system szpiclowski w KL Auschwitz, sprzyjał więźniarskiemu ruchowi oporu. O tych zmianach powiadomiono Pomoc Więźniom Obozów Koncentracyjnych.

⁵⁶ W liście z 7 listopada pisał: „[...] Choroba Ryc zasmuciła mnie tym bardziej, że musiał być oddzielony od swej rodziny. Pobyt w szpitalu będzie na pewno wiele kosztował. Mam nadzieję, że Wasze wiadomości są zbyt poważne i nie jest tak źle, jak piszecie. Wszystko ma Pan Bóg w swoich rękach. Ta choroba opóźnia ślub [czyli ucieczkę]. Nie zapomnij, Reniu [chodzi o Teresę Lasocką], o dokładnej dezynfekcji, ponieważ są w domu małe dzieci i istnieje możliwość przeniesienia zakażenia [chodzi o usunięcie z mieszkania konspiracyjnych materiałów]. Teraz będziesz niezadowolona z Józka. Takie wypadki musisz spokojnie przetrzymać. Co na to mówi ciotka Ryc? [Helena Szlapak] Ona jako lekarka na pewno mu pomoże. Wiem, że kiepsko jest z lekarstwami, jednakże wierzę, iż wszystko zrobicie, by go uratować [chodzi o łapówkę]”. S. Kłodziński, *Merytoryczne i psychologiczne znaczenie oświęcimskich listów obozowych*, „Przegląd Lekarski – Oświęcim” 1990, nr 1, s. 45. Autor przytacza niemiecki tekst listu i jego tłumaczenie na język polski. Tamże jeszcze inne listy do matki z informacjami odnoszącymi się do Cyrankiewicza.

⁵⁷ E. Hatoń, *W cieniu Auschwitz...*, s. 121.

⁵⁸ J. Cyrankiewicz, *W konspiracji...*, s. 192.

⁵⁹ D. Czech, *Kalendarz wydarzeń...*, s. 583, 587–588, 599; J. Cyrankiewicz, *W konspiracji...*, s. 192–195.

⁶⁰ W. Fejkiel, *Medycyna za drutami*, [w:] *Pamiętniki lekarzy*, Warszawa 1964, s. 512.

⁶¹ H. Świebocki, *Ruch oporu*, s. 76.

⁶² D. Czech, *Kalendarz wydarzeń...*, s. 587–590, 594.

⁶³ J. Cyrankiewicz, *W konspiracji...*, s. 180–196. Zob. też E. Hatoń, *W cieniu Auschwitz...*, s. 122–125.

⁶⁴ Od 16–29 września 1943 r. Politische Abteilung osadził w bunkrach bloku 11 74 więźniów podejrzanych o udział w organizacji. 11 października po śledztwie połączonym z torturami rozstrzelano 54 osób. Byli wśród nich: mjr Zygmunt Bohdanowski (w obozie jako Bończa, nr 30959), płk. Mieczysław Dobrzański (nr 121408), ppłk. Teofil Dzima (nr 13578), płk. Juliusz Gilewicz (nr 31033), mjr Kazimierz Gilewicz (nr 71886), Jan Mosdorf (nr 8230), ppłk. Kazimierz Stamirowski (nr 66786). Por. D. Czech, *Kalendarz wydarzeń...*, s. 522, 536–537.

⁶⁵ J. Garliński, *Oświęcim...*, s. 219, 228. Od jesieni 1942 r. Kazuba przewidywany był na wypadek walki o uwolnienie obozu na dowódcę II batalionu obejmującego bloki 16, 22, 23, 24. Witold Pilecki (Serafiński) po ucieczce z obozu utrzymywał z nim kontakt grypsowy. Zob. J. Garliński, *Oświęcim...*, s. 145, 172.

Warszawa 9/4
Auschwitz, den 4. 4. 1943.

Meine liebe Mutter!

Deinen Brief vom 17. 3. habe ich erhalten.
Danke dir herzlich für die Glück-
wünsche zu meinem Namenstage.
Endlich weiß ich nun wie du wohnst
und wie du dich eingekleidet hast.
Ich glaube daß es im ersten Stock
schön, sonnig und angenehm sein wird.
Ich möchte gerne wissen wie es dir
gesundheitlich geht und ob du noch
durch Malaria Beschwerden hast.
Gehst du häufig zu dir Stadt und bist
du nicht sehr viel allein? Ich bestaune
dich so oft dich daran denke, doch

als ich zu Hause war, war es eigentlich
nicht anders.
Ich danke dir sehr für die Päckchen,
welche ich alle bekommen habe.
Von jetzt ab kannst du Päckchen
bis zu 3 Kilo senden so oft du willst.
Herzliche Grüße an Tante und
meine Frau.
Ich danke dir nochmals für die Glück-
wünsche und Grüße und die Liebe
dich herzlich

Heinrich Jozef
5
K. L. Auschwitz

Józef Cyrankiewicz zaproponował stworzenie wspólnej rady wojskowej obozu, do której weszliby przedstawiciele obozowej ZOW-AK, z zachowaniem komendy w ich ręku, oraz przedstawiciele Grupy Bojowej Oświęcim. Zadaniem rady miało być organizowanie samoobrony, przygotowanie więźniów do zbrojnego wystąpienia i objęcie dowództwa.

Po długich rozmowach to rozwiązanie zostało zaakceptowane i przypuszczalnie w pierwszych miesiącach 1944 r. porozumienie zawiązано⁶⁶. Ze strony ZOW-AK weszli do niego Bernard Świerczyński i Stanisław Kazuba, Grupę Bojową Oświęcim reprezentował Lucjan Motyka oraz austriacki komunista Heinrich Dürmayer przezwany 6 stycznia 1944 r. z KL Flossenbürg⁶⁷. Podobnie jak GBO, tak i RWO uzyskała poparcie konspiracyjnych w obozie obywateli radzieckich⁶⁸. „My tu mamy łączność ze wszystkimi grupami i pracujemy wspólnie, oczywiście ze względów konspiracyjnych na

razie na szczeblu kierownictwa” – pisał „J” 22 marca 1944 r. w grypsie do „Boruty”⁶⁹.

Henryk Bartosiewicz przez wywozem do KL Buchenwald (26 VI 1944 r.) w transporcie 778 więźniów złożył swoją funkcję Stanisławowi Kazubie i odbył 4-godzinną rozmowę z Cyrankiewiczem, poinformował o zadaniach Kazuba i przekazał – jak pisze Józef Garliński z powołaniem się na Bartosiewicza – „szereg innych, ważnych organizacyjnych kontaktów”⁷⁰. Oznaczało to, że nawiązany został ściślejszy związek Cyrankiewicza z obozową ZOW-AK. Warto dodać, że wywóz więźniów z KL Auschwitz do innych obozów osłabiał ruch oporu w tym pierwszym.

W czerwcu 1944 r. Konstancy Jagiełło (nr 4507) oraz Tomasz Sobański (nr 13609) pracujący w komandzie Dachdecker, otrzymali polecenie od GBO zorganizowania możliwie szybkiej ucieczki. Przy jej pomocy i pomocy z zewnątrz zbiegli 27 czerwca z planami obozu, szkieletami sytuacyjnymi rozmieszczenia sił SS oraz grypsami; dokumenty te przekazano w Krakowie Teresie Lasockiej. Po trzech tygodniach powrócili w okolice Oświęcimia razem z Jerzy Tabeau⁷¹, także uciekinierem z obozu, dla organizowania następnych ucieczek⁷². 19 lipca zbiegł Lucjan Motyka. Ucieczka była zaplanowana i przygotowana przez kierownictwo

⁶⁶ We wspomnieniach i opracowaniach używane są dwie nazwy: Rada Wojskowa Obozu i Rada Wojskowa Oświęcim, jak również podawane są różne daty jej powstania.

⁶⁷ J. Garliński, *Oświęcim...*, s. 229. Więźniów przeniesionych z KL Flossenbürg oznaczono numerami 171453–171472, zob. D. Czech, *Kalendarz wydarzeń...*, s. 600.

⁶⁸ Organizacją kierował Aleksiej Lebediew, który po ucieczce z obozu jenieckiego, został pochwycony na terenie Czech i wraz z 149 więźniami dostarczony do KL Auschwitz 16 stycznia 1943 r. jako szeregowy żołnierz. Lebediew kontaktował się z Ludwigiem Veselým (nr 38169) i Ernstem Burgerem, współpracujący z Langbeinem i GBO. Przygotowaniami związanymi z ewentualną walką zbrojną w obozie kierował płk. Kuźma Karcew. W marcu 1944 r. Lebediewa wraz z grupą radzieckich oficerów, przeniesiono dzięki pomocy Burgera do podobozu Auschwitz III (Manowice, którego więźniowie pracowali w Buna Werke). Oficerowie radzieccy liczyli, że ułatwi im to ucieczkę. O konspiracyjnej organizacji jeńców sowieckich zob. J. Garliński, *Oświęcim...*, s. 190–193.

⁶⁹ E. Haloń, *W cieniu Auschwitz...*, s. 196.

⁷⁰ J. Garliński, *Oświęcim...*, s. 238.

⁷¹ T. Sobański, *Ucieczki oświęcimskie*, s. 29–41. Jerzy Tabeau (w obozie jako Jerzy Wesołowski, nr 27273) zbiegł 19 listopada 1943 r. z Birkenau. Po wielu dniach wędrówki dotarł do Krakowa i na prośbę Teresy Lasockiej sporządził raport o KL Auschwitz, który przesłano do Anglii, w 1944 r. opublikowany w Stanach Zjednoczonych. Zob. H. Świebocci, *Ruch oporu*, s. 156.

⁷² T. Sobański, *Ucieczki oświęcimskie*, s. 76–85.

GBO, wiązała się z planami wzmocnienia PPS-WRN⁷³. Jesienią ucieczki nasiliły się⁷⁴.

W drugiej połowie 1944 r. Wojskowa Rada Obozu koncentrowała się na zacieśnieniu współpracy różnych grup w obozie i przygotowywania plan—wzbrojonego oswobodzenia więźniów Auschwitz. Udział w niej przedstawiciela GBO musiał wywoływać jakieś wątpliwości ze strony dowództwa Okręgu Śląskiego AK.

W tym samym czasie Cyrankiewicz przekazał „ściśle poufny” materiał do krakowskiej PPS do rozmów z dowództwem AK, w którym podkreślano, że „w organizacyjnej robocie wojskowej w obozie [...] nastąpiła całkowita konsolidacja i pod wpływem bieżących wydarzeń gotowość bojowa stuprocentowa”, żądano bezpośredniego kontaktu z dowództwem okręgu śląskiego AK, pytano o stopień przygotowania AK i możliwość pomocy dla obozu w uzbrojeniu, postulowano opracowanie planu natychmiastowej konkretnej współpracy bojowej. Początek powstania w obozie miał być zasygnalizowany wzniesionym pożarem w dwóch różnych miejscach. Jednocześnie w grypsach informowano o sytuacji w obozie⁷⁵.

Sprawy te omówiono 20 lipca 1944 r. na naradzie pięciu oficerów, członków komendy okręgów krakowskiego i śląskiego AK z przedstawicielami PPS (sekretarzem OKR i jednocześnie zastępcą delegata okręgowego Stefanem Rzeźnikiem „Stefanem” i Edwardem Hałoniem „Borutą”) i krakowskiej Okręgowej Delegatury Rządu RP Tadeuszem Sewerynem „Sochą”. Naradę zorganizowała dr Helena Szlapak „Ciotka”. Rozważano na podstawie raportów sytuacyjnych AK możliwości zbrojnego uwolnienia więźniów. Oficerowie AK skonstatowali, że ze względu na siły niemieckie i niekorzystne usytuowanie obozu na zbrojne wyzwolenie więźniów trudno liczyć⁷⁶.

„Boruta” poinformował Cyrankiewicza o wynikach narady⁷⁷. Cyrankiewicz był wyraźnie zawiedziony, w grypsie użył mocnego słowa i pisał: „wiadomości, które podajesz są smutne, bo wynika z nich, że teren jest organizacyjnie i technicznie nieprzygotowany, bez odpowiedniej ilości ludzi i broni”. Równocześnie podkreślał, że Rada Wojskowa Oświęcim „jest przedstawicielstwem całego obozu i która rzeczywiście nad wszystkimi grupami panuje. Myśmy tego w lagrze nie robili na podstawie jakichś śmiesznych pełnomocnictw z zewnątrz, bo gdyby tak ktoś chciał chodzić z papierkiem i pieczątką, a pozbawiony był istotnego autorytetu — to naraziłby się na śmieszność lub na wyspę. Dokołało się to w sposób trudniejszy, bo na podstawie dobrowolnych podporządkowań się wspólnie ustanowionemu kierownictwu. Teraz nie ma w tym już żadnych trudności, poza normalnym procentem. Było też trochę pytań raczej śmiesznych, o których Wam napiszę następnym razem. W każdym razie porządek tutaj jest całkowity [...]”⁷⁸.

W przedstawionej sytuacji realnym sposobem wspierania więźniów było możliwie obszerne informowanie o rzeczywistości obozowej podziemia, tajnej prasy, rządu polskiego w Londynie m.in. z wykorzystaniem

wiadomości z grypsów Cyrankiewicza i Kłodzińskiego⁷⁹. W informacji wysłanej w imieniu Grupy Bojowej Oświęcim 21 sierpnia 1944 r., zawarta była „Rezolucja więźniów politycznych” ułożona przez Cyrankiewicza. Oto jej fragment: „Chociaż w obozach niewoli, to jednak ludzie wolności — ślemy wolnemu światu wieść o naszym istnieniu, a naszej nierównej walce o prawa więźniów politycznych. Jesteśmy za drutami jako żołnierze i jako członkowie swoich narodów — żądamy traktowania nas jako żołnierzy, żądamy praw ludzkich, żądamy praw jeńca w niewoli. Wiemy, że tylko zdecydowana postawa wolnego świata może nam takie prawa zapewnić. Żądamy takiej zdecydowanej postawy, wspólnej walki o wolność narodów, o wolność świata, o poszanowanie człowieka, Więźniów Politycznych niemieckichobozów koncentracyjnych”⁸⁰.

Rozpoczęte w lecie działania na froncie wschodnim, wybuch powstania w Warszawie, pojawienie się w okolicy obozu wysłannika KG AK budziły nadzieje ludzi zamkniętych za drutami. Wysłannik KG AK ppor. Stefan Jasiński „Urban” przybył w okolicie Oświęcimia w końcu lipca 1944 r. jako oficer oddany do dyspozycji komendanta Okręgu Śląskiego AK mjr. Zygmunta Jankego „Waltera” z zadaniem rozpoznania terenu, nawiązania kontakt—wz obozowym ruchem oporu, utrzymywania stałej łączności, ewentualnego skoordynowania działań partyzanckich z akcją więźniów⁸¹. Wiadomość o przybyciu „Urbana” ożywiła w obozie oczekiwania konspiratorów na pomoc z zewnątrz. „Urban” spotkał się trzykrotnie z Edwardem Hałoniem „Borutą”, w związku z utrzymywaną przez PPS łącznością z Radą Wojskową Oświęcim⁸².

Zachowało się kilka grypsów z podpisami „Rot” i „J” albo „Stakło” z odpowiedziami na zapytania „Urbana” w sprawach obozowych⁸³, a przede wszystkim wielostronnicowy gryps-raport z 22 sierpnia do dowództwa Okręgu Śląskiego AK przekazany do „Urbana”. Komunikowano w nim o powstaniu Rady Wojskowej Oświęcim, jej zadaniach, kierownictwie, sile, podporządkowaniu się RWO kierownictw wszystkich grup narodowych, uznaniu zwierzchność dowództwa AK na Śląsku. Przekazano szczegółowe informacje dotyczące stanu liczebnego obozów, sił nieprzyjaciela (SS, policji, Wehrmachtu), ich rozmieszczenia, uzbrojenia, ocenę sytuacji strategicznej i powiązane z nią plany powstania więźniów w przypadku różnych zarządzeń obozowych władz SS oraz możliwości pomocy ze strony AK na Śląsku, jak i rozwoju sytuacji na froncie wschodnim⁸⁴. Na kolejne zapytania „Urbana” „Rot” odpowiedział 8 września⁸⁵.

Działalność „Urbana” przerwała oblawa urządzona w Malcu wieczorem 28 września 1944 r. Rannego „Urbana” przewieziono do KL Auschwitz, rany były poważne, więc umieszczono w bloku szpitalnym 21. Szcze-

⁷³ Tamże, s. 202.

⁸⁰ Fotokopia grypsu zob. E. i B. Syzdkowie, *Zanim zostanie zapomniane*, Warszawa 1996, s. 78; D. Czech, *Kalendarz...*, s. 738.

⁸¹ Szczegółowo o zadaniach i roli „Urbana” zob. A. Cyra, *Spadochroniarz „Urban” ppor. Stefan Jasiński (1914–1945)*, Oświęcim 2005, tamże na s. 18 fotokopia rozkazu gen. Tadeusza Komorowskiego. „Urban” zamieszkał w Osieku i w Malcu.

⁸² E. Hałoń, *W cieniu Auschwitz...*, s. 203–205.

⁸³ Fragmenty grypsów cytuje A. Cyra, *Spadochroniarz „Urban”...*, s. 32–33.

⁸⁴ H. Świebocki, *Ruch oporu*, s. 77, 176–178. Zob. też D. Czech, *Kalendarz wydarzeń...*, s. 740–741.

⁸⁵ E. Hałoń, *W cieniu Auschwitz...*, s. 208.

⁷³ Tamże, s. 182–188.

⁷⁴ E. Hałoń, *W cieniu Auschwitz...*, s. 180.

⁷⁵ Tamże, s. 199.

⁷⁶ Tamże, s. 199–200.

⁷⁷ Tamże, s. 171, 200.

⁷⁸ Tamże, s. 171–173, na s. 172 fotokopia fragmentu grypsu.

gółowo o tych wydarzeniach i o konsekwencjach dla obozowego i przyobozowego ruchu oporu pisze Adam Cyra⁸⁶. Przy „Urbanie” znaleziono materiały przekazane z obozu i plany likwidacji obozu.

Dla Rady Wojskowej Oświęcim i „Rota” nastąpiły dramatyczne dni. W wypadku załamania się „Urban” groziła całkowita dekonspiracja rady i czynionych przygotowań. 29 września Cyrankiewicz skierował dwa grypsy do Konstantego Jagiełły „Kostka” oraz Teresy Lasockiej „Tell” i Edwarda Hałona „Boruty” z informacjami o aresztowaniu „Urban”⁸⁷.

Gryps do przyobozowej grupy Kostka Jagiełły wskazywał na konieczność „zakonspirowania się w terenie, niestwarzania paniki, prowadzenia dalej roboty”, ostrzeżenia współdziałającego z AK i BCh Stanisława Chybińskiego „Karola” oraz ustalenia „punktu na szybką łączność z Karolem i odciążenia Brzeszcz”. Gryps do „Tell” i „Boruty” wskazywał na dramatyzm sytuacji, napięcie i determinację: „Urban aresztowany. Wpadły przy nim projekty dotyczące obozu. W obozie zaostreżenie Konferencja władz. [...] W każdej chwili oczekiwane są represje. [...] Ujawnione na zewnątrz w wypadku Urbana zamiary i plany samoobrony więźniów czynią obóz bezbronny (wpadły przy Urbanie odbitki fotograficzne przewidzianych planów akcji). Dla obozu pozostaje tylko jedna możliwość realna, której przygotowani nie są w stanie sparaliżować, a mianowicie desant lotniczy. To wysuwamy w tej chwili jako jedyną koncepcję wojskową możliwą. Urban postrzelony leży na bloku 21. Uważajcie na siebie. Zawiadomić Śląsk”⁸⁸.

Na sugestie „Rota” przez łączność Delegatury Rządu 11 października 1944 r. przesłano zawiadomienie do Londynu o aresztowaniu i osadzeniu w obozie skoczka Stefana Jasieńskiego, co spowodowało odpowiednią audycję w radio londyńskim⁸⁹. Przygotowany przez członków RWO Jasieński złożył uzgodnione zeznania pokrywające się treścią z informacją nadaną przez radio, nie zdradził swoich kontaktów. W sprawie „Urban” „Rot” i „Stakło” wystali jeszcze inne grypsy⁹⁰.

Przygotowania do wyzwolenia obozu i liczne stąd ucieczki ożywiły kontakty z oddziałem AK „Sosienki” dowodzonym przez komendanta obwodu oświęcimskiego por. Jana Wawrzyczka „Danutę”, „Marsz” z działającymi na terenach przyobozowych bechowcami (Karolem Petkowskim „Wrzosem”, z terenową grupą BCh w Łękach)⁹¹.

Komenda Okręgu Śląskiego AK miała łączność z obozem m.in. dzięki grypsom przesyłanym z drutów przez por. Wacława Stacherskiego „Nowinę” (przed aresztowaniem inspektor katowicki AK), więzionego w bloku 11, i Bernarda Świerczyń, członka RWO⁹². Józef Garliński w książce o obozowym ruchu oporu pisze o przekazanych w lipcu i sierpniu 1944 r. przez „Nowinę” grypsach do dowództwa Okręgu Śląskiego. W jed-

nym z nich „niewątpliwie na sugestie obozowych konspiratorów, głównie chyba Świerczyń” napisał, by na „stanowisko dowódcy podziemnych kadr wojskowych w obozie mianować Cyrankiewicza”⁹³. Mjr Zygmunt Janke „Walter” 14 października mianował „Rota” komendantem „wszystkich oddziałów AK na terenie Obozu Koncentracyjnego w Oświęcimiu”, polecił podporządkowanie się „Rotowi” bez względu na stopień wszystkim żołnierzom AK. „Rot” podlegać miał inspektoratowi AK w Bielsku⁹⁴.

Nominacja nie dotarła jednak do Józefa Cyrankiewicza, ponieważ przebywający w Kańczudze Stanisław Chybiński⁹⁵, były więzień KL Auschwitz, wówczas zastępca inspektora bielskiego AK nie przekazał jej do obozu, a oryginał nominacji przekreślił i opatrzył adnotacją „nieaktualne”. Swoją decyzję uzasadniał w meldunku wysłanym do mjr. „Waltera” tym, że jego łączność z konspiracją obozową zupełnie została przerwana⁹⁶. Ponadto twierdził, że należało najpierw ustalić wzajemne stosunki między Radą Wojskową Oświęcim, inspektorem bielskim AK i obwodem oświęcimskim AK oraz grupą PPS w Brzeszczach, a dopiero później podejmować decyzję⁹⁷. Decyzje Chybińskiego miały charakter samowolny, a żądania wielu uzgodnień w istniejących warunkach były trudne do wykonania. Takie stanowisko, zważywszy że sam był więźniem KL Auschwitz, dziwi, świadczy o uzurpacji kompetencji komendanta okręgu, o podważaniu jego decyzji i o nieuwzględnianiu opinii konspiracji obozowej oraz sytuacji w obozie, a nadto o nieuwzględnianiu sytuacji frontowej. Niezależnie jednak od tego czy nominacja dotarła do obozu, czy została przekreślona (z jakiego powodu?), zasadnicze znaczenie miał fakt powierzenia kierownictwa ruchu Cyrankiewiczowi przez obozowych współtowarzyszy walki.

Można zatem stwierdzić, że mimo zabiegów nie udało się pozyskać znaczącej pomocy Okręgu Śląskiego AK. Przygotowywane tam plany zakładały oprowadzenie obozu za pomocą powstania powszechnego, w warunkach rozkładu armii niemieckiej, zaskoczenia nieprzyjaciela, bronią ze zrzutów z samolotów alianckich (bezpośrednio przed wybuchem walki) i przy wsparciu Legionu Śląskiego (jednostki rezerwowej AK z Krakowa) w sile 500 ludzi⁹⁸. Były to – jak się okazało – plany nierealne. Okręg Śląski nie był przygotowany nawet na udzielenie pomocy w momencie ewakuacji obozu.

Do obozu nie przetrzecono także broni. Kilka sztuk, które ukryto w obozie, przemycili więźniowie zatrudnieni przy rozbieraniu zestrzelonych samolotów. Dwa pistolety przeniosła współpracująca z Grupą Bojową

⁸⁶ A. Cyra, *Spadochroniarz „Urban”...*, s. 35–49.

⁸⁷ Tekst grypsów zob. A. Cyra, *Spadochroniarz „Urban”...*, s. 45–46.

⁸⁸ E. Hałon, *W cieniu Auschwitz*, s. 209.

⁸⁹ A. Cyra, *Spadochroniarz „Urban”...*, s. 49–51; E. Hałon, *W cieniu Auschwitz...*, s. 209.

⁹⁰ A. Cyra, *Spadochroniarz „Urban”...*, s. 55–56. O dalszych losach „Urban” zob. tamże, s. 53–67.

⁹¹ E. Hałon, *W cieniu Auschwitz...*, s. 164–168, 194, 212–214. Jan Wawrzyczek uczestniczył w organizowaniu ucieczek z obozu.

⁹² Z. Walter-Janke, *W Armii Krajowej na Śląsku*, s. 264. Bernard Świerczyń „Benek”, „Maks” przekazywał grypsy do Jana Wawrzyczka. Por. E. Hałon, *W cieniu Auschwitz...*, s. 194.

⁹³ J. Garliński, *Oświęcim...*, s. 238. Wacława Stacherskiego aresztowało gestapo 20 marca 1944 r. wskutek zdrady. Zginął 18 września 1944 r. wraz z innymi osobami skazanymi na śmierć przez policyjny sąd doraźny katowickiego gestapo. D. Czech, *Kalendarz wydarzeń...*, s. 762.

⁹⁴ Fotokopia nominacji zob. A. Cyra, *Spadochroniarz „Urban”...*, s. 52.

⁹⁵ Stanisław Chybiński (nr 6810), zatrudniony w komandzie mierników, uciekł 20 maja 1943 r. wraz z Kazimierzem Jarzębowskiem (nr 115) i Józefem Rotterem (w obozie jako Florian Basiński, nr 365) podczas pomiarów wykonywanych w Skidzinu-Wilczkowicach. D. Czech, *Kalendarz wydarzeń...*, s. 422.

⁹⁶ A. Cyra, *Spadochroniarz „Urban”...*, s. 52–53.

⁹⁷ Zob. też list A. Cyry, <http://www.wprost.pl/ar/120380/Jozef-Cyrankiewicz-kolaborowal-z-Gestapo>

⁹⁸ Z. Walter-Janke, *W Armii Krajowej na Śląsku*, s. 260–261.

Oświęcim siostra Maria Stromberger, Austriaczka, przełożona sióstr pracujących w lazarecie SS⁹⁹.

W październiku planowano przeprowadzenie kolejnej ucieczki grupy członków obozowej konspiracji – z GBO i RWO – Ernsta Burgera (nr 23850), Bernarda Świerczyny (nr 1393), Czesława Duzela (nr 3702), Zbigniewa Raynocha (nr 60746), Piotra Piątego (nr 130380), ze zwerbowanym esesmanem. Ucieczka się nie powiodła¹⁰⁰.

Niemieckie władz policyjne wiedziały, że obóz jest w strefie działania AK. Świadczy o tym sprawozdanie komendanta policji bezpieczeństwa w Katowicach z 18 grudnia 1944 r. dotyczące organizacji i działalności AK na terenie rejencji katowickiej. Pisano w nim na temat Oświęcimia:

„Specjalną rolę w tym inspektoracie [bielskim] odgrywa komenda powiatu oświęcimskiego. Jak wynika z przechwyconego materiału, obóz koncentracyjny w Oświęcimiu jest także w strefie działania AK. Z ramienia inspektoratu obozem zajmuje się Wojskowa Rada Obozu – WRO. Łączność z obozem utrzymuje cały szereg osób, szczególnie zaś komendant powiatu „Danuta”¹⁰¹ i członek PPS „Kostka”¹⁰². Jako komendant obozu z ramienia AK wyznaczony został niejaki „Rot”¹⁰³. Zajmuje się on zwłaszcza sporządzaniem raportów o sytuacji w obozie i przekazywaniem ich dalej do okręgu za pośrednictwem niejakiego „Urbana”¹⁰⁴. Przejęte raporty obozowe zostały skierowane bezpośrednio do (sekcji Gestapo) RS i HA¹⁰⁵ IV B2. Raporty o sytuacji w obozie oświęcimskim zawierają dane o transportach więźniów przybywających i odprawianych z obozu, podziale obozu, stanie personelu i obsady, charakterystyce poszczególnych dowódców SS, organizacji więźniów oraz o planach na przyszłość. Do zadań WRO należy także przygotowywanie ucieczek więźniów. Dalszą opiekę nad zbiegłymi sprawuje powołana w tym celu organizacja „Bojówka”, która ma łączność z różnymi punktami kontaktowymi w Krakowie. Obecnie organizacja ta jest

rozpracowywana, o czym, po upływie pewnego czasu, sporządzony zostanie specjalny raport”¹⁰⁶.

„Rot” i „Stakło” w grypsach wysyłanych do Teresy Lasockiej, Edwarda Hałonia informowali o ekspedycjach z obozu coraz częściej transportach więźniów (30 sierpnia), o możliwości likwidacji obozu i planie Otto Molla (6 września), podawali nazwiska i charakterystyki kilkunastu esesmanów – zbrodniarzy z komendantem Rudolfem Hössem na czele (gryps „Katy Oświęcimia” z 16 września), donosili o paleniu przez Politische Abteilung dokumentów (26 września), ponownie o popełnionych przez Grabnera, Hössa i Lachmana zbrodniach (6 października), kilkakrotnie o gazowaniu Żydów i buncie załogi Sonderkommando (22 sierpnia, 7 września, 26 września, 6 i 9 października), o wysłaniu księgi kostnicy zawierającej numery zmarłych, zabitych i zaszpilowanych (20 listopada)¹⁰⁷. W grypsach często proszono o przekazanie informacji do Londynu. Do przyobozowej PPS zwracano się o przygotowania na wypadek ewakuacji obozu. Grypsy pisane pod wrażeniem zdarzeń i przynoszonych przez współwięźniów informacji stanowią żywą kronikę, małe reportaże o obozowej rzeczywistości. Strasznej rzeczywistości.

Dodam, że grypsy spełniały nie tylko rolę, o której była mowa w różnych miejscach tego tekstu. Józef Cyrankiewicz poprzez grypsy, ludzi uciekających z obozu, ciągły kontakt z PPS w Krakowie inspirował także i kierował zza drutów działalnością partii w Polsce południowej. Niektóre z nich miały charakter programowy, a ich problematyka wybiegała w przyszłość.

Narastały obawy przed nagłą likwidacją obozu. Wojskowa Rada Oświęcim analizowała różne warianty zbrojnego wystąpienia więźniów, m.in. w razie nalotu lotniczego lub objęcia obozu działaniami frontowymi, nie mając praktycznie żadnych środków walki. Dowództwo Okręgu Śląskiego uznało – jak już pisałam – że siły obwodu oświęcimskiego nie wystarczą do opanowania obozu.

W obozie przygotowywano się do ewakuacji. W grypsie z przełomu listopada–grudnia „J” informował o planach ewakuacji¹⁰⁸, 12 grudnia „J” i „Stakło” pisali krótkimi, urywanymi zdaniem: „Tell-Boruta – Kochani! A więc doczekaliśmy się ewakuacji – Bałagan – panika w SS – pijani. Manewrujemy wszystkimi siłami politycznymi, aby marsz pieszy uczynić znośny [...]. Zamiary ich zmieniają się z godziny na godzinę, tak że sami nie wiedzą, jakie rozkazy otrzymają. Propaganda radiowa konieczna. Ewakuacja tego rodzaju jest zniszczeniem co najmniej 50% więźniów. [...]” I na końcu grypsu słowa pożegnania i podziękowań: „W pewnym sensie »rozstajemy się«. Proszę przyjąć wyrazy uszanowania, sympatii i ucałowania rąk, a wyrazi wdzięczności od wszystkich przyjaciół, bez różnicy narodowości i przekonania i zapewnienie gotowości na wszystko w naszej

⁹⁹ K. Dunin-Wąsowicz, *Ruch oporu w hitlerowskich obozach koncentracyjnych 1933–1945*, Warszawa 1979, s. 262. Maria Stromberger w grypsach przekazywanych z obozu do PWOK określana była jako „Siostra” lub „S”. Z obozu wyniosła oryginały dwu książek chorych więźniarskiego szpitala z 1943 r. M. Stromberger, *Moje wspomnienia z okresu pracy w KL Auschwitz 1942–1945*, [w:] E. Hatoń, *W cieniu Auschwitz...*, s. 314–321.

¹⁰⁰ Nie powiodła się wskutek zdrady szofera SS-Rottenführera Johanna Rotha. Uciekinierów odwieziono wprost pod blok 11, a na oczekujących na zbiegów w gospodzie Jana Dusika w Łękach ludzi z przyobozowej grupy bojowej PPS, dowodzonej przez Konstantego Jagiełłę, z którym byli Tomasz Sobański, Franciszek Dusik, Kazimierz Ptasieński i łączniczka Wanda Dusik, napadli esesmani. Zginął Konstanty Jagiełło, aresztowano Juliana, Franciszka i Wandę Dusików oraz Kazimierza Ptasieńskiego, zginął pracujący w ogrodzie Jan Gалоch. Zdarzenia z tym związane opisał Tomasz Sobański, *Ucieczki oświęcimskie*, s. 211–224, który w momencie napadu poszedł po worek z ubraniami dla uciekinierów. Poległych Jagiełłę i Gалоcha zabrano do obozu, pozostałych zawieziono na Gestapo w mieście Oświęcim, skąd Ptasieński zbiegł. Raynoch i Duzel zmarli po zażyciu trucizny. Pozostałych uczestników ucieczki z 27 października powieszono wraz z jej współorganizatorami po wieczornym apelu 30 grudnia 1944 r., byli to związani z GBO i RWO Austriacy – Ernest Burger, Rudolf Friemel, Ludwig Vesely oraz Polacy – Piotr Piąty i Bernard Świerczyna. Por. D. Czech, *Kalendarz wydarzeń...*, s. 795, 828; E. Hatoń, *W cieniu Auschwitz...*, s. 173–177.

¹⁰¹ Jan Wawrzyczek „Danuta”, „Marusza”.

¹⁰² Konstanty Jagiełło „Kostek”.

¹⁰³ Józef Cyrankiewicz „Rot”.

¹⁰⁴ Stefan Jasieński „Urban”.

¹⁰⁵ Powinno być: RSHA.

¹⁰⁶ *Ruch oporu w rejencji katowickiej 1939–1945. Wybór dokumentów*, oprac. Z. Boda-Krężel, B. Kobuszewski, J. Osowca, M. Wrzosek, Warszawa 1972, s. 450.

¹⁰⁷ Fragmenty grypsów zob.: H. Świebocki, *Ruch oporu...*, s. 132, 134, 174–178; D. Czech, *Kalendarz wydarzeń...*, s. 767, 775–776; E. Hatoń, *Z cienia Auschwitz...*, s. 206–207, 208, 224. Gryps „Katy Oświęcimia” opublikował K. Smoleń, *Oświęcim 1940–1945*, Oświęcim 1965. Do grypsu z 7 września dołączono zdjęcia wykonane w Birkenau z akcji gazowania. W sprawach dotyczących terenu przyobozowego zwracano się w tym czasie do Marina Gacha „Alfonsa” z brzeszczańskiej grupy PPS.

¹⁰⁸ E. Hatoń, *W cieniu Auschwitz...*, s. 235.



walce [...]. Cieszymy się, że widzimy taką klęskę hitlerowskich bandytów¹⁰⁹.

Nie był to ostatni gryps przekazany za druty, wszak „Zamiary ich zmieniają się z godziny na godzinę”. Z początkiem stycznia 1945 r. „J” informował o „najnowszym” rozkazie z Berlina z 30 grudnia¹¹⁰. 12 stycznia ruszyła zimowa ofensywa Armii Czerwonej. W sobotę, 16 stycznia „J” wysłał ostatni gryps z obozu, dotarł on do Edwarda Hałonia następnego dnia, w przeddzień wyzwolenia Krakowa¹¹¹:

„Kochani! W tej chwili dla więźniów Oświęcimia nadchodzi godzina rozstrzygająca. Plany ewakuacji są gotowe. Tempo zrealizowania ich zależy od frontu. W każdym razie nad poważną częścią więźniów zawisła groźba zagłady. Jeżeli nie w formie masowych likwidacji, to podczas marszu, którego przewidziane tempo – 40 km dziennie jest dla większości, źle odżywionych, zwłaszcza kobiet – (liche ubranie – drewniane buty – biwakowanie pod gołym niebem) – zabójcze. Z Lublina zostających z osłabienia – strzelano. Los chorych, zwłaszcza Żydów jest przesądzony. Polaków prawdopodobnie wywożą jednak wcześniej – ze względu na bezpieczeństwo – oczywiście o ile pozwoli na to sytuacja kolejowa.

Niemcy muszą wiedzieć, że los 60.000 więźniów Oświęcimia w momentach ewakuacji nie jest światu obojętny. Marsz tylu tysięcy (w Lublinie szło zaledwie 1000) – w zimie, mrozie, i przy metodach SS jako eskorty – jest marszem w śmierć. Ma on zastąpić, pod niewinną nazwą ewakuacji, poprzednio zamierzone sposoby likwidacji. Oświęcim musi być od teraz pod ob-

serwacją świata. Międzynarodowy Czerwony Krzyż powinien wystąpić z konkretnym zapytaniem i żądaniem do kontroli włącznie. Podkreślony musi być międzynarodowy charakter obozu – bo niewątpliwie najbardziej zagrożeni będą Żydzi, stanowiący teraz większość, u nich wyjętą spod jakichkolwiek praw.

Propagandę połączyć należy z całą przeszłością Oświęcimia, i tą przeszłością ją uzasadniać. Zagrożenie represjami na więźniach niemieckich konieczne.

Łączność z Wami teraz bardzo konieczna – szybkość grać będzie dużą rolę. Może ktoś mógłby z Oświęcimia] gdzieś do Krak[owa] telefonować umówionym szyfrem? Pomyślcie o tym. No i przez kolejarzy!

Serdecznie pozdrawiamy”.

O pierwszej w nocy z 18 na 19 stycznia 1945 r. wyszło z obozu głównego drogą na Brzeszcze 2500 więźniów, a z nimi Cyrankiewicz i Kłodziński. W drodze dołączały ostatnie kolumny wyprowadzone z Birkenau, Jawischowitz i innych podobozów. Kolumna maltretowanych ludzi urosła do 25 tys., prowadzonych „w marszu śmierci” przez Pszczynę, Jastrzębie Zdrój do Wodzisławia Śląskiego¹¹².

„W czasie udręczającego marszu śmierci z Oświęcimia – pisał Stanisław Kłodziński o Józefie Cyrankiewicz – wykazał odporność, a nawet potrafił innych podtrzymać nie tylko psychicznie, lecz też fizycznie. Dzięki temu kilkunastu współwięźniom – wycieńczonym, wygłodzonym, przemarzniętym, pokonującym zawieje śnieżne – uratował wtedy życie”¹¹³.

W Wodzisławiu Śląskim więźniów grupy, w której był Cyrankiewicz i Kłodziński umieszczono mimo zimy w otwartych wagonach towarowych nie zaopatrując w żywność i przez Bohumin–Pierov–Bieclav przewieziono do KL Mauthausen – znaleźli się tam 25 stycznia. Cyrankiewicz teraz to więzień nr 117641, a Kłodziński nr 117925. Także w KL Mauthausen Józef Cyrankiewicz włączył się do obozowego ruchu oporu w ramach Międzynarodowego Komitetu Obozowego. Amerykanie wkroczyli do obozu 5 maja 1945 r. Cyrankiewicz w połowie maja był w Krakowie.

Kończąc, zacytuję fragment z wywiadu Józefa Cyrankiewicza z 1984 r.: „Nie zapomnijmy, mówiąc o ruchu oporu w Oświęcimiu, że to jest specyficzna kategoria; to nie jest ruch oporu na tej ziemi, to jest ruch oporu w *anus mundi*, w piekle, a to się nazywa umrzeć w godności, tak jest, w godności i w honorze umrzeć!”¹¹⁴

IRENA PACZYŃSKA

Tekst był przedmiotem dyskusji na spotkaniu w „Kuźnicy” poświęconym osobie Józefa Cyrankiewicza. Jego powojenną działalność przypomnieli: A. Kurz, S. Kłodziński jr, W. Rudnicki, A. Rączka i J. Klasa.

Ilustracje pochodzą ze zbiorów prywatnych dr. Stanisława Kłodzińskiego, jr. (red.)

¹⁰⁹ Tamże, s. 236.

¹¹⁰ Tamże, s. 236.

¹¹¹ Tamże, s. 237–238, fotokopia grypsu s. 238.

¹¹² A. Strzelecki, *Ostatnie dni obozu Auschwitz*, Oświęcim-Brzezinka 1995, passim.

¹¹³ S. Kłodziński, *Józef Cyrankiewicz...*, s. 112.

¹¹⁴ Tamże, s. 111.

JAN WOLEŃSKI

WOKÓŁ KONFLIKTU NA BLISKIM WSCHODZIE

Ktoś mógłby zapytać: którego konfliktu? W Iraku? W Jemenie? itd. Pomędzy Irakiem i Iranem? W gruncie rzeczy w każdym państwie bliskowschodnim jest jakiś konflikt wewnętrzny lub zewnętrzny, tj. tego kraju z jakimś innym. Ten gorący nie tylko klimatycznie, ale i politycznie region ma prawie 10 mln km², terytorium zamieszkałe przez ponad 300 mln ludzi. Obejmuje na-

stępujące państwa: Afganistan, Arabię Saudyjską, Bahrajn, Cypr, Irak, Izrael (w tym Autonomię Palestyńską), Jemen, Jordanię, Katar, Kuwejt, Liban, Oman, Syrię, Turcję i Zjednoczone Emiraty Arabskie. Nawet, gdy odjąć, co się często czyni, Afganistan i Turcję, pozostaje jeszcze sporo. Gdy jednak powiada się o konflikcie na Bliskim Wschodzie, ma się niemal automatycznie na

myśli izraelsko-arabski w ogólności, a izraelsko-palestyński w szczególności. O nim chciałbym się tutaj wypowiedzieć.

Przebywałem w Izraelu od listopada 2008 do lutego 2009 jako wykładowca w ramach programu katedry historii i kultury polskiej w Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie. Mogłem więc śledzić operację „Płynny otół” (izraelską akcją w strefie Gazy) niejako bezpośrednio. Miałem wiele interesujących rozmów zarówno z Izraelczykami, jak i z Palestyńczykami. Ponieważ wiele komentarzy formułowanych w Polsce zdaje mi się zbyt powierzchownych, postanowiłem spróbować bardziej pogłębionej analizy. Nie ukrywam, że moje stanowisko jest zdecydowanie proizraelskie, jednak jestem daleki od tezy, że wszystko co Izrael uczynił, jest rozsądne. W szczególności dotyczy to np. osadnictwa na terenach okupowanych ciągle popieranego przez władze izraelskie. Wycofanie 7 tysięcy osadników ze strefy Gazy okazało się operacją trudną i spowodowało masowe protesty, nie tylko zainteresowanych. Sami Izraelczycy są zdania, że powtórzenie tego manewru wobec 400 tysięcy izraelskich mieszkańców Zachodniego Brzegu jest niemożliwe. A ponieważ trudno sobie wyobrazić zgodę Palestyńczyków na to, by w ich państwie mieszkało kilkaset tysięcy Żydów, konsekwencje osadniczej polityki Izraela mogą istotnie utrudnić normalizację na Bliskim Wschodzie.

Wielkie pomieszanie materii dotyczy kwestii historycznych i prawnych. Często pada pytanie: Kto ma prawo do Palestyny, Żydzi czy palestyńscy Arabowie? Jedni powiadają, że pierwsi, bo mieszkali tam dwa tysiące lat temu, a nawet wcześniej, a inni, że ci drudzy, ponieważ osadnictwo żydowskie prowadzące do powstania państwa Izrael rozpoczęło się dopiero pod koniec XIX w., gdy Arabowie byli już zasiedziałymi tubylcami na obecnie spornym terenie. Oto przykład tej argumentacji. Zwiedzałem zabytki w Bet She'arim (stare miasto żydowskie i cmentarz) w towarzystwie swych przyjaciół, *notabene* kolegi ze szkoły, który wyemigrował w 1957 r. i jego żony, która powiedziała w pewnym momencie: – Dla nas takie miejsca są ważne, ponieważ świadczą, że zawsze byliśmy tutaj.

Takie okoliczności mają znaczenie moralne i utrwalają świadomość narodową. Niemniej jednak, uważam, że podnoszenie „prawa do powrotu” lub „prawa do trwania” jest całkowicie bez znaczenia dla oceny legalności Izraela i starań o powstanie państwa palestyńskiego. Równie mało istotne są opinie na temat sztucznego wykreowania narodu palestyńskiego przez osadzenie uchodźców arabskich w obozach przejściowych. Nie jest ważne, jak ten naród powstał, ale to, że ma świadomość narodową i aspiracje polityczne. Podstawowe znaczenie mają okoliczności prawne, ponieważ one decydują w dobie obecnej o egzystencji państw. Posłużę się takim oto przykładem. W Polsce funkcjonuje ambasada Palestyny. Można zrozumieć aspekty grzecznościowe czy nawet polityczne, ale ściśle rzecz ujmując nie może być ambasady państwa palestyńskiego, ponieważ nazwa „Palestyna” (podobnie termin „Autonomia Palestyńska”) nie oznacza żadnego suwerennego organizmu państwowego. Ponieważ Autonomia Palestyńska nie jest państwem, nie może mieć ambasadora (w sensie dyplomatycznym, nie przenośnym). Ma swego przedstawiciela, podobnie jak Rzeczpospolita Pol-

ska ma takowego w Ramallah; ciekawe, że nie nazywa się go ambasadorem. Chociaż praktyczne znaczenie tych zwyczajów terminologicznych jest znikome, dobrze ilustrują obecne zamieszanie.

Historia powstania współczesnego Izraela jest znana, ale warto przypominać czasem pewne fakty. Osadnictwo żydowskie w Palestynie rozpoczęło się około 1840 r. i miało na ogół na celu ucieczkę przez prześladowaniami, podobnie jak wiele przeszłych, obecnych i zapewne przyszłych fal emigracyjnych. Zdarzali się jednak imigranci ideowi, tj. mający na celu powrót do historycznej ojczyzny. Np. uczniowie Gaona z Wilna, którzy osiedlili się w Zvazdie. Wbrew częstym oskarżeniom, Żydzi nie zabierali ziemi Arabom, ale albo ją wykupywali, albo przejmowali tereny niczyje.

Ruch zmierzający do utworzenia państwa żydowskiego (tutaj ta nazwa jest najzupełniej właściwa) pojawił się po powstaniu syjonizmu. Teodor Herze, inicjator tej idei nie był zdecydowany, czy państwo to ma powstać w Argentynie, czy w Palestynie, ale zakładał stosowną transakcję ze stosownymi władzami – argentyńskimi lub tureckimi (Palestyna była wtedy częścią imperium otomańskiego). Ta okoliczność jest istotna, ponieważ pokazuje, że Herzl chciał osadzić państwo żydowskie na najzupełniej legalnych podstawach. Ostatecznie syjoniści zdecydowali się na Palestynę. Życie okazało się jednak trudniejsze niż plany, w szczególności Turcja nie była skłonna do zrealizowania projektu Herzla. Z drugiej strony, władze tureckie nie przeszkadzały zbyt żydowskiej imigracji do Palestyny. To też nie jest bez znaczenia, ponieważ Żydzi osiedlali się tam za wyraźną lub przynajmniej milczącą zgodą władz tureckich. Tzw. deklaracja Balfoura (1917 r.)\ często przywoływana w kontekście rozważań o historii Izraela powiada:

„Rząd Jej Królewskiej Mości z przychylnością przygląda się zasiedlaniu Palestyny, narodowej siedziby Żydów, i dołoży wszelkich starań, aby cel ten został osiągnięty, jednocześnie nie zamierza uczynić nic, co ograniczyłoby prawa obywatelskie i religijne nie-żydowskiej społeczności w Palestynie, albo status prawny i polityczny, jakim cieszą się Żydzi w innych krajach”.

W zasadzie to samo zostało stwierdzone w deklaracji Ligi Narodów z 1922 r.: „Odbudowa Żydowskiej Siedziby Narodowej ma się dokonać bez żadnego uszczerbku dla praw ludności arabskiej w Palestynie”.

W obu dokumentach ma niczego, co można by traktować jako poparcie idei państwa żydowskiego w Palestynie. Wszelako pomiędzy oboma deklaracjami stało się coś bardzo ważnego, mianowicie Palestyna stała się (faktycznie w 1920 r., formalnie w 1922 r.) terytorium mandatowym pod administracją Wielkiej Brytanii. Z tego wynika, że cokolwiek miało się tam stać w sferze politycznej, musiało zyskać zgodę administratora, czyli formalnie rzecz ujmując Rządu Jej Królewskiej Mości. Można dyskutować, na ile istotne byłyby postanowienia Ligi Narodów, w imieniu której mandat był sprawowany. Kompetencje tej organizacji były jednak niezbyt jasne, a praktyka międzynarodowa w sprawie tworzenia nowych państwa drogą decyzji organizacji ponadnarodowych właściwie żadna.

Obie strony, tj. żydowska i arabska miały swoje aspiracje polityczne, pewne uzasadnienie znajdowały w niezbyt jasnych sformułowaniach wspomnianych de-

klaracji. Dążenia te były wzmocnione z jednej strony przez program syjonistów, a z drugiej przez powstawanie niezależnych państw arabskich. Można oczywiście dyskutować, czy polityka Brytyjczyków wedle zasady *divide et impera* była właściwa i czy faktycznie uniemożliwiła powstanie państwa dwunarodowego, czy też argumentować, że i tak nie dałoby się go utworzyć. To są rozważania kontrfaktyczne i niezbyt przyczyniają się do zrozumienia obecnej sytuacji.

Jako ktoś o nader pozytywnym nastawieniu nie jestem zainteresowany odpowiedzią na pytanie, czy konflikt obu narodowości był nieunikniony czy też nie, bo takie pytania należą do historiozofii, a nie do historii. Wystarczy, że konflikt nastąpił i nasilał się z przyczyn społecznych, politycznych i religijnych, a więc całkowicie, a nawet nadmiarowo wystarczających. Sytuacja zaostrzyła się po II wojnie światowej (także w jej rezultacie) do tego stopnia, że od 1947 r. nabrała bardzo poważnego charakteru militarnego. Brytyjczycy postanowili oddać sprawę Palestyny do rozstrzygnięcia na forum Organizacji Narodów Zjednoczonych. Ta zaś zdecydowała o zakończeniu mandatu brytyjskiego z dniem 14 maja 1948 r. i o utworzeniu dwóch państw na terenie Palestyny – żydowskiego i arabskiego. Jerozolima miała się znaleźć pod kontrolą międzynarodową.

Trudno przecenić znaczenie decyzji ONZ. Nie dlatego, że w tej tle były interesy polityczne USA i ZSRR, a także wpływ Holokaustu na uznanie potrzeby posiadania przez Żydów własnego państwa. Ponieważ Wielka Brytania nie chciała już dłużej administrować Palestyną, jej wycofanie oznaczałoby powstanie próżni prawnej ze wszystkimi tego konsekwencjami dla terytorium o statusie ziemi niczyjej. Rozstrzygnięcie sprawy przez ONZ było jedynym legalnym rozwiązaniem z punktu widzenia prawa międzynarodowego. Nie wiem, czy teoretycy tej gałęzi prawa traktują to jako istotny wkład do praktyki prawa narodów, ale *casus* Palestyny takim właśnie jest.

Wszystko co stało się dalej, powinno być rozważane właśnie z punktu widzenia werdyktu ONZ. Po pierwsze, była to podstawa dla proklamowania państwa Izrael przez Ben Guriona w dniu 14 maja 1948 r. Niektórzy zarzucają Izraelowi, że Deklaracja Niepodległości pominęła kwestię granic. To prawda, ale Ben Gurion zapewne rozumował tak: jeśli przegramy wojnę (przypominam, że lotnictwo egipskie bombardowało Tel Awiw w nocy z 14 na 15 maja), to stracimy wszystko, jeśli wygramy możemy coś zyskać. Działo się to właśnie w kontekście trwania wojny już nie pomiędzy paramilitarnymi oddziałami żydowskimi z jednej strony a takimi samymi arabskimi z drugiej, ale starcia Izraela z ościennymi państwami. Po drugie i ważniejsze, kraje te odrzuciły decyzję ONZ i tym samym wykluczyły się z jej aplikacji.

Różne mogą być odpowiedzi na kwestię, czy rozszerzenie terytorium Izraela w wyniku wojny z 1948 r. było legalne czy nie, ale da się bronić poglądu, że po ustaniu mandatu brytyjskiego i odrzuceniu postanowień ONZ przez państwa arabskie była to ziemia niczyja i objął ją ten, kto wygrał starcie zbrojne. Specyfika prawa międzynarodowego na tym polega, że wiążące konsekwencje prawne powstają nie tylko w wyniku stosowania wyraźnych norm, ale także przez fakty

dokonane, jeżeli nie ma mocnej ewidencji przeciwnej. Ostatecznie uznała Izrael w granicach po wojnie z 1948 r. większość państw należących do wspólnoty międzynarodowej.

Państwo palestyńskie zostało proklamowane w Algierze przez Palestyńską Radę Narodową w 1988 r. To jest jednak fakt całkowicie odmienny od deklaracji odczytanej przez Ben Guriona, ponieważ jednostronny i dlatego mający znaczenie tylko dla Palestyńczyków i ich ewentualnych sojuszników, ale nierodzący żadnych skutków w obliczu prawa międzynarodowego, dopóki nie zostanie uznany. Jest dobrą wolą niektórych państw, że utrzymują stosunki quasidyplomatyczne z rządem Autonomii Palestyńskiej, a nawet traktują jej przedstawicieli jako ambasadorów.

Krótko mówiąc, Arabowie i Palestyńczycy sami pozabawili siebie możliwości uczestniczenia w procesie zainicjowanym przez werdykt ONZ w sprawie Palestyny z 1947 r. Dlatego palestyńskie żądanie powrotu do stanu prawnego i faktycznego z tego okresu jest pozbawione podstaw prawnych i może być uzasadnianie wyłącznie racjami moralnymi. W pewnym sensie postulaty palestyńskie są nawet absurdalne, gdy dotyczą Jerozolimy, ponieważ ignorują fakt, że miasto to miało być umiędzynarodowione.

Kwestia Jerozolimy jest wielce pouczająca: Izrael zdobył to miasto w wyniku wojny sześciodniowej w 1967 r., uczynił stolicą, ale wszystkie państwa odmówiły uznania tego faktu pozostawiając ambasady w Tel Awiwie. Popularna interpretacja jest taka, że wynika to z niechęci do drażnienia krajów arabskich. Wszelako i bez tego elementu status Jerozolimy nie jest określony. Nie była to ziemia niczyja przed 1967 r., ale terytorium jordańskie, więc, nie może być po prostu traktowana jako zajęcie terytorium bezpaństwowego. Sprawę, przynajmniej od strony prawnej może załatwić tylko dwustronna ugoda pomiędzy Jordanią a Izraelem, nawet w przypadku przekazania miasta, dokładnie Starego Miasta i części wschodniej pod kontrolę międzynarodową lub dania jej przyszłemu państwu palestyńskiemu (dania właśnie, a nie oddania, ponieważ nie ma komu oddawać), ewentualnie włączenia jej do Izraela lub Jordanii. Wiadomo, że kwestia jest wysoce sporna i stanowi jeden z najtrudniejszych elementów w normalizacji sytuacji na Bliskim Wschodzie. Nie będę tego wątku dalej rozwijał, bo to temat sam dla siebie.

Podobnie trzeba myśleć o tzw. terenach okupowanych, czyli znajdujących się pod wojskową kontrolą Izraela. Egipt otrzymał Synaj, ale zrzekł się Gazy na poczet przyszłego państwa palestyńskiego. Syria ani myśli podarować Wzgórz Golan Palestyńczykom i chce ich dla siebie, a Zachodni Brzeg ma pełne szanse stać się najważniejszym elementem suwerennej Palestyny, ale nie skutkiem tego, że Palestyńczykom się to należy, lecz rezultatu wyraźnej lub domniemanej zgody Izraela i Jordanii. Palestyńczycy mogą coś dla siebie uzyskać albo drogą wojny, albo dzięki negocjacji z Izraelem lub innymi państwami, które objęły we władanie ziemię, jakie miały należeć do państwa palestyńskiego na mocy werdyktu ONZ z 1947 r. albo też zyskać jakieś inne.

Tak się jednak sytuacja ułożyła, że trzeba negocjować z Izraelem, ewentualnie przy współpracy z krajami arabskimi. Palestyński postulat wycofania się Izraela z terenów wokupowanych i rezygnacja z izraelskiej kon-

troli militarnej nad Gazą jako warunek wstępny rozmów jest nierealistyczny. Izrael nie po to zdobył atuty w wyniku zwycięskich wojen wszczętych przez inne państwa, by z nich rezygnować. I nie ma prawnego powodu, by to uczynił. Rozwiązanie drugie, czyli wojna na Bliskim Wschodzie jest wielce ryzykowna, a z oczywistych powodów to ryzyko będzie się zwiększać, zwłaszcza gdy Iran wejdzie w posiadanie broni atomowej. Taki jest historyczno-polityczno-militarny kontekst konfliktu na Bliskim Wschodzie.

Dzisiaj operacja „Płynny ołów” wydaje się jedynie drobnym epizodem w całym konflikcie bliskowschodnim. Warto jednak poświęcić jej parę uwag. Państwo Izrael zostało zaatakowane przez organizację, która ma swym statucie zapisane jego zniszczenie, a także jest popierana przez inny kraj, którego prezydent zapowiada likwidację „syjonistycznego tworu” wszelkimi możliwymi sposobami. Reakcja na atak została zapowiedziana od dawna, ale Hamas systematycznie ignorował ostrzeżenia. Izrael zadbał także o dyplomatyczne przygotowanie swej akcji informując prezydenta Egiptu Mubarakę, że stosowna decyzja została podjęta. Egipski przywódca nie wyraził żadnych poważniejszych zastrzeżeń. Wywiad izraelski doskonale wiedział, że Hamas ma jeszcze czym strzelać w kierunku miast i osiedli izraelskich, że rakiety zostały dostarczone przez Iran, że mają coraz większy zasięg (to rychło znalazło potwierdzenie) oraz że należy się spodziewać dalszego ich udoskonalania.

Hamas nie jest państwem i dlatego trudno rozpatrywać konflikt w Gazie z punktu widzenia prawa międzynarodowego. Można jednak stosować pewne elementy drogą analogii, ponieważ podjęto pewne faktyczne kroki z obu stron, np. ogłoszono czasowy rozejm. Partnerzy rozejmu nie są automatycznie zobowiązani do jego dalszego przestrzegania lub nawet powstrzymania się od wcześniejszego zerwania, jednak jeśli podejmą działania zbrojne na nowo, ponoszą pełne tego konsekwencje. Wznowienie ostrzeliwania terytorium Izraela rakietami przez Hamas stanowiło tzw. *casus belli* i uprawniało ten kraj do podjęcia stosownych kroków w celu obrony swego terytorium. To wszystko całkowicie wystarcza dla usprawiedliwienia operacji „Płynny ołów” jako nie tylko odwetowej, ale przede wszystkim prewencyjnej. Izrael ocenił, że rozejm został wykorzystany przez Hamas do dobrojenia się, a dalsze tolerowanie tego stanu rzeczy mogłoby doprowadzić do poważnego zagrożenia bezpieczeństwa państwa i jego obywateli. Stąd działania w celu zniszczenia istniejących zasobów rakietowych Hamasu i infrastruktury umożliwiającej pozyskanie nowych pocisków stały się w pełni racjonalne.

Chociaż decyzja o rozpoczęciu operacji „Płynny ołów” miała mocne uzasadnienie, działania Izraela spowodowały ostrą krytykę także tych, którzy nie mają wątpliwości, że właśnie Hamas sprowokował konflikt. Główny argument przeciwko Izraelowi jest prosty, mianowicie dysproporcja ofiar. Padają takie oto argumenty i pytania: „Izraelczycy zabijają w odwecie kilkuset Palestyńczyków za śmierć jednego swego obywatela” lub: „Dlaczego Izrael zabija więcej niż tysiąc Palestyńczyków, skoro rakiety Hamasu są nieskuteczne?”. Otóż uważam, że takie dywagacje nie mają żadnego sensu. Ta konstatacja jest smutna i może nawet cyniczna,

ale trzeba ją wystawić, aby dyskusja na temat konfliktu w Gazie nie ograniczała się li tylko do moralizowania.

Taktyka stosowana przez Hamas jest dobrze znana i w szczególności polega na rozmieszczaniu wyrzutni rakietowych i stanowisk ogniowych wśród ludności cywilnej. Można więc było od razu przewidzieć, że będzie wiele niewinnych cywilnych ofiar. Zapewne mogło ich być mniej, gdyby ostrzał wybranych celów był bardziej precyzyjny. Ci, którzy spekulują na ten temat, zapominają, że celność ognia czy bombardowań ma charakter statystyczny, a skoro tak, to przypadkowych ofiar mogło być też więcej. Najważniejsza replika na argument o dysproporcji ofiar jest bardzo prosta.

Zgodnie z prawem międzynarodowym ludność cywilna winna być chroniona w każdym konflikcie zbrojnym, także rozgrywającym się pomiędzy państwem a organizacją paramilitarną. Stąd nietrafne jest stwierdzenie wygłaszane niby dla sprawiedliwego rozkładania win, że wprawdzie Hamas jest winny rozpoczęcia konfliktu, ale to Izrael zabija ludzi. Jednak, powtarzam raz jeszcze, za bezpieczeństwo osób cywilnych odpowiedzialne są wszystkie walczące strony, czyli, w konflikcie w Gazie nie tylko Izrael, ale także Hamas. Kierownictwo tej organizacji powinno sobie zdawać sprawę z możliwej reakcji Izraela i dlatego jest ono odpowiedzialne, może nawet bardziej niż armia izraelska, za śmierć i zranienie bardzo wielu Palestyńczyków.

Wziąwszy to wszystko pod uwagę trudno mieć wątpliwości, że decyzja o rozpoczęciu operacji „Płynny ołów” miała mocne uzasadnienie. A jednak działania Izraela spowodowały krytykę, której pewnie nie byłoby w przypadku innego państwa znajdującego się w podobnych okolicznościach. Ciekawe, że do krytyków należą także ci, którzy nie mają wątpliwości, że to Hamas sprowokował konflikt. Główny argument przeciwko Izraelowi jest prosty, mianowicie dysproporcja ofiar. Padają takie oto argumenty i pytania „Izraelczycy zabijają w odwecie kilkuset Palestyńczyków za śmierć jednego swego obywatela” lub „Dlaczego Izrael zabija więcej niż tysiąc Palestyńczyków, skoro rakiety Hamasu są nieskuteczne?”.

Otóż uważam, że takie dywagacje nie mają żadnego sensu. Ta konstatacja jest smutna i może nawet cyniczna, ale trzeba ją wystawić, aby dyskusja na temat konfliktu w Gazie nie ograniczała się li tylko do moralizowania. Taktyka stosowana przez Hamas jest dobrze znana i w szczególności polega na rozmieszczaniu wyrzutni rakietowych i stanowisk ogniowych wśród ludności cywilnej. Można więc było od razu przewidzieć, że będzie wiele niewinnych cywilnych ofiar. Zapewne mogło ich być mniej, gdyby ostrzał wybranych celów był bardziej precyzyjny. Ci, którzy spekulują na ten temat, zapominają, że celność ognia czy bombardowań ma charakter statystyczny, a skoro tak, to przypadkowych ofiar mogło być też więcej.

Najważniejsza replika w sprawie argumentu z dysproporcji ofiar jest bardzo prosta. Zgodnie z prawem międzynarodowym, ludność cywilna winna być chroniona w każdym konflikcie zbrojnym, także rozgrywającym się pomiędzy państwem a organizacją paramilitarną. Stąd nietrafne jest stwierdzenie, wygłaszane niby dla sprawiedliwego rozkładania win, że wprawdzie Hamas jest winny rozpoczęcia konfliktu, ale to Izrael zabija ludzi. Jednak, powtarzam raz jeszcze, za bezpie-

czeństwo osób cywilnych odpowiedzialne są wszystkie walczące strony, czyli, w konflikcie w Gazie, nie tylko Izrael, ale także Hamas. Kierownictwo tej organizacji powinno sobie zdawać sprawę z możliwej reakcji Izraela i dlatego jest ono odpowiedzialne, może nawet bardziej niż armia izraelska, za śmierć i zranienie bardzo wielu Palestyńczyków. A ci, którzy bezpośrednio lub pośrednio zagrzewają Hamas do walki z Izraelem są po prostu nieodpowiedzialni. Atak raketowy na Tel Awiw lub Jerozolimę spowoduje nie ripostę w postaci operacji podobnej do „Płynnego ołowiu”, ale zrównanie z ziemią Gazy. Liczba ofiar nie wyniesie 1300 zabitych, ale kilkadziesiąt lub kilkaset tysięcy. Jeśli dywanowe naloty zniszczyły Drezno w ciągu jednej nocy i pozbawiły życia co najmniej 35 tys. osób w 1945 r., to obecnie można to zrobić łatwiej.

Dwie lekcje wynikają z analizy izraelskiej akcji w strefie Gazy. Pierwsza wskazuje, że radykalne skrzydło ruchu palestyńskiego, w tym wypadku Hamas, jest podtrzymywane z zewnątrz. Ktoś może powiedzieć, że także Izrael nie przetrwałby bez amerykańskiej pomocy. To od razu prowadzi do potrzeby rozważenia możliwych scenariuszy konfliktu na Bliskim Wschodzie w związku z możliwymi konstelacjami w tym regionie, a nawet poza nim. Co byłoby fatalne dla Izraela? Najgorszy scenariusz dla tego państwa polegałby na zjednoczeniu państw nie tyle arabskich, co nawet islamskich (powiedzmy bliskowschodnich) przeciwko Izraelowi. W takiej sytuacji USA musiałyby albo uczestniczyć w konfrontacji po stronie Izraela lub pozostawić go na pastwę losu. Jednak ta perspektywa jest mało prawdopodobna przynajmniej w przewidywalnej przyszłości.

Konflikt szyicko-sunnicki jest na tyle poważny, że niweczy możliwość jego zażegnania nawet dla wspólnej walki z Izraelem. Są też interesy bardziej partycularne, np. Arabii Saudyjskiej, tradycyjnie proamerykańskiej czy Jordanii, gdzie rządząca dynastia mogłaby tylko stracić na sukcesie Palestyńczyków, a także Egiptu, który ciągle musi starać się o neutralizację swoich fundamentalistów religijnych, co jest łatwiejsze w obecnej sytuacji niż gdyby Izrael został pokonany.

Wielką niewiadomą jest polityka Rosji. Z jednej strony, tradycyjnie zależy jej na osłabieniu USA, ale z drugiej obawia się i to bardzo wzrostu znaczenia Iranu jako państwa atomowego. Trzeba cały czas pamiętać, że Rosja ma problemy demograficzne, które zapewne pogłębią się, a to dyktuje strategię obronną przed ludnościową ekspansją islamską. Niemniej jednak władze rosyjskie mogą preferować kurs na własną mocarstwowość, a to może skutkować polityką antyamerykańską, nawet proirańską. Najbardziej prawdopodobny scenariusz międzynarodowy jest chyba taki, że obecna sytuacja międzynarodowa na Bliskim Wschodzie utrzyma się, nawet gdyby irańskie instalacje atomowe zostały zniszczone w wyniku ataku amerykańskiego lub izraelskiego; ten drugi musiałby być zresztą przeprowadzony za aprobatą Amerykanów.

Lekcja druga dotyczy aspektów samego konfliktu izraelsko-palestyńskiego. Izrael pokładał spore nadzieje w obaleniu Saddama Husajna i zaprowadzeniu ładu demokratycznego w Iraku, a być może także w innych krajach arabskich. Rzeczywistość okazała się znacznie bardziej oporna. Zniknięcie krwawej dyktatury irackiej nie otworzyło zbyt obiecujących perspek-

tyw demokratyzacji w Iraku. Trudno też oczekiwać tego procesu w Syrii, Egipcie czy Jordanii, a jednak, stosunki izraelsko-jordańskie są poprawne, zaś izraelsko-egipskie do takich zmierzają.

Pozostają Syria i Liban z państw sąsiadujących z Izraelem. Hezbollah utrudnia normalizację stosunków izraelsko-libańskich, a wzgórze Golan – izraelsko-syryjskich. Wszelako w polityce nie ma rzeczy niemożliwych, a gdy okaże się, że Syria i Liban istotnie skorzystają na uznaniu Izraela, zapewne podejmą odpowiednie kroki, aby szanse wykorzystać. Rozmawiałem w Izraelu z jednym z wybitnych tamtejszych prawników, sędzią Sądu Najwyższego. Powiedział mi, że jego zdaniem wszystko skończy się wprowadzeniem systemu kantonalnego w Izraelu i Jordanii, a w konsekwencji w Autonomii Palestyńskiej. Uznał, że jest to jedyne rozwiązanie problemu uchodźców.

Byłem początkowo zdziwiony tym projektem, ale po przemyśleniu sprawy znalazłem dodatkowe argumenty. Zachodni Brzeg przeżywa *boom* ekonomiczny, aczkolwiek *prosperity* jest zapewne nieco przyhamowana przez kryzys. Sytuacja w Gazie jest inna. Polityka Hamasu okazała się fatalna z ekonomicznego punktu widzenia. Niewykluczone, że Palestyńczycy dojdą do przekonania w skali masowej, iż symbioza z Izraelem jest dla nich korzystna. Będą po temu też motywowani przez izraelskich Arabów, tj. arabskich obywateli Izraela, którzy wprawdzie poczuwają się do mniejszej lub większej solidarności z Palestyńczykami z Autonomii, ale ani myślą o przeniesieniu się na Zachodni Brzeg lub do Gazy.

A jak zapatrują się Izraelczycy na proces pokojowy na Bliskim Wschodzie? Oczywiście wszyscy chcieliby, aby zakończył się sukcesem, ale szkopał w tym, że stawiane są rozmaite wymagania czy też warunki. Są tacy, którzy marzą o Wielkim Izraelu, co znaczy, że wykluczają powstanie państwa palestyńskiego, a najchętniej skasowaliby nawet Autonomię. Takie postawy reprezentują ortodoksi religijni, w tym wielu osadników na Zachodnim Brzegu.

Zdecydowana większość społeczeństwa izraelskiego chce jednak jakiegoś kompromisu z Palestyńczykami, ale, powtarzam, szczegóły nie rysują się jasno. Jeden z moich znajomych, niegdyś bardzo antyarabski, powiedział mi, że zaczyna rozumieć postulaty palestyńskie. Z drugiej jednak strony Izraelczycy oczekują twardej postawy od swoich władz i tym należy tłumaczyć wygraną Likudu w zeszłorocznych wyborach. Takie stanowisko zajmują też w większości imigranci z byłego ZSRR, a to jest znacząca siła w Izraelu. Jednak Benjamin Netanjahu wcale nie okazał się jastrzębiem w pierwszych miesiącach swoich rządów.

Nie ma najmniejszych wątpliwości, że równanie bliskowschodnie ma bardzo wiele niewiadomych – międzynarodowych globalnych, międzynarodowych lokalnych, tj. regionalnych, bilateralnych i wewnętrznych. Jest jeszcze jeden aspekt, który tylko sygnalizuję, ponieważ jego rozwinięcie nie jest możliwe w tym tekście. Wiele, przynajmniej moim zdaniem, zależy od stosunku do Żydów i Izraela ze strony światowej opinii publicznej. Jeśli redakcja pozwoli, zajmę się tym w osobnym szkicu.

STANISŁAW JĘDRZEJEWSKI

PORTUGALIA: DALEKO OD KRAJU SOSNY...

Gdy mówimy Portugalia to myślimy przede wszystkim o niegdysiejszej potędze kolonialnej, wielkich żeglarzach i odkrywcach: Magellanie, odkrywcy krótszej drogi łączącej Atlantyk z Pacyfikiem i Vasco da Gamie, który udowodnił, że do Azji można dotrzeć drogą morską opływając Afrykę.

Ale i współcześnie trzy przynajmniej nazwiska są powszechnie znane: nieżyjąca już od 10 lat portugalska diva, pieśniarka Amalia Rodrigues, która jak nikt przed nią i po niej rozstawiła na świecie fado oraz pochodzący z Mozambiku, dobiegający siedemdziesiątki legendarny piłkarz Eusebio – „pantera negra”, który jeszcze za życia doczekał się pomnika (stoi u wejścia na stadion Benfiki w Lizbonie), wreszcie tyleż sławny co kontrowersyjny trener Interu Mediolan, a zarazem barwny celebryta Jose Mourinho.

My, Polacy myśląc o Portugalii mamy przed oczyma ów wymyślony przez Starszych Panów, niemal mityczny Portugalczyk Vincente (!?) Osculati co to „jak nóż bezlitosny naciął dziewcząt jak róż w kraju sosny”. Tymczasem, wbrew temu co sądzi o tym moja żona, zasługują na to również dziewczyny w kraju palmy i eukaliptusa...

Dominującym, pierwszym wrażeniem przybysza jest melancholijne usposobienie Portugalczyk—w, a więc to, co określa się tutaj jako *saudade*, czyli narodowy sentyment, tęsknota nie tylko „za tymi, co na morzu”, ale żal za lepszymi czasami, które odeszły i nigdy nie powrócą. *Saudade* jednak to również samotność, co paradoksalnie stało się faktem politycznym, gdy w latach 60. XX w. przywódca najdłuższej trwającej w Europie dyktatury, Antonio de Oliveira Salazar po przysięgł, że utrzyma swoje imperium kolonialne i będzie bronić chrześcijaństwa nawet wówczas, gdy Portugalczycy mieliby się stać *orgulhosamente sos*, czyli „wyniośle samotni”.

Jednakże Portugalczycy byli samotni, gdy reżim salazarowski podczas II wojny po cichu popierał aliantów i dawał schronienie uciekinierom z wojennego piekła, w tym tak wpływowym i potężnym jak turecko-armeniski magnat naftowy Calouste Gulbekian, który potem z wdzięczności przekazał Portugalii cały swój majątek. Ale i przedtem, gdy również po cichu Salazar militarnie wspomagał frankistowską rebelię.

Po Salazarze wśród starszego pokolenia z pewnością pozostał rodzaj traumy, tragicznych wspomnień działalności tajnej policji PIDE, odcięcia od Europy (choć dyktator zezwalał na emigrację zarobkową). Tutejsi liberalnie zorientowani wykładowcy uniwersyteccy z Salazarem właśnie (ale to rytuał starszy niż reżim dyktatorski) łączą tzw. *mana da praxe* – pierwszy tydzień roku akademickiego. Taki rodzaj fali, kiedy studenci-debiutanci zapoznają się z uniwersytetem przechodząc wiele komicznych, ale i upokarzających rytuałów dyktowanych przez starszych, ubranych w charakterystyczne czarne peleryny i kornety.

Istotę i substancję narodowych pasji i sentymentów stanowi tzw. 3 F: Fado – Fatima – Futebol. Triada, trochę pewnie w nawiązaniu do niemieckiego 3K, powstała w czasach Salazara, przetrwała zmianę ustroju i nadal trafnie oddaje główne zainteresowania Portugalczyków. Bodaj najbardziej znaną formą ekspresji *saudade* jest oczywiście *fado*, czyli „płacz Portugalii”. Muzyka, którą tak obficie i ze znanstwem raczy nas w Trójce w niedzielnej *Szeście* Marcin Kydryński. Nie wiadomo skąd się wzięło *fado*. Rozprzestrzeniło się na przełomie XVIII i XIX wieku być może jako śpiew sprowadzanych z Brazylii czarnych niewolników tęskniących za swoją afrykańską ojczyzną, być może jako pieśń portugalskich marynarzy. W każdym razie dzisiaj istnieją dwie odmiany *fado*. W Coimbrze, jak przystało na miasto akademickie teksty i muzyka są bardziej

wyrafinowane, w Lizbonie zaś śpiewa się o sprawach zwykłych, codziennych, głównie zresztą o nieudanej miłości. *Fado* paradoksalnie stało się też – w czasach Salazara – pieśnią protestu, a największą popularność zyskała wówczas *Grandola Vila Morena* Jose Alfonsa – swoisty hymn „rewolucji goździków”.

Drugą młodość przeżywało *fado* po filmie Wima Wandersa *Lisbon story*, również dzięki Teresie Salgueiro i jej piosence *Alfama*. Tytuł zawdzięcza najstarszej dzielnicy Lizbony, dokąd dostać się można tramwajem z epoki początków tego rodzaju komunikacji miejskiej.

Portugalczyki w przeciwieństwie do swoich hiszpańskich sąsiadów są raczej introwertyczni i niezbyt towarzyscy. Tymczasem w obliczu piłki nożnej i swojej ulubionej drużyny (wyłącznie oczywiście mężczyźni) potrafią godzinami przesiadywać w kawiarniach i tawernach oglądając na ekranach telewizorów mecze piłkarskie i zawzięcie dyskutując o swoich ulubieńcach. O dziwo, jednak na stadiony (a wybudowano wiele nowych z przeznaczeniem na Mistrzostwa Europy w 2004 r.) nie przychodzi wielu kibiców, np. w Bradze, gdzie miejscowy klub SC Braga przewodzi w Liga Sagres (ekstraklasie) fantastyczny, zaprojektowany przez miejscowych architektów, doczepiony do olbrzymiej skały stadion bardzo trudno zapełnić, nawet jeżeli przyjeżdżają tutaj kochane przez brażan Benfica, Porto czy Sporting.

Braga – 200-tysięczne, trzecie co do wielkości miasto Portugalii z dwoma uniwersytetami (w tym jednym katolickim) to centrum portugalskiego katolicyzmu (jak nasz ludowy raczej, aniżeli intelektualnego). Są tutaj aż trzy sanktuaria: Sameiro, Tibaes i najbardziej znane – Bom Jesus do Monte z niezwykłym trójwymiarowym ołtarzem, prowadzącymi do kościoła schodami symbolizującymi Drogę Krzyżową i czynną od 1882 r. kolejką *elevador*. Ale najważniejszym jest oczywiście Fatima – cel pielgrzymek wielu Portugalczyków i wiernych innych nacji.

Portugalczyki czczą naszego papieża, choć w centrum Bragi znaleźć można również pomnik Piusa XII. W sanktuarium Sameiro jest jego pomnik i centrum pielgrzymkowe, w sklepach z pamiątkami – okropne jarmarczne figurki, a w małych miasteczkach regionu Minho nawet ośrodki pomocy społecznej jego imienia. W samej Bradze imię Jana Pawła II nosi główna arteria miasta. Ale czy wierni stosują nauki papieża-Polaka, czy tylko – jak u nas – cytują jego słowa?

Mimo wyraźnych tendencji sekularyzacyjnych i zanikania praktyk religijnych Portugalczycy są ciągle mocno związani z Kościołem katolickim, lecz może nie tyle wiarą, co tradycją obrzędów katolickich, a klery i episkopat pozostają ciągle grupami o znacznym wpływie na opinię publiczną. Mimo sprzeciwu Kościoła niedawno parlament zgodził się na zawieranie małżeństw przez osoby tej samej płci. Nie zgodzono się jednakże na adopcję dzieci przez pary homoseksualne.

W Bradze głoszą jednak na socjalistów, a burmistrzem miasta od „rewolucji goździków” jest socjalista (nie mylić z socjaldemokratami – partią centroprawicową i komunistami, którzy swoją wielkość w okresie „rewolucji goździków”, związaną z nazwiskiem niezwykłego Alvaro Cuhnała, mają już dawno za sobą).

Dzisiaj po powtórny zwycięstwie w Portugalii rządzi właśnie socjaliści z premierem Jose Socra-

tesem. W styczniu 2010 r. okazało się, że sytuacja gospodarcza, do której doprowadził rząd nie radząc sobie z kryzysem, wymknęła się spod kontroli. Wzrost PKB w roku minionym okazał się minusowy i wyniósł –2,8, zaś deficyt budżetowy osiągnął 9,3 proc. PKB więc jest trzykrotnie wyższy aniżeli granica deficytu określona przez Unię Europejską. Bezrobocie obejmuje obecnie około 700 tys. osób, jest najwyższe od akcesji Portugalii do Unii Europejskiej w 1986 r. i jak wszędzie dotyczy przede wszystkim młodzieży. Ostatnio rząd ogłosił zamrożenie, a nawet możliwość obniżenia płac deklarując, że zacznie od siebie. Wszystko to skutecznie nadwreżyło zaufanie zagranicznych inwestorów do Portugalii grożąc dalszym pogorszeniem sytuacji. Istnieje obawa, że powtórzy się tutaj sytuacja Grecji, która dla Portugalczyków stanowi swoisty punkt odniesienia. Często przeto narzekając na rząd (co jak widać nie jest tylko naszą specjalnością) mówi się tutaj, że „wyprzedziła nas nawet Grecja”. Dlatego właśnie minister finansów wzywając ostatnio w parlamencie do dyscypliny finansowej i podatkowej od razu zastrzegł, że „nasza sytuacja w niczym nie przypomina Grecji”.

Ostatnio problemem nie tylko społecznym i rasowym, lecz także ekonomicznym stają się przesiedleńcy z byłych kolonii. W Lizbonie zawrotną karierę w biznesie robi córka prezydenta Angoli wykupując nieruchomości, powierzchnie handlowe, otwierając drogie sklepy, a Angolczycy należą do elity finansowej Lizbony i klientów najdroższych stołecznych sklepów. Nie tylko „wyręczają” w ten sposób Portugalczyków, ale też śrubują ceny, co tym ostatnim nie musi się podobać. Wspomnijmy jeszcze, że ceny nieruchomości w Lizbonie są już wyższe niż np. w Londynie, a i sama stolica Portugalii łąduje w różnych rankingach obok Oslo i Kopenhagi jako najdroższe miasto Europy.

Portugalia należy do najbiedniejszych krajów starej Unii, ale też szybko wychodzi z zacołania otwierając się na Europę. Dopiero od końca lat 60. to chłopskie w większości społeczeństwo zaczęło podlegać przemianom modernizacyjnym, więc nie zdołało jeszcze wykształcić nowych wzorów zachowań i stylów życia. Portugalczycy zachowali wiele z dawnego obyczaju i tradycyjnego stylu życia. Na dobre i złe. Nie są jeszcze „zdemoralizowani” konkurencją rynkową, ale są też mało sprawni szczególnie w usługach (fatalne!) i procedurach biurokratycznych (wydłużone ponad miarę), a czas traktują nader swobodnie. Wystarczy wspomnieć, że właściwie żadna impreza artystyczna (odbywające się i tak b. późno wieczorem) czy uroczystość nie zaczyna się tutaj punktualnie. Uroczystość zaprzysiężenia nowego rektora na moim uniwersytecie rozpoczęła się z 40-minutowym opóźnieniem, co nikogo nie poruszyło.

Portugalczyki od niedawna lepiej zarabiają, a pracują mniej, nie bardzo więc jeszcze wiedzą co robić z czasem wolnym. W soboty i niedziele podobnie jak my wążają się po hipermarketach ciągnąc za sobą dzieci, obsiadają *fast foody* itd. Konserwatyzm tutejszych stylów życia sprawia, że są raczej kibicami niż atletami, więc sportowa infrastruktura jest tutaj dość skromna i bardzo trudno np. o kryty kort czy basen. Ale coraz więcej ludzi, również starszych, których coraz więcej (5 lat temu aż 17 proc. Portugalczyków

przekroczyło 65. rok życia), biega, chodzi (na razie jeszcze bez snobistycznych kijków niezbędnych przy uprawianiu *Nordic Walking*), wędruje po górach, gra w tenisa, pływa, surfuje, żegluję, no i coraz intensywniej jeździ na rowerach. Chyba z powodu braku ścieżek rowerowych utarł się tutaj zwyczaj jeżdżenia na rowerze (w pojedynkę, a częściej – grupowo) tylko w niedziele przed południem. Panuje wtedy mniejszy ruch samochodowy, łatwiej więc i bezpiecznie można poruszać się po szosach. A te od czasu akcesji Portugalii do Wspólnoty Europejskiej są naprawdę imponujące. Sieci znakomitych autostrad (płatnych) i szos możemy naprawdę Portugalczykom pozazdrościć.

Nie musimy im natomiast zazdrościć telewizji publicznej, niestety wyjątkowo skomercjalizowanej tandety, którą w postaci telenowel, w ramach odwrotnego imperializmu kulturalnego dostarcza Brazylia. Telewizji, której udział w rynku należy do najniższych w Europie. Nic dziwnego, skoro Portugalia jest krajem o najniższym w Europie poziomie finansowania mediów publicznych, choć sam sposób finansowania ze środków publicznych mógłby być wzorem dla innych: wszystkie gospodarstwa domowe i firmy pobierające prąd wnoszą doliczoną do rachunku za energię tzw. opłatę audiowizualną w wysokości 1,75 euro miesięcznie. Zwolnieni są z opłat tylko ci, których miesięczny poziom korzystania z energii elektrycznej nie przekracza 400 kWh, a więc ludzie mniej zamożni i drobni przedsiębiorcy.

Portugalia jest krajem bardzo zróżnicowanym geograficznie. Zielona, górzysta północ kontrastuje z wiecznie spalonym słońcem zrzedziałym płaskim południem. Przewiduje się nawet, że w ciągu 50 lat południe Portugalii zamieni się w pustynię, a w związku z tym i tak już „gęsta” północ zaludni się jeszcze bardziej. Na północ również przesunie się ruch turystyczny.

Inna jest Portugalia w lecie, odmienna na jesieni i zimą. Pogoda radykalnie się zmienia mniej więcej w połowie listopada. Wówczas to zaczyna często padać deszcz, dokucza wilgoć. Dość często jednak świeci słońce, więc odczuwalna temperatura jest dużo wyższa. W styczniu na północy kraju, gdzie mieszkam, średnia temperatura oscyluje wokół +8°C, co natychmiast oziębia praktycznie nieogrzewane mieszkania i domy.

Zwiedzać ten piękny kraj można i należy nieustannie. A jest co zwiedzać, bo jak wiadomo nikt, oprócz Hiszpanów i Maurów, na Portugalię nie najeżdżał, nie palił i rabował. Niedawno odwiedziłem Coibmrę, gdzie znajduje się bodaj najstarszy uniwersytet w Europie i naprawdę warta odwiedzenia piękna barokowa biblioteka uniwersytecka Joanina, oraz niesamowitą Batahlię, w której koniecznie trzeba zobaczyć ufundowany przez zwycięzcę nad Hiszpaniami króla Jana I Wielkiego (ojca władcy, który odmienił Portugalię – Henryka Żeglarza) klasztor Najświętszej Marii Panny i jedyne w swoim rodzaju *Capelas Imperfeitas* (Niedokończone Kaplice). Nikt nie wie dlaczego „niedokończone”, może z powodu klątwy, którą, jak głosi legenda, rzucił na budowniczych kaplic mieszkający tam niegdyś Żyd Szymon skazany na śmierć za uwiedzenie zakonnicy. Przed egzekucją miał powiedzieć: „A kaplice i tak nigdy nie skończycie”.

W podróżach po Portugalii niezwykle pomocny okazał się dwa lata temu wydany przez krakowski Universitas piękny tom prof. Franciszka Ziejki *Moja Portugalia*. Przebywając w Portugalii na przełomie lat 70. i 80. przez około 9 miesięcy dokonał profesor rzeczy imponujących: na Uniwersytecie Lizbońskim uruchomił istniejący do dziś lektorat języka i kultury polskiej, dużo podróżował, opanował język portugalski, który do łatwych nie należy, zawarł sporo interesujących znajomości, a na dodatek wyjątkowo pięknie i interesująco to wszystko opisał. Poza tym przygotował i opublikował kilka rozpraw historyczno-literackich. I to wszystko w warunkach ograniczonych środków finansowych, braku komunikacji z krajem, mieszkając w sublokatorskim, nieogrzewanym pokoju. *Notabene*, kiedy pytałem w jednej z większych księgarni w Bradze, czy mają jakąś pozycję polskiego autora w tłumaczeniu na portugalski, okazało się, że tym autorem był Ryszard Kapuściński. Obok Lema najczęstiej bodaj tłumaczony współcześnie na świecie polski pisarz.

W piątki, soboty lub niedziele odwiedzam przepiękną, zaprojektowaną przez architektów holenderskich Casa da Musica w Porto. Na wskroś nowoczesna zawiera w sobie element tradycyjnego, wyjątkowego stylu architektonicznego dawnej Portugalii. Daje tam koncerty symfoniczna orkiestra narodowa, w której bodaj najmniej jest Portugalczyków. Ostatnio, podczas koncertu z okazji Dnia Haydna podziwiałem grających tam Polaków. Często występujący w Casa da Musica dyrygent honorowy, pochodzący z Drezna Christoph Koenig w uznaniu ich sztuki poprosił o wyjście na proscenium, bo zastąpił na owację.

Portugalia jest zawieszona między współczesnością a przeszłością, pomiędzy tradycją a nowoczesnością. Wystarczy wybrać się do któregoś z miasteczek rozsiąanych w północnym regionie Minho, gdzie spotkać można obok architektury średniowiecznej (kapitałna i mało znana, choć ogromnie skomercjalizowana Fortalezza w Valenca, na granicy z Hiszpanią) ślady Rzymian (most rzymski w Ponte de Lima), Gotów, a nawet Celtów (Citania de Briteiros nie musi się kłaniać Pompejom), bo ci ostatni byli chyba wszędzie. Ale tradycja ściśle portugalska jest widoczna przede wszystkim w folklorze: muzyce, tańcu, rzemiośle, ludowych uroczystościach, których pełno w małych i większych miasteczkach, zwłaszcza z okazji dożynek i świąt religijnych. Jedyne literacki noblista portugalski, sędziwy i mieszkający dzisiaj w Hiszpanii Jose Saramago, obrażony na portugalski episkopat, który jedną z jego książek (*Ewangelia według Jezusa Chrystusa*) umieścił na indeksie, pisał w *Podróży do Portugalii* (co za zbieżność z Iwaszkiewiczem!): „W każdym mijającym miejscu był kawałek starej Portugalii żegnającej mnie, podróżnego. Starożytnej Portugalii, która zaczęła wreszcie, wprawdzie wciąż pełna wątpliwości, czy tego chce, czy nie, zmierzać w stronę dwudziestego wieku” (za: V. Poelzl *Spokojnie to tylko Portugalia* „Newsweek Polska”, 2004).

A może po prostu w myśl portugalskiego powiedzenia *Em Roma, ser Romano* (w Rzymie bądź Rzymianinem), Portugalczycy chcą pozostać sobą.

STANISŁAW JĘDRZEJEWSKI

ZBIGNIEW BAUER

JOURNAMORFOZA PO POLSKU. O PLAGIATOWYM CHARAKTERZE PRZEŁOMU MEDIALNEGO W 1989 ROKU (część I)

Pojęcie „journalmorphosis” jest rzadko spotykane w medioznawstwie, a pojawiło się w nim za sprawą Marka Butzowa, profesora dziennikarstwa na Uniwersytecie Zachodniego Illinois prowadzącego od 2007 roku blog „Journalmorphosis” poświęcony nie tyle metamorfozie mediów co metamorfozie dziennikarstwa, stanowiącego część tych mediów¹. O ile poprzez „mediamorphosis” autor tego pojęcia, Roger F. Fidler pojmuje kolejne etapy przemian technologicznych i instytucjonalnych mediów masowych², o tyle „journalmorphosis” obejmuje ewolucyjne przeobrażenia metod dziennikarskich – zbierania materiału, jego selekcji i kompozycji samego przekazu. Powodują one, co oczywiste, zmiany w zakresie etyki zawodowej dziennikarzy, wyobrażeń na temat własnego zawodu, a także wyobrażeń, jakie o dziennikarzach mają odbiorcy przekazów i oczekiwań wobec samych mediów. „Mediamorphosis” i „journalmorphosis” są ze sobą związane, niemniej nie zachodzą synchronicznie, a asynchronia obu procesów powoduje niekiedy dość poważne napięcia, czasem nawet kryzysy mediów – spośród których najgłębszy wydaje się ten, jaki odczuwamy obecnie. Dziennikarstwo przekształcało się z reguły wolniej niż media; obecnie dziennikarstwo – o ile za jego integralną część uznamy

również dziennikarstwo tzw. obywatelskie, blogowe, a nawet „agregacyjne” (takie jak np. serwis Google-News) – zmienia się szybciej niż tradycyjne instytucje medialne, działające według starych algorytmów produkowania treści i jej dystrybucji.

Rok 1989 jest w Polsce, podobnie jak w innych krajach dawnego bloku sowieckiego (poza samym ZSRR), progiem zarówno „mediamorphosis”, jak też „journalmorphosis”. Zmiana mediów dokonuje się w zakresie technologii i struktur organizacyjnych, usytuowania w przestrzeni politycznej i społecznej, a także w zakresie ich ekonomiki. Wraz ze zmianą mediów następować muszą zmiany w zawodzie dziennikarza; jego rola w społeczeństwie budującym demokrację jest przecież inna niż w „społeczeństwie budującym socjalizm”. Przejście z „realnego socjalizmu” do „realnej demokracji” może być dotkliwe, a nawet szokowe. Dziennikarze nie są grupą wyalienowaną z tego społeczeństwa, choć z pewnością szczególną: przypada im rola przekonywania do sensowności i nieodwracalności zmiany – choć rola ta jest obciążona pewnym stygmatem. To im przypisuje się gorliwych „utrwalaczy” *ancient regime'u*, ludzi bliskich władzy do tego stopnia, że uchodzących za jej narzędzie. Obserwacja przełomu, zarówno mediamorphosis, jak też „journalmorphosis” skłania do tezy, iż w obu płaszczyznach przełom ten miał charakter „plagiatory”.

¹ <http://journalmorphosis.blogspot.com/2007/03/journalisms-metamorphosis.html>

² R. F. Fidler, *Mediamorphosis: Understanding New Media*, Thousand Oaks 1997

1.

„Wiem, wiem – plagiaty mogą być niejako fizjologiczną potrzebą umysłu; coś, z czym się zrosło i na czym się dalej buduje, nie może być już usunięte. [...] Nie chodzi mi też tutaj o jeden, dwa czy kilkanaście pożyczek od bogatej zagranicy, lecz o całą ohydłą atmosferę tolerancji wobec plagiatu w Polsce, gdzie się ten grzech przeciw Duchowi św. bagatelizuje, usprawiedliwia, a nawet popiera, podczas gdy to, co się rodzi u nas oryginalne, bez precedensów, traktuje się zimno, jeżeli nie z nienawiścią, i drwiąco mówi się o »gonieniu za oryginalnością«. [...] To jest atmosfera pasożytnictwa, rozleniwienia umysłowego, w której żadna nowa myśl ani forma literacka zrodzić się nie może. Jesteśmy ciurami Zachodu i nie mamy nic na eksport, prócz wysokich arcydzieł. Polska jest dywanem zrobionym z błędnych kół. Tolerancja dla plagiatu wiąże się z tolerancją wobec paska, wobec partactwa, niesprawiedliwości, brudu, kradzieży itd.” – pisał Karol Irzykowski zaledwie cztery lata po przełomowym dla polskiej historii roku 1918³, co prawda z intencją opisaną sytuacji w rodzimej literaturze pięknej, niemniej śmiała tę diagnozę można z powodzeniem przenieść w czasy siedemdziesiąt z górą lat późniejsze i zastosować do innych sfer polskiego życia społecznego i umysłowego. Autor *Beniaminka* miał na myśli twórczość artystyczną, lecz nie tylko konkretne wytwory, literackie artefakty. Myślał w równym stopniu o atmosferze towarzyszącej samej komunikacji literackiej, o złożonym systemie wartości, antywartości, stereotypów i wzorów psychologicznych, często o odległej historycznie genezie, działających jako regulator tej komunikacji – i to do tego stopnia istotny, iż albo traktowany jak instytucja, albo wręcz dążący do instytucjonalizacji. Komunikacja literacka jest wyspecjalizowanym obszarem komunikacji społecznej, podobnie jak komunikacja medialna; „plagiatory charakter”, dostrzegany przez Irzykowskiego w polskich przełomach literackich, można z pewnością dostrzec w przełomie, jaki dokonał się w polskich mediach w roku 1989, choć z pewnością przyczyny ujawnienia się owej plagiatowości, a także jej skutki, domagają się innej – co nie znaczy: łagodniejszej – diagnozy. Znaczna część zjawisk opisanych w eseju Irzykowskiego, a związanych z przełomem 1918 roku, powtórzyła się osiemdziesiąt lat później w zupełnie innym kontekście społecznym, politycznym i cywilizacyjnym. Samo wszakże dostrzeżenie podobieństw nie oznacza, że są one potwierdzeniem naznaczenia polskich przełomów jakimś fatum, jakimś negatywnym czynnikiem stanowiącym residuum naszego charakteru narodowego, zbiorowej świadomości bądź nieświadomości. Muszą jednak zwracać uwagę.

Inny wybitny pisarz dwudziestolecia międzywojennego, Juliusz Kaden-Bandrowski wprowadził do powszechnego obiegu powiedzenie o „radości z odzyskanego śmietnika”, a rozczarowanie Polską, tą „wybuchłą”, tą „ni z tego ni z owego” narastało w rozmaitych sektorach społeczeństwa w zasadzie nieustannie, przez dwadzieścia lat istnienia II RP – konkurując z oficjalnie głoszoną apoteozą państwowości jako war-

tości samej w sobie, z propagandowym wizerunkiem polskiej siły i niezależności, wzmacnianej odpowiednimi sojuszami i ufundowanej na grobach bohaterów. Nastrój radosnego świętowania, festiwal odzyskiwania obszarów zawłaszczonych przez „obcych” i „onych” musiał się kiedyś skończyć i stopniowo przypominało sobie, że rządzeni zawsze dążą do dominacji nad rządzonymi, niezależnie, czy są pomazańcami, czy zostaną wyłonieni dzięki mechanizmom demokratyzacji, a legitymizacja władzy to nie liczba zdobytych głosów, to nie jednorazowy akt, lecz niekończący się proces. I w końcu ów sławny polski policjant, na widok którego tak „rozczulano się” ponoć w 1918 roku, okazywał się tylko policjantem, zaś młody, nowy urzędnik decydujący o codziennych sprawach obywateli wykazywał, że pobierał lekcje od tych, których wykształcił albo duch wszechobecnej w *samodierżawiju* korupcji, albo tępy pruski dryl, albo austro-węgierskie lekkoduchostwo i pozerstwo. Wzory „bycia władzą” – podobnie jak wzory „bycia obywatelem”, „bycia społeczeństwem” – nie zjawiają się wraz z nowym ustrojem, z nowym państwem.

Zanim wytworzą się nowe kody, nowe semiotyki pozwalające nadawać zmienionemu, raptownie światu formy nadające się do komunikowania – w oczywisty sposób korzystamy z istniejących semiotycznych zasobów lub poddajemy, najczęściej rytualnej, desemiotyzacji elementy dziedziczonych kodów, co nie oznacza powołania do życia nowych, nośnych znaków i komunikacyjnych procedur. To problem wszystkich rewolucji – od francuskiej po bolszewicką, a także problem wszystkich społeczeństw postkolonialnych, którymi (mimo naszych wewnętrznych i częściowo uzasadnionych teoretycznie oporów przed stosowaniem tego określenia) są społeczeństwa Europy Środkowo-Wschodniej. Stanowienie nowych semiotyk może być obudowane zinstytucjonalizowaną bądź niewerbalną opresywnością porewolucyjnej władzy: potrzeba nowego języka może być tak samo pilna jak potrzeba budowy szafotów, więzień i łagrów – a w najłagodniejszym wydaniu miejsc izolacji, gdzie mogliby przebywać nowi wykluczeni, czyli ci, którzy nie przyjmują ani leksyku, ani gramatyki postrewolucyjnego języka⁴. Nie przyjmują niekiedy dlatego, że rozpoznają w tym języku zbyt wyrazisty „ślad” (w derridiańskim rozumieniu) mowy *ancient regime'u*. Problem np. „Solidarności” polegał na tym, iż język, jakim potrafiła się posługiwać projektując nowy ład, a także opisując pragmatykę społeczną po przełomie 1989 roku był złożoną mieszaniną hasel populistycznych, lewicowych (w ich propagandowej wersji z lat PRL), narodowo-katolickich i liberalnych (lub neoliberalnych). Opisując, która z tych językowych, a zatem i świadomościowych składowych stawała się dominantą w publicznym dyskursie, moglibyśmy opisać drogę, jaką polska opozycja przeszła od 1976 po przełom 1989 roku, a może także w szerszej zakreślonych granicach.

Druga Rzeczpospolita miała w przeddzień wybuchu wojny światowej tyle lat, ile mają w sumie dwie Rzeczpospolite: Trzecia i Czwarta, jeśli trzymać się obecnej, bardziej wyrazistej w mediach niż w polskiej świadomości, nomenklatury. „Plagiatory” charakter przełomów we wszystkich strukturach państwowych określanych tymi nazwami polegał z jednej strony na nieuniknionym

³ K. Irzykowski, *Plagiatory charakter przełomów literackich w Polsce*, „Robotnik” z 29 i 31 stycznia 1922; cyt. za: K. Irzykowski, *Pisma. Stoń w składzie porcelany. Lżejszy kaliber*, red. A. Lam, Kraków 1976.

⁴ Por. M. Ozouf, *Święto rewolucyjne 1789-1799*, przekł. A. Siemek, Warszawa 2008

dziedziczeniu języków, semiotyk i zachowań komunikacyjnych utrwalonych w okresach poprzedzających narodziny tych struktur, z drugiej na – równie zrozumiałym w takich momentach – przejmowaniu wzorców obcych w nadziei, że pozwolą one lepiej wyartykułować idee dokonującej się zmiany nie tyle już w formie abstrakcyjnego projektu (jak to było w czasie trwającego niecałe półtora roku okresu tzw. pierwszej „Solidarności”), ile skonkretyzowanego, przekładalnego na działania algorytmu.

Trudno nie zauważyć przy tym, że na obszarze komunikacji medialnej, formująca się dopiero Druga Rzeczpospolita nie musiała dokonywać zmian naprawdę rewolucyjnych, gdy chodzi o typ mediów (polska prasa i film rozwijały się stosunkowo dobrze także w warunkach zaborowych – oczywiście na tyle, na ile pozwalały uwarunkowania polityczne stwarzane przez obce rządy i inaczej w każdym z zaborów); medium istotnie nowym pod względem technologicznym było radio, którego inauguracja (w cywilnej wersji) przypadła na rok 1926. Debiut nowego medium nastąpił zatem siedem, osiem lat po odzyskaniu niepodległości; ciekawe, że w Trzeciej RP od jej narodzin upłynęło mniej więcej tyle samo lat do chwili uruchomienia medium najnowszego, Internetu, w takiej postaci, jaką znamy dzisiaj (portale Wirtualna Polska i Onet, poczta elektroniczna). Media Drugiej Rzeczpospolitej działały – podobnie jak wcześniej – w warunkach wolnorynkowych, jako konkurencyjne przedsiębiorstwa. Konstytucja z 1921 roku gwarantowała im wolność słowa, niemniej nie znosiła instytucji cenzury, która miała charakter represyjny – czyli taki, jaki obowiązywał we wszystkich zaborach (w rosyjskim od 1905 roku). W latach trzydziestych dążenia do ograniczenia wolności mediów nasiliły się znacznie, co wyraziło się w liczbie konfiskat publikacji i wysokości nakładanych kar (w konstytucji kwietniowej z 1935 roku nie ma już zapisu o wolności prasy), niemniej nigdy nie zdecydowano się na wprowadzenie cenzury „uprzedniej”. Dziennikarstwo prasowe pozostało poza tym modelem dla dziennikarstwa radiowego, co odpowiadało zresztą tendencjom w mediach światowych – amerykańskich i europejskich, niezależnie od konfliktu między mediami drukowymi i auralnymi, wyrażającego się w USA w postaci tzw. wojny prasowo-radiowej.

Istotna zmiana dotyczyła proporcji tematów, przesunięcia akcentów, technik gromadzenia informacji i ich przetwarzania. Generalnie jednak powiedzieć można, że to, co stało się z mediami polskimi po 1918 roku, było związane z ich modernizacją w sensie ekonomicznym i technologicznym, z ewolucją obejmującą „przemysł medialny” w tej fazie ich rozwoju i nie wymagało burzenia struktur aż do ich podstaw. Nie było z pewnością niczym rewolucyjnym silne upartyjnienie polskiej prasy międzywojennej (zjawisko charakterystyczne przecie dla europejskiego modelu mediów), ani coraz śmielej zaznaczająca swoją obecność reklama, ani też wysoki udział w rynku prasowym tytułów o sensacyjnym, tabloidalnym charakterze – zresztą nowoczesny tabloid jest produktem pierwszych dekad wieku dwudziestego, chociaż nawiązuje do wzorca prasy „centowej” z poprzedniego stulecia. Zmiana dokonująca się w polskich mediach po 1918 roku była zatem nie tyle „naśladowaniem”, „plagiatowaniem” wzorów już istniejących, ile efektem ogólnych tendencji w prasie

światowej lub wzmocnieniem trendów obecnych w prasie polskiej jeszcze przed powstaniem Drugiej Rzeczpospolitej. Naturalnie: w obszarze zredefiniowanej wolności i odpowiedzialności ludzi piszących dla prasy i zarządzających nią musiały zaistnieć strefy, w których mniej lub bardziej wyraźnie usiłowano nawiązywać do zachodnich wzorców, niemniej etos dziennikarstwa, teraz już w pełni uzawodowionego (i to jest zmiana rzeczywiście ważna), nie wymagał koniecznego wsparcia na obcych rozwiązaniach.

2.

Trzeba starannie wyważyć sąd, czy to, co się stało z mediami polskimi po 1945 roku – a przecie był to wstrząs nieporównanie silniejszy niż ten, który nastąpił po roku 1918 – można rozpatrywać w kategoriach „plagiatu”. Wprawdzie to, co nastąpiło, nie było niczym innym jak skopiowaniem sowieckiego modelu komunikacji medialnej (prasowej, radiowej, potem telewizyjnej) – jednak istnieją co najmniej dwa powody, dla których o „plagiatowości” tego przełomu mówić nie sposób. Pierwszy jest oczywisty: plagiat związany jest zazwyczaj z działaniem świadomym, z wolą przejęcia istniejącego rozwiązania. Cytowany wcześniej Karol Irzykowski powoływał się na definicję plagiatu daną przez ulubionego Hebbla: plagiat to przywłaszczenie sobie pomysłu w jakiś sposób zorganizowanego. Sowiecki system medialny był w wysoki sposób zorganizowany teoretycznie, potwierdzony w faktach, miał cechy drobiazgowego algorytmu, zestawu nakazów, zakazów i metod ich egzekwowania. Był także znany większości ludzi, którzy podjęli się jego wiernego przeniesienia do powojennej polskiej rzeczywistości – łącznie ze wszystkimi konsekwencjami. Był znany – nawet jeśli ludzie ci zamykali na te konsekwencje oczy: albo ulegając indoktrynacji, albo z idealistycznych pobudek, albo (co najczęstsze) z wyrachowania i konformizmu. Jednak – i to drugi powód wykluczający „plagiatowość” powojennego przełomu medialnego – system ten został narzucony siłą, nie miał alternatywy, a jeśli nawet rysowała się ona na horyzoncie przez dwa, trzy powojenne lata, natychmiast została z tego horyzontu usunięta. Polskie media i polskie dziennikarstwo (jako w pełni ukształtowany zawód) po raz pierwszy w historii zostało skonfrontowane z systemem mediów absolutnie monopolistycznym w dziedzinie ideologicznej (zarządzanie treściami i ich kontrola przewencyjna), instytucjonalnej, technologicznej, dystrybucyjnej, a nawet odbiorczej.

Sytuacja ta trwała – z okresami naprzemiennego rozluźniania i nasilania partyjno-państwowej kontroli nad mediami – przez ponad czterdzieści lat. To dostatecznie długo, by w pełni dojrzało pokolenie dziennikarzy urodzonych po wojnie, którzy swoje życie zawodowe, a przede wszystkim myślenie o mediach, zachowania w realnym systemie komunikacji społecznej, wyobrażenia o tym, czym jest a czym powinno być dziennikarstwo kształtowali niemal wyłącznie na podstawie doświadczenia rzeczywistości PRL. Dodajmy, że nie było to pokolenie, które w pełni świadomie przeżyło okres stalinizmu: czas, w którym tzw. leninowski model prasy traktowano jako bezwzględnie obowiązujący. Wielu wszakże spośród tych, którzy uczyli ich zawodu, niekiedy wskazując sposoby prowadzenia gry

z opresywnym, narzuconym systemem (podjęcie takiej gry stało się wręcz osobliwą miarą i zawodowej, i po prostu ludzkiej, uczciwości), a niekiedy przymuszając do akceptacji tego systemu, miało w swojej biografii doświadczenie stalinizmu, a wcześniej wojny i lat tuż-powojennych, gdy usiłowano w minimalnym choćby zakresie przywrócić pluralistyczny model prasy z okresu międzywojennego.

Spora grupa „mistrzów” dziennikarstwa prawdziwe kariery rozpoczęła na fali przełomu październikowego. Trudno się zatem dziwić, że w 1980 i 1981 roku próbowali oni myśleć o sytuacji w kraju i w mediach, dokonując – nawet nieświadomych – analogii z Październikiem, które były o tyle trafne, o ile uwzględniały zewnętrzne uwarunkowania „polskiej rewolucji”. Zarówno w 1956, jak w 1980 roku rewolucja ta nie mogła przynieść oczekiwanych efektów, gdyż system dyktatury komunistycznej w tej części Europy (choć z pewnością o wiele słabszy niż ćwierć wieku wcześniej i poddany o wiele silniejszej presji Zachodu) dysponował dostatecznymi instrumentami, by nie dopuścić do stałej zmiany w podporządkowanych monopolowi mediach. Cenzura – jako narzędzie utrzymywania tego monopolu – była, podobnie jak znaczna część aparatu partyjnego i państwowego, zdezorientowana, działała chaotycznie (np. różne delegatury UKPPIW rozmaicie interpretowały te same „zapisy” i to, co nie mogło ukazać się np. w Krakowie, ukazywało się w Białymstoku lub odwrotnie), jednak przecież nie znikła. W połowie 1981 roku Biuro Zarządu RSW próbowało także manipulować przydziałami papieru dla dzienników i czasopism szczególnie zaangażowanych politycznie, by zmniejszyć ich nakłady.

Prasa, aczkolwiek działająca w warunkach monopolu partyjnego wydawnictwa RSW, które kontrolowało również systemy jej dystrybucji, w okresie nazywanym niekiedy „festiwalem »Solidarność«”, okazywała się najaktywniejszym ogniwem zmiany: co najciekawsze – to środowiska dziennikarzy prasowych, związanych etatowo (a więc teoretycznie ryzykujących zawodowo najwięcej) z dziennikami – organami PZPR inicjowały w pierwszych tygodniach strajków w sierpniu 1980 ruch mający doprowadzić do przywrócenia realnego sensu gwarantowanej przecież konstytucją wolności słowa. Przykład „Gazety Południowej” (właśnie w tamtym okresie powrócono do historycznej nazwy „Gazeta Krakowska”) jest tu symboliczny, niemniej bardzo podobnie rzecz wyglądała na prowincji – środowisko dziennikarzy białostockich, związanych z partyjną „Gazetą Współczesną” i rozgłośnią Polskiego Radia w tym mieście było pierwszym, które zaapelowało do dziennikarzy w całym kraju o poparcie dla strajków na Wybrzeżu. Dziś pojawia się wyraźna skłonność, by zjawiska te bagatelizować lub też wiązać z aktywnością Służby Bezpieczeństwa, która miałyby celowo radykalizować środowiska dziennikarskie, zresztą i tak nieustannie, bardzo intensywnie inwigilowane przez całe czterdziestolecie PRL.

3.

Inną, nie do końca uświadamianą do dziś, różnicą między przełomem październikowym a Sierpniem 1980 była obecność w systemie medialnym PRL telewizji. Siłę tego medium władza wykorzystała z całą perfidią w 1968 roku; w latach 70. telewizja była oczkiem w gło-

wie rządzących (w końcu to za sprawą rządzącej PZPR medium to zjawilo się w Polsce). Dokonano bardzo poważnej technologicznej modernizacji tego medium (w 1970 zaczął nadawać drugi program, od połowy roku następnego dostępny stał się sygnał telewizji kolorowej w systemie SECAM – obowiązującym we wszystkich krajach bloku sowieckiego, przez co dostępność produkcji zachodnich, realizowanych w systemach PAL czy NTSC była ograniczona praktycznie do zera, a ewentualne przekodowywanie sygnału możliwe wyłącznie w warunkach profesjonalnych). Telewizja była o wiele skuteczniejszym narzędziem oddziaływania propagandowego niż prasa – już choćby dlatego, że dostarczając rozrywki, budowała swoją – jeśli nawet nie całkowicie – wiarygodność, to co najmniej istotną pozycję w systemie komunikacji społecznej PRL. Dostrzeganie kłamstwa przekazu telewizyjnego wcale nie pociągało za sobą odrzucenia medium traktowanego jako „okno” na lepszy, wyższy, świąteczny świat. W odróżnieniu od oficjalnego przekazu drukowanego, który od 1976 posiadał istotną alternatywę w postaci tzw. drugiego obiegu, zwalczanego przez władze równie intensywnie co bezskutecznie, partyjno-państwowa telewizja była jedynym medium audiowizualnym dostępnym powszechnie niosącym zarówno reglamentowaną i zmanipulowaną informację, jak też rozrywkę. Telewizja PRL, doskonale wpisująca się w model „paleotelewizji”, z jej patetycznym i paternalistycznym tonem, „świątecznym” stylem nadawania i zrytualizowanym stylem odbioru, całkowicie podporządkowana systemowi i manipulacyjnym intencjom władzy była jednak medium akceptowanym. Nurt rozrywkowy i edukacyjny służył uwiarygodnieniu nurtu informacji politycznej, przez co nawet ten telewizyjny, który nie wierzył „Trybunie Ludu” czy „Żołnierzowi Wolności”, poszukiwał gorączkowo w radioodbiorniku „Wolnej Europy” czy „Głosu Waszyngtonu” i ukradkiem czytał wydawnictwa nielegalne, nie umiał zrezygnować z kontaktu z telewizją. Nie miało większego znaczenia, czy był robotnikiem, urzędnikiem czy inteligentem; oglądanie Teatru Telewizji, Kabaretu Starszych Panów, a nawet transmisji z festiwali w Sopocie, Opolu, Kołobrzegu czy Zielonej Górze wcale nie kłóciło się z lekturą przemyconych zeszytów „Kultury” paryskiej czy odbijanych na powielaczu nowych utworów wykluczonych przez władze pisarzy. W polskiej telewizji nie istniało jeszcze zjawisko infotainment: przekazy rozrywkowe, edukacyjne i informacyjno-propagandowe były wyraźnie od siebie oddzielone i koegzystowały w telewizyjnym strumieniu, oddziałując na siebie i na generalny stosunek odbiorcy do medium. Dziś dostrzegamy w tym specyficzną schizofrenię – wtedy nie była ona czymś wyraźnym, a co najważniejsze: dolegliwym. Z badań dzisiejszych wynika, że ok. 53 proc. Polaków przed 1989 rokiem słuchało zagranicznych radiostacji polskojęzycznych, a 32 proc. czytało krajowe wydawnictwa pozadebitowe i emigracyjne – z czego tylko 5 proc. regularnie; mniej więcej tyle samo (36 proc.) uważało się za zdecydowanych przeciwników ówczesnego ustroju.⁵

Stosunek Polaków do alternatywnych źródeł informacji i opinii dobrze ilustrują żądania – wyrażane w krótkich okresach „odwilży” – by władze zaprzestały

⁵ Niektóre opozycyjne doświadczenia Polaków przed 1989 rokiem. *Komunikat z badań*, CBOS, luty 2009.

zagłuszania polskojęzycznych stacji zachodnich. Wyrażało się w tym przekonanie, iż źródła rzetelnej informacji o sytuacji w kraju i na świecie istnieją „na zewnątrz”, poza systemem. „Poza systemem”, a więc na Zachodzie, miały także – i to wcale nie tylko w potocznym mniemaniu – istnieć niedościgłe wzorce dziennikarstwa rzetelnego i uczciwego, a także media spełniające bez zastrzeżeń wymagania stawiane „czwartej władzy”. Sygnałem dobrej woli PZPR, a więc ocenianym pozytywnie, byłoby już zatem samo wyłączenie stacji zagłuszających zagraniczne radiostacje, czyli tym samym ich „legalizacja”! Był to niewątpliwie desperacki akt wyznania niewiary, iż tu, w kraju, zbudowanie własnych rzetelnych mediów jest niemożliwe, więc to, co jest, należy tylko uzupełnić o legalną alternatywę. Zachowanie takie i takie minimalistyczne postulaty można określić za Piotrem Sztompką jako „eksternalizację zaufania”, jeden z jego „funkcjonalnych substytutów”⁶. Zjawisko to jest ważne dla zrozumienia natury przełomu medialnego w 1989 roku, a zwłaszcza jego – mówiąc za Irzykowskim – „plagiatości”.

Ranga, jaką telewizja miała dla ekipy Edwarda Gierka, była z jednej strony potwierdzana nieproporcjonalnie wysokimi – w porównaniu do sytuacji w prasie, a nawet w radiu – przywilejami i gratyfikacjami finansowymi dla dziennikarzy telewizyjnych i wszystkich twórców pracujących dla telewizji. Trudno byłoby znaleźć wśród czołówki polskich artystów tamtych, a zapewne i obecnych, czasów tych, którzy z ideowych powodów odrzucali propozycje współpracy z telewizją Włodzimierza Sokorskiego czy Macieja Szczepańskiego, dzięki czemu instytucja ta uwiarygodniała się w oczach odbiorców. Praca dla telewizji była prestiżem i źródłem poważnych profitów – jednak od dziennikarzy telewizyjnych wymagano absolutnego posłuszeństwa, tworząc w ten sposób kadrę wysoko opłacanych najemników. W odróżnieniu od przekazu prasowego, a nawet radiowego wytworzenie programu telewizyjnego jest kosztowne i zarządzający różnymi redakcjami telewizji nie chcieli wydawać pieniędzy na produkcje, które budziłyby zastrzeżenia polityczne lub w ogóle nie dopuszczono by ich do emisji. Nie znaczy to, że w telewizji czasów PRL nie powstawały wartościowe programy dokumentalne czy publicystyczne, niemniej dopuszczenie ich do emisji wymagało od autorów rozmaitych koncesji i ustępstw wobec nacisków politycznych i cenzury, działającej już na etapie realizacji i później w czasie kolaudacji.

Telewizja, centralnie finansowana i niekorzystająca z reklamy (formy tzw. klipu reklamowego praktycznie nie było – wprowadzono ją, bardzo nieśmiało, w późnych latach 80., wraz z reformami zmierzającymi do urynkwienia gospodarki) sama była producentem wszystkich programów (nie istniał system produkcji zewnętrznej), zaś zakupami filmów, umowami kooperacyjnymi i dystrybucją programów, a także kwestiami technicznymi zajmowała się wewnętrzna firma Polkomtel (powołana w 1974 roku). Tym samym kierownictwo tego medium ponosiło całkowitą, przede wszystkim polityczną odpowiedzialność za decyzje programowe, w związku z tym chętnie zdawało się tu na zewnątrzsterowność. Wytwarzała się w ten sposób układ absolutnie inercyjny,

w żaden sposób niepowiązany z realiami rynkowymi. W drugiej połowie lat 70. telewizja, wraz z „Trybuną Ludu” i wojewódzkimi gazetami partyjnymi stała się symbolem „propagandy sukcesu”, choć trudno byłoby dziś ocenić jednoznacznie rozmiar społecznej niechęci do oficjalnych mediów, a co za tym idzie – do ludzi mediów. Telewizja nawet w tej postaci, jaką pamiętamy z czasów PRL, miała wielką siłę kreującą i wyznaczającą miary popularności. Ci, którzy uchodzili za celebrytów czasów PRL, musieli pokazywać się w telewizji: to jej zawdzięczali sławę – a ona korzystała z ich sławy. Mechanizmy takiej symbiozy były więc dokładnie takie same jak dziś, z tą wszakże różnicą, że udziału w kreowaniu sław nie miały pisma plotkarskie i tabloidy, gdyż ich wówczas na polskim rynku nie było. Więcej: w oficjalnej propagandzie przedstawiano je – a najbardziej negatywnym bohaterem był tu „Bild” Springera – jako dowód degeneracji burżuazyjnej prasy i zachodniego dziennikarstwa.

4.

Rzeczywistego wpływu przekazów medialnych na Polaków obraz świata i na ich sąd o mediach w latach 60. i 70. nie można ocenić, gdyż metod analiz jakościowych praktycznie nie stosowano, zresztą zupełnie słusznie; w warunkach państwa niedemokratycznego mijają się one z celem. Niewiele też wnoszą oficjalne statystyki nakładów i dystrybucji prasy, gdyż były one oparte na danych zafałszowanych lub niepełnych. Jeszcze gorzej wygląda to w przypadku mediów audio-wizualnych; do 1989 roku nie stosowano w zasadzie żadnych – na Zachodzie bardzo już zaawansowanych – technik monitorowania widowni. Rynek mediów w PRL był rynkiem zinstytucjonalizowanego i wyspecjalizowanego, poddanego ideologicznej presji i politycznej kontroli nadawcy, który w rzeczywistości nie musiał się liczyć z opiniami odbiorców.

Nie dysponujemy również tekstami „drugiego poziomu”⁷, które mogłyby stanowić przekonujące źródło w opisie realnego oddziaływania prasy, radia i telewizji na odbiorców. Ośrodek Badań i Opinii Publicznej, który powstał w atmosferze popaździernikowego „otwarcia” mediów przy Biurze Listów Komitetu ds. Radia, a potem był wyspecjalizowaną strukturą Telewizji Polskiej, nie prowadził badań ukierunkowanych na odbiór programu, zaś napływające od widzów listy (często o charakterze skarg czy donosów) traktowano raczej jako sondaż ogólnej atmosfery społecznej, niekiedy jako inspirację jakiejś reporterskiej czy publicystycznej akcji⁸. Nie istniała profesjonalna krytyka telewizyjna – zresztą poza pismami fachowymi, takimi jak „Przekazy i Opinie” czy „Zeszyty Prasoznawcze” trudno by znaleźć teksty dziennikarskie poświęcone mediom: skoro media te stanowiły część systemu władzy i były jej narzędziem, znajdowały się poza zasięgiem oficjalnych ocen. Z drugiej strony badacze mediów wykazywali bardzo wysoką świadomość metodologiczną, gdy

⁷ „Tekst drugiego stopnia” określam tu za J. Fiske, *Television Culture: Popular Pleasures and Politics*, London 1999 (VI wyd.), s. 117 i n.

⁸ Wyjątkiem są badania przeprowadzone przez krakowski Ośrodek Badań Prasoznawczych w gorącej atmosferze roku 1981; ich wyniki nie były jednak publikowane przez wiele lat i wydano je dopiero po przeszło ćwierćwieczu: W. Pisarek (red.), *Raport o stanie komunikacji społecznej w Polsce (sierpień 1980 – 13 grudnia 1981)* Kraków: 2007.

⁶ P. Sztompka, *Zaufanie. Fundament społeczeństwa*, Kraków 2007, s. 329.

mowa o badaniu sposobu korzystania z mediów przez odbiorcę, o czym świadczą publikowane w fachowej prasie rezultaty sondaży⁹. Co ciekawe – w wielkim dorobku publicystycznym zawartym w prasie podziemnej nie sposób potwierdzić, że sprawa mediów należała do szczególnie często analizowanych. Autorzy zajmujący się projektowaniem politycznego ustroju przyszłej Polski dostrzegali wprawdzie znaczenie wolnych mediów dla demokracji, niemniej nie rozwijali tych myśli szerzej. Chodziło raczej o „wolność od” (cenzury, politycznych zależności) niż „wolność do”. Nie zajmowano się np. strukturą własnościową mediów i źródłami ich finansowania, gdyby miały stać się rzeczywiście „wolne”, pomijając tę okoliczność, że media są przede wszystkim przedsiębiorstwami ukierunkowanymi nie tyle na szlachetne cele i misję obywatelską – ile osiągnięcie zysku. Pobrzmiewały w tych artykułach echa zgoła dziewiętnastowieczne, pozytywistyczne; niechęć do sięgania po doświadczenia czasowo bliższe zaskakuje, gdyż w dwudziestoleciu międzywojennym polski rynek ówczesnie dostępnych mediów miał wybitnie kapitalistyczny charakter i dystans dzielący go od mediów zachodnich nie był wcale aż tak duży, jak można by z pozoru sądzić.

Doświadczenie lat 1918-39 nie było w polskiej świadomości dostatecznie silne, prawdopodobnie zartarte przez propagandę PRL przedstawiającą ten okres jako „czasy ciemne”. Biała legenda, ufundowana w XIX wieku, czyniąca bohaterem spontanicznie formujące się wspólnoty Polaków pragnących ojczystego słowa, względnie wzorce konspiracyjnej prasy okupacyjnej okazywały się przy formułowaniu projektów „wolnych mediów” silniejsze od pojmowania ich w reżimach wolnego rynku i reguł kapitalistycznej gospodarki. Jeśli odwoływano się do modelu „wolnych mediów” zachodnich, było to raczej odwołanie się do ich nieco zmitologizowanej postaci – z pominięciem logiki procesu ich stopniowego, ewolucyjnego formowania się, nieprzebiegającego bynajmniej „skokowo”. Wydawało się, że podstawowym problemem jest zniesienie cenzury oraz wolny dostęp do telewizji – spełnienie tych postulatów miało niejako automatycznie stworzyć nową strukturę medialną w Polsce. Ta nowa struktura miała kształt nader mglisty i jej projektowanie nie uwzględniało – gdyż z wielu względów nie mogło – np. zależności między zmiennymi nastrojami społecznymi (które musiały ulec gwałtownym zmianom w przypadku raptownego „przeestrojenia” systemowego) a stosunkiem do mediów i ich przekazu rzeczywistości, a także wyniesionych z systemu PRL nawyk—wkorzystania z takich przekaz—w, w tym wysokiego stopnia nieidentyfikowania się z nurtem informacyjnym i publicystycznym przy stosunkowo wysokiej roli nurtu rozrywkowego. Tymczasem w wyjątkowym jak na czasy PRL artykule omawiającym związki między przekazem mediów a nastrojami społecznymi autorzy związani z OBP w Krakowie zauważali, iż środki komunikowania masowego „jako główne kanały formalnego układu komunikowania społecznego są tylko jednym z wielu i wcale nie najważniejszym czynni-

kiem kształtowania opinii i nastrojów”¹⁰. Wiara, iż wolne społeczeństwo niejako samo wykreuje najbardziej odpowiedzialną mu, czyli „własną”, media była zdumiewająco mocna i to ona zaważyła na sytuacji, jaka powstała bezpośrednio po transformacji w 1989 roku.

5.

Zanim ona nastąpiła – poprzedziła ją dziesięć dekada, w której władza usiłowała na każdym kroku przypominać społeczeństwu, że media są „jej” i że rządzeni nie mają prawa do niekoncesjonowanych przez rządzących środków komunikowania (zewnątrznym tego przejawem była militaryzacja telewizji i radia zaraz po wprowadzeniu stanu wojennego). Z kolei rządzeni uświadamiali władzy swoją wolę albo przez bojkot mediów oficjalnych, albo wręcz przez niemożliwy do powstrzymania, nawet siłą i represjami, niezależny ruch wydawniczy. Jest to okres, w którym uformowało się bardzo trwałe przekonanie, że wszelkie komunikowanie „niezależne” (czytaj: pełne, obiektywne i rzetelne) jest komunikowaniem opozycyjnym wobec władzy i że nie może być wbudowane w system ustrojowy. Postawienie znaku równości między niezależnością mediów a ich „partyzanckim” i nacechowanym postawą oporu charakterem jest – paradoksalnie – produktem czasów komunistycznej dyktatury, stanowiąc zarazem granicę między nią a systemem demokracji pojmowanej nie tyle realnie, ile idealizująco.

Jest to zarazem okres, w którym dochodzi do silnego spolaryzowania środowiska dziennikarskiego – podobnie jak innych środowisk twórczych. Akcja weryfikacji dziennikarzy, rozwiązanie SDP, próby likwidowania pism oficjalnych, lecz będących nie na rękę władzom tworzą ostre podziały na „swoich” i „obcych”, „nieugiętych” i „kolaborantów”. Część dziennikarzy przechodzi do pism podziemnych, część w ogóle rezygnuje z zawodu, jeszcze inni udają się na emigrację, a są też i tacy, którzy próbują, pozostawszy w mediach legalnych, prowadzić z władzą grę podobną do tej, jaka prowadzili wcześniej.

Trzeba pamiętać, że zakres takiej gry wyznaczały (prócz innych, bardziej czytelnych czynników) również właściwości medium, z jakim dziennikarze ci byli związani. Była ona łatwiejsza w dziennikach i czasopiśmie, o wiele trudniej prowadziło się ją w radiu, a zwłaszcza w telewizji, gdzie wszystkie aluzje, półtony, metafory i symbolizacje jeśli nawet były teoretycznie możliwe – to odczytywali je jedynie przygotowani, doświadczeni odbiorcy. W prasie podziemnej stosowanie takich kodów było zbędne i odczytywano je jako naleciałość autocenzury, stąd też ton publicystyki, szczególnie polemicznej, stawał się pełen agresji i zaciekłości. Po stronie oficjalnej odpowiadano w podobny sposób, jednak z reguły nie atakowano „swoich”, co sprzyjało swoistej „gettoizacji” postaw i stylów publicystycznych. Nie był to jednak produkt atmosfery społecznej po 13 grudnia 1981 roku: ten sposób uprawiania dziennikarstwa opinii zaczęto wprowadzać mniej więcej od tzw. incydentu bydgoskiego (marzec 1981), a nasilił się on w okresie poprzedzającym IX Nadzwyczajny Zjazd PZPR i w jego trakcie (lipiec 1981), po-

⁹ Por. J. Mikułowski Pomorski, *Polskie badania czytelnictwa prasy*, w tegoż: *Zmieniający się świat mediów*, Kraków 2008, s. 45 i n.; tenże, *Obraz kryzysu komunikowania masowego PRL odczytany po ćwierci wieku*, w: *Raport o stanie komunikacji społecznej w Polsce...*, s. 5 i n.

¹⁰ W. Pisarek, T. Goban-Klas, J. Mikułowski Pomorski, Z. Nęcki, *Rola prasy, radia i telewizji w formowaniu się nastrojów społecznych*, „Zeszyty Prasoznawcze” 1980, nr 2, s. 30.

tem zaś zjazd „Solidarności” – co zresztą odpowiadało radykalizacji społecznych nastrojów w kraju, a także coraz wyraźniejszej polaryzacji zarówno w kręgach władzy, jak też opozycji. Sprzyjało to stylowi zdecydowanie populistycznemu, agresywnemu, językowi wojny, a nie rzeczowemu, wyważonemu dyskursowi politycznemu. Zaznacza się on zwłaszcza w tygodniku „Rzeczywistość” (wychodził od maja 1981), ale obecny jest niemal wszędzie – od prasy, poprzez mityngi polityczne po mury.

Ten rodzaj publicystyki, agresywnej i brutalnej, zaciera wszystkie bardziej subtelne różnice polityczne i światopoglądowe, niuanse programowe tnąc świat według linii najprostszycy, dzielących „naszych” od „wrogów”. Takie cięcia sprzyjają restytucji mitu pierwotnej niewinności – w związku z czym muszą odwoływać od innych pierwotnych wyobrażeń: narodu, klasy, wreszcie rudymetów wiary katolickiej. Ma to być odpowiednik „głosu ludu”, zdradzonego przez elity, skłonne do aprobaty rozmaitych odmian „polilogu”, a więc przysłowiowego „dzielenia włosa na czworo”. Wielogłosowość, a zatem tolerancyjność zostaje utożsamiona ze zdradą rewolucji, której koszt jest już nieistotny. Powtarza się mechanizm znany z każdej irredenty: wszelka polityka cuchnie zdradą, wszelki kompromis jest tchórzostwem. Mechanizm ten działa w 1981 roku, a w latach osiemdziesiątych nasila się, ogarniając przede wszystkim elity; społeczeństwo natomiast staje na progu anomii, od którego odsunąć je może wyłącznie potężny wstrząs. Zapewne – bardzo podobny ton znaleźć można w oficjalnej propagandzie w 1968 roku, niemniej był on „przefiltrowany” przez majestatyczny, monumentalny styl – wczesnej telewizji i przypominał raczej wymowę haseł antyzachodnich i antyburżuazyjnych z lat pięćdziesiątych. Retoryka ataków na „Solidarności” i odwrotnie – ataków na system komunistyczny miała w sobie wiele z patosu i pustostawia całego dyskursu publicznego w PRL, zakładając, że w ogóle dyskurs taki rzeczywiście istniał. Jednak w prasie podziemnej pojawia się – zwłaszcza w od połowy lat 80. – ton nowy, bliższy happeningom Pomarańczowej Alternatywy: drwiny, absurdu, paradii. Odpowiada on lepiej uczuciu zmęczenia polityką, wyczerpania się dramatycznych form oporu niż patetyczny ton wielu publikacji opozycyjnych. Odpowiada światopoglądowi pokolenia dojrzewającego w latach 80.; zawiera w sobie jednak niepokojący sygnał: cała polityka jest obszarem surrealistu i groteski, obiektem szyderstwa, od którego należy się dystansować – sztydząc z niej. Jest to zarazem głos rozsądku i wyraz swoistego instynktu samozachowawczego, ucieczka od coraz bardziej pustych patetycznych gestów¹¹. Zwiększa on dystans wobec sfery politycznej i jest jednym z wielu przejawów zachowań eskapistycznych, zapoczątkowanych przez tzw. emigrację wewnętrzną z początku lat 80. poprzez pomysły „wyprowadzenia polskiej kultury na emigrację”, aż po dystans, ironię i kpinę, które miały być remedium na wyczerpanie semiotyk oporu i buntu w życiu społecznym.

¹¹ W odniesieniu do literatury istotność tego nowego, ironicznego, tonu wydaje się bardziej oczywista; por. np. *Czy stan wojenny był klęską polskiej literatury? Cezary Michalski rozmawia z Tomaszem Burkiem, Dariuszem Nowackim i Maciejem Urbanowskim*, „Dziennik – Europa”, 6. 12. 2006.

6.

Jadwiga Staniszkis w swoich diagnozach zjawisk społecznych i gospodarczych zachodzących w Polsce po 1989 roku posługuje się zręcznym określeniem „kapitalizm wstrzelony”.¹² Najogólniej mówiąc: struktura dojrzalego, uformowanego rynku kapitalistycznego została w sposób szokowy narzucona na struktury społeczeństwa kompletnie na taką operację nieprzygotowanego, rozbitego, stojącego, jak wspomniałem, na progu anomii i zubożenia. Rezultat Okrągłego Stołu mógł zadziałać jak potężny zastrzyk optymizmu i nadziei, co uwidoczniło się w wynikach pierwszych wyborów, wprawdzie kontrolowanych jeszcze przez władzę, niemniej różniących się od poprzednich, rytualnych głosowań, poziomem zdemokratyzowania. Miażdżącą przewagę w obu izbach parlamentu odniosły ugrupowania „wokółsolidarnościowe”, opozycyjne. Pamiętać jednak trzeba, że frekwencja wyniosła wówczas w pierwszej turze 62 proc., a w drugiej zaledwie 25 proc. (w wyborach do sejmu i senatu w 1991 roku, w pełni już demokratycznych, wzięło udział ok. 43 proc. uprawnionych). Nie świadczyło to o masowym poparciu zmiany, a raczej o nieufności do niej i niewierze w szanse powodzenia. Wskaźniki frekwencji w kolejnych wyborach rzadko przekraczały 50 proc. (w 2007 było to 54 proc., jednak w 2005 zaledwie 41 proc.), co może świadczyć, że blisko połowa dorosłych Polaków nie była zainteresowana udziałem w polityce nawet na najbardziej elementarnym poziomie – jednak nie świadczy, że nie interesowała się nią w ogóle. Było to zainteresowanie kibica, a raczej obserwatora lub gapia, który ogląda widowisko zainteresowany tym, co rozgrywa się na jego oczach – niekoniecznie zaś finałem spektaklu i niejako nie zwracając uwagi na tę okoliczność, że nawet nie biorąc w nim udziału, a nawet podkreślając swoje doń zdystansowanie i tak jest jednym z jego aktorów. Milcząca połowa obywateli tworzyła w ciągu minionych dwudziestu lat przestrzeń ścierania się różnorodnych sił i wpływów – przestrzeń, o której zawłaszczanie zabiegały chętnie media.

Zjawisko, nazwane w tytule tego artykułu „plagiatowością” przełomu, dotyczyło zarówno mediamorfozy, jak też journalomorfozy. System mediów w Polsce – podobnie jak w innych krajach postkomunistycznych – w 1989 roku został wprawdzie uwolniony z uścisku państwowo-partyjnej kontroli i nożyc cenzorskich, jednak (choć sytuacja polska była w pewien sposób szczególna ze względu na wyjątkowo silny nurt dziennikarstwa podziemnego) w bardzo niewielkim stopniu zarysował się oryginalny pomysł na to, jak mają wyglądać owe wolne, służące społeczeństwu i stanowiące gwarancję demokratycznego ustroju media.

Można – oczywiście znacznie upraszczając – powiedzieć, że zbyt późno uświadomiono sobie, że wprawdzie media i ich dziennikarze gwarantują istnienie przestrzeni publicznej debaty, kontrolując władzę i nie dopuszczając do jej nadużywania, niemniej są przedsiębiorstwami nastawionymi na osiągnięcie z prowadzonej działalności istotnych korzyści. Jako kapitalistyczne przedsiębiorstwa funkcjonują na konkurencyjnym rynku i zabieganie o względy czytelników, słuchaczy i widzów jest ich powinnością, a nie „wypaczeniem”. Posługiwanie się w tej walce towarzyszącymi życiu polityczne-

¹² Por. J. Staniszkis, *Władza globalizacji*, Warszawa 2003.

mu stereotypami, schematami, emocjami publiczności – a raczej chęć ich zawłaszczenia nie służy już, jak w ustroju dyktatorskim, propagandzie. Jest częścią gry o możliwie największy sektor rynku, a co za tym idzie – zyski ekonomiczne.

Demokratyczna władza, konstytuująca się w Polsce po 1989 roku, okazała się wobec problemu media-morfozy niemal całkowicie bezradna. Można odnieść wrażenie, że zdano się tu z jednej strony na żywioł, ufając że samo uwolnienie mediów będzie dostatecznie silnym bodźcem dla powstania nowego ich systemu, co dowodzi paraliżującej w gruncie rzeczy wiary w idealistyczne koncepcje „społeczności obywateli”, wyrażane w publicystyce podziemnej. Z drugiej strony w zasadzie bez większego sprzeciwu otwarto polski rynek mediów dla dużych graczy zagranicznych wtedy, gdy okazało się, iż sama dobra wola aktywnej części obywateli nie wystarczy, by zbudować media zdolne samodzielnie funkcjonować w zmienionej rzeczywistości. Widać to zwłaszcza w sektorze prasowym, gdzie z pozoru nie trzeba było wielkich nakładów, by prowadzić, jeśli nawet nie ogólnopolski dziennik, to lokalny periodyk. Wielka liczba pism zgłoszonych do rejestracji po 1989 roku oddaje wprawdzie zapal różnych kręgów społecznych do uprawiania komunikacji medialnej – do tej pory kontrolowanej i reglamentowanej przez władze – niemniej trzeba brać pod uwagę, ile spośród tych projektów udało się utrzymać na rynku samodzielnie, ile przeszło w ręce dużych firm krajowych, ile przejęli (w rozmaity sposób) wydawcy zagraniczni, a ile po prostu upadło po ukazaniu się zaledwie kilku, kilkunastu numerów. Początek ostatniej dekady XX wieku jest zarazem początkiem gwałtownego załamania się rynku prasowego – w Polsce opisanego dość gruntownie. Mechanizm tego spadku nie daje się tłumaczyć wyłącznie raptowną „depolityzacją” publiczności czytającej, choć czynnika tego nie wolno lekceważyć. Znaczna część przyczyn regresu tkwi w zmieniającej się specyfice rynku medialnego na Zachodzie; w momencie zniesienia polityczno-strukturalnych różnic między tym rynkiem a rynkiem „odzyskanych” dla zachodnich demokracji krajów dawnego bloku sowieckiego, wspomniany regres musiał się uwidocznić również na tych „nowych” obszarach. Siłą rzeczy media i ich publiczność na tych obszarach przechodziły „kryzys” wywołany przez zjawiska, których w istocie rzeczy same nie zdążyły jeszcze doświadczyć. Był to kryzys „importowany”, a nie wywołany czynnikami lokalnymi.

W 1989 roku po prostu nikt nie miał pomysłu na funkcjonowanie mediów w realiach transformacji ustrojowej i gospodarczej, która – zwłaszcza po rozpoczęciu realizacji tzw. programu Balcerowicza – okazała się procesem wymagającym poważnych społecznych ofiar. Zaufanie, jakim społeczeństwo obdarzyło nowy system i ludzi, którzy podjęli się wcielenia go w życie, zamieniało się w narastający dystans wobec polityki w ogóle, a wobec polityki prezentowanej w mediach w szczególności. Podobnie jak w ekonomii, tak w sferze mediów, zaczęto powierzać bieg rzeczy „niewidzialnej ręce rynku” w myśl bezkrytycznie akceptowanych liberalnych dogmatów Jeffreya Sachsa, co z jednej strony dawało wymierne korzyści ekonomiczne, z drugiej budziło społeczne niepokoje. Zarówno

w sferze kultury, nauki jak mediów pozostawienie ich grze rynkowej tylko i pozbawienie koniecznego parasola ochronnego mogło przynieść przewagę strat nad zyskami.

Przekształcenia mediów po 1989 roku, chociaż starano się je ujmować w ramy prawne, miały charakter chaotyczny, dowodzący bezradności ustawodawcy wobec zmieniającej się rzeczywistości. Przykładem takiego legislacyjnego chaosu jest proces likwidacji prasowego i kolportażowego monopolisty, RSW Prasa-Książka-Ruch. Ustanowienie Komisji Likwidacyjnej w gigantycznym koncernie, będącym symbolem partyjnego dyktatu w sferze mediów drukowanych i proces przekształcania poszczególnych pism w spółdzielnie pracownicze (z których większość nie była w stanie utrzymać tytułów ze względów finansowych, co od początku było do przewidzenia) do dziś budzi wątpliwości natury prawnej, zwłaszcza że niektóre pisma i dzienniki niemal natychmiast przechodziły w ręce inwestorów zagranicznych (w tej fazie głównie Hersanta), zaś Komisja Likwidacyjna bezpartonowo ingerowała także politycznie w linię programową nowopowstałych „spółdzielni dziennikarskich”. „Uspołecznienie” mediów drukowanych było więc czystą teorią, a raczej przykrywką dla komercjalizacji, dla której zresztą nie istniała żadna rozsądna alternatywa.

Przejmowano zatem bez wahania rozwiązania istniejące na Zachodzie, co oznaczało zarazem przejęcie efektu trwających co najmniej od dwustu lat procesów tworzenia się tam sfery dyskursu publicznego i społeczeństwa obywatelskiego. Rozwiązania systemowe odpowiadające poziomowi rozwoju społeczeństw zachodnich w 1989 roku próbowano „wszczepić” w społeczeństwo, które dopiero zaczynało doświadczać systemu wolnorynkowego i demokracji, zaś przestrzeń dyskursu publicznego prowadzonego otwarcie i oficjalnie była dla tego społeczeństwa wartością raczej egzotyczną. „Wolne media”, stanowiące „czwartą władzę” w systemach demokratycznych niemal natychmiast utożsamiono z mediami nastawionymi niechętnie i krytycznie wobec pozostałych „władz”. Legitymizacja tej wolności, a nawet obiektywizmu, miała być zależna od stosunku, jaki media demonstrują wobec władzy. Jeśli były wobec niej nastawione nawet nie zdecydowanie pozytywnie, to przynajmniej zachęcały do zaufania – zyskiwały miano nieobiektywnych i „upartyjnionych”. Obiektywizm natomiast dostrzegano tam, gdzie media wyraźnie opowiadały się po stronie opozycji lub też przyjmowały postawę drwiącego, ironizującego obserwatora, zdystansowanego wobec całej polityki i polityków.

Jeśli społeczeństwo obywatelskie rzeczywiście jest swoistą „poduszką powietrzną”, „buforem” między społeczeństwem a nigdy nie dość doskonałym państwem¹³ – to media masowe w krajach postkomunistycznych miały wielką szansę uczestniczyć w budowaniu takiego „bufora”. Więcej: po 1989 roku badacze mediów – także na Zachodzie – mieli niepowtarzalną okazję opisaną skomplikowanych procesów media-morfozy towarzyszącej przejściu od dyktatury do ustroju demokratycznego. Okazji tej jednak nie wykorzystano głównie dlatego, że owa media-morfoza dokonywała

¹³ S. Mocek, *Media a społeczeństwo obywatelskie: od teorii do praktyki*, „Global Media Journal – Polish Edition” 2007, nr 1 (3).

się poprzez plagiowanie istniejących już systemów medialnych nie tylko z ich zaletami, ale również z ich oczywistymi wadami. Gdyby tych wad nie było, nigdy w medioznawstwie zachodnim nie doszłoby przecież do spektakularnego renesansu teorii krytycznej, ujawniającej nieznane dotąd aspekty „przemysłów medialnych” radykalnie zmieniających się pod wpływem procesów—wglobalizacji i ekspansji interaktywnych sieci komunikacyjnych.

Przejmowane wzory, nawet jeśli pochodziły z Europy Zachodniej, w gruncie rzeczy były wzorami mediów w USA i dziennikarstwa amerykańskiego, co wynikało z logiki transformacji mediów europejskich po drugiej wojnie światowej. Oczywiście, że między systemami medialnymi USA i Europy Zachodniej istnieją poważne różnice, które znajdują swoje uzasadnienie w odmienności społeczeństw i dróg ich kształtowania się aż do dzisiejszych czasów. Systemy mediów, mówiąc najkrócej, „obsługują” społeczeństwa i ustroje polityczne takie, jakimi one są realnie, nie zaś takie, jakimi być powinny. Utrzymywanie tych różnic – coraz trudniejsze w dobie globalizacji – jest jednak cnotą, nie zaś wadą samych mediów. W Polsce pierwsze głosy ostrzegające o możliwych negatywnych konsekwencjach bezkrytycznej zgody na „implant” w postaci systemu medialnego zupełnie nieprzystającego do poziomu rozwoju polskiego społeczeństwa rozległy się dopiero pod koniec pierwszego dziesięciolecia transformacji (jest to zresztą moment istotnego ponownego załamania się rynku prasy codziennej i – nieco później – poważne przetasowania na rynku czasopism; towarzyszył temu zwrot odbiorców w stronę telewizji, zwłaszcza rozrywkowego segmentu jej oferty).

7.

Przez dwadzieścia lat, które upłynęły od transformacji ustrojowej, w Polsce ciągle nie powstało społeczeństwo obywatelskie, czyli nie powstał taki społeczny kontekst, w którym zachodni system medialny mógłby wykazywać swoją funkcjonalność. Owszem: już w połowie omawianego okresu stwierdzenie, iż polski sposób korzystania z mediów uległ „westernizacji” lub „europeizacji”¹⁴ mogło być prawdziwe, jednak te podobieństwa dotyczyły jedynie zachowań „powierzchniowych”, niewynikających wcale z rzeczywistego stanu społeczeństwa, lecz możliwych do wytłumaczenia jedynie tak, że korzystano z takich mediów, jakie znajdowały się w zasięgu. Trudno więc zgodzić się z optymizmem Tadeusza Kowalskiego, który w 2006 roku stwierdzał, że „w Polsce nie tylko ukształtował się rynkowy system mediów, ale ponadto jest to system rynku dojrzałego i konkurencyjnego, który stał się po prostu częścią europejskiego systemu mediów. Rynek dzienników i czasopism w Polsce, jakkolwiek ma pewne cechy specyficzne i narodowe, nie różni się istotnie od innych rynków rozwiniętych krajów europejskich”¹⁵. Skoro mechanizmy rynku medialnego zostały skopiowane z Zachodu i implantowane w Polsce (tak jak i w innych

krajach dawnego obozu sowieckiego) jako struktury gotowe – nie można ich oceniać inaczej jako „system dojrzały i konkurencyjny”, tyle że dojrzały w innych realiach społecznych. Sprawia też kłopot wskazanie, na czym polegać by miały „pewne cechy specyficzne i narodowe” tego systemu. Tradycji międzywojennej wszak nie kontynuowano, zaś wszystko, co związane było z czasami PRL, uchodziło wyłącznie jako negatywny punkt odniesienia. O specyficzności polskiego rynku mediów świadczyłby zatem brak pewnych jego relacji ze społecznym kontekstem i to relacji istotnych, gdyż stanowiących oparcie dla zachodniego systemu medialnego i utrzymujących homeostazę jego ponieważ przeciwstawnych biegunów: „misji” i rynkowości. Takie relacje możliwe są jedynie tam, gdzie istnieje społeczeństwo obywatelskie.

Stanisław Mocek wskazuje podobieństwa, jakie można zaobserwować między procesem wychodzenia z dyktatury w Hiszpanii po frankistowskiej i w Polsce po 1989 roku. Zwraca przy tym uwagę, że precyzyjne określenie poziomu, na jakim znajduje się budowa społeczeństwa obywatelskiego, utrudnia wielość definicji tego pojęcia (podobnie jak wielość definicji społeczeństwa informacyjnego). W Polsce – co sygnalizowałem wyżej – dochodzi do głosu jeszcze jedna istotna okoliczność:

„Zamęt pojęciowy z nim [tzn. z definiowaniem społeczeństwa obywatelskiego – ZB] związany w krajach, które przechodziły transformację ustrojową, jest tym większy, że model społeczeństwa obywatelskiego w okresie komunizmu (pod różnymi nazwami: »drugie społeczeństwo«, »społeczeństwo alternatywne«) stosowany był do ruchów społecznego i politycznego protestu przeciwko autorytarnej lub totalitarnej władzy. Takie rozumienie zasadniczo różni się od rozumienia społeczeństwa obywatelskiego, konstytuującego życie zbiorowe w demokracji”¹⁶.

Można przy tym zwrócić uwagę na inną płaszczyznę odniesienia: Niemcy po drugiej wojnie światowej oraz NRD po zjednoczeniu, gdzie sytuacja była odmienna niż np. w Czechosłowacji, Węgrzech, Bułgarii, a na pewno w Polsce. W zachodniej strefie okupacyjnej Niemiec alianci, w obawie przed restytucją nazizmu, zamrozili na pewien czas możliwość powstawania prasy niemieckiej, którą obciążano poważną częścią winy za zwycięstwo Hitlera w 1933 roku i narzucili administracyjnie rozwiązania typowe dla dziennikarstwa angloamerykańskiego (rozproszeniu uległa wówczas, wielka przecież, tradycja krytycznego dziennikarstwa niemieckiego, a także niemieckiej refleksji medioznawczej). W strefie zajętej przez ZSRR, z której utworzono NRD, obowiązywał – równie obcy – system mediów sowieckich. Po zjednoczeniu Niemiec w landach wschodnich po prostu zastąpiono istniejący tam system medialny rozwiązaniami zachodniemieckimi, silnie już zamerykanizowanymi, chociaż, co podkreślają badacze, nie dokonano się to bez oporu i pozostałości systemu sowieckiego dają się nadal zauważyć¹⁷.

Pytania o to, czy w Polsce po 1989 r. powstało społeczeństwo obywatelskie i czy istniały do tego korzystne warunki, nie sposób pominąć w refleksji

¹⁴ R. Filas, *Dziesięć lat przemian mediów masowych w Polsce (1989-1999). Propozycja periodyzacji*, „Zeszyty Prasoznawcze”, R. XLII (1999), nr 1-2, s. 55.

¹⁵ T. Kowalski, *W kierunku rynku. Zmiany w prasie codziennej na tle tendencji europejskich*, [w:] *Podstawowe czynniki przemian polskiego rynku prasowego w latach 1996-2006*, pod red. J. Kani, Poznań 2006, s. 8.

¹⁶ S. Mocek, op. cit.

¹⁷ Por. K. Williams, *Media w Europie*, tłum. A. Piwnicka, Warszawa 2008, ss. 55, 92-93;

o stanie polskich mediów dwadzieścia lat po transformacji ustrojowej. Warunkiem najważniejszym jest tu czynnik zaufania, powszechnie uznawanego za fundament demokratycznego ładu, a także świadczącego o poziomie kapitału społecznego¹⁸. Piotr Sztompka dostrzegając powszechność kryzysu zaufania stwierdza, że ze szczególną mocą ujawnia się on w społeczeństwach, które przeszły transformację i może wynikać ze związanej z nią traumy kulturowej¹⁹. Powstaje ona w rezultacie interioryzacji przez jednostki, grupy, a nawet całe społeczeństwo destrukcji dotychczas istniejących fundamentów ich funkcjonowania: instytucji, relacji z nimi, wypracowanych sposobów—wzachowania i interakcji, ocen itd. Wiąże się zatem z naruszeniem bezpieczeństwa ontologicznego²⁰; poczucie „braku oparcia” rodzące narastającą niepewność siebie samego i innych determinuje postrzeganie nie tylko rzeczywistości aktualnej i prognozy co do przyszłego biegu rzeczy, ale także oceny zdarzeń minionych. Tak właśnie można oceniać podłoże „polityki historycznej” mieszczącej się w projekcie „Czwartej Rzeczypospolitej”.

Jest zarazem rzeczą zrozumiałą, że samo instytucjonalne uformowanie się demokracji nie gwarantuje wzrostu zaufania naruszonego przez „Wielką Zmianę”, a tym samym nie sprawia niejako *per se*, że kapitał społeczny nie zostanie roztrwoniony, a wręcz pomnożony. Badania wykazują tymczasem, że w drugiej dekadzie istnienia demokratycznego ładu w Polsce poziom zaufania jako istotnego czynnika formującego społeczeństwo obywatelskie wcale nie wzrasta. Kolejne raporty *Diagnoza społeczna* sporządzane przez Radę Monitoringu Społecznego²¹ wykazują, że Polacy są nieufni wobec siebie i wobec rozmaitych instytucji państwa, zwłaszcza sejmu, senatu, partii politycznych. Niechętnie także tworzą organizacje uznawane za istotne dla społeczeństwa obywatelskiego (dobroczynne, komitety obywatelskie), a jeśli już w nich uczestniczą, to tylko w takich, które powstają przy instytucjach obdarzanych wysokim zaufaniem (np. Kościół katolicki)²². Ciekawe, że bardziej udzielają się społecznie ci, którzy deklarują brak zaufania do głównych mediów lub też mają do nich zaufanie ograniczone (badacze sygnalizują tu trudności w uchwyceniu korelacji na poziomie istotności), a także że stosunkowo bardziej nieufni są ludzie młodzi. W podsumowaniu badań dotyczących

hierarchii potrzeb Polaków w 2005 roku określanych biegunowo: „materialistyczne” – „postmaterialistyczne” (wśród pierwszych najważniejsze jest „powstrzymanie wzrostu cen”, wśród drugich „zwiększenie udziału społeczeństwa we władzy”) autorzy *Diagnozy społecznej 2005* piszą: „[...] dlaczego nie jesteśmy społeczeństwem obywatelskim, dlaczego nie potrafimy działać wspólnie, dlaczego wciąż się dzielimy? [...] Bo nie mamy takiej motywacji i nie mamy zaufania do tych, z którymi moglibyśmy podjąć wspólne działania”. Zarazem badania te wykazują, że Polakom nie brakuje już swobody wypowiedzi: wartość ta pojawia się na niższych piętrach hierarchii potrzeb. Zapewne – w czasach Internetu, braku reglamentacji dostępu do mediów i instytucjonalnej cenzury trudno mówić o deficycie wolności słowa. Dlaczego więc między wolnością słowa a poczuciem współudziału w rządzeniu nie ma wyraźnej korelacji? Zapewne problem tkwi w braku zaufania i w braku poczucia związku między słowem a działaniem: spadku po czterdziestu pięciu latach PRL.

Można postawić inne pytanie: czy media po 1989 roku były czynnikiem budującym społeczeństwo obywatelskie? Albo: czy w ogóle im na tym zależało – poza powierzchownymi deklaracjami?

Wolne media, działające na kapitalistycznym rynku, wcale nie muszą gwarantować sukcesów w budowie społeczeństwa obywatelskiego, chociaż – jak widzimy – społeczeństwa takie powstają i rozwijają się tam, gdzie media są i wolne, i kapitalistyczne. Nie powstają natomiast tam, gdzie wolność słowa nie jest realizowana i gdzie panuje cenzura. Na ich miejscu mogą natomiast pojawić się „społeczeństwa alternatywne”, „społeczeństwa oporu”.

Zniesienie politycznych ograniczeń i zmiana struktury własnościowej mediów po 1989 roku oparta na dość prostym przeniesieniu rozwiązań zachodnioeuropejskich na bardzo labilną po przełomie rzeczywistość społeczną nie tylko nie zlikwidowało konfliktów między „misją”, „służbą społeczną” mediów a koniecznością podporządkowania się ich zewnętrznyemu uwarunkowaniu. Przeciwnie: nadało tym konfliktom inny wymiar, w wielu przypadkach bardziej dramatyczny. O ile bowiem ograniczenia narzucane przez dyktatorską formę ustroju można traktować jako wrogie – to przecież stanowią one wyzwanie, wywołują chęć zmiany podsycającą wiedzą, iż istnieje dla nich alternatywa. Są nią – i tak było w PRL – „wolne media zachodnie”. Jeśli było to nawet wyobrażenie naiwne i przesadnie idealistyczne – to jednak było. Kiedy zaś ograniczenia te pochodzą z systemu rynkowego, kiedy etyka dziennikarska zostaje zastąpiona korporacyjnym ładem lub strategią gry konkurencyjnej, której celem jest osiągnięcie przez daną instytucję medialną maksymalnego zysku – alternatywa taka znika. Pozostaje wyłącznie podporządkowanie się logice systemu.

W tym właśnie punkcie mediamorfoza styka się z journalomorfozą, przemiany systemu medialnego z „imponderabiliami” zawodu dziennikarza. W Polsce nie prowadzi się systematycznych badań zwanych *newsroom studies*, a które w Stanach Zjednoczonych są istotnym składnikiem raportów realizowanych m.in. przez Instytut Poyntera czy afiliowane przy Columbia University centra badawcze Pew (Project for Excellence

¹⁸ Na czynnik ten zwracają uwagę wszyscy badacze, niezależnie od przyjętej definicji „kapitału społecznego” i klasyfikacje odmian zaufania; por. F. Fukuyama, *Zaufanie. Kapitał społeczny a droga do dobrobytu*, tłum. Anna i Leszek Śliwa, Warszawa-Wrocław 1997; R. D. Putnam, *Demokracja w działaniu: tradycje obywatelskie we współczesnych Włoszech*, tłum. J. Szacki, Kraków 1995; A. Giddens, *Nowoczesność i tożsamość*, tłum. Alina Szulżycka, Warszawa 2006; tenże, *Konsekwencje nowoczesności*, przeł. E. Klekot, Kraków 2008.

¹⁹ P. Sztompka, op. cit. s. 379; o pojęciu „traumy kulturowej” tenże, *The Trauma of Social Change: A Case of Postcommunist Societies*, [w:] R. Alexander, B. Giesen, N. Smelser, P. Sztompka, *Cultural Trauma nad Collective Identity*, Berkeley 2004, s. 155 i n.; tenże, *Trauma wielkiej zmiany*, Warszawa 2001.

²⁰ Por. Fukuyama, op. cit.; także H. Mamzer, *Zaufanie a bezpieczeństwo ontologiczne*, [w:] H. Mamzer, T. Zalański (red.), *Zaufanie a życie społeczne*, Poznań 2008, s. 31 i n.

²¹ Wszystkie raporty pod red. J. Czapińskiego i T. Panka: *Diagnoza społeczna 2000. Warunki i jakość życia Polaków oraz ich doświadczenia z reformami systemowymi po 10 latach transformacji; Diagnoza społeczna 2003* (następne 2005, 2007).

²² Por. B. Wciórka, *Zaufanie społeczne w latach 2002-2008. Komunikat z badań*, Raport CBOS BS/30/208, Warszawa, luty 2008.

in Journalism, Pew Internet & American Life Project)²³. Podobne systematyczne studia nad dziennikarzami prowadzone są w Europie Zachodniej (Wielka Brytania, Niemcy). Badania takie są znacznie trudniejsze niż opis sytuacji samych mediów, pozwalają jednak stosunkowo wcześniej diagnozować niebezpieczne trendy: raporty PEJ od dłuższego czasu sygnalizowały nadchodzący kryzys tradycyjnego dziennikarstwa informacyjnego – dziś już wstrząsający posadami największych instytucji medialnych na świecie, a co za tym idzie: również w Polsce. Znowu konieczne jest pytanie: w jakim stopniu jest to „nasz” kryzys, a w jakim staje się on rezultatem „wszczepienia” lub „wstrzelenia” zachodniego systemu medialnego w nieprzygotowane do takiej operacji społeczeństwo i środowisko ludzi mediów?

8.

Pracę dziennikarza dość dobrze oddaje następujące porównanie: jeśli uznamy, że jest ona czymś podobnym do sprzedaży, to od handlu proszkami do prania czy rzodkiewkami różni się tym, że dziennikarz każdorazowo oprócz swojego „towaru” chce sprzedać jeszcze siebie i swój sklepik. Przed 1989 rokiem o sprzedaż siebie i sklepu dziennikarze polscy nie musieli dbać – dziś jest to problem nawet ważniejszy niż sam towar, którym handlują. Najlepiej zaś byłoby sprzedawać wszystko w jednym. Tym czymś jest zaufanie. Zaufanie – choć uchodzi za „postmaterialistyczną” i trudno wymierną wartość – jest jednak towarem. W pewnych sytuacjach jednak nadmierna podaż tego towaru może zachwiać jego wartością, a to owocuje katastrofą całego, zbudowanego na zaufaniu, systemu komunikacji.

Po 1989 w środowisku tym dokonały się zmiany zasadnicze i trudno zaakceptować sugestię Kevina Williama, że pracujący dziś w mediach ludzie, którzy byli związani z reżimem komunistycznym, nadal mają się świetnie.²⁴ Jest to generalizacja zbyt daleko posunięta, bo oparta na obserwacji sytuacji w dawnej NRD, która była rzeczywiście specyficzna i znowu nasuwająca analogie z mechanizmami wymiany elit kulturalnych w Niemczech po 1945 roku.²⁵ Różnice w tempie przemian w różnych krajach postkomunistycznych są znaczne: w Polsce – według wyliczeń Zbigniewa Bajki

– w 2000 roku zaledwie 20 proc. dziennikarzy zatrudnionych w mediach miało staż pracy dłuższy niż 10 lat, a największą grupę stanowili ci, którzy rozpoczęli pracę po 1995 roku.²⁶ Po zmianie ustrojowej odeszło z zawodu – z różnych, niekoniecznie bezpośrednio politycznych, powodów ok. półtora tysiąca osób. To może niewiele, ale dostatecznie dużo, by mówić raczej o zerwaniu ciągłości niż o kontynuacji wzorów komunistycznych i silnym wpływie ludzi dawnego reżimu na media polskie, a tak czyni Williams. Zresztą określenie „silny” w odniesieniu do wpływu jest stopniowalne i podlega subiektywnej ocenie w zależności od szczebla „drabiny” organizacyjnej danej instytucji medialnej, w której wpływ ten miałby się ujawniać: czy jest to poziom techniczny, realizacyjny (w tym dziennikarze: reporterzy i publicyści, a także współpracownicy i eksperci), decyzyjny czy wreszcie właścicielski. Zbyt pośpiesznie lub przeciwnie – zbyt przemyślnie skonstruowana ustawa o likwidacji RSW i oddaniu (pozorowanemu) tytułów w ręce spółdzielni dziennikarskich spowodowała, że media dostawały się w ręce spółek kapitałowych zawiązywanych m.in. przez ludzi dawnej władzy lub sprzyjała szybkiemu uwłaszczaniu się na majątku redakcji i samym tytule wąskich redakcyjnych elit. Ci dziennikarze, którzy nie mieli pieniędzy na wykup udziałów albo odchodzili, albo stawali się znowu pracownikami najemnymi w firmie zarządzanej przez dawnych kolegów, tyle że podległość czysto polityczna stawała się podległością typową dla stosunków kapitalistycznych lub stosunków „kapitalizmu wstrzelonego”. To, co działo się w polskich mediach na początku lat dziewięćdziesiątych, było w znacznej mierze pochodną ogólnych zjawisk w polskiej ekonomice tamtego okresu i co bywa określane mianem „uwłaszczania nomenklatury”.

Nie dotyczyło to wyłącznie ludzi dawnego „układu”: do dziś budzi sprzeczne opinie, emocje, a nawet daje pretekst do doraźnych ataków politycznych sprawa spółki „Telegraf” i Fundacji Prasowej „Solidarności”, a także funduszu, który dał początek koncernowi Agora i jego flagowemu produktowi „Gazecie Wyborczej”. O nielegalne zgromadzenie kapitałów i zdobywanie wpływów w kolejnych rządach podejrzewa się dziś założycieli ITI, Polsatu, RMF (oskarżenia o agenturalne powiązania i machinacje finansowe mieszają się z zarzutami klientelizmu, nieuczciwej konkurencji itd.). A przecież w firmach tych znaleźli pracę ludzie młodzi, związani z różnymi odłamami, w tym zdecydowanie prawicowymi, podziemnych ruchów studenckich! Dziś często nie zauważa się, że w chwili przełomu w Polsce nie było dostatecznie silnych inwestorów, zdolnych przejąć polskie media i dokonać technologicznej ich modernizacji, choć w niewielkim stopniu niwelującej różnice między nimi a mediami zachodnimi, uznawanymi teraz za wzór. W gospodarce niedoboru nie powstają aż tak poważne zasoby kapitałów, a jeśli już – to są inwestowane lub tezauryzowane w inny sposób. Polski biznes rodził się więc z reguły na granicy legalności, w powiązaniu w szarą lub wręcz czarną strefą gospodarki, opierał się na korupcji, ulegał infiltracji przez agentury różnego koloru i rodzime służby specjalne, gdyż to one, dzięki chaotycznemu dostępowi do archiwów mogły decydować kto i na co dostanie zezwolenie, komu i jakie winy zostaną odpuszczone lub

²³ Interesujące studium nad dziennikarzami po transformacji ustrojowej przeprowadził w 2000 roku Z. Bajka, *Dziennikarze lat dziewięćdziesiątych*, „Zeszyty Prasoznawcze” R. XLIII (2000), nr 3-4, s. 42 i n. Zagadnieniami tymi zajmuje się również Stanisław Mocek: *Dziennikarze po komunizmie. Elita mediów w świetle badań społecznych* (Warszawa 2006); *Dziennikarstwo – media – społeczeństwo* (red.), Warszawa 2007. Wiele cennych obserwacji dotyczących sytuacji dziennikarzy i dziennikarstwa w Polsce po 1989 roku zawierają prace poświęcone transformacji mediów – uwagi te nie stanowią jednak głównego przedmiotu zainteresowania badaczy i pojawiają się niejako „przy okazji” omawiania szerszej problematyki (por. np. T. Mielcarek, *Monopol – pluralizm – koncentracja. Środki komunikowania masowego w Polsce w latach 1989 – 2006*, Warszawa 2007; K. Williams, op. cit., zwił. s. 145 i n.; K. Jakubowicz, *Polityka medialna a media elektroniczne*, Warszawa 2008; tenże, *Media publiczne. Początek końca czy nowy początek*, Warszawa 2007; B. Dobek-Ostrowska, *Transformacja systemów medialnych w krajach Europy Środkowo-Wschodniej po 1989 roku*, Wrocław 2002; *Media i dziennikarstwo na przełomie wieków*. Materiały międzynarodowej konferencji naukowej Warszawa 6-7 czerwca 1997 roku, red. J. Adamowski, Warszawa 1998; R. Filas, *Współczesny rynek prasowy i Prasa ogólnokrajowa po 1989 roku*, [w:] *Słownik wiedzy o mediach*, red. E. Chudziński, Warszawa – Bielsko-Biała 2007, s. 95 – 125.

²⁴ K. Williams, op. cit., s. 145-46.

²⁵ Sytuację tę analizują m.in. J. Kałajny i M. Walkowiak, *Elity w mediach a zjednoczenie Europy*, [w:] *Elity w jednoczących się Niemczech*, red. H. Orłowski i M. Tokarczuk, Poznań 1999, s. 181 i n.

²⁶ Z. Bajka, *Dziennikarze lat dziewięćdziesiątych...*, loc. cit., s. 50.

na jakiś czas zapomniane. „Nielegal” zyskiwał jednak nieoczekiwanie swoistą sakrę: był przecież – mimo złej aury – pracą na rzecz nowego systemu. Informatyzacja Polski, dokonujące się niemal błyskawicznie nasycenie rynku sprzętem komputerowym i programami, lepszej klasy odbiornikami telewizyjnymi i radiowymi, nagraniami muzycznymi i kasetami z filmami – to wszystko zawdzięczamy w wielkim stopniu nielegalnemu obrotowi walutą i towarami, przemytowi i piractwu: rodzimy przemysł przecież tego wszystkiego nie produkował!

W media inwestowali więc ludzie niekiedy zupełnie przypadkowi, niekiedy ich kapitały były rzeczywiście nieprzejrzyste. Nie mieli też żadnego pojęcia o tym, jak wyglądają modele biznesowe dla mediów i usiłowali przykładać do nich jedyne wzorce, jakie znali. Media wydawały się (podobnie jak wydawnictwa) sektorem o nieograniczonym wręcz potencjale i dlatego uważali, że każda inwestycja powinna zwracać się natychmiast, dosłownie po paru miesiącach. Jeśli zyski nie pojawiały się dostatecznie szybko, wycofywali się, pozostawiając tych, którzy zaufali – dziennikarzy i odbiorców – z uczuciem głębokiej frustracji.

A jednak w mediach tych próbowali się odnaleźć zasłużeni działacze podziemia. Do zawodu wykonywanego oficjalnie powracali również dziennikarze czynni przed 13 grudnia 1981, którzy albo nie zostali zweryfikowani, albo dobrowolnie związali się z prasą podziemną, rezygnując z pracy w mediach „reżimowych”. Wielu z tych dziennikarzy było krócej lub dłużej członkami PZPR i nawet pełniło funkcje w jej władzach, a jednak bez ich obecności nie wyobrażamy sobie dzisiaj historii polskiego dziennikarstwa, literatury, niekiedy nauki. Byłoby rzeczą niesłychanie nierozsądną twierdzić dziś, że w Polsce uformował się jakiś jednorodny „model” komunistycznego dziennikarza: konformisty i tchórza, posłusznego wykonawcy poleceń politycznych i propagandy – lub przeciwnie: buntownika gotowego ryzykować karierę w imię wolności słowa i poglądów. Wszystkie przełomy dokonujące się w Polsce po 1945 roku obnażały bezlitośnie zarówno słabość, jak i siłę tego środowiska; w czasie tych przełomów okazywało się też niezmiernie, jak bardzo władzy zależy, by środowisko to było zdeintegrowane, wewnątrznie skonfliktowane i przesyczone wrogością – gdyż tylko takie środowisko dziennikarzy można kontrolować i sterować nim w dowolny sposób. Myślenie o polskich dziennikarzach *in gremio* jako bezmyślnym, pozbawionym refleksji, a także etyki zawodowej i umiejętności tworzenia tłumie klakierów dyktatorskiej władzy jest pochodną zimnowojennej retoryki i stereotypów – niestety, utrzymujących się na Zachodzie do dziś, gdy w redakcjach głównych polskich mediów trudno byłoby doprawdy znaleźć ludzi symbolizujących dawny reżim. Być może są oni jeszcze czynni w niewielkich, niszowych pismach lub mediach lokalnych, czasem wyraźnie określonych politycznie negatywnie wobec obecnej rzeczywistości (i niekiedy z lewicowych pozycji), trudno im jednak przypisywać istotny wpływ na oblicze polskiego dziennikarstwa. Niekiedy zaś wykonują niesłychanie pożyteczną pracę na rzecz lokalnych społeczności – pracę najczęściej darmową, której nie podjąłby się żaden absolwent studiów dziennikarskich, gdyż młodzi ludzie marzą o błyskotliwej karierze wyłącznie w mediach mainstreamowych.

To paternalistyczne, a w gruncie rzeczy przesyczone stereotypami utrwalonymi przez lata po zachodniej stronie żelaznej kurtyny podejście do polskich dziennikarzy po 1989 roku wyraziło się w publikowanym aż dwukrotnie z inicjatywy SDP *Poradniku dla dziennikarzy z Europy Środkowej i Wschodniej*²⁷. Wielu dziennikarzy czytając go, odczuwało, że są traktowani jak troglodcy, którym ktoś ofiarowuje ogień lub jak głodni kuzyni ze wsi, których poucza się, że jeść należy nożem i widelcem. Był to rodzaj wzmówienia: w Polsce nie było nigdy dziennikarzy ani wolnego rynku prasy, nikt nie wie, co to jest reportaże, felieton, jak pisze się komentarze czy recenzje. Nikt nie wie, co to jest tytuł, kolumna czy szpalta. Nikt nie wie, jakie są powinności dziennikarzy wobec faktów i pozyskanych informacji; to wszystko niósł w sobie wspomniany *Poradnik* będący m.in. systematycznym wykładem zasad obowiązujących w BBC – jako absolutnie doskonałych, jak wzorzec metra w *Sèvres* – miał jednak inną zaletę. Pomógł w podniesieniu umiejętności warsztatowych tej kadry redakcyjnej, która znalazła się w mediach oficjalnych po okresie pracy w prasie podziemnej.

Mogli oni odczuwać satysfakcję, że znaleźli się po zwycięskiej stronie i dlatego zapewne traktowali z wyższością tych swoich nowych kolegów, którzy wydawali się symbolizować „przeżytki”. Ustępowali im wprawdzie warsztatowo, ale mieli w rękach atut słuszności, przyznany im niejako przez historię. Nigdy nie wydawali dużego, ogólnopolskiego dziennika – a tak było z pierwszą gazetą Trzeciej RP, czyli „Gazetą Wyborczą”, w której pierwszej redakcji znaleźć można wprawdzie wybitnych publicystów, lecz sprawdzających się bardziej w rolach ideologów, ekspertów i analityków niż redaktorów czy menedżerów zdolnych kierować wielkim zespołem i później przedsiębiorstwem medialnym. „Nowi” dziennikarze wnosili w środowiska, do których trafiali, wiele odwagi graniczącej niekiedy z zadufaniem we własne racje, jednak bardzo pożytecznej w pierwszym okresie formowania się wolnych mediów, później okazującej się kłopotliwym balastem. Wnosili również charakterystyczną dla środowisk konspiracyjnych nieufność do „obcych”, skłonność do „gettoizacji” i wartościowania rzeczywistości w czarno-białej skali. Musieli się uczyć – ale ich nauczycielami w naturalny sposób mogli być jedynie bardziej doświadczeni koledzy, a ci z kolei niezbyt dobrze rozumieli sposób rozumowania i reagowania na pewne zjawiska ludzi „z konspiracyj”, którzy często dosłownie „z marszu” przejmowali ważne redakcyjne stanowiska (szefów działów, sekretarzy redakcji, a nawet redaktorów naczelnych).

ZBIGNIEW BAUER

(część druga „*Journamorfozy po polsku*” ukaże się w następnym numerze „Zdania” – red.)

²⁷ *Poradnik dla dziennikarzy z Europy Środkowej i Wschodniej*, red. M. F. Mallette, tłum. B. Stanisławczyk-Zyła, World Press Freedom Committee, Warszawa 1990 i 1991.

TOMASZ GOBAN-KLAS

NIE TAKI SKANDAL STRASZNY JAK GO MEDIA MALUJĄ

Niemal od samego początku III RP w pierwszych minutach telewizyjnych i radiowych serwisów informacyjnych, na pierwszych stronach gazet pojawiały się skandale i afery. Oto garść przykładów:

1. Afera alkoholowa; 2. Afera Art-B; 3. Afera BKO; 4. Afera Coloseum; 5. Afera Dochnała; 6. Afera rublowa; 7. Afera osocza; 8. Afera tytoniowa; 9. Afera Orłenu-paliwowa; 10. Afera starachowicka; 11. Afera Rywina; 12. Afera Olina; 13. Afera J&S; 14. Afera PZU – Polityczny Zakład Ubezpieczeń; 15. Afera FOZZ; 16. Afera moskiewskiej pożyczki; 17. Afera uwłaszczenia nomenklatury; 8. Afera DT Centrum; 19. Afera prywatyzacji sektora bankowego; 20. Afera mostowa; 21. Afera elektroniczna; 22. Afera kantorowa; 23. Afera ratuszowa; 24. Afera PZPN; 25. Afera jednoręki bandytów.

Uff, jak mawiał Wielki Wódz Winnetou. A przecież to nie wszystko! Blogier >haribu.onet.blog.pl<, który pracowicie sporządził tę listę zastrzega, iż „nie jest chronologiczna ani pełna”¹. Wszystkich nawet na wólnej skórze, a co dopiero na kilku stronicach „Zdania” spisać nie sposób². Już w XVI wieku co mądrzejsi Polacy wołali: „Aferami Polska stoi!” Przytoczył owo sformułowanie pod koniec tegoż wieku ks. Piotr Skarga w *Kazaniach Sejmowych*, a wieku XVII Krzysztof Opałiński i Wacław Potocki. Taki właśnie tytuł miał felieton Sceptyka w poprzednim numerze „Zdania” (3-4: 142-143, 2009), a niniejszy tekst stanowi jego rozwinięcie.

Opierając się na swej pamięci czytelniczek, postawię (mało odkrywczą) tezę, że liczba afer z roku na rok nie maleje, lecz systematycznie wzrasta. Może kwerenda roczników dzienników, z tabloidami i tygodnikiem „Wprost” na (mało chlubnym) czele, uzupełniona lekturą tygodnika „Nie” dałaby pełniejsze ich zestawienie.

Dziennikarze „Newsweeka” Andrzej Stankiewicz i Piotr Śmitowicz podsumowując aferalny rok 2009 wskazują wielu „bohaterów” afer i skandali:

„Stawkę otwiera Zbigniew Chlebowski, a krok za nim jest Mirosław Drzewiecki – bohaterowie afery hazardowej. Jest też senator po przejściach Tomasz Misiak, którego firma zarabiała na szkoleniach stoczniovców. Jest poselski młodzian Cezary Atamańczuk – do polityki wszedł z fikką marihuany w ustach i działką amfetaminy w kieszeni. Polityczny rok efektownie zamknął senator Krzysztof Piesiewicz, który wciągnął biały proszek, paradując w damskim przebraniu”³.

Nic dziwnego, że Instytut Monitorowania Mediów raportuje, iż zachodnie środki informacji piszą o Polsce raczej źle, a dziennikarze nie szczędzą ostrych komentarzy. Informacje o Polsce i Polakach wyemitowane w dniach 1-30 września 2006 r. przez stacje EuroNews, CNN, BBC World i ARD głoszą, iż „w Polsce trwa skandal łapówkowy”, rządzi „konfliktowy premier”, itd.⁴. Tu kończę, aby czytelnikowi „Zdania” narodowego wstydu oszczędzić.

Mimo wszystko, nie jesteśmy w świecie niechlubnym wyjątkiem. Zestawienie większych afer i skandali (do ich rozróżnienia przejdę nieco dalej), jakie sporządził dla różnych demokratycznych krajów, w tym tzw. rozwiniętych demokracji, słynny medioznawca i socjolog Manuel Castells wręcz poraża (mówiąc językiem lustrator—wz IPN)⁵. Obok spraw drobniejszych, są tam podane afery i skandale *de grubis*, przy których rodzimi skandaliści to mały pikus⁶. Z ostatniej chwili: będąc niedawno w Tajlandii przeczytałem, iż premier tego kraju Thaksin Shinawatra został pozbawiony zdobytego korupcyjnie majątku wartości 1,4 miliarda dolarów. To jest afera zważywszy, że był on pierwszym demokratycznie wybranym premierem Tajlandii, obalonym w wojskowym zamachu stanu w 2006 roku.

Czyżby korupcyjne patologie społeczne były jakby nieodłącznym elementem współczesnej formy demokracji? A może nawet są jej pochodną? Nie odważę się

¹ <http://haribu.blog.onet.pl/Wszystkie-afery-III-RP,2,ID110976841>

² „Nasz Dziennik” pyta współautora projektu „Powiązania nieformalne, a bezpieczeństwo państwa” ile było kluczowych afer po 1989 roku? – Lista najważniejszych afer, którą stworzyliśmy w naszym zespole badawczym, miała ponad 100 pozycji i obejmowała okres od 1989 r. do chwili obecnej – twierdzi dr Pietrowicz. Zob. http://www.wiadomosci24.pl/artikul/nasz_dziennik_aferezysci_unikaja_kary_123311.html, dostęp 21.01.2010.

³ *Polityczni skandaliści AD 2009*, „Newsweek”, 2.01.2009.

⁴ www.ceo.org.pl/binary/file.action?id=77338

⁵ Manuel Castells, *Communication Power*, Blackwell, London 2009.

⁶ Zob. także Grossman, Mark. *Political Corruption in America: An Encyclopedia of Scandals, Power, and Greed*. ABC-Clio, Santa Barbara, CA 2003.

Za największy polityczny skandal w USA uznawany jest The Teapot Dome Scandal, który rozgrywał się w latach 20. Ujawniono, że wielkie kampanie naftowe sponsorowały wybory prezydenckie Warrena G. Hardinga.

na politologiczną analizę systemu demokratycznego, ale podejmem – podążając za moim niemieckim kolegą profesorem Hansem Mathiasem Kepplingerem⁷ – związną analizę mechanizmów tworzenia afer i skandali.

Godzi się na wstępie zauważyć, że słowo „afera” jest tylko intuicyjnie oczywiste. Popularna internetowa polska Wikipedia definiuje: „Afera – kontrowersyjna sprawa w mediach o dużym zasięgu (w porównaniu z podobnym skandalem)⁸. Aferę dotyczą różnych dziedzin; są korupcyjne, obyczajowe, szpiegowskie, prawne, dopingowe w sporcie, i oczywiście polityczne. Ostatnie odnoszą się do nielegalnych lub niemoralnych działań polityków i instytucji politycznych.

Najsłynniejsza afera Watergate rozpoczęła się od ujawnienia włamania ludzi prezydenta Nixona do siedziby Partii Demokratycznej w hotelu Watergate w Waszyngtonie. Nazwa ta stworzyła modę na dodawanie słowa *gate* (ang., dosł. brama, a *water gate* to wodne wrota, śluza). Aferę „rozporkową” w USA ohrzczono mianem Zippergate lub Monicagate (od imienia Moniki Lewinsky), zaś aferę związaną z dostarczaniem broni do Iranu – Irangate⁹. Ten formant zyskał popularność także w Polsce ostatnich lat, już po pierwszych posiedzeniach komisji ds. Rywina tytuły prasowe ogłaszały aferę Rywina, Rywingate. potem doszła Orlengate i Begergate. Zabieg taki pokazuje, że nazewnictwo nie jest w tych przypadkach neutralne, ono w pewnej mierze kreuje pewną kontrowersyjną sprawę jako aferalną. A choć prawo do wyboru nazwy ma każdy obywatel, to moc jej społecznego podrzucania mają przede wszystkim politycy, a narzucania – media. Dziennikarze nader chętnie to robią i wszędzie doszukują się afer.

Może słusznie, bo wówczas pełnią – przynajmniej intencjonalnie – kontrolną funkcję wobec władzy publicznej. Afera polityczna wiąże się bowiem nie z działaniem jednostki jako takiej, ale pewnej grupy działającej, jak to ujmuje polskie prawo, wspólnie w porozumieniu, dla realizacji nielegalnego celu politycznego (w tym korupcji politycznej). Z tego punktu widzenia działania Lwa Rywina nie były aferalne, a jedynie – jeśli brać pod uwagę wyrok sądu – kryminalne. Nie wykazano bowiem, że była jakaś „grupa trzymająca władzę”, więc nie było i afery. A jedynie „sprawa Rywina” i – tu kryje się jej pozytywna rola – demaskacja stylu i sposobów uchwalania aktów legislacyjnych. Pod tym względem „afera hazardowa” wygląda – nie ferują przedwczesnych wyroku – na prawdziwą aferę, z Rychem, Zbychem i Mirem, z których jeden był konstytucyjnym ministrem, a inny przewodniczącym Komisji Finansów Publicznych Sejmu RP.

Tropienie nieprawidłowości, nadużyć władzy etc. to najistotniejsza rola prasy jako kontrolera społecznego, *watchdog*. Jakby napisał Potocki „Czuj! Stary pies szczeka”. Wszakże w erze medialnej ma on obowiązek szczekać nie tylko na polityków, ale – *horrendum* – także na niezawiste (ha, ha) media. Funkcja medialnego *watchdog* to sfera specjalnej formy kontroli społecznej, tzw. dziennikarstwa śledczego (termin nie najszcześniejszy; angielski oryginał *investigative jour-*

nalism konotuje działania poszukujące, analityczne, dociekające; polski – policyjno-prokuratorskie).

Dziennikarstwo śledcze rozkwitło na przełomie XIX i XX wieku w formie zwanej „muckrakingiem”, dosłownie – przetrząsaniem gnoju. Ujawnianie związków wielkiego biznesu, polityki, policji, wymagało odwagi i determinacji, stąd nazwiska reporterów, jak Ida Tarbell czy Lincol Steffens, znalazły się w annałach historii dziennikarstwa. Jednak gdy rozwijało się prawdziwe dziennikarstwo śledcze uprawiane z nakładem wielkich kosztów przez najważniejsze media masowe pojawiło się i rozwinęło inne dziennikarstwo, wówczas nazywane „żółtym” (*yellow journalism*), od żółtego koloru drukowanych komisów. Było to dziennikarstwo magnata prasowego Williama R. Hearsta, ale także Josepha Pulitzerza. Ich rywalizujące dzienniki łączył nowy styl dziennikarstwa – sensacja za wszelką cenę¹⁰. Dla niego sama afera na ogół jest mało atrakcyjna czytelniczko, nadmiernie złożona, powikłana prawnie, zbyt długotrwała. W aferze biorą udział aferzyści, więc dobrze jest dla opisu wybrać wyraziste postacie i na nich oprzeć swą opowieść. A jako rzeczce Eryk Mistewicz, to właśnie opowieści decydują o popularności i sukcesie w naszych medialnych czasach.

Najlepsze masowe opowieści są jednak krótkie – spotowe – i skoncentrowane na celebrycie. Dobrze, gdy robi lub mówi coś chwalebne (rzadkość), ale jeszcze lepiej, gdy podwinie mu się noga, albo – nie daj Boże – rzeczywiście coś nagannego zrobi lub wygada. Czytelnik zaś – wiemy to od czasów *Iliady* i *Odysei*, lubi opowieści o czynach konkretnych osób, a nie o tzw. sprawach. Mogą to być bohaterowie, ale jeżeli ich nie ma pod ręką, zwłaszcza w naszych nieufnych czasach, to należy opisać konkretnych przestępców, moralnych dewiantów, ogólnie – skandalistów.

Dajcie skandal na pierwszą stronę!

W okresie międzywojennym w warszawskiej prasie sensacyjnej częsty był okrzyk redaktora prowadzącego numer: „Dajcie krew na pierwszą stronę!”, czyli eksponowanie wszelakich zabójstw, krwawych bijatyk, przemoc¹¹. Wezwanie to obowiązuje dzisiaj w tabloidach, lecz jeszcze powszechniejsze, bo również w tzw. prasie poważnej, stało się zalecenie „Dajcie skandal na pierwszą stronę”. I w pewnym sensie słusznie – skandal jest bardziej pobudzający czytelniczko niż opis morderstwa. Ma bowiem wymiar oburzenia moralnego, a nie tylko zgrozy. Dotyczy elit, nie jest aż tak częsty, aby powszednia, ma akcję i wyraziste *dramatis personae*.

Skandal to najlepsza metoda do przyciągnięcia i utrzymania uwagi mediów, szczególnie potrzebujących żeru 24 godziny na dobę, 7 dni w tygodniu, tj. telewizyjnych kanałów informacyjnych. Ciągłe *breaking news*, pilne wiadomości na pasku, stałe aktualizowanie stron internetowych oraz widoczny proces „samonapędzania się” serwisów informacyjnych, co wykazuje Pablo Javier Boczkowski¹², tworzy aurę sprzyjającą genero-

⁷ Hans M. Kepplinger, *Mechanizmy skandalizacji w mediach*, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2008.

⁸ <http://pl.wikipedia.org/wiki/Afera>

⁹ <http://pl.wikipedia.org/wiki/Afera> oraz B. Kreja, *O formancie „gate”* *Ėafera, skandal*, (w:) „Język Polski”, t. LXXIII, s. 63.

¹⁰ Znana jest anegdota, iż Hearst dążąc do zwiększenia nakładów swojej prasy podlegał Kongres USA do wojny z Hiszpanią. Swemu korespondentowi na Kubie, który donosił o spokoju, odtelegrafował: „Pan dostarczy zdjęcia, ja dostarczę wojnę”.

¹¹ Wiesław Władysław, *Krew na pierwszej stronie: sensacyjne dzienniki Drugiej Rzeczypospolitej*, Czytelnik, Warszawa 1982.

¹² Pablo Boczkowski, *P. News at work: Imitation in an age of information abundance*. University of Chicago Press, Chicago 2010.

waniu i wykorzystaniu skandali. Same skandale są jak lep na muchy; skandalizacja (nie tylko polityki) jest więc skuteczną strategią tworzenia publiczności medialnej, która z kolei nie tyle jest źródłem dochodów właścicieli mediów, co towarem przez nich sprzedawanym reklamodawcom. Już w 1964 roku McLuhan zauważył, że, właściciele środków przekazu zawsze starają się dać odbiorcy to, czego on chce, ponieważ czują, że ich pożądana zależy od środka przekazu, a nie od samej treści przekazu czy programu¹³. Koło się więc zamyka – ludzie lubią skandale, a media dają im to, co lubią. Polują na skandale, a gdy ich nie ma, to je tworzą.

John Thompson w znakomitej książce *Skandal polityczny*¹⁴ wykazuje, że choć termin skandal wydaje się oczywisty, w istocie jest złożony i wieloznaczny. Wywodzi się on od dawnego greckiego słowa *skandalon*, które oznaczało głąz leżący na drodze, a metaforycznie w Starym Testamencie (*Sepuginacie*) przeszkody na drodze do Boga. Niecne postępy etycznych autorytetów, gdy się zdarzą i zostaną ujawnione publicznie, nie tylko wywołują oburzenie wiernych, ale i przez swój gorszący przykład osłabiają morale całej społeczności. Przyjęcie słowa w łacinie (*scandalum*), a za jej pośrednictwem w wielu językach europejskich pozbawiło słowo pierwotnego religijnego kontekstu obejmując ogół wykroczeń moralnych, a w pewnych przypadkach także zachowań przestępczych. Thompson wyjaśnia, iż jeśli ktoś traktuje skandal poważniej, niż niektórzy byliby skłonni, to czyni tak, ponieważ uważa, że poza całym szumem skandal jest istotnym zjawiskiem społecznym. Może przynieść poważne skutki dla życia i kariery jednostek weń zamieszanych oraz instytucji, których te jednostki są częścią. Znaczenie skandalu jest zakorzenione we właściwościach świata, w którym społeczna wrażliwość została przekształcona przez media, a władza i reputacja ściśle wiążą się ze sobą. Skandal jest ważny, gdyż w naszym współczesnym, medialnym świecie dotyka rzeczywistych źródeł i form władzy.

Skandal – wedle Wikipedii – to kontrowersyjna sprawa w mediach¹⁵. Jest to zatem termin zbliżony do afery, lecz skandalem nazywana jest każda głośniejsza sprawa w mediach, a aferą zazwyczaj sprawy z udziałem władz publicznych bądź znanych i wpływowych osobistości życia publicznego. Ocena doniosłości sprawy dokonywana *ex post* nie musi wcale się pokrywać z początkowo używanymi określeniami skandal lub afera. Często skandale mają naturę obyczajową (ujawnienie romansu, kłamstwa itp.)¹⁶. Thomson wskazuje, że współcześnie skandal odnosi się do działań lub zdarzeń, które łączą się z pewnymi etycznymi czy prawnymi wykroczeniami, a zarazem zostały ujawnione oraz są dostatecznie poważne, aby wywoływać publiczną reakcję¹⁷. Skandale takie nie są nowością, przeciwnie znane były już w czasach starożytnego Rzymu. Istotna

wszakże ich nowa forma – medializacja. Thomson definiuje skandale polityczne jako „wydarzenia zmediatyzowane które łączą życie prywatne i publiczne”.

„Dynamiczny rozwój mediów – twierdzi Thomson – spowodował, że politycy są o wiele uważniej i intensywniej obserwowani niż w przeszłości. Trudniej im dzisiaj ukryć działania lub wydarzenia, które chcieliby trzymać z dala od opinii publicznej. Skandal polityczny nie stracił nic ze swej zdolności do zakłócania biegu wydarzeń, niweczenia najlepiej skonstruowanego planu i czasami – niszczenia reputacji oraz karier osób w niego uwikłanych. Dlaczego skandale zyskały tak ogromne znaczenie we współczesnym życiu publicznym? Czy są one wyrazem powszechnego obniżenia standardów moralnych, które w przeszłości – jak przynajmniej mogłoby się wydawać – rządziły zachowaniem ludzi? A może mnogość skandali w ostatnich latach ma więcej wspólnego z pozbawioną skrupułów działalnością mediów, które odkryły, że ujawnianie faktów z prywatnego życia osób publicznych może być bogatym źródłem dochodów?”

Takie zdarzenia służą zarówno celom rywalizujących polityków, jak i niezależnych mediów, ale to media decydują o ich dalszym przebiegu i konsekwencjach. Jakie to są rodzaje wydarzeń – zależy od kultury politycznej danego społeczeństwa. Pascal powiedziałby: To, co jest skandalem po jednej stronie Pirenejów, nie musi nim być po drugiej.

W naszej rodzimej Kartoflandii (termin Kingi Dunin) skandale słabo się sprzedają (*vide* sprawa Leppera), natomiast emocjonują afery i skandale finansowe. Zapewne podłożem jest tu zazdrość – pieniądze nigdy nie dość, a seksu ci u nas dostatek. Na uwagę zasługuje jeszcze inny rodzaj zdarzeń niekoniecznie znaczących. Jest to skandal polityczny, w którym media z reguły odgrywają kluczową rolę¹⁸. A do tego wszystkiego, taki skandal to walka o władzę symboliczną, w której stawką jest reputacja i zaufanie.

Aktywizatorzy skandali

Wbrew pozorom, zwykle to nie dziennikarze odkrywają skandale, oni je najczęściej jedynie ujawniają. Prym wiodą tu „zaangażowani obywatele”, sfrustrowani przedstawiciele aparatu policyjnego, skarbowego, prokuratorskiego, szperacze bezinteresowni i interesowni, moralisci, również cynicy, ale wszyscy zawsze deklarują dobre intencje i służbę Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, Narodowi, Interesowi Publicznemu. No i oczywiście Prawdzie.

Działają jak dotąd po amatorsku, choć szybko postępuje profesjonalizacja takiego szperania. Wzorem, jak zawsze, są Stany Zjednoczone. Tam w kampaniach wyborczych prowadzone są tzw. *opposition research* – po polsku to szukanie haków. Zasada jest prosta – najpierw ustala się listę wszystkich słabych punktów kandydata i zaczyna poszukiwania w dziedzinach takich jak dawne i aktualne wypowiedzi, biografia, finanse, inwestycje, kontakty, oświadczenia majątkowe, dane o wykorzystaniu kart kredytowych, zatrudnieniu, firmach, seks, odtworzenie profilu i stylu życia. Ponadto

¹³ M. McLuhan, *Zrozumieć media*, tłum. N. Szczucka, Wydawnictwa Naukowo-Techniczne, Warszawa 2004, s. 283.

¹⁴ J. Thompson, *Political scandal: power and visibility in the media age*, Polity, London 2003. Praca będzie opublikowana przez Wydawnictwo Naukowe PWN w 2010 roku.

¹⁵ <http://pl.wikipedia.org/wiki/Skandal>

¹⁶ Przedziwny skandal wydarzył się na festiwalu teatralnym we Wrocławiu: „torturowano” i zabito homara na scenie w sztuce Wypadki: Zabić by zjeść. Sprawa trafiła do prokuratury (sic!)

¹⁷ Z zapowiedzi internetowej książki J. Thomsona, *Skandal polityczny*, PWN, Warszawa 2010.

¹⁸ H. Tumber i S. Waisbord, *Introduction: Political Scandals and Media Across Democracies*, *American Behavioral Scientist*, vol I 2004; 47: 1031-1039

dobrze jest zdobyć różne dokumenty, materiały graficzne: fotografie, wideo, etc. Całość niszczącej rywali dokumentacji, Rosjanie – po Amerykanach, mistrzach gatunku – nazywają „kompromatami”.

Nikt nie jest doskonały, a ponieważ polityka to sztuka zawierania różnorodnych koalicji, na ogół takie „śledztwa” przynoszą pewne rezultaty. W przypadku polityka chodzi o to, co Amerykanie nazywają „zabójstwem etycznym” (*character assassination*). Zdobyte informacje są opracowywane pod kątem możliwych zarzutów wyborczych, a następnie przekształcane w medialne przekazy, bądź opłacane reklamówki, spoty wyborcze, czy przecieki do mediów. Czasami rozciąga się je na kolegów z partii, kampanię wyborczą, fundacje, etc. I formułuje uogólnienia – przykładem polskie „liberały-afery”. Faktem życia publicznego w większości krajów jest „sąd mediów” nad każdym politykiem zamieszonym w jakikolwiek skandal. A jak głosi powiedzenie, gazetą można zabić i muchę i polityka.

Zbliżona do „dociekań opozycyjnych” jest „ocena podatności” na ewentualne wrogie ataki. Sprawdza się w niej „podatność i wrażliwość na zarzuty ze strony konkurentów i mediów” wobec własnego kandydata.

Polityczni konsultanci włączają oba rodzaje dokumentacji i analiz – kompromaty i słabości – do swych ofert. Są one oparte na pracy detektywistycznej, dziennikarstwie śledczym, prawnym szantażu, politycznym marketingu. Ich guru jest Stephen – *nomem omen* – Marks, konserwatywny republikański polityczny konsultant, spec od brudnej roboty angażowany do medialnego ataku na kandydatów Partii Demokratycznej w imieniu „niezależnych” obywatelskich organizacji (w 2000 roku założył Americans Against Hate, w 2004 r. – MoveOnForAmerica.org, w 2008 pHforAmerica.com.) W swej książce *Wyznania politycznego cyngla (Confessions of a Political Hitman: My Secret Life of Scandal, Corruption, Hypocrisy and Dirty Attacks That Decide Who Gets Elected (and Who Doesn't))*¹⁹ Marks nie usprawiedliwia się, a przeciwnie, szczyci osiągnięciami w ujawnianiu niewygodnych dla konkurencyjnych polityków zdarzeń i faktów.

Dlatego z uwagi na efektywność technik negatywnych (czarnego PR) politycy muszą być na nie zawsze przygotowani, choćby ich sami nie stosowali. Prezydent Truman powiedział: „jeśli nie znosisz gorąca, wyjdź z kuchni”. Na ogół gromadzi się amunicję na zapas, a czasami dla odstraszenia wrogich ataków. Jej użycie ma jednak swoje niebezpieczeństwa – może wywołać negatywną reakcję u tych wyborców, którzy mogą nie akceptować oblewania pomyjami rywali, mimo fascynacji ciemnymi stronami życia celebrytów. Negatywizm wobec przeciwnika należy zatem godzić z utrzymaniem własnej pozycji jako wielce moralnego kandydata. Trudne, ale w tym kryje się mistrzostwo polityka. Obzruca błotem tak, aby sam był czysty. Najlepszą przeto jego metodą jest przeciek do mediów, a one już zrobią resztę. Wprowadzić polityka na medialne *killing fields*, oto zadanie dla mistrzów tego gatunku dziennikarstwa. Nawet szacowni dziennikarze mogą się przekształcić w politycznych paparazzi, albo piranie.

Polityka skandalizacji i medialna polityka

To banał, ale w tym miejscu muszę przypomnieć fundamentalną polityczną rolę mediów, w tym przede wszystkim masowych, dla funkcjonowania pozostałych podsystemów społecznych, w tym władzy politycznej. Tradycyjnie pełniące czołową rolę mechanizmy partyjne ulegają istotnemu osłabieniu, wobec oczywistego osłabienia systemu partyjnego (członkostwo, identyfikacja, lojalność). W rezultacie, jak twierdzą Ginsberg i Sheffer, „to nie wybory są decydujące dla mechanizmów rozwiązywania konfliktów i tworzenia rządów... coraz większe znaczenie mają takie narzędzia jak parlamentarne komisje śledcze, rewelacje medialne i procesy sądowe, zaś coraz mniejsze – walka o głosy”²⁰. O układaniu list wyborczych decydują rankingi popularności (sondaże), a wyborcy bardziej patrzą na osobowość niż partyjną tożsamość i ideologię, zatem staje się zrozumiałe, że politycy sami szukają każdej okazji dla własnej promocji (kultura „promocjonalizmu”²¹). Zanika ideologia, rośnie personalizacja polityki. Można wspomnieć o częstej chorobie polityków-celebrytów nazwanej żartobliwie mediozą. Jeśli taki chory nie pojawia się w mediach, zwyczajnie gaśnie. Dopiero skandal przywraca go do życia.

Skandal potrzebuje mediów, one przecież go nagłaśniają. Polityka redakcyjna jest nastawiona na personalizację (celebryci), a zarazem przekazy negatywne uznaje za najbardziej atrakcyjne. Ponieważ medialna polityka jest po prostu rzeczywistą polityką w erze informacji²², to właściciele mediów używają skandali by przyciągać czytelników, ale także demonstrować swą władzę nad państwem i polityką. Pierwszą władzę, nie czwartą. Zniszczenie wybranego reprezentanta narodu ukazuje całą potęgę mediów, jak to pokazywał film *Wszyscy ludzie prezydenta* o roli reporterów „The Washington Post” w aferze Watergate. Jednak nie zawsze skandale mają taką siłę rażenia. Na ogół nie niszczą samego systemu politycznego, choć odsłaniają partie, natomiast często eliminują konkretnych polityków, ale i to niepewne – zależy to od kraju, rangi urzędu, kultury obywatelskiej.

Polityczny to taki skandal, w którym polityk lub urzędnik rządu jest oskarżony o udział w nielegalnej, szkodliwej lub nieetycznej sprawie. Polityczny skandal zwykle polega na łamaniu prawa i tuszowaniu niegodziwości. Toteż z ukrywania wiedzy o skandalu można ciągnąć niezłe profity. Wiedzą o tym szantażyści, poszukujący ich *paparazzi* oraz szefowie mediów.

Na trop wielkiego szantażu naprowadziło wszczęte w 2008 roku dochodzenie w pokrewnej sprawie „króla” włoskich *paparazzi* Fabrizio Corony, któremu zarzucano szantażowanie między innymi piłkarzy. Fotograf skazany został za to niedawno na trzy i pół roku więzienia. Nie ulega wątpliwości, zaznaczają media, że szantażowanie znanych osób, ofiar agencji fotograficznych i niezależnych *paparazzi* stało się we Włoszech wielkim biznesem. Podjęto dochodzenie w sprawie dwu-

¹⁹ Stephen Marks, *Confessions of a Political Hitman: My Secret Life of Scandal, Corruption, Hypocrisy and Dirty Attacks That Decide Who Gets Elected (and Who Doesn't)*, Sourcebooks, Inc, New York 2008.

²⁰ Benjamin Ginsberg i Martin Sheffer, *Politics by Other Means: Politicians, Prosecutors, and the Press from Watergate to Whitewater*, W.W. Norton & Co, New York 1999, s. 16.

²¹ Howard Tumber, *Scandal and Media in the United Kingdom. From Major to Blair*, *American Behavioral Scientist*, vol. 47, No. 8, 1122-1137 (2004), s. 1124.

²² M. Castells, *Communication Power*, s. 250.

dziestu przypadków szantażowania włoskich polityków i celebrytów za pomocą kompromitujących zdjęć. Ujawniono, że prominentny polityk zapłacił szantażystom 300 tys. euro, by zablokować publikację jego fotografii. Dostarczone przez fotografów zdjęcia wykorzystywano w dwojaki sposób: „łagodniejsze” publikowano, a bardziej kompromitujące odsprzedawano samym zainteresowanym za kilkadziesiąt tysięcy euro.

Okazało się, że te przestępcze działania wyszły daleko poza działające niezgodnie z prawem agencje fotograficzne, bo zamieszani w to byli przedstawiciele mediów, w tym szefowie redakcji. Dziennik „La Repubblica” zauważa, że cały proceder był odgórnie sterowany na poziomie potężnych redakcji prasowych i stał się groźnym narzędziem szantażu także wobec polityków. Według tej gazety centralną rolę w negocjacjach z agencjami fotograficznymi w sprawie kompromitujących zdjęć odgrywał redaktor naczelny popularnego kolorowego pisma „Chi” Alfonso Signorini. Tygodnik ten wydawany jest przez koncern Mondadori, należący do premiera Silvia Berlusconi.

Z kolei internet ułatwia denuncjację polityczną na dwa sposoby – udostępnia portale masowe dla oskarżeń z różnych źródeł, także anonimowych oraz pokonuje redakcyjne filtry poważnych mediów drukowanych.²³ Każdy może ujawniać swoje prawdy, plotki, pomówienia. Po drugie – informacje szybko się rozchodzą w sieci w różnoraki sposób, m.in. przez szeptany wirusowy marketing, polemiki blogerów. Sieć aż huczy od skandali, jak dawny przysłowiowy magiel.

Skandalizacja polityczna jest bardziej skuteczna – i to powinno niepokoić – w przypadku młodszych i politycznie niezdecydowanych, niewyrobionych odbiorców nie tylko dlatego, że są bardziej emocjonalni, a mniej życiowo doświadczeni. Jak wykazały badania przedstawione w Paryżu na kongresie europejskich konsultantów politycznych, jeszcze 10 lat temu czas skupienia uwagi przeciętnego Europejczyka wynosił około 40 sekund. Obecnie, na skutek szybszego tempa życia, zmieniających się mediów, bombardowania informacjami, czas skupienia uwagi wynosi średnio kilkanaście sekund²⁴.

Każdy skandal jest inny, ale też każdy przebiega według tych samych reguł, dlatego we wszystkich aferach uwidaczniają się podobne schematy. Hans Mathias Kepplinger ukazuje, w jaki sposób pewne nieprawidłowości przekształcają się w skandale oraz jak wewnętrzna dynamika mediów sprawia, że z małych skandali powstają duże²⁵. Proces skandalizacji oraz mechanizmy, które się aktywizują w jego trakcie prowadzą do tego, że z anomalii rodzi się skandal, z przyłapanego na uczynku sprawcy – bezbronna ofiara, a z obojętnej publiczności – wzburzona masa obywateli. Autor przedstawia, czym różni się punkt widzenia uczestników od perspektywy obserwatorów oraz co decyduje, że wszyscy sprawcy czują się pokrzywdzeni. Wyjaśnia również, dlaczego w trakcie skandali publiczność zawsze daje wyraz oburzeniu, potem zaś nie ro-

zumie, jakie motywy nią kierowały. Opisuje wreszcie, dlaczego w *apogeum* skandalu prawdziwy obraz sytuacji zostaje zazwyczaj zafałszowany, co na ogół nie obchodzi obserwatorów wydarzenia.

Jednocześnie, co mocno podkreśla Kepplinger, skandalizacja medialna nie zawsze oznacza rzeczywisty skandal. Nader często okazuje się, że zarzuty były rozdmuchane, a reakcja społeczna – przesadna. Następuje umorzenie, niewinnienie, ale to już niewiele interesuje opinię publiczną²⁶. Zwykle polityk zostaje wyeliminowany z sfery publicznej. Po pewnym czasie proporce zostają przywrócone, ludzie o nim zapominają, a jedynie „bohater” pozostaje z traumą na całe życie.

Kepplinger wykazuje na obszernym materiale fotograficznym, iż ocena doniosłości sprawy dokonywana *ex post* nie musi wcale się pokrywać z pierwotnie używanym określeniem skandal lub afera. Może więc nie jest aż tak czarno i źle z korupcją i moralnością w polityce?

Autorzy raportu *20 lat amerykańskich inwestycji w Polsce* omawiają odczucia inwestorów. W Polsce działa ponad 760 firm z kapitałem amerykańskim, które zatrudniają 180 tys. pracowników. Aż 67 proc. badanych firm chce w najbliższym czasie zainwestować więcej i rozwijać tutaj działalność. Z raportu wynika, że głównymi wadami według nich są fatalne drogi, zaniedbana kolej, biurokracja i nieprzejrzysty system podatkowy. Co ciekawe, zagraniczni przedsiębiorcy wcale nie wskazują na korupcję jako istotny problem w prowadzeniu działalności²⁷.

Na koniec przywołam wspomnianego już Wacława Potockiego:

DO JEDNEGO SENATORA (moralizatora)

„Nierządem Polska stoi!” – mówieś w senacie;

Idźże do Rzymu, a nam wioski zostaw, bracie!

Tu umrę, gdzie się rodził; tam się wróćę,

skądem;

Siedź ty w Rzymie; wytrwam ja w Polsce z tym

nierządem.

Aż się prosi aby ten wiersz sparafrazować stosownie do wypowiedzi pewnego słynnego ostatnio polskiego golfisty na Florydzie. Ale nie w Rzymie ani na golfowych polach Florydy, ale w Polsce nasze miejsce, bowiem choć ona może dzikością i nierządem stoi, to przecież w nie rządzie, ale w samorządzie nadziei upamiętnić można.

TOMASZ GOBAN-KLAS

²³ Na przykład internetowy Drudge Report wywołał aferę Clinton-Levinsky.

²⁴ Teksty prasowe były wówczas dłuższe, bo przez czterdzieści sekund uwagi udawano się nie zapomnieć odbiorcy, o czym przeczytał na początku. Politycy wygłaszali wielogodzinne przemówienia.

²⁵ Hans M. Kepplinger, *Polityka skandalizacji w mediach*, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2008.

²⁶ Dr Pietrowicz: „Statystycznie rzecz ujmując, organa ścigania interesowały się prawie 90 proc. afer, ale jedynie blisko 60 proc. trafiało do sądów, a tylko w 30 proc. zapadały prawomocne wyroki. Co więcej, tylko w kilkunastu przypadkach mieliśmy do czynienia z sytuacją, w której skazany zostaje główny aferzysta. Najczęściej wyroki dotyczą wątków pobocznych w aferze”. http://www.wiadomosci24.pl/artukul/nasz_dziennik_aferzysci_unikaja_kary_123311.html

²⁷ Raport przedstawiono 19 stycznia 2010. <http://www.tvn24.pl/12692,1638944,,usa-lubia-inwestowac-w-polsce,wiadomosc.html>

LUDWIG WITTGENSTEIN

ETYKA

Wittgenstein wygłosił jedyny publiczny wykład pt. *Lecture on Ethics* w 1930 roku. Udostępniony w przekładzie niemieckim przez redakcję „Neue Züricher Zeitung” ukazał się drukiem w wydawnictwie Turia & Kant.

Do wyjaśnienia naukowej materii potrzeba serii wykładów, a nie pojedynczego odczytu. Inną możliwością mógłby być tzw. odczyt popularno-naukowy, czyli taki, który pozwoliłby państwu uwierzyć, że zrozumieliście coś niecoś, choć w rzeczywistości nadal nie rozumiecie, a taki – moim zdaniem – nakierowany byłby na zaspokojenie najniższych potrzeb współczesnego człowieka, a mianowicie zaspokojenia powierzchownej ciekawości wobec pewnych odkryć nauki. Ostatnia trudność, jaka jest przede mną, dotyczy wszystkich dłuższych wywodów filozoficznych; mianowicie słuchacz nie dostrzega drogi, którą go poprowadzę, a także celu, ku któremu zmierzam. To znaczy, że albo pomyśli „wprawdzie wszystko rozumiem, co on gada, ale na miłość boską, ku czemu on zmierza?”, albo rozmyśla: „rozumiem, do czego on zmierza, ale na miłość boską, jak on tam dotrze?” Mogę, więc je-

dynie prosić państwa o cierpliwość i zapewnić, że na końcu dostrzeżecie nie tylko drogę, lecz także cel, do którego ona prowadzi.

No, to zaczynam. Moim tematem jest etyka i podejmuję się wyjaśnienia tego pojęcia, które profesor Moor podał w książce *Principia ethica*. Mówi tam: „Etyka jest powszechnym pytaniem o to, co to jest dobro”. Jednakże użyję pojęcia „etyka” w nieco szerszym sensie, który – moim zdaniem – zawiera ważniejszą część tego, co ogólnie nazywa się „estetyką”. Żeby państwu możliwie przejrzyście i jasno wyłożyć to, co uważam za przedmiot etyki, przedstawię parę zdań mniej lub bardziej jednoznacznych, które każdy mógłby wypowiedzieć zamiast definicji Moore’a. Pragnąłbym formułując je osiągnąć to, co udało się Galtonowi, kiedy sfotografował na tej samej kliszy pewną liczbę rozmaitych twarzy, aby otrzymać typowe, wspólne dla nich wszystkich rysy. Właśnie na takim obrazie mógłbym pokazać, jak np. wygląda typowa twarz Chińczyka, więc ufajmy, że i państwo potraficie w tych zdaniach dostrzec i rozpoznać cechy wspólne dla kilku równoznacznych zdań charakteryzujących etykę.

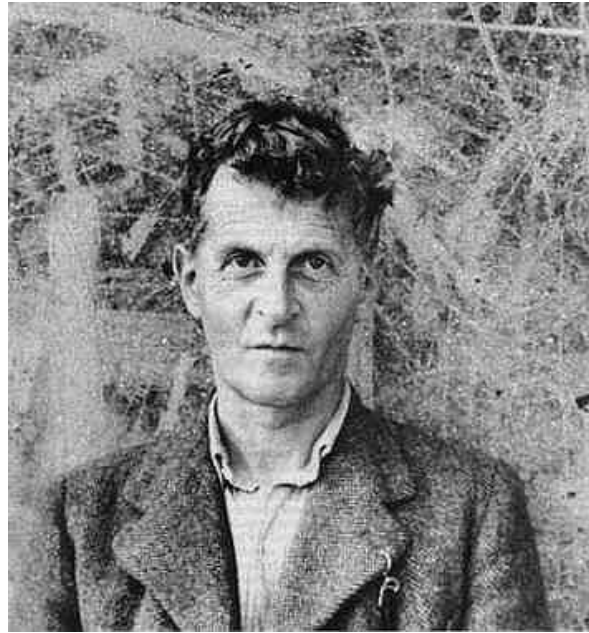
Zamiast zdania „Etyka pyta o to, co jest dobre”, mógłbym również powiedzieć: etyka pyta o to, co jest cenne, albo jeszcze ...o co właściwie chodzi, albo mógłbym również powiedzieć: etyka pyta o sens życia, lub: co czyni życie cennym, a potem pyta o uczciwy sposób życia. Wierzę, że jeśli państwo przyjrzą się dobrze tym zdaniom, uzyskacie przybliżone pojęcie o tym, czym zajmuje się etyka. Ktoś zapewne zauważy, że wszystkie te zdania można rozumieć dwojako, to znaczy używa się ich na dwa odmiennie od siebie sensy. Jeden z nich nazwę powszednim lub względnym, inny etycznym albo absolutnym.

Jeśli powiedziałbym, że to krzesło jest dobre, to znaczy, że to krzesło służy pewnemu określone mu z góry celowi, a słowo „dobre” ma sens tylko o tyle, o ile cel ten uprzednio założono. „Dobre” w relatywnym (względny) znaczeniu nie oznacza niczego innego, jak to, że osiągnięto pewien założony z góry standard. I podobnie, jeśli powiemy, ten człowiek gra dobrze na fortepianie, to mamy na myśli, że potrafi on grać utwory o pewnym stopniu trudności, wymagające określonego stopnia biegłości. I podobnie, jeśli mówię, dla mnie jest ważne, żeby się nie przeziębiał, to mam na myśli, że zaziębienie zakłóci w pewien sposób, który można opisać, moje życie; a jeśli powiem, że to właściwa droga, mam na myśli, że ze względu na określony z góry cel jest wobec niego względna.

Zdania te, gdy je w taki sposób zastosujemy, nie nastęrczają żadnych trudności i jakichkolwiek większych problemów. Nie jest to jednak sposób, w jaki stosuje je etyka. Przypuśćmy, że gram w tenisa, ktoś z państwa zobaczy mnie na korcie i powie: „pan gra bardzo kiepsko”, i założmy, że odpowiem: „wiem, że gram źle, ale wcale nie chcę grać lepiej”, wtedy ów ktoś mógłby najwyżej powiedzieć: „no, w takim razie wszystko jest w porządku”. Przypuśćmy jednak, że kogoś z państwa paskudnie okłamię; wtedy ów podejździe do mnie i powie: „pan się niezdolnie zachowuje”. Gdybym na to odpowiedział „wiem, że się źle zachowuję, ale zupełnie nie mam zamiaru zachowywać się lepiej” – czy wtedy mógłby on powiedzieć „no, w takim razie wszystko jest w porządku”? Z pewnością nie; powie on raczej „powinien pan jednak zachowywać się lepiej”. To jest już absolutny osąd wartościujący, zaś poprzednie przykłady były osądami relatywnymi.

Istotne w takim rozróżnieniu jest: każdy relatywny osąd ocenny to zwykłe stwierdzenie faktów, można go także sformułować w taki sposób, że traci wszelki pozór osądu ocennego; zamiast powiedzieć: „to jest właściwa droga do Granchester” mógłbym równie dobrze powiedzieć: „jeśli zamierza pan tak szybko, jak to tylko możliwe dotrzeć do Granchester, to odpowiednia dla pana droga”. „Ten człowiek jest dobrym biegaczem” znaczy po prostu, że pokonuje określony dystans milowy w określonej liczbie minut, To co chcę wykazać, a można udowodnić na podstawie każdego relatywnego osądu wartościującego, jest zwyczajnym stwierdzeniem faktów. Żadne stwierdzenie faktów nie staje się nigdy absolutnym osądem ocennym, ani go nie implikuje.

Proszę pozwolić mi jeszcze na takie wyjaśnienie: założmy, że wśród państwa znajduje się ktoś absolutnie wszechwiedzący, kto zna wszystkie ruchy wszystkich ciał świata żywych i martwych, a jego wiedza



ogarnie stan ducha wszystkich ludzi, którzy kiedykolwiek stąpali po ziemi. Przypuśćmy, że człowiek ten spisałby wszystko co wie w jednej ogromnej książce, taka książka zawierałaby pełny opis świata. To zaś, do czego zmierzam brzmi, że w owej książce nie znalazłoby się nic, co określamy jako osąd etyczny, jako osąd etyki, ani też nic, co logicznie wiodłoby do takiego osądu. Księga zawierałaby oczywiście wszystkie względne osądy i wszystkie byłyby prawdziwymi twierdzeniami nauki, i w ogóle spisane byłyby w niej wszystkie prawdziwe zdania, możliwe do sformułowania. Można również powiedzieć, że wszystkie owe twierdzenia byłyby, – że się tak wyrażę – na tym samym poziomie. Nie istnieją sądy, które w jakimkolwiek bądź sensie są bardziej dostojne, ważniejsze lub podzędne.

Może teraz niektórzy z państwa podzielą taki pogląd pamiętając o słowach Hamleta: „W rzeczy samej, nic nie jest złem ani dobrem samo przez się, tylko myśl nasza czyni to i owo takim”.¹ Niestety, to również prowadzi do nieporozumienia. Istnieje, jak wskazują słowa Hamleta, zło i dobro, nie są to jednak atrybuty świata zewnętrznego, lecz cechy stanu naszej duszy. Jednakże uważam, że stan naszej duszy – jeżeli pojmujemy go jako stan pozwalający się opisać – w sensie etycznym, nie jest ani dobry, ani niedobry lub zły.

Gdy we wspomnianej księdze czytamy opis mordu, zawierający wszystkie szczegóły techniczne i psychologiczne, to mamy do czynienia jedynie z nagim opisem faktów niezawierającym niczego, co można by nazwać osądem etyki. Mord znajdzie się na takim samym poziomie, jak każde inne zdarzenie, np. upadek kamienia. Z pewnością czytanie takiego opisu może wywołać w nas ból lub oburzenie, albo wzbudzić jeszcze inne uczucia, możemy też przeczytać o bólu i oburzeniu innych ludzi, gdy się o tym dowiedzieli; będą to jednak fakty, fakty i jeszcze raz fakty, nie będzie niczego o etyce.

¹ Przekład Józefa Paszkowskiego

A teraz, jeśli wyobrażam sobie, jaka powinna być etyka, jeżeli taka nauka istnieje, to muszę powiedzieć, że wynik wydaje mi się oczywisty. Sądzę, to bezsporne, że o wszystkim, o czym myślimy lub mówimy, nic nie będzie rzeczą. Nie możemy napisać książki naukowej, której materia w istocie będzie nadrzędna wobec innych treści. Moje myśli mogą ująć tylko w metaforę i gdyby ktoś potrafił napisać książkę o etyce w taki sposób, żeby rzeczywiście była to książka o etyce, wówczas taka książka eksplodowałaby i zniszczyła inne książki świata. Nasze słowa są naczyniami i jeśli używamy ich tak jak nauka, zawierają sens i znaczenie, i potrafią komunikować materialne znaczenie i materialny sens. Etyka jednak, jeśli coś takiego w ogóle istnieje, jest niematerialna. Słowa nasze wyrażają tylko fakty: jeśli do szklanki wyleję cały dzban herbaty, jej objętość mieści nadal tylko objętość nalanej wody.

Powiedziałem: jeżeli sprawa dotyczy rzeczy i sądów, istnieją jedynie wartości względne, tylko relatywnie dobre lub słuszne itd. Pragnę przedstawić to na prostym przykładzie: właściwa droga to ta, która prowadzi do dowolnie wytyczonego celu. Dla wszystkich jest jasne, że będzie to całkiem bez sensu, jeśli nie powiążemy tego z wytyczonym, z góry określonym celem. A co możemy w ogóle sądzić o wyrażeniu „absolutnie słuszna droga”. Uważam, że będzie to droga, dla każdego, który ją dostrzeże, wstąpi na nią z logiczną konsekwencją, albo będzie się wstydział, że nią nie podążył. I podobnie, absolutne dobro, jeśli taki stan będzie istniał i można go będzie opisać, to każdy bez względu na okoliczności i upodobania uzna za konieczne, aby kierować się nim; w przeciwnym razie poczuje się winien, że go nie przestrzegął. Sądzę też, że taki stan rzeczy jest chimerą². Żaden stan rzeczy nie ma w sobie potęgi wszechwładnego sędziego.

Co mamy począć, my wszyscy, których – jak mnie – korci używanie wyrażenia „absolutne dobro” lub „wartość nadrzędna”, i co mamy wówczas na myśli, albo co staramy się wyrazić? Gdy próbuję sobie to uświadomić, zawsze przypominam sobie sytuację, w których mógłbym użyć takich wyrażenia, i znajduję się w położeniu, w jakim i państwo będziecie, gdybym wygłaszał do was odczyt o psychologii rozkoszy. Starabym sobie przypomnieć jakąś typową sytuację, w jakiej mógłbym użyć podobnych wyrażenia, kiedy zawsze odczuwam rozkosz. W uświadomieniu takiej sytuacji znajdzie się wszystko, o czym mógłbym wam powiedzieć. Ktoś uzna może za taki przykład własne wrażenie ze spaceru w piękny letni dzień... Właśnie znalazłem się w takim położeniu, gdy myślę, co uważam za „absolutną”, albo „etyczną wartość”. I ja również odwołuję się zawsze do myśli o określonym przeżyciu, posiadającym określony sens jako *par excellence* moje własne przeżycie. I to jest właśnie podstawa, czemu w powyższych wywodach przed państwem korzystam z osobistego przeżycia jako najbliższego dla mnie przykładu. To jest – jak powiedziałem – całkowicie osobista okoliczność, a dla innych może będą bliższe inne przykłady.

Opiszę takie przeżycie, abyście państwo mogli przypomnieć takie samo lub podobne i będziemy mie-

li potem wspólną płaszczyznę do dalszych rozważań. Sądzę, że nie potrafię tego lepiej opisać, jak tylko w takich słowach: ogarnia mnie zdumienie, że świat istnieje. Mógłbym też użyć innych zdań, np. „Jakież to zdumiewające, że coś w ogóle istnieje” albo „Jakie to dziwne, że świat może istnieć”. Pragnę również wspomnieć o innym przeżyciu, które mnie nawiedza i zapewne innym będzie znane – można je nazwać poczuciem absolutnego bezpieczeństwa. Mam na myśli stan ducha, o którym można by powiedzieć „jestem bezpieczny i cokolwiek się zdarzy, nic mi się nie stanie”.³

Pozwólcie państwo na przeanalizowanie obu tych przykładów. Sądzę, że posiadają rysy, które powinny być dla nas oczywiste. Od razu powiem, po pierwsze, że kształt językowy nadany takim przeżyciom jest nonsensem! Gdy powiem: „zdumiewa mnie, że świat istnieje”, popełniam nadużycie językowe. Jeśli mówię, że zdumiewa mnie jakiś przypadek, ma to zupełnie jasny sens; wszyscy rozumiemy o czym mowa; jeśli dziwię się, jaki duży pies, większy niż wszystkie, jakie dotąd widziałem, albo coś innego, co jest rzadkie w potocznym rozumieniu takiego słowa. W każdym z takich przypadków dziwię się temu, co się zdarzyło, co potrafiłbym sobie wyobrazić, gdyby zaistniał taki przypadek. Dziwię się wielkości pewnego psa, ponieważ potrafię sobie wyobrazić psa większego od innych i temu się dziwię. Powiedzenie „dziwię się, że istnieje jakieś zdarzenie” ma sens tylko wtedy, gdyby nie mógł zaistnieć taki przypadek. W takim sensie można się dziwić, że np. istnieje dom, jeśli zobaczymy go po latach, a wyobraziliśmy sobie, iż powinien być dawno rozebrany. Nonsensem jednak jest powiedzenie „dziwię się, że świat istnieje”, ponieważ nie mogę sobie wyobrazić, że mógłby nie istnieć. Potrafiłbym dziwić się temu, że świat wokół mnie jest, jaki jest. Np. gdybym patrząc na błękitnie niebo miał takie przeżycie, to mógłbym się dziwić błękitowi nieba, bo w innym wypadku bywa zachmurzone.

To jednak nie to, o czym myślę. Dziwię się temu, że „niebo w ogóle istnieje, jak zawsze istniało”. Można nawet powiedzieć, że co mnie zdumiewa, to mianowicie tautologia, bo niebo jest niebieskie albo nie jest niebieskie. Po prostu to nonsens mówić, że zdumiewa mnie tautologia. To samo dotyczy innego doznania, o którym wspominałem: przeżycia poczucia absolutnego poczucia bezpieczeństwa. Wszyscy wiemy, co potocznie znaczy być bezpiecznym. Jestem bezpieczny od koklusz, ponieważ go miałem, więc więcej go miał nie będę. Czuć się bezpiecznym to znaczy, że fizycznie to niemożliwe, że zdarzą mi się pewne rzeczy; dlatego nonsensem jest powiedzenie, jestem bezpieczny cokolwiek się zdarzy. To jest także nadużycie słowa „bezpieczeństwo” podobnie jak w innym przykładzie nadużyto słowa „istnienie” albo „zdumiewać”. Zależy mi na tym i staram się wbić to

³ Wittgenstein w 1910 roku oglądał w jednym z teatrów premierę sztuki Ludwiga Anzenbergera: *Die Kreuzelschreiber (Niepiśmienni – uwaga tł.)* doznając takiego właśnie przeżycia. W sztuce tej Steinklopferhans, buntowniczy wioskowy filozof (Jaś Kamieniottuk- uwaga tłumacza), opowiada o swojej trudnej młodości i o chorobie. Znalazłszy się całkowicie na dnie doznał widzenia i miał mistyczne przeżycie, że nic mu się stać nie może... , por.: Norman Malcolm, *Ludwig Wittgenstein, Ein Erinnerungsbuch*, Monachium-Wiedeń, str. 89 i nast. oraz Wilhelm Baum, *Ludwig Wittgenstein und Religion in Philosophisches Jahrbuch*, tom 86/1979, str. 272–299 i tegoż autora: *Ludwig Wittgenstein*, Berlin 1985 str. 15 i nast.

² Chimera – w mitologii greckiej potwór ziejący ogniem, dziecko Tyfona i Echidne.

państwu do głowy, że charakterystyczne przenoszenie do naszego języka pojęć etycznych i religijnych jest nadużyciem językowym. Na pierwszy rzut oka wszystkie takie pojęcia wydają się porównaniami.

Gdy np. używamy słowa „słuszny” w sensie etycznym, chociaż nie mamy na myśli zwykłego sensu owego słowa, jest on z nim spokrewniony; mówiąc „to dobry chłop” – słowo „dobry” nie jest tym samym co w zdaniu „to dobry piłkarz”, jednak wydaje się, że coś podobnego mamy na myśli. A jeśli mówimy „życie człowieka jest cenne”, mamy wprawdzie na myśli inny sens niż mówiąc o cennej biżuterii, choć pozornie mamy do czynienia z podobieństwem.

W takim sensie wszystkie pojęcia religii wydają się porównaniami albo używa się ich alegorycznie. Jeśli bowiem mówimy o Bogu i o tym, że On wszystko widzi, i jeśli klękamy i modlimy się do Niego, wszystkie nasze słowa i działania wydają częścią wielkiej skomplikowanej alegorii przedstawionej jako ludzka istota o wielkiej władzy, o której łaskę się ubiegamy itd., itd. Taka alegoria opisuje przeżycie, o którym właśnie mówiłem. To ludzie mają na myśli, gdy mówią, że Bóg stworzył świat; a przeżycie poczucia absolutnego bezpieczeństwa opisać można w następujących słowach: czujemy się bezpiecznie w rękę Boga. Dalszym przeżyciem tego rodzaju jest poczucie winy; je również opisać można zdaniem: Boga gniewa nasze zachowanie.

I tak się dzieje, że w języku etyki i religii nieustannie używamy porównań. Porównanie zaś musi być porównaniem czegoś z czymś. Jeśli chcę opisać jakiś fakt za pomocą porównania, muszę odrzucić porównanie i opisać to bez niego. A jeśli w naszym wypadku porzucimy porównania i chcemy nazwać fakty kryjące się za nimi, to widać, że takich faktów nie ma, zaś to co na pozór wydało się porównaniem, staje się czystym nonsensem. Jednakże owe trzy porównania przywiedzione jako przykłady (mógłbym dodać wiele innych), dla tych, którzy je przeżyli, a więc również i dla mnie zdają się czymś istotnym, co posiada wartość absolutną. Gdy mówię, że to są przeżycia, to musiały również istnieć fakty – zdarzyły się wtedy i wtedy, w takim a takim miejscu, trwały w określonym czasie, i dlatego pozwalają się opisać. Do tego muszę jeszcze dodać, że to nonsens twierdzić, jakoby miały wartość absolutną. Zamierzam to jeszcze ostrzej wyrazić: „to paradoks, że przeżycie, fakt, ma pozornie nadprzyrodzoną wartość”. Istnieje rzeczywiście droga do stawienia czoła takiemu paradoksowi.

Pragnę więc jeszcze raz powrócić do naszego pierwszego przeżycia, owego zdumienia nad istnieniem świata i proszę pozwolić, że opiszę je nieco inaczej. Wszyscy wiemy, co w zwyczajnym życiu nazwalibyśmy cudem, po prostu byłoby to jakiegokolwiek zdarzenie, którego dotychczas jeszcze nie widzieliśmy. Przypuśćmy, że coś podobnego się zdarzyło. Załóżmy, że komuś z państwa wyrosłaby lwia głowa, która nagle zaczęłaby ryczeć. Z pewnością byłoby to coś niezwykłego i z trudem mogę sobie to wyobrazić. Kiedy po takim zaskoczeniu przyszlibyśmy nieco do siebie, zaproponowałbym wezwanie lekarza, aby można było zbadać naukowo ten przypadek; gdyby nie sprawiło to bólu, poleciłbym przeprowadzenie wiwisekcji. I co pozostanie wtedy z cudu? To przecież

jasne, że cała cudowność znika, jeśli zaczniemy to tak właśnie analizować, chyba że słowami chcemy jedynie powiedzieć, iż jakiś fakt nie został jeszcze wyjaśniony przez naukę, co będzie znaczyć, że nie udało się dotychczas usystematyzować owego faktu naukowo.

Można z tego wynioskować, iż twierdzenie: „nauka udowodniła, że nie ma cudów” jest absurdalne. W rzeczywistości naukowa metoda analizowania faktu nie jest sposobem uważania go za cud. Jeśli bowiem wyobrazicie sobie państwo dowolny fakt, żaden z nich nie jest cudowny w absolutnym sensie. Widzimy teraz, że słowa „cud” użyliśmy w sensie relatywnym i absolutnym. Teraz mogę opisać przeżycie zdumienia nad egzystencją świata w taki sposób: to przeżycie, patrzeć na świat jako na cud.

Korci mnie, żeby powiedzieć, choć język nie zna takiego twierdzenia, że właściwym wyrazem w mowie dla cudu istnienia świata jest samo istnienie języka. Co jednak począć, jeśli niekiedy jesteśmy świadomi takiego cudu, a innym razem nie? Wszystko co powiedzialem o cudowności przenosząc *za pomocą języka* na inne wyrażenie, za pomocą mowy dzięki istnieniu języka, że wszystko co tym samym powiedziałem, i że wszystko, *co mówimy* o absolutnej cudowności pozostaje nonsensem, jako pragnienie wyrażenia czegoś, czego nie potrafimy wyrazić

Dla wielu z państwa odpowiedź taka wyda się całkiem jasna. Powiecie: no, dobrze, jeśli pewne przeżycia skłonią nas do przypisywania im cech wartości i rangi absolutnej albo etycznej, to dowodzi, że tymi słowami *nie wyrażamy* nonsensu, bowiem to, co mamy na myśli mówiąc, że przeżycie posiadało wartość absolutną, *jest w końcu faktem, jak każdy inny*, i że wszystko, co z tego wynika nie oznacza myślenia pojęciami etycznymi lub religijnymi, tylko nie znalazło jeszcze właściwej analizy logicznej. Jeśli do mnie odnieść ten zarzut, to natychmiast widzę jasno jak rozbłysk, iż żadem opis, który potrafię wymyślić dla wyrażenia tego co uważam za wartość absolutną, nie jest wystarczająco pomysłowy i że każde dowcipne zobrazowanie, które komukolwiek strzeli do głowy można z góry odrzucić, ponieważ jest sensowne.

To znaczy – teraz widzę, że owe pozbawione sensu wyrażenia nie były całkiem bez sensu, bo nie znalazłem jeszcze poprawnych wyrażen, lecz raczej ich bezsens ujawnił ich właściwą istotę. To co chciałem wraz z wami osiągnąć, było *wybiegnięciem ponad świat*, także ponad pomysłowość języka. Pognało mnie natarcie na granice mowy, co – jak sądzę – gna wielu ludzi kiedykolwiek próbujących mówić lub pisać o religii lub etyce. Takie natarcie na granice naszej klatki jest całkowicie rozpaczliwe. O ile takie pragnienie jest próbą powiedzenia czegoś o ostatecznym sensie naszego życia, o czymś absolutnie cennym i absolutnie dobrym, etyka nie może być nauką. To o czym mówi, nie nadaje naszej wiedzy żadnego sensu. Pozostaje jednak dokumentem dążeń człowieka godnych szacunku, które podzielam, i nie zamierzam z nich za żadną cenę żartować.

Przełożył JAN GÜNTNER

(Korzystałem z: Ludwig Wittgenstein, *Geheime Tagebücher*, Turia & Kant Verlag; Wien.)

WŁADYSŁAW MARKIEWICZ

O RALFIE DAHRENDORFIE

(1929 – 2009)

Po długiej i ciężkiej chorobie zmarł w dniu 17 czerwca 2009 roku Ralf Dahrendorf, niemiecko-brytyjski socjolog powszechnie uznawany za jednego z najwybitniejszych intelektualistów w Europie i w świecie. W związku z jego zgonem, ukazało się w licznych krajach, także w Polsce, wiele artykułów, wspomnień i refleksji na temat jego niezwykle urozmaiconego, barwnego i jakże owocnego żywota. Pragnę dołączyć swój głos do tego grona.

Zdaniem Jürgena Kocki pochodzenie Dahrendorfa wyjaśnia wiele z jego późniejszych zainteresowań i uzdolnień¹. Urodził się w 1929 roku w Hamburgu, rodzice wywodzili się z dołów społecznych, ale pięli się w górę wraz z SPD zrazu w polityce lokalnej, a później ogólnoniemieckiej w Berlinie, gdzie ojciec w 1932/33 został posłem do Reichstagu, a po 1933 utrzymywał się jako urzędnik handlowy do czasu, kiedy za uczestnictwo w sprzysiężeniu przeciwko Hitlerowi z 20 lipca 1944 r. został aresztowany i skazany na długoletnie więzienie.

W tej to rodzinie zebrał Ralf kapitał kulturowy, który umożliwił mu z czasem – jak powiada Kocka – żyć między ideami i instytucjami, nauką i opinią publiczną, uniwersytetami, społeczeństwem obywatelskim i polityką. Dahrendorf wspominał zawsze z pietyzmem rodzinną socjaldemokratyczną tradycję, która nakazywała traktować jako nierozłączne takie wartości jak ojczyzna, prawo, socjalizm i demokracja. Chociaż sam po uznaniu „końca socjaldemokratycznego stulecia” obrał inną, bardziej liberalną drogę, do socjaldemokracji zachował nieukrywany sentyment. Jako piętnastoletni młodzieniec na własnej skórze doświadczył okrucieństwa nazistowskiego reżimu, gdy na przełomie 1944/1945 roku został aresztowany i na parę tygodni osadzony w obozie gestapo we Frankfurcie nad Odrą. To krótkotrwałe bezpośrednie zetknięcie z brutalnym hitlerowskim aparatem ucisku immunizowało go na całe życie – jak stwierdza to w pamiętniku *Über Grenzen* (2000) – przeciwko wszelkim objawom totalitaryzmu.

W całej twórczości naukowej i publicystycznej oraz działalności organizacyjnej i politycznej Ralfa Dahrendorfa zbrukana przez nazizm idea wolności zajmuje miejsce wartości naczelnej. Temat wolności przewija się przez wszystkie jego dzieła, przy czym nie jest to dla niego idealistycznie pusta formuła, lecz przewodnik kierujący uwagę na niesprawiedliwość społeczną i nierówności socjalne. Przez wolność rozumie znacznie więcej niż wolny rynek, za którym zresztą się opowiada, m.in. ma na uwadze tak bardzo potrzebne nowoczesnemu społeczeństwu więzi międzyludzkie i orientacje na wartości humanitarne. Jego zdaniem

odrodzenie Niemiec po katastrofie hitleryzmu nastąpi dzięki otwarciu na Zachód i z niezwykłą energią podjął wielostronną działalność na rzecz spełnienia tej misji. Dobrze przysposobienie do niej zyskał dzięki rocznym studiom w London School of Economics w 1952/53, gdzie mistrzami jego byli uczeni tej rangi co Tom Bottomore i David Lockwood, a zwłaszcza Karl Popper, którego nazwał „ważnym, może nawet najważniejszym człowiekiem jakiego poznałem”. Jego prozachodnie nastawienie wzmocniło się po rocznym pobycie (1957/58) w Stanfordzie w Institute for Advanced Study in the Behavioral Sciences, gdzie napisał ważne rozprawy *Pfade aus Utopia* i *Homo Sociologicus*. Tam też nawiązała się jego dozgonna przyjaźń z Fritzem Sternem^{2**}. W latach późniejszych był stałym gościem zarówno w Wielkiej Brytanii, jak i w USA.

W dziedzinie nauki szczyty osiągnięć Dahrendorfa przypadają na lata pięćdziesiąte i sześćdziesiąte. Imponującym i wielce spektakularnym wdarciem się młodego badacza na szczyty socjologii światowej była jego praca *Klasy społeczne i konflikt klasowy w społeczeństwie industrialnym* wydana w 1957 r. w języku niemieckim i wkrótce po tym także angielskim, która z jednej strony zawierała krytykę Parsonsa, uchodzącego wówczas za papieża socjologii, z drugiej korekturę uznanej za klasyczną Marksowskiej teorii klas i walki klasowej. W stosunkowo krótkich odstępach czasu ukazały się kolejne dzieła: *Gesellschaft und Freiheit* (1961), *Gesellschaft und Demokratie im Deutschland* (1965). Wielkiej socjologicznej teorii, której się spodziewano, jednak nie przedstawił i w tym względzie ustępuje swemu poniekąd rywalowi i przyjacielowi Jürgeniowi Habermasowi. Rozprawa o klasach i konfliktach klasowych, która przysporzyła sławy autorowi, nie była pomyślana jako konkurencyjny w stosunku do teorii funkcjonalnej model konfliktowy, a raczej miała stanowić dopełnienie funkcjonalizmu^{***}. Nie była zatem proklamowanym przez Dahrendorfa „galileuszowym przewrotem myślowym”, jednakże w istotny sposób zmieniała dotychczasową perspektywę wyglądu społeczeństwa oraz metodologię badań.

Niewątpliwie najważniejszym dziełem Ralfa Dahrendorfa jest *Spoleczeństwo i demokracja w Niemczech*. W książce tej podejmował jako jeden z pierwszych problem tzw. „niemieckiej drogi odrębnej” (*deutscher Sonderweg*), który na kilkadziesiąt lat zdominował poszukiwania badawcze i rozważania analityczne przedstawicieli głównych dyscyplin społecznych w RFN: historyków—w, socjologów—w, politologów—w, psychologów—w społecznych i antropologów. Chodziło o odpowiedź na pytanie: jak to się stało, że naród filozofów i poetów

¹ Zob. J. Kocka, *Ralf Dahrendorf In historischer Perspective. Aus Anlass seines Todes am 17. Juni 2009*, Geschichte und Gesellschaft 35. 2009.

^{**} Zob. F. Stern, *Niemcy w pięciu wcieleniach*, Warszawa 2008.

^{***} Zob. J. Szacki, *Historia myśli socjologicznej*, wydanie nowe, część druga, Warszawa 2002 oraz M. Ziółkowski, *Teorie konfliktu i teorie władzy, w: Współczesne teorie socjologiczne*, Warszawa 2006.

wydał z siebie nazizm, najbardziej odrażający, morderczy system społeczno-polityczny w historii ludzkości? Do dziś w pełni zadowalającej odpowiedzi na to pytanie nie znaleziono, również wysiłki Dahrendorfa, chociaż dużo wyjaśniały, całej prawdy nie odkrywały. Dla teoretyków społecznych pozostał Dahrendorf mistrzem w zdolności nawiązywania kontaktów i współdziałania interdyscyplinarnego, co w odniesieniu do wzajemnych relacji historii i socjologii podnosi w cytowanym artykule Jürgen Kocka.

Ralf Dahrendorf był typowym „zwierzęciem politycznym” w arystotelerowskim czy machiawelowskim sensie tego określenia. Status profesora – uczonego starał się ten niez mordowany pracoholik godzić ze służbą społeczną w dziedzinie reformy szkolnictwa wyższego oraz z aktywnością polityczną na rzecz umocnienia liberalnej demokracji w Republice Federalnej Niemiec i w Europie. Był deputowanym do Bundestagu, wiceministrem i komisarzem Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej, współorganizatorem wzorcowego uniwersytetu w Konstancji. W życiu publicznym był ciągle obecny jako oryginalny uczonego analityk, jako wzięty publicysta od spraw socjalnych i politycznych, jako organizator i pomysłodawca rozmaitych urzędzeń i regulacji na niwie oświaty i kultury.

W okresie transformacji ustrojowej w ZSRR i w całym europejskim „obozie socjalistycznym” rozwinął niebywale rozległą twórczość publicystyczną. Pamiętam jak zaklinał Rosjan na wszystkie świętości, aby wprowadzając zmiany ustrojowe w swoim kraju nie naśladowali mechanicznie wzorców zachodnich. Przez kilka lat zamieszczał też swoje artykuły w „Gazecie Wyborczej”, niezwykle taktownie wprowadzając czytelników w tajniki nie zawsze przez nich właściwie rozumianej polityki międzynarodowej.

Czy w ogóle i ewentualnie jakie trwałe ślady powstawały po tej wszechstronnej pisarskiej krzątaninie nie da się określić, pewne jest tylko to, że oddziaływała ona na kulturę i ogładę polityczną Niemców i innych społeczeństw nad wyraz pozytywnie.

Chociaż wygląda to na paradoks, to jednak nosi wyraźne znamiona prawdy fakt, iż w życiu publicznym Dahrendorf silniej zaznaczył swoją obecność w Anglii aniżeli w RFN. Otóż w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych jego zainteresowania poznawcze i działania praktyczne przesuwają się stopniowo na teren Wielkiej Brytanii, co jednak nie oznaczało odsunięcia się od spraw niemieckich. W każdym razie został rektorem London School of Economics i pełnił tę funkcję przez długie lata, był też później kierownikiem słynnego St. Antony's College w Oxfordzie, w 1988 r. przyjął obywatelstwo brytyjskie, wreszcie w 1993 r. został lordem i dożywotnio członkiem Izby Lordów. Był bardzo uczulony na tym punkcie, by jego otoczenie, nawet w potocznych kontaktach, nie zapomniało o przysługującym mu tytule lorda.

Na koniec kilka zdań o moich osobistych kontaktach ze zmarłym uczonym. Poznaliśmy się w 1962 r. w czasie mego pobytu jako stypendysty w RFN. Dłużej przebywałem w Stuttgarcie, gdzie korzystałem z jednej z najlepszych w owym czasie bibliotek w Niemczech. Ponadto niedaleko leżała Tybinga ze swoim słynnym uniwersytetem, gdzie katedrę socjologii objął właśnie młodziutki jak na profesora zwyczajnego Ralf Dahren-

dorf. Nie pamiętam, jak często spotykaliśmy się z nim i jego asystentami Ernestem Zapfem i Hansgertem Peisertem. Były to jednak zawsze kontakty nad wyraz sympatyczne i owocne, w mojej książce *Socjologia i społeczeństwo w RFN* (Poznań 1966) Dahrendorf jest najczęściej przywoływanym autorem, co by świadczyło o tym, że należałem do grupki pierwszych obserwatorów, którzy poznali się na wyjątkowości tego uczonego. Naszą znajomość odnowiliśmy w 1966 r. w czasie Międzynarodowego Kongresu Socjologicznego w Ewian. Przeglądając wystawę polskich książek Ralf w otoczeniu swoich niemieckich kolegów zainteresował się ze zrozumiałych względów moją pracą o społeczeństwie i socjologii w Niemczech Zachodnich i po przejrzaniu bibliografii, indeksu nazwisk i angielskiego *summary* złożył mi gratulacje, po czym zwrócił się do jednej z towarzyszących mu osób (prawdopodobnie wydawcy) z głośną uwagą, że dzieło trzeba koniecznie natychmiast wydać w Bundesrepublik. Świadcami tego miłego dla mnie incydentu byli m.in. koledzy z NRD, którzy natychmiast przypuścili atak, że oni wydadzą książkę u siebie. Rzeczywiście wkrótce zawarliśmy umowę z wydawnictwem Akademii Nauk NRD, wypłacono mi honorarium, pracę przetłumaczono i szcztokę przesłano mi do korekty, ale – w księgarniach z powodów cenzuralnych rozprawa się nie ukazała. Po latach wspominałem o tym Dahrendorfowi; wściekał się, lecz nic już zrobić się nie dało.

Wspólnie przeżyliśmy też fragment „rewolucji studenckiej” w 1968 r. Byłem mianowicie gościem Zjazdu Niemieckiego Towarzystwa Socjologicznego we Frankfurcie nad Menem, a pamiętać trzeba, że właśnie studenci socjologii odgrywali przewodnią rolę w rozróbach uczelnianych. Zdominowali także salę obrad zjazdu. Ustupujący prezes Towarzystwa prof. Adorno zupełnie nie radził sobie z pyskówkami i wyskokami rozwydrzonych studentów, natomiast nowy prezes Dahrendorf znakomicie znosił się z nimi częściowo się zgadzając, a częściowo ostro polemizując. W czasie prywatnych spotkań skarżył mi się Dahrendorf, iż poważnych kłopotów, także finansowych, przysporzyli mu nieoczekiwani goście – czechosłowaccy socjologowie, którzy tłumnie zjawili się na zjeździe z przewodniczącym swojego towarzystwa prof. Tlustym na czele i wymusili przemówienie, czego zwykle w stosunku do zagranicznych uczestników – w Niemczech nie praktykowano.

Naszą przyjaźń formalnie, że tak powiem, zaklepaliliśmy w czasie przyjęcia w domu Peisertów k/Zurychu, z okazji 50-lecia urodzin gospodarza, który był najbliższym i najserdeczniejszym przyjacielem Ralfa. Po moim toaście na jego cześć, Dahrendorf zaproponował mi bruderszafta. Potem, już w okresie sierpniowego wstępu „Solidarności”, odwiedzał nas w towarzystwie reżysera teatru z Fürth prinza von Hohenlohe z małżonką w zapadłym kącie Borów Tucholskich; był w Polsce po raz pierwszy od czasów wojennych wakacji w Zakopanem i podkreślał różnice między PRL a NRD i Czechosłowacją (u nas ani razu nie zatrzymała ich milicja!). Był zdeklarowanym polonofilem i gdzie mógł, chętnie to demonstrował. W 1994 roku został członkiem zagranicznym Polskiej Akademii Nauk.

ROMAN WYSOGLĄD

WIERKSZE

Głupota stwierdzeń retorycznych

pada lekki deszcz, kiedy pisarz Carlos Fuentes
w Nowym Jorku podchodzi
w księgarni do zdumionego sprzedawcy i pyta
dlaczego wiele mil stąd Adama Zagajewskiego
boli głowa?

na szczęście nawet Carlos Fuentes nie na
wszystkie pytania
zna odpowiedź
przez co zyskuje tylko nasza
wyobraźnia
oraz niedokształceni tłumacze literatury
iberoamerykańskiej

W stronę prostej ułomności

czasami kobieta traci swoją godność
w sposób niezastępujący
na potępienie

podobnie dzieje się z dziećmi pragnącymi
dostać się wprost
do nieba
zwierzętami które za bardzo uwierzyły
w czystość duszy rzeźnika
czy z małymi kłamstwami którymi karmi nas
władza

i nie ma w tym wszystkim nic złego
poza małością każdego człowieka z osobna
która rozczarowuje
bardziej niż wieczność
przedstawiana jako coś mrocznego
o wiele bardziej niż
strach dotykający nas w każdej sekundzie
snu
traktowanego jako obowiązująca
rzeczywistość

Czasami brakuje słów

jeszcze wczoraj Julian Kawalec
miał w sobie cały wszechświat,
czyli Gorce z ukochanym Turbaczem

dzisiaj uwięziony na kilku metrach
kwadratowych

czeka
aż *Tańczący jastrzęb* poderwie go do
ostatniego lotu

Kierunek ściśle wytyczony

*(krótka instrukcja dla młodych poetów
w średnim wieku).*

najpierw należy skrócić kilka chwil
w lewo
a następnie
– jakby się nic nie stało –
zapytać pozostałych przy życiu
uciekinier—w
w którym kierunku znajduje się
Mekka narodowego kretynizmu

reszta jest już szalenie prosta
– wrzucić wsteczny bieg i na powrót
znaleźć się w epoce metafory
surrealistycznej
lub przynajmniej
niezrozumiałej dla nikogo
misji
nowej polskiej poezji

Zawsze znajdzie się niby kogoś znającego satysfakcjonującą odповідź

w okolicach miesiąca czerwca 1968 roku
w sali restauracyjnej krakowskiego hotelu Grand
około godziny 11.45 znany pisarz Władysław
Terlecki zamawia
trzydzieści pięć kieliszków z alkoholem
(dwudziestopięciogramowych, ponieważ takie
obowiązywały wtedy przepisy)

jakieś trzysta metrów w linii prostej
od hotelu Grand jego syn Ryszard
oparty o samego siebie usiłuje zaprotestować
przeciwko podobno
wszechogarniającej tak zwaną Polskę
degrengoladzie

w kilka godzin później Władysław T. płaci
rachunek i udaje się pisać
kolejną książkę o wyższości Armii Andersa nad
resztą narodu

Ryszard Terlecki żadnego rachunku nie
zapłacił do dzisiaj

ale podobno nie musi
gdyż teraz
jego niby prawda stała się
obowiązującą doktryną

Historia narodu w odcinkach

w tamtym kierunku popychano tylko
niewidomych

co prawda nie było to powszechnie
akceptowane
przez społeczeństwo
ale czego w Polsce nie robi się dla świętego
spokoju?

nieliczni, kt—rzy wr—cili opowiadali
niesłychane
historie o nieudanych powstaniach
niezamężnych kobietach
czy poetach niewiedzących co oznacza
przenośnia

i trwał ten wymaginowany letarg
do chwili kiedy jakiś wyleniały ubek
nie zaczął sprzedawać duplikatów
paszportów by zarobić na futro
dla permanentnie puszczającej się
żony

wtedy właśnie skonaliśmy ze śmiechu

Dostępność środków własnych

w pustym wiadrze
w którym kiedyś podobno była
woda
nawet niezdolny poeta doszuka się
prawdy

co innego kobieta albo polityk
ich zawsze stać na
fantazjowanie

Prawda bardziej niż oczywista

poeta Borghes pił tylko wodę
jeść lubił nożem i widelcem
nie widział, co pisze
ale za to rozumiał nie tylko
siebie

i dlatego ze spokojem
można dotykać jego
książek

W dniu, w którym umiera opieka społeczna

kiedy czasami sen przecieka między latami
straconymi
przepitymi
a jeszcze nienadeszłymi
zastanawiasz się co to wszystko
oznacza

prostego wytłumaczenia
nie ma
więc pozostaje jedynie wiara
w szybkie zdematerializowanie się
słów
gestów
prostych pojęć
jak i abstrakcji rozumianej
jako ostateczność

Truizm

aby życie miało jakikolwiek sens
najpierw należy umrzeć

cała tak zwana reszta to tylko
nikomu niepotrzebny dodatek do
pustki czasami nazywanej
– dość śmiesznie –
samotnością



Fot. Grzegorz Kozakiewicz

Rada Stowarzyszenia „Kuźnica”

przyznaje

Jerzemu Treli

Honorową Nagrodę KOWADŁA

w uznaniu

- wielkości jego sztuki wyznaczającej rangę polskiego aktorstwa
- jego trwałych osiągnięć pedagoga i animatora szkolnictwa teatralnego
- pięknych cech osobowości – humanisty i obywatela Rzeczypospolitej
- zawsze przyjaznych związków z „Kuźnicą”

Kraków, 15 luty 2010 r.

KOWADŁO DLA TRELI

LAUDACJA WYGŁOSZONA PRZEZ ANDRZEJA KURZA

Pamiętam – odkąd rozważaliśmy, komu, jako wybitnej a bliskiej nam postaci polskiej kultury, nauki czy służby obywatelskiej powinniśmy przyznać kuźniczańskim Kowadło, zawsze pojawiał się w naszych zamyślaniach Jerzy Treli i budził naturalną akceptację wszystkich. I zawsze wydawał nam się młody, młodszy od innych. Więc stawał się laureatem *in pectore*. Dziś, kiedy osiągnął wiek dojrzały, możemy z pełnym przekonaniem potwierdzić: był wielki i jest wielki. Wśród polskich aktorów – największy.

Zadziwiające: w środowisku, które składa się z samych indywidualistów, bo taka jest natura tego zawodu, w teatrze, który jest zjawiskiem – o paradoksie! – najbardziej zespołowym, nie tylko zespoleniem ludzi, lecz i zespoleniem sztuk wszelakich; w środowisku pełnym zazdrosnego współzawodnictwa choć i koniecznej współpracy, wielkość Treli przez nikogo nie jest poddawana w wątpliwość. Sprawia to nie tylko siła jego sztuki czy zawodowej umiejętności i pracowitości. Świadomie lub nieświadomie odczuwamy wszyscy coś więcej – Jerzy Treli to piękny człowiek. Reżyser, który zapewne w jego rozwoju artystycznym odegrał ogromną rolę, Konrad Swinarski, mówił: Treli jest czysty.

Przyszło mi sporo lat pracować pod kierownictwem Jerzego Treli w naszej szkole teatralnej i współpracować z nim w krakowskim środowisku twórczym. Odczuwałem więc mocno jeszcze jedną, niezwykłą cechę osobowości – głęboki zawsze namysł, nieskorość i niezdolność do wyrządzenia krzywdy czy to koledze ze sceny albo z uczelni, czy to wspólnemu wychowankowi, studentowi. I jeszcze, a może przede wszystkim – poczucie obywatelskiej odpowiedzialności za Polskę, a to u niego znaczy za polską kulturę i twórczy wysiłek, i za polskie państwo.

Sięgnę do wspomnień. Kiedy 28 listopada 1982 r. odsłaniałem pomnik Stanisława Wyspiańskiego, zgromadzony przed Muzeum Narodowym wielotysięczny tłum, którego obawiali się ludzie nie rozumiejący jednoczącej i budującej siły polskiej kultury, ten tłum uważnie słuchając słów polskiego wieszczki XX wieku przekazywanych przez troje najwybitniejszych aktorów – w Krakowa zastąpił w głębokim skupieniu i stał się nie tłumem, lecz gromadą Polaków, kiedy Jerzy Treli mówił modlitwę Konrada z *Wyzwolenia*. To jedno z najgłębszych przeżyć moich długich dziesięcioleci. Poczuję wtedy, nie po raz pierwszy zresztą – to wielki aktor, który rozumie wiele.

Podobnie, kiedy oglądałem go w Teatrze Telewizji, a Jerzy Treli grał u Kazimierza Kutza razem z Tade-

uszem Łomnickim, z którym też dane mi było w przeszłości pracować i być blisko, i występował w roli, wydaje się, niemożliwej do zbudowania – Stalina. Czułem nie tylko pełnię niezwykłego przeżycia, lecz i przekonanie, że mam do czynienia z twórcami, którzy rozumieją epokę.

Tak samo jak ja, o Treli, jego sztuce i jej wielkości, myślała moja domowa Pani Profesor i nasza córka. Nie gniewajcie się, że naruszając zapewne zasadę dystansu obiektywności, mówię o Jerzym Treli jako o postaci z teatru, telewizji i filmu obecnej w intymnym zaciszu domu, który już stał się tylko wspomnieniem.

Bo przecież o ten niezbędny, oparty na głębokim przekonaniu i doświadczeniu obiektywizm, postarała się Rada „Kuźnicy” w uzasadnieniu decyzji o przyznaniu Kowadła Jerzemu Treli.



TRELA O SOBIE.

G+NTNER O TRELI

Pisanie o Treli jest trudne. Trzeba używać superlatywów, a tego Laureat nie lubi. Zawsze wietrzy w tym jakiś podstęp albo nieszczerość. Ograniczam się do suchych faktów i Jego własnych wypowiedzi.

Dzieciństwo i młodość; Jerzy Trela, aktor teatralny i filmowy. Urodził się 14 marca 1942 roku w podkrakowskich Leńczach. Miał pójść w ślady ojca i dziadka i zostać kolejarzem. Mówi o sobie:

„Gdy miałem kilka lat, chciałem być maszynistą jak mój tata. Gdy miałem niecałe dziewięć lat, w moim życiu zdarzyła się tragedia. Śmierć ojca, nagła, niespodziewana. Mieszkaliśmy wtedy u wujka we Wrocławiu. Dopiero gdy dojechalismy do Krakowa, powiedział mi o śmierci ojca. To był ogromny wstrząs. Pogrzeb był dla mnie niesamowicie przykrym przeżyciem. Zostawił we mnie piętno na całe życie.

Wtedy pojawił się uraz i chociaż mama chciała, żebym poszedł do technikum kolejowego, z całą świadomością zrobiłem wszystko, aby nie zdać tam egzaminu. Postanowiłem więc nie kontynuować tradycji rodzinnej.

Matka wciąż się borykała z życiem. To zaczęło się po śmierci ojca, gdy odebrano jej wyszynk, który prowadziła w Leńczach. I została nam tylko bardzo skromna renta po ojcu, ogromnie krzywdząca”.

Edukacja i początki. Mówi o sobie: „Fascynowała mnie tajemnica, którą ma w sobie Kraków. Trudno nawet określić, czym ona jest. Coś ciągnie tutaj człowieka. Szkolne wycieczki – jak pamiętam – były męczące. Cały dzień chodziliśmy po mieście, a wieczorem, tacy zmordowani szliśmy jeszcze do teatru. Ale tam były wygodne fotele i można było się przespać. To była połowa lat pięćdziesiątych. Trudno narzekać na ciężkie dzieciństwo, ale ja właśnie takie miałem. Nie ja jeden zresztą.

Przez pół roku mieszkaliśmy u wujka we Wrocławiu i tam chodziłem do liceum. Ale od dziecka miałem sentyment do Krakowa, bardzo mnie tu ciągnęło. Nawet do tego stopnia, że dałem sobie zoperować wyrostek

robaczkowy, żeby tylko zostać w Krakowie i nie wracać do Wrocławia. Doszedłem do wniosku, że gdy pójdę do szpitala, zostanę w Krakowie. Po operacji z nudów trochę rysowałem. No i ktoś zamówił portret i zapłacił 10 złotych. A za drugi dostałem już dwa razy więcej. To dla mnie, dla dziecka była góra pieniędzy. I wtedy jeden z pacjentów zasugerował mi, żebym poszedł do liceum plastycznego. W końcu trafiłem do domu dziecka w Krzeszowicach, skąd – załatwiając mi internat w Krakowie – wyciągnął mnie wspaniały człowiek, dyrektor liceum plastycznego Józef Kluza”.

Kończy liceum plastyczne, w którym poznaje swoją przyszłą żonę, Georgette. Mówi: „Nie było mnie stać na studia i gdy pojawiła się szansa na zarabianie pieniędzy, skorzystałem z niej”. Podejmuje pracę w Teatrze Lalkowym przy ówczesnym Domu Kultury Huty im. Lenina, prowadzonym przez Zbigniewa Poprawskiego.

Mówi: „W teatrze robiłem lalki, dekoracje, maski. No i zacząłem grać. A po spektaklu, który zagralismy na festiwalu w Pradze, Zofia Jaremowa zaproponowała mi, chociaż nie miałem dyplomu, prawdziwy etat aktorski w Grotesce. Nie będąc dyplomowanym aktorem, miałem o jedną czwartą wyższą gażę od pensji, którą dostałem później w teatrze jako magister sztuki, po ukończeniu szkoły teatralnej z wyróżnieniem”.

Po wielokrotnych namowach Zofii i Władysława Jaremów, koleżanek i kolegów z Groteski m. in. Juliusza Wolskiego, zdaje do PWST w Krakowie i zostaje przyjęty na studia. W czasie studiów nawiązuje współpracę z Teatrem STU, który uważa go za swego współzałożyciela. Mówi: „Spotkałem wspaniałych ludzi, którzy czegoś pragnęli, do czegoś zmierzali. I tak powstał Teatr STU”.

Zagrał w nim m. in. rolę Popryszczyzna w *Pamiętniku wariata* Mikołaja Gogola w inscenizacji Krzysztofa Jasińskiego. Mówi:

„Z tym spektaklem pojechalismy na międzynarodowy festiwal do Erlangen w RFN. Gdy zobaczyliśmy inne wspaniałe, bogate inscenizacje, chcieliśmy się wyco-

fać. Baliśmy się, że wygwizdzą nas publiczność, bo mieliśmy na scenie do dyspozycji tylko siebie, krzesło i język dla nikogo niepojęty. I stało się coś przedziwnego. Po paru minutach zaczęliśmy słyszeć ciszę i doszliśmy w tej ciszy do końca spektaklu. A potem były brawa na stojąco. Ci ludzie spotkali się z teatrem, który był dla nich nowością i chociaż nie rozumieli słów, nasze stany emocjonalne były dla nich czytelne”. Przedstawienie to wyróżniono na festiwalu Pierwszą Nagrodą w 1966 roku.

Po ukończeniu studiów podejmuje pracę w Teatrze Rozmaitości u Haliny Gryglaszewskiej. Role: Mikołaj Gogol, *Nos* (1969, reż. Jan Łukowski), Michał Buthakow, *Ucieczka* (1969, reż. H. Gryglaszewska).

Od 1970 roku nieprzerwanie do dziś jest związany ze Starym Teatrem w Krakowie. Mówi:

„Stary był i wciąż jest moim ukochanym teatrem. Tu zostawiłem wszystko, co dla mnie najważniejsze. I nawet dla niego wchodziłem w politykę, czego, moim zdaniem, artysta nie powinien robić. Ale dla dobra teatru zostałem posłem. Był czas, kiedy w Polsce aktorom przypisywano misję społeczną, polityczną. Nobilitowano nas i może aktorzy za bardzo w to uwierzyli? Myśleli, że zawsze będą na specjalnych prawach? Misja – to się nam czasami przytrafia. Mam świadomość, że to było ze szkodą dla mnie – aktora, ale mimo to nie żałuję.”

Rozpoczyna się trwająca całe dziesięciolecia współpraca z Jerzym Jarockim; Czeladnik w *Szawcach* (1971), Agent Murdel-Bęski w *Matce* (1972).

W przedstawieniach Konrada Swinarskiego – *Dziadach* (1973) i *Wyzwoleniu* (1974), gra role Konrada Gustawa i Konrada, które zasługują niewątpliwie na miano wybitnych kreacji. Mówi:

„To było potworne obciążenie, bo wiedziałem, że nie jestem w stanie zrobić tego, co Gustaw Holoubek. Ale Swinarski chciał innego bohatera. Człowieka zwykłego. Jego Konrad zszedł z piedestału, wszedł na scenę z ulicy. To nie miała być tylko walka z zewnętrznym zniewoleniem, ale też z tym wewnętrznym, z własną męką, z samym sobą. Swinarski uporządkował mi *Dziady* w sensie interpretacyjnym. Te całonocne dyskusje, praca w gorączce, to była dla mnie wielka lekcja romantycznego teatru. Postać Gustawa Konrada to zupełnie nowa jakość w moim aktorstwie. Wszyscy byliśmy zafascynowani Konradem Swinarskim”.

W przedstawieniach Jerzego Jarockiego, Konrada Swinarskiego, Andrzeja Wajdy, Kazimierza Kutza i Krystiana Lupy zagrał role różnorodne: od epizodów po bohaterów pierwszego planu, role, które należą do największych osiągnięć polskiego aktorstwa. Mówi:

„Nigdy nie oceniam swoich ról. Są oczywiście takie, które sprawiają mi szczególną satysfakcję. Bywa nawet, że niektóre dopiero po dziesięciu, a czasem nawet po piętnastu przedstawieniach stają się dla mnie naprawdę jasne i przejrzyste. Należę do tych, którzy wierzą, że aktorstwo pozwala lepiej poznać siebie samego”.

To już dojrzałość. Pełnia. Jerzy Trela wkracza na scenę polską jako samodzielny, autonomiczny podmiot. *Warszawianka* Stanisława Wyspiańskiego (1976), gdzie przejmująco zagrał słynną, obciążoną tradycją Ludwika Solkiego rolę Starego Wiarusa. Kontynuował współpracę z Jerzym Jarockim w takich przedsta-

wieniach jak: *Rewizor* Mikołaja Gogola (1980), *Mord w katedrze* Thomasa S. Eliota (1982) i *Życie snem* Calderona (1983). W *Portrecie* Sławomira Mrożka (1988) stworzył postać Anatola.

Teraz już (pomijając chronologię, a tylko skupiając się istocie kreacji aktorskich Treli) powstają dzieła jak *Ślub* Gombrowicza (1991), *Mefistofeles* w *Fauście* Johanna Wolfganga Goethego (1997), *Hamlet*, *Dybuk*, *Affabulazione* Pasoliniego, *Termopile Polskie*,

Współpracował z Andrzejem Wajdą w *Z biegiem lat*, z *biegiem dni* (1978), *Hamlecie* Williama Szekspira (1981), *Dybuku* An-skiego (1988). Aktor pracuje również z twórcami o pokolenie młodszy: Krzysztofem Babickim – (Ojciec w *Affabulazione* Piera Paolo Pasoliniego, 1985), *Termopile polskie*, Tadeusza Macińskiego (1985) i Krystianem Lupą (*Odys* w *Powrocie Odysa* Stanisława Wyspiańskiego, 1981), Joachim von Pasenov w *Lunatykach II* według Hermanna Brocha, 1998).

Mówi o sobie:

„Ja jestem praktykiem. Zaczynając pracę nad rolą, staram się doprowadzić do stanu zerowego. I nie korzystam z doświadczeń i chwytów, których już kiedyś użyłem. Jeśli można to symbolicznie ująć, to bywam po drugiej stronie rampy i jeśli już na coś patrzę, to na publiczność, a nie na teatr. Oczywiście orientuję się jednak, co się dzieje w teatrze, a dzieje się różnie – raz lepiej, raz gorzej. Nie narzekałbym jednak na teatr. Słyszę o kryzysie teatru, odkąd zacząłem w nim pracować, a było to ponad 40 lat temu. Ja się tym nie przejmuję.

Są oczywiście chlubne wyjątki. Mówię tutaj o takich wybitnych osobistościach jak Kantor czy Grotowski. To taki fundament, podstawa, z której startuję do pracy nad rolą. Nauczylem mnie tego i Jerzy Jarocki, Konrad Swinarski i Jerzy Grzegorzewski. Miałem możliwość współpracy z nimi. W scenariuszach Dostojewskiego, w sztukach Szekspira, Eurypidesa, Sofoklesa, Mrożka. To oni mnie w teatrze zatrzymali.

Ale jakoś w Starym źle się zaczęło dziać. A na dołdek zaczęło mnie szarpać to z jednej, to z drugiej strony. Nie chciałem być instrumentem, nie chciałem być manipulowany. Za dużo w życiu mną manipulowano, także poza teatrem. Już nie chciałem, aby tak było kiedykolwiek, i odszedłem. Gdy zrezygnowałem, mogłem wziąć jakiś serial w telewizji, ale tego chciałem uniknąć za wszelką cenę.

Miałem propozycję wystąpienia w sitcomie. Dzięki tej roli mógłbym sobie kupić dom. Domu nie kupiłem, ponieważ nie potrafię przez rok być niewolnikiem jednego wygłupu. W gatunkach popularnych ulega się gustom publiczności. Jest to śliska i niebezpieczna droga, ponieważ sztuka powinna uwrażliwiać ludzi, odwoływać się do ich potrzeb duchowych. Nie powinna schodzić do pozycji hamburgera. Dlatego chętnie przyjąłem propozycję pracy w Teatrze Narodowym. Wiarę podtrzymał we mnie udział w *Sędziach* Grzegorzewskiego w Teatrze Narodowym. Czasem potrzebne jest potwierdzenie, że to, co się robi, jest słuszne”.

Taką akceptacją stała się pierwsza nagroda na Opolskim Festiwalu Sztuk Polskich oraz prestiżowy Feliks Warszawski za rolę Samuela w *Sędziach*, którymi uhonorowano „przybysza” z Krakowa. Jerzego Trele.

Teatr Narodowy, Warszawa: Wyspiański, *Sędziowie* (1999) i *Wesele* (2000) Grzegorzewskiego; kreował

postać Prospera w *Morzu i zwierciadle* na motywach poematu Wystana Hugh Audena, kolejnej inscenizacji Grzegorzewskiego (2002).

Mówi: „W moim wieku i z tym przywiązaniem do Krakowa nie mógłbym przenieść się do Warszawy. I mimo że tam mam kolegów, to tu są moje korzenie. Tu mam blisko do swoich gór. Głupotą byłoby się tam przenosić. Jeszcze za życia Jerzego Bińczyckiego, za jego namową wycofałem rezygnację. Zagrałem w Starym Teatrze w *Karierze Artura Ui*, gram w *Fauście* i *Lunatykach*. I nadal z wiarą, niecierpliwością czekam na to, co będę mógł robić w Starym Teatrze z zespołem, z którym tak wiele mnie łączy”. Niedługo potem, po śmierci Jerzego Bińczyckiego miało się okazać, że serdeczną troską Starego Teatru stało się „wypchnięcie” Treli na „wolny rynek”.

Stary Teatr: *Damy i huzary* oraz *Pieszko* – Kutz; *Wyzwolenie*, *Tango*, *Gombrowicz*, (gościnnie) *Ateneum Król Edyp* Sofoklesa, insc. Holoubka (2004), *STU – Kazanie ks. Bernarda* wg Kołakowskiego (2006), Teatr Polonia (Krystyna Jandy) *Becket Szczęśliwe dni* oraz *Wassa Żeleznowa* Gorkiego.

Jerzy Trela ma w swoim dorobku ponad 140 ról w Teatrze TV. Słynne inscenizacje Kutza, Stalin z Łomnickim i *Dzieci Arbatu*, *Kartoteka rozrzucona*, *Antygona w Nowym Jorku*, *Prorok Ilia* i *Car Mikołaj Słobodzianka*, gwiazdorski *Trąd w Pałacu Sprawiedliwości* gdzie idzie w zawody z Holubkiem i Zapasiewiczem (reż. Morgenstern), jeszcze są *Platonow* Czechowa (Hussakowski), *Do piachu* Różewicza (Kutz), *Wr—gludu* Ibsena (Jan Bleszyński), *Płaszcz* Gogola, (Domagalik) i wiele innych.

Na dużym ekranie Jerzy Trela potrafił odnaleźć się w bardzo różnych filmowych poetykach. W kinie, jak sam przyznaje, zawsze jest obsadzany po najmniejszej linii oporu, po tak zwanych warunkach – wyglądzie zewnętrznym. Spośród ponad siedemdziesięciu ról filmowych kilkanaście zasługuje na szczególne wyróżnienie. Natan – syn karczmarza Samuela w filmowej wersji *Sędziów* według dramatu Stanisława Wyspiańskiego w reżyserii Konrada Swinarskiego z 1974 roku, Radziwiłł Mikołaj Czarny w serialu telewizyjnym *Królowa Bona* (1980, reż. Janusz Majewski), wrażliwy, tłumiący w sobie tajemnicę sprzed lat Jan w *Aniele w szafie* (1987, reż. Stanisław Różewicz), Szttygar Grela w *Magnacie* (1986, reż. Filip Bajon), Pan Bronek w filmie *Trzy kolory. Biały* (1993, reż. Krzysztof Kieślowski), Józef, ojciec Kuby w *Autoportrecie z kochanką* (1996, reż. Radosław Piwowarski). Był przywódcą strajku w Kopalni Wujek w filmie *Śmierć jak kromka chleba* (1994, reż. Kazimierz Kutz), Podkomorzym w *Panu Tadeuszu* (1999, reż. Andrzej Wajda) i Chilonem Chilonidesem w *Quo vadis* (2000, reż. Jerzy Kawalerowicz).

Ostatnio, na dużym ekranie, można go było oglądać m.in. jako kłoszarda w refleksyjnej, poetyckiej komedii *Anioł w Krakowie* (2002, reż. Artur Więcek „Baron”) i w jej kontynuacji *Zakochanym aniele* (2006), a także Wizuna w *Starej baśni* (2003, reż. Jerzy Hoffman), cara Aleksego w *Ubu kr—* (2003, reż. Piotr Szulkin), czy gangstera Cygaro w filmie sensacyjnym *Skorumpowani* (2008, reż. Jarosław Żamojda). Nowe filmy są jeszcze przed premierami i mają jedynie robocze tytuły.

Mówi: „Trzeba balansować między męką a rozkoszą. Tylko na tych najwyższych uniesieniach można

robić dobrą sztukę. Jak się robi letnio, to i sztuka wychodzi nijaka. Oczywiście, z czasem dochodzi zawodowość, które jest teraz nie w modzie. Młodzi ludzie uważają, że od razu są artystami. Zapominają, że najpierw trzeba stać się zawodowcem. Artystą zostaje się później. Wszyscy wybitni artyści, od Dąbrowskiego po Lupę byli najpierw zawodowcami, a dopiero potem stawali się artystami”.

Działalność pedagogiczna. Od 30 lat oddaje się działalności pedagogicznej. W latach 1984-1990 był rektorem krakowskiej PWST. Za jego kadencji nastąpiło przeobrażenie programowe uczelni. W tym czasie uczelnia uzyskała nowy budynek ze sceną, w którym działa do dziś. Jeśli przyjąć, że rocznie opuszcza ją 15 dyplomantów, to w czasie trzydziestoletniej działalności pedagogicznej Jerzego Treli kilkaset osób zetknęło się z jego fascynującą osobowością i etosem pracy, któremu hołduje Laureat Kowadła.

Działalność publiczna: W latach 1986-1989 był członkiem Narodowej Rady Kultury; pełnił mandat posła IX kadencji (1985-1989) na Sejm PRL z ramienia PZPR. Członek Rady Konsultacyjnej przy przewodniczącym Rady Państwa PRL Wojciechu Jaruzelskim.

Dwukrotny laureat Nagrody im. Aleksandra Zelwerowicza przyznawanej przez redakcję miesięcznika „Teatr” – za sezon 1990/1991, za rolę Ojca w *Ślubie* Witolda Gombrowicza w Starym Teatrze im. Heleny Modrzejewskiej w Krakowie oraz za sezon 1998/1999, za rolę Samuela w *Sędziach* Stanisława Wyspiańskiego Teatrze Narodowym w Warszawie.

Odnaczenia: Kawaler Krzyża Kawalerskiego (1981) i Komandorskiego (2000) Orderu Odrodzenia Polski.

Jeśli zapytać go, kto znalazł się wśród jego mistrzów, bez wahania odpowiada: Jarocki, Swinarski i Kutz. Jeśli pytać o przyjaciół mówi: Jurek Bińczycki i Kazio Kutz.

Na koniec tajemnica Jerzego Treli. Mówi: „Aktor jest i prorokiem, i błaznem jednocześnie. Pewien zaprzyjaźniony redaktor telewizyjny wołał za mną na ulicy: »Cześć komediancie«. Bawiło mnie to tym bardziej, że w tym okresie grałem bardzo poważne romantyczne role.

Tu nie ma nic bezkarnie. Pracując swoim organizmem, psychiką, systemem nerwowym, ciałem, jak mogę czuć się bezkarnie? Teraz mam przedstawienie *Wielkie Kazanie Księdza Bernarda* wg Leszka Kołakowskiego, kiedy schodzę ze sceny i ściągam koszulę, to ona jest mokra. Ta praca to wielki wysiłek. Ona kosztuje. Teatr jest i będzie iluzją, teatr to nie życie. Oczywiście, im bliżej jesteśmy życia, tym bardziej potrafimy go dotknąć, otrzeć się o nie na scenie, ale to nigdy nie będzie prawda. Przecież ja nie gram dla siebie. To jest, owszem, moja satysfakcja i przyjemność, ale głównym celem jest stworzenie jak najbardziej wiarygodnej iluzji dla widza, którego chcę przekonać, poruszyć, wzruszyć, a czasem rozśmieszyć, nigdy oglupić”.

JAN GÜNTNER

(Wypowiedzi Jerzego Treli pochodzą z różnych wywiadów (m. in. Hanny Halek, Moniki Mokrzyckiej-Pokory, Łukasza Karkoszki, Katarzyny Janowskiej, Beaty Matkowskiej-Święs oraz ze „ZDANIA” (z rozmowy *Trzech na jednego*)

STANISŁAW BURKOT

„DWADZIEŚCIA LAT MINĘŁO”

Rok 1989 pozostanie w naszej historii jako przełomowy: nie chodzi o samą datę, lecz o zespół wydarzeń społecznych i politycznych poprzedzających i następujących bezpośrednio po niej, inicjujących kierunki przeobrażeń. Data ta w znaczeniu ścisłym niczego nie oznacza w przemianach literatury, sztuki, kultury. Bo rytmy historii politycznej i szeroko rozumianej duchowości się nie pokrywają. Oczekiwano po zmianie ustrojowej natychmiastowego „przełomu”, ale go nie było. Przełom rozumiano nie tylko jako nagłe zwycięstwo literatury, sztuki wolnej nad „zniewoloną” literaturą i sztuką PRL-u, lecz także jako prawdziwą eksplozję młodych talentów i nowych propozycji artystycznych. „Przełom” kojarzony był więc po heglowsku z „postępem”, bo oczekiwano rozkwitu kultury.

Te oczekiwania nie potwierdzały się w emocjach i możliwościach działań po zmianie ustrojowej. Co więcej – przez kilka lat dość powszechne okazywało się odczucie kryzysu, bo nagle zawalił się cały dotychczasowy „państwowy” porządek funkcjonowania kultury. Upadały czasopisma społeczno-kulturalne – „Kultura” (1981), „Poezja” (1989), „Miesięcznik Literacki” (1989), „Tygodnik Kulturalny” (1990), „Życie Literackie” (1991), „Literatura” (1992). Po śmierci Giedroyc’a (2000) przestała się ukazywać „Kultura” [paryska]. Przeżywały głęboki kryzys wielkie wydawnictwa, które powstały w PRL, choć znaczna z nich część przestała już dawno prezentować „literaturę reżimową”. Przypomnieć tu warto, że przed 1989 rokiem ukazywały się oficjalnie, choć w ograniczonych wyborach utwory pisarzy emigracyjnych, m.in. Gombrowicza, Wierzyńskiego, Mrożka, Miłosza, Taborskiego. Po 1989 roku wydawnictwa musiały przystosować się do wymogów rynku – zmienić profile wydawnicze i wysokości nakładów. Kryzys dotknął – i to głęboko – teatry, filharmonie, opery. Żadna z tych instytucji nie miała i nie ma także do dziś szans na finansową samowystarczalność – to jest utrzymanie się ze sprzedaży biletów wstępu, wynajmu sal na inne cele itp.; bilet „finansowej równowagi” w operze, filharmonii i teatrze sięgający absurdalnych kwot, byłby w istocie

całkowicie niedostępny nie tylko dla „przeciętnego” inteligentnego odbiorcy. Dla „nieprzeciętnych” – sztuka jest utrapieniem, a nie naturalną potrzebą.

Dla części instytucji kulturalnych ustanowiono państwowego bądź samorządowego mecenasa – jednak takiego „z węzłem w kieszeni”. „Kryzys” był więc codziennym doświadczeniem dyrektorów, reżyserów, wykonawców. Z repertuarów teatralnych zniknęły sztuki wieloobsadowe, ubogie stawały się propozycje scenograficzne. Odchodziła w przeszłość tradycja wielkich inscenizacji Swinarskiego, Jarockiego, Dejmk’a, Axera, Wajdy. Nie do powtórzenia po 1989 roku byłyby słynne krakowskie wystawienia *Dziadów*. Próby kontynuacji tej tradycji, umieszczania w repertuarach „klasyki” narodowej – zwłaszcza w wielkiej serii inscenizacji Jerzego Grzegorzewskiego (*Dziady – dwanaście improwizacji, Noc listopadowa, Nie-Boska komedia, Sędziowie*) – miały zmieniony kierunek interpretacji: egzystencjalnych, a nie narodowych. Ostatnie inscenizacje *Klątwy* (Wajda), *Balladyny* (Hanuszkiewicz), *Wesela* (Grabowski), *Powrotu Odysa* (Babicki) świadczyły o wygasaniu ważnych wcześniej zasad mówienia o współczesności poprzez kostium historyczny dramatów romantycznych i modernistycznych.

„Kryzys” zadomowił się w świadomości nie tylko twórców, pisarzy, ale także odbiorców, czytelników. Świadczyły o tym gwałtowne spadki nakładów w wydawnictwach i katastrofalne obniżenie się czytelnictwa. W teatrach nie było w pobliżu 1989 roku wyraźnych przejawów przełomu. Przemiany narastały powoli, zaznaczyły się jako wstępne sygnały od połowy lat dziewięćdziesiątych. W repertuarach prócz rzadkiej już „klasyki” pozostawali jeszcze twórcy dramatu awangardowego: Gombrowicz (*Ślub, Iwona, księżniczka burgunda, Operetka*); Witkacy (*Nowe Wyzwolenie, Sonata Belzebuba, Bzik tropikalny, Panna Tutli-Putli*); Schaeffer (*Tutam, Gdyby, Scenariusz dla trzech aktorów, Multimedialne coś*); Mroźek (*Garbus, Pieszo, Portret, Miłość na Krymie, Wielebni, Emigranci*); Różewicz (*Kartoteka, Odejdźcie glodomora, Do piachu, Pułapka,*

Świadkowie albo Nasza mała stabilizacja); Głowacki (*Fortynbras się upił, Antygona w Nowym Jorku*).

Jednak pod koniec lat dziewięćdziesiątych z repertuarów znikła najpierw „klasyka narodowa” (Mickiewicz, Słowacki, Wyspiański), później z dramaturgii awangardowej coraz rzadziej sięgano do Witkacego i Gombrowicza. Pozostawali niezmiennie Mrożek, Różewicz, Głowacki, Schaeffer, ale i oni ustępować zaczęli miejsca prawdziwej „nowej fali” debiutów młodych dramaturgów. Ich utwory coraz częściej trafiały do teatrów, by w pierwszym dziesięcioleciu XXI wieku stać się faktem dominującym.

Ale nim do tego doszło, zdarzyło się jeszcze jedno – w wielkich miastach powstawać poczęły teatry prywatne wspomagane przez fundacje, tworzone przez zespoły aktorskie, przez „przedsiębiorców teatralnych”. Nowe ekipy przejmowały do zagospodarowania puste hale fabryczne, opuszczone domy kultury, stare sale kinowe itp. W samej tylko Warszawie powstało ponad 20 nowych teatrów – mają charakterystyczne „postindustrialne” nazwy: Teatr Stara ProchoFFnia, Centrum Artystyczne Fabryka Trzciny, Teatr Montownia, Teatr Wytwórnia; w Krakowie – Teatr Łażnia Nowa, Teatr Nowy, Klub Artystyczno-Literacki Teatr Stygmat; w Bydgoszczy – Teatr na Barce; we Wrocławiu – Teatr Ad Spectatores; Teatr Impart, Teatr Formy; w Poznaniu – Teatr Viva, Teatr Obok, Scena na Piętrze itd.

Ta zdumiewająco aktywna nowa „baza” wywołała równie żywiołowy rozwój dramaturgii, bo wzrosła potrzeba repertuarowe. Nowa dramaturgia wkracza śmiało także na sceny „starych” teatrów. Co więcej – powstają w nich, jak w Teatrze Narodowym w Warszawie czy w Łodzi osobne studia sprawdzające jakość dramaturgiczną nowych tekstów, działają – także w innych miastach – „realizacje czytane” („przy stole”). Nawet jeśli same teksty nie są w pełni dojrzałe, to widoczne w nich pasje rozpoznawania współczesności świadczą o odchodzeniu autorów i wykonawców od kryzysowej frazeologii.

W literaturze dramatycznej, w sztuce teatralnej trudno mówić o „przełomie”, o znaczącej dacie. Przemiana, do której doszło, była procesem rozciągającym się na całe dziesięciolecie. Lista młodych dramaturgów jest dziś długa. Oto znaczące już nazwiska: Anna Burzyńska, Krzysztofa Bizio, Lidia Amejko, Andrzej Dziurawiec, Michał Walczak, Paweł Sala, Wojciech Tomczyk, Wacław Holewiński, Maria Wojtyśko, Marek Pruchniewski, Andrzej Purzyński, Maryna Miklaszewska, Marek Kochan, Ireneusz Koziół, Antoni Winch, Małgorzata Sikorska-Miszczuk, Magdalena Fertach i wielu innych.

To nowa generacja autorów urodzonych w latach pięćdziesiątych, głównie jednak sześćdziesiątych i później, debiutujących w pierwszym dziesięcioleciu XXI wieku. Ich utwory zadomowiły się na deskach teatralnych. Cechą wspólną jest ostre, krytyczne – przechodzące w satyrę i groteskę – widzenie współczesności: są to sztuki o dramatycznej sytuacji młodego pokolenia, o bezrobociu, aferach gospodarczych, narastającej przestępczości, degradacji życia zbiorowego, o mistyfikacjach, powstawaniu nowych kombatanckich mitów, o posługiwaniu się zastępczymi tematami w dyskusjach i grach politycznych. Prawdę chce się ukryć przez odwołania do historii dawnej i nowszej.

Warto przywołać wypowiedź Antoniego Wincha: „Moje pokolenie [...] nie ma potrzeby uzyskiwania takiej świadomości, po prostu jej nie chce. Cała ta lustracyjna gramatwanina, dawne rozgrywki Urzędu Bezpieczeństwa i te obecne – polityczne – napawają młodych ludzi wstrętem do historii”.

Jak do tego typu postaw mają się propozycje partii politycznych adresowane do młodzieży? Jeszcze nigdy chyba nie było tak drastycznego rozziwienia między postawami i oczekiwaniami młodych a zamkniętymi w ciasnym kręgu gier międzypartyjnych „propozycjami” polityków. Po prostu – nie ma żadnych, bo mówienie o konieczności „wychowania patriotycznego” na materiałach i teczkach IPN jest tylko grą cyniczną i żalną.

Czas bez historii jako cecha świadomości postmodernistycznej ma u nas inny sens niż na Zachodzie: zwycięzcy z 1989 roku w sporach i walkach między sobą zapomnieli, że już przyszli ich następcy, że już jest zapowiadane w deklaracjach „jutro”, że młodzi nie dadzą się oszukać ideom i hasłom sprzed wielu lat. Nie wystarczy mówić o „nadejściu barbarzyńców”. Zerwanie dialogu międzygeneracyjnego jest groźnym faktem. Ale grzechem młodych jest odwrócenie się od najbliższej przeszłości. Ta przeszłość nie została przetrawiona, krytycznie przewyciężona. Odwrócenie się od niej plecami niczego nie załatwiło: grzebie się w niej grupa specyficznych historyków, nastawionych na poszukiwanie sensacji. A młodsze pokolenie twórców w obawie przed posądzeniami nie było zdolne do podjęcia krytycznego dialogu. Pozostawało budowanie gmachu na „nowiznie”, *ab ovo*.

Literatura, sztuka – jako zapis świadomości zbiorowej – może czemuś służyć: sygnalizować to, co nie mieści się w propagandowych wydumkach (jeśli kto woli – symulakrach). Młodsze pokolenie twórców zużyło sporo energii w poszukiwaniach odpowiedzi na elementarne pytania: jaka sztuka, co może być jej przesłaniem. Wydaje się, że w tych poszukiwaniach prym wiodły „sztuki wizualne”, przede wszystkim teatr, a z pewnym opóźnieniem także film, w mniejszym stopniu telewizja. W teatrze prócz starszych i doświadczonych reżyserów (Jarocki, Babicki, Tomaszuk, Wojtyśko, Grabowski) na afiszach pojawiła się już cała plejada nazwisk młodych: Monika Strzępka, Tomasz Man, Paweł Aigner, Piotr Mularuk, Michał Zadara, Marek Pasieczny, Jacek Papis, Piotr Urbaniak, Paweł Miśkiewicz, Justyna Kowalska, Karina Piwowarska, Ewelina Pietrowiak, Rafał Matusz i wielu innych. Urodzeni przeważnie po 1960 roku, spora grupa w latach siedemdziesiątych, a nawet osiemdziesiątych, dają gwarancję przewyciężenia kryzysu w sztuce teatralnej. Czy jednak nowe propozycje zdołają widzów? Było to wcześniej zadanie – wychowania odbiorcy – Teatru Polskiego Radia i Teatru Telewizji. Dziś instytucje te – upowszechnienia kultury – wiodą żywot anemiczny. Z podobnym zjawiskiem mamy chyba do czynienia – o czym świadczą ostatnie wydarzenia – w filmie.

Odrębna niż w dramatach i teatrach jest sytuacja w poezji. Jeszcze trudniej dopatrzeć się w niej przełomu, z innych jednak powodów niż w dramacie i teatrze. Na poezję polską raczej niespodziewanie spadły dwie Nagrody Nobla: Czesława Miłosza w 1980 i Wisławy Szymborskiej w 1996 roku. Rzecz w tym, że mogliby je otrzymać równie dobrze Tadeusz Różewicz i Zbigniew

Herbert, że nasz „Olimp poetycki” poszerzony został pod koniec XX wieku o doceniony po latach dorobek Anny Świrszczyńskiej, Julii Hartwig i o zyskującego wielką popularność Jana Twardowskiego.

O kondycji poezji polskiej w ostatnim dwudziestolecu decydowali jednak nie tylko „starzy poeci” z międzywojnia i z pokolenia wojennego ogłaszający kolejne, znakomite tomiki wierszy. Dramatyczne losy poetów Nowej Fali urodzonych po wojnie, którzy na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych próbowali zbudować nowy „język poezji” wpływającej – na prawach interwencji – na kształt życia społecznego, rozbici i stłamszeni po 1976 roku tworzyli nadal i mieli za sobą zasługę nie do zakwestionowania – ukształtowanie języka kontestacji społecznych. To, że od stanu wojennego poczynając rozeszły się drogi tej generacji, nie spowodowało utraty ich znaczenia. Innymi słowy – debiutanci urodzeni po 1950 roku i młodszy zmuszeni zostali do trudnego dialogu z poprzednikami, do którego nie byli przygotowani. Dialogu, bo o sporze nie mogło być mowy.

Urodzonym bezpośrednio po roku 1950 przydarzył się zły czas stanu wojennego i przeświadczenie o obowiązku politycznego zaangażowania bezpośredniego. Wiersze Tomasza Jastruna, Jana Polkowskiego, Antoniego Pawlaka, po części także Krzysztofa Lisowskiego i Bronisława Maja przynosiły zapis emocjonalnych reakcji na wydarzenia, miały jednak często skazę reportażowej dosłowności „literatury gorącej”, bądź elegijnej refleksji pokonanych. Diagnoza, którą przeprowadził w 1994 roku German Ritz, szwajcarski polonista, wydaje się szczególnie trafna, dotyczy skutków – skrzywienia naturalnych przeobrażeń w poezji na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych: „Spóźniony model literatury zaangażowanej politycznie, która wspierała się na przekonaniach etycznych i moralnych, zahamował w późnych latach siedemdziesiątych naturalny rozwój kierunku postmodernistycznego, tzn. zrywającego z hieratycznością pojęcia kultury w Polsce. Doprowadziło to w latach osiemdziesiątych do pogłębionego kryzysu literatury, który paradoksalnie pojawił się jako kapitulacja kultury w obliczu bieżących konieczności politycznych” (*Polska liryka współczesna a postmodernizm*. „Odra” 1994 nr 2).

Za początek „nowej poezji” uznać trzeba kształtujący się pod koniec lat osiemdziesiątych tzw. trzeci obieg literatury (czasopisma i wydawnictwa artzino-we) zwrócony przeciwko literaturze „rządowej” i „solidarnościowej”, którego manifestem poetyckim stał się wiersz Marcina Świetlickiego *Dla Jana Polkowskiego* z tomiku *Schizma*. Hasło „przewietrzenia” poetyckiego pokoju, stwierdzenie, że po upolitycznionych wierszach „pozostaje smród”, że tematem winna być banalna prawda codzienności, mogłoby zapowiadać „przełom”, jednakże siła tej programowej deklaracji, której ślady odnajdziemy w utworach Jacka Podsiadły, Marcina Senddeckiego i innych, nie tworzyła wystarczającej przeciwwagi dla nowych wierszy Miłosa, Szymborskiej, Różewicza, Herberta, a także Barańczaka, Zagajewskiego, Krynickiego, Kornhausera, Ziemiłanina, Józefa Barana czy Warzechy.

Wiersz *Dla Jana Polkowskiego*, choć autor zmienił jego kształt, jest najważniejszym manifestem postawy młodych. Określa także sens i charakter sporu

z poprzednikami – nie chodzi o najstarszych i starszych, lecz wyłącznie o poetów i poezję stanu wojennego. To wybór charakterystyczny i ważny, będący jednak nie wyzwaniem, pełnym określeniem własnej odrębności, lecz taktycznym unikiem. Młodzi poeci, debiutanci z drugiej połowy lat dziewięćdziesiątych, „oharyści” i „banaliści” nie mieli dość siły, by przeciwstawić się matadorom. Nie obeszło się bez drobnych pomrukiwań pojedynczymi wierszami Marcina Świetlickiego, Jacka Podsiadły, Szymona Kantorskiego, Jarosław Klejnockiego, Marcina Barana, Marcina Senddeckiego, ale były to najczęściej wyraźnie zatarte aluzje literackie. O charakterze tych odwołań niech świadczy utwór-zagadka Marcina Świetlickiego *Wiersz dla Zbigniewa Herberta (Dedykowany Wisławie Szymborskiej)* z tomiku *Pieśni profana*:

Jeden piesek nazywa się Klient.
Drugi piesek nazywa się Palant.
A na Polanę wyszła Pani Jesień.

Żyliśmy w czasach,
w których Adam Michnik
wybornie znał się na poezji.

Rozszyfrujmy ten tekst: jest w nim aluzja do *Pieska przydrożnego* Czesława Miłosa, do eseju Michnika o Herbercie *Potęga smaku* z tomu *Z dziejów honoru w Polsce* (Paryż 1985), do nagrody Nobla Wisławy Szymborskiej; jest złośliwy epitet dotyczący (prawdopodobnie) Herberta, ale ironia – to za mało jak na pokoleniową kontestację. Niewiele więcej wynika z wiersza-manifestu *Miecz* z tomiku *Odmowa współdziałania* Jacka Podsiadły:

kiedy pytali
za czym głosuję
– za Prawdą czarno na białym
czy białą na czarnym
za Murzynem w fabryce
czy na plantacji
za Wołgą
czy za Missisipi –
nie mogłem dobyć głosu
dobyłem miecza

: jestem za tym
żeby mi wolno być przeciw

Młodzieńczy anarchizm, skandalizowanie, sprowadzenie poezji do zapisywania banalnych sytuacji życiowych, do codzienności, do „śmietnika”, który otacza nas w miastach, do reklamowego kiczu na ulicach – wszystko to jest przejawem artystycznego minimalizmu: neguje poezję, w której wzniosłe hasła („wodniste substytuty krwi”) odrywają nas od „twardej rzeczywistości” (*Etos pracy* Marcina Świetlickiego: „zamiatał schody prowadzące do Pałacu Sztuki [...]. Poezja musi jakoś żyć. Poezja // musi jeść”). Dodać można jeszcze wyznanie Artura Szlosarka: mówić należy „wyłącznie // od siebie, tylko” (*Papiół i miód*). Taki program w różnych odmianach szczegółowych nie mógł zrodzić przełomu, tym bardziej że „starzy poeci” – przede wszystkim Różewicz w tomikach *Zawsze fragment*, *Zawsze fragment: recykling*, *Nożyk profesora*, *Szara strefa*, *Wyjście* – dokonali znacznie szerszej i głębszej analizy sytuacji kulturowej i cywilizacyjnej pod koniec XX wieku, określili podstawowe cechy

postmodernistycznej świadomości. Tak naprawdę „oharyzm”, „personizm”, „banalizm” – jako przejaw kontestacji poetyckiej – zwietrzał szybko. Tylko Marcin Świetlicki, zwłaszcza w ostatnim tomiku *Muzyka środka* umie nadać „mówieniu od siebie” szersze konteksty społeczne. Jest oczywiście *iunctim* między przywołanym na początku wierszem *Dla Jana Polkowskiego* a wierszem *Wiśniowy garnitur* z ostatniego tomiku:

I jeszcze powiem: pan nadal należy do partii.
Partia się panu rozpostarła na cały krajobraz.

Partia na pana ramieniu przysiadła i karmi
się wszystkim, co pan czyni i co pan napotka.

Panu partia osiadła normalnie we krwi.
Panu partia usztywnia normalnie kręgosłup.

I jeszcze panu powiem: nie wystarczy się myć,
bo partii się nie zmyje nawet i najnowsza

generacją mydełek.

Świetlicki rozumiał dobrze, że „mówienie od siebie” jako cecha wypowiedzi poetyckiej tylko wówczas ma sens, jeśli dotyka – na prawach rezonansu – emocji i myśli niejawnych, ukrytych w świadomości społecznej. Młodszy i najmłodszy wierzą głęboko, że jedynym tematem mogą być wewnętrzne przeżycia – te najbardziej prywatne i intymne. Ani klasycyści, ani „barbarzyńcy” nie zdołali chwycić „drugiego oddechu”.

O szczególnej formie „przełomu” mówić można w prozie po 1989 roku. Był on jednak przede wszystkim wynikiem „praw natury”, a nie ideologii. Pod koniec XX wieku odeszli: Roman Brandstaetter (1987), Karol Bunsch (1987), Wincenty Burek (1988), Bohdan Czeszko (1988), Teodor Parnicki (1989), Leopold Buczkowski (1989), Maria Kuncewiczowa (1989), Kornel Filipowicz (1990), Tadeusz Nowak (1991), Marian Czuchnowski (1991), Andrzej Łuczeńczyk (1991), Jan Drzeżdżon (1992), Andrzej Kuśniewicz (1993), Bogdan Wojdowski (1994), Tadeusz Siejak (1994), Kazimierz Truchanowski (1994), Julian Strykowski (1996), Stanisław Czycz (1996), Andrzej Brycht (1998), Władysław Lech Terlecki (1999), Marian Brandys (1999), Kazimierz Brandys (2000), Gustaw Herling-Grudziński (2000). W żadnym wcześniejszym okresie nie obróciło się tyle kart historii literatury. Czy był to rezultat wielkich napięć ideowych i emocjonalnych? Nie dociekajmy. Ale ten wielki exodus ostateczny wytworzył puste pole, które starali się zagospodarować debiutanci. Nie musieli prowadzić sporu z poprzednikami. Z wybitnych pozostali Stanisław Lem (do 2006 roku), Ryszard Kapuściński (do 2007 roku), Tadeusz Konwicki, Julian Kawalec i Wiesław Myśliwski. Ograniczali jednak lub zamykali swoją twórczość. Większą aktywność wykazywali młodszy, przedstawiciele tzw. rewolucji w prozie, akcentujący językowy charakter kreacji artystycznych. Ale „rewolucja” dość szybko zwietrzała – proza Donata Kirscha, Marka Słyka, Andrzeja Łuczeńczyka, Jana Drzeżdżona podszyta modnym „realizmem magicznym” stanowiła pewien epizod w przemianach przed 1989 rokiem. Ocalały powieści Dariusza Bitnera (*Kfasimodo*, *Trzy razy*, *Bulgulula*, *Pst!*, *Rak*).

Z czym wystąpili debiutanci? Ich propozycje w żadnym stopniu nie trafiały polemicznie w idee i roz-

wiązania poprzedników. Nie było sporu, nie było więc przełomu. Na pustym polu wyrosła proza postmodernistyczna debiutantów. Kontestacyjny aspekt dotyczył przede wszystkim samej literatury, jej społecznego posłannictwa, misji edukacyjnej itd. Od samego początku debiutanci traktowali literaturę jako rodzaj gry, do której zaprasza się czytelników. W grze, w jej regułach przewagę zyskiwał charakter ludyczny wypowiedzi artystycznej, jednakże tak ukształtowany, aby zaskakiwał, burzył konwencje obyczajowe i stereotypy w automatyzmach „bezmyślnego myślenia”. Jednym ze sposobów przekraczania tabu stało się „skandalizowanie”. Posłużmy się przykładem z powieści Krzysztofa Bieleckiego *Fistaszek, czyli Nadzwyczajna Księga Czynów Fistaszka Podlotka oraz dziwów arcyglupich* (1992). Powieść ma swoją dedykację: „Mikołajowi Kopernikowi w dowód sympatii”, rozdziały zaś, jak w powieści XVIII wieku zaopatrzone w tytuły zapowiadające ich treść: *Rozdział drugi, który ukazuje narodziny bohatera w aspekcie kubistycznym oraz zawiera propedeutykę do historii pupy Lidii Pieszczochy, gwiazdy pierwszej wielkości*. Obok Kopernika staje współczesna Lidia Pieszczocha (Marylin Monroe?), kubizm łączy się z domem publicznym. W powieściach Romana Prąszkińskiego (*Na klęczkach*, *Miasto sennych kobiet*, *Jajojad*) rozszerzona zostaje sfera prowokacji na porządki ideowe i polityczne, wzrastającą rolę Kościoła po przemianie 1989 roku, na wrocławskie konteksty współczesne i historie z przeszłości. Prowokacja obyczajowa – istotny element strategii młodych – zapisała się w *Spisie cudzołóżnic* Jerzego Pilcha, w *My zdjes' emigranty* i *Tarocie paryskim* Manueli Gretkowskiej, w *Śmierci i spirali* Izabeli Filipiak, w *Biednym Oskarze czyli dwa razy o miłości* Anny Bojarskiej, a także w *Murach Hebronu* Andrzeja Stasiuka i w opowiadaniach *Fractale* Nataszy Goerke, która podobnie jak Krzysztof Bielecki wystąpiła w obronie „wróbelka” i jego praw w literaturze; jedno z opowiadań w tomie *Fractale* (1994) nosi tytuł *Upiorna strofa*. O istocie sztuki dyskutują w nim postaci dobrze znane – Maryla i Adam. Maryla przekonuje swojego kochanka, by jako wieszcz prowadził „gawiedź” jak „męski Beatrycze, jak prezydent, jak duchowy Führer, symbolicznie, uparcie, do końca”. Ale Adam pisze taką strofę:

Kochanko moja! Na co nam rozmowa?
Nie chcę ust trudzić daremnym użyciem,
Nie jedenastozgłoskowcem całować
Cię zamierzam, nie w wersy ciąć życie,
Lecz życie w jednym pragnę zawrzeć wersie
I milczeć, i całować twoje piersie.

Ta strofa składa się z ukrytych lub jawnych cytatów z *Sonetów odeskich* Mickiewicza. Jest charakterystyczną dla postmodernistycznej literatury grą intertekstualną. A „skandalizowanie” okazuje się elementem taktyki, próbą negocjowania konwencji, ale i przyciągnięcia, pozyskania czytelnika. W młodej prozie po 1990 roku widoczna staje się dążność do podejmowania tematów „tabu” – otwartego mówienia o seksie, o homoseksualizmie, o fałszywych mitach stworzonych przez literaturę w ujmowaniu natury ludzkiej, o okrucieństwie i zezwierzęceniu objawiających się w warunkach ekstremalnych (więzienia, nędza prowincji).

Walorem oczywistym młodej prozy stało się więc wyprowadzenie literatury z kruchty i obyczajowego

zaścianka. Ważną warstwą znaczeń w utworach prozatorskich staje się także dyskurs na temat statusu samej literatury. Jest ona przede wszystkim tworem językowym, nie ma w niej „rzeczywistości”, a tylko określone konstrukcje językowych znaków i symboli. To przeświadczenie unieważniało dawne posłannictwa edukacyjne, uzurpacje prezentacyjne w rozumieniu literatury. Jeśli jest grą pisarza z czytelnikiem, to kodem i główną regułą okazuje się sam język i jego jakość. Tę myśl wyrażają utwory Adama Ubertowskiego (*Podróż do ostatniej strony, Szkice do obrazu batalistycznego*); Krzysztofa Vargi (*Chłopaki nie płaczą, 45 pomysłów na powieść*); Anny Burzyńskiej (*Fabulant: powiastka intertekstualna*), Janusza Leona Wiśniewskiego (*Samotność w Sieci*) i inne. Było to oczywiste zerwanie z „hieratycznością” literatury, swoiste zdemaskowanie jej uzurpacji społecznych. Wspólnie z kontestacjami „skandalistów” tworzyło podstawy postmodernistycznej świadomości literackiej. W niej pełną równowagę zdobywają, mówiąc za Ludwigiem Wittgensteinem i jego *Dociekaniem filozoficznymi*, wszystkie języki funkcjonujące w obiegu społecznym. Nie ma całości, jest tylko fragment, nie ma jednej prawdy, są tylko prawdy cząstkowe, w tym symulakry jako „prawdy możliwe”, choć realnie nieistniejące.

Nowe usytuowanie literatury otworzyło prawdziwą „puszkę Pandory” – doprowadziło do równouprawnienia, wymieszania i współlistnienia w jednym utworze światów przedstawionych powstających z obserwacji społecznych, obyczajowych, psychologicznych, z konstrukcjami pozbawionymi prawdziwości (w znaczeniu definicji Arystotelesa) będącymi twórcami wyobraźni, należącymi do fantastyki. To wymieszanie widoczne już wcześniej, choć oparte na innych zasadach, w prozie Buczkowskiego (*Czarny potok*), Andrzejewskiego (*Miazga*), Terleckiego (*Drabina Jakubowa albo Podróż*) – przyciąga różne odmiany konstrukcji artystycznych imitujących, a często rozszerzających wzory realizmu magicznego (Olga Tokarczuk, *Dom dzienny, dom nocny*, 1998; *Bieguni*, 2007; *Prowadź swój pług przez kości umarłych*; Andrzej Stasiuk, *Opowieści galicyjskie*); wmontowujących w konstrukcję realistyczną fabuły ogniwo fantastyki (Łukasz Orbitowski, *Tancerz, Święty Wrocław*; Tomasz Piątek, *Pałac Ostrogskich*); prezentujących totalne wymieszanie realnego i fantastycznego (Jerzy Franczak, *Przymierzalnia*).

Osobne miejsce trudne do kwalifikacji zajmują, nazwijmy je powieści-symulakry. W istocie od nich zaczął swą twórczość Edward Redliński w latach siedemdziesiątych; *Awans* i *Konopielka* nie przedstawiają przecież wsi realnych, sprawdzają w konstrukcji dwie wersje: wsi zacofanej i wsi porażonej ideą cywilizacyjnego postępu. Fabuły są potraktowanymi satyrycznie symulacjami tych wstępnych założeń. Fabuła *Krfotoku* zbudowana została na podobnej zasadzie: co by było, gdyby stan wojenny przyniósł zwycięstwo generałowi – jak potoczyłyby się wydarzenia? W *Transformacjach czyli jak golonka z hamburgerem tańczyła* ideolog z *Awansu* został ze wsi wypędzony, stał się kapitalistą: zakłada „na skrzyżowaniu dróg” bar, jednak naprzeciwko jego „firmy” rozpoczyna się budowa supermarketu. To groźna konkurencja; kapitalista na dorobku znajduje jednak rozwiązanie – z pomocą przychodzą proboszczowie. Pod ich opieką „przedsiębiorca” two-

rzy całą sieć przykościelnych barów... Na tej samej zasadzie zbudowana została *Przenajświętsza Rzeczpospolita*, powieść Jacka Piekary. Punktem wyjścia jest ostateczne zwycięstwo Kościoła, powstanie państwa wyznaniowego, którego ustrój określa się jako „narodowo-katolicki-liberalny socjalizm”; władza samorządowa należy do proboszczów, wspomagają ich Ochotnicy Pomocnicy Kościoła, o bezpieczeństwo „pomocników” dba policja państwa. Niepokornych i wichrzycieli – wobec braku własnej Syberii – zsyła się na Śląsk, gdzie powstają obozy karne... Nie grozi nam państwo wyznaniowe, jednak trudno nie dostrzec, że w powieściach-symulakrach zapisuje się w ostrej formie nasza rzeczywistość. Wizja satyryczna i groteskowa dominuje w wielu powieściach – w *Ostatniej wieczerzy* Pawła Huellego, w *Rezydentach* Adama Ubertowskiego, w *Barbarze Radziwiłłównie z Jaworzna-Szczakowej* Michała Witkowskiego, w *Zwale*, *Cukrze w normie z ekstrabonusem*, a także w szczególnym komiksie – *Produkt Polski* – Sławomira Shutego, w Lenorze Jerzego Łukosza, w *Rebellii* Mariusza Sieniewicza. W tych utworach realne i nierealne, zderzane i wymieszane wyostrza postawy krytyczne autorów.

Wcześniej, bo w *Muzie dalekich podróży* (1970) Teodora Parnickiego, zjawia się formuła symulakrowej powieści historycznej: co by było, gdybyśmy wygrali w powstaniu listopadowym? Jakie powstałyby konfiguracje polityczne? Mickiewicz byłby ministrem oświecenia publicznego (jego księgi „zblądziłyby pod strzechy”!) i dodatkowo – szefem policji. Tej powieści nie da się kwalifikować jako połączenia historii z fantastyką – należy do ważnej w twórczości Parnickiego grupy utworów historiozoficznych, a w sensie artystycznym – do autotematycznych.

Inaczej wygląda zabawa z historią w prozie młodych autorów. A jest ich dziś spora grupa. Mają w swoim edukacyjnym zapleczu lekturę *Imienia róży* Umberto Eco, powieści-fantazy Johna Ronalda Reuela Tolkiena, chyba jeszcze nie – Joanne Kathleen Rowling. Interesują się historią jako zbiorem gotowych fabuł, takich powieściowych prefabrykatów, które można przyciąć, przykroić i spożytkować we własnej konstrukcji. W kręgu autorów fantazy umieścić można Andrzeja Pilipiuka (*Kroniki Jakuba Wędrowycza, Czarownik Iwanow, Sługa Boży*), Jacka Piekary (*Arivald z Wybrzeża, Łowcy dusz*), Andrzeja Sapkowskiego (*Saga o Wiedźminie* – cykl od 2000 r.) i innych. Bardziej rygorystyczna w przejmowaniu gotowych prefabrykatów jest Olga Tokarczuk w *Podróży ludzi Księgi* i w *Annie In w grobowcach świata*, podstawą konstrukcji nie jest bowiem „gra wyobraźni”, lecz dość swobodne przetwarzanie znanych i mniej znanych mitów.

Powieści i opowiadania Jacka Dukaja zachowują swoją odrębność – mieszczą się w granicach fantastyki, niekiedy zbliżają się do gatunkowej odmiany fantazy z magią i czarodziejami. Różnią się zdecydowanie od utworów należących do *science fiction*, bo odkrycia naukowe, podróże kosmiczne nie są w nich tematem narracji. Świat przyszłościowy zostaje nam dany jako „gotowy”, spełniony; ulubionymi motywami są katastrofy na ziemi lub w bliżej nieokreślonej przestrzeni kosmicznej. *Xavras Wyżrym, Córka łupieżcy, Inne pieśni, Perfekcyjna niedoskonałość, L—d Czarne oceany*, *Wroniec* i inne z licznych publikacji Dukaja

potwierdzają żywą wyobraźnię autora, jednak także pewien nadmiar i brak dyscypliny kompozycyjnej, przesadnie kreowany nie zawsze szczęśliwie „język przyszłości”. Fantastyka – fantazy także – tworzy dziś obszerne przestrzenie sztuki popularnej. Upowszechniają ją, ale i trywializują film i telewizja. Łączona z historią, z dawnymi mitami, z magią, astrologią, kabałą świadczy o przekształcaniach świadomości zbiorowej, o odejściu od scjentyzmu, o swoistym zanegowaniu awangardowych mitów z pierwszej połowy XX wieku.

Historia używana jako magazyn fabuł-prefabrykatów zachowujących mniejszą lub większą wierność wobec przeszłości tworzy nową strukturę połączenia „prawdy” i fantastyki. Jest to zasada generalna w twórczości Jacka Komudy, twórcy licznych powieści z historii XV-XVII wieku. Warto tu dodać, że Komuda jest współautorem gier komputerowych *Dzikie pola*, także scenariuszy do filmu o *Wiedźminie* itd. Powieści i opowiadania *Wilcze gniazdo*, *Imię bestii*, *Bohun*, *Galeony wojny*, *Diabeł Łańcucki*, *Herezjarcha* łączą historię z fantastyką. Swobodna gra faktami, tłem historycznym i fantastyką realizuje utrwalony w filmach schemat wzmacniania napięcie emocjonalnych do granic horroru. I sromotna klęska wojsk polskich pod Batochem (*Bohun*), i odwołania do biografii znanego okrutnika (*Diabeł Łańcucki*), i nawiązania do legend, wypraw, do opowieści o piratach i potworach morskich (czasy wojen szwedzkich – *Galeony wojny*) nie respektują „prawdy historycznej” – żywioł fantastyki jest w nich nadrzędnym elementem konstrukcji. Podobnie ze swobodą przetwarza Komuda historię we „francuskich” fabułach (*Imię bestii*, *Herezjarcha*), w kt—rych jednym z bohaterów jest François Villon. Ale jego biografia znana i nieznana podlega „fantastycznym” przekształceniom.

Łączenia historii z fantastyką podejmują się także autorzy ścisłej fantastyki: Andrzej Pilipiuk w *Księżniczce*, w której w „starym” współczesnym Krakowie zjawiają się wampiry i ich pogromcy; Jacek Piekara w *Charakterniku*, powieści o narastaniu anarchii po śmierci Jana Sobieskiego; Andrzej Sapkowski w *Narrenturm*, *Bożym wojowniku* i *Lux perpetua* – trylogii husyckiej. Ciągłe jednak historia jako tło konstrukcji fabularnych jest z wielu powodów wątpliwa, przekształca ją i modeluje fantastyka: narracja zmierza ku niesamowitości i grozie. Stąd już tylko krok do przekuwania historii – w fabuły kryminalne. Tak dzieje się w powieściach Marka Krajewskiego (*Śmierć w Breslau*, *Koniec świata w Breslau*, *Głowa Minotaura* i inne); Mariusza Wollnego (*Kacper Ryx*) i Krzysztofa Maćkowskiego (*Raport Badeni*). Historia przeskadza w nich jednak w samym czystym toku śledztwa.

Powieści Tadeusza Konwickiego *Kronika wypadków miłosnych*, *Bohiń* i *Czytało* proponowały inną odmianę powieści popularnej – nawiązanie do tradycji romansu. Propozycja Konwickiego była podszyta ironiczną grą, wyrafinowaniem stylowym i kompozycyjnym, co przekraczało reguły „miłosnych historii”. Już bez tego sztafażu romans odżywa w twórczości Marii Nurowskiej – poczynając od lat siedemdziesiątych ciągnie się w licznych powieściach i opowiadaniach, jak *Innego życia nie będzie*, *Hiszpańskie oczy*, *Listy miłości*, *Rosyjski kochanek*, *Miłośnica*, *Niemiecki taniec*, *Gorzki romans*. Podobny charakter ma twórczość

Katarzyny Grocholi. Jej powieści: *Nigdy w życiu*, *Serce na temblaku*, *A nie mówiłam!*, *Trzepot skrzydeł* charakteryzują się pewną sprawnością w prowadzeniu narracji, ale nie łamią konwencji gatunkowych. Dało to znać o sobie także w jej scenariuszach do seriali filmowych (*Panny i wdowy*). Ostatnio podobną popularność zyskują powieści i scenariusze Małgorzaty Kalicińskiej: *Dom nad rozlewiskiem*, *Powroty nad rozlewiskiem*, *Miłość nad rozlewiskiem*.

W skróconym całościowym bilansie prozy polskiej po 1989 roku uderza zjawisko rozrostu form literatury popularnej – fantastyki, fantazy, historii z fantastyką wymieszanej, romansów, powieści-symulaków, „kryminałów”. Niewielkie miejsce zajmują powieści autotematyczne; jeśli się zjawiają to z wyraźnym podtekstem ludycznym (Ubertowski, Varga). Na takim tle zachowują odrębność i artystyczną wartość utwory Andrzeja Stasiuka, Manueli Gretkowskiej (*Polka*, *Europejka*, *Obywatelka*, *Kobieta i mężczyźni*), Olgi Tokarczuk (zwłaszcza powieści: *Dom dzienny, dom nocny*; *Bieguni*; *Prowadź swój pług przez kości umarłych*), Wojciecha Kuczoka (*Opowieści słychane*, *Gnój: antyautobiografia*, *Widmokrąg*, *Opowieści przebrane*, *Senność*). Może także Jerzego Pilcha, choć jego proza nie grzeszy wielką odkrywcznością tematyczną, ale niewiele jest pisarzy, którzy tak wydoskonali umiejętność ciekawego opowiadania, że tworzy ona samoistną wartość. Może w powieści tylko o to chodzi?

I pozostają jeszcze powstałe po 1989 roku dwie powieści Wiesława Myśliwskiego: *Widmokrąg* i *Traktat o tuskaniu fasoli*. Ich wymiar epicki – zapis doświadczeń generacji wojennej i powojennej, uwikłanej w ideologiczne i polityczne absurdy PRL-u – przekracza myślowe i artystyczne właściwości prozy postmodernistycznej. Obie przynoszą pozbawioną zaciętrzewienia, ale krytyczną, gorzką ocenę tamtej epoki. Rozumienie i przedstawianie historii nie poprzez oficjalne deklaracje, uchwały i programy z tamtego czasu, wypowiedzi publicystyczne, lecz przez indywidualne doświadczenie bohaterów, sposób ich „bycia” w wydarzeniach, i ustalanie innej skali wartości. I tylko tyle. Czy powstała lepsza literatura niż wcześniej? Powiedzieć można – inna, intelektualnie mniej wyszukana. Bo taka jest postmodernistyczna świadomość z przełomu XX i XXI wieku. Literatura zwrócona ku masowemu odbiorcy. Ale w tym jest chyba pewien błąd: „masowy odbiorca” z telewizji, z filmów, z internetu otrzymuje różnego typu fabularyzacje otaczającego świata. Ten odbiór – głównie wzrokowy – zwalnia od wysiłku intelektualnego, ugruntowuje postawy bierne. Może więc literatura – ta pisana i drukowana – ma większe szanse w odbiorze elitarnym? Ale czy współcześnie istnieje taki odbiór?

Warto wrócić do początku tych rozważań: czy zdarzył się „przełom” w literaturze po 1989 roku? Jeśli rozumieć go po heglowsku jako antytezę inicjującą nowy cykl rozwoju, „postępu”, to oczywiście nie. Bo w literaturze i kulturze nie da się zastosować „triady”. Jest tylko przemiana sposobów myślenia i przeżywania, rozpadanie się jednych i powstawanie nowych wzorców, i ustalanie innej skali wartości. I tylko tyle. Czy powstała lepsza literatura niż wcześniej? Powiedzieć można – inna, intelektualnie mniej wyszukana. Bo taka jest postmodernistyczna świadomość z przełomu XX i XXI wieku. Literatura zwrócona ku masowemu odbiorcy. Ale w tym jest chyba pewien błąd: „masowy odbiorca” z telewizji, z filmów, z internetu otrzymuje różnego typu fabularyzacje otaczającego świata. Ten odbiór – głównie wzrokowy – zwalnia od wysiłku intelektualnego, ugruntowuje postawy bierne. Może więc literatura – ta pisana i drukowana – ma większe szanse w odbiorze elitarnym? Ale czy współcześnie istnieje taki odbiór?

STANISŁAW BURKOT

JAN PIESZCZACHOWICZ

OJCZYZNY JULIANA KAWALCA

Kolejne urodziny Juliana Kawalca wprawiły mnie w zadumę przypominając spory o literaturę nurtu wiejskiego (czy też chłopskiego) sprzed wielu lat, w których brałem udział jako krytyk. Zresztą Julian pochodzi z moich stron rodzinnych, a jego najbliższą ojczyznę położoną w widłach Sanu i Wisły oglądałem lata całe z wysokości położonego na skraju żyznej wyżyny Sandomierza, zwłaszcza z okien zlokalizowanego na nadwiślańskiej skarpie Collegium Gostomianum, gdzie się uczyłem. Przed wojną pobierał tu nauki Kawalec, a po wojnie m.in. Wiesław Myśliwski, pochodzący z niedalekich Dwikóz. Zresztą ziemia sandomierska okazała się wyjątkowo urodzajną w pisarzy, bez których trudno sobie wyobrazić twórczość nurtu wiejskiego. Przypomnijmy tylko niektórych: w Radomyślu nad Sanem urodził się Jan Wiktor, w Wielowci koło Tarnobrzegu Stanisław Piętaś, w podopatowskim Ocinku Wincenty Burek, a dalej w stronę Tarnowa i Rzeszowa Henryk Worcell, Jan Bolesław Ożóg, Wilhelm Mach, Tadeusz Nowak.

Niektórych, np. Piętaka, widywałem jako dziecko, bo bywali u pana Burka, który mieszkał w cieniu gotyckiej katedry, dziś bazyliki. Po jej drugiej stronie wynajmował kwatery Jarosław Iwaszkiewicz, który zakochał się w Sandomierzu jeszcze przed wojną, przypominał mu bowiem ulubione włoskie pejzaże i uroki Śródziemnomorza. O istnieniu Kawalca nic jeszcze wtedy nie wiedziałem, za to lubiłem patrzeć na płaską, kipiącą zielenią równinę po drugiej stronie Wisły, gdzie leżały jego rodzinne Wrzawy.

Prawdę powiedziawszy w Sandomierzu wymawiało się wtedy tę nazwę trochę tak, jakby był to niemal skraj świata. Czasami dawały o sobie znać animozje jeszcze z czasów zaborów, gdy Wisła dzieliła dwa cesarstwa: rosyjskie i austro-węgierskie. Sandomierz był wtedy granicznym miastem z komorą celną. Bywało, że mieszkańcy sandomierskiej strony mawiali o tych zza rzeki „Galicjaki”, a oni rewanżowali się im (nie wiem, dlaczego akurat tak) „parasolami”. Kiedy po latach przeczytałem utwory Juliana, w których rozległa równina i wielka rzeka tworzą krajobraz tyleż realistyczny, co symboliczny przypomniałem sobie moją najściślej

ojczyznę, która zazębiała się z jego matecznikiem, niezależnie od owych zabawnych końców animozji.

Sandomierz i Tarnobrzeg były chyba pierwszymi – prawda, że niewielkimi – miastami, z którymi zetknął się przyszły pisarz. W szeroki świat wprowadził go dopiero Kraków, gdy w 1935 r. jako absolwent sandomierskiego gimnazjum humanistycznego podjął studia polonistyczne na UJ. Później zbudował sobie dom w Rabce i pokochał góry, ale w jego pisarstwie nadwiślańska ojczyzna zajmuje do dziś pierwsze miejsce. W wywiadzie z 1963 r. tak to skomentował:

„Szła jednak za mną pamięć mojej wsi Wrzawy, położonej w widłach Sanu i Wisły, tam gdzie zbiegają się obydwie rzeki, pamięć ojca, sześciomorgowego gospodarza, który dorabiał koniem na wale wiślanym. Pamięć upominała się ciągle o to, aby ją utrwalić, pamięć nie pozwoliła zamilknąć obrazom, które poruszały wyobraźnię. I wreszcie to gromadzenie, magazynowanie wzruszeń. (...) Nie można pisać, jeśli nie towarzyszy temu wzruszenie”.

W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych nurt chłopski w literaturze przybrał na sile i odnowił się. Po stosunkowo krótkim, ale bardzo destrukcyjnym okresie stalinowskim, gdy wieś była prezentowana przez „zaangażowanych” literatów w sposób „klasowo” uproszczony i zwulgaryzowany, podzielona na słusznych „biedniaków” i niesłusznych „kułaków”, proza nurtu chłopskiego stała się zjawiskiem znaczącym. Duża w tym zasługa Juliana Kawalca, do którego dołączyli m.in. Tadeusz Nowak, Myśliwski, Marian Pilot. Szybko, choć nie zawsze szczęśliwie industrializująca się Polska otrzymała obrazy wsi utrzymane w różnych stylach i poetykach. Temat, który był dotychczas ujmowany najczęściej z punktu widzenia społecznego, politycznego, socjologicznego bądź jako rezerwuariat rodzimej egotyki pełnej „bajecznie kolorowych” chłopów, trochę jak w *Weselu* Wyspiańskiego, zyskał w najlepszych przejawach autonomię artystyczną i intelektualną.

Pisarze nowej fali nurtu chłopskiego stanęli przed zadaniem trudnym, problemem bardzo złożonym i stąd niekiedy skrajnie różne sposoby widzenia, jakie zaproponowali. Kawalec postugiwał się realizmem

psychologicznym niestroniącym od pewnych elementów symbolizmu, Nowak tworzył poetycki mit, Myśliwski uprawiał coś w rodzaju magicznego realizmu w rodzimej odmianie.

W dawnej literaturze chłopu zwykle się współczuło doceniając go jako żołnierza z kosą lub karabinem w ręku, lub kreowało na Dostojnego Siewcę, ale w gruncie rzeczy był traktowany bardziej przedmiotowo niż podmiotowo. Od czasów romantyzmu obiekt lirycznych westchnień części inteligencji, z czasem sam sięgał po pióro; podczas gdy w 1929 r. tylko 5,7 procent literatów wywodziło się z warstw robotniczej i chłopskiej, po wojnie takim pochodzeniem legitymowało się około 60 procent. Niektórzy lansowali jeszcze od przedwojnia pogląd, że – jak napisał lewicowy krytyk Ignacy Fik – „nową literaturę o wsi powinien i potrafi tworzyć jedynie chłop”. Owa dyskusyjna teza odgraniczała jednak nurt wiejski od „inteligentkiego”, a nawet od dorobku ogólnonarodowego i mimowolnie sugerowała, że ten pierwszy jest mniej ważny, marginesowy, gorszy.

Zrozumieli to w większości pisarze fali, która ruszyła po 1956 r. oraz towarzyszący im krytycy. Marzyły im się uniwersalność i nowoczesność (także formy) w pisaniu o wsi, włączenie jej kultury do ogólnospołecznego obiegu wartości na równych prawach, dla niektórych nawet jako coś lepszego, bo wyrastającego z gleby mało jeszcze skażonej cywilizacyjnym fałszem. Henryk Berezka pisał z pozycji wyznawcy: „Autentyczna chłopskość czy szeroko rozumiana autentyczna ludowość jest najbliższą prawdziwemu intelektualizmowi i literackiemu rewelatorstwu”.

Najlepsze dokonania pisarskie zdawały się to potwierdzać, ale sytuacja była bardziej skomplikowana: oto twórcy odnowionego nurtu wiejskiego zajmowali się tym, co na dobrą sprawę już odchodziło, ulegało gruntownym przemianom, jawiło się w kształtach płynnych. Zasłużony komentator nurtu chłopskiego Stefan Lichański twierdził w *Kuszeniu Hamleta* (1965):

„Rozpada się dawna rodzina wiejska, stanowiąca samoistną i samodzielną komórkę produkcyjną; ulegają zniweczeniu dawne formy integracji społecznej w ramach gromady, gminy, parafii, regionu wiejskiego. Oznacza to w konsekwencjach definitywny i nieodwracalny zmierzch kultury ludowej z całą specyfiką jej moralności, obyczajowości, zwyczaju, twórczości artystycznej, życia kulturalnego i towarzyskiego”.

Krótko mówiąc, według sceptycznej koncepcji krytyka – a nie był on odosobniony – rozkwit nurtu dotyczącego wsi stał się jego podzwonnym. Pisarze musieli na nowo przemyśleć, jakie relacje istnieją między rodzinną małą wiejską ojczyzną a ojczyzną ogólnonarodową. Trzeba się było ostatecznie pożegnać (co nie wszystkim przyszło łatwo) z konserwatywnym przeswiadczeniem sformułowanym m.in. przez Kazimierza Brodzińskiego na początku XIX w.: „Nie przestanę ja tego powtarzać, że Żydom został pieniąż, Włochom pędzel i skrzypeczki, a nam rola, bo rolę wskazał Bóg Adamowi po wyjściu z raju”.

Dodajmy, że w ideologii sarmatyzmu Polacy wywodzili się w prostej linii od rajskiego praojca, a niektórzy utrzymywali nawet, że porozumiewał się on z Panem Bogiem i Ewą po polsku.... Ale Józef Chałasiński tak pisał o pamiętnikach młodzieży wiejskiej, których tom IV ukazał się w 1967 r.: „W ambicjach młodego poko-

lenia wsi dążenie do przekształcenia rolnictwa w wykwalifikowany zawód idzie w parze z nową, bardziej ogólną wizją narodu i jego kultury, wizją, w której nie ma podziału na chłopów i panów, na chłopską i pańską sferę kultury...”. Kawalec zmetaforyzował owe dylematy m.in. w *Przepłynąć rzekę* (rzecz jasna Wisłę), przez którą bohater przepławia się najpierw aby zdobyć szerszy świat, a potem nostalgicznie marzy o powrocie do cichego rajskiego sadu i mitycznego domu, „bo we mnie grały wciąż, jakby nieprzerwana muzyka, jak podszept anioła czy diabła, te słowa – wrócisz do wsi, wrócisz przemieniony, przepłyniesz z powrotem rzekę i znów ją przepłyniesz z powrotem”. W praktyce nie było to jednak takie proste.

W nowej sytuacji odżył z całą siłą problem tzw. awansu społecznego, przecież nienowoty, dobrze znany co najmniej od czasu *Matki* Ignacego Maciejowskiego („Sewera”) i *Szyfowych prac* Stefana Żeromskiego. Bohaterem był chłopski syn wyruszający do miasta po wykształcenie, by polepszyć swoją dolę, stać się dumą wiejskiej gromady, a w razie potrzeby jej rzecznikiem. Oto Stefan Okoła z powieści Józefa Mortona *Spowiedź*, wysłany przez rodziców do szkoły kosztem wielkich wyrzeczeń, z nakazem: „Będziesz panem, pomożesz!” i częstą w utworach nurtu wiejskiego przestroga: „Rękami, nogami, nie daj się!”. W wywiadzie z 1971 r. Kawalec powtórzy tę myśl: „Nie mógłbym wrócić do swojej wsi na stałe, bo to byłoby poczytane za kapitulację. To po co wystaliśmy cię do miasta, żebyś teraz wracał? – zapytaliby. Ty masz tam zostać, tobie nie wolno dać się miastu, ty masz to miasto zdobyć dla siebie i dla nas”.

W dawniejszej literaturze przybysz ze wsi na miejskim bruku był z reguły postacią pozytywną, a koszt moralny czy psychiczny przemieszczania się nie odgrywał większej roli wobec sukcesu – rekompensaty za wieki poniżenia, krzywdy i biedy. Andrzej Tabor z *Ziemi przypisanego* Kawalca rozmyśla:

„Za chwilę wejdę do sypialni i wezmę w ramiona to białe ciało córki profesora, mojej żony. Ja, spłodzony na skrząjącym łóżku, na słomie pokrytej zgrzebną płachtą, przez nie myjącego się ojca, zrodzony przez nie myjącą się matkę, wsunę się za chwilę na materac, w dymkową pościel i na to białe ciało córki profesora akademii handlowej, mojej żony. I zemszczę się za takie moje urodzenie, za takie urodzenie mojego ojca, matki, babki, dziadka i tych wcześniejszych...”.

Kawalec należy do tych pisarzy nurtu wiejskiego, którzy nie zawahali się pokazać różnych aspektów awansu społecznego, także kłopotliwych czy w pewien sposób wstydlivych. Popierał ideę unowocześnień wsi jako cywilizacyjno-historyczną nieuchronność, ale w gruncie rzeczy przeciwstawiał się uproszczonemu obrazowi lansowanemu przez propagandę PRL. Starał się ukazać chłopą współczesnego w szerszej perspektywie, a nie, jak to bywało w przeszłości, niby istotę ściśle zamkniętą w swoim archaicznym, biologicznym bytowaniu „na tonie natury”. W wywiadzie dla „Tygodnika Kulturalnego” powiedział: „Wydaje mi się, że chłop często nie wie, nie zdaje sobie z tego sprawy, że może być podmiotem historii”. W *U źródła wzruszeń* (w tomie *Pochwała rąk*, 1969) pisał o „awansie wsi”:

„Zapomina się zwykle o tym, że po prawdzie jest to marsz do przodu, ale marsz pod ciężarem, który przy-

gina plecy zwłaszcza wtedy, gdy pamięć wspomóżona wyobraźnią co nieco nagromadziła i zebrało się tego na ciężki wór, nie dający się zrzucić od razu umiejętnym ruchem. Dramatem jest i dramat rodzi zarówno zdarzająca się nieraz brutalność człowieka przez historię wywindowanego do góry, jak i płochliwe drżenie rąk takiego, który już nie może mieć i nigdy nie uniesie możliwości, jaką przygotowała mu historia”.

Taka humanistyczna postawa wyraźnie odbiegała od urzędowego optymizmu w PRL. Zauważmy też, że pisarz nigdy nie określał grubą linią etyczną wsi od miasta. Sercem był po stronie tej pierwszej, ale nie czynił z niej ponadczasowego raj, przeciwnie, wskazywał dobitnie, że jest tam miejsce na zło, traktowane nieco fatalistycznie, a nawet na zbrodnię czająca się w cieniu sielskiego sadu. Jednak natura pozostaje bezgrzesznym niezmiennie żywiołem „dobrym i bezpiecznym”. Z kolei miasto chwilami zdecydowanie pisarza odpycha, ale wie, że rzekę można przepłynąć, lecz odwrócić się jej biegu nie da.

Najistotniejszy w twórczości Kawalca wydaje się okres między opublikowaniem zbioru opowiadań *Zwalony więz* i powieścią *Tańczący jastrząb*. Tu właśnie zostały w szczególny sposób uwypuklone problemy psychiczno-moralne i pogłębione dramaty, które – co obecnie widać lepiej – zapowiadały wiele zjawisk cywilizacyjnych rozwijających się do dziś, wówczas trudnych do przewidzenia.

Losy Taboora, prokuratora z *Ziemi przypisanego* i Michała Topornego, inżyniera z *Tańczącego jastrzębia* zdają się potwierdzać korzyści płynące z awansu społecznego: miejskie, „pańskie” wygody, pozycja społeczna, dobre zarobki wygrywają ze starą, w jakiejś mierze jeszcze patriarchalną wsią. Chłopski synowie, przybysze do miasta nie wchodzą do środowisk robotniczych, lecz do „mieszczańskich”, co im imponuje, ale także uwiera jako szczególnie fałsz. Synowie starego Bałaja z opowiadania *Imieniny* – inżynier, nauczyciel, oficer i profesor – „wyglądali jak panowie” i należeli w pewnym sensie do nowej „szlachty” powstałej w miejsce tej wypędzonej po wojnie z dworów. Ale rychło pojawiała się początkowo ukryta, potem narastająca frustracja: Toporny „w myślach znów defilował przed tą piękną dziewczyną z miasta wraz ze swoim chłopskim życiem jak z jakąś winą”.

Ta „wina” posiada pewne cechy fatum i choć bohaterowie starają się przerwać łańcuch zobowiązań plemiennych prowadzący w głęboką przeszłość, w pewnym momencie dochodzi ona do głosu z nieubłaganą siłą, rozrasta się w świadomości przyćmiewając eldorado zdobyte po drugiej stronie wielkiej rzeki. Pisarz zdaje się opowiadać za jakimś pogodzeniem, syntezą obu jej brzegów, co zresztą do pewnego stopnia się dokonuje, np. emerytowany nauczyciel z *Wezwania* wraca na wieś, ale zamieszkuje nie w kurnej chacie z glinianą podłogą, z jakiej przed laty ruszył w świat, lecz w murowanym domku z łazienką.

W rezultacie nie tyle industrializacja i urbanizacja, i nawet nie sprawy materialne stają się najważniejsze, lecz to, co dzieje się z jednostką i wokół niej na pograniczu, i w zderzeniu małej i wielkiej ojczyzny. Pisarz stara się rozkładać akcenty obiektywnie, wyważać racje. Bardzo interesujący jest np. problem ograniczania wolności jednostki przez wiejską gromadę osaczającą

swoją dociekliwą i podejrzliwą obserwacją: „Wieś nikt nie zostawia w spokoju, a już na pewno nie daje spokoju takim, którzy od niej tego żądają”. Wiejska wspólnota łączy jednak ludzi rozlicznymi nićmi, daje poczucie stabilności i ciągłości kulturowej, ofiarowuje stop może i „staroświecki”, ale sprawdzalny, solidnie osadzony.

Miasto w twórczości Kawalca – a także innych przedstawicieli nurtu wiejskiego – bywa czymś niedookreślonym, przelewającą się masą ludzi, która zarzucała jakąkolwiek autentyczną obrzędowość, utraciła naturalny rytm bytu związany z chłopskim tradycjonalizmem i naturą, porzucając wizję świata jako czegoś spójnego, wypełnionego głębokim sensem w czasie i przestrzeni. Miasto zdaje się atomizować, kawałkować życie nadając mu cechy nieciągłości, fragmentaryczności, przy nieustannym zgubnym pośpiechu. Wszystko staje się doraźne, jednorazowe, przypadkowe, wykorzenione i wyobcowane, pozbawione ostatecznej celowości, z wyjątkiem robienia kariery i zdobywania pieniędzy. To „samotny tłum”, w którym dominują egoizm oraz indywidualna pazerna zapobiegliwość „sinoskórych”, jak Stanisław Zawada z *Wezwania* – niewolników klatek w betonowych domach.

Kawalec sięga pośrednio do archetypów, do romantycznych konceptów oraz ludowej tradycji w poszukiwaniu ludzi czystych i sprawiedliwych. To oni mają jeszcze jakieś szanse podtrzymania rzeczywistych związków z Matką Naturą i Ziemią Karmicielką, z najściślejszą ojczyzną. Dlatego muszą być inni, odmienni, „nawiedzeni”, zdolni do bezinteresownych poczynań, jak „nieudaczny” Ładny Stefek z *Wezwania*, głupi Marcin z *Ziemi przypisanego* czy „zdziwiał” Michaś Chrzyciel z *W puchu Alleluja* Tadeusza Nowaka. Ci późni potomkowie „dziecięcia natury” – Dobrego Dzikusa zdają się przedłużać pradawne *sacrum*, zwalczani, ignorowani lub ledwo tolerowani przez wiejską społeczność. Trochę podobnie myśleli romantyczni poeci, którym nie wystarczyło „mędrca szkiełko i oko”, sięgali więc po pierwiastek szaleństwa. Strażnicy „małych ojczyzn” stają się w prozie Kawalca jednocześnie obrońcami wielkiej ojczyzny ludzkiej, narodowej i ponadnarodowej.

Problem małych ojczyzn, tak sugestywnie rozwijany ongiś m.in. przez Stanisława Vincenza nie wygasł. Pełno go we współczesnej literaturze, ale dotyczy nie tylko wsi; jest najczęściej krainą dzieciństwa, spędzonego także w mieście, np. Gdańsk w twórczości Stefana Chwina czy Pawła Huelle. W dobie globalizacji zmierzającej do ekonomicznego i kulturowego ujednoczenia świata przybierają na sile tendencje odwrotne, nierządno w sposób niepokojący, a nawet zatważający w formie nacjonalistów i religijnych fanatyków. W tej sytuacji małe ojczyzny obejmujące to co najbliższe, autonomiczne, lokalne zyskują na znaczeniu podtrzymując na duchu osamotnioną jednostkę. Warto sięgnąć po książki Kawalca choćby z tego powodu, że ukazują takie problemy.

Mój sędziwy przyjaciel Julian Kawalec już nie pisze odpoczywając po długim i pracowitym życiu. Jest świadkiem i twórcą innej epoki, ale takim, którego twórczość wciąż warto przywoływać, aby zrozumieć przeszłość.

MARIAN STĘPIEŃ

DOTYKAĆ TEGO BRUDU?

„Pokusa. Gdy brat twój grzeszy, okryj go raczej, nie demaskuj owego grzechu. Ostoń, a nie obnażaj. Co kryje się za tym nakazem? Niechęć do wydawania wyroków, to pewne. Ale ukazując występki nie musi się jednocześnie wyrokować. Jeśli bliźni twój grzeszy, nie dochodź motywów. Odejdź lepiej od tego miejsca. Będziesz czysty nie dotykając brudu. Oto prawdziwie nienaganna dyrektywa”¹.

Pokusie, by „nie dotykać brudu” towarzyszy zwątpienie, czy wolno „odejść z tego miejsca” temu, kto zajmował się komentowaniem literatury współczesnej, tkwił we współczesnym życiu literackim, spotykał się z owymi „grzesznymi braćmi”, odnosił się do nich z zaufaniem, otwarcie o wszystkim rozmawiał, niekiedy zajmował podobne jak oni stanowisko na konferencjach, zjazdach, sympozjach nieświadom ich drugiego, tajnego zatrudnienia.

Dalsze uleganie pokusie, by „nie dotykać brudów” stało się coraz mniej uzasadnione. Graniczyło ze sprzeniewierzeniem się zawodowemu obowiązkowi, sumieniu badacza literatury. Było ciągłym omijaniem trudnego, niewygodnego a ważnego problemu przy opisywaniu zjawisk z pogranicza literatury i polityki. Pogranicza, na którym często zatrzymywało się uwagę.

Co więcej – oznaczać mogło milczącą zgodę na brak właściwej reakcji na zjawisko, które o taką reakcję wołało i nadal się o nią upomina. I co najgorsze – mogło też być odbierane jako dowód solidarności z tymi, których – używając słów Władysława Terleckiego – lepiej było ostonić niż demaskować. Tym bardziej że wśród wyjaśnień, usprawiedliwień, tłumaczenia pobudek i motywacji czynów uchodzących za haniebne nie brakło nawet powoływania się na postawę lewicową, co było szczególnie przykrym nieporozumieniem. Już ono wystarczyłoby do podjęcia się pisania tego szkicu, którego tematem nie są literaci-agenci ani sporządzane przez nich raporty, lecz styl ich zachowania się po ujawnieniu związków ze służbami bezpieczeństwa.

Nie będzie tu nazwisk, tropienia i domyslenia się, kto kryje się za kryptonimami i pseudonimami. Ani odgadywania autorstwa raportów na podstawie ich języka i stylu, co w wielu przypadkach nie jest zbyt trudne. Dużo nazwisk zostało już ujawnionych w różnych publikacjach. Nierzadko, choć nazwisko nie jest znane, orientującemu się we współczesnym życiu literackim i jako tako wrażliwemu na osobliwości stylu łatwo odgadnąć, kto jest autorem – niekiedy bardzo profesjonalnego – raportu składanemu Służbie Bezpieczeństwa. Raportu świadczącego o dobrym merytorycznym, wręcz polonistycznym przygotowaniu.

Ale po co nazwiska? Nie straciła aktualności smętna refleksja Barbary Łopieńskiej sprzed dwudziestu lat: „Nie mamy zamiaru tropić, kto kryje się za kryptonimem »Jot« czy »Reflektor«, »Krzysiek«, »Warszawski«, czy »Ewa«, która siedziała (siedział?) przy stoliku w PIW-ie. Nie daj Boże, jeszcze byśmy się dowiedzieli. Wytropimy i co potem zrobimy?”²

Nazwiska się pojawiają, ale tylko tych, którzy nie ulegli naleganiom, zachętom, pokusom, presji. Którzy etos pisarza stawiali ponad materialne korzyści, wyjazdy zagraniczne, karierę literacką. Nazwiska tych, których postępowanie zadaje kłam, mającemu usprawiedliwić niegodziwość, twierdzeniu, że wszyscy, a na pewno znaczna większość twórców literatury zgadzała się na współpracę z SB.

Czym innym jest być korespondentem zagranicznym i równocześnie ekspertem w sprawach obcych krajów, nieraz bardzo egzotycznych i służyć władzom swego państwa swoją o nich wiedzą, jak robił to Ryszard Kapuściński pisząc o problemach Afryki i krajów Ameryki Łacińskiej raporty, które były potem publikowane w Biuletynach Specjalnych, a zupełnie czym innym jest pisanie donosów na kolegów po piórze, budować na tym własną karierę i utracić potencjalnych konkurentów.

W polskiej tradycji narodowej i literackiej pisarz był autorytetem moralnym, budzicielem sumień – patriotycznych i obywatelskich. Etos polskiego pisarza był etosem szczególnie wymagającym, tak to ukształtowała historia. Jego miarę ustanowili wielcy romantycy, pisarze pozytywizmu, Stanisław Wyspiański, wchodzący już do Polski niepodległej Stefan Żeromski. Do nich starali się później, już po wojnie, dołączać – z różnym powodzeniem – Maria Dąbrowska, Jerzy Andrzejewski. W takim duchu, w takim oczekiwaniu od pisarzy, z takim nastawieniem do ich dzieł wychowywali się odbiorcy literatury znajdujący w dziełach pisarzy wielkość filozoficzną, etyczną, obywatelską. Do pewnego czasu.

Kryzys zaufania do twórców literatury przyniósł okres Października 1956, odsłonił on ich konformizm i nieautentyczność ich dzieł. Odżegnywanie się od własnej biografii twórczej z pierwszej połowy lat 50. często bardzo emocjonalne, nie przysparzało powagi ani szacunku pragnącym skorygować swoje biografie. I chociaż nie wszyscy podzielali tęzę o „hańbie domowej”, bo głębiej ujmowali skomplikowane realne okoliczności, w jakich twórca polski po 1945 roku musiał dokonywać wyboru własnej drogi, to jednak owo dawne zaufanie do pisarzy już nie powróciło.

Ostatnie lata miały ujawnić prawdziwą hańbę. Okazało się, że wśród literatów było wielu płatnych agentów Służby

¹ Władysław Terlecki, *Zeszyt „Dialog”* 1991, nr 7.

² Barbara N. Łopieńska, *„Ewa” zgłoś się, czyli donosy na literatów*, „Res Publika” 1990, nr 7-8, s. 2-0.

Bezpieczeństwa – donosiciele na swych kolegów i swoje środowisko.

* * *

W świetle opublikowanych dokumentów widać, że chętnych do takiej roli było wielu, podjęte zadania agenturalne wykonywali bez przymusu i rzetelnie. O jednym z nich, który wprawdzie zapewniał, że nie donosił, nikogo nie zdradził, nikomu krzywdy nie wyrządził, zachowała się taka opinia prowadzącego go funkcjonariusza SB: „Dostarczył szereg cennych danych [...]. Przyjmował do wiadomości sprecyzowane zadania i był obowiązkowy w ich realizacji”. W swej gorliwości nie oszczędzał nikogo. Donosił na kolegów zmierzając do wyeliminowania swych konkurentów.

Inny, w latach ostatnich wykreowany przez siebie i przez publicystykę na wielkiego, nieskalanego, pryncypialnego moralistę był w swoim czasie sterowany przez funkcjonariuszy wywiadu, podstępnie doprowadził do powrotu do kraju swego ojca z emigracyjnego Londynu i zabiegał, by współpracował on z SB penetrując środowisko emigracyjne, jak zapewnia prowadzący go oficer – „wszelkie zadania wykonywał sumiennie”.

Podobne charakterystyki się powtarzają: „Informował zawsze szczerze i rzetelnie”, „Jest sprawdzonym i obiektywnym źródłem informacji”. W charakterystykach często pojawia się opinia o dużej gotowości podjęcia się roli agenta. Oto jedna z opinii, oficera SB wnioskującego o zwerbowanie jako TW swego rozmówcę: „Na zadane pytania odpowiadał szeroko ujawniając szczegóły, o które nawet nie pytano”. Okazało się, że zwerbowany był w istocie bardzo SB przydatny. Uzyskiwane od niego informacje były „wartościowe z punktu widzenia operacyjnego”.

Zabiegi funkcjonariusza SB o zwerbowanie współpracownika często były uwieńczone sukcesem: „Zdobycie [...] było dużą wartością operacyjną, ponieważ znany był w środowisku z liberalnych poglądów [...]. Był do kontaktów z SB chętnie ustosunkowany”.

Notatki funkcjonariuszy SB z rozmów z pozyskiwanymi do współpracy literatami różnią się diametralnie od ich późniejszego tłumaczenia się i usprawiedliwiania. Są jednoznaczne w swej wymowie: „Wykazywał przychylną postawę [...]. Reakcje są swobodne, wszystko wskazuje na to, że szczerze. Do naszych zainteresowań odniósł się ze zrozumieniem. Oporów moralnych nie zdradzał”. Albo: „Źródło wieloletnie, sprawdzone, rzetelne, zaangażowane i chętne do współpracy, systematycznie nagradzane, zdobyte na zasadzie korzyści osobistych i lojalnej postawy obywatelskiej”.

Jakie były motywy ich postępowania? Czy chodziło o pieniądze? Tak, w wielu przypadkach. Chętnie sięgano po zapłatę za przygotowane na piśmie raporty i ujawniane w bezpośrednich rozmowach ze swymi „opiekunami” informacje. Jeden z pozyskanych tłumaczy swą decyzję trudną sytuacją życiową, bo nie mógł liczyć – dorosły, pracujący mężczyzna – na pomoc matki, ani – co jeszcze żałośniej wygląda – na rodzinę żony, bo był z nią w złych stosunkach. Zrozumiał więc – wyjaśniał – że zależało mu na dobrze płatnej posadzie. Mówił to po ujawnieniu jego współpracy z SB z przekonaniem, że podane przez niego okoliczności spotkają się ze zrozumieniem i usprawiedliwią go w opinii publicznej.

Względy czysto materialne nie dla wszystkich były najważniejsze. W wielu przypadkach chodziło o szybką karierę literacką, ułatwienia w publikowaniu utworów, uzyskanie stanowiska na placówce zagranicznej, możliwości częstych wyjazdów zagranicznych, chęć trwałej obecności na pierwszym planie życia kulturalnego, posadę redaktora naczelne-

go liczącego się wśród pisarzy periodyku, kontakty z ludźmi kultury, literatury, polityki w Polsce i poza jej granicami. A także o możliwość przywożenia do kraju niedostępnych w Polsce publikacji, które służyły pisaniu własnych książek przyjmowanych z dużym zainteresowaniem, bo cytowane w nich były źródła w kraju nieosiągalne. Dla ludzi pióra taka możliwość była dużą pokusą. Donosicielstwo, pisanie raportów na kolegów i własne środowisko były więc ceną za otrzymanie paszportu, statusu zagranicznego korespondenta, związane z tym duże możliwości i szerokie kontakty. Wchodziła również w grę ambicja autorska, może nie tyle ambicja, co raczej próżność, przed którą – wobec możliwości swobodnego i w dużych nakładach publikowania swych książek – ustępowały skrupuły etyczne.

Niektórzy tłumaczą się młodym wiekiem w czasie, gdy dali się zwerbować. Ale młody wiek przemijał, oni dorastali i nadal służyli tajnym służbom niemniej gorliwie. A była możliwość zerwania współpracy, co niektórzy czynili. Jeden z nich wyznał, że donosił „z głupoty, niewiedzy, bezmyślności, czy, co tu ukrywać, oportunistu”.

Inny tłumaczył się strachem przed konsekwencjami odmowy. Próbował przekonać, że odmowę „uniemożliwiła atmosfera strachu”, jego zdaniem obejmująca wszystkich obywateli PRL. Nie wszyscy jednak byli tak strachliwi, a i jego strach pobrzmiwa fałszywie w zestawieniu z opinią prowadzącego tego ciężko przestraszonego, który okazywał dużą gorliwość i gotowość współpracy. Inny szukał usprawiedliwienia w stwierdzeniu, że „w czasach PRL ludzie donosili na siebie, bo musieli to zrobić”. Był i taki, który tłumaczył, że zmuszono go do podpisania „lojalki” i w ten sposób zrobiono z niego tajnego współpracownika SB. Podpisanie „lojalki”, usprawiedliwione w pewnych okolicznościach, nie musiało się równać zgodzie na donosicielstwo.

Jeden z literatów-agentów swą współpracę z SB tłumaczył lewicowymi poglądami. Rozczarowawszy się do „Solidarności” opuścił jej szeregi i zaczął służyć donosami na kolegów-pisarzy, nie odmawiając za to zapłaty. Trudno o większe nieporozumienie i nadużycie. W etosie autentycznej lewicy nie było i nie ma miejsca na wzajemne donosicielstwo. Ludzie lewicy działają z otwartą przyłbicą. Wszyscy wiedzą, kim są. Płacili i płacą niemałą cenę – w różnych okresach PRL, nie tylko w III Rzeczypospolitej – za swoje przekonania. Donosicielstwo do władz na kolegów i własne środowisko, zawsze i wszędzie, także w tradycjach lewicy traktowane było i jest jako czynność haniebna.

Po zmianie ustroju na przełomie lat 80. i 90. ubiegłego wieku dużo było okazji do wyjaśnienia swego postępowania, przyznania się do agenturalnej roli, lub usunięcia nieporozumień i uporządkowania spraw natury etycznej. Nikt jednak z byłych agentów – literatów dobrowolnie, z własnej inicjatywy nie przyznał się do agenturalnej działalności. Jeżeli – jak ten i ów utrzymywał – jego współpraca z SB była rezultatem szantażu, wbrew jego woli podjęta, można było wiele wyjaśnić i liczyć na zrozumienie. Wszyscy przyznali się dopiero po bezwzględnej wymowie opublikowanych dokumentów. Można odnieść wrażenie, że liczyli, iż ich przeszłość pozostanie tajemnicą, nigdy nie zostanie ujawniona.

A po ujawnieniu przeważającą reakcją było zaprzeczenie wszystkiemu, co znaleziono w ich sprawie w opublikowanych dokumentach archiwalnych, wraz z kwestionowaniem jakiegokolwiek ich wartości dowodowej, nawet gdy znajdowały się na nich własnoręczne ich podpisy kwitujące odbiór pieniędzy lub firmujące składane raporty. Utrzymywano, że musiały się one tam znaleźć jedynie przez przypadek, nieporozumienie, albo i przez złą wolę prowadzącego funkcjonariusza SB, „spreparowane w ubeckich laboratoriach

w celach, których się można tylko domyślić”. Często powoływano się na własną niewiedzę: o zarejestrowaniu ich jako współpracowników, o nadaniu im pseudonimu, mimo że ujawnione okoliczności zmuszały wręcz do przyznania się do kontaktów z SB.

Niewiarygodność ujawnionych dokumentów miały uzasadniać znajdujące się w nich pomyłki co do dat, lat „służby”, pewnych szczegółów bibliograficznych. W istocie mają one drugorzędne znaczenie. Podważają wiarygodność dokumentów tylko w opinii tych, których one dotyczą.

Jako wygodne wyjście służy niekiedy zapowiedź podjęcia własnych badań prowadzących – przy pomocy profesjonalnych archiwistów – do weryfikacji (a to ma oznaczać do odrzucenia) faktów zawartych w opublikowanych dokumentach. Zapowiedź taka bowiem pozwala na znaczne odłożenie w czasie stosownych wyjaśnień. Na razie bowiem nie ma się dostępu do archiwaliów IPN. Zasada, że „delikwent, na którym dokonuje się egzekucji, zgodnie z absurdalnym przepisem, nie może się zapoznać z materiałami” z jednej strony bardzo słusznie oburza, z drugiej natomiast okazuje się czasem nawet wygodna. Pozwala odłożyć zajęcie stanowiska *ad Kalendas graecas*.

Dobrowolnie wcześniej nikt się nie przyznał. Przyznali się do swej roli agentów SB lub też częściowi się przyznawali tłumacząc się i usprawiedliwiając na różne sposoby dopiero po opublikowaniu dotyczących ich dokumentów. Jeden z rozbrajającą naiwnością tłumaczył, że dlatego nie zgłosił się wcześniej z przyznaniem się do współpracy, bo myślał, że to, co robił nie miało większego znaczenia: „Nie robiłem z tego nigdy tajemnicy, wielka szkoda jednak, że nie stać mnie było, by powiedzieć o tym całkowicie otwarcie”.

Przekonanie o swej „niewinności”, o tym, że ich donosy nie miały większego znaczenia wspierał zapewnieniem, że nie zdawali sobie sprawy ze skutków swego działania; że znaczenia sporządzanych przez nich raportów, treści prowadzonych rozmów. Zapewniali, że nigdy im na myśl nie przyszło, że to, co przekazują SB o swych kolegach i własnym środowisku mogłoby być przeciw nim użyte i stanowić jakieś zagrożenie. Uznanie, że to, co się robiło, było mało ważne, powodowało, że nie czuło się potrzeby przyznawania się do swych czynów. Nie było się do czego przyznawać: „Ani nie donosiłem na nikogo, nie kapowałem, to kompletnie nie w moim stylu”, zapewniał jeden z nich w poczuciu niewinności swoich kontaktów z SB. Czasem pojawi się cień wątpliwości w tę niewinność, ale natychmiast zostaje ono zagłuszone: „Starałem się nie szkodzić, ale czy nie szkodziłem, trudno powiedzieć”.

Wszyscy zgodnie zapewniają, że z funkcjonariuszami SB mającymi zadanie kontrolowania środowiska literackiego rozmawiali tylko na tematy ogólnie to co mi wili, nikomu nie mogło wyrządzić szkody. W konsekwencji bagatelizuje się cały problem współpracy: „Może coś czasem chlapnąłem [...], ogólnie jednak opierałem się esbekom, nie mówiłem nic istotnego ani obciążającego i czuję się czysty”.

Wieloletni „zasłużony” agent SB pod koniec życia, gdy już ujawniono mroczną stronę jego biografii przeprasza kolegów z redakcji, że na nich donosił, ale uspokaja swe sumienie: „Wierzę, że nie wyrządziłem nikomu nic naprawdę złego”. Inny zapewnia: „Starałem się opowiadać same niewinne rzeczy – że to bardzo sympatyczni ludzie [z opozycji politycznej]. Mówię sobie, że nikomu wielkiej krzywdy nie mogłem wyrządzić [...]. Przekazywałem »swojemu tajnikowi« sprawy, które dziś wydają się drugorzędne [...]. Zdarzało się, że broniłem swoich kolegów z opozycji, tłumaczyłem esbekom ich racje”. Można więc, jak widać, uczynić z donosów tytuł do chwały i zasług.

„Mówię sobie...” – te słowa wskazują na kierunek myślenia tych, którzy mają coś na sumieniu, ale sami się uspokajają. Ważne jednak jest nie to, co „mówię sobie...”, lecz to, co inni mają do powiedzenia. Zarówno odbiorcy przekazywanych materiałów, jak i ich ofiary.

Bywa, że samoobrona idzie jeszcze dalej. Próbuje się przedstawić swoje kontakty z SB jako podjęte z własnej woli, w celu prowadzenia ważnej dla opozycji gry z władzami. Jeden z takich agentów, tajny współpracownik, który, jak sam utrzymuje, samodzielnie zgłosił się na „dłuższe rozmowy”, próbuje przekonać: „Moją żelazną zasadą było niepodawanie jakiegokolwiek informacji, która mogłaby kogoś obciążać. Równocześnie starałem się jak najwięcej ukryć”. W jego przekonaniu podjęta gra miała znamiona działalności patriotycznej, której celem było „wprowadzenie SB w błąd i ukrywanie tego, co rzeczywiście zrobili moi przyjaciele [...] i co robiłem ja sam”. Przekonany o swej niewinności, a nawet o swego rodzaju bohaterstwie dodaje: „W czym ja kiedy pomogłem SB? Donosiłem na kogoś? Zadenuncjowałem kogoś? Ktoś za mnie siedział?” Nie bez pewnej dumy mówi o swoim chytrym pomysle i sprytnie wyprowadzanych w pole funkcjonariuszach SB. Nie oni dowiadywali się czegoś istotnego od niego, lecz on od nich wyciągał informacje, czym i kim się interesują. Pozwalało mu to podobno poznać metody działania „esbeków”, a także ostrzec osoby zagrożone, uchronić je przed represjami. A jeżeli odbierał parokrotnie pieniądze to tylko dlatego, by się bardziej uwiarygodnić w opinii SB. Szkoda tylko, że historycy nawet do niego przyjaźnie usposobieni stwierdzają, „że zachowana dokumentacja nie potwierdza wersji o prowadzeniu gry”, która jest raczej wynikiem późniejszej fantazji próbującej jakoś wybielić własne postępowanie.

W świetle wypowiedzi literatów-agentów, Służby Bezpieczeństwa w Polsce nie były takie groźne, nie takie straszne, jakby to mogło się wydawać. Funkcjonariusze SB byli naiwnymi prostaczkami, którzy łatwo dawali się nabrać na plewy. Za dobrą monetę przyjmowali powszechnie znane ogólniki, a nawet kłamstwa, i jeszcze za nie płacili pieniędzmi, prezentami, przygotowaniem paszportu, dobrymi posadami i ułatwieniami w literackiej karierze.

Nie donosicielom oceniać, ile warte były ich donosy, lecz tym, którym je przekazywali. Oni wiedzą, jaką rolę w ich pracy odegrały pozornie mało znaczące informacje. Donosów „niewinnych” nie ma. Także ich ofiary mogłyby tu dużo powiedzieć.

Literaci-agenci umieli zyskać zaufanie swego najbliższego otoczenia. Nawet jeżeli wokół nich krążyły niepotwierdzone pogłoski o ich rzeczywistej roli w środowisku, nie wszyscy tym pogłoskom dawali wiarę. Niekiedy nawet dziwił musi stopień ufności, z jaką się do nich odnoszono. Jednego z nich, bardzo szkodliwego i gorliwego w donosicielskiej aktywności darzyli zaufaniem Wiktor Woroszyński, Jan Strzelecki, Walendowscy. Stefan Kisielewski traktował go jak brata i przyjaciela. I to mimo że Melchior Wańkowicz, który bliżej się na nim poznał (zapewne dzięki bliższej znajomości z nim jego córki) w kartkach rozsyłanych do znajomych nazywał go „kapusiem, agentem, kanałią, kameleonem i kundlem”.

Dobrze poinformowany o charakterze jego aktywności w środowisku literackim był Andrzej Bobkowski, który w liście do matki z 29 października 1956 roku pisał o nim: „Jest w Warszawie taki facecina [...], o którym wiadomo, że był wtyczką UB w AK, po prostu kapuś. To wyszło nawet na wierzch”.³

³ Andrzej Bobkowski, *Listy z Gwatemali do matki*, Warszawa 2008, s. 186.

Ale listy Jerzego Giedroycia do Jerzego Stempowskiego wskazują, że redaktor „Kultury” odnosił się do niego z ostrożnym może, ale zaufaniem. Opowiadał on Giedroycowi w bezpośredniej rozmowie w 1954 roku, że w Polsce „jest prawdziwy terror psychiczny, znacznie niebezpieczniejszy i bardziej męczący od fizycznego, że coraz trudniej się opierać”. Brzmiało to przekonująco i zyskał on tym co najmniej przychylność Giedroycia, który informował Jerzego Stempowskiego: „Spotkałem się z jego inicjatywy na terenie neutralnym, gdzie rozmawiał ciekawie, ale ostrożnie, nabrał widocznie zaufania [...], gdyż pojutrze zapowiedział mi się do Laffitte na cały dzień. To może być ciekawe, tym bardziej że tak to organizuje, by rozmowa była jedynie w cztery oczy”.⁴

Wbrew temu, co pisze Giedroyc, nie chodziło o to, by on nabrał zaufania, ale by Giedroyc mu zaufał. I to agentowi się udało, o czym świadczy dalszy ciąg korespondencji: „Rozmowy były bardzo ciekawe. Przed wszystkim charakterystyczne, że szukał kontaktu [...]. Dwukrotnie przyjeżdżał do Laffitte na długie rozmowy. Dostyc szybko zdjął gorset [...], że literaci w Polsce są równie zagubieni, bezradni i apatyczni jak na emigracji. Dominuje lęk przed siłą Sowietów [...] Bardzo narzeka na terror psychiczny, który jest coraz większy [...]. Ofiarowałem swoje dyskretne pomoce. Bardzo się do tego zapalił [...]. On zabrał z sobą cały kufer książek, komplety »Kultury« etc. I twierdzi, że najłatwiej to przewieźć».⁵

Jak widać, nawet fakt swobodnego przewiezienia do Polski publikacji „Kultury” nie wzbudził większego podejrzenia co do roli gościa, który się zjawił w Laffitte.

Jerzy Stempowski okazał się bardziej ostrożny i przenikliwy. Gdy planował spotkanie kilku literatów krajowych i emigracyjnych, tego, którego gościł u siebie Giedroyc, stanowczo wykluczył, nazwał go „nieprzyjemnym typem politruka”.⁶

Teksty donosów, raportów, ekspertyz z reguły świadczą o dobrej znajomości przedmiotu, orientacji w środowisku, którego raport dotyczy, o zażytych stosunkach z osobą, na którą składa się donos. Zdarza się nawet, że na użytek ekspertyzy jej autor zwraca się do autora, na którego donosi, jak należy rozumieć jego utwory.

Dokładnie i profesjonalnie pod względem analizy krytycznoliterackiej penetrowane było środowisko „Nowej Fali”, które w lata siedemdziesiątych cieszyło się szczególnym zainteresowaniem SB, gdyż w nim rozwijała się krytyka „realnego socjalizmu”. Konsultant służący swą wiedzą Służbie Bezpieczeństwa (agenci zapewniają, że mają do niego pełne zaufanie) ujawnia dobrą polonistyczną wiedzę o przedmiocie, umiejętność krytycznoliterackiej interpretacji utworów poetyckich Adama Zagajewskiego i Juliana Kornhausera. Przy okazji krytykuje też cenzora za to, że dopuścił do druku ich utwory z krytycznym przedstawieniem filozofii marksistowskiej. Przypisuje mu brak wiedzy i nieumiejętność lektury. Paradoksalnie i poniekąd zabawnie konsultant mimowolnie ów sam siebie właściwie określa, pisząc w swym raporcie: „gdyby którykolwiek krytyk odważył się zinterpretować tak, jak ja, te wiersze, zgodnie z tym, co jest tu napisane, ja tu nic nie wymyśliłem, to by powiedziano, że jest donosiciel”. Jest nim w istocie, gorzej, bo jest t a j n y m donosicielem.

Jako wnikliwą ocenił Andrzej Friszke notatkę dotyczącą powieści Tomasza Stalińskiego (Stefana Kisielewskiego) *Widziane z g—ry*. Jej autor próbuje na podstawie analizy tekstu literackiego dojść kto jest autorem. Jego dociekania czasu i przestrzeni, miejsca akcji, cech bohatera i zakresu jego wie-

dzy przypomina krytycznoliteracką rozprawkę, której autor zajmuje się czasem i przestrzenią wpisaną w świat przedstawiony dzieła literackiego oraz horyzontów poznawczych jego bohatera (autora). Idzie dobrym tropem, aczkolwiek „kropki nad i” nie stawia. Zatrzymuje się przed podaniem nazwiska autora, ale śledczym dostarcza wskazówek, które mogą ich doprowadzić do celu.

(Polonistyczny nawyk piszącego te słowa nie pozwala pominąć milczeniem dwóch błędów rzeczowych autora notatki. O *Palę Paryż* Brunona Jasieńskiego informuje, że jest to jeden z ostatnich utworów autora napisany już na emigracji w ZSRR. W rzeczywistości jest to jedna z pierwszych powieści, powstała w Paryżu, w latach młodości pisarza. Drugi błąd to przypisanie *Czarnej Róży* Juliana Strykowskiemu – Stanisławowi Wygodzkiemu).

Można było oczekiwać, że po ujawnieniu agenturalnej działalności wielu literatów nastąpi poruszenie sumień, *kat-harsis*, próba ekspiacji, coś więcej niż zbanalizowane już słowo „przepraszam”, osłabione ponadto powtarzającym się przekonaniem o ogólnikowości donosów, które nikomu zaszkodzić nie mogły. Reakcje bohaterów tego szkicu idą jednak w innym kierunku.

Ceniony nauczyciel, wrażliwy poeta, od młodości donosił na kolegów. Mieli oni przez niego nie tylko duże nieprzyjemności, przeszkody w karierze, ale również – we wczesnych latach Polski Ludowej – czekało ich aresztowanie, surowe wyroki sądowe, niekiedy nawet kara śmierci. Gdy jego życie miało się ku końcowi opublikował wiersz – przyznanie się do własnych czynów. Nie ma w nim żalu, poczucia winy. Tłumaczy się koniecznością historyczną:

Wyskoczyłem ze szkoły
By zabić paru ludzi
(Trzeba było ich zabić
Bo tak wplątali się w przeszłość
Że można było ich wyplątać
Tylko kulą)
...i wróciłem do klasy
w granatowym ubranku
pachnący młodością
i krwią.

Najczęściej działała amnezja wspierana wysiłkiem psychicznym, który uruchamiał mechanizm zapominania o tym, co mogłoby doskwierać i zatruwać życie: „Wyparłem te fakty z pamięci na tyle skutecznie, że dzisiaj nie wiem, kogo mogłem tym skrzywdzić, kogo powinienem prosić o przebaczenie”.

Ten, który spełniał gorliwie życzenia Służby Bezpieczeństwa, działał nawet podstępnie przeciwko swemu ojcu, później przybierał szaty wielkiego moralisty w artykułach publicystycznych (zresztą niezłych) pouczał, gromił, potępiał, uchodził w opinii publicznej za jednego ze sprawiedliwych, z własną pamięcią umiał sobie poradzić. Wykształcił w sobie pamięć selektywną. Z całą otwartością mówił o sobie (przemilczając wprawdzie, co z pamięci usuwał): „To co jest poza moją pamięcią, co się w niej nie mieści, jest eliminowane, nie jest akceptowane. Wiem, że to jest groźne. Wiem, że to jest nawet i nieprzyzwoite, ponieważ mogłoby się zdarzyć, że nie zapamiętuję rzeczy dla mnie niewygodnych, rzeczy, w których jestem widziany w niewłaściwym świetle, niedobrych dla siebie – wobec tego to nie istnieje. Może tak i jest, ale w tej chwili mówię o mechanizmach i tak je opisuje, jak one wydają się funkcjonować”.

Można też spotkać się z cynicznym wyznaniem, które zmierza do usunięcia hańby donosicielskiego postępowania, a nawet do jego usprawiedliwienia: „Zawód agenta jest tak samo stary jak zawód kurwy i jego nagłe demonizowanie to po prostu akt zbiorowej hipokryzji [...]. Trzeba by w ocenach

⁴ Jerzy Giedroyc, Jerzy Stempowski, *Listy 1946-1969*. Wybrał, wstępem i przypisami opatrzył Andrzej Stanisław Kowalczyk, Warszawa 1998, część pierwsza, s. 227.

⁵ Tamże, s. 230-231.

⁶ Tamże, s.

moralnych oddzielił małych żalonych kapusiów od świadomych agentów”.

Nie ma co tutaj pastwić się nad literatem, który sam uprawiany przez siebie zawód zrównuje z „zawodem kurwy”. A przy tym, chociaż jest – przyjmując jego klasyfikację – „małym żalonym kapusiem”, zestawia siebie z Jackiem Soplą, co dowodzi zarówno jego świetnego samopoczucia, jak i powierzchownej znajomości *Pana Tadeusza*. M—wymyprzeć o środowisku literackim, a ze statusem pisarza łączą się szczególnie zasady etyczne.

Samousprawiedliwienie, minimalizowanie, a nawet zupełne bagatelizowanie uprawianego przez siebie donosicielstwa, które w europejskiej tradycji etycznej w ogóle napiętnowane jest hańbą, a tym bardziej gdy dotyczy pisarza przychodzi tym łatwiej, że nie spotyka się ono z jednoznaczną, wyraźną, społecznie donośną reakcją opinii publicznej, w tym szczególnie do tego powołanego środowiska literackiego.

Czy jest to tak daleko idące obniżenie kryteriów etycznego postępowania? Tak daleko idący relatywizm moralny? A może solidarność środowiskowa, za którą ukrywa się świadomość podobnych jeszcze nie ujawnionych postępów?

Trzeba przyznać, że takiej właśnie sprzyja wybiórcze ujawnianie współpracy literatów z SB. Obejmuje ono przede wszystkim, jeśli nie wyłącznie osoby związane z lewicą, należące do Związku Literatów Polskich. Daremnie w książce Joanny Siedleckiej *Kryptonim liryka. Bezpieka wobec literatów* szukałoby się informacji na przykład o „Zapalnicze”, „Lachowiczu” (w tym przypadku zapewne ze względu na jego syna).

„Gazeta Polska” podała (13 XI 08), że ośmiu członków Zarządu Głównego Związku literatów Polskich było „tajnymi współpracownikami” i „konsultantami” SB. Poruszone tą wiadomością literackie środowiska regionalne (Poznań, Bydgoszcz, Gorzów, Szczecin, Ciechanów, Katowice, Rzeszów) zareagowały żądaniem podania się prezydium ZG ZLP do dymisji, zwołania nadzwyczajnego zjazdu delegatów ZLP z całej Polski i dokonania nowych wyborów władz Związku. W odpowiedzi na to żądanie Prezydium ZG ZLP wystosowało list do oddziałów terenowych, Komisji Rewizyjnej i Głównego Sądu Koleżeńskiego z informacją, że Zarząd Główny nie zamierza się podać do dymisji, gdyż opublikowane materiały pochodzą z „całkowicie niewiarygodnego źródła” (choć niektórzy potwierdzili zawarte o nich informacje). Ponadto w liście powołano się na prawo, które nie przewiduje lustracji w odniesieniu do członków i władz stowarzyszeń twórczych, wobec czego członkowie ZG ZLP nie mają zamiaru poddać się „dzikiej lustracji”.

Autorzy tego kompromitującego listu nie zauważyli różnicy między postępowaniem Instytutu Pamięci Narodowej, który tropi „kłamstwa lustracyjne” odbierające prawo do zajmowania publicznych stanowisk a problemami etycznymi środowiska literackiego, które jest przez nich reprezentowane. (W końcu, pod naciskiem terenowych oddziałów ZLP doszło do zebrania ZG ZLP w pełnym 33-osobowym składzie, w którym uczestniczyli także prezesi oddziałów. Ograniczyło się ono do sondowania opinii).

W tym kontekście warto przywołać słowa Leszka Długosza zdumionego brakiem reakcji Piwnicy pod Baranami na ujawnienie działającego w niej przez lata agenta SB: „Zdystansowało mnie bardzo zachowanie się tej Piwnicy w sytuacji, gdy została opublikowana książka *Kolacja z konfidentem*. Opisał w niej człowieka związanego z tym środowiskiem. Przez lata na ludzi z kręgu Piwnicy donosił SB za pieniądze. Ten człowiek oficjalnie odmówił tłumaczenia się z tej działalności. I okazuje się – znaczną część Piwnicy to nie tylko nie bulwersuje, to nie stanowi problemu moralnego! Wręcz przeciwnie

– wystąpiono z publiczną obroną uważając, że »nic się nie stało«”.

W wielu usprawiedliwieniach przewijało się przekonanie, że nie jest ważna biografia pisarza, lecz jego dzieło i tylko ono powinno się liczyć. Spotykało się ono z krytyką utrzymującą, że nawet najwybitniejszy pisarz nie może uniknąć moralnej oceny jego postępowania; że bezpośrednio lub pośrednio wpływa ono na interpretację jego dzieł i na ich czytelniczy odbiór. Może w stosunku do twórców z odległej przeszłości dylemat: uwzględnić czy nie uwzględnić niegodne postępy pisarza traci na znaczeniu. Ważne jest jego dzieło. Ale chyba inaczej to wygląda w odniesieniu do literatów współczesnych, wśród których i z którymi żyje się w tym samym czasie, doznaje się podobnych doświadczeń i narażonym się jest na takie same niebezpieczeństwa i pokusy; z którymi nierzadko się blisko współpracuje w życiu publicznym.

Jedrzy Giedroyc był bardzo liberalny pod tym względem, ale i on, świadom agenturalnej roli jednego z polskich pisarzy, pisał do Witolda Gombrowicza: „Mam dużo wyrozumiałości, gdyż dobrze wiem, że gdyby oprócz talentu wymagać od pisarza charakteru, to literatura by w ogóle przestała istnieć. Niemniej zawsze są jakieś granice”.⁷

Bolesne jest odkrycie, że osoba bliska była agentem tajnej policji i donosiła na ludzi ze swego środowiska. Gdy Peter Esterhazy natrafił na teczkę z donosami pisanymi przez jego ojca, który je „produkował” przez blisko 30 lat, napisał książkę *Wydanie poprawione*. Ze wstrząsu wywołanego tym odkryciem powstało wybitne dzieło literackie. Podobny przypadek w Polsce nie zrobił takiego wrażenia. Syn agenta poszedł tropem innych agentów. Przekonywał, że donosy ojca nie były szkodliwe, ograniczały się do informacji ogólnie znanych, a co było jego zasługą, nie donosił na własnego syna, mimo że ten należał do opozycji politycznej. Ów syn, ostoięty agenturalną tarczą swego ojca był bezpieczny, a ponadto, inaczej niż jego rówieśnicy i towarzysze z konspiracji, mógł korzystać z dobrze zaopatrzonej w zagraniczne wydawnictwa biblioteki powstałej dzięki agenturalnej działalności jego ojca, której ujawnienie było „obezwładniającą wiadomością” dla pracujących z nim przy wspólnym stole redakcyjnym.

Janusz Krasiński mówiąc o kapusiach wspominał lata swego uwięzienia: „W czasach, gdy siedziałem na Mokotowie, we Wronkach, w Rawiczu, musiano ich zwozić z innych zakładów karnych wybierając spośród więźniów kryminalnych, bo polityczni nie donosili. Po prostu brakowało kapusiów, to w końcu specjalna formacja ludzka”.

Jako wiceprezes Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich w końcu lat siedemdziesiątych, był zdumiony, że tylu ludzi tej „specjalnej formacji” zagnieździło się wśród literatów. W więzieniu przy tym sytuacja była jasna. Każdy wiedział, że w celi musi być kapuś. Ale wśród twórców literatury...?

Janusza Krasińskiego w więzieniu też nagabywano o współpracę ze służbami bezpieczeństwa. Nie uległ. Nie jest prawdą, co mówią bohaterowie tego szkicu znajdując w tym usprawiedliwienie swojej agenturalnej działalności, że większość literatów wzajemnie na siebie donosiła. Także w środowisku literatów, podobnie jak w całym polskim społeczeństwie nie była to postawa większości. Wielu umiało zrezygnować z korzyści, jakie otwierały się przed tymi, którzy podejmowali się współpracy z SB. Byli odporni na różne próby ich zwerbowania, a przecież i tak zostali cenionymi pisarzami.

Nie dał się do takiej współpracy pozyskać Jerzy Krzysztoń, także Lesław Bartelski. Poradził sobie z namowami i zniechęcił do dalszych nalegań Wojciech Natanson. Odmó-

⁷ Jerzy Giedroyc, Witold Gombrowicz, *Listy 1950-1969*. Wybrał, wstępem i przypisami opatrzył Andrzej Stanisław Kowalczyk, Warszawa 2006, s. 507.

wił współpracy Andrzej Jarecki. Wykręcili się od niej Henryk Bereza, Tadeusz Drewnowski. Nie poszedł na współpracę Bolesław Taborski osaczony i śledzony przez kolegów, literatów-agentów. Daremnie usiłowano pozyskać do współpracy Adama Zagajewskiego, którego chciano zwerbować: „Może mógłby pan dla nas pisać czasem jakieś ekspertyzy?”

Różne i ponawiane próby pozyskania do współpracy Zbigniewa Herberta kończyły się fiaskiem. Musiano pogodzić się z tym, że „Herbert na agenta dla wykorzystania zadań operacyjnych nie nadaje się [...]. Wystąpił u niego pewne opory psychiczne”. Nieudane, długotrwałe i powtarzane zabiegi doprowadziły do finału: „Wnoszę o zaniechanie dalszego prowadzenia operacyjnego kryptonimu »Bem«”.

Wbrew twierdzeniom tych, którzy dali się zwerbować, odmowa współpracy z SB nie groziła dużymi konsekwencjami. Narażała wprawdzie na czasowe trudności paszportowe, utrudniała publikowanie utworów literackich, zwiększała trudności materialne. To mogło mieć duże znaczenie, ale nie uzasadniało sprzeniewierzenia się zasadom etycznym pisarza.

* * *

Tak więc „dotknąłem tego brudu”. „Niech to, co powinno być powiedziane, będzie powiedziane”.⁸

MARIAN STĘPIEŃ

Korzystałem z publikacji:

- Stanisław Cenckiewicz, Piotr Gontarski, *Słowo harcerza*, „Rzeczpospolita”, 31 III-1 IV 2007.
- Stanisław Cenckiewicz, Piotr Gontarski, „*Słowo harcerza*”. *Kazimierz Koźniewski (1919-2005)*. *Agent p. <33> i tygodnik „Polityka”*, „Arkana”, 2007, nr 2-3.
- Do Redakcji „Rzeczpospolitej”*, „Rzeczpospolita”, 4-5 IV 2009.
- Andrzej Friszke, „*Widziane z góry*” *Tomasza Stalińskiego*, „Zeszyty Historyczne”, zesz. 157. Paryż 2006.
- Wojciech Frasik, *Czy Kazimierz Koźniewski był ostatnim naczelnikiem „Szarych Szeregów*”, „Arkana”, 2007, nr 2-3.
- Henryk Głębocki, „*Świat nieprzedstawiony*”. *SB wobec środowiska „Nowej Fali”* (teczka Adama Zagajewskiego), „Arkana”, 2004, nr 4-5.
- Piotr Gontarczyk, *Ćwierć wieku kłopotów z Nowakowskim*, „Rzeczpospolita”, 17-18 III 2007.
- Piotr Gontarczyk, *Nękanie „Ławnika”*, „Rzeczpospolita”, 4-5 VIII 2007.
- Piotr Gontarczyk, *Przeciwnik twórczości zaangażowanej*, „Rzeczpospolita”, 30 VI-1 VII 2009. <http://zulinski.pl>
- Katarzyna Herbert, *Wprowadzenie*, „Zeszyty Historyczne”, zesz. 153, Paryż 2005.
- Aleksander Kaczorowski i Wojciech Maziarski, *Teczka pisarza*, „Newsweek”, 27 V 2007.
- Ewa Kalinowa, *Nie pytaj mnie o jutro... O Andrzeju Szczypiorskim*, Poznań 1998.
- Julian Kasprowski i Maciej Marosz, *Obecne władze Związku Literatów Polskich w aktach IPN*, „Gazeta Polska”, 13 XI 2008.
- Dorota Koczwańska-Kalita, *Zjazd [bardzo] kontrolowany*, „Dziennik Polski”, 10 X 2003.

Maciej Kwaśniewski, *Hańba domowa*, „Gazeta Krakowska”, 12 IX 2003.

Barbara N. Łopieńska, *Z Archiwum S.B. „Ewa” zgłosił się, czyli donosy na literatów*, „Res Publica”, 1990, nr 7-8.

Paweł Machcewicz, *Kryptonim „Medal”*, „Rzeczpospolita”, 18-19 ...2004.

Paweł Machcewicz, *Służbowy „Raport z Monachium”*, „Rzeczpospolita”, 28-29 VII 2007.

Paweł Machcewicz, Andrzej Paczkowski, *Po pierwsze niepodległość*, „Rzeczpospolita”, 15-16 X 2005.

Paweł Machcewicz, Andrzej Paczkowski, *Tajny agent*, „Rzeczpospolita”, 9-10 X 2005.

Beata Maciejewska, *Wyskoczyłem ze szkoły, by zabić paru ludzi...*, „Gazeta Wyborcza”, 18 II 2009.

Krzysztof Masłoń, *Kryptonim „WO”*, „Rzeczpospolita”, 2 XII 2008.

Krzysztof Masłoń, *Upiory z kamienicy Johna*, „Rzeczpospolita”, 6-7 XII 2008.

Aleksander Minkowski, *Nieznośna lubość opluskwania*, „Trybuna”, 14 V 2009.

Aleksander Minkowski, *Partytura na instrumenty esbeckie*, „Rzeczpospolita”, 6-7 XII 2008.

Mokotowskie pasáže. Z Januszem Krasińskim rozmawia Krzysztof Masłoń, „Rzeczpospolita”, 10-12 XI 2006.

Jan Nowak Jeziorski, *To była zdrada*, „Rzeczpospolita”, 18-19 IX 2004.

Kazimierz Orłoś, *Zagubione proporcje*, „Rzeczpospolita”, 22-23 VIII 2009.

Początek raz jeszcze. Z Andrzejem Szczypiorskim rozmawia Tadeusz Kraśko, Warszawa 1991.

Małgorzata Ptaszińska-Wójcik, Grzegorz Majchrzak, *Kryptonim „Bem”. Sprawa operacyjnego rozpracowania Zbigniewa Herberta 1967-1970*, „Zeszyty Historyczne”, zesz. 153, Paryż 2005.

Igor Ryciak, *Kontakt 11630/I*, „Newsweek”, 27 V 2007.

Joanna Siedlecka, *Andrzej Kuśniewicz, pisarz i agent w świetle dokumentów IPN*, „Rzeczpospolita”, 7-9 IV 2007.

Joanna Siedlecka, *Kryptonim „Liryka”. Bezpieka wobec literatów*, Warszawa 2008.

Joanna Siedlecka, *O Wacławie Sadkowskim esbecy pisali „nasz agent”*, „Rzeczpospolita”, 4-5 VIII 2007.

Siekiera na moją głowę. Rozmowa Krzysztofa Masłonia z Włodzimierzem Odojewskim, „Rzeczpospolita”, 2 XII 2008.

Ernest Skalski, *W świetle sprawy Kapuścińskiego i ... mojej*, „Rzeczpospolita”, 9-10 VI 2007.

Stampł'owa Dżennet, *List do „Gazety Wyborczej”*, „Gazeta Wyborcza”, 23 III 2009.

Krzysztof Tarka, *Mackiewicz i inni*, „Rzeczpospolita”, 22-23 VII 2009.

Krzysztof Tarka, *Powrót ojca. Kombinacja operacyjna z udziałem Andrzeja Szczypiorskiego (1955)*, „Zeszyty Historyczne”, zesz. 156, Paryż 2006.

Małgorzata Dzieduszycka, * * *, „Odra”, 2006, nr 10.

Teczka Dzieduszyckiego, „Odra”, 2006, nr 10.

Ryszard Terlecki, *„Lachowicz”, mój ojciec*, „Rzeczpospolita”, 6-7 IX 2003.

Ryszard Terlecki, *Nie byłem Mrozowem*, O burzliwej młodości i hipisach w polskiej polityce opowiada poseł PiS, „Magazyn »Dziennika«”, 24-26 XII 2008.

To już nie moja Piwnica, Rozmowa Joanny Cichockiej z Leszkiem Długoszem, „Rzeczpospolita”, 22-24 VI 2007.

Tadeusz Witkowski, *Cuchnący panteon*, „Rzeczpospolita”, 7-8 III 2009.

Jacek Żakowski, *Pani Herbert*. Rozmowa z Katarzyną Herbert, „Gazeta Wyborcza”, 30 XII 2000-1 I 2001.

⁸ Słowa Czesława Miłosza.

KRZYSZTOF MIKLASZEWSKI

„UMARŁA KLASA” W AMERYCE

NOWOJORSKI TOP

I.

Wizyta krakowskiego zespołu Tadeusza Kantora w Nowym Jorku miała znaczenie podwójne. Dla amerykańskiego widza stanowiła sprawdzian ankiety „Newsweeka”, który obwołał *Umarłą Klasę* – po występach w Londynie w roku 1976 – najlepszym spektaklem świata. Dla polskiego zespołu Nowy Jork to była szansa „przebicia się” na bardzo nieprzenikalny i niełaskawy dla Europejczyków amerykański rynek sztuki. Jak pamiętamy, z Polaków jedynie Polański, Penderecki i Grotowski potrafili przed rokiem 1979 tę barierę skutecznie sforsować.

Kantor też nie miał łatwo. Pierwszą niespodziewaną przeszkodą stał się wyśniony przez Kantora w jego awangardowych snach o potędze Chelsea Hotel – niegdysiejsze gniazdo op- i popartu. Recepcja nowojorskiego Chelsea Hotel przy Dwudziesiątej Trzeciej przypominała „złote” cygańskie czasy tej dawnej przystani awangardowej braci malarzy. Atmosfera twórczej przeszłości wyzierała tu ze ścian w postaci całej galerii dzieł dzisiejszych koryfeuszy pędzla, którzy jeszcze piętnaście lat temu płacili obrazami noclegowe należności. Coś z *Niezamężnej kobiety* Mazursky’ego. Wszelkie jednak spekulacje o zatrzymaniu się czasu w tym nowojorskim „sanatorium pod awangardową klepsydrą” zniknąć musiały w obliczu ingerencji rzeczywistości; hotelowa klientela – jedyna widownia galerii mistrzów – korygowała skutecznie zmitologizowane już mocno wspomnienia.

Tego mroźnego lutowego popołudnia 1979 roku – obok umęczonych komfortem radzieckiego Ł-a aktorów krakowskiego „Cricotu” – w hotelowej kolejce po klucze bez kłopotu można było rozpoznać typy i typki amerykańskiego kina lat siedemdziesiątych. Trochę to jednak szokujące odnaleźć obok siebie już w pierwszej godzinie pobytu te prototypy ekranowych bohaterów. Dostyc to niesamowite zważywszy, że filmową rzeczywistość każdy niemal odbiorca zwykł traktować jako fikcję „przybliżoną” jedynie do życiowej prawdy. Stąd to nieodparte wrażenie iluzji w momencie, gdy

w utrwalonej przez film Andy Warhola *Chelsea Grils* recepcji hotelu rozegrały się trzy scenki.

Najpierw ledwie dychająca z opilstwa staruszka, w toku bezskutecznych prób zajęcia miejsca na podstawanym krześle, rozprawiała o filozoficznych racjach procesów wydalania. Obok „zadragowana” prawie na śmierć francuska dziewczyna władająca biegle kilkoma językami, a szokująca wszystkich złotą bransoletką na kostce bosej nogi, przekonywała starego hotelowego sutenera o swoim kompleksie Edypa. Wreszcie beztroska mamusia, tocząca intelektualne dysputy o emancypacji z każdym napotkanym mężczyzną nie zwróciła uwagi, że jej półnagie, ukazujące światu od wielu dni niemyty tyłek dziecięcy wyczołgiwało się raz po raz przez drzwi wejściowe na dwudziestostopniowy mróz.

Po przedostaniu się na piętro znikła wprawdzie „parterowa realność”, ale atrakcją nie było końca. W nawet obszernym apartamencie, na którym ryzkano nas na trzy tygodnie, hulał wiatr przez nieuszczelniane nigdy szyby, parowało pozbawione możliwości regulacji centralne ogrzewanie, a ze stylowego kominka raz po raz wylatywała kupa gruzu. Krótka wizja lokalna pokoju 211 przypominała mi znowu Warhola, tym razem jako autora biograficznego notesu *The Philosophy of Andy Warhol*, gdzie bez przekory stwierdził:

„Jeśli już naprawdę musisz w Nowym Jorku wyczyścić i jeśli się dobrze uwiniesz – nie będzie to brudne. W Europie ludzie tak bardzo jak ty dbający o czystość sprawią jednak, że to, co czyścili nie tylko nie będzie brudne, ale stanie się po prostu czyste. Analogicznie podjąć kogoś obiadem w Europie to czynność o wiele łatwiejsza niż w Nowym Jorku. Wystarczy otworzyć drzwi do ogrodu i jeść na świeżym powietrzu pomiędzy kwiatami i drzewami. Śmieszne, że większość tego typu gestów jest w Nowym Jorku niemożliwa. W Europie podwieczorek nawet na podwórzu może być cudowny. W Nowym Jorku sprawy są zbyt skomplikowane – jeżeli restauracja jest miła – zawiedzie jedzenie; jeżeli jedzenie będzie wspaniałe – wysiądzie oświetle-

nie; jeżeli to ostatnie dopisze – wentylacja będzie zapewne zepsuta”.

Dzięki nieuprzejmości hotelowego boya, który zamiast życzyć „dobrej nocy”, jak zatrudniane kiedyś przez Warhola *Chelsea Girls*, usiłował nam wynieść telewizor, zostałem więc najemcą (za słońcą opłatą) tego gadającego pudełka. Zatkawszy zaś niedzielnym wydaniem „New York Timesa” wszelkie przepastne otwory okienne zyskałem możliwość spokojniejszego już śledzenia amerykańskiego „życia na gorąco” na jedenastu „tylko” kanałach. Telewizja, codzienna „powtórka z życia” stała się odtąd drugim moim źródłem wiedzy o otaczającej rzeczywistości, której musiałem się nauczyć.

Wydarzenie medialne, które zapamiętałem szczególnie, a które zawędrowało do Polski po latach, kreowała ABC na 7 kanale. Była nim siedmiodcinkowa murzyńska saga rodzinna „*Roots*”: *The Next Generations*, emitowana codziennie od 18 do 25 lutego 1979 roku, a więc już od drugiego tygodnia naszego w Chelsea Hotel przybywania. W dwugodzinnym odcinku antenowym rozwijała ona wątki serialu, który okazał się w roku 1977 prawdziwą bombą programową. *Roots I* oglądnięto bowiem 130 milionów widzów, co – zważywszy konkurencję dwudziestu paru kanałów – jest chyba do dziś rekordem świata.

By zrozumieć wymowę ideową serialu, którego część druga w lutym 1979 roku obejrzało 110 milionów widzów, a który przez przeciętnego Amerykanina został akceptowany, warto przywołać kilka fabularnych zdarzeń tej serii. W jednym z pierwszych odcinków naczelną osnową akcji stają się kłopoty służącego w wojsku Simona Haley’a z rasistowskimi oficerami w czasie jego służby wojskowej podczas I wojny światowej. Drugim istotnym wydarzeniem tej części okazuje się niespodziewany powrót z wojny zwycięskich czarnych oddziałów, które w Tennessee zostają zdradziecko zaatakowane przez białą bandę. W odcinku siódmym, ostatnim – Alex Haley, grany przez Jamesa Earla Jonesa, a współpracujący w filmie i w życiu z Malcolmem Al. Freemanem nad monografią Czarnych Muzulmanów, przeprowadza dramatyczny wywiad dla „Playboya” ze zwariowanym rasistą, przywódcą American Nazi Party – George Lincolnem Rochwellem kreowanym fantastycznie przez Marlona Brando (debiut telewizyjny). Pada tam wiele kwestii, które recenzent „Newsweeka” skomentował następująco: „Rewelacją serialu jest fakt, że czarni zostają pokazani po raz pierwszy w tak wielu uwikłaniach, jak biali (...), ale jednocześnie, że czarni są zupełnie odmienni od białych i że są oni dumni z tej różnicy”.

Dobrym uzupełnieniem tej myśli stały się uwagi komentatora „New York Timesa” z 20 lutego. Przypominał on, ile się w Ameryce zmieniło od czasu wydania przed 30 laty przez Ralpha Elisona proroczej powieści o białych i czarnych. Myśląc o sobie autor *The Invisible Man* tak kazał wtedy przemówić bohaterowi: „Jestem człowiekiem niezauważalnym, chociaż jestem człowiekiem z krwi i kości, o dużej sile moralnej, a można mi nawet przypisać posiadanie rozumu. Ale mimo to jestem niezauważalny po prostu dlatego, że ludzie odmówili mnie dostrześć”.

Masowe zapotrzebowanie na „czarną epopeję” zamykające się niewiarygodną wprost liczbą oglądają-

cych (obydwie serie zobaczyło 240 milionów) pokazuje aspekt socjologiczny emisji, za jaki uznać trzeba pobudzenie szczególnego zainteresowania Amerykanina swoją genealogią. Frank Rich znany krytyk nie tylko telewizyjny, napisał: *Korzenie* zajmują szczególne miejsce w historii naszej kultury masowej: to osobliwa potęga jednocząca wszystkich Amerykanów, z ich aktualną izolacją i kolektywną przeszłością”.

Przypomnienie i wspomnienie *Roots* nie jest przypadkowe. Sukces serialu, który oglądałem nocami w Chelsea Hotel zbiegł się również z karierą Ellen Stewart, najwybitniejszej czarnej przedstawicielki Off-off Broadway – trzeciego obok Broadway’u i off-Broadway’u – odrębnego świata teatralnego Nowego Jorku, którego jedną z decydujących formacji stała się założona w roku 1966 Cafe La Mama Experimental Theatre Club. Ellen Stewart jako przewodawczyni grupy uznała, że najistotniejszą i najbardziej ogniskującą odbiorców formą oddziaływania klubu będzie teatr. Tak zrodził się zespół La Mama Repertory Company, wzorcową grupą, prototyp organizacyjno-artystyczny wielu ansamblowych odnóg La Mamy rozsiansych obecnie po całym świecie.

Znamienną cechą rozwoju każdego zjawiska artystycznego jest ewolucja zainteresowań i poglądów zespołu. Tak było też w przypadku La Mama Repertory Company, której kierunek ewolucji teatralnej był dosyć zaskakujący. Od czysto satyrycznych, estradowych niemal programów, opartych o humor absurdałny, grupa La Mama odbyła podróż w kierunku kreacji quasi-religijnej, usankcjonowania ceremonii i obrządku, a nawet prób zaprogramowanej ekstazy przy współudziale widowni... Próba Andreia Serbana, który po doświadczeniach *Orgast-a*, przy ścisłej współpracy Elisabeth Swadows reprezentował poszukiwania „nowego” archetypicznego języka w *Medei* i *Trojankach*, wyznaczały obraz La Mamy z początku lat siedemdziesiątych. Ale kiedy Swadows pozostała w Paryżu zakładając własny zespół, zaś Serban zaczął pracować w „normalnych” teatrach – La Mama stanęła przed wyborem nowej drogi.

Wtedy właśnie Ellen Stewart, legendarna Mama świadoma Kantorowskich sukcesów, zdecydowała się na nowojorską promocję *Umarłej Klasy*. Czekala na to lat kilka, bo panująca wszechwładnie w nowojorskim eksporcie teatralnym „Madame” Karvasz wybrała kiedyś Grotowskiego i Kantora nie wpuszczając na Manhattan. Kiedy umarła, Ellen miała wolną rękę. Dlatego Stewart gotowa była znosić wszystkie kaprysy Kantora, łącznie z żądaniem zakwaterowania „Cricotu” w Chelsea Hotel. Ten awangardowy hotel pozostał bowiem w pamięci Mistrza jako „godne miejsce artystycznego bytowania”, które „zespół winien szczególnie smakować!” A tymczasem ząb czasu tak naruszył te awangardowe mury, że marzeniem każdego z nas było natychmiastowa... ucieczka. Nie było to jednak takie łatwe.

Przyzwyczajony do bezszelestnego znikania z oczu Mistrza – co wielokrotnie przypominam w moich zapiskach – stałem się ekspertem od wyjść zapasowych i dróg bezpieczeństwa na wypadek... W Chelsea Hotel byłem bezradny ze względu na brak „minusowego” hotelowego poziomu, zawierającego zwykle jeszcze wiele pomieszczeń pod piętrem recepcyjnym. W stareńkim

Chelsea Hotel recepcja, w której warował Kantor, by nikt przypadkiem nie wyszedł „na turystyczną wycieczkę”, to był poziom „O”.

Pytanie zatem: jak wyjść niespostrzeżenie, by nie narazić się Mistrzowi, brzmiało dramatycznie. Kantor straszył nas „czarnymi bestiami”, które czyhają na ulicach na „białych”, a poza tym nakazywał „wyjątkową koncentrację” przed premierą. Ale „diabeł sprzeciwu” nie zasypiał gruszek w popiele. Wszyscy aktorzy „Cricotu” postanowili „zakosztować Nowego Jorku”. Cóż z tego, skoro nie sposób było się przemknąć.

Dla lepszej „koncentracji” utworzyliśmy na generalnej naradzie zespołu (oczywiście bez Kantora) butelkę... wyborowej. I wtedy zaświtała w kilku głowach naraz (!) zbawienna myśl: a od czego są zewnętrzne schody przeciwpożarowe?! Schody, a właściwie poręcze pnące się po ścianach każdego amerykańskiego budynku. Opróżnienie butelki stanowiło dobry impuls do rozpoczęcia... ewakuacji – tak musiała wyglądać nasza wspinaczka kilkunastu osób po ścianie Chelsea Hotel. Wyglądała efektownie, bo kilku przechodniów od razu wezwało z budek telefonicznych straż pożarną. Nie zdążyliśmy nawet dotknąć stopą nowojorskiego bruku, kiedy strażackie wozy były pod hotelem. Więcej: pełni werwy strażacy zaczęli uruchamiać pompy z pianą. Zdumiało to naszych. Parę osób zatrzymało się. Ktoś pobiegł do hotelowego wejścia. Ja – nie. Pociągnąłem za sobą jeszcze kilka osób. Mając w rodzinie dyplomowanego strażaka (brat mojej ówczesnej żony) wiedziałem, czym się to skończy. „Wiejemy – krzyczałem – bo za chwilę będzie za późno!”. Kiedy zatrzymaliśmy się za drugą przecznicą, wyjaśniłem fachowo: „Zaleją pianą całą recepcję!”. Byłem nauczony, że takie odruchy towarzyszyły zawsze początkom akcji amerykańskich strażaków. „Niemożliwe!” – ktoś zareplikował. „o pewne!” – odparowałem.

Kiedy powróciliśmy wieczorem do hotelu, recepcjonista poinformował nas, że „Profesor jest ciężko chory!”. Kantor jako „recepcyjny szpieg”, okazał się pierwszą ofiarą strażackiej piany. Piany – jak się okazało – bardzo obfitej.

II.

Może właśnie ta piana sprawiła, że wraz z nią runęła na nas zbawienna lawina recenzji. W pierwszym tygodniu bowiem z uznaniem europejskiego arcydzieła było w Nowym Jorku krucho.

Recenzja Richarda Edera *Awangardiści z Polski w La Mama* („The New York Times” z 13 lutego 1979) wyglądała na... samokrytykę Amerykanów, którzy nie poznali się na prawdziwej sztuce. Kantor promieniał, bo Mr Eder (podświadomie oczywiście) potępił „wyczyn” nowojorskich strażaków:

„Sztuka powstała w umyśle pana Kantora, ale do nas, platonicznych troglodytów docierają tylko jej cienie. Rozbudowany tekst programu, przetłumaczony z doskonałą niezrozumiałością z polskiego informuje nas: »Byłoby zupełnie nieuzasadnioną pedanterią usiłowanie znalezienia brakujących ogniw, niezbędnych dla całkowitego zrozumienia akcji tej sztuki«. Brzmi to hermetycznie i pretensjonalnie. To co zobaczyliśmy, było istotnie hermetyczne, pełne powtórzeń, niedających jednak możliwości odtworzenia prawzorów, z jakich powstało. Nie było to jednak pretensjonalne. Jest

tu siła i piękno obrazu, dokładność i pełna kontrola artystycznego wyrazu (...). Sztuka czy seans, jak to zostało nazwane, składa się z serii krótkich akcji, w czasie których poszczególne postacie, grupy, a czasami cała klasa opuszczają swoje miejsca w ławkach. (...) Atmosfera ulega ciągłym zmianom – od apatii do hysterii. Te historyczne okrzyki wydawane są jednak po polsku, co czasami niekorzystnie odbija się na naszej percepcji, z tym oczywistym zastrzeżeniem, że sensem działania tego teatru jest ruch i ekspresja poszczególnych postaci, [zwłaszcza], że zespół [ten] posiada niezwykle mistrzostwo wyrazu, a każdy z wykonawców przyciąga siłą swej indywidualności”.

Pouczające dla atmosfery, jaka panowała wokół przyjazdu „Cricotu-2” do czasu ukazania się pierwszych recenzji, stać się może zestawienie dwóch zapowiedzi. Sygnowany datą 28/29 I 1979 „Tydzień Polski” w rubryce *Wydarzenia kulturalne* zachęcał, ale i przestrzegał Polonusów przed tym „bez wątpienia najgłośniejszym spektaklem, jaki wyszedł z Polski od czasu *Apocalipsis cum figuris* Grotowskiego”. Helena Szmunessówna po zacytowaniu „Dialogowej” dyskusji o *Umarłej Klasie* taką konkluzję pozostawiła swoim czytelnikom:

„Zapewne, spektakl, który potrafi zaprowadzić ład w naszym odbieraniu już nie sztuki, ale świata, usprawiedliwia trzyletnie czekanie na możliwość obejrzenia. Trzeba tu od razu uprzedzić, że przedstawienie Kantora zapewne nie dla każdego widza teatralnego będzie stanowiło jednakową wartość. Wymaga ono skupienia i pewnej – nazwijmy to – kultury teatralnej, a może tylko chęci doświadczenia teatru innego niż jesteśmy na ogół w Ameryce przyzwyczajeni. Dlatego bez większego przekonania namawiam do obejrzenia go tych czytelników, którzy idą do teatru, aby się odprężyć i rozerwać”.

Zapowiadający natomiast wszystkie nowojorskie spektakle dwutygodnik „Other Stages” w eseju Glenna Loney’a, który oglądał spektakl *Umarłej Klasy* jeszcze w roku 1976 w Edynburgu, tak zachęcał Amerykanów:

„Nie jest łatwo poruszać się nosząc na plecach Edwarda Gordona Craig’a, zwłaszcza odkąd Craig umarł. Ale nie to wydaje się być kłopotliwe dla wybitnego artysty – reżysera Tadeusza. Dla Kantora bowiem Craigowskie brzemie, jakie na sobie dźwiga, jest metaforyczne, duchowe, intelektualne. Jego aktorzy natomiast z teatralnego zespołu »Cricot-2« z Krakowa, muszą dźwigać ten materialny bagaż śmierci, który ukształtowało realne życie. Ale w *Umarłej Klasie*, którą grali przez trzy tygodnie w La Mamie, oni właśnie, a właściwie postacie, jakie grają, są także martwe. Skąd ta fascynacja śmiercią? Czy nie jest to przypadkiem ta zgangrenowana arteria, wybiegająca z tego samego jadowitego serca, które wydało na świat lat lodowatą ironię, jak *Bal Wampirów* Polańskiego czy niszczący całkowicie teatralność Teatr Ubogi Grotowskiego. Albo czy nie jest to właśnie jeszcze jeden przykład polskiego aktorstwa, które John Simon określił kiedyś jako naczelne zło we współczesnym teatrze? Dla kogoś, kto chciałby łatwo oddalić od siebie te męczące myśli, obsesyjna wizja *Umarłej Klasy* Kantora wydać by się mogła jeszcze jednym przykładem do nowego rodzaju *Polish Joke*. Ale tak z pewnością nie jest. Idzie o śmierć najzupełniej serio”.

Jednym słowem: prasowe „zapowiedzi” zapraszając na „awangardową ucztę wyrafinowanych konsumentów” skutecznie odstraszały „zwyčajnych” zjadaczy codziennego teatralnego chleba, co widać było gołym okiem na widowni mocno po dwóch premierowych spektaklach przerzedzonej. Nic więc dziwnego, że ucieczka zespołu z Chelsea Hotel jeszcze bardziej zdenerwowała Kantora, który całkowicie zwątpił w opiekuńcze skrzydła Ellen Stewart. A kiedy sprawdził, że szefowa La Mamy nie miała zwyczaju inwestować w reklamę, „wykreował” ją od razu na sprawczynię wszytskich anty-Cricotowych plag (z nieszczęsnym hotelem włącznie) krótkim a dobitnym zdaniem: „To prosta dziwka z Harlemu!” Po chwili na tej samej fali ekspresji dodał: „Z takimi kobietami – to nie ma co!”

W trzecim tygodniu lutego nie tylko 30-stopniowy mróz zelżał. Na szczęście dla mnie (do moich obowiązków należała codzienna „dobra nowina”) i prasa zaczęła prześcigiwać się w zachwytach. „The Soho Weekly News” przywiązując wielką wagę do nowojorskiej serii *Umarłej Klasy* dwa olbrzymie eseje opatrzył plakatowym niemal nadtytułem: *Premiera „Umarłej Klasy” Cricotu-2 w La Mamie stała się Wielkim Wydarzeniem Roku w Teatrze Awangardowym*.

Tish Dace w pierwszym z nich, zatytułowanym *Klasa Żywej Śmierci* (The Soho Weekly News” z 15 II 1979) zachwyił się, że „wykonawcy *Umarłej Klasy* to grupa biegłych fachowców o dużej dyscyplinie, koordynacji, wokalne i fizycznej zręczności, a więc ekspresji porównywalnej tylko z czołowymi grupami amerykańskimi” i dowodził uniwersalności języka przedstawienia zrozumiałego dla każdego odbiorcy bez względu na narodowość i barierę językową.

Analiza aktorskiej gry doprowadziła Dace’a do następującego uogólnienia: „Taki anty-przedstawiający sposób gry i inscenizacji nie oznacza wcale abstrakcji; Kantor przeciwstawia się abstrakcji tak bardzo, jak przeciwstawia się zmechanizowanemu teatrowi dla zdwojonego lub prostego przedstawienia realnego świata. Jeżeli prawdopodobieństwo nie jest żadnym kryterium jego pracy, taką miarą nie staną się ani bezcielesne idee, ani antyhumanistyczne myśli dla konkretyzacji doświadczenia i życia aktora. Choć używa on manekinów, robi to na tyle dyskretnie, by przeciwstawić się Craigowskiej przesłance, że marioneta w teatrze jest ważniejsza od człowieka”.

William Harris w tydzień później w tym samym artystycznym tygodniku spróbował zapytać o polski kontekst działań Kantora: „Ten teatr, ten teatr destrukcji i pustki – napisał Harris przytaczając doświadczenia Teatru Podziemnego – wyprzedza kodyfikację tych idei dokonaną przez Grotowskiego. Temat Grotowskiego irytuje Kantora. Określa on swego kolegę – bez złośliwości, ale z tym samym wewnętrznym przekonaniem, które nadało barwę początkowi naszej rozmowy – jako szarlatana.

Kantor jest jednocześnie dumny i gotów do obrony swoich poszukiwań, których większość może być łatwo zrozumiana przez publiczność Nowego Jorku. Zupełnie jak Richard Foreman, który kontroluje swoje ontologiczno-histeryczne scenariusze z proscenium, Kantor także dyryguje ruchem w czasie trwania seansu. Trwając na peryferiach scenicznej przestrzeni

jest zarówno czarodziejem, jak i nastanym agentem. (...) Kantor nie może znieść większości europejskich eksperymentów ze względu na pozbawienie ich przez twórców humoru. Mówi: »Żyć bez humoru to znaczy żyć bez inteligencji«”.

Cały wywód Harrisa zmierza do wniosku: „W *Umarłej Klasie* Kantor zbudował jedyną w swoim rodzaju uniwersalną i bardzo pojemną metaforę – klasy z prostymi w swej surowości ławkami – po to, by dać wyobrażenie swojego satyrycznego niemal stosunku wobec kondycji ludzkiej”.

Pointę recenzji z „Soho News” warto rozszerzyć wnioskami Merle Ginsberg z „Villagera” (19 II 1979): *Umarłą Klasę* warto rozumieć jako metaforę na wielu poziomach – klasa jako życie, dorośli jako dzieci, nauka jako faszyzm. (...) *Umarła Klasa* jest magiczna, ciemna i tak podniecająca jak poród – lekcja w życiu, Edward Munch dla sceny”.

Tytuł artykułu z „Villagera”: *Polski nieporównywalny „Teatr śmierci”: Sprawa Śmierci i Życia* otrzymał jeszcze takie uzupełnienie w tekście:

„*Umarła Klasa* jest tak monumentalną i poważną pracą, że byłoby niemal śmiesznością uznawać ją za najważniejsze teatralne wydarzenie w Nowym Jorku – spektakl ten po prostu nie powinien być porównywalny z niczym. *Umarła Klasa* zmierza do tego, by ogłuszyć i rozstroić swoją widownię obrazem; to jest malarstwo, które ożywia zdarzenia. Kantor i jego grupa są bliżsi w pracy malarstwu i rzeźbie, aniżeli teatrowi. Dlatego i *Umarła Klasa* jako dzieło sztuki zmierza do tego, by sceniczną przestrzeń kształtować pomiędzy płótnem i proscenium, fotografią i estradą”.

Recenzja Eileen Blumenthal („Village Voice” z 26 II 1979, *Haunted by History*) odkrywając żydowsko-polskie archetypy zawarte w wizji Kantora, realistyczne cytaty z nieistniejących już kulturowo-religijnych konklaw, spróbowała zestawić *Umarłą Klasę* z doświadczeniami Grotowskiego po to tylko, by konkludować: „Praca »Cricotu-2« nie może być oceniana poprzez jego teorie. Wszystko co dzieje się na scenie, jest naprawdę wspaniałe. Wyobraźnia Kantora posiada w sobie taką świeżość i siłę, jaką dawniej udało mi się zaledwie kilka razy spotkać w pracach Open Theater, Grotowskiego, Winstona Tonga”.

Obraz kontekstu, w jakim stawiali spektakl recenzenci w sposób najbardziej dobitny wyraziła Marylin Stasio w „New York Post” (21 II 1979). Stwierdziła po prostu już w tytule: „*Umarła Klasa*” to dynamit – prawdziwy triumf awangardy. Stasio, wynosząc Kantora na „nowojorski top” wieszczyła wiosnę: entuzjastycznie używający śniegu narciarze zniknęli z ulic Manhattanu, pociągi z New Yorku do New Jersey zaczęły w końcu odchodzić zgodnie z rozkładem jazdy, a Kantor...odtajął.

Żegnając się czule z Ellen Stewart nie omieszkał i jej... nobilitować. „Ellen! – krzyczał – ty jesteś naprawdę Największą Damą Ameryki!”. Ta kariera iście „amerykańska” Ellen, spoglądającej na Mistrza z właściwym dystansem, to też był „cieplarniany efekt” 16 spektakli *Umarłej Klasy* w Nowym Jorku.

KRZYSZTOF MIKLASZEWSKI

(fragment przygotowywanej do druku książki *Światowe życie »Umarłej Klasy«*)

EWA KONCZAL

MÓJ ŚWIAT PRZEDSIĘBIORCÓW SPOŁECZNYCH

Dziesięć lat temu byłam dwudziestoparoletnią panną, która chciała zmieniać świat na lepsze. Właśnie wróciłam z Indii z pracy w organizacji przeciwdziałającej zatrudnianiu dzieci (horror!). Po spędzeniu dwóch lat w Egipcie, gdzie prawie wyszłam za mąż za wielce przystojnego konsultanta pewnej światowej firmy z wielkiej (wtedy) szóstki, powalająca bieda Indii nie była już tak bardzo szokująca. A Egipt na pewno byłby idealnym miejscem do zmieniania świata na lepsze, co widzę wyraźniej z dzisiejszej perspektywy.

Jednak dopiero co zachłysnęłam się faktem, że pochodząc z Europy centralnej, będąc w krajach jeszcze mniej rozwiniętych od naszej młodej demokracji, tak wiele mogę zrobić dla tych, którzy mają dużo gorzej od nas. Moje zaangażowanie podsyciło doświadczenie z organizacji studenckiej, której zależało na kształtowaniu liderów jutra, a takim właśnie liderem chciałam zostać. Doświadczenie pracy w organizacji społecznej w Indiach przekonało mnie, że dyplom ekonomisty nie oznacza pracy tylko w biznesie. Dlatego gdy do mojej skrzynki e-mailowej wpadła informacja o **Ashoce** (www.ashoka.pl), doznałam olśnienia. To jest to! Nawet do głowy nie przyszło mi – jak to się zdarzyło i nadal zdarza wielu osobom – że może to być jakaś japońska organizacja.

Uderzyła mnie prostota jej przekazu: to pojedynczy człowiek najczęściej stoi za każdą dużą zmianą społeczną. To człowiek z pasją i determinacją do wprowadzania innowacyjnych rozwiązań. Wszystkich możliwych problemów społecznych – niepełnosprawni, edukacja dzieci i młodzieży, ochrona przyrody, zdrowie, mikrokredyty i rozwój wsi, wyrównywanie szans edukacyjnych... I wielu innych mniej lub bardziej znanych: młodzież lecząca się z uzależnień, przemoc w rodzinie, prawa człowieka... Te pojedyncze osoby, często charyzmatycznych liderów, sprawców istotnych zmian, założycieli organizacji społecznych Ashoka jako pierwsza na świecie nazwała przedsiębiorcami społecznymi.

Ten koncept został wymyślony przed ponad 30 laty przez Amerykanina Billa Draytona. Podczas licznych podróży po Azji w latach młodzieńczych Drayton poznawał ludzi, którzy stali na czele dużych ruchów społecznych, organizacji, które stanowiły mechanizm dla wprowadzania systemowych zmian. Widział, jak bardzo ich liderzy są samotni w swojej drodze, że brakuje im możliwości kontaktu z podobnymi do siebie liderami społecznymi. Dlatego Bill oparł misję Ashoki na budowaniu światowej sieci przedsiębiorców społecznych, których Ashoka wspiera finansowo i merytorycznie. Dzięki temu członkowie Ashoki na całym świecie mogą

uczyć się od siebie nawzajem, wspierać w podejmowaniu wyzwań i zwiększać swoje oddziaływanie i skuteczność.

Tak więc od wczesnych lat 80. Ashoka docierała do rozmaitych zakątków na świecie, by wspierać tych, którzy idą pod prąd i problemy społeczne rozwiązują na dużą skalę, bo ich wizja zmiany to rozwiązanie problemu co najmniej w skali kraju, regionu, a często i świata. Aspekt międzynarodowy od początku był dla mnie niezwykłą atrakcją. Moje doświadczenia pracy w innych krajach pokazały, że najwięcej uczymy się w kontakcie z innym. Uczestnictwo w globalnej i krajowej społeczności członków Ashoki było i jest największą wartością organizacji.

Spotkania z członkami Ashoki w Polsce należały do najbardziej emocjonujących i inspirujących zdarzeń w moim życiu. Gdy po raz pierwszy spotkałam się z **Piotrem Pawłowskim**, założycielem i szefem Stowarzyszenia Przyjaciół Integracji, nie bardzo wiedziałam, jak się zachować. Było to dla mnie pierwsze spotkanie z osobą tak poważnie niepełnosprawną fizycznie, a w jego przejmującej historii nie potrafiłam się odnaleźć. Jako 16-latek podczas skoku do wody złamał kręgosłup i znalazł się na wózku niemal całkowicie sparaliżowany. Mimo władania tylko jedną ręką założył rodzinę i zbudował organizację, która na przestrzeni 15 lat doprowadziła do najpoważniejszych zmian w świadomości polskiego społeczeństwa wobec osób niepełnosprawnych. Zaczynał od pisma „Integracja”, które jest dziś ważnym, i jedynym! tak kompleksowym magazynem dla osób niepełnosprawnych, ich rodzin i przyjaciół.

Kampanie społeczne realizowane we współpracy z najlepszymi agencjami reklamowymi to majstersztyki marketingu społecznego nagradzane na międzynarodowych festiwalach reklamy. Niewidomy ojciec czytający dziecku książkę, para niesłyszących uprawiających seks, gdy sąsiad zakłada, że niesłyszący są nieistniejący (*notabene* reklama została wycofana przez TVP jako zbyt dosłowna), czy niepełnosprawny poklepujący po pupie koleżankę z pracy (ta z kolei wycofana za promowanie *sexual harassment*). I jeszcze jedna, oparta na autentycznym przypadku niepełnosprawnego kierowcy bez rąk, który często przekracza prędkość, ale zatrzymany nigdy nie został ukarany, bo każdy policjant czuje się nieswojo, gdy ma karać kogoś takiego. „Czyż nie został ukarany wystarczająco mocno przez los?” – myśla. Kampanie zadają ważne pytania: czy naprawdę jesteśmy inni? Dlaczego traktujesz nas inaczej? I hasło z kampanii parkingowej: czy naprawdę chciałbyś być na naszym miejscu?

Odważny lider organizacji, odważne pytania i wyzwania stawiane środowisku osób niepełnosprawnych: bądźcie aktywni, wyjdźcie z domu, rozwijajcie się... Dlatego „Integracja” i Pawłowski, podobnie jak wielu innych liderów organizacji Ashokowych spotyka się również z krytyką stowarzyszeń, które też działają na rzecz osób niepełnosprawnych. Bo jest profesjonalistą i prowokuje, bo mówi o problemach zmiatanych pod dywan, bo wreszcie proponuje ustawę antydyskryminacyjną o wyrównywaniu szans osób niepełnosprawnych, która również promuje ich aktywność. „Integracja” kierowana przez Piotra proponuje i wdraża rozwiązania systemowe. Gdy przyjmowano go do Ashoki w 1996

roku, „Integracja” pracowała w małym biurze i dzięki wolontariuszom. Dziś zarządza organizacją zatrudniającą ponad 100 osób, która ma punkty informacyjne w kilku miastach w Polsce, portal internetowy, kilkadziesiąt publikacji i materiałów edukacyjnych – kompleksowe wsparcie informacyjne dla osób niepełnosprawnych i ich rodzin. Zmiana społeczna stała się faktem.

Przy przyjmowaniu do grona międzynarodowych przedsiębiorców społecznych Ashoki, w czasie komisyjnych „przesłuchań” stosuje się pięć kryteriów, które po 30 latach istnienia organizacji nadal są niezmiennymi. Tak jak proces rozmów i nominowania kandydatów jest uniwersalny i jednakowy na całym świecie. Bardzo niewielki procent wytypowanych kandydatów dociera do fazy rozmów z ekspertami. Innowacyjność rozwiązania to dla Ashoki *knock-out test*. I trzeba umieć swą ideę obronić w czasie trzyetapowych, niejednokrotnie trudnych przesłuchań. Albo jest nowa idea, albo jej nie ma, albo ma się potencjał do osiągnięcia znaczącego oddziaływania społecznego i zmiany systemowej, albo nie, albo jest się kreatywnym przedsiębiorcą społecznym, albo nie... To kluczowe warunki do spełnienia, by otrzymać od Ashoki wsparcie finansowe – stypendium na trzy lata (przeciętne miesięczne stypendium Ashoki to obecnie ok. 4300 zł) i przynależność do organizacji na całe życie. Jest jeszcze etyka, czyli uczciwość, czyste intencje i motywacja do działania.

Osobiste spotkanie z Fundacją Barka, jej założycielami **Tomaszem i Barbarą Sadowskimi** było dla mnie całkowitym zaskoczeniem. Nie mieściło mi się w głowie, że normalni ludzie z trojgiem małych dzieci zdecydowali się na osiem lat wspólnego życia i mieszkania z ludźmi „po przejściach”, a sformułowanie „po przejściach” jest tu eufemizmem. Ich współmieszkańcami byli ludzie po odsiedzeniu nie tak krótkich wyroków za bardzo poważne przestępstwa (przemoc, rozboje, morderstwa), bezdomni, długotrwale bezrobotni czyli tacy, których literatura i wnioski unijne określają jako *hard-to-employ*.

Sadowski wybrali tych najbardziej *hard-to-employ*. Powiedziałibyśmy, że były to osoby „niezatrudnialne”, życiowo i społecznie wykluczone, i pozbawione wszelkich szans na rozpoczęcie normalnego życia. Mieli też inne motywacje niż P. Pawłowski. Oboje wykształceni psychologowie, wywodzący się z dobrych mieszczańskich rodzin, lecz o silnych tradycjach patriotycznych i zaangażowanych społecznie. We wczesnych latach osiemdziesiątych w szpitalu psychiatrycznym T. Sadowski stworzył program rehabilitacyjny dla osób „po przejściach”. Okazał się on jednak zbyt innowacyjny jak na ciasne i konserwatywne myślenie ówczesnych placówek państwowych. To był impuls do stworzenia własnego, niezależnego programu, który pomagałby ludziom z najgłębszego marginesu społecznego wrócić do normalności i rozpocząć nowe życie. I tak powstał kompleksowy program Fundacji Barka łączący elementy rehabilitacji społecznej i pracy nad sobą – tworzenie możliwości zatrudnienia i wreszcie szansa na własny dom. Kilka lat później do Tomka dołączyła Basia z własnym autorskim programem edukacyjnym łączącym działania terapeutyczne z dostarczaniem umiejętności i wiedzy niezbędnej do powrotu na rynek pracy.

Dzisiaj, po 20 latach istnienia, działalność Barki opiera się na czterech programach i co roku obejmuje

ponad 5000 (!) osób. Pierwszy z nich zakłada tworzenie domów wspólnot Barki, gdzie odbudowa struktur psychicznych i moralnych osób odrzuconych społecznie jest najważniejszym celem. W Polsce działa 20 takich wspólnot. Drugi program zajmuje się edukacją osób odrzuconych społecznie. W ramach trzeciego programu tworzone są nowe miejsca pracy dla osób długotrwale bezdomnych i bezrobotnych. Utworzono warsztaty, gospodarstwa, a także sklepy z odnowionymi przez podopiecznych meblami i całym wyposażeniem mieszkań. Trzeci program Barki stał się podstawą do utworzenia ustawy o spółdzielniach socjalnych i tworzeniu centrów integracji społecznej wspierających proces powrotu do normalnego życia. Czwarty obejmuje adaptację i budownictwo socjalne. Pomysł Sadowskich okazał się wielkim sukcesem, a pierwsza wspólnota Barki we Władysławowie k/Poznań stała się wzorem dla kolejnych ośrodków w Polsce, a także na Ukrainie, w Niemczech i Francji.

Krzysztof Konieczny na mojego kolejnego maila z propozycją spotkania na terenie jego działalności – co jest jednym z etapów rozmów z kandydatami do Ashoki – odpisał „do zobaczenia w więzieniu”. W ten oto sposób jako cywil miałam możliwość odwiedzenia jednego z bardziej surowych więzień w Polsce, Zakładu Karnego w Wołowie. Tutaj Krzysztof, biolog z wykształcenia, a wtedy zatrudniony jako „kławisz” zajmował się – jak to sam ujął – „mieszaniem wody z olejem” czyli łączeniem społeczności „straconych” i z góry skazanych na niepowodzenie z ochroną środowiska i zwykłymi obywatelami. Zanim do ochrony przyrody Krzysztof włączył więźniów przeprowadził kilka innych modelowych projektów. Stowarzyszenie Pro Natura, w ramach którego działa, kupuje 200 hektarów ziemi w swoim regionie i wdraża projekt renaturyzacji (przywracanie naturalnych łąk i ich ekosystemów). Staje się on modelowym rozwiązaniem wykorzystującym ochronę przyrody dla pożytku społeczności rolniczej: za koszenie trawy stowarzyszenie płaci rolnikom, a oni mogą zbierać siano dla swoich zwierząt, które wypasane są na pastwiskach. Zrębki z drzew wysyłane są do lokalnej szkoły, która stosując ogrzewanie biomasą w systemie skonstruowanym przez Krzysztofa i jego stowarzyszenie. Pożytki płynące z takich działań są złożone: ochrona przyrody (różnych gatunków, to projekt ciągłej ochrony środowiska), ochrona przed powodzią, oszczędzanie energii, współpraca z rolnikami. Konieczny nazywa to „ekonomią przyrody”, czyli racjonalnym wykorzystaniem zasobów naturalnych.

Gdy poproszono Krzysztofa o zorganizowanie hodowli owiec w gospodarstwie więziennym, która miała stać się elementem resocjalizacji więźniów, nie wahał się ani chwili, choć nawet czasowe przejście do służb mundurowych było dla niego wyzwaniem. Jednak aby projekt realizować skutecznie, należało go robić „od środka”. I tak zaangażował więźniów do koszenia trawy, zakupiono narzędzia i maszyny do wspólnego użytkowania przez rolników i więźniów. Stowarzyszenie wydzierzało kolejne 200 hektarów ziemi, które służą rolnikom, ale też hodowli owiec prowadzonej przez więźniów.

W wszystkich działaniach więźniowie ćwiczą praktyczne umiejętności, które będą mogli wykorzystać na wolności. Ponad 350 więźniów zostało przeszkolonych

w hodowli owiec i pracach budowlanych. Prawie 450 funkcjonariuszy więzienia wzięło udział w kursach pedagogicznych i ponad 130 rolników w kursach *Rolnictwo z przyrodą*. Program został zaakceptowany przez krajowe władze Centralnego Zarządu Więziennictwa w Polsce i zaadaptowany w innych więzieniach. Był nagłaśniany i promowany w mediach zmieniając postrzeżenie osadzonych. Pojawił się w broszurach dla szkół jako przykład unikalnego i kreatywnego podejścia do kwestii ochrony środowiska naturalnego.

Konieczny, podobnie jak prawie wszyscy członkowie Ashoki, przedsiębiorczości społecznej doświadczył już jako dziecko. Jego ojciec był kowalem i jednocześnie liderem społeczności. Na swojej wsi wprowadził elektryczność i wodociągi. Pierwsze programy ekologiczne Krzysztof zainicjował we wczesnym dzieciństwie. Gdy miał 10 lat, chciał odnaleźć dawne koryto rzeki, by przywrócić jej naturalny bieg. Mając 13 lat chciał zostać botanikiem. W tym też czasie odkrył, że życie polega nie tylko na obserwowaniu ptaków i roślin – angażowanie innych w działania na rzecz ochrony przyrody było dla niego o wiele ciekawsze.

Wśród członków Ashoki jest wielu takich jak Piotr Pawłowski. Doświadczenie osobiste zmienia zaplanowany przez nich wcześniej bieg życia. Dla teatrologa **Elżbiety Pomaskiej** takim życiowym zakretem stała się choroba nowotworowa jej syna. W 1995 roku jej Fundacja Pomocy Dzieciom z Chorobą Nowotworową była pierwszą i jedyną, która zajęła się problemem chorych dzieci i ich rodzin – tworzeniem przyjaznych warunków w szpitalach, edukacją personelu medycznego, edukacją społeczną na temat choroby nowotworowej. Fundacja jako pierwsza w Polsce zaczęła wydawać książki z wierszami pisanyymi przez chore dzieci. Przez pisanie i obecność w życiu publicznym postawiono wiele milowych kroków w sferze świadomości społecznej, diagnostyki i wczesnej wykrywalności raka u dzieci.

Psychiatra **Michał Wroniszewski** został założycielem pierwszej w Polsce organizacji zajmującej się diagnozą i terapią osób z autyzmem po tym gdy zdiagnozowano te chorobę u jego syna. Gdy ponad 15 lat temu powstawała Fundacja Synapsis, autyzm był tematem nieobecnym, nieznanym. Dziś działania Synapsis i współpracujących z nią organizacji – kampanie edukacyjne, program rzecznictwa na rzecz wspierania rehabilitacji osób z autyzmem oraz modelowe przedsiębiorstwo społeczne zatrudniające osoby z autyzmem – to przykład na systemowe podejście do wspierania osób z autyzmem i ich rodzin w Polsce.

Małgorzata Klecka zajęła się syndromem alkoholowym u dzieci (FAS) po tym, jak symptomy problemu dostrzegła u swoich dzieci w rodzinie zastępczej, którą prowadzi. I choć kampanie społeczne pod hasłem „kieliszek wina też szkodzi” budzą kontrowersje, opór matek w ciąży i środowiska lekarzy, to problem zdomował się w świadomości społecznej, co zmusza do zastanowienia zanim użyjemy choćby niewielkiej dawki alkoholu.

Obok doświadczeń osobistych, przedsiębiorców społecznych Ashoki motywuje niezgoda na rzeczywistość, w której funkcjonują. **Jacek Strzemieczny** traumatyczne doświadczenia ze swoich czasów szkolnych przekuł na ogólnopolski projekt Centrum Edukacji Obywatelskiej (CEO), które dziś nazywane drugim minister-

stwem edukacji narodowej i wspiera zmienianie szkół w przyjazne uczniowi miejsca edukacji i odkrywania jego potencjału. A do najbardziej znanych spośród około 20 programów należy *Szkoła z klasą* realizowany wspólnie z „Gazetą Wyborczą”.

Niezgoda na lekceważący stosunek do przyrody motywowała **Jacka Bożka**, który zakładał ponad 20 lat temu Klub Gaja. Wtedy przypinał się łańcuchami do drzew, by chronić je przed wycięciem. Dzięki jednemu z bardziej popularnych przedsięwzięć Klubu Gaja, co roku na całym świecie sadzi się kilka tysięcy drzew, a rzeka Wisła jest jedyną w Europie rzeką o nieuregulowanym korycie.

Kuba Śpiewak z Fundacji KidProtect przypadkiem natrafił w internecie na zdjęcia z pornografią dziecięcą. To spowodowało, że z komputerowca i PR-owca stał się zaangażowanym edukatorem bezpiecznego korzystania z internetu. Fundacja KidProtect jest inicjatorem licznych programów edukacyjnych dla dzieci, rodziców i nauczycieli w całej Polsce, m.in. *Bezpieczny internet*, *Klikaj z głową*, i wiele innych.

Dariusz Cupiał zaobserwował, jak we współczesnym świecie zmienia się rola mężczyzn i ojców w rodzinie. Jako ojciec trojga dzieci dołożył do tego osobiste doświadczenia i stworzył program *Inicjatywa tato.net*, który współczesnym ojcom daje szansę i wsparcie do bycia stuprocentowym tatą. –Mężczyźni również potrzebują wsparcia i to nie jest żaden wstyd – mówi Dariusz i od kilku lat wspiera również ojców na Ukrainie i w Rosji.

Wielu członków polskiej Ashoki to dawni działacze „Solidarności”. Byli zaangażowani w przemiany na początku lat 90., za wolnością i demokracją w Polsce, i wybrali wolność działania w organizacjach społecznych. **Paweł Łukasiak**, współzałożyciel Akademii Rozwoju Filantropii w Polsce (ARFP), która dziś jest wiodącą instytucją promującą dobroczynność, zaangażowanie społeczne i filantropię. Konkurs „Dobroczyńca Roku” jest najbardziej prestiżowym wyróżnieniem dla firm angażujących się w zmienianie świata na lepsze we współpracy z lokalnymi organizacjami. A sieć funduszy lokalnych stworzonych przez ARFP to w skali globalnej przykład jak uruchamiać ogromne pokłady energii i zaangażowania społecznego, które drzemią w lokalnych społecznościach.

Pionierskim był Fundusz Lokalny Masywu Śnieżnika założony i prowadzony przez **Dorotę Komornicką**, członka Ashoki z mojej obecnie okolicy, czyli Sudeckiego Kręgu. Komornicka skierowała działania funduszu przede wszystkim do dzieci z górskich terenów wiejskich, które są często podwójnie wykluczone (wieś, i jeszcze góry, i te wioski porzucane na pięknych, niejednokrotnie trudnych ostępach).

Do grona „solidarnościowych” Ashokowców należy także **Wojciech Onyszkiewicz**, który zainicjował w Polsce banki żywności. A we wczesnych latach 90. był pionierem działań łączących biznes i organizacje społeczne.

Krzysztof Stanowski z Fundacji Edukacja dla Demokracji nie mógł usiedzieć w kraju i doświadczenia w obalaniu systemu eksportował do krajów b. ZSRR. Pracował w takich egzotycznych miejscach jak Tadżykistan, Mongolia, gdzie zbudował międzynarodową sieć trenerów i edukatorów budujących społeczeństwo oby-

watelskie. Dziś realizuje swoje wizje zmiany w edukacji jako wiceminister edukacji narodowej i zachowuje bardzo bliskie związki z Ashoką, wskazuje na to niedawne jego spotkanie z inicjatorem i budowniczym sieci Ashoki w Polsce **Ryszardem Praszkiem** nt. obywatelskich (pozaministerialnych) inicjatyw edukacyjnych.

W naszym gronie silna jest również grupa mająca swoje korzenie w filozofii Jerzego Grotowskiego i jego teatrze. To nie tylko osoby związane ze sztuką dla zmiany społecznej, ale o ogromnej wrażliwości na problemy drugiego człowieka, działające ponad podziałami społecznymi, kulturalnymi czy narodowościowymi. Koncepcję teatralną, w której nie ma podziału na występujących i publiczność przekuli na działania społeczne opierające się na wzajemnym wspieraniu, aktywnym udziale i realizacji pomysłów przez wszystkich zaangażowanych.

Jacek Jakubowski, to ceniony psycholog i tw—rca Powszechnej Akademii Młodzieży, dzięki której w różnych miejscach Polski wypączkowały setki inicjatyw społecznych młodych ludzi. Młodzi nie tylko złapali społecznego bakcyli, ale także stworzyli wiele nowych organizacji, które dziś z powodzeniem realizują misję na rzecz innych. **Krzysztof Czyżewski** to współtwórca Teatru Gardzienice, ale przede wszystkim założyciel Fundacji Pogranicze w Sejnach, praktyk kultury czynnej i aktywnego dialogu między ludźmi na całym świecie żyjącymi na pograniczach regionów i kultur. Na przykładzie Sejneńskiego Ośrodka Sztuk, Kultur i Narodu wychowuje on nas wszystkich w tolerancji, wrażliwości i zrozumieniu dla kulturowego i etnicznego zróżnicowania współczesnego świata.

Mija 10 lat doświadczeń i współpracy z grupą 67 ashokowców w Polsce. Kilko z nich odeszło na zawsze, ale pozostały ich organizacje, ludzie, którym przekazali pałeczkę, swoje inspiracje i doświadczenia. Na świecie to grupa ponad 2200 osób w ponad 70 krajach. Miałam niezwykle szczęście i przywilej poznania wielu z nich, pracujących w bardzo trudnych warunkach, w krajach, gdzie dostęp do świeżej wody, toalety i posiłku należy do wielkich marzeń. Te wszystkie spotkania miały i ciągle mają ogromny wpływ na to, kim jestem dziś i jak postrzegam otaczający mnie świat. Dzięki nim stworzyłam Fundację „Czarodziejska Góra” u podnóża Karkonoszy, gdzie teraz mieszkam. Nasza fundacja wykorzystuje góry do rehabilitacji społecznej i fizycznej dzieci i młodzieży niepełnosprawnej bądź z problemami. Doświadczenie w tworzeniu własnej organizacji pozwoliło mi na lepsze zrozumienie problemów członków Ashoki, z którym pracuję na co dzień. Poznając ich osobiste historie, poznałam też zwykłych ludzi – ojców, matki, ich kłopoty rodzinne, wyzwania zawodowe i osobiste.

Członkowie Ashoki w Polsce i na całym świecie nie są wyjątkowymi superbohaterami. To zwykli ludzie, którzy zdecydowali, że chcą zmieniać świat na lepsze. I robią to z ogromnym rozmachem, zaangażowaniem i szacunkiem dla tych, którym pomagają. Wspieranie członków Ashoki to mój wkład w zmienianie świata na lepsze. Spotkania i przyjaźnie z nimi, obok bycia mamą, są najbardziej wartościową rzeczą, jaka mogła mi się zdarzyć w życiu.

KRZYSZTOF KOMORNICKI

WOKÓŁ SONDAŻU

(tak tkam sobie i snuję...)

Wójtowie. Wieś spokojna, wieś wesoła. Raz na tydzień rozmodlona, w przerwach pijąca. Po 33 latach mego osadnictwa i kilkudziesięciu felietonach nieźle przez „Zdanie” rozpoznana... Zwłaszcza że co roku mamy dla miejscowych inny sondaż, np. stary nasz sondaż o tolerancji, czyli o szacunku dla inności i o prawach dla mniejszości.

Na salonach czy w poprzednich wcieleniach robiłem zawsze za komucha, pedała i Żyda. Tu wieś tyknie tylko komucha. Naprzeciwko kościoła przez parędziesiąt lat mieszkał niegdysiejszy sekretarz PPR, który latał z pistoletem i kazał się jednoczyć w spółdzielnię. Nie szło to najlepiej, jako że miał do czynienia głównie z osadnikami wojskowymi, którym po zdobyciu Berlina łatwiej przychodziło zwracanie się do przedstawiciela władzy ludowej *per.* „spieprzaj, dziadul”. Więc mu łatwo wybaczone, zwłaszcza że od 1956 r. zaczął dźwigać baldachim w czasie procesji Bożego Ciała. A dzieci jego, i wnuki stały kwiecie pod nogi na tej poniemieckiej jeszcze trasie.

Gdy kilkadziesiąt lat później zaczęli zjeżdżać do wójtowickiego klubu „Zdanie” różni ważni ludzie z War-

szawy, gdy Andrzej Werblan zaczął tu mówić jak ważna jest prawda o Katyniu, ale także i prawda o likwidacji fizycznej KPP, gdy w dość ponurą noc roku 1985 pisaliśmy w siedzibie klubu czyli w domu naszym 280-letnim pod nadzorem wicepremiera Koziola tzw. uchwałę górską i gdy weszła w ona życie z nowymi cenami, cenami „Komornickiego” z bonusem na wełnę, żywiec barani, mleko i wołowinę, i gdy lewica krakowska: Marian Stępień, Andrzej Urbańczyk, Edek i Zbyszek poprowadzili lekcję języka polskiego w miejscowym liceum na temat literatury emigracyjnej (z pewnością polska premiera w oficjalnej szkole!), komuch Komornicki pławił się w złotym deszczu i wystawiał rękę z sierpem i młotem na swym sygnecie współmieszkańcom do przecałowania. Z dzisiejszej perspektywy widać, że można było się tym sygnetem dalej bawić. Sąsiad, robotnik z fabryki mebli (zbankrutowanej), szeregowy członek PZPR od 1989 r. namawia mnie do nowego socjalizmu. W roku owym, w lipcu kilku z nas miało taki niejasny do końca pomysł stworzenia w rocznicę 200-lecia rewolucji, od której się wszystko we współczesnej historii ludzkości zaczyna, w 100-lecie powstania Międzynarodów-

ki – grupy „wsobnej”, czyli załóżka socjaldemokracji. Problem był – i chyba ciągle jest – w odcięciu się od hańby stanu wojennego. „Poprzeczka powinna być postawiona wysoko – powiedziałem w lipcu owym na spotkaniu w Audytorium Maximum – zaś biletem wstępu do grupy – potępienie 13 grudnia. Może uda się w ten sposób wrócić do II Międzynarodówki – tej sprzed śmierci Jauresa?” Jak bąknęliśmy o tym tu i tam, tuż przed ostatnim zjazdem i wyprowadzeniem sztandaru Kwaśniewski i „młody” Wiatr przysłali mi w nocy do pokoju sejmowego (nr 118) nieodżałowanej pamięci Z. Rykowskiego, który miał mi te mrzonki wybić z głowy. Takich chodzących po PZPR-owskich dysydentach nocnych Rykowskich było wtedy więcej, chociaż mi się dostał ten najlepszy, bo prawdziwy. Nic z grupy nie wyszło – tak jak nie udało się wcześniej mądrali Siemiątkowskiemu i pięknej Waniek, i nasza mała, dziurawa kanonierka „Aurora” z Tadziem Fiszbachem na mostku znowu walnęła ślepakami.

I o tym wszystkim Wójtowice wiedzą, z komuchem połówkę wypiją, na ślubie córki koło proboszcza posadzą, a ten woli ze mną grać w pokera niż widzieć we mnie Antychrysta.

Tak więc komuch? Oczywiście! A o czym Wójtowie nie wiedzą? A o tym na przykład, że trzymam do dziś w szufladzie legitymacje PZPR oraz wcześniejsze czerwone i różowe dokumenty jak papiery młodzieżówki FPK tylko dlatego, że po pierwszych bombardowaniach Hajfongu pomaszzerowałem z kumplem do Delegation Generale du Vietnam du Nord, chyba przy Avenue d’Iena, by mnie wzięli na szeregowca i wystali z pepeszą w dżunglę. Ale życiorysy nie muszą być wcale takie same. Wiele lat później inny kumpel, dr socjologii na UW, który nie zdążył do Afganistanu, dotarł na Grenadę, by sobie – jak mówił – „postrzelać do Ruskich”. Gdyby pojawił się na paryskiej ulicy w panterce z napisem „US Army” to pewnie złamalibyśmy mu nos. I parę żeber. Boże, jak sobie pomyślę, że gdyby dołożył mu ze 20 lat, mógłby to być sam Radek S.!

Z resztą mojej prawdy nie będę się wychylał. I nie wywinę się, gdyby w imieniu zatroskanych o swego sąsiada mieszkańców jakiś prokurator z IPN zapytał, jaka ona jest, ta prawda? Jest ona prosta jak miecz krzyżowca. Albo taka jak mawiał A.M. Swinarski: Indianin, pion i kamień. Więc bez zbytecznego kluczenia rzec mogę tak:

Pedalstwo? Uważam, i trudno będzie mi odmówić racji, mimo sprzeciwu tego wiceministra od zbroczeń co go premier J.K. Bielecki w minutę odstawił do kąta – że każdy człowiek ciekawy świata i życia powinien przejść przez własny *incident homosexuel*. I powinien go traktować tak jak minister S.Z. Michel Debre nazwał niegdyś najazd naszych niezwyciężonych armii na Wiosnę Praską: *un incident de parcours*. A nawet i lepiej, bo zamiast o pułkach Jaruzelskiego, można myśleć i myśleć tę hołubić o Macedońskim, o Tyberiuszu i jego chłopczkach z Tracji wykształconych na chwytne karpie, a także o bardziej współczesnych pięknych, eleganckich, wrażliwych aktorach i *dansjorach*, zawsze ubóstwianych przez kobiety. Tak, panie prokuratorze, mam ten wypadek za sobą...Dziś miast zając z tolerancji zajmujemy się w Wójtowicach promocją inności, czyli mówiąc zwyczajnie – pedalstwa. Niestety. Kaszana,

marynata, akwamaryna – jak mówi sąsiad, gdy chce wyrazić swe niezadowolenie z przegranej. Nie wymawia natomiast prawidłowo nazwiska Sigurdardottir żywcem wziętego z serialu *Star Trek* (pierwszy oficer krążownika „Enterprise”?). Mówimy o niej, tej dzielnej pani premier Islandii, o Klausie Wowerecie, merze Berlina i jego koledze rządzącym Paryżem Bertrandzie Delanoë, o Annise Parker, lesbijce kierującej Houston, czwartym miastem Ameryki, o austriackiej europosłance Ulrice Lunacek i jej koledze z ław Michaelu Cashmanie z brytyjskiej Labour, o szefie liberalistów niemieckich, ministrze S.Z. Guido Westerwelle etc., wszystko po to, by przekonać, że ta inność to normalność. Listę koronujemy z tryumfem historią Breadshawa, brytyjskiego ministra kultury, który nie miał żadnych szans w wyborach do Izby Gmin dopóty, dopóki jego konserwatywny rywal uznał go w czasie wiecu za „obrazę i przekleństwo boskie”. I został za to zmieciony – pieprzony konserwatysta – z szachownicy, bo publiczność uznała ten atak za nieestetyczny, obraźliwy, nieobyczajny (!) i niegodny polityka. Taki argument spływałby po naszej publiczności w wyborach na sołtysa jak przysłowiowa woda po kaczym kuprze. *Coming-out* obecnej sołtyski przyniósłby oskarżenie o wszystkie damskie perwersje Babilonu i dałby jej tylko cztery głosy rodziny Komornickich. Dlaczego nie pięć? Bo uwierzyłaby w swą winę i nie głosowałaby nawet sama na siebie.

Aj, waj? Tak, panie prokuratorze, i tu by mnie pan złapał ze pejsy. A raczej za wąsy. Zapomniawszy o ustawach norymberskich zapuściłem sobie raz te wąsy i, proszę pana, wyrosły mi jak te rude włosy, co je mam pod pachami. Widomy znak, że jakaś prababka musiała się puścić z arendarzem. Ale potem wyczytałem u Peyrefitte’a w jego „Les Juifs”, że wszyscy na świecie mają jakąś tam domieszkę krwi żydowskiej. Dotyczy to więc także i JRN i JKM, i tych, którzy dzwonią o północy, w godzinę wampirów, do toruńskiego radia, i tych, którzy dzwonią do pani profesor Janion, że „szczają na jej grób”. (Boże, w piśmie to wygląda jeszcze koszmarniej niż przez telefon!) Wg Payrefitte’a jest tylko trzech prawdziwych aryjczyków: Jezus Chrystus, gen. de Gaulle i on, Peyrefitte.

Tu, w Wójtowicach jest lepiej niż było, lepiej niż gdzie indziej, co nie znaczy, że dobrze. Może dlatego, że w promieniu co najmniej 3000 metrów nie ma żadnego zdemaskowanego Żyda, a ludzie nie wiedzą nic o pokrętnej tezie Peyrefitte’a. Niektórzy się nawet czerwienią, gdy przypomnieć im awanturę o Jedwabne, o przesiewaniu piachu w laskach pod Trebliką czy przeczytać im najbardziej soczysty (egzegeci doskonale wiedzą o który kęs krwawego mięsa chodzi!) kawałek wywiadu – fałszywki H. Krall z profesorem Geremkiem.

P.S.: Mój mentor mówi, żebym przypadkiem nie szedł w żadną ekspiację z powodu tego potrójnego piętna, które los (?) zafundował mi na życiorysie. Odmieńcem – mówi – warto być, zwłaszcza jeśli ma się choć trochę narcystyczną naturę. Owszem, kamieniem łatwo oberwać, ale nie każdy może – jak Tomek Sawyer – płót malować. I zamalowywać te wszystkie świństwa, które się samemu przed chwilą napisało...

JERZY PIEKARCZYK

KŁOPOT Z KAPUSTĄ

W filmie *Obywatel Kane* reporter poszukuje znaczenia słowa „Różyczka” – jedyne, jakie wypowiada tuż przed śmiercią Charles Foster Kane, magnat prasowy, zdawać się mogło człowiek sukcesu, który osiągnął w życiu wszystko. „Różyczką” okazuje się w końcu nazwa sanek, które w życiu Kane’a stanowią symbol tęsknoty za dzieciństwem i w ostatniej scenie filmu widzimy je jak płoną zabierając ze sobą tajemnicę ich właściciela. Gdyby – Boże uchojaj – Artur Domosławski wpadł na pomysł podobnego scenariusza z Ryszardem Kapuścińskim w tle, pewnie zamiast płonących saneczek znalazłaby się czerwona chusta lub odznaka Związku Młodzieży Polskiej – atrybuty Nowego, które nadeszło po wojnie nikogo nie pytając o zdanie.

Kapuściński znalazł się wśród „czerwonych”, komunizował. Wyjeżdżając jako zagraniczny korespondent kibicował rewolucjom w Trzecim Świecie, a idea sprawiedliwości społecznej nie wywoływała u niego alergii, ale była kwestią świadomego wyboru, z którym się obnosił nie szkodząc innym. Przez dygnitarzy partyjnych w kraju był uważany za „swego”, mógł więc po świecie dużo jeździć, co nie pozostawało bez wpływu na życie rodzinne, ale to już była cena wkalkulowana w dziennikarską karierę. Zdobywał czytelników w kraju, z czasem za granicą.

Czy lepszy byłby Kapuściński kontestujący realny socjalizm, bez możliwości wyjazdu z kraju, bez publikacji, czy reporter, który właśnie dzięki temu, że „swój”, mógł własny talent wykorzystać w sposób bardziej pożyteczny niż inni? Kiedy po 1989 roku w Polsce odmienił się ustrój, tym, którzy ustalali nowy porządek przydał się również Kapuściński – byle nie afiszował się ze swoją przeszłością, co też czynił dopóki przeszłość nie przyszła po niego.

* * *

„Na początku był e-mail od Ani Bikont: »Może byśmy napisali wspólnie biografię Ryśka«” – zaczyna swe podziękowania Artur Domosławski, ale dlaczego wytrawna dziennikarka „GW” ostatecznie sama odstąpiła od realizacji pomysłu i podążyła w inne rewiry – tego, przynajmniej na razie, nie dowiemy się. Fakt, zostawiła swego redakcyjnego kolegę sam na sam z tematem, który go tak pochłonał, że nikt odciągnąć już go nie potrafił, chociaż gdyby odczekał czas jakiś, pewnie byłoby mniej pytań a więcej odpowiedzi. „Pożeglował sam” ze wszystkimi tego konsekwencjami.

W 2008 roku „Znak” wydał biografię Kapuścińskiego. Imponującą rozmachem i szczegółami, napisaną przez Beatę Nowacką i Zygmunta Ziętka, literaturoznawców zajmujących się od lat twórczością Kapuścińskiego. Jeśli ktoś teraz zapyta, dlaczego książkę pary znajdujących się na rzeczy autorów dwa lata po jej wydaniu można kupić w internecie za połowę ceny, odpowiem, że pewnie o biografii autorstwa Domosławskiego zrobiło się

głośno z racji protestu wdowy, który umiejętnie wykorzystano do akcji marketingowej, dodając do tego wątki prywatne, które tak kochają czytelnicy, a w następnej kolejności – wydawcy. Dlatego „przyjaciel Ryśka” wołał w takiej sytuacji mieć wydawcę w „Świecie Książki” niż w „Znaku”, który w dodatku chciał złagodzenia pewnych wątków, chociaż można było przypuszczać, że skoro na planie pierwszym pojawiła się kasa, skrupuły etyczne zostały daleko w tyle.

Stąd też się wzięły wątpliwości czytelników, czy Domosławski miał prawo napisać tę książkę. Jako dziennikarz – na pewno tak, ale jako przyjaciel Kapuścińskiego – jak mówi o sobie – to już niezupełnie. W każdym razie trzeba być ostrożnym mając do czynienia z takim gatunkiem przyjaciół, tym bardziej że najlepszymi fragmentami książki są teksty samego Kapuścińskiego, a reszta świadomie nawiązuje do stylu autora *Hebanu*. W dyskusji, jaką wywołała biografia, najzabawniej (?) brzmiały głosy tych, którzy potępiali autora nie czytając książki.

* * *

Na zakończenie książki o Ryszardzie Kapuścińskim, autor wzorem gwiazd odbierających Oscary dziękuje wszystkim, bez których „namalowanie tego portretu byłoby niemożliwe”. Artur Domosławski niby zaznacza, że za wymowę książki odpowiada wyłącznie on sam, ale przecież wskazuje po imieniu informatorów. Dziękując im ma świadomość, że ich również uczyni współodpowiedzialnymi za to, co zmalował w książce, korzystając z ich uwag tylko wtedy, gdy trafiały mu do przekonania.

Alinie Kapuścińskiej dziękuje „za wszystko, co służyło powstaniu tej książki, za troskę, udostępnienie archiwum i wiele godzin wspólnych rozmów, które pomogły mi wiele zrozumieć”. Skoro tyle mu poświęciła wdowa po Ryszardzie, skoro tak bardzo jest jej wdzięczny, to dlaczego oprotowała wydanie książki w takim kształcie, w jakim ją stworzył? Może poczuła się oszukaną przez przyjaciela domu, za jakiego się uważał.

Trudno zrozumieć, dlaczego będąc tak blisko pisarza-reportera, którego mieni się być przyjacielem, Domosławski nie próbował szukać odpowiedzi na pytania, jakie stawia w biografii mając pewność, że Kapuściński ani nie odpowie, ani nie zaprotestuje. „Z Ryśkiem – pisze – łączyła mnie przyjaźń, zawsze wierzyłem, że nie tylko zawodowa”. Pisze, jak próbował patrzeć na świat jego oczyma, „zakładać jego buty”, aby za chwilę z tych butów wyskoczyć, stanąć obok, postawić przed nim, za nim, obok niego, rozmaite lustra. Przystawiając lustra Kapuścińskiemu jego biograf zapomniał, że w pierwszej kolejności powinien przyjrzeć się sobie samemu. Dlatego Oscara nie będzie, chociaż wydawca wyjdzie na swoje.

więc wątpliwe
jestem

JAK ZOHYDZIĆ GENERAŁA?

Generałów ci u nas dostatek. Ale jak za produkcję filmu o generale bierze się firma Kiwifilm na zlecenie TVP Historia, jego producentem i reżyserem w jednej osobie zostaje Robert Kaczmarek, zaś scenariusz do niego pisze Grzegorz Braun, specjalista od rozliczeń z PRL-em i z prof. Janem Miodkiem, to tym generałem może być tylko Wojciech Jaruzelski. Z co najmniej tygodniowym wyprzedzeniem TVP informowała przy każdej nadarzącej się okazji, że wreszcie dowiemy się prawdy o człowieku, który – jak zaświadczył Władimir Bukowski, niegdysiejszy dysydent radziecki – był lokajem Moskwy. A skoro tak, to w filmie o wymownym tytule *Towarzysz Generał*, ów stopień wojskowy pisany jest raz po polsku, a raz cyrylicą.

Już to by wystarczyło, aby rzeczony film propagandyści spod znaku PiS-u i IPN-u mogli uznać za demaskatorskie dzieło, raz na zawsze obalające mit generała, co to dla ojczyzny ratowania wybrał mniejsze zło. Aliści jesteśmy dopiero na początku odkrywania prawdy o Jaruzelskim. Żeby mogło ziścić się przeświadczenie góralskiego Sokratesa, że jest prawda, cała prawda i gówna prawda, w tym filmie musieli pojawić się świadkowie, którzy dali świadectwo przynajmniej jednej z owoch prawd.

Na świadka koronnego zeznającego przeciwko Jaruzelskiemu twórcy upatryli sobie Lecha Kowalskiego. Trzeba niewątpliwie pogratulować im trafności wyboru. Chodzi bowiem o pułkownika Ludowego Wojska Polskiego, członka zjednoczonej partii aż do jej samorozwiązania, robiącego karierę polityka w Wojskowej Akademii Politycznej. Kiedy więc twierdzi, że generał jako szef Głównego Zarządu Politycznego „upartyjnił wojsko”, sam jest tego wymownym przykładem. Ale kiedy oskarża go o czystki antysemickie w wojsku, których ofiarą miał być m.in. były przyjaciel, ten odezwał się z Londynu i wszystkiemu zaprzeczył, a na dodatek zapowiedział wytoczenie procesu... Kowalskiemu. Tak się bowiem składa, że pułkownik przejrzał na oczy dopiero po 1989 roku, a wcześniej miał zaćmę. I za to zaślepienie obarcza dzisiaj winą Jaruzelskiego jako jego – o ironio! biograf. Jak na prawdziwego konwertytę przystało, zachował ten sam zapał i gorliwość w piętnowaniu zła, które w PRL-u jawiło mu się jako najwyższe dobro.

Wśród oskarżycieli generała nie mogło zabraknąć prof. Pawła Wieczorkiewicza, byłego II sekretarza POP w Instytucie Historii UW, znanego z neoficko-egzotycznych poglądów. Według niego Informacja Wojskowa, z którą Jaruzelski miał rzekomo podjąć współpracę (żadne dokumenty to potwierdzające się nie zachowały), była gorsza od gestapo. Ostatni news IPN-u, że werbunkowym był gen. Kiszczak, do filmu nie zdążył trafić. Prof. Wieczorkiewicz też nie doczekał telewizyj-

nej premiery dzieła, w którym nie zawahał się wystąpić, by dać świadectwo prawdzie.

Tym bardziej żadnych zahamowań nie mieli historycy IPN-u: Sławomir Cenckiewicz i Piotr Gontarczyk. Cóż wart byłby ten „dokument” bez ich udziału. Przecież wiadomo, że w IV RP – podobnie jak w PRL-u – jedni mają rację, a inni słuszność.

Przeciwko „towarzyszowi-generałowi” świadczy jeszcze parę osób, m.in. politolog John Lenczowski, reprezentujący – jak należy się domyślać – naukę światową. Ale w tym filmie pojawia się też prof. Andrzej Paczkowski, którego nazwisko budzi respekt. Wygląda na to, że autor *Wojny polsko-jaruzelskiej* (2006) nie do końca rozliczył się z generałem i dlatego skorzystał z okazji, aby – nie bacząc na towarzystwo – raz jeszcze postawić go pod pręgierz. To historykowi nawet tej klasy wolno, aliści w doborze towarzystwa mógłby być bardziej wybredny. Tymczasem profesor Polskiej Akademii Nauk w programie Tomasza Lisa (TVP2) bronił filmu i swojego w nim udziału, dowodząc że w warstwie faktów wszystko się w nim zgadza, zaś w ich interpretacji jest jednostronny, ale to jest w pełni uprawnione. Poważnemu historykowi jak widać nie przeszkadza, że podżyrował swoim nazwiskiem propagandowy film, zrealizowany w konwencji pamfletu, a właściwie paszkwilu. Nie ma też nic przeciwko temu, żeby taki film emitowała telewizja publiczna, która – w myśl ustawy – oferuje „różnicowane programy cechujące się pluralizmem, bezstronnością, wyważeniem i niezależnością”.

Przygotowanie propagandowe do emisji *Towarzysz Generał* miało na celu przekonanie opinii publicznej, że wszystko co do tej pory mówiono i pisano o Jaruzelskim oraz jak go pokazywano zmierzało do jego usprawiedliwienia, a nawet gloryfikacji. I to jest największe kłamstwo, jakie towarzyszyło prezentacji tego filmu. Od 20. lat bowiem generał jest obiektem nieustannej, często niewybrednej, a nawet chamskiej (czego ostatnim przykładem był program „Teraz My” w TVN) krytyki. Nawet na lewicy mało kto ma odwagę – i ochotę – z nim się solidaryzować, a do zupełnych wyjątków należą teksty prof. Andrzeja Romanowskiego, biorące go w obronę. Mamy zatem do czynienia z kolejnym atakiem na generała, tym razem o tyle haniebny, że podważającym jego polskość i patriotyzm.

Jeśli TVP, w której wpływy uzyskał SLD, mimo wszystko zdecyduje się na powtórny emisję tego pamfletu-paszkwilu, to mamy prawo oczekiwać od odważnego scenarzysty, że dla zachowania równowagi w przyrodzie, a zarazem przeciwwagi dla cyrylicy w tytule, swoje nazwisko złoży szwabachą.

SCEPTYK

własne

ZDANIE

EDWARDA CHUDZIŃSKIEGO

AD MULTOS ANNOS!

26.01.2010



A zatem na kogo lub na co ja mogę liczyć jako felietonista? Przedstawiciele władzy różnych szczebli ledwo mnie tolerują i vice versa. Opozycji nigdy nie kokietowałem, więc i z tej strony nie mogę spodziewać się przychylności. W tej sytuacji, w tym polskim nabuzowanym kotle, pozostaje mi tylko liczyć na samego siebie.

Zdanie nr 6(75), czerwiec 1988 r.

Sceptyk

ZDANIE

PISMO STOWARZYSZENIA >>KUŹNICA<<

Redaguje zespół:

Edward Chudziński (redaktor naczelny), Tomasz Goban-Klas, Krzysztof Komornicki, Adam Komorowski, Beata Kowalska, Paweł Kozłowski, Lech M. Nijakowski, Andrzej Ruchałowski (sekretarz redakcji).

Makieta wg projektu Mściwoja Olewicza

Adres Redakcji: 31-052 Kraków, ul. Miodowa 41

www.kuznica.org.pl; e-mail: kuznica41@interia.pl

Wydaje Firma Wydawnicza Trans-Krak s.c. na zlecenie Stowarzyszenia „Kuźnica”
30-134 Kraków, ul. Kunickiego 5

Korekta: Marian Dziwisz

Skład komputerowy i łamanie: Agnieszka Mączka
Druk: Toruńskie Zakłady Graficzne „Zapolex” sp. z o.o.
Nakład: 1000 egz.



